

Robert Ludlum

Strażnicy Apokalipsy

Tom II

**przełożyli: SŁAWOMIR KĘDZIERSKI, ANDRZEJ LESZCZYŃSKI, ARKADIUSZ
NAKONIECZNIK**

Tytuł oryginału: "THE APOCALYPSE WATCH"

Warszawa 1995. Wydanie I

ROZDZIAŁ 23

- Jezu! Mam wrażenie, że oni są wszędzie. Poruszają się niczym duchy! - ryknął Drew, z wściekłości waląc pięścią w blat biurka. Jakim sposobem zdołali mnie odnaleźć? Claude Moreau stał przy oknie i w milczeniu wyglądał na zewnątrz. Po chwili rzekł cicho:
- Wcale nie Ciebie, przyjacielu. Nic nie wiedzą o pułkowniku Websterze. Musieli śledzić mnie.
- Ciebie? Przecież mówiłeś, że prawie nikt w Paryżu Cię nie zna - syknął złośliwie Latham. - Nie wyróżniasz się w tłumie, tym bardziej że zawsze dobierasz sobie jakiś kapelusz z całej cholerniej kolekcji!
- To nie ma nic do rzeczy. Musieli wiedzieć, dokąd się wybieram.
- Skąd? - zapytała de Vries. Siedziała na krawędzi łóżka w swoim pokoju w hotelu "Bristol", gdzie postanowili się spotkać ponownie. Wracali z miasta pojedynczo, każde na własną rękę.
- No cóż, wasza ambasada nie jest jedynym miejscem, gdzie znajduje się przeciek - rzekł Moreau, odwracając się od okna; jego mina świadczyła o wściekłości pomieszanej ze smutkiem. - W moim własnym biurze też musi być jakiś informator.
- Czyżby do tego najświętszego ze świętych Deuxieme Bureau także się wkradł jakiś agent?
- Daj spokój, Drew - powiedziała Karin, kręcąc głową; wyraźnie uderzył ją fakt, że Moreau także jest bardzo poruszony tym, co się stało.
- Ja nie mówiłem o Deuxieme Bureau, monsieur - sprostował Francuz, kierując lodowate spojrzenie na Lathama. - Chodziło mi jedynie o mój gabinet.
- Nie rozumiem - rzekł cicho Drew, zapominając o złośliwości.
- To oczywiste. Nie znasz zasad, których musimy przestrzegać. Jako le directeur mam obowiązek zawsze zostawiać kontakt do siebie, na wypadek gdyby zaszło coś nieprzewidzianego. Oprócz Jacques'a, który codziennie pomaga mi rozplanowywać zajęcia, kontakt ze mną ma tylko jedna osoba, najbliższy współpracownik cieszący się moim pełnym zaufaniem. Ta osoba nie rozstaje się z przywoływaczem, aby mogła mnie zawiadomić o dowolnej porze dnia i nocy.
- Jaką on pełni funkcję? - zapytała Karin, pochylając się do przodu.
- Nie on, lecz ona. Mówię o Monique d'Agoste, mojej sekretarce. Pracuje w biurze od sześciu lat i jest nie tylko sekretarką, lecz także moim zaufanym pomocnikiem. Tylko ona wiedziała o naszym spotkaniu w kawiarni, tylko ona mogła o tym komukolwiek powiedzieć.
- I nigdy nie miałaś w stosunku do niej żadnych podejrzeń? spytała de Vries.
- A wy podejrzewaliście Janinę Clunes? - wtrącił Drew.
- No nie, ale to przecież żona ambasadora.
- A Monique to serdeczna przyjaciółka mojej żony. Jeśli mam być szczery, to właśnie moja żona zaproponowała jej kandydaturę na stanowisko sekretarki. Razem studiowały, później Monique skończyła kurs w Service d'Etranger i pracowała w dyplomacji, przeżyła też nieudane małżeństwo. Przez te wszystkie lata utrzymywały ze sobą ścisły kontakt... Teraz już chyba wiadomo, z jakiego powodu... - Moreau urwał i podszedł do biurka, przy którym siedział Latham, z uwagą przysłuchujący się tej rozmowie. - Były jak papużki nierozłączki... Nie, to nie wy byliście celem tego ataku, przyjaciele. Chodziło o mnie. Gdzieś tam zapadła decyzja, mój czas minął. Dlatego zapadł wyrok...
- O czym ty mówisz? - mruknął Latham, prostując się na krześle.
- Żałuję, ale nawet wam nie mogę tego wyznać. Moreau sięgnął po słuchawkę telefonu, wybrał numer i po chwili rozkazał po francusku:
- Proszę się natychmiast udać do Saint Germain, do mieszkania pani d'Agoste, i ją aresztować. Zabierzcie ze sobą jakąś funkcjonariuszkę i na miejscu przeprowadźcie dokładną rewizję osobistą Monique. Ona może mieć przy sobie truciznę... Nie będę udzielał żadnych wyjaśnień, proszę wykonać rozkaz! Francuz ze złością odłożył słuchawkę i usiadł na brzegu kanapy stojącej pod ścianą.
- To wszystko staje się po prostu przygnębiające - mruknął jakby sam do siebie.

- Ależ to dwie całkiem różne rzeczy, Claude - rzekł Drew. Nie rozumiem, jak możesz być równocześnie rozwścieczony i zasmucony. Jedno z tych uczuć powinno być dominujące. Przecież tu chodzi o twoje życie.
- Nie można wszystkiego zostawić zawieszonemu w próżni, mon orni - dorzuciła de Vries. - Jeśli weźmiesz pod uwagę, przez co przeszliśmy, to chyba zasługujemy przynajmniej na jakieś pobieżne wyjaśnienie.
- Zastanawiam się, od jak dawna ona to planowała, ile informacji zdołała wykraść i przekazać...
- Komu, na miłość boską? - zapytał z naciskiem Drew.
- Tym, którzy są na usługach Bruderschaftu.
- Przestań kręcić, Claude - rzekł Latham. - Może jednak powiesz nam cokolwiek?
- Dobra. - Moreau odchylił się do tyłu i palcami lewej ręki przetarł oczy. - Od trzech lat toczę niebezpieczną grę, zbierając na swym koncie miliony franków.
- Jesteś podwójnym agentem?! - krzyknęła osłupiała de Vries, podrywając się na nogi. - Tak jak Freddie?
- Podwójnym agentem? - wycedził Latham, podnosząc się z krzesła.
- Właśnie, tak jak Freddie - odparł szef Deuxieme Bureau, spoglądając na Karin. - Byli przekonani, że jestem niezwykle cennym informatorem, ale ja nigdy im nie udostępniłem żadnych danych z archiwów biura.
- Czyli wynika stąd, że w mniejszym bądź większym stopniu byłeś na ich usługach - oświadczyła stanowczo de Vries.
- Owszem. Największy kłopot polegał na tym, że nie miałem żadnego zabezpieczenia, ponieważ nikomu, absolutnie nikomu w Paryżu nie mogłem ufać. Urzędnicy wciąż się zmieniają, ci bardziej wpływowi zakładają własne interesy, a politycy zawsze obracają się w tym kierunku, skąd wieje wiatr. Musiałem działać sam, bez żadnego wsparcia, całkowicie w pojedynkę, jak się to określa.
- Mój Boże! - wykrzyknął Drew. - Dlaczego zgodzili się na taką współpracę z nimi?
- Tego nie mogę wyjawiać. Zaczęło się to dawno temu, od pewnego zdarzenia, o którym usilnie chciałbym zapomnieć... ale nie potrafię.
- Jeśli to naprawdę zdarzyło się dawno temu, to czy nadal może mieć tak wielkie znaczenie, mon ami?
- Dla mnie ma.
- D'accord.
- Merci.
- Spróbujmy pozbierać fakty do kupy - rzekł Latham, chodząc nerwowo przy oknie. - Powiedziałeś "miliony franków", zgadza się?
- Tak, oczywiście.
- Czy wydałeś coś z tych pieniędzy?
- Dostyc dużo. Wiodę taki tryb życia, na który moja dyrektorska pensja nie wystarcza. Weź pod uwagę, że zbieranie informacji również sporo kosztuje, ciągle trzeba kogoś przekupywać.
- To faktycznie działanie w pojedynkę. I co my mamy począć z tym fantem? Kogo o tym powiadomić?
- Właśnie to pytanie jest najistotniejsze.
- Powiedziałeś nam prawdę - wtrąciła Karin. - A to chyba też się liczy?
- Nie jesteście Francuzami, moja droga. Wręcz przeciwnie, prowadzicie tajną operację i działacie na zlecenie waszego rządu. Niemniej dla zwykłego obywatela ta sprawa to skrajny przykład korupcji.
- Wcale nie uważam, że jesteś skorumpowany - odparł z naciskiem Drew.
- Ja również, lecz obaj możemy się mylić - przyznał Moreau. - Mam żonę i dzieci, nie chciałbym, aby cierpiały z powodu mojej hańby... nie mówiąc już o tym, że mnie czekałby jakiś nieformalny pluton egzekucyjny albo lata więzienia. Mogę zgarnąć pieniądze, zaszyć się w jakimś zakamarku świata i żyć dostatnio do końca swych dni. Nie zapominajcie też, że

jestem doświadczonym oficerem wywiadu, a tacy ludzie są bardzo poszukiwani. Nie, moi drodzy. Wielokrotnie się nad tym zastanawiałem. Nie chcę umierać. Będę żył, nawet jeśli okrzykną mnie zdrajcą. Jestem to winien mojej rodzinie.

- A gdyby nie skazano cię za zdradę? - zapytała Karin.

- Wtedy rozliczyłbym się z każdego su, a resztę pieniędzy przekazał rządowi, dołączając do tego kompletną listę wydatków związanych z dotychczasową działalnością.

- W takim razie nie grozi ci oskarżenie o zdradę - rzekł Latham. - Nie możemy do tego dopuścić. Pomijając inne sprawy, ja nie mam nawet jednego miliona na koncie, miałem tylko brata, któremu jakiś bandyta strzelił prosto w głowę, a Karin miała męża, którego zamęczono torturami. Nie wiem, czym ty się gryziesz, Moreau, zresztą nie musisz tego wyjawiać. Przyjmuję w ciemno, że twoje pobudki są równie ważne dla ciebie, jak nasze dla nas. - Możesz być tego pewien.

- Więc myślę, że powinniśmy wracać do pracy.

- Z czym, mon ami?

- Z naszą inteligencją i wyobraźnią, bo chyba nic innego już nam nie zostało.

- Podoba mi się twoje podejście - rzekł szef Deuxieme Bureau. - Rzeczywiście, chyba nic innego już nam nie zostało. - Jego brat nie żyje, lecz obaj mieli wiele wspólnych cech powiedziała Karin, podchodząc do Lathama i biorąc go za rękę. - Zajmijmy się lepiej Traupmanem, Kroegerem i drugą panią Courtland - rzekł Latham, odsuwając się od Karin. Usiadł przy biurku, wysunął szufladę i zaczął z niej wyciągać hotelowe reklamówki.

- Trzeba nawiązać kontakt. Musimy to zrobić. Tylko jak? Pierwszą podejrzaną jest twoja sekretarka, Claude, Monique... zapomniałem nazwisko.

- To wielce prawdopodobne. Możemy sprawdzić listę połączeń telefonicznych, dowiedzieć się, do kogo dzwoniła.

- Warto by również skontrolować jej domowy numer...

- Certainement. To nic trudnego.

- Zbierz te dane i przedstaw je sekretarce. Obiecuj jej coś, jak będziesz musiał, to nawet przystaw pistolet do głowy. Jeśli Sorenson się nie myli, Traupman musi być informowany na bieżąco, a zapewne to właśnie ona przekazywała mu wiadomości. Później spróbujemy ugryźć tego świętoszkowatego naukowca, Heinricha Kreitzza, ambasadora Niemiec. Dałbym głowę, że wystarczy go odpowiednio przycisnąć, a natychmiast zaalarmuje Bonn.

- Ostro pogrywasz, przyjacielu, nawet dyplomatyczne immunitety nie stanowią dla ciebie przeszkody. Brzmi to zachęcająco, ale może się odbić na nas rykoszetem.

- Pieprzę to! Znudzila mi się beczynność. Zadzwoił telefon. Moreau podniósł słuchawkę, przedstawił się i przez chwilę słuchał w milczeniu. Przygryzł wargi i pobladł wyraźnie.

- Merci - rzekł w końcu. Odłożył słuchawkę i odwrócił się do nich.

- Kolejne niepowodzenie - mruknął, zaciskając silnie powieki. - Monique d'Agoste została pobita na śmierć. Czy Bóg nas całkiem opuścił?

Wiceprezydent Howard Keller mierzył sto siedemdziesiąt dwa centymetry wzrostu, ale sprawiał wrażenie znacznie wyższego. Wiele osób nie umiało sobie tego wytłumaczyć, stąd też krążyły najróżniejsze plotki. Chyba najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie przedstawił pewien nowojorski choreograf, który uważnie obserwując wiceprezydenta podczas któregoś ze spotkań w Białym Domu, organizowanych dla ludzi świata kultury, szepnął do stojącej obok, zaprzyjaźnionej tancerki:

- Przyjrzyj mu się. Niby zwyczajnie podchodzi do mikrofonu, żeby wygłosić przemówienie, lecz gdy popatrzysz uważnie, dostrzeżesz, że jak gdyby rozcinał przestrzeń przed sobą, przedzierał się przez zgęstniałe powietrze. Truman miał taki sam dar, poruszał się w identyczny sposób. Oto kogut, pan i władca całego podwórka. Bez względu na wszelkie plotki, Keller należał do szanowanych polityków; po czterech kadencjach spędzonych w Kongresie, z tego dwunastu latach na fotelu senatora, znał chyba wszystkie tajemnice waszyngtońskich gabinetów, zwłaszcza teraz, kiedy piastował stanowisko przewodniczącego niezwykle

wplywowej Komisji Finansów. Zdolał przetrwać najgorsze burze z piorunami i bez większego żalu przyjął nominację na wiceprezydenta, chociaż był zdecydowanie starszy i bardziej doświadczony od kontrkandydata swojej partii, desygnowanego na stanowisko prezydenta. Uczynił to, ponieważ zależało mu na sukcesie macierzystej partii, co uważał za swój patriotyczny obowiązek. Ale w skrytości ducha darzył też wielkim podziwem prezydenta za jego odwagę i zdrowy rozsądek, chociaż ten musiał się jeszcze bardzo wiele nauczyć o chwytach stosowanych wśród waszyngtońskich polityków. Teraz jednak podobne rozważania były mu całkiem obce. Siedział za olbrzymim, zawalonym papierami biurkiem, znad których spoglądał badawczo na dyrektora Wydziału Operacji Konsularnych, Wesleya Sorensena.

- Słyszałem już o różnych niesamowitych stworach, ale przy tym King Kong sprawia wrażenie potulnego kotka budzącego postrach młynarza - mruknął w końcu.

- Zdaję sobie z tego sprawę, panie prezydencie...

- Przestań chrzanić, Wes, zbyt długo już ze sobą pracujemy przerwał mu Keller. - Czyżbyś zapomniał, że to właśnie ja wysunąłem twoją kandydaturę na stanowisko szefa wywiadu cywilnego? Miałem poparcie większości Senatu, tylko ty się postawiłeś okoniem.

- Nie zależało mi na pracy w wywiadzie, Howardzie.

- No to wpadłeś jeszcze gorzej. Nawet najgłupszą akcję musisz teraz uzgadniać z Departamentem Stanu, CIA oraz Białym Domem, nie wspominając już o rewolwerowcach z Pentagonu. Jesteś nawiedzony, Wes. Najlepiej ze wszystkich wiedziałeś, co cię czeka w tym wydziale.

- Przyznaję, że początkowo się ludziłem, iż głównie będę musiał służyć radą i pisać opinie... Tak, teraz już wiem, że to zadanie komisji Kongresu.

- Dzięki, że oszczędziłeś mi wyjaśnień... A jakby nie było ci dość tej izolacji, w której się znalazłeś, teraz przychodzisz do mnie, ponieważ jacyś dwaj bojówkarze ci nagadali, że jestem zwolennikiem nazizmu i gorąco popieram odradzający się faszyzm. Byłoby to przerażająco śmieszne, gdyby nie kontekst. To bowiem Hitler powiedział, że jeśli coś się powtarza wystarczająco długo i dobrze uzasadni kłamstwo, wszyscy w to uwierzą... Muszę przyznać, Wes, że jest to wprost odrażające oszczerstwo, niezwykłego kalibru. - Na miłość boską, Howardzie, przecież nie puściłem w świat tej wiadomości.

- Ale może już nie zdołasz nic poradzić. Wcześniej czy później tych dwóch skinów będzie przesłuchiwał ktoś inny, kto nienawidzi obecnego rządu, toteż natychmiast zadmie w fanfary, kiedy tylko złapie taką rewelację.

- Nigdy do tego nie dojdzie. Prędeż bym własnoręcznie udusił takiego lajdaka.

- W Ameryce myśli się jednak trochę inaczej, prawda? - rzekł Keller i zachichotał.

- Więc być może nie jestem typowym Amerykaninem. Poza tym mam już paru ludzi na sumieniu.

- Ale to było dawno temu, pracowałeś wówczas w terenie.

- Co mogę powiedzieć? Oskarżyli także przewodniczącego Izby Reprezentantów, a on jest przecież z innej partii.

- Mój Boże, cóż to za różnica? Zmierzasz najkrótszą drogą do urzędu prezydenckiego. Najpierw stary, za nim wice i przewodniczący Izby Reprezentantów. Twoi bojówkarze muszą dobrze znać naszą konstytucję.

- No cóż, rzekłbym, że jeden z nich wydaje mi się niezłe odczytany...

- Ale przewodniczący...? Ten przemily, uczynny, staroświecki baptysta, którego jedynym grzechem jest odmawianie modlitw podczas głosowania nad jakąś kontrowersyjną sprawą, kiedy jego zdaniem nie ma innego sposobu na jej załatwienie?, Jak to możliwe, że właśnie jego wzięli na celownik?

- Twierdzą, że jest z pochodzenia Niemcem i w czasie drugiej wojny światowej osiadł w Ameryce jako uchodźca polityczny.

- Po czym zgłosił się na ochotnika do wojskowych służb medycznych i odniósł poważne rany, ratując życie naszym żołnierzom. W tym miejscu twoi naziści nie wykazali się inteligencją. Gdyby trochę lepiej sprawdzili akta personalne, dowiedzieliby się, że do dzisiaj nosi w

kręgosłupie stalową płytkę, po tym, jak zniesiono go umierającego z plaży "Omaha", choć i tak protestował, że musi się zająć rannymi dziećmi. Został odznaczony orderem Srebrnej Gwiazdy. I to ma być wychowanek hitlerowców?

- Posłuchaj mnie, Howardzie - rzekł Sorenson, pochylając się na krzesło. - Przyszedłem do ciebie tylko dlatego, że sądziłem, iż powinienś o tym wiedzieć, a nie dlatego że dostrzegam choć ziarno prawdy w tym oskarżeniu. Myślę, że to powinno być dla ciebie oczywiste.

- Mam taką nadzieję. Biorąc pod uwagę to wszystko, co się obecnie dzieje w naszym kraju, należy uznać, że powiedzenie "ostrzeżony, uzbrojony" nabiera głębszego sensu.

- To jeszcze nic. W Londynie i Paryżu chyba już sprawdzają piwnice i zagląдают pod łóżka w poszukiwaniu neonazistów. - Co gorsza, kilku już znaleźli. Mówię: "co gorsza", bo mam wrażenie, że nagle wszystkich myśliwych zawiódł wąż. Keller sięgnął po gazetę leżącą na biurku. Złożył ją tak, by na wierzchu znalazła się notatka umieszczona w prawym dolnym rogu pierwszej strony, i wyciągnął w kierunku Sorensona.

- Sam popatrz. To dzisiejsza gazeta z Houston.

- Jasna cholera! - syknął Wesley, przeczytawszy tytuł. Pospiesznie przebiegł wzrokiem treść notatki. NAZIŚCI WŚRÓD PERSONELU SZPITALNEGO? Pacjenci skarżą się na obelżywe traktowanie Houston, 14 lipca. Tutejsza Komisja Etyki Zawodowej wydała oświadczenie, które potwierdza, nie wymieniając nazwisk podejrzanych, że wśród personelu szpitala Meridian wszczęto specjalne dochodzenie. Przyczyniły się do tego liczne skargi obywateli na lekarzy i pielęgniarki tegoż szpitala, jakoby okazujących jawnie antysemityzm, a także nastawionych wrogo do ludności pochodzenia afrykańskiego oraz katolików. Meridian nie jest placówką wyznaniową, ale powszechnie wiadomo, że jego klientelę stanowią głównie protestanci, w przeważającej mierze episkopaliści. Nie jest też żadną tajemnicą, że w kręgach lepiej sytuowanych obywateli szpital określany jest mianem "źródłka", co ma zapewne związek z podlegającym Meridianowi ośrodkiem leczenia nałogowych alkoholików, usytuowanym trzydzieści kilometrów na południe od miasta. Do naszej redakcji napłynęły kopie dwunastu listów ze skargami od byłych pacjentów szpitala, ale ze względu na dobro prowadzonego dochodzenia do czasu wyjaśnienia sytuacji powstrzymamy się z ujawnieniem nazwisk ludzi podejrzanych o uprzedzenia rasowe.

- Tu przynajmniej nie padło żadne nazwisko - rzekł Sorenson, odkładając gazetę z powrotem na biurko; nie zadał sobie trudu zajrzenia na drugą stronę, gdzie zapewne umieszczono obszerniejszy artykuł opisujący skargi obywateli.

- Ile to, według ciebie, może trwać? Nie zapominaj, że dziennikarze są wścibscy.

- Niedobrze mi się robi.

- Ale nic na to nie poradzisz, Wes. Dwa dni temu w Milwaukee zdemolowano browar, tylko z tego powodu że jego właściciel nosi niemieckie nazwisko, którym opatrzył również produkowane piwo. - Czytałem o tym. Nie dokończyłem nawet śniadania.

- Ale przeczytałeś cały artykuł?

- Nie, zapoznałem się tylko z faktami. Dlaczego pytasz?

- Bo to nazwisko tylko z pozoru było niemieckie, a naprawdę chodziło o rodzinę żydowską.

- Odrażające.

- A w San Francisco facet o nazwisku Schwinn zrezygnował z funkcji radnego, ponieważ jego rodzinę zasypywano pogrozkami. Powód? Ośmielił się publicznie powiedzieć, że nie ma nic do gejów, nawet wielu jego przyjaciół pochodzi z tego środowiska, ale uważa, iż marnotrawią oni znaczną część państwowych funduszy przeznaczonych na rozwój kultury. Ten sposób rozumowania kryje w sobie ziarno prawdy, gdyż bez udziału homoseksualistów zdobycze kulturowe ludzkości na pewno byłyby znacznie uboższe, ale w tym wypadku chodziło o zajęcie konkretnego stanowiska politycznego... Natychmiast okrzyknięto go nazistą, a dzieci zostały w szkole pobite.

- Jezu, coraz więcej mamy takich wypadków, prawda, Howardzie? Wystarczy jedynie przyczepić komuś jakąś latkę, a wściekłe psy natychmiast rzucają się do nóg, bez względu na to, czyje to nogi.

- Nie musisz mi o tym mówić - rzekł Keller. - Mam wielu wrogów w tym mieście, nie wszyscy z nich należą do opozycji. Wystarczy, że twoi dwaj bojówkarze staną przed komisją senacką i oznajmią z całą swoją niemiecką stanowczością, że jestem jednym z nich, podobnie jak przewodniczący Izby Reprezentantów. Myślisz, że któryś z nas ma szansę to przetrwać?
- Jeśli zdemaskuje się ich jako bezczelnych kłamców, to nic wam nie grozi.
- Ale ziarna wątpliwości zostaną zasiane, Wes. Rozwścieczeni fanatycy natychmiast się rzucają na nasze akta personalne i z pewnością znajdą setki dowodów na to, że faktycznie prowadziliśmy taką działalność, podsycając w ten sposób nienawiść tłumów... Wspomniałeś imię Jezusa. Czy wiesz, że nie tak dawno KGB zgromadziło całe dossier Chrystusa, opierając się wyłącznie na przekazach Nowego Testamentu, i wywnioskowało na tej podstawie, że musiał on być marksistą, prawdziwym komunistą?
- Nie tylko wiem, nawet miałem okazję zapoznać się z tymi materiałami - odparł z uśmiechem dyrektor wydziału. - Wnioski były całkiem przekonujące, choć raczej przedstawiały Jezusa jako socjalistę reformatora, a nie komunistę. Niestety, nie znaleźli żadnych dowodów na to, aby kiedykolwiek opowiadał się za jakąś wybraną opcją polityczną.
- "Cesarzowi co cesarskie"...
- Dobrze, że mi przypomniałeś. Chętnie zajrzę do tego ponownie. - Obaj zachichotali, lecz Sorenson spoważniał szybko i rzekł: - Rozumiem, co masz na myśli. Statystycznie tak to już jest, że każdy fakt wyrwany z kontekstu można zinterpretować niemal w dowolny sposób.
- Co więc pocniemy z tym fantem? - zapytał wiceprezydent. - Każę rozstrzelać obu sukinsynów. A co innego?
- To na nic, ich miejsce zajmą inni. Nie, musisz ich publicznie ośmieszyć. Zażądaj przesłuchania przed komisją senacką, zaproś dziennikarzy i wtedy zrób z nich idiotów.
- Chyba żartujesz?
- Ani trochę. To może być skuteczne lekarstwo na tę zarazę, która ogarnia cały nasz kraj, Wielką Brytanię i Francję, a może także inne państwa.
- Ty oszalałeś, Howardzie! Pokazanie tych dwóch szaleńców w telewizji wywoła istną pożogę!
- Niekoniecznie, jeśli właściwie to rozegramy. Skoro oni mogą dąć w swoją tubę, to czemu nie sięgnąć po tę samą broń?
- Jaką tubę? Nie bardzo rozumiem.
- Tylko znajdź dobrych klakierów - rzekł Keller.
- Klakierów? O czym ty mówisz?
- To będzie wymagało trochę pracy, ale z pewnością znajdziesz wiarygodnych świadków, zarówno oskarżenia, jak i obrony. Z tymi drugimi sprawa jest prosta, i przewodniczący Izby Reprezentantów, i ja nie mamy się czego wstydić, możemy przedstawić dziesiątki ludzi przemawiających w naszym imieniu, począwszy od urzędników z Białego Domu, a skończywszy na zwykłych obywatelach. Nieco trudniej będzie znaleźć świadków oskarżenia, czyli klakierów, ale to oni odegrają główną rolę.
- Jaką?
- W zatrzaśnięciu tych drzwi, za którymi bezkarnie grasuje szaleństwo. Musisz znaleźć kilku wariatów sprawiających wrażenie całkiem normalnych ludzi, miłych i sympatycznych, ale w głębi ducha zaciekle fanatyków. Powinni być bez reszty oddani swojej obłąkańczej idei, ale w krzyżowym ogniu pytań dość łatwo się załamać i obnażyć swoją prawdziwą naturę.
- To nie będzie nazbyt bezpieczne - wtrącił Sorenson, marszcząc brwi. - A jeśli mimo wszystko wytrzymają napór pytań? - Nie jesteś prawnikiem, Wes, a ja tak. I mogę cię zapewnić, że istnieją pewne stare jak świat sztuczki, które zna każdy dobry adwokat. Co więcej, podobne metody niejednokrotnie stosowano przy produkcji filmów czy sztuk teatralnych, uzyskując znakomite efekty melodramatyczne.
- Zaczynam rozumieć. "Bunt Caine'a" albo postać kapitana Queega...
- A przede wszystkim każde nowe wcielenie Perry'ego Masona - dodał Keller.
- Ale to tylko literatura, Howardzie. Rozrywka. My zaś mówimy o rzeczywistości, o prawdziwych neonazistach!

- Czym oni się różnią od innych, komuchów, różowych bądź towarzyszy podróży? Czyżbyś zapomniał, jak traciliśmy z pola widzenia najlepszych sowieckich agentów, zaczynając się uganiać po wszystkich korytarzach za malowanym królikiem, podczas gdy tamci w Moskwie śmiali się do rozpuku?

- Owszem, pamiętam. Nie mam tylko pewności, czy ta analogia jest adekwatna. Zimna wojna miała miejsce w rzeczywistości, a ja jestem jej produktem. Jakże adwokaci mogą zaprzeczyć temu wszystkiemu, co się obecnie dzieje? Tu nie chodzi o malowanego królika uciekającego po korytarzach, jakim miałbyś się stać ty i przewodniczący Izby Reprezentantów, ale o ścigające was prawdziwe sępy, takie jak ów naukowiec, Metz, czy też asystent brytyjskiego Sekretariatu Spraw Zagranicznych, Mosedale... Jest jeszcze wielu innych, ale trochę za wcześnie, żeby o tym mówić. - Nawet nie przyszło mi na myśl, żeby proponować przyhamowanie na jakiś czas polowania na te twoje sępy. Po prostu z ochotą wbiłbym szpilkę w ten rosnący stale balonik, kiedy w każdym widzi się potencjalnego nazistę, a nigdzie nie widać malowanego królika. Jestem przekonany, że zgadzasz się z moim poglądem.

- Tak, tylko mam wątpliwości, czy przesłuchanie przed komisją senacką załatwi sprawę. Widzę jedynie nadciągający z oddali sztorm o sile osiemnastu w skali Beauforta.

- Więc coś ci wyjaśnię, na przykładzie nie tak dawnych wydarzeń. Nie zapominaj, że byłem zawodowym żołnierzem. Gdyby Sullivan, główny adwokat Olivera Northa, występował w imieniu komisji senackiej, to pan North do dzisiaj by siedział za kratkami, a nie zgrabnie planował swoją kolejną kampanię do następnego stanowiska w administracji państwowej. To jasne jak słońce, że podczas zeznań kłamał jak z nut, złamał przysięgę żołnierską, pohańbił mundur, a zarazem cały nasz kraj, domagając się od władz zatuszowania swoich uchybień, sącząc wszystkim do głów ten swój jad, dzięki któremu jego wina została przypisana niezbadanym wyższym mocom, może nawet samemu Bogu, a on przecież nie miał nic wspólnego z całą tą aferą.

- Chcesz powiedzieć, że tylko dzięki dobremu adwokatowi zdołał wykręcić się sianem?

- Owszem, podałem ci nawet konkretne nazwisko. Ale takich jak Sullivan można znaleźć wielu. W trakcie procesu zbieraliśmy się z kolegami w którymś z naszych gabinetów i przy szklaneczce whisky wysłuchiwalismy zeznań transmitowanych w telewizji. Robiliśmy wówczas zakłady, czy nie dałoby się znaleźć kogoś z palestry, kto by zdołał zmusić tego lajdaka do padnięcia na kolana i wyznania winy ze łzami w oczach. Byli wśród nas ludzie z obu partii i po pewnym czasie jednogłośnie wytypowaliśmy pewnego senatora ze Środkowego Zachodu, byłego prokuratora, który w naszej zgodnej opinii najlepiej by się nadawał na adwokata w tej sprawie. - I sądzisz, że teraz on mógłby tego dokonać?

- Nie mam wątpliwości. Ten facet służył kiedyś w piechocie morskiej i został odznaczony honorowym medalem Kongresu. Komisja odznaczeń doszła wówczas do wniosku, że gdy tylko ozdobi mu się klapę granatowej marynarki złotym medalem z czerwoną wstęgą, skończą się z nim wszelkie kłopoty.

- I co? Skończyły się?

- Nie zapomnę, co wówczas powiedział: "Szkoda waszego wysiłku. I tak będę robił wszystko, aby skusić przemysłowców do inwestowania w moim stanie." Tak, mam wrażenie, że on by się chętnie zgodził odegrać taką rolę.

- Zajrzę jeszcze do pewnych dokumentów - rzekł Sorenson, podnosząc się z krzesła. - Muszę jednak przyznać, że nadal mam poważne wątpliwości. Nigdy nie przejawiałem specjalnego zainteresowania puszką Pandory, dość się naoglądałem różnego robactwa podczas pracy w terenie. Ale teraz będę musiał otworzyć taką puszkę, najdalej za godzinę.

- Nie chcesz mi o niej powiedzieć czegoś więcej?

- Nie teraz, Howardzie, może kiedy indziej. Bardzo możliwe, że będę cię potrzebował do zorganizowania spotkania z prezydentem, albo przynajmniej do tego, żeby powstrzymać wściekłość sekretarza stanu.

- A więc chodzi o jakieś problemy ze sfery dyplomatycznej? - Owszem, do tego o ludzi postawionych bardzo wysoko.

- No cóż, z Bollingerem czasami trudno się dogadać, ale jest lubiany w Europie. Uważają go tam za intelektualistę. Mało kto zdaje sobie sprawę, że jego flegmatyczny sposób mówienia nie wynika z chęci starannego dobierania słów, lecz z ciągłego rozważania: "jak coś takiego obrócić na naszą korzyść?"

- Muszę przyznać, że jestem podobnego zdania. Zawsze uważałem go za człowieka pozbawionego wyższych ideałów.

- A tu się mylisz, Wes. Jego prawdziwym ideałem jest on sam. Na szczęście dla nas odnosi się do prezydenta z wielkim szacunkiem, rzecz jasna, głównie z tego powodu, że oczekuje za to nagrody. - Myślisz, że prezydent o tym wie?

- Z pewnością. To bardzo inteligentny człowiek, nadzwyczaj spostrzegawczy. Właściwy facet na właściwym miejscu. Mogę chyba powiedzieć, że naszemu koledze z Białego Domu przydałby się tylko od czasu do czasu lekarz, specjalista od nastawiania odpowiedniego kąta widzenia.

- Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Ale, jak sam powiedziałeś, jest bardzo inteligentny i szybko się uczy. - Gdybym jeszcze zdołał mu wbić do głowy, że czasami w tym mieście komuś trzeba naprawdę solidnie skopać dupę, wówczas wszystko poszłoby znacznie szybciej. I byłoby nam łatwiej. - Dzięki, że poświęciłeś mi tyle czasu, Howardzie... Panie prezydencie, będę w kontakcie...

- Niechże pan nie będzie taki obcesowy, panie dyrektorze. My, dinozaury, musimy się wzajemnie wspierać, pomagając tym młodym dwunożnym stworzeniom wychodzić na ląd.

- Nie wiem, czy damy radę.

- Jeśli nie my, to kto? Tacy Bollingerowie tego świata? A może inni nawiedzeni, tęskniący za polowaniem na czarownice?

- Odezwę się wkrótce, Howardzie.

W tym czasie w Paryżu było wczesne popołudnie; słońce grzało dość mocno na bezchmurnym niebie, panowała znakomita pogoda na przechadzkę po bulwarach, wizytę w ogrodach Tuileries bądź spacer po nabrzeżu Sekwany, po której pływały dziesiątki łodzi, jachtów i barek, prześlizgując się pod licznymi mostami. Paryż latem jest naprawdę wspaniały. Dla Janinę Clunes Courtland ten dzień był nie tylko cudowny, stanowił prawdziwy symbol zwycięstwa. Przez dwa dni mogła wreszcie zaznać wolności, obyć się bez wykładów o mieszczańskiej moralności, bez nudnego męża wiecznie wspominającego swą pierwszą żonę, często powtarzającego jej imię przez sen. Na jakiś czas pogrążyła się w marzeniach, jak to by było pięknie dostać przydział do kogoś interesującego, jakiegoś namiętnego kochanka, co najmniej tak dobrego jak starannie dobierani studenci z Chicago, których zapraszała do swego domu - bo głównie z tego powodu zamieszkała w akademiku oddalonym o godzinę drogi od miasta. Przypomniała sobie pewnego attache z ambasady niemieckiej, atrakcyjnego trzydziestoparolatka, który coraz bardziej otwarcie jej nadskakiwał. Miała ochotę zadzwonić do niego i obserwować z rozkoszą, jak pędzi na jej wezwanie. Odegnęła jednak od siebie podobne myśli, stwierdzając ze smutkiem, że musi wykorzystać ten wolny czas na znacznie ważniejsze, mniej przyziemne sprawy. Bez trudu zwolniła się z pracy w Dziale Dokumentacji i Analiz na czas nieobecności męża, gdyż po wyjeździe ambasadora jak zawsze zapanowało pewne rozluźnienie dyscypliny. Wmówiła szefowi doradców ambasady, że chce wykorzystać okazję i poszukać w sklepach jakiegoś materiału do zmiany obicia mebli w domu... Uprzejmie odrzuciła propozycję skorzystania ze służbowej limuzyny, wyjaśniając, że chce załatwić sprawy prywatne bez obciążania kosztami Departamentu Stanu. Pozwoliła jednak, by szef doradców telefonicznie zamówił dla niej taksówkę. Wszystko poszło jak z płatka. Bo i czemu miałyby być inaczej? Przecież już od dziewiątego roku życia przyuczano ją do odgrywania tejże właśnie, życiowej roli. Adres punktu kontaktowego członków Bractwa dostała jeszcze przed wyjazdem z Waszyngtonu. Był to salon obuwiczny przy ChampsElysees, a jako hasło miało służyć szybko powtórzone dwukrotnie imię "Andre", na przykład w zdaniu: "Andre mówił mi, że to najlepszy sklep w Paryżu, Andre prawie nigdy się nie myli." Podala taksówkarzowi kartkę z zapisanym adresem i rozsiadła się wygodnie, układając w myślach

treść komunikatu, jaki powinna wysłać do Niemiec... Należało przekazać całą prawdę, ale tak sformułować meldunek, żeby przywódcy Bractwa nie tylko mogli podziwiać jej roztropność, ale dostrzegli w końcu prawdziwy geniusz, co kazałoby im ściągnąć ją do Bonn. Po prawdzie ambasada amerykańska we Francji była jedną z najważniejszych placówek w Europie i fachowcy z Departamentu Stanu przysyłali tu jedynie doświadczonych pracowników, a nie byle kogo. A ona była przecież żoną takiego profesjonalisty. Jeszcze przed ślubem powtarzano jej, że świeżo rozwiedziony dyplomata wkrótce zostanie jedną z najważniejszych postaci w gronie ambasadorów Stanów Zjednoczonych. Bez trudu wykonała tę część zadania. Daniel Courtland był wówczas w depresji, czuł się osamotniony. Wystarczyło okazać mu tylko trochę ciepła. Taksówka stanęła przed sklepem, który okazał się prawdziwym salonem, prezentującym całą gamę wyrobów ze skóry. Na gustownie urządzonej wystawie, obok wypolerowanych do połysku butów, leżały siodła i różne inne skórzane akcesoria do konnej jazdy. Janinę Clunitz zapłaciła kierowcy i wysiadła z taksówki. Trzydzieści metrów za nią, mimo zakazu zatrzymywania, stanął nie oznakowany wóz służbowy Deuxieme Bureau. Prowadzący go agent sięgnął po krótkofalówkę i wywołał Moreau.

- Słucham - odezwał się od razu sam dyrektor, gdyż po zabójstwie Monique d'Agoste nie miał sekretarki, a chciał przez jakiś czas zachować śmiertelność kobiety w tajemnicy, motywując jej nieobecność nagłą chorobą.

- Madame Courtland wchodzi właśnie do salonu z wyrobami skórzanymi przy ChampsElysees.

- Do sklepu dla bogatych miłośników jazdy konnej? - spytał zdumiony szef Deuxieme. - To dziwne. W aktach ambasadora nie znalazłem żadnej wzmianki, iż którekolwiek z małżonków jest entuzjastką koni.

- Sprzedają tu również eleganckie buty, panie dyrektorze. Niezwykle trwale i bardzo wygodne. Tak przynajmniej słyszałem. - Myślisz, że chce kupić mężowi buty?

- Może szuka czegoś dla siebie?

- Gdyby naprawdę chciała kupić sobie eleganckie buty, poszłaby prosto do salonu Charlesa Jourdana albo do "Ferragamo" w SaintHonore.

- Ja tylko składam meldunek o tym, co się dzieje, monsieur. Czy chce pan, żeby mój partner wszedł za nią do sklepu i trochę się rozejrzył?

- To dobry pomysł. Przekaż mu, żeby zagadnął sprzedawcę, spytał o cenę czy coś w tym rodzaju. Jeśli kobieta faktycznie będzie przymierzała buty, może zaraz wyjść ze sklepu.

- Tak jest.

Mężczyzna prowadzący duży model peugeota, który zawrócił na szerokim bulwarze ChampsElysees i zaparkował po przeciwnej stronie alei, na wprost wejścia do salonu, także sięgnął po radiotelefon. Nie wybrał jednak żadnego paryskiego numeru, lecz połączył się bezpośrednio z Bonn. Przez parę sekund czekał na uwolnienie linii w automatycznej centrali, wreszcie w słuchawce rozległ się męski głos:

- Guten Tag.

- To znowu ja. Dzwonię z Paryża - odparł człowiek w eleganckim garniturze, siedzący za kierownicą peugeota.

- Czy musiałeś wczoraj wieczorem zabijać tego kierowcę amerykańskiej limuzyny?

- Nie miałem wyboru, mein Hen. Widział mnie wcześniej, w siedzibie blitztragerów w Magazynach Avignon. Jeśli pamiętasz, to ty kazałeś mi się za wszelką cenę dowiedzieć, gdzie tamci zniknęli, a ponieważ tylko ja znałem miejsce, gdzie znaleźli sobie schronienie, rozkazałeś mi udać się tam osobiście.

- Tak, pamiętam. Ale po co zabijałeś amerykańskiego żołnierza?

- Bo to on wtedy przywiózł do magazynów pułkownika i tamtą parę, jakiegoś oficera i ponętą blondynkę. Widział mnie wówczas i wczoraj rozpoznał. Zaczął krzyczeć, żebym się zatrzymał, więc co miałem robić?

- Aha... No cóż, w takim razie chyba powinienem ci pogratulować.

- Chyba powinieneś, mein Herr Przecież gdyby mnie schwytali i naszprycowali narkotykami, od razu by poznali cel mojego przyjazdu do Paryża! Wyciągnęliby też, że to ja zabiłem sekretarkę Moreau, chcąc się dowiedzieć, gdzie go szukać!
- Więc przyjmij moje szczerze gratulacje - rzekł rozmówca z Niemiec. - Dostaniemy Moreau, obecnie przedstawia dla nas olbrzymie zagrożenie. To tylko kwestia czasu, kiedy uda ci się do końca wypełnić misję. Zgadza się?
- Jestem o tym przekonany. Ale dzwonię w zupełnie innej sprawie.
- O co chodzi?
- Śledziłem nie oznakowany samochód służbowy z Deuxieme Bureau, który przez wiele godzin stał przed ambasadą amerykańską. Chyba sam przyznasz, że to dość niezwykle.
- Owszem. I co dalej?
- Teraz wiem, że francuscy agenci śledzą żonę ambasadora, Frau Courtland. Właśnie weszła do wytwornego salonu z wyrobami skórzanymi przy...
- Mój Boże! - wykrzyknął tamten. - To punkt kontaktowy "Andre"!
- Nie rozumiem...
- Zostań na miejscu. Odezwę się za chwilę. Upływały minuty. Mężczyzna w peugeocie zaczął nerwowo bębnić palcami lewej ręki o kierownicę, bez przerwy trzymając aparat telefoniczny przy twarzy. Wreszcie wsłuchawce znowu rozległ się głos Niemca:
- Posłuchaj mnie uważnie, Paryż - rzucił stanowczym tonem. - Musieli ją zdemaskować.
- Kogo, mein Herr?
- Mniejsza z tym. Masz tylko wykonywać rozkazy. Zabij tę kobietę jak najszybciej! Musisz to zrobić za wszelką cenę!

* * *

ROZDZIAŁ 24

Daniel Rutherford Courtland, pełniący funkcję ambasadora w Paryżu, w milczeniu wpatrywał się w przedstawione mu dokumenty. Czytał tekst raz za razem, aż w końcu zapiekły go oczy. W końcu, gdy łzy pociekły mu po twarzy, otarł je wierzchem dłoni i wyprostował się na krześle stojącym przy biurku Wesleya Sorensona. - Przykro mi, panie ambasadorze - odezwał się dyrektor Wydziału Operacji Konsularnych. - Sprawilo mi to ogromny ból, ale musiałem panu wyjawic prawdę.

- Rozumiem.

- Jeśli ma pan jakiegokolwiek wątpliwości, Karl Schneider jest gotów przylecieć do Waszyngtonu i osobiście z panem porozmawiać.

- Przesłuchałem całą nagraną przez pana rozmowę. Czegóż mi więcej trzeba?

- To może w takim razie porozmawia z nim pan przez telefon? Nie chciałbym, aby zrodziły się podejrzenia, że spreparowałem to nagranie. Numer znajdzie pan w książce telefonicznej, można również zapytać operatora z centrali... To prawda, że mogliśmy również podstawić tego człowieka, ale ponieważ sprawa ujrzała światło dzienne nie wcześniej, jak trzydzieści godzin temu, zapewniam, że nawet byśmy nie zdążyli dokonać odpowiednich zmian we wpisach urzędów telekomunikacyjnych.

- Chyba panu zależy na tym, abym zadzwonił, prawda?

- Mówiąc szczerze, tak. - Sorenson podniósł z sąsiedniego stolika aparat telefoniczny i postawił go przed Courtlandem. - To zwykła linia miejska, rozmowy nie są kontrolowane, nawet nie przechodzą przez centralkę w moim sekretariacie. Może mi pan wierzyć. Proszę, a oto numer.

- Wierzę panu na słowo.

Courtland podniósł słuchawkę i nakręcił numer kierunkowy do Centralii w stanie Illinois, odczytując kolejne cyfry z leżącej przed nim kartki, po czym zapytał tamtejszego operatora o numer Schneidera. Po chwili przerwał połączenie i jeszcze raz wybrał podany numer. - Tak, słucham - odezwał się starczy głos z dość wyraźnym obcym akcentem.

- Nazywam się Daniel Courtland...

- Ach, tak. Uprowadzono mnie, że pan może dzwonić. Ta sprawa bardzo działa mi na nerwy, chyba mnie pan rozumie? - Tak, oczywiście. Mnie również. Czy mogę zadać panu pytanie?
- Proszę. Słucham.
- Jaki jest ulubiony kolor mojej żony?
- Czerwony, we wszystkich odcieniach. Może być też różowy bądź lila.
- A co najbardziej lubi jadać poza domem?
- Cielęcinę przyrządzoną po włosku... Jak to się nazywa? Chyba piccata.
- Ma też swój ulubiony rodzaj szamponu do włosów. Czy może mi pan powiedzieć jaki?
- Mein Gott, musiałem go specjalnie zamawiać w naszej aptece i wysyłać jej do Chicago w czasie studiów. To mydło w płynie z dodatkiem pewnego składnika, ketokonzolu.
- Bardzo dziękuję, panie Schneider... Ta sprawa jest równie bolesna dla nas obu.
- Dla mnie o wiele bardziej, proszę pana. Janinę była wspaniałym dzieckiem, nadzwyczaj mądrym. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego tak właśnie musiało się stać.
- Ja również, panie Schneider. Jeszcze raz dziękuję. Do widzenia. Courtland odłożył słuchawkę i odchylił się na oparcie krzesła. - O dwóch pierwszych szczegółach mógł się jakoś dowiedzieć, ale na pewno nie o szamponie.
- Dlaczego?
- Bo ową mieszankę przygotowują farmaceuci na podstawie recepty. Ten dodatkowy składnik jest skutecznym lekiem przeciwko dermatitis seborrhoica, pewnej dolegliwości skóry głowy, która od czasu do czasu daje się mojej żonie we znaki. Utrzymuje ten fakt w ścisłej tajemnicy, dlatego też zawsze realizowałem recepty wypisane na mnie, podobnie jak Schneider.
- Czyli jest pan przekonany? "
- Stokroć wolalbym móc wykrzyknąć "bzdura!" i z czystym sumieniem wracać do Paryża. Ale teraz to już niemożliwe.
- Owszem, zgadza się.
- To wszystko mi się w głowie nie mieści. Zanim poznałem Janinę, przeżyłem szczęśliwe lata pierwszego małżeństwa. Miałem wspaniałą żonę i cudowne dzieciaki, ale Departament Stanu ciągle mnie przenosił z jednego krańca świata na drugi. Południowa Afryka, Kuala Lumpur, Maroko, Genewa... Cały czas byłem zwykłym urzędnikiem ataszatu, dopiero później otrzymałem nominację na ambasadora w Finlandii.
- Po prostu pana wypróbowywali. Chyba należałoby się cieszyć, że w końcu wyłowili pana pośród całej rzeszy podrzędnych dyplomatów i uczynili ambasadorem we Francji, bo jest to przecież jedno ze stanowisk zarezerwowanych dla energicznych i przebojowych polityków.
- Było to możliwe jedynie dzięki temu, że zdołałem ugasić w zarodku kilka niegroźnych pożarów - odparł Courtland. Działo się to wtedy, kiedy przy Quai d'Orsay narastały nastroje antyamerykańskie, a i w Waszyngtonie pokutowały wówczas pewne antyfrancuskie stereotypy. Przypuszczam, że nieźle mi poszło. - Wygląda na to, że tak.
- Utraciłem jednak rodzinę.
- Jak to się stało, że Janinę Clunes wkroczyła w pańskie życie? - Sam się nad tym wielokrotnie zastanawiałem. Do dziś nie umiem powiedzieć, jak doszło do tak szybkiego małżeństwa. Po rozwodzie, jak to zwykle bywa, miałem paskudny nastrój. Żona z dziećmi wróciła do Iowy, więc sprzedałem dom, wynająłem mieszkanie i zacząłem wieść życie samotnika. Byłem zdany tylko na siebie, sam na sam z ponurymi myślami. Znalazłem się w próżni. To koledzy z Departamentu Stanu postanowili mnie przywrócić do życia, wciąż zapraszali na jakieś przyjęcia, spotkania. I któregoś wieczoru, podczas bankietu w ambasadzie brytyjskiej, moją uwagę przyciągnęła czarująca kobieta, niezwykle błyskotliwa, pełna energii. Wzięła mnie pod rękę i prowadziła od jednej grupki do drugiej, nawiązując niezwykle przyjemne dla mnie rozmowy, ale ponieważ przebywaliśmy w gronie znajomych dyplomatów, nie brałem zaniechaniem do serca tych wszystkich pochlebstw. Na nią to chyba jednak podziałało, zaimponowałem jej, natychmiast zaczęła pobudzać moją pewność siebie... Dalej chyba może pan sobie dopowiedzieć.
- Owszem, to nietrudne.

- Właśnie. Trudno zaczyna być dopiero teraz. I co ja mam robić w tej sytuacji? Chyba powinna mnie ogarnąć wściekłość i rozgoryczenie za jej zdradę, powinienem się przeistoczyć w dziką bestię żądną krwi. Ale nie odczuwam niczego podobnego. Czuję się pusty, wypalony do cna. Oczywiście, złożę rezygnację, byłoby głupotą ciągnąć to dalej. Jeśli wysokiego urzędnika służb dyplomatycznych można w ten sposób podejść, to powinien się natychmiast wycofać, a nawet uciekać w te pędy do najbliższej zawodówki hydraulicznej. - Myślę, że może pan w znacznie lepszy sposób przysłużyć się i sobie, i ojczyźnie - rzekł Sorenson.

- Jak? Wrócić tam i próbować naprawić wyrządzone szkody?

- Nie, uczynić coś o wiele trudniejszego. Zapomnieć o naszym spotkaniu i całej tej rozmowie, wrócić do Paryża i udawać, że nic się nie stało. Oszołomiony Courtland przez chwilę wpatrywał się w twarz dyrektora Wydziału Operacji Konsularnych.

- Pomijając już fakt, że jest to niewykonalne - odezwał się w końcu - żąda pan ode mnie rzeczy nieludzkiej. Po prostu nie mógłbym tak postąpić.

- Jest pan doświadczonym dyplomata, panie ambasadorze. Nigdy nie objąłby pan stanowiska w Paryżu, gdyby było inaczej. - Ale to, o co pan prosi, wykracza poza ramy dyplomacji, należy raczej do sfery poddaństwa, z którą walczy każdy pracownik służb dyplomatycznych. Nie widzę sposobu na uciszenie mojego sumienia. Podejrzewam, że te uczucia, które przed chwilą panu wymieniłem, natychmiast mnie dopadną, kiedy tylko ponownie ujrzę Janinę. Domaga się pan ode mnie rzeczy niewykonalnej. - Proszę mi pozwolić wyjaśnić moje stanowisko, panie ambasadorze - wtrącił Sorenson zdecydowanie bardziej stanowczym tonem.

- Jest dokładnie tak, jak pan powiedział. Z pozoru może się wydawać niewykonalne nakłonienie do ślubu z prawdziwym sonnenkindem, fanatyczną nazistką, człowieka o pańskiej inteligencji i bogatym doświadczeniu, wysokiego oficera służb dyplomatycznych, znającego tajniki pracy ambasad na całym świecie, w pełni zdającego sobie sprawę z ciągłego zagrożenia możliwością infiltracji jego placówki przez obcych szpiegów. Ale powiem panu, co wydaje się jeszcze bardziej niewykonalne. Ci ludzie ukrywali się przez pięćdziesiąt lat, a teraz, kiedy nadszedł ich czas, zaczynają wylazić z każdego zakamarka niczym szczury. Nie wiemy ani kim są, ani skąd przychodzą, obserwujemy jedynie ich wzmożoną aktywność. Sporządzili listę, na której figurują setki najwyżej postawionych osobistości, jakoby przynależących do tego ogólnoświatowego ruchu. Chyba nie muszę panu przybliżyć atmosfery strachu i zagrożenia, jaka rozszerza się w tym kraju i u naszych najważniejszych sprzymierzeńców, powinien pan ją znać doskonale. Tylko patrzeć, jak wybuchnie powszechna histeria, zaczną się polowania... Kto jest, a kto nie jest nazistą?

- Nie mam zamiaru podawać w wątpliwość tego wszystkiego, co pan powiedział. Cóż jednak może zmienić mój powrót do Paryża i dalsze odgrywanie roli nieświadomego męża?

- Musimy zdobyć informacje, panie ambasadorze. Trzeba się dowiedzieć, Jakie cele postawiono przed wszystkimi Dziećmi Słońca, poznać ich sposoby przekazywania meldunków, prawdziwą rolę, którą mają odegrać wśród nowej generacji faszystów. Chyba sam pan rozumie, że musi istnieć rozległa struktura organizacji, rozbudowana hierarchia służbowa, w której obecna pani Courtland, błyskotliwa żona amerykańskiego ambasadora we Francji, zajmuje na pewno niepoślednie miejsce.

- Naprawdę sądzi pan, że Janinę nieświadomie doprowadzi was do swoich rozkazodawców?

- Jest najważniejszym ogniwem, jakie do tej pory zidentyfikowaliśmy. Mówiąc szczerze, jest jedynym ogniwem. Jeśli nawet wykryjemy innego sonnenkinda, to jej pozycja i środowisko, w którym działa, a także fakt, że przebywa zaledwie o godzinę drogi samolotem od granicy niemieckiej, czynią z niej niezwykle ważną osobę. Jeśli nawiąże kontakt ze swoimi zwierzchnikami albo oni skontaktują się z nią, możemy złapać pewny trop wiodący do zamaskowanych przywódców całego ruchu. A przede wszystkim musimy ich odnaleźć i zdemaskować. Jak mawiają lekarze, to jedyna nadzieja wyleczenia tego złośliwego nowotworu... Pomóż nam, Danielu. Bardzo cię o to proszę. Courtland ponownie milczał przez dłuższy czas. Raz i drugi poruszył się niespokojnie na krześle, wyraźnie nie wiedział, co zrobić

z rękami. Wiercił się, przeciągał palcami po swych szpakowatych "Włosach, to znów drapał się w policzek. Zniknęła gdzieś pełna dumy poza ambasadora. Wreszcie powiedział:

- Widziałem skutki działalności tych bandytów i mogę ich jedynie przeklinać... Nie potrafię obiecać, czy podolał tej roli, ale przynajmniej spróbuję.

Janinę Clunes Courtland podeszła do szerokiego, obitego skórą kontuaru w salonie i poprosiła sprzedawcę o przywołanie kierownika sklepu. Po chwili zjawił się niewysoki, przysadzisty mężczyzna w wytwornej peruczce o słomkowo-blond włosach, które obfitą falą spadały mu na kark. Był ubrany w kompletny strój jeździecki, włącznie ze sztylpami i skórzanymi butami o wysokiej cholewce. - Słucham, madame. W czym mogę pomóc? - zapytał po francusku, spojrzawszy przelotnie na wnętrze sklepu, w którym znajdowało się paru elegancko ubranych klientów; niektórzy siedzieli, przymierzając buty, inni chodzili między regałami. - Prowadzi pan znakomity salon - zauważyła żona ambasadora, specjalnie mówiąc z wyraźnym amerykańskim akcentem. - Ach, pani przyjechała ze Stanów - oznajmił mężczyzna z zachwytem.

- Czy to aż tak oczywiste?

- Ależ skąd, madame. Doskonale mówi pani po francusku.

- Mój przyjaciel, Andre, bez przerwy mnie chwali, ale zawsze mi się wydawało, że Andre mówi to jedynie przez grzeczność. Nie powinien być dla mnie aż tak wyrozumiały.

- Andre? - zapytał badawczo kierownik sklepu, przyglądając jej się z uwagą.

- Wspominał mi, że być może pan będzie go pamiętał.

- No cóż, Andre to bardzo popularne imię, prawda, madame? Na przykład przedwczoraj pewien nasz stały klient o imieniu Andre zostawił parę butów do naprawy, są już gotowe i można je odebrać. - Ach tak, jeśli dobrze sobie przypominam, Andre mówił, że chce oddać buty do naprawy.

- Proszę za mną. Mężczyzna ruszył w głąb sklepu, odchylił ciężką zieloną kotarę zasłaniającą wąskie przejście i przepuścił nieoczekiwanego gościa. Oprócz nich na zapleczu nie było nikogo.

- Zakładam, że jest pani tym... za kogo panią uważam.

- Chyba nie chce pan, żebym wymieniła swoje nazwisko, monsieur?

- Ależ skąd, madame.

- Odebrałam instrukcje w Waszyngtonie. Powiedziano mi, że dodatkowo mogę się posłużyć hasłem Catbird.

- Dziękuję, to mi wystarczy. Dodatkowe hasło zmieniamy co tydzień. Proszę dalej. Wyprowadzę panią tylnym wyjściem do samochodu i zostanie pani przewieziona do milego lunaparku, niedaleko za Paryżem. Proszę podejść do drugiej furtki w południowej bramie i zacząć się wyklócać z bileterem, że Andre miał tu zostawić dla pani bezpłatną wejściówkę. Czy to jasne?

- Tak, oczywiście. Południowa brama, druga furtka, mam się wyklócać z bileterem o wejściówkę, którą powinien zostawić Andre. - Chwileczkę. Kierownik sklepu podszedł do biurka i wcisnął klawisz interkomu. - Gustav, mamy przesyłkę dla monsieur Andre. Bądź łaskaw zejść jak najszybciej do samochodu. Wyszli na wąską, ślepą uliczkę na tyłach sklepu. Janinę ledwie zdążyła zająć miejsce w kabinie wskazanej furgonetki, gdy zjawił się kierowca. Pospieszenie uruchomił silnik i wyprowadzając wóz na ulicę, rzekł obcesowo:

- Proszę nie odzywać się do mnie przez całą drogę. Kierownik sklepu wrócił do swojego biura, podszedł do interkomu, wcisnął drugi klawisz i oznajmił:

- Muszę dziś wcześniej wyjść, Simone. Ruch niewielki, a ja jestem wykończony. Zamknij o szóstej, zobaczymy się jutro rano. Szybkim krokiem poszedł na pobliski parking i odczepił swój motorower. Wystarczyło, że trącił nogą pedał startera, a silnik natychmiast zaskoczył. Człowiek z wprawą wcisnął się między auta na szerokiej alei i odjechał. Tymczasem w salonie zadzwonił telefon. Sprzedawca podniósł słuchawkę i wymienił nazwę sklepu:

- "La Selle et les Bottes".

- Monsieur Rambeau! - wrzasnął jakiś męski głos. - Immediatement!
- Przykro mi - odparł lodowatym tonem, urażony arogancją rozmówcy - monsieur Rambeau wyszedł już dziś ze sklepu.
- Gdzie on jest?
- A skąd miałbym to wiedzieć? Nie jestem ani jego matką, ani kochanką.
- To jest important! - krzyknął tamten ponownie.
- Myli się pan. To ja jestem ważny, a nie pan, ponieważ ja pracuję, mam paru klientów w sklepie, a pan mi przeszkadza. Proszę iść do diabła. Odłożył słuchawkę i z uśmiechem na twarzy odwrócił się do młodej, pojętej kobiety w eleganckim koktajlowym żakiecie, bez wątpienia sztytym na miarę z uwagi na jej obfity biust. Klientka podeszła bliżej kontuaru i zagadnęła tajemniczym szeptem:
- Mam wiadomość dla Andre - silnie zaakcentowała francuskie imię. - Andre na nią czeka.
- Zostałem sam w sklepie, mademoiselle - odparł sprzedawca, nie odrywając wzroku od jej dekoltu odsłaniającego falujące piersi. - Wszystkie wiadomości dla monsieur Andre przyjmuje osobiście kierownik, a on już wyszedł.
- Więc co mam w takim razie robić? - zapytała zdumiona.
- Może ją pani przekazać mnie, mademoiselle. Jestem zaufanym pracownikiem, bliskim przyjacielem monsieur Rambeau.
- Nie wiem, czy powinnam. To poufna wiadomość.
- Mówiłem przecież, że jestem bardzo zaufanym współpracownikiem monsieur Rambeau. Może wolałaby pani przekazać mi tę wiadomość przy lampce wina w sąsiedniej kawiarni?
- Och, nie. Mój znajomy mnie uważnie pilnuje, siedzi w samochodzie przed sklepem. Proszę tylko przekazać Andre, żeby zadzwonił do Berlina.
- Do Berlina?
- Nic więcej nie wiem. Miałam tylko przekazać tę wiadomość. Kobieta odwróciła się i szeroko kołysząc biodrami ruszyła w stronę wyjścia.
- Do Berlina? - powtórzył cicho oszłomiony sprzedawca. To jakieś szaleństwo, pomyślał, przecież Rambeau nienawidzi Niemców. Ilekroć musi ich obsługiwać w sklepie, traktuje ich z pogardą i dwukrotnie zawyża ceny. Agent Deuxieme Bureau spokojnie wyszedł ze sklepu, lecz już po paru krokach ruszył biegiem w stronę samochodu. Szarpnięciem otworzył drzwi, wskoczył na siedzenie obok kierowcy i zaklął siarczyście.
- Nie ma jej tam!
- Jak to? Przecież nie wychodziła.
- Sam zauważyłem.
- No to gdzie się podziała?
- A skąd mam wiedzieć, do cholery? Prawdopodobnie jest już gdzieś na drugim końcu miasta.
- Myślisz, że nawiązała kontakt i wyprowadzono ją z salonu tylnym wyjściem?
- Jesteś geniuszem!
- Odwal się! Musisz się na mnie wyżywać?
- Powinniśmy byli to przewidzieć. Prawie każdy sklep ma tylne wejście dla dostawców. Kiedy ja wszedłem do środka, ty mogłeś podjechać od tyłu i tam pilnować.
- Nie jestem takim mózgowcem, koleś.
- Ale postąpiliśmy głupio. W ilu takich akcjach braliśmy już udział? Zawsze, gdy jeden śledził podejrzanego, drugi zabezpieczał tyły.
- Daj spokój. Nie za wiele wymagasz? - zaprotestował kierowca. - Przecież jesteśmy przy ChampsElysees, a nie na Montmartrze, i śledziliśmy żonę ambasadora, a nie jakiegoś bandziora.
- Mam tylko nadzieję, że dyrektor Moreau również to zrozumie. Z jakichś powodów, których nie chciał wyjaśnić, bardzo mu zależało na obserwacji tej kobiety.
- To chyba lepiej go zawiadomię.
- Tak, zrób to. Ja zapomniałem numer.

Elegancko ubrany mężczyzna siedzący za kierownicą peugeota po drugiej stronie ulicy nie tylko się niecierpliwił, był mocno zaniepokojony. Minęła już prawie godzina, a Frau Courtland ciągle nie wychodziła z salonu. Sam ten fakt niespecjalnie go dziwił, kobiety zazwyczaj lubią wybrzydzać i przebierać podczas zakupów, szczególnie wtedy gdy mają sporo pieniędzy. Przede wszystkim martwiło go to, że nie oznakowany samochód z Deuxieme Bureau odjechał sprzed sklepu dobre pół godziny temu, a tuż przed tym agent, który wszedł za kobietą do salonu, wybiegł z niego, wskoczył do wozu i przez chwilę naradzał się z kolegą, energicznie gestykulując. Cóż tam się mogło stać? - rozmyślał, gdyż nie miał wątpliwości, że coś się wydarzyło. Przez jakiś czas nie potrafił zdecydować, czy powinien jechać za francuskimi agentami, czy dalej czekać przed sklepem na panią Courtland. Kiedy jednak przypomniał sobie rozkazy, a zwłaszcza stanowczy ton, jakim mu je wydano, postanowił czekać. "Zabij tę kobietę jak najszybciej! Musisz to zrobić za wszelką cenę!" Łącznik z Bonn był wyraźnie rozwścieczony, zatem należało wykonać ten wyrok niezwłocznie. Powodów nie trzeba było wyjaśniać: jakiegokolwiek opóźnienie mogło pociągnąć za sobą poważne konsekwencje. Nie obawiał się, że zawali tę robotę. Był przecież najemnym zabójcą, tylko czasowo oddelegowanym do nadzorowania oddziału blitztragerów, znalazł się więc z powrotem w swoim żywiole. Miał za sobą dobrą szkołę w Stasi, był jednym z pierwszych, którzy przeszli spod rozkazów zatwardziałyh komunistów do faszystów. Ale dla niego podobne klasyfikacje nie miały większego znaczenia. Zależało mu jedynie na dostatku i władzy, możliwości dalszego życia poza prawem; nie umiał zrezygnować z luksusu świadomości, że jest całkowicie niezależny od tępych urzędników. A znał ich aż za dobrze. Większość wschodniemieckich biurokratów, na każdym szczeblu administracji, panicznie bała się Stasi, podobnie jak urzędnicy Trzeciej Rzeszy pracowali w ciągłym strachu przed gestapo. A właśnie ta świadomość była dla niego rzeczą najistotniejszą. Nie istniał żaden inny sposób na zachowanie tej wyjątkowej, uprzywilejowanej pozycji, jak bezwarunkowe wykonywanie rozkazów organizacji, która go opłacała. "Zabij tę kobietę jak najszybciej! Musisz to zrobić za wszelką cenę!" Zaczął się zastanawiać, czy warto ryzykować strzał w głowę ofiary na zatłoczonej ChampsElysees. Doszedł do wniosku, że lepiej będzie niby przypadkiem wpaść na kobietę i strzelić z pistoletu małego kalibru, gdyż odgłos wystrzału mógłby utonąć w szumie ruchu ulicznego. Później należałoby szybko porwać jej torebkę, żeby jako trofeum odesłać ją do Bonn, i zniknąć w popołudniowym tłumie spacerowiczów. Na załatwienie tej roboty potrzebował nie więcej niż dwie lub trzy sekundy. Ów schemat wydawał się najlepszy. Zresztą doskonale się sprawdził przed czterema laty, kiedy to w Berlinie Zachodnim trzeba było zlikwidować pewnego oficera wywiadu brytyjskiego, który zrobił o jeden wypad na drugą stronę muru za dużo. Otworzył skrytkę w desce rozdzielczej peugeota, wyjął niewielki rewolwer kalibru 5,8 mm z krótką lufą i wsunął go do kieszeni marynarki. Uruchomił silnik, wyjechał na ulicę, zawrócił na najbliższym skrzyżowaniu i podjechał do zatoczki przed sklepem. Wykorzystał wolne miejsce, z którego przed chwilą wycofało się błękitne ferrari, i zaparkował samochód. Wejście do salonu z wyrobami skórzanymi miał teraz bezpośrednio po lewej stronie, jakieś dziesięć metrów od drzwi pojazdu. Początkowo chciał zaczekać w peugeocie i w ciągu kilku sekund dogonić kobietę po jej wyjściu ze sklepu, ale gęstniejący tłum przechodniów nasuwał obawy, że może stąd nie zauważyć wychodzącej pani Courtland. Wysiadł zatem z wozu, bez pośpiechu podszedł do witryny salonu i zaczął oglądać wystawione towary. Bez przerwy jednak kątem oka obserwował drzwi sklepu, znajdujące się zaledwie parę kroków od niego. Minęło dalszych osiemnaście minut, kiedy elegancko ubrany zabójca nieoczekiwanie ujrzał tuż za szybą twarz sprzedawcy, spoglądającego na niego z zainteresowaniem znad starannie ułożonych na wystawie towarów. Uśmiechnął się nerwowo i wzruszył ramionami. W chwilę później młody sprzedawca wyszedł na ulicę i zagadnął: - Zwróciłem uwagę, monsieur, że od dłuższego czasu przygląda się pan naszym wyrobom. Pomyślałem, że mógłbym w czymś pomóc. - Jeśli mam być szczerzy, czekam na pewną osobę, która się spóźnia. Umówiliśmy się właśnie przed tym sklepem.

- Bez wątplenia chodzi o kogoś z naszych stałych klientów. Czemu nie wejdzie pan do środka? Tutaj słońce praży niemiłosiernie, jest gorąco jak w piecu.
- Dziękuję, chętnie. Były oficer Stasi ruszył za młodym sprzedawcą w stronę wejścia. - Może obejrzę proponowane przez was buty - rzekł nienaganną francuszczyzną.
- Ręczę, że lepszych nie znajdzie pan w całym Paryżu. Jeśli będę mógł w czymś pomóc, proszę mnie zawołać. Niemiec zaczął chodzić między regałami, ale zaraz przystanął. Zaczął się kolejno przyglądać wszystkim kobietom w sklepie, które bądź to siedziały, przymierzając buty, bądź przebierały w jakichś drobiazgach. Nigdzie jednak nie było pani Courtland! Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego agenci francuscy tak szybko odjechali sprzed sklepu. Niemal godzinę wcześniej musieli odkryć to, o czym on miał okazję się przekonać dopiero teraz. Żona amerykańskiego ambasadora wymknęła się śledzącym ją mężczyznom! Ale dokąd mogła pójść? Kto jej pomógł niepostrzeżenie wyjść ze sklepu? Na pewno ktoś z personelu.
- Monsieur? - zawołał sprzedawcę, stojąc przed regałem pełnym wypolerowanych do połysku wysokich butów. - Czy mogę pana prosić na chwilę?
- Słucham - rzekł tamten, zbliżając się z przyjaznym uśmiechem na twarzy. - Czyżby znalazł pan coś, co przypadło panu do gustu?
- Niezupełnie, chciałem zadać panu jedno pytanie. Muszę na wstępie przeprosić, że nie byłem z panem całkiem szczery na ulicy. Widzi pan, jestem urzędnikiem z Quai d'Orsay i otrzymałem zadanie obserwowania pewnej Amerykanki, że tak powiem, dyskretnego chronienia jej przed niebezpieczeństwami Paryża. Jak już wspomniałem, dawno temu powinna być na ChampsElysees, zdecydowanie za bardzo się spóźnia. Dopiero teraz przyszło mi do głowy, że być może przyjechała wcześniej, weszła do tego salonu i wyszła, nie zauważona przeze mnie.
- Jak wygląda ta kobieta?
- Średniego wzrostu, dość atrakcyjna, około czterdziestki. Ciemna blondynka. Powiedziano mi, że będzie ubrana w letnią garsonkę, zdaje się jasnorożową, na pierwszy rzut oka bardzo drogą. - Proszę się rozejrzeć, monsieur. Co druga kobieta znajdująca się obecnie w sklepie odpowiada temu rysopisowi.
- Niech mi pan powie, czy ona mogła wyjść stąd inną drogą? Czy są tu jakieś tylne drzwi?
- To byłoby dość niezwykle. Dlaczego miałyby wychodzić ze sklepu przez zaplecze?
- Nie wiem - odparł Niemiec, z trudem pohamowując wybuch wściekłości. - Zapytałem tylko, czy jest tu inne wyjście. - Niech pomyślę. - Sprzedawca zmarszczył brwi i odwrócił głowę. - Chyba była tu jakaś dama w jasnorożowej garsonce, ale nie zwracałem na nią zbyt dużej uwagi, zajęty obsługą księżnej Levoisier, naszej uroczej, lecz niezwykle wymagającej klientki. Zabójca nie umiał zdecydować, jak postąpić. Wiedział, że w salonie hasłem kontaktowym jest imię Andre, obawiał się jednak zbyt natarczywie wypytywać sprzedawcę, bo wiadomość o tym mogła trafić do zwierzchników w Bonn. Z drugiej zaś strony, jeśli żona ambasadora nadal przebywała na zapleczu bądź została zabrana w jakieś inne miejsce, musiał koniecznie się o tym dowiedzieć. Frau Courtland wyszła z ambasady bez żadnej obstawy, nie skorzystała ze służbowego auta, nie towarzyszył jej ochroniarz. Okoliczności do wykonania wyroku były wręcz idealne i mogły się nie powtórzyć przez dłuższy czas. Na taką okazję zwykle czekało się po kilka dni. A on przecież nie mógł sobie pozwolić na zwłokę. - Jeśli wolno... - rzekł do sprzedawcy - ponieważ przyszedłem tu w sprawie służbowej, do której nasze władze przykładają sporą wagę, proszę mi powiedzieć, czy Andre znajduje się gdzieś w pobliżu.
- Wielkie nieba! Znowu to samo? Andre cieszy się dzisiaj niezwykłą popularnością, ale zaręczam, że nie ma tu nikogo o tym imieniu. Wiem, że kierownik salonu, monsieur Rambeau, przyjmuje wiadomości dla jakiegoś Andre, lecz niestety, on już wyszedł.
- Cieszy się dzisiaj... popularnością? - powtórzył oszołomiony Niemiec.
- Nie inaczej - odparł sprzedawca i ścisząc głos wyjaśnił: Jesteśmy przekonani, że Andre to kochanek pana Rambeau.
- Ale powiedział pan, że cieszy się popularnością... zwłaszcza dzisiaj...

- Tak. Przed kilkoma minutami pewna młoda dama, tak zbudowana, że warto by dla niej popełnić nawet zbrodnię, również zostawiła wiadomość dla Andre.
- Co to za wiadomość? Proszę pamiętać, że jestem tu służbowo. - Wątpię, czy nasze władze naprawdę interesują się takimi rzeczami. To dość niegroźna, a raczej nawet śmieszna konspiracja, jeśli tylko moje przypuszczenia są prawdziwe.
- Jakie znów przypuszczenia?
- Że nazwy miast i krajów w tych przekazywanych informacjach są tylko hasłami kontaktowymi.
- Jakimi hasłami?
- Mówiąc ściśle, nazwami hoteli. "Zadzwoń do Londynu" oznacza, zapewne hotel "Kensington" albo "d'Angleterre". "Zadzwoń do Madrytu" to hasło kontaktowe hotelu "Esmeralda". Natomiast "zadzwoń do SaintTropez" oznacza chyba spotkanie w hotelu "SaintPeres". Domyśla się pan reszty?
- Nie mam zielonego pojęcia, o czym pan mówi.
- O spotkaniach kochanków, monsieur. Pokoje hotelowe to niezwykle dogodne miejsca, gdzie nieznajomi o gustach odmiennych od powszechnie akceptowanych mogą się swobodnie spotykać. - Więc jaka to była wiadomość, jeśli łaska?!
- Łatwa do rozszyfrowania. Chodziło o hotel "Abbaye SaintGermain".
- Co...?
- Nie rozumie pan? Germain to odpowiednik Germanii, Niemiec...
- Co...?
- Tak brzmiała ta ostatnia wiadomość dla Andre: "Zadzwoń do Berlina". Niemiec rozszerzonymi oczyma przez chwilę spoglądał na uśmiechniętego sprzedawcę, wreszcie odwrócił się na pięcie i bez słowa wyszedł ze sklepu.

* * *

ROZDZIAŁ 25

Karin de Vries i Drew Latham zamieszkali razem w hotelu "Normandie".

- Chcemy przede wszystkim zaoszczędzić wydatków Departamentowi Stanu, pułkownik, a co za tym idzie wszystkim amerykańskim podatnikom. Nalegam, żeby pan to zaakceptował! - Przestań mnie karmić tymi bzdurami. Przypominasz mi ubranego na żółto matadora. Jeśli chcesz dalej paradować w tym mundurze i jasnoblonde lokach, to może lepiej idź od razu na tor wyścigów konnych i stań na środku podczas rozgrywania derby. Mam ochotę powiadomić służby hotelowe, że jesteście parą nieokrzesanych włamywaczy komputerowych, z którymi musimy współpracować, tylko nikt nie może was znieść. Stanley Witkowski bezceremonialnie przerwał połączenie; bardzo nie lubił, gdy się go stawia przed faktem dokonanym. Teraz, późnym popołudniem, Drew siedział przy biurku i po raz kolejny czytał rozszyfrowany meldunek, który jego starszy brat wysłał do Londynu zaraz po ucieczce z doliny Bractwa, a którego kopię za namową Karin kazał sobie dostarczyć do hotelu. Tajemnicza lista Harry'ego Lathama wciąż kryła w sobie wiele zagadek.
- On sam nie był pewien - oznajmił Drew - podkreślając odpowiednie zdanie w tekście meldunku - nigdy nie twierdził, że ta lista to bezsporny dowód. Posłuchaj tego: "Dostarczyłem wam materiał, a teraz waszym zadaniem jest jego weryfikacja
- To znaczy, że miał chyba poważne wątpliwości co do autentyczności dokumentu.
- Może nie takie poważne; liczył się z tą możliwością, choć nie uznawał jej za wielce prawdopodobną. Kiedy tylko pojawiły się zastrzeżenia, że być może został podpuszczony, wściekł się jak diabeł. Posłuchaj: "Po co mieliby to robić? Byłem dość znaczącą postacią w strukturze organizacji. Całkowicie mi ufali."
- Pamiętam, że tak samo kipiał wściekłością, kiedy mu przekazałam, że Bractwo dysponuje jego pełnymi aktami personalnymi.

- Do nas obojga miał o to pretensje. A niedługo potem, kiedy go zapytałem, kim właściwie jest ten Kroeger, powiedział coś, co zapamiętam chyba do końca życia: "Nie jestem przekonany, czy powinienem ci o tym mówić. Zwróć się do Lassitera". Już wtedy doznawał rozdwojenia jaźni, raz był sobą, kiedy indziej wcielał się w Alexandra Lassitera. Było mi tak ciężko...
- Wiem, kochany, ale to już minęło. Harry zaznał wiecznego spokoju.
- Mam taką nadzieję. Nie jestem zbyt religijny... mówiąc szczerze nie lubię żadnej religii. W przeszłości zbyt wiele okrucieństwa dopuszczano się w imię takiego czy innego Boga, weź chociażby Czyngischana. Lecz jeśli śmierć można traktować dosłownie jako "wieczny odpoczynek", to gotów jestem się o to modlić, i dla Harry'ego, i dla siebie.
- W dzieciństwie nigdy nie chodziłeś do kościoła?
- Pewnie, że chodziłem. Mieszkaliśmy w Indianie, matka była prezbiterianką i regularnie czytywała akademickie pisma wydawane w Nowej Anglii. Twierdziła stanowczo, że obaj powinniśmy regularnie chodzić do kościoła, co najmniej do szesnastego roku życia. Ja wytrzymałem do dwunastego, ale Harry przestał bywać na kazaniach już w wieku dziesięciu lat.
- I matka nie protestowała?
- Beth za wszelką cenę unikała jakichkolwiek konfliktów. Chyba że chodziło o naszą farmę albo traktor, bo wtedy potrafiła walczyć jak lwica.<
- A co na to wasz ojciec?
- To zupełnie inna historia. - Latham obrócił się na krześle w jej stronę i uśmiechnął szeroko. - Którejś niedzieli mama obudziła się z gorączką i poprosiła ojca, żeby zawiózł nas na nabożeństwo, zapominając chyba, że on nigdy przedtem nie był w kościele. Oczywiście, stary pomylił drogę, chociaż obaj mówiliśmy mu, jak ma jechać. W końcu zatrzymał wóz i powiedział: "Mam dość, wysiadajcie tutaj. To ostatecznie żadna różnica i dzisiaj wyjątkowo możecie posłuchać kazania innego księdza". Dowcip polegał na tym, że zatrzymał się nie przed tym kościołem, co trzeba.
- Najważniejsze, że jednak zawiózł was na nabożeństwo do kościoła.
- Niezupełnie. To była synagoga. Oboje wybuchnęli śmiechem. W tym samym momencie zadzwonił telefon. Drew podniósł słuchawkę.
- Tak?
- To ja, Moreau.
- Masz jakieś wieści o swojej sekretarce? To znaczy... czy znaleźliście już winnego jej śmierci?
- Przepadł bez śladu. Moja żona jest załamana, zajęła się organizacją pogrzebu. Nigdy sobie nie wybaczę, iż kiedykolwiek podejrzywałem Monique.
- Nie pogrążaj się w rozpacz - rzekł Latham. - To w niczym nie pomaga.
- Tak, wiem. Na szczęście są pewne rzeczy, które mnie pochłaniają bez reszty. Otóż żona waszego ambasadora zdecydowała się nawiązać kontakt. Jakaś godzinę temu podjechała pod ekskluzywny sklep z wyrobami skórzanymi przy ChampsElysees, odprawiła taksówkę, po czym zniknęła.
- Sklep z wyrobami skórzanymi?
- Tak. Sprzedają tam ekwipunek do konnej jazdy, siodła, buty... Ten salon cieszy się sporą renomą, zwłaszcza słynie z doskonałego obuwia...
- Nawiązała kontakt przez szewca?!
- No cóż... Można to i tak nazwać.
- Jedną z rzeczy, którą znaleźliśmy przy zabitym naziście biorącym udział w zamachu na moje życie - przerwał mu Latham - było pokwitowanie na odbiór butów oddanych do reperacji, wystawione na imię Andre.
- Gdzie jest to pokwitowanie?
- Witkowski je zabrał.
- Zaraz kogoś po nie wysłę.
- Mówiłeś przecież, że wolisz nie wysyłać swoich agentów do ambasady.
- Ale sytuacja byłaby dla mnie kłopotliwa tylko wtedy, gdybym musiał udzielać wyjaśnień.

- To chyba nie musisz się o nic martwić. Stanley ma przysłać samochód służbowy, którym Karin pojedzie do lekarza. Zadzwoń do niego i powiem, żeby dał to pokwitowanie jednemu z żołnierzy eskorty... - Drew odchylił głowę do tyłu i zacisnął powieki, widocznie gorączkowo usiłując sobie coś przypomnieć. - Powiedziałeś, że pani Courtland zniknęła?
- Weszła do sklepu, ale z niego nie wyszła. Moi ludzie uważają, że przewieziono ją w jakieś bezpieczne miejsce. Znaleźli tylne wyjście z salonu, za którym znajduje się niewielki, spokojny parking. - Może to mylny trop, Claude, ale przy tym faszyście w Lasku Bulońskim znaleźliśmy coś jeszcze: kartę wolnego wstępu do lunaparku gdzieś na przedmieściach miasta.
- To dość nietypowe dla człowieka tego pokroju...
- Pomyśleliśmy tak samo - odparł szybko Latham. - Mieliliśmy to sprawdzić, zarówno lunapark, jak i sklep z obuwiem, kiedy niespodziewanie cały arsenał w Magazynach Avignon stanął w ogniu. To nas zmyliło.
- I myślisz, że teraz mogli ją zabrać do tego wesołego miasteczka?
- Powtarzam, że to może być mylny trop, ale sam zauważyłeś, iż karta wolnego wstępu do lunaparku, schowana w portfelu najemnego faszystowskiego zabójcy, daje do myślenia.
- Na pewno trzeba to sprawdzić - przyznał Moreau.
- Skontaktuję się z Witkowskim, już niedługo ma przysłać ten samochód po Karin. Jak tylko przyjedzie, będę miał w ręku oba dokumenty, kwit i darmowy bilet. Tymczasem wybierz któryś z samochodów służbowych i przyślij tu swoich ludzi, niech czekają przed bocznym wyjściem z hotelu.
- Zrobi się. Masz jakiś pistolet?
- Nawet dwa, bo wczoraj wieczorem nie oddałem Stanleyowi służbowej broni sierżanta Alana Reynoldsa. Był na mnie tak wściekły za to, że odważyłem się wyjść na ulicę, iż myślałem, że zaraz włoży rękawiczki i zastrzeli mnie z zimną krwią, obarczając winą Reynoldsa. - Dobra, zajmę się wszystkim. Wybiorę ci też do obstawy kogoś dobrego. A bientót.
- Pospiesz się. Drew odłożył słuchawkę i odwrócił się do Karin, która z kwaśną miną stała przy kanapie, czekając, aż skończy rozmowę.
- Dzwonię do pułkownika. Chcesz mu coś przekazać?
- Nie, ale chcę pojechać z tobą.
- Daj spokój, przecież masz umówioną wizytę u lekarza. Myślisz, że niczego nie zauważyłem w nocy? Wiem, że po cichu wstałaś z łóżka, poszłaś do łazienki i siedziałaś tam bardzo długo. Włączyłem lampkę i dostrzegłem ślady krwi na twojej poduszce. Później zwróciłem uwagę, że zmieniałaś opatrunek. Chyba nieźle krwawiłaś.
- To nic wielkiego...
- Wolalbym to usłyszeć z ust lekarza. Gdyby zresztą naprawdę nie było to nic wielkiego, nie nosiłabyś prawej ręki zgiętej w łokciu i przyciśniętej do brzucha, jakby przestała działać grawitacja. Składasz dłonie do modlitwy, czy też nie mogłaś prawidłowo zabandażować sobie ręki?
- Jesteś cholernie spostrzegawczy.
- Bardzo cię boli?
- Tylko czasami odczuwam gwałtowne nawroty bólu. Prawdopodobnie przez ciebie.
- To najmiłsza rzecz, jaką ostatnio słyszałem. - Latham wstał od biurka, podszedł do Karin i przytulił ją do siebie. - Mój Boże, jak to cudownie, że cię znalazłem.
- Ale miało to miejsce na ulicy dwukierunkowej, kochanie. - Żałuję, że nie potrafię się pięknie wyrażać, nie umiem ci powiedzieć, co naprawdę czuję. Mam niewielkie doświadczenie, a już na pewno w tego typu wyznaniach. Chyba nie powinienem ci tego mówić.
- Nie ma się czego wstydzić. Jesteś dorosłym mężczyzną, a nie jakimś gówniarzem. Pocałuj mnie. Pocałowali się gorąco i namiętnie, ale gdy tylko zaczęło w nich wzbierać pożądanie, jak należało tego oczekiwać, zadzwonił telefon. Może jednak odbierzesz, oficerze Latham - rzekła Karin, delikatnie odsuwając się od niego i zaglądając mu w oczy. - Ktoś za wszelką cenę usiłuje nas powstrzymać. To pewnie coś pilnego. - Czy przez ten mundur stałem się od razu generałem? zapytał Drew, który tym razem był ubrany po cywilnemu. - A jeśli nawet tak, to

ten łobuz, który nam przeszkadza, powinien na najbliższe pięćdziesiąt lat wylądować w Leavenworth. Podszedł do biurka i odebrał telefon.

- Słucham.

- Gdybyś naprawdę znajdował się pod moimi rozkazami - rzekł bez ogródek pułkownik Witkowski - spędziłbyś resztę swojego życia w Leavenworth za uchybienia w obowiązkach służbowych.

- Pomyślałem dokładnie to samo, tylko w stosunku do ciebie. Na szczęście od pewnego czasu jestem cywilem.

- Zamknij się. Przed chwilą rozmawiałem z Moreau. Pytał, czy powiedziałaś mi o karcie wstępu do lunaparku.

- Właśnie miałem dzwonić, ale musiałem iść do łazienki... - Dziękuję - szepnęła de Vries.

- Nie chrzań! - przerwał mu pułkownik. - Samochód jest już w drodze, przekazałem sierżantowi oba te papierki. Żałuję, że nie mogę pojechać z wami, ale Sorenson kazał mi siedzieć na miejscu. Próbuje przygotować wszystko na powrót Courtlanda. - Jak on przyjął nowiny?

- A jak ty byś je przyjął, gdyby Karin okazała się wtyczką faszystów?

- Wolę o tym nie myśleć.

- Courtland zniósł to dzielnie. Był wstrząśnięty, ale nie oponował. Wesley to stary wyga, zna się na swojej robocie. Nie ściągałby go na rozmowę, gdyby nie miał w zanadrzu wystarczająco udokumentowanych wniosków i nie był przygotowany na odparcie wszelkich argumentów.

- Mówisz dziwnym językiem, ale rozumiem.

- Najważniejsze, że ambasador zgodził się z nami współpracować. Obiecał, iż odegra swoją rolę.

- Może lepiej było wynająć tego aktora, Villiera. Wyobrażam sobie, jakie serdeczne powitanie czeka go jutro wieczorem, kiedy zostanie z żoną sam na sam.

- Właśnie nad tym usilnie pracujemy. Courtlanda przeraża perspektywa domowego zacisza w towarzystwie żony, więc przygotowujemy dla niego mnóstwo pilnych, nie cierpiących zwłoki spraw. - Nieźle. Jak nazbieracie tego wystarczająco dużo, to może się udać.

- Musi. A jak się miewa twoja przyjaciółka?

- Notorycznie mnie okłamuje. Dokuczają jej bóle ręki i stara się to za wszelką cenę ukryć.

- Jak prawdziwy żołnierz.

- Jak prawdziwe dziecko.

- Samochód pojedzie mniej więcej za dziesięć minut. Zaczekaj, aż obstawa wejdzie na górę, dopiero potem sprowadź dziewczynę do holu.

- Zrobi się.

- Pomyślnych łowów.

- Wolalbym, aby przyniosły jakiś skutek.

Latham, ubrany w szare spodnie i sweter, wsunął się na tylne siedzenie kuloodpornego wozu Deuxieme i wręczył Moreau pokwitowanie na odbiór butów oraz darmową kartę wstępu do lunaparku.

- To mój bliski współpracownik, Jacques Bergeron - powiedział szef biura, wskazując siedzącego z przodu mężczyznę; Drew uściśnął mu dłoń. - A naszego kierowcę chyba już poznałeś dodał Moreau. Agent siedzący za kierownicą odwrócił się do Lathama.

- Bonjour, monsieur. Drew natychmiast poznał człowieka, który uratował mu życie na avenue Gabriel, niemal siłą wpychając go do samochodu na kilka sekund przed tym, jak seria z karabinu maszynowego roztrzaskała przednią szybę.

- Oczywiście, to Francois - rzekł Drew i witając się z kierowcą, dodał: - Nigdy nie zapomnę, co dla mnie uczyniłeś. Już bym nie żył, gdybyś...

- Tak, tak - przerwał mu Moreau. - Wszyscy czytaliśmy raport, w którym obszernie rozpisywałeś o swoich mężnych czynach. Ale później przez cały dzień musieliśmy go uspokajać, taki był roztrzęsiony.

- C'est mer de - syknął Francois, uruchamiając silnik, po czym kurtuazyjnie przeszedł na angielski: - Czy chodzi o ten lunapark, na który już wcześniej zwróciliśmy uwagę, panie dyrektorze?
- Tak, to gdzieś w IssylesMoulineaux. Ile czasu zajmie nam dojazd?
- Jak się wydostaniemy na me de Vaugirard, to stamtąd nie więcej niż dwadzieścia minut. Ale przedtem trzeba się przedrzeć przez miasto.
- Tylko postaraj się złamać jak najmniej przepisów, Francois. Bylbym niezmiernie wdzięczny, gdybyśmy wcześniej się nie rozbili i nikogo nie rozjechali. Ale chciałbym jak najszybciej znaleźć się na miejscu. To, co nastąpiło później, można oglądać jedynie w tandetnych filmach telewizyjnych, w których zamiast aktorów pierwszoplanowe role grają ryczące pojazdy ogarnięte szalem samozagłady. Samochód nie tylko przeskakiwał z jednego pasa na drugi, zaledwie o centymetry mijając inne wozy, ale dwukrotnie, chcąc uniknąć zdawałoby się pewnej kolizji, Francois wjeżdżał nawet na chodnik, zmuszając obecnych tam ludzi do ratowania się ucieczką.
- Jezu! Tylko patrzeć, jak wszyscy wylądujemy w areszcie jęknął przerażony Latham.
- To mogłoby nawet być zabawne, ale nie mamy czasu odparł Moreau. : Nasze samochody mają tak podrasowane silniki, że nie dogoni nas żaden wóz policyjny w Paryżu. Zresztą moglibyśmy włączyć syrenę, ale jej dźwięk jedynie wywołuje większe zamieszanie i najczęściej staje się przyczyną wypadku, a tego musimy unikać.
- Ten facet, chyba postradał zmysły!
- Francois ma wiele zalet, ale przede wszystkim niezwykły talent do prowadzenia pojazdów. Podejrzewam, że zanim wstąpił na służbę w biurze, pełnił rolę kierowcy w kilku napadach na banki czy coś w tym rodzaju.
- Mogłem go podziwiać parę dni temu, na avenue Gabriel.
- Więc teraz nie narzekaj. Po trzydziestu dwóch minutach, kiedy już wszyscy - zarówno Drew, jak i Jacques, a nawet Moreau - mieli czola zroszone potem, Francois zatrzymał wóz przed wejściem do "le Parc de Joie", silnie konkurencyjnego dla Eurodisneylandu, nie tylko z powodu cen, lecz również dlatego że był to lunapark francuski. Ale mówiąc szczerze, oferował jedynie kiepskie namiastki wielkich atrakcji Disneylandu. Był zresztą typowym wesołym miasteczkiem, z karykaturalnymi tekturowymi postaciami stojącymi przed wejściem do każdego pawilonu czy stanowiska, między którymi wily się błotniste, zaśmiecone ścieżki. O tym, że na razie dzielnie stawiał czoło rozreklamowanej amerykańskiej konkurencji, świadczyły głównie chóralne, głośne okrzyki roześmianych i podekscytowanych dzieci.
- Jest tu jeszcze drugie wejście, panie dyrektorze - odezwał się kierowca - po przeciwnej stronie parku.
- Znasz to miejsce, Francois?
- Tak, panie dyrektorze. Kilka razy przyjeżdżałem tu ze swoimi córeczkami. Jesteśmy przy bramie północnej.
- Może skorzystajmy z tej wejściówki i przekonajmy się, jak zareagują - podsunął Drew.
- Nie - odparł szef Deuxieme Bureau. - Może później, w ostateczności spróbujemy z niej skorzystać... Jacques, pójdiesz razem z Francois. Udawajcie ojców poszukujących swoich żon i dzieci. Monsieur Latham i ja wejdziemy z przeciwnej strony. Francois, gdzie proponujesz się spotkać?
- W samym środku lunaparku stoi największa karuzela. Zwykle panuje tam największy ścisk, a krzyki i piski zagłuszają każdą rozmowę.
- Obaj widzieliście fotografię madame Courtland, prawda?
- Oczywiście.
- W takim razie rozdzielcie się za bramą i zacznijcie jej szukać. Monsieur Latham i ja uczynimy to samo. Spotkamy się przy największej karuzeli za pół godziny. Gdyby któryś z was ją odnalazł, niech zaalarmuje pozostałych przez krótkofalówkę, wtedy wszyscy ruszymy we wskazane miejsce.
- Ale ja nie mam krótkofalówki - zaproponował Drew.

- Już masz - rzekł Moreau, wyciągając zapasowy nadajnik z kieszeni marynarki.

Madame Courtland wprowadzono do niewielkiego pawilonu przy południowym ogrodzeniu parku zajmującego obszar trzech hektarów. W pierwszym pomieszczeniu za drzwiami panował nieopisany bałagan, wszystkie ściany były oklejone starymi, brudnymi plakatami - nie zadano sobie nawet trudu, żeby je równo rozmieścić. Na dwóch biurkach i długim blacie także piętrzyły się stopy wielobarwnych tablic i transparentów, upakowanych plamami po kawie i upstrzonych popiołem z papierosów. Trzy osoby pracowały przy ręcznym powielaczu, dwie podstarzałe, mocno umalowane kobiety w głęboko wyciętych strojach tancerek oraz dziwnie ubrany młodzieniec w zabłoconych na dole, jaskrawopomarańczowych spodniach i jasnobłękitnej bluzie. Skołtuniona broda zakrywała mu niemal pół twarzy. We frontowej ścianie znajdowały się cztery małe okienka, ale były umieszczone na tyle wysoko, że nikt z zewnątrz nie mógł zajrzeć do środka. Terkot ogromnego wentylatora pod sufitem jak gdyby naśladował rytmiczne stukanie powielacza. Janinę Clunes Courtland ogarnęło zdumienie. W porównaniu z tą graciarnią salon wyrobów skórzanych wydawał jej się luksusowym pałacem. Niemniej w tym wilgotnym, brudnym baraku musiał rezydować zwierzchnik łącznika, jakim był kierownik sklepu przy ChampsElysees. Zawahała się, lecz szybko ogarnął ją spokój, kiedy zauważyła wysokiego mężczyznę w średnim wieku, który wyrósł przed nią jak spod ziemi - dopiero po chwili zauważyła wąskie drzwi po lewej stronie. Zwróciła też uwagę, że nieznajomy jest dość porządnie ubrany - miał na sobie czyste niebieskie dżinsy i beżową szwedkę, pochodzącą zapewne z któregoś sklepu odzieżowego w Saint-Honore, a pod szyją elegancką i drogą apaszkę, chyba z salonu Hermesa. Mężczyzna dał ręką znak, żeby poszła za nim. Za drzwiami ciągnął się wąski, tonący w półmroku korytarz wiodący do kolejnych drzwi, po prawej stronie. Mężczyzna w sportowym ubraniu wystukał na klawiaturze zamka elektronicznego cyfrowy szyfr, pchnął drzwi i wszedł do środka. Janinę wkroczyła za nim do pokoju tak odmiennego od pierwszego pomieszczenia, jak restauracja w hotelu "Ritz" różni się od kuchni w podrzędnym barze. Na ścianach pokrytych boazerią wisiały autentyczne obrazy impresjonistów, kanapa i fotele były obite prawdziwą skórą, a w stojącym pod przeciwległą ścianą dużym, lustrzanym barku dostrzegła komplet kryształowych kieliszków i karafkę "Baccarata". Pomyślała, że jest to gabinet kogoś bardzo ważnego.

- Willkommen, Frau Courtland - odezwał się mężczyzna; głos miał ciepły i miękki. - Jestem Andre - dodał po angielsku. - Pan mnie zna?

- Oczywiście, przecież posłużyła się pani dwukrotnie moim imieniem jako hasłem wywoławczym i w dodatku podała hasło uzupełniające z tego tygodnia, Catbird. Spodziewaliśmy się nawiązania kontaktu przez panią już od kilku tygodni. Proszę usiąść. - Dziękuję. Janinę zajęła miejsce w fotelu stojącym przy biurku, mężczyzna usiadł w sąsiednim, tuż obok niej.

- Czekałam na sprzyjające okoliczności.

- Domyślaliśmy się tego. Oddaje nam pani nieocenione przysługi, regularnie wysyłając do Berlina swoje meldunki. Dzięki pani informacjom o wszystkich psach wartowniczych, czuwających w Paryżu i Waszyngtonie, mogliśmy zyskać nad nimi przewagę. Jesteśmy za to niezmiernie wdzięczni.

- Zawsze się zastanawiałam, Herr Andre, dlaczego kontaktujemy się przez Berlin, a nie przez Bonn.

- Bonn to małe miasto, nicht war! Natomiast w Berlinie panuje straszny zamęt. Ścierają się różne interesy, narasta chaos, a po upadku Muru Berlińskiego mamy w dodatku wielką falę emigrantów. Znacznie łatwiej stamtąd kierować tak wielką siatką. Poza tym fundusze deponujemy w Szwajcarii i w razie potrzeby przelewamy je do banków niemieckich, a w tak dużym mieście, przez którego sieć komputerową przepływają dziennie miliony marek, prościej jest dokonać niepostrzeżenie jakichkolwiek operacji finansowych.

- Zatem moja praca jest doceniana? - zapytała żona ambasadora.

- Nadzwyczaj wysoko. Jakżeby mogło być inaczej?

- Nie wiem. Po prostu uważam, że po tylu latach działalności w konspiracji powinnam w końcu zostać przeniesiona do Bonn. Zajmuję w tej chwili takie stanowisko, że mogłabym chyba być stokroć bardziej przydatna. Mój mąż jest przecież jednym z najważniejszych ambasadorów amerykańskich w Europie. Mam dostęp do wszelkich planów, jakie wrogowie układają przeciwko nam. Chciałabym po prostu usłyszeć od naszego Fuhrera, że ponoszone przeze mnie każdego dnia ryzyko będzie mi wynagrodzone. Czyżbym żądała zbyt wiele?

- Ależ skąd, gnadige Frau. Jestem tylko Andre, daleko mi do ambasadora, ale kieruję jednym z najważniejszych punktów kontaktowych w Europie. Potrafię jednak przyjąć wszystko na wiarę. Dlaczego pani to nie wystarcza?

- Ponieważ ja jeszcze nigdy nie widziałam faterlandu! Czy pan potrafi to zrozumieć? Przez całe życie, od wczesnego dzieciństwa, byłam szkolona i wykonywałam zadania w najściślejszej tajemnicy, a robiłam to z jednego tylko powodu, o którym nie wolno mi nikomu wspomnieć. Staralam się jak najlepiej wypełniać obowiązki i nawet najlepszym przyjaciółom nie zdradziłam, czym się w życiu kieruję. Zasłużyłam na to, żeby wreszcie wyjść z konspiracji. Mężczyzna o imieniu Andre przez chwilę uważnie się jej przyglądał.

- Tak, to prawda, Frau Courtland. Na pewno pani zasłużyła. Dziś wieczorem zadzwonię do Bonn,.. A teraz, nawiązując do sprawy najważniejszej, proszę mi powiedzieć, kiedy ambasador wraca do Paryża.

- Jutro.

Drew lawirował między grupkami rodziców z dziećmi, głównie matek uganiających się za swymi pociechami, które z kolei, z głośnym śmiechem, piskami i okrzykami biegały za innymi dziećmi - od jednej atrakcji do drugiej. Rozglądał się uważnie, mierząc wzrokiem każdą kobietę w średnim wieku, czyli niemal każdą dorosłą osobę przebywającą na terenie lunaparku. Od czasu do czasu unosił krótkofalówkę do ucha, jakby się obawiał, że w tym gwarze nie usłyszy cichego popiskiwania, oznaczającego, że któryś z mężczyzn zauważył panią Janinę Clunes Courtland. Ale wiadomość nie nadchodziła. Spacerował więc dalej rozdeptanymi ścieżkami, mijając wielkie postacie z kartonu, wszystkie z wymalowanymi szerokimi uśmiechami, które miały zachęcić gości do opłacenia wstępu i zajrzenia do tego czy innego pawilonu. Claude Moreau wybrał nieco spokojniejszą okolicę, przypuszczając, że zarówno żona ambasadora, jak i jej przypuszczalny łącznik będą chcieli spokojnie porozmawiać z dala od ścisłu i zgiełku. Dlatego też kręcił się wśród klatek ze zwierzętami, stanowisk wrózek i straganów z najróżniejszymi pamiątkami, gdzie pod daszkami z brezentu leżały całe stosy bawełnianych bluzek, proporczyków i plastikowych znaczków. Szef Deuxieme Bureau zaglądał ciekawie w każde mroczne przejście między stoiskami, mając nadzieję, iż dostrzeże jakiegoś mężczyznę lub kobietę, nie pasujących do tego otoczenia. Minęło już osiemnaście minut, a poszukiwania jak dotąd nie przyniosły rezultatu. Jego najbardziej zaufany współpracownik, Jacques Bergeron, niespodziewanie znalazł się w tłumie zdążającym do nowo otwartego po naprawie diabelskiego młyna, wznoszącego się mniej więcej na wysokość dwudziestu metrów. Zarówno w kolejce do wejścia, jak i w tłumie oczekujących przy ogrodzeniu rodziców zastanawiano się głośno, czy można oddawać dzieci na łaskę i niełaskę właścicieli lunaparku, których nie stać nawet na porządną konserwację urządzeń. W pewnej chwili Jacques zderzył się z jakimś brzdącem, a odskakując mu z drogi, potknął się i wylądował na ziemi, po czym dostał po głowie torebką matki pędzącej za synkiem. Usiadł, zasłaniając głowę rękoma, i w tej pozycji zaczął, aż tłum wokół niego trochę zrzędnie. On także nie dostrzegł nigdzie madame Courtland. Francois, który w myślach wciąż z dumą powtarzał opinię szefa, porównującego go do nieustraszonych kierowców uczestniczących w napadach na banki, od wejścia skierował się w stronę baraków stojących przy południowym ogrodzeniu terenu, gdzie mieściły się toalety, ambulatorium, wydział skarg i zażaleń, biuro rzeczy znalezionych, administracja oraz pokój przewodników wycieczek. Przechodząc obok dwóch tęgich, mocno umalowanych kobiet, mimowolnie wyłowił fragment ich rozmowy.

- Więc co, do diabła, ktoś taki może robić w tym wesołym miasteczku? Zwróciłaś uwagę na tę różową garsonkę? Kosztowała pewnie tyle, że mnie by wystarczyło na prowadzenie domu przez rok. - Oni coś takiego nazywają rozrywkami pospółstwa, Charlotte. Uważają się za lepszych od nas, ale czasami muszą to sobie udowadniać.

- Kupa lajna, nic więcej. A widziałaś białe pantofelki tej laluni? Na pewno były warte z pięć tysięcy, ani grosza mniej. Francois nie miał już żadnych wątpliwości, kogo obgadują te dwie baby. Pamiętał, że grupa prowadząca obserwację na ChampsElysees meldowała przez radio, iż pani Courtland ma na sobie jasnoróżową garsonkę i białe buty; a jej strój zapewne pochodzi z jakiegoś drogiego salonu mody. Zerknął pobieżnie na dwie kobiety, po czym udając, że pomylił drogę, zawrócił i bez pośpiechu ruszył w ich stronę.

- Wiesz, co myślę? - rzekła szczuplejsza, mająca wiecznie niezadowolony wyraz twarzy. - Mogę się założyć o mego nic niewartego męża, że ta lalunia to żona jednego z właścicieli tego obskurnego lunaparku. Bogaci to lubią. Taki teren można wykupić za grosze, obsługa też niewiele kosztuje, a dochody zbiera się na okrągło, dzień i noc.

- Pewnie masz rację. Zresztą weszła do budynku zarządu, więc chyba musi być diabelnie bogata! Francois oddalił się od kobiet i skręcił w stronę szeregu baraków, gdzie mieściły się biura. Od razu zauważył przy jednym z wejść tabliczkę z napisem: "Zarząd parku". Pawilon miał nie więcej niż osiem metrów długości, a od sąsiednich budynków oddzielały go wąskie przejścia. Małe okna we frontowej ścianie były umieszczone wysoko, ale drzwi baraku natychmiast rzuciły się w oczy - sprawiały wrażenie znacznie grubszych i masywniejszych od wszelkich pozostałych. Francois wyjął z kieszeni krótkofalówkę, wcisnął klawisz wywołania i podniósł urządzenie do twarzy. Niespodziewanie tuż za sobą usłyszał znajome głosy, wysokie, piskliwe okrzyki dzieci.

- Papai Papai

- Nolre perel C'est lui?

- Francois, co ty tu robisz? Odwrócił się szybko i zmarszczył brwi ze zdumienia na widok swoich dwóch córeczek i zbliżającej się za nimi żony. Kucnął, przytulił do siebie dziewczynki i z trudem dobywając głosu rzekł:

- Mój Boże, Yvonne! A co ty tutaj robisz?

- Dzwoniłeś przecież, że wrócisz później i nie przyjdiesz na obiad, dlatego dałam się im namówić na wizytę w lunaparku. - Papa, pojeździsz z nami na karuzeli? Prosimy, papa!

- Moje drogie, papa jest tu przecież służbowo...

- Służbowo? - spytała zdumiona Yvonne. - A niby co agenci Deuxieme mieliby tu do roboty?

- Cicho! - Francois odwrócił się do nich tyłem i rzekł półgłosem do mikrofonu: - Namierzylem obiekt w pobliżu południowego wyjścia. Czekam tutaj. Mam pewne kłopoty, jak pewnie zdążyliście się przekonać... - A chowając krótkofalówkę, powiedział: - Chodź, Yvonne. I wy także, dziewczynki. Musimy stąd iść. - Dobry Boże, więc ty wcale nie żartowałeś... - syknęła jego żona, ciągnąc obie córeczki ścieżką w kierunku wyjścia z wesołego miasteczka.

- Daleko mi do żartów, moja droga. Dla dobra nas wszystkich wsiadajcie do samochodu i jedźcie z powrotem do domu. Później wam wszystko wyjaśnię.

- Non, papa! Dopiero co przyszliśmy!

- Trzeba powiedzieć: "dobrze, papa", bo inaczej, gdy następnym razem będziecie chciały tu przyjechać, zabiorę was na Sorbonę! Francois nie zauważył, że z baraku wyszedł jakiś młodzieniec w jaskrawopomarańczowych spodniach oraz błękitnej bluzie i zaczął im się badawczo przyglądać. Stał przy wejściu do biura i nerwowo paląc papierosa obserwował to hulaśliwe, najwyraźniej nieoczekiwane spotkanie rodzinne. W szczególności jego uwagę przyciągnął fakt, że mężczyzna trzyma w ręku krótkofalówkę, do której wcześniej powiedział kilka słów, i ze zdumieniem złowił pytanie oszołomionej kobiety: "A niby co agenci Deuxieme mieliby tu do roboty?" Pospiesznie zdusił obcasem niedopałek i wszedł z powrotem do biura. Kiedy zadzwonił telefon, elegancko ubrany mężczyzna, który wcześniej przedstawił się jako Andre, uprzejmie przeprosił swojego gościa, wstał z fotela, podszedł do biurka i podniósł

sluchawkę. - Tak? - rzucił, a następnie w milczeniu słuchał z uwagą przez jakieś dziesięć sekund, po czym rozkazał: - Przygotować samochód!

Odłożył słuchawkę, obrócił się do żony ambasadora i zapytał: - Czy miała pani eskortę, madame?

- Tak, przywieziono mnie tutaj z salonu przy ChampsElysees. - Chodzi mi o to, czy miała pani ochronę francuskich lub amerykańskich agentów? A może ktoś panią śledził?

- Wielkie nieba! Oczywiście, że nie. Nikt z ambasady nie wie, dokąd pojechałam.

- Ktoś jednak musiał panią śledzić. Proszę za mną. Jest tu podziemny tunel, którym wychodzi się bezpośrednio na parking. Szybko! I proszę uważać na stopnie. Po dziesięciu minutach ciężko dyszący Andre zjawił się z powrotem w swoim gabinecie. Usiadł za biurkiem, założył nogę na nogę i głośno odetchnął z ulgą. Po chwili telefon znów zadzwonił. - Słucham.

- Włącz szyfrator! - rzucił rozmówca telefonujący z Niemiec. - Natychmiast!

- Oczywiście - szepnął zdumiony Andre; wysunął szufladę biurka i wcisnął ukryty w głębi przełącznik. Proszę mówić. - Twoja siatka działa coraz mniej wydajnie!

- Nie sądzę. Czy coś się stało?

- Prawie od godziny próbuję się z tobą skontaktować, a udało mi się to dopiero wtedy, kiedy zagroziłem degradacją połowie naszych oficerów wywiadu w Paryżu!

- Rzekłbym, że tak właśnie powinno być. To nie jest efekt niewydajności siatki.

- Idiota!

- Wypraszam sobie. Nie mam zamiaru wysłuchiwać...

- Przeszaniez się czuć obrażony, kiedy usłyszysz, co mam do powiedzenia.

- Słucham.

- Żona ambasadora Daniela Courtlanda jedzie na spotkanie z tobą...

- Już tu była i wyszła - przerwał mu zadowolony Andre. Wyprowadziliśmy ją tak, żeby nie dostrzegli tego ludzie, którzy ją śledzili.

- Była śledzona?!

- Na to wygląda.

- Jak to możliwe?

- Nie mam pojęcia, ale mieliśmy tu niezłe przedstawienie, w dość niezwykłym spotkaniu rodzinnym padła nawet nazwa Deuxieme. Wyprowadziłem panią Courtland podziemnym korytarzem i najdalej w ciągu pół godziny powinna bezpiecznie wrócić do ambasady amerykańskiej.

- Idiot! - wrzasnął rozkazodawca z Niemiec. - Nie wolno jej było pozwolić wracać do ambasady. Trzeba ją zlikwidować!

* * *

ROZDZIAŁ 26

Moreau, Bergeron oraz Latham niemal równocześnie dołączyli do Francois. Wszyscy czterej odeszli jakieś pięćdziesiąt metrów na zachód od południowego wejścia lunaparku i stanęli w miejscu wybranym przez szefa Deuxieme. Niewiele było tu gości, a w rozbitych nie opodal namiotach mieściły się toalety i szatnie pracowników wesołego miasteczka.

- Tu możemy porozmawiać - rzekł Moreau, patrząc na kierowcę. - Mon Dieu, przyjacielu, cóż za fatalny zbieg okoliczności, że natknąłeś się tu na swą żonę z dziećmi.

- Powinienem był wcześniej przygotować sobie na taką okoliczność jakieś wiarygodne wytłumaczenie.

- Dziewczynki nie będą się do ciebie odzywały pewnie przez tydzień, Francois - wtrącił Jacques, uśmiechając się ironicznie. Na pewno jesteś tego świadom.

- Teraz mamy ważniejsze sprawy - odparł szybko Francois. - Mimowolnie stałem się świadkiem rozmowy dwóch kobiet... Kierowca pospiesznie zrelacjonował zasłyszane wieści.

- Na pewno jeszcze tam jest, w budynku zarządu - zakończył. - Jacques, obejrzyj swoim fachowym okiem ten barak ze wszystkich stron. Najlepiej udawaj pijanego. Zdejmij marynarkę i krawat, potrzymam twoje ubranie.
- Wrócę za trzy, najdalej za cztery minuty. Agent pospiesznie zdjął marynarkę i krawat, wypuścił ze spodni na wierzch połę koszuli i zataczając się ruszył niepewnym krokiem w stronę wyjścia, ale minął je i poszedł dalej wzdłuż ogrodzenia. - Jacques jest niezastąpiony w tej robocie - zauważył Moreau, z podziwem patrząc za odchodzącym. - Tym bardziej że w ogóle nie używa mocniejszych trunków, tylko wyjątkowo da się skusić na lampkę wina.
- Być może w młodości nadużywał alkoholu - mruknął Drew.
- Nie, od dawna cierpi na silną nadkwasotę. Zwykle wprawia w zakłopotanie ludzi z ministerstwa bądź z komisji parlamentarnych, jeśli przy okazji jakiejś kontroli idzie z nimi na obiad. Uważają go za tępego biurokrate.
- Co zrobimy, jeśli żona Courtlanda zostanie w tym budynku? - zapytał Latham.
- Sam się zastanawiam - rzekł Moreau. - Z jednej strony wiemy już, że tam weszła, co potwierdza twoje podejrzenia, że w biurach lunaparku znajduje się punkt kontaktowy Bruderschaftu. Z drugiej zaś musimy postanowić, czy należy uświadamiać tutejszemu rezydentowi, że dowiedzieliśmy się o jego roli. Czy lepiej zachować cierpliwość i mieć biura pod obserwacją, aby się upewnić, kto korzysta z tego punktu kontaktowego, czy też wtargnąć tam siłą i go zlikwidować?
- Wolalbym to drugie - powiedział Latham. - W przeciwnym razie będzie to tylko strata czasu. Powinniśmy siłą wyciągnąć tą sukę i zmusić ją, żeby wszystko powiedziała.
- Może to i kusząca perspektywa, Drew, ale dość niebezpieczna i raczej na pewno mało efektywna. Jeżeli naprawdę w tej ruderze na terenie lunaparku mieści się ważny punkt kontaktowy, za którego pośrednictwem możemy się dostać do ich organizacji, a chyba obaj jesteśmy już o tym przekonani, to raczej nie należy tego niszczyć, bo wtedy już niczego nie da się odtworzyć, lecz spokojnie zaczekać i dowiedzieć się czegoś więcej.
- Ja jednak uważam, że powinniśmy go zlikwidować.
- I zaalarmować wszystkich neonazistów, rozsianych po całej Europie? Są lepsze sposoby, przyjacielu. Możemy założyć im podsłuch telefoniczny, wykraść przesyłane faksem depeche bądź też dostroić się do radiostacji krótkofalowej, jeśli z takiej korzystają. Można nawet spróbować podsylać im fałszywe informacje, co stokrotnie bardziej by się nam opłaciło. Dodajmy do tego śledzenie każdego kroku żony Courtlanda i ciągłą, całodobową obserwację tego biura. Musimy bardzo uważnie planować każde posunięcie. - Jak typowy Francuz za dużo mówisz.
- Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, ale po galijskich przodkach odziedziczyłem również sceptycyzm.
- Prawdopodobnie masz rację, chociaż wolalbym, żeby było inaczej. Nie znoszę bezczynnego oczekiwania.
- Twój brat został bestialsko zamordowany, Drew. Ja nie straciłem nikogo bliskiego. Na twoim miejscu zapewne także bym się niecierpliwił.
- Ciekaw jestem, czy Harry czułby to samo?
- Dziwne pytanie. Moreau popatrzył Lathamowi w oczy, zwracając uwagę na jego zamyślane, błędzące gdzieś w oddali spojrzenie.
- De sangfroid - szepnął Drew.
- Słucham?
- Nie, nic takiego. - Latham zamrugnął szybko, jakby chciał w ten sposób wrócić do rzeczywistości. - Myślisz, że Jacques znajdzie coś ciekawego?
- Powinien zauważyć żonę ambasadora, jeśli to tylko możliwe - powiedział Francois. - Przynajmniej mam taką nadzieję, bo chciałbym jak najszybciej wrócić do domu. Moje dziewczynki zapłaczą się na śmierć, jeśli będą musiały siedzieć same z Yvonne... Przepraszam, panie dyrektorze. Nie chciałbym, aby moje osobiste sprawy rzutowały na zadania służbowe.

Mam nadzieję, że nic złego się nie stało. To zdarzenie nie powinno mieć żadnych konsekwencji.

- Nie musisz się tłumaczyć, Francois. Człowiek, który nie ma żadnego życia osobistego i jest całkowicie pochłonięty sprawami Deuxieme, traci perspektywę, co samo w sobie może być niebezpieczne.

- Alors! - rzekł kierowca, spoglądając w stronę wyjścia z lunaparku.

- Co się stało? - zapytał Moreau.

- Ten dziwnie ubrany facet, w pomarańczowych spodniach i błękitnej bluzie!

- I co z tego? - zdziwił się Drew.

- Najwyraźniej kogoś szuka. Chodzi tam i z powrotem... Teraz zmierza w tę stronę, minął już bramę.

- Rozdzielamy się! - rzucił pośpiesznie szef Deuxieme. Trzej mężczyźni natychmiast ruszyli w różnych kierunkach. Brodacz w pomarańczowych spodniach szybkim krokiem poszedł wzdłuż ogrodzenia, od czasu do czasu zatrzymywał się i rozglądał wokół. Francois dał nura między dwa najbliższe namioty, nie oglądając się na pozostałych. Po minucie dostrzegł, że brodaty pracownik lunaparku zawrócił i biegiem skierował się z powrotem w stronę wejścia do baraku oznaczonego tabliczką "Biura administracji". Moreau i Latham jak na komendę wkroczyli z przeciwnej strony wąskiego przejścia między namiotami i stanęli przy nim. - Jesteś pewien, że kogoś szukał? - spytał Drew. - Może rozglądał się za tobą?

- Z jakiego powodu? - kierowca spojrział na niego, marszcząc brwi. - Zaraz, przypominam sobie, że chyba go widziałem przed wejściem do budynku, kiedy zerknąłem przez ramię, rozmawiając z żoną i dziewczynkami. Pamiętam te jego pomarańczowe spodnie. - Może zauważył, że trzymasz w ręku krótkofalówkę? - podsunął Moreau. - Ale skoro twierdzisz, że nie ma powodu, by zwrócił na ciebie uwagę... Sądzę, że jego zachowanie da się łatwo wytłumaczyć. W takich przedsiębiorstwach, jak ten lunapark, są znakomite warunki do tuszowania oszustw podatkowych. Cały dochód napływa w gotówce, a bilety drukowane są tu, na miejscu. Może ktoś nabral podejrzeń, że jesteś kontrolerem z urzędu skarbowego, próbującym oszacować prawdziwe dochody. To nic nadzwyczajnego. Kontrolerzy często wyruszają na inspekcje, licząc na sowite łapówki. - Mes amis! - Jacques, który nie musiał już udawać pijanego, zbliżył się do nich szybko i wziął z rąk Francois swoją marynarkę oraz krawat. - Jeśli madame Courtland weszła do biura kierownika, to musi nadal tam przebywać. Nie ma innego wyjścia z baraku. - W takim razie zaczekamy - oznajmił Moreau. - Ponownie się rozdzielimy, ale zostaniemy w pobliżu, starając się, aby zawsze jeden z nas miał na oku wejście do budynku. Będziemy krążyć w okolicy tej bramy, robiąc zmiany co dwadzieścia minut. Ja pierwszy zostanę na posterunku. I pamiętajcie, żeby trzymać odbiorniki tak, byście mogli w każdej chwili usłyszeć sygnał wezwania.

- Ja cię zmienię jako drugi - wtrącił Drew, spoglądając na zegarek.

- To ja będę trzeci - zadeklarował Jacques.

- A ja po tobie - rzekł Francois. Kiedy minęły ponad dwie godziny i każdy z mężczyzn miał już za sobą dwie kolejki obserwacji baraku, Moreau ogłosił przez krótkofalówkę zbiórkę w tym samym miejscu, między namiotami stojącymi na zachód od południowej bramy lunaparku.

- Jacques - zapytał, kiedy wszyscy się zeszli - czy jesteś pewien, że nie ma drugiego wyjścia z budynku?

- Od strony ogrodzenia nie ma nawet okien, Claude. Jest tylko to jedno wejście, nic poza tym.

- Zaczyna się ściemniać - dodał Francois. - Może ona czeka w środku, aż zapadnie zmierzch, żeby wymknąć się niepostrzeżenie, wmieszać w popołudniowy tłum i wrócić do miasta. - Niewykluczone, tylko po co miałyby to robić?

- Wymknęła się twoim chłopcom, śledzącym ją na ChampsElysees - zauważył Latham, w zamyśleniu unosząc brwi.

- Nie ma takiej możliwości, aby mogła spostrzec, że jest śledzona, monsieur - zaprotestował Jacques.

- Więc może ktoś inny to zauważył i ją ostrzegł.

- Musielibyśmy założyć, Drew, że cała ta siatka jest o wiele lepiej zorganizowana, a dotychczas nie na to nie wskazywało. - Ja tylko się zastanawiam na głos. Przecież nie można wykluczyć, że kobieta jest przewrażliwiona... Do diabła, na jej stanowisku przesadna ostrożność jest całkiem uzasadniona. Pozwólcie, że zapytam, kogo widzieliście wychodzącego z baraku? Ja zauważyłem tylko tego dziwaka w pomarańczowych spodniach, który przez chwilę rozmawiał z jakimś facetem w przebraniu klauna. Tamten czekał na niego przez jakiś czas.
- Ja widziałem dwie koszmarnie wypacykowane kobiety, ubrane tak, jakby wyszły prosto z haremu jakiegoś podrzędnego szajcha - odparł Jacques.
- Czy któraś z nich mogła być przebraną żoną Courtlanda? zapytał szybko Moreau.
- Wykluczone. Sam do tego doszedłem i udając pijanego wpadłem na nie. Obie śmierdziały odrażająco, jedna z nich fuknęła na mnie, dając mi próbkę swego nieświeżego oddechu.
- Sam widzisz, że sprawa wcale nie jest taka prosta - rzekł szef Deuxieme do Lathama, po czym zwrócił się do Francois: - A ty? - Na mojej zmianie wychodził tylko jakiś wysoki mężczyzna w dużych, ciemnych okularach, jak na amerykańskim filmie. Ubrany był na sportowo, ale miał drogie ciuchy. Kiedy zaś starannie zamknął za sobą drzwi budynku, pomyślałem, że to musi być kierownik biura.
- A zatem, jeśli madame Courtland nie wyszła stamtąd, a biura są już zamknięte, to by znaczyło, że musiała zostać tu na noc, prawda?
- Nie inaczej - odparł Drew. - Mogła Zostać wewnątrz z wielu różnych powodów, choćby tylko po to, żeby bez skrępowania porozmawiać przez telefon... Który z was jest najlepszą złotą rączką? - Czym?
- Chodzi mu o umiejętności otwierania zamków i włamywania się do zamkniętych pomieszczeń - wyjaśnił Moreau.
- A co tu ma do rzeczy złoto? - zdumiał się kierowca.
- Nieważne. - Szef Deuxieme zwrócił się do Lathama: - To Jacques.
- Naprawdę jesteś bardzo utalentowanym człowiekiem - rzekł Drew z uznaniem.
- Jeśli Francois pełnił rolę kierowcy w jakiejś szajce, to Jacques prawdopodobnie był złodziejem, zanim wkroczył na właściwą drogę i wstąpił do nas na służbę.
- To także jest merde, monsieur - zaoponował Jacques, szczerząc zęby w uśmiechu. - Monsieur le Directeur ma bardzo dziwne metody wychwalania nas przed ludźmi. Nie ukrywam, że Bureau wysłało mnie na miesięczne przeszkolenie do ślusarza. Dysponując odpowiednimi narzędziami da się otworzyć każdy zamek, bo we wszystkich zasady działania są takie same, może z wyjątkiem tych najnowszych, sterowanych komputerowo.
- Zamki w drzwiach tego baraku bardziej przypominają stare zasuwki w publicznej toalecie niż sterowane komputerowo cudeńka. Bierz się do roboty, Jacques. Zaczekamy w pewnej odległości, będziemy cię ubezpieczali. Agent Deuxieme energicznym krokiem ruszył w stronę drzwi budynku, pozostali wolniej poszli za nim i po chwili skryli się w mrocznym przejściu rozdzielającym dwa pawilony. Dość szybko się okazało, że pobieżna ocena Moreau jest błędna. Nieoczekiwanie zaterkotały dzwonki alarmowe i zawyła syrena, której głos poniósł się echem po całym terenie. Ze wszystkich stron zaczęli biec pracownicy lunaparku - umundurowani strażnicy, klauni, jacyś półnaczy polykacze noży, karły i Murzyni w tygrysiach skórach. Pędzili ku barakowi kierownictwa wielkimi susami, niczym horda okrutnych Tatarów. Jacques odskoczył od drzwi, a zauważywszy pozostałych mężczyzn, zaczął im energicznie dawać znaki, że muszą uciekać. Wszyscy rzucili się biegiem do wyjścia.
- Co się stało? - zapytał Latham, kiedy Francois zdołał wyprowadzić samochód z parkingu i skręcił na szosę. Zasuwka w drzwiach musiała być wyposażona w jakiś elektroniczny czujnik
- wyjaśnił ciężko dyszący Jacques - który kontrolował chociażby wielkość i nacisk narzędzia wprowadzonego do zamka i napierającego na rygiel.
- Czy możesz to przełożyć na zwykły język, do cholery?
- Podobne urządzenia stosuje się w najnowszych modelach samochodów, monsieur. Wystarczy jeden malutki układ scalony w stacyjce auta, a tylko oryginalny klucz uruchomi

starter. W droższych typach wozów wsunięcie innego kluczyka do stacyjki spowoduje włączenie alarmu.

- No i masz swoją zasuwkę z publicznej toalety, Claude.

- Co mam powiedzieć? Byłem w błędzie. Ale i tak czegoś się dowiedzieliśmy, prawda? "Le Parc de Joie" musi być głównym punktem kontaktowym Bruderschaftu, tak jak podejrzewaliśmy. - Lecz teraz oni również wiedzą, że ktoś próbował się włamać. - Niekoniecznie, Drew. Ścisłe współpracujemy z policją oraz z Surete i mamy zabezpieczenie na takie okazje.

- Jakie zabezpieczenie?

- Każdego tygodnia ujmuje się wielu przestępców amatorów, zwykle do tej pory nie notowanych, którzy po prostu usiłują wykorzystać nadarzącą się okazję, na co dzień zaś są całkiem porządnymi ludźmi. Najlepszym tego przykładem jest Jean Yaljean, bohater Nędzników. Jezu! Ty znowu mówisz i mówisz, a ja nic z tego nie rozumiem.

- Mamy listę takich ludzi, którym zasądzono wyroki w zawieszeniu, najczęściej pół roku lub rok. Z wdzięczności za złagodzenie takiego wyroku albo nawet całkowite oczyszczenie akt są gotowi wziąć na siebie winę za nieudaną i nieudolną próbę jakiegoś włamania.

- Chce pan, żebym od razu się tym zajął? - spytał Jacques siedzący obok kierowcy, sięgając natychmiast po radiotelefon. - Tak, zrób to. - Nie czekając, aż tamten wybierze numer i wyjaśni sprawę swojemu rozmówcy, Moreau rzekł: - Za jakieś piętnaście, może dwadzieścia minut policja skontaktuje się ze służbą ochrony lunaparku, twierdząc, że zatrzymała dwóch ludzi uciekających samochodem, notowanych wcześniej za włamania. Teraz rozumiesz?

- Chyba tak. Oczywiście gliniarze będą chcieli się dowiedzieć, czy coś zginęło, a jeśli tak, to co, oraz czy ktoś widział rabusiów i mógłby ich zidentyfikować.

- Dokładnie tak. Dodając, rzecz jasna, że policja okaże Wdzięczność ewentualnym świadkom i jest gotowa ich przywieźć na komendę w celu dokonania identyfikacji, a następnie odwieźć z powrotem.

- Co powinno sprawić, że zaproszenie zostanie odrzucone wpadł mu w słowo Latham, kiwając głową.

- Ale czasami bywa inaczej, mon orni - podsumował Moreau. - Właśnie dlatego musimy naprawdę przygotować jakichś ewentualnych sprawców. Zdarza się bowiem, że mamy do czynienia z ludźmi nader podejrzliwymi albo też reagującymi zbyt nerwowo na takie wydarzenia, którzy jednak przyjmują owo zaproszenie. Niemniej efekt jest identyczny, nie mogą bowiem rozpoznać podstawionych włamywaczy.

- Domyślałem się - wtrącił Drew - że chcą ich zobaczyć, mając nadzieję, że konfrontacja zostanie zorganizowana tak, by podejrzani nie mogli widzieć świadków.

- Jesteś nadzwyczaj domyślny.

- Gdybym nie potrafił czegoś takiego przewidzieć, to przeszedłbym na emeryturę następnego dnia po zakończeniu szkolenia. Ale pomysł, jak to nazwał, podstawionych włamywaczy, bardzo mi się podoba. Tylko, na miłość boską, nie mów o nim nikomu z Waszyngtonu, bo nasi chłopcy zaczną go stosować przy każdej sposobności. Wszystkie wielkie afery, Watergate czy interwencja w Iranie, byłyby niczym w porównaniu z nową CIAgate bądź Białą Domgate. Każdy z wielkich, nie wyłączając prezydenta, doszedłby do wniosku, iż może zrobić to czy tamto, zasłaniając się dublerem.

- Mówiąc szczerze, zastanawiałem się wielokrotnie, dlaczego wasi agenci jeszcze nie wpadli na ten pomysł.

- Więc lepiej zachowaj te rozważania dla siebie. Mamy dosyć własnych kłopotów.

- Claude - odezwał się Jacques, odwracając się na przednim siedzeniu w ich stronę. - Chyba ci się to spodoba. Naszymi podejrzany będzie para kiepsko zarabiających księgowych, którzy niedawno usiłowali okraść duży sklep mięsny, gdzie sprzedawano ochłapy po zawyżonych cenach.

- Doskonale. Mamy podejrzanych, którzy próbowali okraść złodziei.

- Na ich nieszczęście ci złodzieje założyli system alarmowy i kamera wideo zarejestrowała obu księgowych usiłujących otworzyć kasę pancerną.
- To się nazywa trudny egzamin na nowej drodze życia.
- Nasi gendarmes nie posiadali się ze szczęścia, wyszło bowiem na jaw, że szef wydziału kryminalnego od wielu lat zaopatrywał się w tym właśnie sklepie.
- To znaczy, że ma nie najlepszy gust. Kiedy zaczną akcję? - Obiecali, że natychmiast.
- Bien, Wysadzimy monsieur Lathama przed hotelem "Normandie" i wrócimy do biura. A stamtąd, Francois, jedź jak najszybciej do domu.
- Jeżeli będę potrzebny, mogę zostać, panie dyrektorze - odparł kierowca. - Nie wiadomo, co się jeszcze wydarzy.
- Nie, Francois, wolałbym nie stawiać cię w trudnej sytuacji przed rodziną. Twoja urocza małżonka nigdy by mi tego nie wybaczyła.
- O to się nie martwię, panie dyrektorze, jest bardzo wyrozumiała. Tylko dzieciakom czasami trudno cokolwiek wytłumaczyć. - Dobrze znam takie sytuacje, sam przez to przechodziłem. Ale mogę cię pocieszyć, że dobrze wpływają na charakter.
- Jesteś chodzącym ideałem - szepnął Drew do ucha Moreau. - Co masz zamiar jeszcze robić w biurze?
- Mam parę spraw. Poza tym trzeba dopilnować realizacji przez policję naszego planu. Ty zresztą, mon orni, także musisz się zatroszczyć o pilne sprawy osobiste. Urocza Karin na pewno już wróciła od lekarza, nie wiadomo, jak się czuje.
- Boże, na śmierć o niej zapomniałem!
- Radziłbym ci jej o tym nie wspominać.
- Jesteś w błędzie, Moreau. Na pewno by mnie zrozumiała. Kiedy Latham wkroczył do pokoju hotelowego, ujrzał Karin chodzącą nerwowo tam i z powrotem wzdłuż frontowego okna. - Matko boska, dlaczego tak długo cię nie było?! - zawołała na jego widok, podbiegła i rzuciła mu się w objęcia. - Nic ci się nie stało?
- Moja droga, przecież byłem w lunaparku, a nie na placu bitwy o Bastylię. Oczywiście, że nic mi się nie stało. Nawet nie musieliśmy sięgać po broń.
- Więc dlaczego to trwało prawie cztery godziny? Co się wydarzyło? Drew pospiesznie zrelacjonował jej przebieg wypadków, po czym odsunął ją na długość ramion i zapytał:
- A jak ty się czujesz? Co powiedział lekarz?
- Przepraszam, kochanie. Sam widzisz, że nie powinniśmy w ogóle nawiązywać bliższej znajomości. Nie przypuszczałam nawet, że jeszcze mogę tak bez pamięci się zakochać. Po prostu bardzo się o ciebie martwiłam.
- To cudownie, ale nie odpowiedziałś na moje pytanie.
- Spójrz! De Vries dumnie uniosła wciąż zabandażowaną prawą dłoń, lecz teraz opatrunek był niewielki, najwyżej w połowie tak duży, jak rano.
- Przymierzaliśmy protezę. To dwucentymetrowej długości plastikowy koniec palca, ma nawet uformowany paznokiec. Po nasunięciu go na mój kikut trzeba się będzie dobrze przyjrzeć, żeby cokolwiek zauważyć.
- To wspaniale. A jak się czujesz? W nocy dość mocno krwawiłaś.
- Lekarz powiedział, że musiałam być silnie podniecona i nieostrożnie uderzyłam o coś ręką. Nie miałeś żadnych śladów krwi na plecach, kochany?
- Należałoby to sprawdzić. Przyciągnął ją z powrotem do siebie i serdecznie pocałował. Tym razem Karin delikatnie odsunęła się od niego.
- Musimy porozmawiać - rzekła.
- O czym? Powiedziałem ci już wszystko.
- O twoim bezpieczeństwie. Dzwonili z Maison Rouge...
- Wiedzieli, gdzie cię szukać? Dzwonili tu, do hotelu?!
- No cóż, to nie pierwszy raz, kiedy wiedzą o czymś, o czym my dowiadujemy się znacznie później.
- Ale ktoś musiał im przekazać informację, która miała być najściślejszą tajemnicą!

- Może i masz rację, w każdym razie chyba zyskaliśmy pewność, po której stronie jest "Antyninus".
- Nie jestem przekonany. Sorenson wyłączył ich z udziału w operacji.
- On w latach zimnej wojny był silnie zakonspirowanym dowódcą siatki wywiadowczej. Teraz gotów jest podejrzewać każdego.
- Skąd o tym wiesz? O jego wcześniejszej działalności w wywiadzie?
- Po części od ciebie, ale głównie od Freddiego.
- Od Freddiego?!
- Oczywiście. Każda siatka wywiadowcza ma rozbudowany system bezpieczeństwa, gromadzi wszelkie informacje o tym, na kogo można liczyć w razie potrzeby, komu można zaufać. Przetrawanie jest sprawą najważniejszą.
- I po co dzwonił z Maison Rouge?
- Ich informatorzy z Bonn i Berlina donieśli, że wysłano do Paryża dwie grupy najlepszych bojówkarzy z misją zabicia tego z braci Lathamów, który wyszedł cało z zamachu w gospodzie w Villejuif. Tamci są przekonani, że jesteś Harrym.
- To nic nowego.
- Podali, że zabójców może być w sumie od ośmiu do dwunastu. Tym razem nie będzie to samotny morderca czy też trzyosobowa grupa, wysłali tu całą niewielką armię. Przez chwilę panowało milczenie, wreszcie Latham rzekł:
- To nawet robi wrażenie. Chyba stałem się o wiele bardziej popularny, niż kiedykolwiek mógłbym marzyć. A najśmieszniejsze, że nawet nie jestem tym, za kogo mnie biorą.
- Trudno się z tym nie zgodzić.
- Tylko po co? To jest zasadnicze pytanie, prawda? Dlaczego tak im zależy na śmierci Harry'ego? Zdążył przekazać wykradzioną listę, wystarczającym na to dowodem są coraz silniejsze niesnaski i rosnące zamieszanie, muszą zatem wiedzieć, iż trafiła we właściwe ręce. O co więc im chodzi?
- A może ma to coś wspólnego z doktorem Kroegerem?
- Z tym kocurem, który się wybrał na Księżyc bez skafandra tlenowego? Przedstawia jedno kłamstwo za drugim, zapomniawszy nawet, co powiedział przed pięcioma minutami.
- Jak to? Na jakiej podstawie tak sądzisz?
- Powiedział przecież Moreau, traktując go jak zaufanego członka organizacji, że musi za wszelką cenę odnaleźć Harry'ego, aby poznać nazwisko zdrajczyni działającej w dolinie Bractwa... - Jakiej zdrajczyni? - przerwała mu de Vries.
- Nie mam pojęcia, Harry też o niczym nie mówił. Kiedy był w Londynie i rozmawialiśmy przez telefon, wspominał tylko o jakiejś pielęgniarce, która zawiadomiła organizację "Antyninus" o jego ucieczce. Ale facet, który go zabrał na drodze, nie należał do organizacji. - Jeśli Kroeger tak twierdzi, to wcale nie musi to być kłamstwo. - Tyle tylko, że Witkowskiemu powiedział coś zgoła odmiennego. Nalegał, że trzeba znaleźć Harry'ego, ponieważ ustaje działanie leków, skutkiem czego Harry może umrzeć. Stanley nie uwierzył w ani jedno słowo Niemca, dlatego chciał wyciągnąć z niego prawdę po naszprycowaniu go narkotykami.
- Ale lekarz z ambasady nigdy się na to nie zgodzi - wtrąciła Karin. - Teraz rozumiem, dlaczego pułkownik był tak wściekły po rozmowie z nim.
- Iz tego właśnie powodu nasz świętoszkowaty doktor zostanie odwołany z Paryża, jeśli tylko przekonam Sorensona, żeby zaczął naciskać prezydenta.
- Naprawdę? Sądzisz, że on... ulegnie takim naciskom?
- Każdy jest podatny na szantaż, a zwłaszcza przywódcy. Pospolicie nazywa się to politycznym ludobójstwem, wszystko zależy od tego, do której partii się należy.
- Czy możemy wrócić do najważniejszej sprawy?
- Jakiej sprawy? - Latham podszedł do biurka. - Mam zamiar porozmawiać przez telefon z tym lekarzem, który woli ratować życie jednego łajdaka, nawet jeśli przez to mogą zginąć nasi niewinni koledzy.
- A między nimi także ty, Drew.

- Pewnie tak - mruknął, podnosząc słuchawkę.
- Wstrzymaj się na chwilę i wreszcie mnie wysłuchaj! - krzyknęła de Vries. - Czy możesz zostawić w spokoju ten telefon?! - W porządku, już dobrze. - Latham odłożył słuchawkę i powoli odwrócił się do Karin. - O co ci chodzi?
- W tej chwili muszę być z tobą brutalnie szczerą, mój drogi, ponieważ cię kocham.
- W tej chwili? Nie mogę liczyć na to uczucie przez jakiś miesiąc lub dwa?
- Jesteś złośliwy i próbujesz wykręcić kota ogonem.
- Przepraszam. Wolalbym jednak, żebyś była ze mną szczerą nie tylko w tej chwili.
- Byłam szczerą od początku. Wiedziałaś, co mnie łączyło z innymi, i wcale nie miałam zamiaru cię za to przepraszać. - No to mamy dwa zero dla ciebie. Słucham, brutalnie szczerą kobietą.
- Jesteś inteligentnym, byстрыm człowiekiem. Nieraz miałam okazję się o tym przekonać. Podziwiam cię za umiejętność podejmowania błyskawicznych i rozsądnych decyzji, nie mówiąc już o kondycji fizycznej... którą bez wątpienia przewyższasz mojego byłego męża oraz Harry'ego. Ale ty nie jesteś Freddie, nie jesteś także Harry, gdyż oni obaj byli oswojeni z ciągłym niebezpieczeństwem śmierci, budzili się z tą myślą każdego ranka, byli tego świadomi zawsze, ilekroć nocą wychodzili z domu na swoje potajemne spotkania. Dla ciebie ich świat jest czymś obcym, Drew, czymś przerażającym i pokrętnym, nigdy nie miałeś okazji się z nim oswoić. Miałaś jedynie możliwość się z nim zetknąć, ale ciebie nigdy nie dręczyły senne koszmary.
- Przejdź lepiej do rzeczy. Naprawdę chcę zatelefonować.
- Proszę, błagam cię, przekaz wszelkie zdobyte informacje i przedstaw swoje wnioski ludziom, którzy na co dzień żyją w tym świecie... Moreau, Witkowskiemu, twojemu przełożonemu, Sorensonowi... Oni na pewno pomszczą śmierć twego brata, są do tego znacznie lepiej przystosowani.
- A ja nie jestem?
- Mój Boże, przecież zdąża tu cała banda morderców nasłanych na ciebie! Oni dysponują odpowiednimi środkami i mają poparcie ludzi, o których nic nie wiemy. To fachowcy, wystarczy im podać nazwisko i zapewnić właściwe fundusze, a są gotowi usunąć każdego przeciwnika. Tym razem chodzi jednak o ciebie! Właśnie dlatego ludzie z organizacji zadzwonili do mnie. Prawdę mówiąc, uważają twoją sytuację za beznadziejną, chyba że natychmiast znikniesz.
- I tak wracamy do naszego podstawowego pytania, zgadza się? Z jakiego powodu zorganizowano całe to polowanie na Harry'ego Lathama? Dlaczego? " Niech inni szukają odpowiedzi, kochany. My zajmijmy się sobą, wycofajmy się z tej brudnej rozgrywki.
- My...?
- Czy nie jest to odpowiedź na twoje wcześniejsze pytanie? - Owszem i jestem tak wzruszony, że gotów byłbym się rozplakać jak dziecko, ale nic z tego, Karin. Możliwe, że nie mam takiego doświadczenia jak pozostali, ale mam za to coś, czego im brakuje. Nazywa się to wściekłością, a w połączeniu z pewnymi umiejętnościami, nawet mniej znaczącymi niż ich umiejętności, i tak czyni to ze mnie przywódcę tej paczki. Jest mi cholernie przykro, naprawdę, ale tak już musi być.
- Apeluję do twego instynktu samozachowawczego, a nie żądam dowodów odwagi, których daleś już wystarczająco wiele. - Odwaga nie ma tu nic do rzeczy! Nigdy nie uważałem się za bohatera, nienawidzę brawury, bo przez nią zginęły już całe rzesze idiotów. Mówimy przecież o człowieku, który był moim bratem i dzięki któremu udało mi się skończyć szkołę, przez co nie jestem dziś hokejowym zabijaką z poobijaną gębą i połamanymi nogami, bez grosza na koncie. JeanPierre Villier opowiadał mi, że równie wiele, a może nawet więcej, zawdzięcza swemu ojcu, którego nigdy nawet nie widział. Ale to nieprawda. Ja zawdzięczam Harry'emu dużo więcej, tylko z tego powodu, że go znałem.
- Rozumiem. - Karin zacisnęła wargi i przez chwilę patrzyła mu prosto w oczy. - W takim razie wspólnie pociągniemy to dalej. - Zaraz, przecież nie prosiłem cię o pomoc!

- A myślisz, że w tej sytuacji mogłabym cię zostawić samego? Proszę cię tylko o jedno, Drew. Nie pozwól, żeby ta twoja wściekłość cię zabiła. Nie sądzę, że byłabym w stanie znieść utratę jedynej mężczyzny, którego kocham tak samo, jak kochałam pierwszego męża.

- Masz to jak w banku. Życie stało się dla mnie zbyt cenne... Czy teraz mogę wreszcie zadzwonić? W Waszyngtonie minęła już dwunasta, a chciałbym złapać Sorensona jeszcze przed przerwą na lunch. - Pewnie odbierzesz mu apetyt.

- Nie wątpię. Z pewnością nie pochwali tego, co mam zamiar uczynić, ale musiałby mieć znacznie ważniejszy powód, żeby naprawdę się wściec.

- Tak sądzisz?

- Owszem. Dlatego że wymaga od innych tyle samo, co od siebie. Wesley Sorenson był w równej mierze rozbawiony, co i skonsternowany. Wiceprezydent Howard Keller przesłał mu faksem listę stu jedenastu senatorów i kongresmanów z obu partii, którzy powinni ze szczerym oburzeniem przyjąć wiadomość, że ich kolegów posądza się o przynależność do neonazistów, i z ochotą wysłuchać owych pomówień. Oprócz" tego przygotował też listę potencjalnych wrogów, na której znaleźli się ludzie różnego pokroju, poczynając od zapomnianych, lecz nadal wpływowych przywódców skrajnych frakcji prawicowych, aż po fanatyków religijnych, gotowych jednakże zanegować zmartwychwstanie Chrystusa, jeśli tylko będzie im to w danej chwili odpowiadało. Pod tą drugą listą widniał dodatkowo odręczny dopisek wiceprezydenta: "Wyliczeni tu pajace są zawsze czujni i gotowi z pełnym zaangażowaniem oraz poświęceniem zniszczyć każdego, kto wyznaje odmienne poglądy. Znalazłem również adwokatów. Przy poparciu ludzi z pierwszej listy powinniśmy bez trudu obnażyć mierność wszystkich bredni tych kretynów. Możesz przedstawić zarzuty komisji senackiej, jesteśmy gotowi udowodnić tym żalonym łowcom czarownic, kim są w rzeczywistości." Ale Sorenson nie był jeszcze przygotowany na przedstawienie opinii publicznej stawianych przez Niemców zarzutów. Zdawał sobie sprawę, że wiele można w ten sposób zyskać, ale bał się także, iż jeszcze więcej można stracić. Teoria Sonnenkinder została jednak wprowadzona w życie, a do tej pory nie było wiadomo ani kim są ci ludzie, ani jak wysokie stanowiska zajmują. Jakże łatwo było dotychczas odgrywać rolę tych "z pierwszej listy". Postanowił więc zadzwonić do Howarda Kellera i wyjaśnić mu swój punkt widzenia. Nie zdążył jednak sięgnąć po słuchawkę, kiedy zaterkotał czerwony aparat podłączony do bezpośredniej linii telefonicznej.

- Słucham.

- Mówi twój niesubordynowany agent, szefie.

- Wolalbym, żeby było inaczej... to znaczy wolalbym nie być twoim szefem.

- Cierpliwości, robimy postępy.

- Jakie?

- Z Bonn i Berlina wyruszyły niemal całe brygady z zadaniem odnalezienia mnie... czyli Harry'ego, i wyeliminowania z gry... - I ty to nazywasz postępem?

- Najpierw trzeba zrobić pierwszy krok, żeby móc uczynić drugi.

- Na twoim miejscu, a mówię to z własnego doświadczenia, uciekałbym z Paryża gdzie pieprz rośnie.

- Naprawdę w ten sposób postępowałeś, Wes?

- Może i nie, ale teraz to chyba nie ma większego znaczenia. Czasy się zmieniły, Latham. Kiedyś było dużo łatwiej. My znaleźliśmy swoich przeciwników, a ty o nich nic nie wiesz.

- To pomóż mi ich poznać. Rozkaż temu wzorowi humanitaryzmu, lekarzowi z naszej ambasady, żeby wpakował w Kroegera cały zapas amytału, jaki znajdzie w ambulatorium. Może wtedy się czegoś dowiemy.

- On twierdzi, że to mogłoby zabić pacjenta.

- Więc niech nawet zabije tego sukinsyna! Musimy wreszcie zacząć działać! Dlaczego aż tak im zależy na zabiciu Harry'ego? - Nie zapominaj, że istnieje coś takiego, jak kodeks etyki lekarskiej.

- Mam to gdzieś! Zależy mi na własnym życiu! Nie jestem zwolennikiem drastycznych rozwiązań, głównie dlatego że nie da się ich zastosować z czystym sumieniem. Sam powiedz, kiedy po raz ostatni biały bogacz mający za sobą najlepszych adwokatów trafił na krzesło elektryczne? Lecz jeśli miałbym choć na chwilę zrezygnować ze swoich poglądów, to właśnie w sprawie Kroegera. Na moich oczach dwaj portierzy w hotelu ponieśli śmierć z jego ręki, rozerwani pociskami typu Black Talon, i to tylko dlatego że przypadkiem znaleźli się na miejscu strzelaniny. Co więcej, nasz dobroduszny doktor wcale nie twierdzi, że narkotyki zabijają Kroegera, mówi jedynie, że jest to możliwe. Tym samym Niemiec i tak miałby znacznie większe szanse przeżycia, niż ci dwaj Francuzi. - Zaczynasz mówić jak obrońca przed sądem... Dobrze, załóżmy, że przyjmę ten punkt widzenia i zdołam jakoś przekonać odpowiednich ludzi w Departamencie Stanu. Jak myślisz, co Kroeger ci powie?
- Jezus, Maria! A skąd miałbym to wiedzieć? Liczę jednak na to, że zdradzi coś, cokolwiek, co pomoże nam zrozumieć obsesję neonazistów na punkcie Harry'ego.
- Zaręczam ci, że to prawdziwa zagadka.
- Możliwe, Wes, ale zarazem stanowi klucz do wielu rzeczy, których nie umiemy zrozumieć.
- Sądysz, że nawet do listy wykradzonej przez Harry'ego? - Niewykluczone. Czytałem rozszyfrowany meldunek, jaki przesłał do Londynu. Nie ulega wątpliwości, że on uważał ją za autentyczną, dopuszczał jednak możliwość prowokacji, to znaczy próby wprowadzenia nas w błąd. Nie mówił tego wprost, ale liczył się z taką możliwością.
- Z możliwością zwykłej pomyłki, przekręcenia nazwisk... rzekł cicho Sorenson. Tak, pamiętam, że odniosłem podobne wrażenie, czytając ten meldunek. Jeśli dobrze pamiętam, był nawet wściekły z powodu osądzenia, że został wystawiony do wiatru. Nalegał, aby odpowiednie komórki wywiadu zajęły się sprawdzaniem ludzi umieszczonych na liście.
- Może nie nalegał, tylko sugerował, ale masz rację.
- I sądzisz, że Kroeger zdoła cokolwiek wyjaśnić?
- Najpierw trzeba spróbować, bo nie zostało nam nic innego. Kroeger zajmował się Harrym, a co najdziwniejsze, musiał go dość dobrze traktować, być może przywiązał się jakoś do mojego brata, gdyż Harry nie mówił o nim z nienawiścią.
- Twój brat był zbyt doświadczonym agentem, żeby dawać upust nienawiści, która tylko przesłania zdrowy rozsądek. - Zdaję sobie z tego sprawę i choć może faktycznie jest to wątpliwy punkt zaczepienia, to jednak odniosłem wrażenie, że Harry opowiadał o Kroegerze z pewnym respektem... Może respekt to zbyt mocne słowo, może powinienem to nazwać przywiązaniem. Nie umiem tego uzasadnić, lecz należałoby poszukać wyjaśnienia owego stanu rzeczy.
- Może było tak, jak powiedziałaś. Kroeger po prostu dobrze go traktował, jak człowieka, a nie jak więźnia.
- Czyżby znów się pojawiał sztokholmski syndrom? Daruj sobie. W tej teorii jest zbyt wiele niejasności, zwłaszcza we wszystkim, co dotyczy Harry'ego.
- Nie da się ukryć, że znalazłem go lepiej niż ktokolwiek inny... W porządku, Drew, wydam odpowiednie polecenie, nawet nie będę próbował dyskutować z Bollingerem, sekretarzem stanu. Już wcześniej dał mi wolną rękę, chociaż kierował się zupełnie błędnymi pobudkami.
- Pobudkami? Nie wyjaśniałeś mu niczego?
- Jakikolwiek wyjaśnienia mają dla niego drugorzędne znaczenie. Najważniejsze są jego osobiste pobudki. Trzymaj się i uważaj na siebie.

Gerhardt Kroeger leżał przywiązany do stołu zabiegowego w ambulatorium ambasady, na które składało się sześć obszernych pomieszczeń będących w zasadzie niewielką, za to doskonale wyposażoną kliniką. W zgięciu lewego ramienia miał wbitą igłę, przez którą do żyły sphywiała plastikową rurką bezbarwna mieszanina dwóch płynów, skapujących z pojemników zawieszonych nad jego głową. Wcześniej lekarz zaaplikował mu środki uspokajające, toteż półprzytomny Niemiec nawet nie wiedział, co się z nim dzieje. - Jeśli umrze - mruknął doktor, nie spuszczając wzroku z elektrokardiografu - już ja się postaram, żebyście za to

odpowiedzieli. Moim zadaniem jest ratować ludzkie życie, a nie przyczyniać się do uśmiercania więźniów.

- Proszę to powiedziec rodzinom dwóch mężczyzn, których ten lajdak zastrzelił z zimną krwią, nie wiedząc nawet, kim oni są - odparł Drew. Stanley Witkowski objął go za ramiona i odciągnął na bok.

- Proszę dać mi znać, kiedy więzień znajdzie się w stanie komatycznym - rzucił lekarzowi. Drew posłusznie odszedł kilka kroków i stanął obok Karin. Oboje wpatrywali się z napięciem w leżącego nieruchomo Kroegera. - Wkracza w stadium ostatniej fazy oporu psychicznego oznajmił doktor, a po chwili rzekł krótko: - Teraz! - Po czym dodał: - Bez względu na rozkazy za dwie minuty odcinam mu dopływ amytału. Jezu, dostał taką dawkę, że wystarczy chwila nieuwagi, a już nigdy z tego nie wyjdzie... Brzydzę się tą robotą, panowie. Wolalbym przez trzy lub cztery lata spłacać z własnej kieszeni ten kredyt, jakiego rząd udzielił mi na skończenie dyplomu, niż choćby próbować zapomnieć o pewnych zasadach, jakie mi wpojono.

- Proszę się na razie odsunąć, młodzieńcze, i pozwolić mi wykonywać swoje obowiązki - przerwał mu Witkowski. Pochylił się nad półprzytomnym Kroegerem i jał mu szeptać do ucha. Zaczął od klasycznych pytań o dane personalne Niemca i jego pozycję w ruchu neonazistowskim. Tamten odpowiadał szybko i zwięźle, jednostajnym tonem. Po paru sekundach Witkowski niespodziewanie podniósł głos i zapytał, nie zważając, że jego słowa odbijają się echem od ścian obszernego pomieszczenia: - Doszliśmy wreszcie do sedna sprawy, Herr Doktor! Dlaczego zależy panu na śmierci Harry'ego Lathama? Kroeger poruszył się niespokojnie, jakby chciał zerwać krępujące go więzy, po czym odkaslnął, a z kącika ust popłynęła mu szara piana. Lekarz natychmiast chwycił Witkowskiego za ramię, ten jednak energicznym ruchem strącił jego rękę.

- Ma pan jeszcze tylko pół minuty - oznajmił stanowczo doktor.

- Albo zaczniesz gadać, ty nędzna namiastko Hitlera, albo w tej chwili zginiesz! Do niczego nie jesteś nam potrzebny, skurwysynu! Mów albo wkrótce dołączysz w piekle do swego Oberfuhrera! Gadaj natychmiast! To rozkaz, Herr Doktor!

- Musi pan skończyć... - znów interweniował lekarz, kładąc dłoń na ramieniu pułkownika.

- Odsuń się ode mnie, szczeniaku!... Słyszysz, Kroeger? Ani trochę nie dbam o to, czy będziesz żył, czy umrzesz! Powiedz mi prawdę! Dlaczego zależy ci na zabiciu Harry'ego Lathama? Gadaj natychmiast!

- To jego mózg! - pisnął przeraźliwie Gerhardt Kroeger, szarpiąc się na stole i o mało nie zrywając skórzanych pasów, którymi był skrupowany. - Chodzi o jego mózg! - wrzasnął ponownie i padł zemdłony.

- Nic więcej z niego nie wydobędziesz, Witkowski - oznajmił stanowczo lekarz i zacisnął plastikową rurkę kroplówki, odcinając dopływ narkotyku. - Jego tętno podskoczyło do stu czterdziestu. Jeszcze z pięć uderzeń na minutę więcej i byłoby po nim.

- Wiesz co ci powiem, doktorku? - syknął rozwścieczony pułkownik. - Zgadniesz, ile wynosi tętno dwóch młodych portierów, których ten lajdak zastrzelił w holu hotelowym? Zero! I nie sądzę, żeby z tego powodu obaj czuli się znakomicie. Cała trójka usiadła pod parasolem kawiarenki przy rue de Varenne; Drew nadal był w ubraniu cywilnym, Karin trzymała zranioną rękę na kolanach. Witkowski wciąż od czasu do czasu z niedowierzaniem kręcił głową.

- Co, do cholery, ten sukinsyn miał na myśli, mówiąc, że chodzi o jego mózg?

- Może jedynie rzucił pierwszą myśl, jaka mu przyszła do głowy - mruknął z ociąganiem Latham. - Być może planował pranie mózgu, chociaż niezbyt w to wierzę.

- Zgadzam się z tobą - wtrąciła de Vries. - Dobrze znalazłam Harry'ego od tej strony, miał wręcz obsesję na punkcie przejęcia kontroli nad organizacją, nie sądzę zatem, żeby w jakikolwiek sposób próbowano ingerować w jego świadomość. Był zresztą bardzo silną indywidualnością.

- I co dalej? - zapytał pułkownik.

- Autopsja? - podsunęła Karin.

- Co nam to da, nawet jeśli stwierdzimy, że Harry był pod działaniem jakichś narkotyków? - odparł Witkowski. - Możemy przyjąć i takie założenie. Ponadto wszelkie autopsje muszą być zarejestrowane w Ministerstwie Zdrowia, które będzie się domagało szczegółowego sprawozdania. Chyba nie warto ryzykować, mając na uwadze, że teraz Drew występuje w roli Harry'ego.

- A więc wróciliśmy do początku - podsumował Latham. Przyznam, że sam już nie wiem, na czym stoimy.

W kostnicy przy rue Fontenay dyżurujący pielęgniarz, do którego zadań należało sprawdzenie, czy wszystkie zwłoki znajdują się na swoich miejscach, szedł powoli wzdłuż szeregu pojemników, wysuwał kolejne szuflady, zerkał na blade jak ściana twarze umarłych, odczytywał numer identyfikacyjny na przyczepionym kartoniku i stawiał ptaszki na liście. Doszedł wreszcie do komory numer sto jeden, gdzie złożono jakiegoś szczególnego trupa, gdyż nazwisko na liście było podkreślone na czerwono, co oznaczało, że zwłok nie można stąd zabierać, że nie powinno się nawet otwierać pojemnika. On jednak wysunął szufladę i aż się zachłysnął, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. W czaszce mężczyzny widniała olbrzymia dziura, jak gdyby już po jego śmierci coś ją rozsadziło od wewnątrz. Wokół głowy wały się strzępy skóry i kawałki zakrwawionego mózgu, przypominające rozdeptane truskawki. Pielęgniarz pospieszenie zamknął komorę, bojąc się nawet zaczerpnąć powietrza, jakby z obawy, że wydostały się z niej trujące gazy rozkładu. Niech ktoś inny to odkryje, pomyślał.

* * *

ROZDZIAŁ 27

Claude Moreau wydał odpowiedni rozkaz o wpół do dziewiątej rano, wskutek czego Latham i de Vries ponownie znaleźli się pod ochroną Deuxieme. Amerykańskie służby bezpieczeństwa mogły jedynie proponować pewne rozwiązania, lecz wszelkie decyzje podejmowali Francuzi. Reguła ta nie obowiązywałaby tylko wówczas, gdyby oboje postanowili zostać na terenie ambasady, ponieważ ten, zgodnie z prawem międzynarodowym, był częścią obszaru Stanów Zjednoczonych i nie podlegał jurysdykcji Deuxieme Bureau. Kiedy zaś Drew ostro zaprotestował, Moreau odpowiedział mu krótko:

- Nie mogę dopuścić, aby któremukolwiek z mieszkańców Paryża groziło przypadkowe znalezienie się w krzyżowym ogniu nasłanych na ciebie zabójców. Siedzieli w trójkę w pokoju hotelu "Normandie".

- To bzdura! - wrzasnął Latham i z takim impetem odstawił filiżankę z kawą, że połowę płynu wylał na dywan. - Nikt nie rozpęta wojny na ulicach miasta. To ostatnia rzecz, na której im zależy!

- Może tak, a może nie. Czemu zatem oboje nie przeprowadzicie się do ambasady? Problem po prostu przestalby istnieć. Nie mam zastrzeżeń do takiego rozwiązania, a niewinnym ludziom nic by wówczas nie zagrażało.

- Przecież doskonale wiesz, że zależy mi na swobodzie ruchów! Drew energicznie wstał z fotela i ruszył przez pokój, aż poły hotelowego płaszcza kąpielowego uniosły się wokół jego nóg. - W takim razie albo zgódź się na obstawę moich ludzi, albo nie wychodź na ulicę. Nie ma o czym dyskutować, mon orni... Aha, jeszcze jedno. Gdziekolwiek chciałbyś się udać i cokolwiek zrobić, masz to uzgodnić ze mną.

- Ty nie tylko za dużo mówisz, w ogóle jesteś nie do zniesienia! - Jeśli już mowa o tym, co jest nie do zniesienia - kontynuował spokojnym tonem szef Deuxieme - to pomyśl o ambasadorze Courtlandzie; wraca dzisiaj o piątej po południu. Żona powita go na lotnisku. Mam poważne obawy, czy nawet specjalne przeszkolenie zdołałoby sprawić, by ktokolwiek potrafił stawić czoło wyzwaniom w jego sytuacji.

- Jeśli dla Courtlanda będzie to nie do zniesienia, to powinien się jak najszybciej wycofać - oznajmił Drew. Dolał sobie kawy, wziął filiżankę i usiadł na kanapie. Moreau zmarszczył brwi, słysząc stanowczy ton Lathama.
- Może i masz rację, mon orni. Tak czy inaczej będziemy mieli możliwość się o tym przekonać jeszcze dzisiaj, nestce pas?... Ale do tego czasu radzę wam się zapoznać z procedurami bezpieczeństwa stosowanymi przez nasze biuro. Trochę się różnią od tych, których przestrzega mój przyjaciel Witkowski, ale on przecież nie dysponuje takimi siłami, jak my.
- Właśnie - zauważył szybko Drew. - Czy uzgodniłeś to wszystko z Witkowskim? Czy on się zgodził na przekazanie nas pod twoje rozkazy?
- Nie tylko się zgodził, ale wręcz przyjął to z ulgą. Chyba powinniście wiedzieć, że jest cholernie dumny z was obojga, może trochę bardziej z naszej uroczej Karin... a zdaje sobie sprawę, że nasze możliwości są o wiele większe niż jego. W dodatku razem z Wesleyem Sorensonem mają pełne ręce roboty z przygotowaniem bezbolesnego powrotu ambasadora na łono rodziny, bo sytuacja jest nadzwyczaj delikatna i wymaga ciągłej uwagi. Czy coś jeszcze należałoby wyjaśnić?
- Nie, powiedziałaś wszystko - mruknął zniechęcony Latham. - Jakie zadanie masz dla nas?
- Najpierw zapoznacie się i zaprzyjaźnicie z waszą eskortą. Wszyscy mówią płynnie po angielsku, a na dowódcę wyznaczyłem człowieka, który ci pomógł na avenue Gabriel...
- Francois, tego kierowcę?
- Nie inaczej. Będą nad wami czuwać dzień i noc. Jeśli będziecie tu, w hotelu, dwóch ludzi zawsze będzie na straży przed drzwiami pokoju. Zmieńmy temat. Sądzę, że zainteresują was rezultaty dochodzenia w sprawie wizyty madame Courtland w "Le Parc de Joie". Wszystko jest przygotowane.
- Lepiej się ubiorę - rzekł Drew. Wstał, wziął filiżankę z kawą i skierował się do sypialni. - Tylko nie zapomnij się ogolić, kochany. Twój ciemny zarost silnie kontrastuje z jasnobłond włosami.
- O właśnie, z tym też chcę zrobić porządek - mruknął Latham. - Mam zamiar jak najszybciej pozbyć się tej farby z włosów. Wszedł do sypialni i zamknął za sobą drzwi.
- Sień - rzekł Moreau, przechodząc na francuski. - Teraz możemy porozmawiać, madame.
- Tego się obawiałam, zwłaszcza po tym, gdy parę minut temu spostrzegłam, jakim wzrokiem na mnie patrzysz.
- Wolisz rozmawiać po niemiecku?
- Nie ma potrzeby. On i tak niczego nie usłyszy, a jeśli nawet, to nie najlepiej zna francuski, zwłaszcza gdy ktoś mówi szybko. Od czego mam zacząć?
- Od rzeczy najważniejszej - odparł rzeczowym tonem szef Deuxieme Bureau. - Kiedy masz zamiar powiedzieć mu prawdę? A może wolałabyś ją zataić?
- Jasne... - mruknęła Karin w zamyśleniu. - Ale gdybym miała mówić za nas oboje, mogłabym ci zadać dokładnie takie samo pytanie, prawda?
- Masz na myśli mój osobisty sekret? To proste. Gotów jestem podjąć każde ryzyko, aby dokumentnie zniszczyć wszystkich niemieckich fanatyków, jacy wpadną mi w ręce.
- Ja także.
- W porządku. Nie muszę się obawiać, że przekażesz komuś informację, przez którą mogłaby ucierpieć moja rodzina, zatem czemu nie?... Miałem o kilka lat młodszą siostrę, Marie, która po śmierci ojca troskliwie się mną zaopiekowała. Bardzo ją kochałem. Była tak pogodna, pełna życia, tak niewinna jak rozkwitający kwiat, a tym bardziej przypominała bukiet wiosennych kwiatów, że była tancerką... może nie primabaleriną, ale miała stałe i pewne miejsce w zespole baletowym. W czasie najbardziej zacieklej zimnej wojny agenci wschodniemieckiej Stasi zniszczyli to cudowne dziecko, tylko po to, aby zdobyć na mnie wpływ. Uprawdzili ją i dość szybko uzależnili od narkotyków, zmuszając ponadto do prostytucji, aby do reszty zdusić w niej człowieczeństwo. Nie wytrzymała tego, zmarła na ulicy, na Unter den Linden, w wieku dwudziestu sześciu lat, zebrząc o parę groszy i cokolwiek

do jedzenia, gdyż była w takim stanie, że nie mogła nawet sprzedawać swego ciała... To cała moja tajemnica, Karin. Nie jest piękna i wzniosła, prawda?

- To potworne - szepnęła de Vries. - Jak się domyślam, w żaden sposób nie mogłeś jej pomóc, zgadza się?

- O niczym nie wiedziałem. Kiedy matka nas zostawiła, przyjąłem ściśle tajne zadanie i przez trzynaście miesięcy pracowałem w absolutnej konspiracji w rejonie śródziemnomorskim. Po powrocie do Paryża znalazłem w czekającej na mnie korespondencji list od wschodnioniemieckiej Polizei z dołączonymi czterema fotografiami, zapewne wykonanymi przez Stasi, ukazującymi to, co zostało z mojej kochanej siostry.

- Strasznie mi przykro... naprawdę, Claude. Nie mówię tego tylko po to, żeby cię pocieszyć.

- Nie musisz się tłumaczyć, moja droga. Twoja historia jest równie dramatyczna, prawda?

- Skąd się dowiedziałeś?

- Później ci to wyjaśnię. Pozwól, że na początku spytam jeszcze raz: Kiedy masz zamiar powiedzieć mu prawdę? Czyżbyś wolała ją przed nim zataić?

- Teraz nie mogę...

- W takim razie po prostu go wykorzystujesz - przerwał jej Moreau.

- Owszem, to prawda - rzekła z naciskiem de Vries. - Na początku nie chodziło mi o nic innego, ale sprawy się zagmatwały. Myśl sobie, co chcesz, ale ja go naprawdę kocham... Właśnie tak: zakochałam się. Mnie samą chyba to bardziej zdziwiło niż kogokolwiek innego. On mi niezwykle przypomina tego Freddiego, za którego wychodziłam za mąż... przypomina go do tego stopnia, że mnie to przeraża. Jest taki czuły i opiekuńczy, tak samo niecierpliw... To bardzo dobry człowiek, który usiłuje znaleźć swoje miejsce w życiu, swoje przeznaczenie, czy jak chcesz to nazwać. Jest równie zagubiony, jak my wszyscy, ale z godną podziwu determinacją poszukuje jakiegoś wyjścia. Freddie był dokładnie taki sam zaraz po ślubie. Dopiero potem wszystko się zmieniło, dopadła go obsesja ściganego zwierzęcia.

- Oboje słyszeliśmy jednak, jakim tonem kilka minut temu Drew mówił o Courtlandzie. Przyznam, że zdumiała mnie jego obojętność. Czy nie zauważyłaś u Freddiego tych samych objawów? - Nie. Drew po prostu się wcielił w postać swego brata. Próbuje reagować tak jak Harry. . Więc pomyśl, kiedy i on się zmieni podobnie jak Freddie, także się stanie przerażonym zwierzęciem.

- To niemożliwe, on się nie zmieni. Jest na to zbyt dumny. - W takim razie wyjaw mu prawdę.

- Co miałabym powiedzieć?

- Zaczynij od szczerego wyznania, Karin.

- Myślisz, że szcerość ma tu jakiegokolwiek znaczenie?

- Nie masz prawa ukrywać przed nim, że twój mąż, Frederik de Vries, żyje, tylko nikt nie wie, ani gdzie przebywa, ani kim teraz jest.

Eskorta składała się z owego lekkomyślnego, niemal szalonego kierowcy, Francois, oraz dwóch innych agentów Deuxieme, którzy tak niewyraźnie wymówili swoje nazwiska przy powitaniu, że Latham natychmiast ich ochrzcił: "monsieur Frick" oraz "monsieur Frack". " I co? Czy twoje dziewczynki się do ciebie w ogóle odzywają, Francois? - zagadnął Drew, kiedy zajęli miejsca w samochodzie. Karin usiadła z tyłu obok niego, z jej drugiej strony usadowił się monsieur Frack.

- Skąd, milczą jak zaklęte - odparł kierowca. - Moja żona zrobiła im awanturę, tłumaczyła, że powinny się odnosić do ojca z szacunkiem.

- I jaki był rezultat?

- Żaden. Odmaszerowały dumnie do swego pokoju i zamknęły drzwi, wywieszając na klamce od zewnątrz tabliczkę z napisem: "Obcym wstęp wzbroniony".

- O co chodzi? Ja o niczym nie wiem - wtrąciła de Vries.

- Dochodzimy wspólnie do wniosku, że dzieci rodzaju żeńskiego mają wybitne zdolności w zakresie okrutnego traktowania swoich rodzonych ojców - wyjaśnił Latham.

- To chyba lepiej będę udawać, że niczego nie słyszałam. Po dwudziestu minutach jazdy znaleźli się przed siedzibą Deuxieme Bureau, posępnym gmachem z szarego piaskowca, z rozległym parkingiem w podziemiach, do którego można było wjechać jedynie za okazaniem przepustki uzbrojonemu strażnikowi. Frick i Frack wprowadzili gości do połyskującej, wyłożonej stalowymi płytami windy, wyposażonej w elektroniczny zamek szyfrowy. Trzeba było na klawiaturze wystukać nadzwyczaj długą sekwencję cyfr, żeby winda ruszyła z miejsca. Wyszli na czwartym piętrze i zostali odprowadzeni do biura dyrektora Moreau. Gabinet bardziej przypominał przestronny, gustownie urządzonej salon. Okna były częściowo przesłonięte ciężkimi kotarami. Ale wrażenie przytulności mącił szereg komputerów oraz różnorodnych elektronicznych urządzeń łączności, zajmujący całą długość pomieszczenia.

- I ty potrafisz obsługiwać cały ten sprzęt? - zapytał z podziwem Drew, rozglądając się po pokoju.

- Jeśli ja czegoś nie wiem, to pytam mojej nowej sekretarki, a jeśli i ona nie wie, zwracamy się do Jacques'a. Gdybyśmy mimo wszystko znaleźli się w jakimś kłopotcie, mogę po prostu zadzwonić do mojej serdecznej przyjaciółki, madame de Vries.

- Mon Dieu - szepnęła Karin - to zniszczenie marzeń każdego łącznościowca! Spójrz tylko, można jednocześnie odbierać sygnały z kilkunastu satelitów, a po sprzężeniu tego z komputerem dałoby się nawiązać łączność z dowolnym zakątkiem świata, jeśli tylko mają tam odpowiedni odbiornik. Zresztą twoi agenci muszą mieć podobny sprzęt, bo inaczej nie byłaby ci potrzebna taka centrala. - Właśnie, z tym mamy pewne kłopoty - rzekł Moreau. Może umiałabyś nam pomóc.

- Aha, częstotliwość fali nośnej można zmieniać w dowolny sposób, nawet co jedną milisekundę - ciągnęła de Vries. - Amerykanie wciąż jeszcze nad tym pracują.

- Pracowali, do czasu, kiedy ich główny specjalista od komputerów, niejaki Rudolph Metz, bez uprzedzenia wszedł do samolotu i zaginął gdzieś w Niemczech. Zostawił po sobie bardzo sprytnego wirusa, który unieruchomił cały system. Wciąż nie mogą się z nim uporać.

- Jeśli ktokolwiek zdoła wyczyścić system, zyska dostęp do wszystkich tajemnic tego świata.

- Miejmy tylko nadzieję, że Bruderschaft do tej pory nie zdołał skompletować takiego sprzętu, nad jakim pracował Metz zauważył dyrektor Deuxieme. - Ale odłóżmy na bok te spekulacje. Mam wam do pokazania coś znacznie ciekawszego, a mówiąc ściśle, musicie tego wysłuchać. Tak jak obiecałem, przy wydatnej pomocy Witkowskiego podłączyliśmy się do prywatnego telefonu ambasadora, a powinniście wiedzieć, że jego aparat sprawdza wszystkie linie ambasady i przełącza rozmowę na tę, gdzie jest najmniejsze prawdopodobieństwo jakiegokolwiek podsłuchu. W "Le Parc de Joie" poszło nam o wiele łatwiej, tam założyliśmy zwyczajny podsłuch na centralce, działając pod pretekstem fałszywego alarmu pożarowego. Nawet pisali o tym w gazetach, zresztą okręgowy urząd telekomunikacji odebrał wiele skarg, ale my zdążyliśmy zrobić swoje... Prawdę mówiąc faktycznie wywołaliśmy pożar, chociaż było więcej dymu niż ognia. Najważniejsze jednak, że się powiodło. I już coś przechwyciliście? - zapytał Latham.

- Sami posłuchacie - odparł Moreau, podchodząc do konsoli pod ścianą. - Tę rozmowę nagraliśmy z aparatu ambasadora znajdującego się w jego prywatnym gabinecie, w mieszkaniu na piętrze. Wycięliśmy rzeczy mało istotne, z nagrania zostało tylko to, co nas interesuje. Po co wysłuchiwać obelżywych uwag?

- Jesteś pewien, że były to tylko obelżywe uwagi?

- Mój drogi, możesz w każdej chwili dostać do przesłuchania oryginalny zapis całej rozmowy, Został przetworzony cyfrowo... - Przepraszam, mów dalej.

- Madame Courtland znów się skontaktowała ze znanym nam salonem wyrobów skórzanych przy ChampsElysees. Uruchomił magnetofon.

- Muszę rozmawiać z Andre, którego spotkałam w "Le Parc de Joie". To bardzo pilne, jestem w trudnej sytuacji!

- A kto mówi?

- Ta sama osoba, która wczoraj użyła dwukrotnie imienia Andre i została przewieziona waszą furgonetką do lunaparku za miastem.
- Ach, tak. Mówiono mi o tym. Proszę się nie rozłączać, zaraz wrócę. Cisza na linii trwała niemal trzy minuty. Proszę być dzisiaj o trzynastej w Luwrze, w sali wystawowej zabytków starożytnego Egiptu, na pierwszym piętrze. Na pewno pozna go pani, proszę spokojnie za nim pójść. Gdyby cokolwiek się wydarzyło, on jest powszechnie znany jako Louis, hrabia de Strasbourg. Znacie się z dawnych lat. Czy to jasne?
- Oczywiście.
- Do widzenia.
- Później miała miejsce rozmowa telefoniczna kierownika sklepu z Andre, urzędującym w "Le Parc de Joie" - rzekł Moreau. - Nawiasem mówiąc, to rzeczywiście hrabia de Strasbourg.
- Prawdziwy hrabia? - zapytał Latham.
- No cóż, arystokratów zostało już tak niewiele, że pośród nich jest jednym z bardziej prawdziwych. Ma w ten sposób dość autentyczny i nie budzący podejrzeń kamuflaż dla swojej działalności. Jest jedynym męskim potomkiem starego, arystokratycznego rodu z AlzacjiLotaryngii, który prawie całkowicie wyginął w czasie drugiej wojny światowej. Podzieliły ich też zaciekle spory i waśnie. - To raczej wyraźna degradacja, z hrabiego do zarządcy wesołego miasteczka - zauważył Drew. - Jakież to spory podzieliły rodzinę? - W Alzacji mieszka także sporo Niemców, oni nazywają ten region ElsassLothringen. Część rodziny walczyła w czasie wojny po stronie Niemców, inna po stronie Francji.
- Aha, widocznie ów Louis pochodzi z tej połowy hrabiowskiego rodu Straszbourgów, która związała się z nazistami - rzekł Latham, ze zrozumieniem kiwając głową.
- Niezupełnie - rzekł Moreau z dziwnym błyskiem w oczach. - Otóż to właśnie czyni jego kamuflaż bardziej wiarygodnym. W czasie wojny był jeszcze dzieckiem, lecz, jak się wyraziłeś, połowa jego hrabiowskiego rodu walczyła po stronie francuskiej. Tak się nieszczęśliwie złożyło, iż żołnierze z niemieckiego kontyngentu rozkradli majątek arystokratycznego rodu, zamienili go na wysokie konta w bankach szwajcarskich i północnoafrykańskich, po czym uciekli, zostawiając swoich dobroczyńców bez grosza przy duszy.
- A on mimo to podjął współpracę z neonazistami? - wtrąciła Karin. - W takim razie w głębi duszy musi być faszystą.
- Na to wygląda.
- Ja też tego nie rozumiem - powiedział Drew. - Co go podkusiło?
- Został przekupiony - podsunęła de Vries, zerkając na Moreau. - Musiał otrzymać spore fundusze od tej części rodziny, która nie straciła majątku.
- Żeby teraz kierować tym podrzędnym i raczej odpychającym wesołym miasteczkiem?
- Może obiecano mu w przyszłości o wiele więcej - dodał szef Deuxieme Bureau. - Poza tym może tylko odgrywać swoją rolę w "Le Parc de Joie", natomiast w salonach Paryża być zupełnie innym człowiekiem.
- Nie wierzę, wystawiłby się na pośmiewisko - rzekł Latham - albo wręcz nie wpuszczono by go nawet za bramę, nie mówiąc już o salonach.
- Tylko dlatego że kieruje wesołym miasteczkiem?
- Tak, właśnie.
- Chyba się mylisz, mon ami. My, Francuzi, jesteśmy narodem praktycznym, a zwłaszcza patrzemy przez palce na przedsięwzięcia zdetronizowanej arystokracji, która usiłuje na nowo zdobyć majątek. Zresztą tak samo się dzieje w Ameryce, gdzie panuje chyba nawet większa wyrozumiałość. Jeśli tam multimilioner traci swoje źródła dochodów, czy to hotele, czy jakiegokolwiek przedsiębiorstwa, a potem mozolnie odzyskuje tę fortunę, robicie z niego prawdziwego bohatera. Wcale tak bardzo się nie różnimy, Drew. Kiedy i u nas jakiś właściciel ziemski zmienia się w bezdomnego kundla, a później w jakimś nagłym przypiływie geniuszu odzyskuje swój tron, otaczany jest powszechnym szacunkiem, bez względu na zasady

moralne, jakimi się posługuje. Trudno jednak przewidywać, cóż takiego nasz hrabia spodziewa się zyskać po współpracy z nazistami.

- To może puść nam to drugie nagranie.

- Nie ma tu niczego nowego, jedynie potwierdzenie przez Strasbourga rozkazów przekazanych madame Courtland, a dotyczących spotkania w Luwrze dzisiaj o trzynastej. W Waszyngtonie było parę minut po piątej nad ranem, ale Wesley Sorenson nie mógł spać. Ostrożnie wstał z łóżka, żeby nie zbudzić żony, i na palcach ruszył przez sypialnię w kierunku drzwi. - Co ty wyczyniasz, Wesley - rozległ się za jego plecami głos zaspanej kobiety. - Przecież wychodziłeś do łazienki nie dalej, jak pół godziny temu.

- Obudziłem cię?

- Mam bardzo lekki sen. Co się dzieje? Czyżby coś ci dolegało, o czym nie chcesz mi powiedzieć?

- Nie, to nie ma nic wspólnego ze zdrowiem.

- Aha, to znaczy, że nie powinnam pytać, prawda?

- Coś jest nie tak, Kate. Jakiegoś czynnika nie potrafisz dostrzec.

- Trudno w to uwierzyć.

- Dlaczego? W końcu przez całe życie zajmuję się poszukiwaniem brakujących elementów takiej czy innej układanki.

- Nie sądzę jednak, żeby było ci łatwiej szukać ich w nocy, po ciemku.

- W Paryżu jest już późny ranek, dawno temu zrobiło się jasno. Spróbuj jeszcze zasnąć.

- Przyjdzie mi to bez trudu, jeśli nie będziesz hałasował. W łazience Sorenson ochlapał sobie twarz zimną wodą - jak czynił to często podczas pracy w terenie - po czym nałożył szlafrok i zszedł na dół do kuchni. Włączył automat do kawy, który każdego dnia wieczorem gospoia zostawiała przygotowany do użytku, zaczekał, aż w dzbanku zbierze się porcja napoju, przelał go do filiżanki i przeszedł z nią do swego gabinetu, znajdującego się na tyłach salonu. Usiadł przy masywnym biurku, pociągnął łyk gorącej kawy i wyjął z szuflady paczkę "absolutnie zakazanych" papierosów jakby za ich pomocą także chciał sobie przypomnieć lata młodości. Głęboko zaciągnął się parę razy dymem, podniósł słuchawkę telefonu, włączył urządzenie do sprawdzania ewentualnego podsłuchu na linii, a kiedy procedura dobiegła końca, wybrał paryski numer Moreau.

- Oui? - powiedział szybko męski głos.

- Cześć, Claude. Tu Wes.

- Widzę, że to nie koniec mojego amerykańskiego przedpołudnia, Wesley. Przed chwilą wyszedł stąd twój kłótniwy Drew Latham w towarzystwie uroczej, acz enigmatycznej Karin de Vries. - Dlaczego enigmatycznej?

- Jeszcze tego nie wiem, lecz gdy zdołam rozwiązać tę zagadkę, natychmiast cię powiadomię. Wracając do rzeczy, odnotowaliśmy pewien postęp. Twoje niezwykle odkrycie, Janinę Clunitz, prowadzi nas jak po sznurku. Ten Sonnenkind zachowuje się tak, jak przewidywaliśmy, w granicach odpowiedniego dla niej zakresu nieprzewidywalności. Moreau opisał mu przebieg porannego spotkania oraz zarejestrowaną rozmowę telefoniczną żony ambasadora.

- Ma się spotkać ze Strasbourgiem w Luwrze, wczesnym popołudniem. Oczywiście, będą tam nasi ludzie.

- Dzieje alzackich Strasbourgów to kawał historii, jeśli dobrze pamiętam.

- Masz rację, ale nasz hrabia wysforował się o parę kroków do przodu.

- ElsassLothringen? - zapytał tajemniczo Sorenson.

- Nie, to dla niego jak gdyby powiązania uboczne, zajmiemy się nimi później, przyjacielu. A co z ambasadorem? Wszystko zgodnie z planem?

- Owszem, lecz nadal uważam, że będziemy mieli dużo szczęścia, jeśli nie da upustu wściekłości i nie stłucze tej suki po pysku. - W każdym razie my jesteśmy przygotowani na jego przyłot... A co słyhać u ciebie, mon amit Jak się sprawy mają na twoim brzegu sadzawki?

- Szykuje się tu największe zamieszanie, jakie mógłbyś sobie wyobrazić. Chyba wiesz o tych dwóch bojówkarzach nazistowskich... zapomniałem, jak oni siebie określają.
- Przypuszczam, że chodzi ci o tych, których Witkowski wysłał odrzutowcem do Bazy Lotniczej Andrews?
- Właśnie. Otóż ci dwaj zaczęli sypać takim śmieciem, że gdyby ich oskarżenia dostały się do prasy, w jednej chwili upadłby cały nasz rząd.
- Co ty mówisz?
- Utrzymują, że mają niezbite dowody na to, iż nasz wiceprezydent oraz przewodniczący Izby Reprezentantów mają bezpośrednie powiązania z niemieckim ruchem neonazistowskim.
- Przecież to śmieszne! A cóż to za niezbite dowody?
- Powiedzieli tylko tyle, że w każdej chwili mogą się telefonicznie skontaktować z Berlinem i natychmiast zostanie nam przesłana pełna dokumentacja, prawdopodobnie faksem.
- To blef, Wesley, chyba nie muszę cię o tym przekonywać. - Oczywiście, boję się jednak, że oparty na jakiejś fałszywej dokumentacji. Wiceprezydenta dosłownie ogarnęła furia. Zażądał przesłuchania przed pełną komisją senacką i posunął się nawet do tego, że przedstawił listę rozwścieczonych senatorów i kongresmanów z obu partii, gotowych wystąpić w jego obronie.
- Takie działania mogą przynieść skutek całkiem odwrotny od zamierzonego - rzekł Moreau - zwłaszcza biorąc pod uwagę obecny klimat polowania na czarownice.
- Właśnie to przez cały czas usiłuję mu wytłumaczyć. Nie daje mi spokoju fakt, że nawet najgłupsze pomówienia kogokolwiek ze sfer rządowych mogą wywołać istną burzę w naszych złańkionych sensacji mediach. Jeśli w nagłówkach gazet tylko pojawi się słowo "rząd", a jeszcze gorzej określenie "przywódcy wywiadu", a już nie daj Boże "wywiad niemiecki", wieści rozejdą się lotem błyskawicy. Czy możesz sobie wyobrazić, co się stanie, jeśli wszystkie stacje telewizyjne roztrąbią tego typu informacje na cały kraj?
- Ludzie zostaną osądzeni i zapadnie wyrok, zanim ktokolwiek zechce ich wysłuchać - przyznał szef Deuxieme Bureau. - Zaczekaj chwilę, Wesley... Ale żeby do tego wszystkiego mogło dojść, ci dwaj ujęci mordercy musieliby nawiązać ścisłą współpracę z kierownictwem neonazistów, zgadza się?
- Tak. Dlaczego pytasz?
- Bo to niemożliwe! Paryski oddział blitztragerów znalazł się w niełasce! Są uważani za zdrajców i nie otrzymają żadnego wsparcia ze strony swoich przywódców, niezależnie od powodów, gdyż mogłoby to zagrażać całej organizacji. Zapomniano o nich, zostawiono na łasce losu... Kto jeszcze wie o twoich dwóch więźniach?
- No cóż, nie dysponuję tu odpowiednimi ludźmi, toteż musiałem skorzystać z pomocy żołnierzy piechoty morskiej i kilku agentów Knoxa Talbota, żeby przetransportować ich z bazy Andrews. Są trzymani pod strażą w zakamuflowanym domu w Wirginii, należącym do CIA.
- Do CIA? Przecież w Agencji jest wtyczka!
- Nie miałem wyboru, Claude. My nie dysponujemy tego typu obiektami.
- Rozumiem. Niemniej ci dwaj wciąż przedstawiają sobą spore zagrożenie dla ruchu.
- Już to mówiłeś. I co?
- Dokładnie sprawdź obu więźniów, Wesley, tylko nie daj im poznać, że ci na nich zależy.
- Dlaczego? Nie umiem powiedzieć. Zdam się na mój instynkt, tak jak to czyniłeś w Istambule.
- Dobra, już tam jadę. Sorenson przerwał połączenie i wcisnął klawisz łączący go natychmiast z Działem Transportu.
- Proszę mi podstawić samochód do domu, najdalej za pół godziny. Trzydzieści sześć minut później ogolony i ubrany w garnitur dyrektor wsiadł do służbowego wozu i rozkazał kierowcy jechać do Wirginii. Tamten natychmiast sięgnął po radiotelefon pracujący na kodowanej częstotliwości UKF, żeby przekazać cel podróży dyspozytorowi CIA.
- Daruj to sobie - rzekł Sorenson za jego plecami. - Jest za wcześnie na organizowanie komitetu powitalnego.
- Muszę jednak przestrzec określonych procedur, panie dyrektorze.

- Miej dla nich litość, chłopcze. Zostało jeszcze trochę czasu do wschodu słońca.
- Tak jest. Kierowca odłożył radiotelefon na miejsce i uśmiechnął się lekko - po raz kolejny miał okazję się przekonać, że mimo zajmowanego stanowiska stary jest naprawdę porządnym człowiekiem. Po półgodzinnej jeździe skręcili w wąską i krętą boczną drogę, prowadzącą przez las do masywnej, betonowej bramy, po której obu stronach ciągnęło się ogrodzenie podłączone do generatora impulsów elektrycznych. Brama nie otworzyła się przed nimi. W betonowym murze, na wysokości lewej tylnej szyby samochodu znajdowało się niewielkie okienko z przydymionego, kuloodpornego szkła, a z umieszczonego niżej głośnika rozległ się po chwili męski głos: - Proszę się przedstawić i podać cel wizyty.
- Wesley Sorenson, dyrektor Wydziału Operacji Konsularnych - odparł gość, opuściwszy szybę w drzwiach samochodu a przyjechałem w ściśle tajnej sprawie.
- Tak, rozpoznaję pana, panie dyrektorze - odparł strażnik, ledwie widoczny za ciemną szybą.
- Niestety, nie mam pana na liście dzisiejszych gości.
- Więc proszę sprawdzić listę stałych zezwoleń, a na pewno znajdzie się tam moje nazwisko.
- Chwileczkę... Kierowca, proszę otworzyć bagażnik. Szczęknął zamek, kłapa otworzyła się powoli; strażnik włączył umieszczony wysoko na murze reflektor, umożliwiający skontrolowanie bagażnika limuzyny.
- Przepraszam, panie dyrektorze - odezwał się ponownie lekko zniekształcony głos wartownika. - Powinienem był sprawdzić to wcześniej, ale listę stałych zezwoleń dostarczają nam na końcu, tuż przed zmianą.
- Nie ma za co przepraszać - rzekł Sorenson. - To ja powinienem był zawiadomić telefonicznie waszego dowódcę, ale nie chciałem go budzić o tak wczesnej porze.
- Oczywiście, panie dyrektorze... Kierowca, możesz wysiąść i zamknąć bagażnik. Kiedy ten wykonał polecenie i z powrotem usiadł za kierownicą, ciężkie stalowe wrota się rozsunęły. Pół kilometra dalej okrążyli kolisty klomb i stanęli przed marmurowymi schodami wiodącymi do wejścia byłej posiadłości ambasadora argentyńskiego. Za ledwie samochód się zatrzymał, kiedy z wnętrza budynku wyszedł mocno zbudowany mężczyzna w średnim wieku - miał na sobie mundur wojskowy z licznymi baretkami na piersi, a widoczne w pierwszym brzasku naramienniki zdradzały jego przynależność do wojsk zwiadowczych. - Major James Duncan, dowódca warty, panie dyrektorze przedstawił się miękkim głosem, otwierając drzwi limuzyny. - Dzień dobry, panu.
- Dzień dobry, majorze - odparł szef wydziału, wysiadając z auta. - Przepraszam, że nie uprzedziłem telefonicznie o swoim zamiarze złożenia wizyty o tak wczesnej porze.
- Jesteśmy do tego przyzwyczajeni, panie dyrektorze.
- Ale wartownicy przy bramie chyba nie są.
- Nie umiem powiedzieć dlaczego. Przeżyli jeszcze większe zaskoczenie o trzeciej w nocy.
- Tak? - zapytał ciekawie Sorenson, jak gdyby duch drzemiącego w nim oficera wywiadu pochwycił jakiś podejrzany sygnał. - Mieliście innego nieoczekiwanego gościa? - zagadnął, ruszając wolno po schodkach w stronę wejścia.
- No, niezupełnie. Ale rozkaz dopisania jeszcze jednego nazwiska do listy stałych zezwoleń przyszedł dopiero o północy. A ta lista jest dosyć długa, toteż nasz gość bardzo się niecierpliwił długim oczekiwaniem. Ludzie z kierownictwa Agencji są dość opryskliwi. Zresztą sam bym pewnie zareagował podobnie, gdybym po całym dniu pracy musiał jeszcze w środku nocy wyprawiać się aż tutaj. Chodzi mi o to, że przecież nie jesteśmy w Wietnamie, gdzie o każdej porze mógł się rozpocząć ostrzał.
- To prawda, ale i "tu zdarzają się jakieś wyjątkowe sytuacje, zgadza się? - mruknął Sorenson, który na własnej skórze odczuwał te "wyjątkowe sytuacje".
- Ale w nocy jest zazwyczaj spokojnie, panie dyrektorze odparł major Duncan, wprowadzając Sorensona do gabinetu oficera dyżurnego, gdzie za biurkiem siedziała kobieta w mundurze, sprawiająca wrażenie bardzo zmęczonej. - W czym możemy pomóc, panie dyrektorze? Jeśli wyjawi pan powód swojej wizyty, porucznik Russell będzie mogła wezwać dla pana eskortę.

- Chciałbym się zobaczyć z dwoma więźniami przetrzymywanymi w ścisłej izolacji w sekcji E. Oficerowie wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia, na ich twarzach malowało się nie skrywane zdumienie.
- Czy powiedziałem coś złego?
- Ależ nie, panie dyrektorze - odparła porucznik Russell, szybko pochylając głowę nad klawiaturą komputera. - To tylko zbieg okoliczności.
- Nie rozumiem.
- Z tymi samymi więźniami o trzeciej w nocy chciał się zobaczyć wicedyrektor Connally - powiedział major James Duncan.
- Czy wyjawiał powód swojej wizyty?
- Użył mniej więcej tego samego zwrotu, co pan przy bramie. Twierdził, że jego sprawa jest najściślej tajna i rozkazał eskortie, po otwarciu celi, wycofać się z sekcji E budynku. Sorenson miał coraz silniejsze podejrzenia.
- Majorze, proszę mnie tam natychmiast zaprowadzić. Nikt poza mną nie miał prawa rozmawiać z tymi dwoma więźniami. - Słucham? - zapytała zdumiona porucznik. Przecież wicedyrektor Connally ma dostęp do wszystkich pomieszczeń. Mówi o tym wewnętrzne rozporządzenie Agencji, podpisane przez samego dyrektora Talbota.
- Więc proszę mnie natychmiast połączyć z Talbotem! Jeśli nie dysponujecie jego domowym numerem telefonu, zaraz go poszukam. Po kilku sygnałach w słuchawce rozległ się gardłowy głos zaspanego Knoxa Talbota.
- Halo?
- Knox, tu Wesley...
- Czyżby podłożono jakąś bombę? Nie wiesz, która jest godzina?
- Czy masz na stanowisku wicedyrektora człowieka o nazwisku Connally?
- Nie. Nie znam nikogo takiego.
- A znane jest ci wewnętrzne rozporządzenie Agencji, podpisane przez ciebie, umożliwiające mu przesłuchanie dwóch pojmanych neonazistów?
- Nie podpisywałem żadnego takiego rozporządzenia. W ogóle o nim nie słyszałem. Skąd dzwoniisz?
- A jak myślisz, skąd mógłbym dzwonić, do cholery?
- Jesteś w Wirginii?
- Mogę tylko wyrazić nadzieję, że nasza następna rozmowa telefoniczna nie przedostanie się do szerszej wiadomości. W przeciwnym razie będziesz musiał wziąć się ostro do robienia porządków na swoim podwórku.
- Mówisz o naszej sieci komputerowej?
- Spróbuj czegoś znacznie prostszego, bardziej ludzkiego. Sorenson ze złością cisnął słuchawkę na widelki.
- Idziemy, majorze! Dwaj bojówkarze leżeli na swych kojach, ułożeni na boku. Otwierane drzwi celi stuknęły głośno, lecz żaden z nich się nawet nie poruszył. Szef wydziału podszedł do pierwszego i zsunął z niego koc, następnie to samo uczynił z drugim Niemcem. Obaj byli martwi. W szeroko rozwartych oczach malował się zastygły wyraz przerażenia. Z kącików półotwartych ust nadal sączyły się strużki krwi. Obaj w zwróconych do ściany tylnych częściach głowy mieli wyraźne otwory po kulach.

Do znajdującego się na piętrze obszernego salonu dochodził mocny, synkopowany rytm zespołu jazzowego grającego w klubie na dole, mieszając się z docierającymi z zewnątrz dźwiękami ostrej muzyki rockowej, rozbrzmiewającej gdzieś na Bourbon Street, we francuskiej dzielnicy Nowego Orleanu. Przy wielkim stole zgromadziło się sześciu mężczyzn i trzy kobiety; wszyscy byli elegancko ubrani - panowie w ciemne garnitury i krawaty, natomiast panie w żakiety o stonowanych kolorach. Poza jednym wyjątkiem byli to ludzie rasy białej, wszyscy mieli krótko obcięte włosy i wyglądali tak, jakby zostali żywcem wyjęci z jakiegoś grupowego zdjęcia skautów z tych lat, kiedy lansowane powszechnie hasła

młodzieżowe miały jeszcze jakiś sens. Najmłodszy z zebranych liczył sobie czterdzieści parę lat, najstarszy przekroczył siedemdziesiątkę, a każdy roztaczał wokół siebie atmosferę dominacji, jak gdyby otaczali go wyłącznie natrętni petenci. W grupie tej znajdowało się dwóch burmistrzów dużych miast ze Wschodniego Wybrzeża, trzech powszechnie znanych kongresmanów, wybitny senator, prezes rozrośniętej niczym macki ośmiornicy spółki komputerowej, natomiast najbardziej elegancko ubrana kobieta była popularną rzeczniczką chrześcijan zebranych w Ruchu na Rzecz Odnowy Moralnej. Wszyscy siedzieli sztywno na krzesłach, obrzucając sceptycznymi spojrzeniami mężczyznę zajmującego miejsce u szczytu stołu - mocno zbudowanego olbrzyma o śniadej cerze, ubranego w białe safari, rozpięte do połowy piersi, i noszącego duże, ciemne okulary, całkowicie skrywające jego oczy. Mężczyzna ten nazywał się Mario Marchetti, ale w obszernych aktach zgromadzonych przez FBI figurował jako Don Pontchartrain.

- Chciałbym, żebyśmy się nawzajem dobrze rozumieli - przemówił miękkim basowym głosem, powoli cedząc słowa. - Łączy nas coś, co historycy mogliby nazwać konkordatem, czyli porozumienie między jednostkami, które nie chcą dłużej ze sobą konkurować w każdej dziedzinie, toteż znajdują wspólny grunt, gdzie będą mogły koegzystować. Czy to jasne? Rozległ się chóralny pomruk, niektórzy energicznie przytaknęli ruchem głowy, ale niespodziewanie odezwał się senator:

- Wyraża się pan w dość niecodzienny sposób, panie Marchetti. Czy nie byłoby prościej powiedzieć, że wszyscy dążymy do tego samego i możemy sobie nawzajem pomóc?

- Stenogramy z pańskich przemówień w Senacie nie zawierają takich bezpośrednich, uproszczonych sformułowań, panie senatorze. Ale ma pan rację, właśnie o to mi chodzi. Każda z wymienionych jednostek może udzielić wsparcia pozostałym.

- Przepraszam, ale spotykamy się po raz pierwszy - powiedziała elegancko ubrana rzeczniczka organizacji chrześcijańskiej - toteż nie bardzo rozumiem, jak pan mógłby nam pomóc. A szczerze mówiąc, zwracanie się do pana o pomoc uważam za nieco poniżające.

- Może byś wreszcie zeszła na ziemię z tych swoich pieprzonych wyżyn - rzekł cicho Don Pontchartrain.

- Co takiego?! Przy stole zapadła nagle martwa cisza, poza kobietą nikt się nie odważył wyrazić swojego oburzenia.

- Słyszałaś mnie dobrze - ciągnął Marchetti. - To ty zgłosiłaś się do mnie, ja nie zebrałem o to spotkanie, paniusiu. Czy zechciałby pan wprowadzić jej wysokość w nasze sprawy, panie Komputerowcu? Wszystkie głowy jak na komendę obróciły się w kierunku prezesa jednej z najbardziej znanych amerykańskich firm komputerowych.

- Decyzja została niezwykle starannie wypracowana - odparł szczupły mężczyzna w klasycznym ciemnoszarym garniturze. - Nie ulegało wątpliwości, że musimy powstrzymać dalszą działalność mojego nadzwyczaj dociekliwego zastępcy, czarnoskórego, którego musieliśmy zatrudnić, co oczywiste, ze względów formalnych. Otóż zaczął on kwestionować zawartość naszych transportów wysyłanych do Monachium, skąd były dalej przewożone do Hausruck, i posunął się nawet do tego, że wytropił nasz odbiornik, rzecz jasna, pracujący na kodowanej częstotliwości. Nie mogliśmy go po prostu wyłączyć z firmy i właśnie dlatego pokonałem tysiące mil, żeby się spotkać z panem Marchettim.

- Który zarządził własne dochodzenie - wtrącił z tajemniczym uśmiechem Don Pontchartrain.

- Bo i czemu mielibyśmy się tak szybko pozbywać nadzwyczaj inteligentnego czarnucha, mającego wiele tytułów naukowych? To nie miałyby sensu. Dlatego też, zanim wysłaliśmy tego dżentelmena w objęcia Jezusa, moi współpracownicy bliżej się nim zainteresowali... nie wyłączając dokładnych oględzin jego mieszkania. Wielkie nieba, panie Komputerowcu! On miał już pana w garści, a w każdym razie niewiele brakowało. W notatkach, jakie znaleziono w jego biurku, było wszystko wyszczególnione. Wysyłał pan swój najlepszy sprzęt odbiorcom, o których nikt nigdy nie słyszał, a przejmowali go nikomu nie znani ludzie. To niezwykle lekkomyślność, laskawco, żeby nie powiedzieć: amatorszczyzna. Człowiek, o którym mowa, był gotów powiadomić władze w Waszyngtonie... Na szczęście uporaliliśmy się z tym

problemem i znaleźliśmy panu odpowiedniego partnera... odpowiedniego w najpełniejszym znaczeniu tego słowa.

- Nie dostrzegam żadnego związku - oznajmiła stanowczym tonem rzeczniczka organizacji chrześcijańskiej, a uczyniła to z taką miną, jakby miała przed sobą pokrytą liszajami żabę.

- Za pierwszym razem to pani sprawa, za drugim będzie już moja, więc proszę się postarać go dostrzec.

- Naprawdę?!

- Obraża pani nas oboje - rzekł lodowatym tonem Marchetti. - Naszym przeciwnikom w Niemczech nie udało się odkryć, dokąd jest przewożony cały transport, co stanowi plus na pani korzyść, dowiedzieli się jednak, kto go odebrał.

- Myślę, że zostało powiedziane już wystarczająco dużo wtrącił burmistrz pewnego miasta z północnego wschodu Stanów. Nie macie pojęcia, za ile przestępstw odpowiadają mniejszości narodowe. Najwyższa pora podjąć drastyczne środki...

- Basta! - Don Pontchartrain po raz pierwszy podniósł głos. - Może lepiej rozpocząć edukację, rzetelną edukację! Ja także pochodzę z tych "makaroniarzy" i "brudasów", którzy już niedługo nie będą mogli znaleźć żadnej pracy poza brukowaniem ulic czy stryżeniem trawników. A niby skąd się wziął Giannini bądź Fermi, skąd dziedzictwo różnych da Vincich, Galileuszów czy nawet Machiavellich? Wy po prostu nie potraficie nas zaakceptować... Proszę mi więc nie mówić o mniejszościach narodowych, panie Specjalisto od Prostych Rozwiązań, takich jak puszczenie z dymem slumsów, bo ja znam historię, a pan nie.

- I dokąd to nas zaprowadzi? - zapytał drugi z burmistrzów, zarządzający dużym miastem w Pensylwanii.

- W tej chwili mogę na to odpowiedzieć - rzekł Marchetti. Nie lubię was, tak samo jak wy nie lubicie mnie. Dla was jestem brudasem, ja z kolei uważam was za gromadę ostatnich dupków. Lecz mimo wszystko możemy ze sobą współpracować.

- Biorąc pod uwagę pańskie obraźliwe zachowanie - powiedziała, składając buzię w ciup, inna kobieta o włosach gładko zaczesanych do tyłu i starannie upiętych w kok - nie wierzę, aby nadal było to realne.

- Więc pozwolę sobie coś wyjaśnić, droga pani. - Don Pontchartrain pochylił się nad stołem, a między połami rozchełstanej koszuli ukazała się jego silnie owłosiona pierś. - Wam zależy na zdobyciu władzy w tym kraju, co mi nie przeszkadza, ponieważ nie dbam o to. Mnie z kolei zależy na profitach, jakie płyną ze sprawowania władzy. Coś za coś. Ja się nie wtrącam do waszych spraw ani wy do moich. Ja wykonuję za was brudną robotę i jestem nadal gotów ją wykonywać, a w zamian żądam kierowania dochodowych kontraktów rządowych do tych wykonawców, których wskażę. Nie ma nic prostszego. Czyżby istniał jakiś problem?

- Na pewno nie z mojej strony - odparł senator. - Jestem pewien, że nie tworzymy precedensu, wszak nie chodzi o nic innego, jak o wzajemną przysługę dla wspólnego dobra.

- Naturalnie - przyznał mafioso. - Weźcie chociażby Mussoliniego i Hitlera, H Duce oraz Fuhrera, których tak wiele różniło, a jednak potrafili nawiązać współpracę w czasie wojny. Na nieszczęście, obaj byli paranoikami i żywili złudzenia o swej niezwyciężonej potędze. Nam to nie grozi, gdyż naszą wspólną sprawą nie jest wojna. Dążymy do czegoś zupełnie innego.

- A jak by pan to nazwał, panie Marchetti? - zapytał najmłodszy uczestnik spotkania, szczupły blondyn noszący sweter z emblematem cieszącej się wielką renomą uczelni z Massachusetts. - Jestem specjalistą nauk politycznych, kończę właśnie pisać pracę doktorską... jak mi się wydaje, trochę za późno.

- To bardzo proste, panie Alfabcie, chociaż tego nie uczą w szkołach - odparł Don Pontchartrain. - Wpływy to polityka, polityka oznacza władzę, a skutecznie sprawować władzę można jedynie dysponując odpowiednimi funduszami, trzeba wiedzieć, za co i komu zapłacić. Tak zwanych obywateli, którzy tworzą wspomniane fundusze, za grosz nie obchodzi, na co idą te pieniądze, gdyż ich przede wszystkim interesuje serial w telewizji albo ceny w sklepach. Jeśli chcecie znać prawdę, to uważam nas wszystkich za naród idiotów... I właśnie dlatego takie dupki jak wy ostatecznie mają szansę się wybić.

- Wyraża się pan w sposób wielce obraźliwy - zauważył doktorant. - Pozwolę sobie przypomnieć, że w tym gronie znajdują się kobiety.
- A to ciekawe, bo ja żadnej nie widzę. W takim razie pozwolę sobie przypomnieć, że nie tworzymy klasy maturalnej, a ja nie jestem konsultantem do spraw dobrych manier... Jestem dla was wyręczycielem, ostatnią deską ratunku. Jeżeli potrzebne są wam energiczne działania, a zaistniały takie okoliczności, że nie możecie użyć własnych rozlicznych sił i środków, zgłaszacie się do mnie. To ja odwalam brudną robotę i ponoszę za was ryzyko, was absolutnie nie obciąża. Dokładnie tak się to odbyło w wypadku pana Komputerowca i jego nadzwyczaj dociekliwego zastępcy. Capisce? - Jednakże, jak sam pan nadmienił - wtrąciła trzecia kobieta, starsza, dystygnowana dama o czarnych błyszczących oczach, znacznie powiększonych przez grube szkła okularów - mamy własne rozliczne siły i środki. Czemu zatem mielibyśmy korzystać z pańskiej pomocy?
- Va bene! - wykrzyknął Marchetti, rozkładając szeroko ręce. - W takim razie nie korzystajcie i życzę wam powodzenia. Chciałem tylko, abyście wiedzieli, że jestem do waszej dyspozycji, gdybyście mnie potrzebowali. Właśnie w tym celu zaprosiłem naszego giganta od komputerów, a także jego przyjaciela z Kongresu, byśmy wzajemnie wyjaśnili sobie zasady naszego konkordatu. A chcę przypomnieć, że zostaliście tu przywiezieni moimi samolotami. - Jego przyjaciela...? - zapytał zdumiony burmistrz z Pensylwanii.
- Mnie - odparł nieco zmieszany członek Komisji do Spraw Wywiadu Izby Reprezentantów. - Takie nadeszły rozkazy z komórki berlińskiej. Prawdopodobnie nasz człowiek z CIA znalazł się w niezwykle trudnej sytuacji, toteż musimy go objąć stałą obserwacją i w razie potrzeby uwolnić od kłopotów. Użycie do tego celu naszych ludzi byłoby nazbyt ryzykowne, toteż pan Marchetti musi się tym zająć.
- Wygląda więc na to, że mamy swego rodzaju małżeństwo La Rochefoucaulda - zauważyła siedemdziesięcioletnia kobieta w grubych okularach. - Nie związane uczuciem, lecz względami czysto formalnymi.
- Być może zastosowałem niewłaściwy sposób, ale to właśnie usiłowałem państwu przez cały czas wytłumaczyć, droga pani. - No cóż, chyba jednak wyraził pan to aż za dokładnie, a poza tym, jak to zwykle bywa, czyny znaczą o wiele więcej niż słowa... Ma pan swój konkordat, panie Marchetti, i sądzę, że wszyscy zebrani się ze mną zgodzą, kiedy powiem, iż chciałabym jak najszybciej wrócić już do domu.
- Limuzyny stoją przed wejściem, a . odrzutowce czekają w gotowości na lotnisku.
- Kongresman i ja wyjdziemy z lokalu tylnym wejściem i odjedziemy własnymi samochodami - rzekł senator.
- Jak panowie sobie życzą - powiedział Don Pontchartrain, podnosząc się z krzesła. - Dziękuję wszystkim z głębi mego sycylijskiego serca. Mogę uznać, że nasze spotkanie zakończyło się powodzeniem i konkordat wszedł w życie. Jeden po drugim, z mniej czy bardziej wyraźnym grymasem niezadowolenia na twarzy, amerykańscy faszyci wyszli z salonu nad klubem w Nowym Orleanie. Don sięgnął pod blat stołu i wcisnął ukryty przełącznik, unieruchamiając magnetowidy rejestrujące obrazy z ukrytych za draperiami kamer. Jego nazwisko, brzmienie głosu oraz sylwetka miały zostać usunięte z tych zapisów, a pozostawione jedynie twarze oraz wypowiedzi potencjalnych wrogów.
- Dupki - mruknął Marchetti pod nosem. - Nasza rodzina będzie zarówno najbogatszą w Ameryce, jak i najbardziej bohaterską w republice.

* * *

ROZDZIAŁ 28

Zabytki starożytnego Egiptu, zarówno te monumentalne, jak i drobne przedmioty, tworzą jedną z najbardziej fascynujących wystaw Luwru. Umieszczone wysoko pod sufitem i odpowiednio nakierowane lampy powodują, że tworzące się głębokie cienie dają każdemu zwiedzającemu złudne wrażenie, iż odżyły tu nagle dawno minione stulecia. Jednocześnie zabytki te przypominają bezustannie o śmiertelności człowieka, przybliżają dawno zmarłych ludzi, którzy żyli i pracowali, kochali się i płodzili dzieci, a następnie dbali o nie, uzależnieni jednak od kapryśnego Nilu. A potem umierali, zarówno władcy, jak i niewolnicy, zostawiając po sobie spuściznę, z perspektywy czasu tak samo wspaniałą i ponurą, ani nazbyt dobrą, ani też złą, po prostu spuściznę człowieczeństwa. W takiej właśnie niezwyklej scenerii dwaj agenci Deuxieme czekali na mające się wkrótce odbyć spotkanie Louisa, hrabiego de Strasbourg, z żoną amerykańskiego ambasadora. Mieli do dyspozycji ośmiomilimetrową kamerę wideo ze specjalnie czułym mikrofonem, mogącym zarejestrować nawet bardzo cichą rozmowę z odległości dziesięciu metrów, oraz miniaturowe magnetofony uruchamiane impulsem dźwiękowym, ukryte w kieszeniach na piersi, na wypadek zbliżenia się do dwójki konspiratorów. Agent uzbrojony w kamerę, ze słuchawką ukrytą w uchu, trzymał ją na wysokości kolan, przechadzając się między dwoma gigantycznymi sarkofagami. Natomiast jego kolega pochylał się nad rzeźbioną płytą jednego z nich, jakby był naukowcem usiłującym odcyfrować starożytne inskrypcje. Mogli się porozumiewać za pomocą miniaturowych krótkofalówek, toteż pierwszy z nich pozwalał sobie od czasu do czasu odejść kawalek dalej i wmieszać się w zazwyczaj nieliczną grupkę turystów. Krótco po południu, w porze obiadowej, w muzeum nie było dużo ludzi.

Janinę Courtland przybyła pierwsza. Rozglądała się nerwowo dookoła, zaglądając w mroczne zakamarki sali wystawowej. Nie odnalazszy jednak mężczyzny, zaczęła, krążyć między gablotami i w pewnej chwili znalazła się tuż przy agencie pochylonym nad płytą sarkofagu, zaraz jednak poszła dalej i stanęła przed wystawionymi za kuloodporną szybą egipskimi wyrobami ze złota. Wreszcie zjawił się też Andre - czyli Louis, hrabia de Strasbourg - ubrany wytwornie, niczym dżentelmen na popołudniowym spacerze; pod szyją miał zawiązany szeroki, jedwabny, błękitny krawat. Dostrzegł żonę ambasadora i natychmiast zwolnił kroku, podejrzliwie zerkając na boki, w końcu podszedł do niej. Agent Deuxieme szybko zdjął przesłonę z obiektywu kamery, wycelował ją na podejrzaną parę, włączył zapis dźwięku i uruchomił pracujące bezgłośnie urządzenie. Zasłaniając lewą dłonią miniaturową kamerę wsłuchał się w przekazywaną przez czuły mikrofon wymianę zdań:

- Musiał się pan pomylić, monsieur Andre - powiedziała cicho Janinę Clunitz Courtland. - Przeprowadziłam dziś szczerą i poufną rozmowę z dowódcą służb ochrony ambasady. Był naprawdę zdumiony, kiedy spytałam, czy przypadkiem nie kazał mnie śledzić.

- Co odpowiedział? - zapytał lodowatym tonem Strasbourg.

- Zbyt długo i zbyt często... w zasadzie przez całe moje życie posługiwałam się kłamstwem, toteż nauczyłam się je bezbłędnie rozpoznawać. Powiedziałam mu, że weszłam do sklepu, gdzie usłużny sprzedawca zapytał, czy może tych dwóch lub trzech ludzi mojej eskorty, czekających przed wejściem w pełnym słońcu, zaprosić do środka.

- Całkiem zgrabna bajeczka, madame. Należą się pani słowa uznania - rzekł Andre, tym razem znacznie cieplejszym głosem. Zalicza się pani do ludzi naprawdę znakomicie wyszkolonych. - Słowa uznania? Dziękuję, wystarczy mi własne uznanie dla samej siebie. Przecież poświęciłam całe życie na doskonalenie wszystkich umiejętności, które mają służyć tylko jednemu celowi. - Zaiste godne podziwu - mruknął Strasbourg. - Czy zatem szef służb ochrony nie podsunął pani, kim mogli być owi ludzie z eskorty? - Sama podsunęłam mu odpowiedź, to wszakże też element mojego szkolenia. Zapytałam go, czy to możliwe, aby śledzili mnie francuscy agenci. Odparł bez wahania i trudno się nie zgodzić z jego opinią, powiedział mianowicie, że mogło się tak zdarzyć, iż francuskie służby bezpieczeństwa zwróciły

uwagę na powszechnie znaną żonę niezwykle ważnego ambasadora, spacerującą samotnie po ulicy, dlatego też na własną odpowiedzialność podjęły się jej ochrony. - No cóż, to logiczne, ale chciałbym pani zwrócić uwagę, że szef ochrony ambasady jest zapewne równie doskonale wyszkolony jak pani. - Bzdury! Proszę posłuchać. Mój mąż za kilka godzin wylądowuje w Paryżu i będę musiała poświęcić mu dzień lub dwa, odgrywając rolę troskliwej małżonki, wciąż jednak nalegam na umożliwienie mi wyjazdu do Niemiec w celu przeprowadzenia rozmowy z naszymi przełożonymi. Wymyśliłam nawet plan. Zgodnie z danymi personalnymi mam dalszą krewną w Stuttgarcie. To siostra mojej babki, liczy już sobie ponad czterdzieści lat, więc nie będzie nic nienaturalnego w tym, że zechcę ją odwiedzić przed śmiercią...

- To doskonały scenariusz - przerwał jej Strasbourg, ruchem ręki dając znak, żeby poszła za nim w odległy, mroczny koniec sali. - Ambasador nie powinien się sprzeciwiać, toteż zostaniemy przy tym planie, który Bonn z pewnością zaakceptuje. Agent Deuxieme pochylił się na bok, żeby nie stracić z pola widzenia obiektywu odchodzącej pary. Powoli ruszył za nią i w pewnym momencie aż syknął ze zdumienia, dostrzegłszy, że hrabia sięga do kieszeni i wyjmując strzykawkę z igłą w plastikowej osłonie. Chowając dłoń za plecami, Strasbourg zsunął kapturek i obnażył igłę. - Powstrzymaj go! - szepnął głośno do ukrytego w klapie mikrofonu. - Musisz mu przeszkodzić! On chce ją zabić! Ma strzykawkę z jakimś płynem!

- Monsieur le Comte! - wykrzyknął jego kolega, przepychając się przez grupę turystów w stronę osłupiałego Strasbourga i równie zdumionej pani Courtland. - Nie mogę uwierzyć własnym oczom! Ale to pan, prawda? Jako mały chłopiec często bawiłem się w ogrodzie pańskiej rodzinnej posiadłości. Jak to miło znów pana spotkać po tak wielu latach. Teraz mieszkam w Paryżu, prowadzę tu praktykę adwokacką.

- Ależ tak, oczywiście - mruknął skonsternowany Andre; upuścił trzymaną strzykawkę na posadzkę i odkaslnawszy głośno, żeby zagłuszyć chrzęst szkła, rozgniół ją obcasem. - Jest pan adwokatem... To wspaniale... Wybacz pan, ale pora nie jest zbyt odpowiednia... Później się z panem skontaktuję.

Hrabia Strasbourg pospiesznie przecisnął się między zwiedzającymi i energicznym krokiem ruszył do wyjścia z sali.

- Proszę mi wybaczyć, że przeszkodziłem, madame! - rzekł agent Deuxieme, uśmiechając się krzywo, jakby niechcący zakłócił potajemne spotkanie kochanków.

- To nie ma znaczenia - syknęła Janinę Courtland, odwróciła się na pięcie i odeszła szybko w przeciwnym kierunku.

Było kilka minut po piątej, gdy Latham i Karin de Vries wrócili do hotelu z drugiej tego dnia wizyty w Deuxieme Bureau. Moreau wezwał ich do swego gabinetu po wydarzeniach w Luwrze i przedstawił kopie obu zapisów, zarówno obrazu z kamery wideo, jak i nagranej na kasecie rozmowy. Ich eskorta, monsieur Frick i monsieur Frack, zarządziła, że wejdą do holu parami, w odstępach pięciominutowych, i wjadą na górę różnymi windami, aby nie zwracać niczyjej uwagi na tajemniczego Amerykanina oraz pochodzącą z Belgii pracownicę ambasady Stanów Zjednoczonych. - Co jest między wami? - spytał Drew, kiedy ponownie się spotkali w korytarzu na piętrze i ruszyli w stronę swego pokoju. - Co masz na myśli?

- Ciebie i Moreau. Dziś rano zachowywaliście się jak starzy przyjaciele, znający się tak dobrze, jak bułka z szynką. Teraz zaś prawie wcale się do siebie nie odzywaliście.

- Nawet nie zwróciłam na to uwagi. Jeśli odniosłeś takie wrażenie, to pewnie z mojego powodu. Byłam zbyt pochłonięta tym wszystkim, co zarejestrowano w Luwrze. Jego agenci znakomicie się spisali, prawda?

- Owszem, wszystko poszło jak po maśle, zwłaszcza przeszkodzenie Strasbourgowi w realizacji jego niecznych zamiarów. Najgorsze jest to, że ludzie z Deuxieme musieli się przy tym ujawnić.

- Ale przyznasz, że wspaniale to rozegrali.

- Byłbym idiotą, gdybym powiedział co innego. Latham zatrzymał się przed drzwiami pokoju i gestem nakazał Karin się cofnąć, po czym wyjął z kieszeni pudełko zapalek. - Myślałam, że już na dobre rzuciłeś palenie. Zresztą, czy nie możesz poczekać, aż wejdziemy do środka i usiądziemy wygodnie. - Masz rację, rzuciłem palenie i wcale nie mam zamiaru sięgać po papierosa.

Drew zapalił zapalkę i ostrożnie zbliżył płomień do zamka w drzwiach. Na krótko płomień rozbłysnął jaskrawym światłem, drobna iskra pomknęła w kierunku dziurki od klucza.

- W porządku - oznajmił Latham, otwierając drzwi. - Nie mieliśmy gości.

- Co?

- To był twój prawdziwy włos, a nie z peruki.

- Nie rozumiem.

- Znalazłem go w pościeli.

- Czy nie mógłbyś?.

- To bardzo prosta sztuczka i w zasadzie nie do wykrycia. - Latham przepuścił Karin, wszedł za nią do pokoju i zamknął drzwi. - Harry mnie tego nauczył. Wystarczy jeden włos, najlepiej ciemny, bo wówczas trudniej jest go dostrzec gołym okiem. Wsuwa się go do dziurki od klucza, tak, żeby sam koniec wystawał na zewnątrz. Jeśli ktoś będzie gmerał przy zamku, na pewno go stamtąd wypchnie. Ale twój włos siedział na miejscu, po tym poznałem, że nikt tu nie wchodził podczas naszej nieobecności.

- Jestem pod wrażeniem.

- To sztuczka Harry'ego. Mnie się też spodobała. - Drew szybko zdjął marynarkę, rzucił ją na oparcie krzesła i odwrócił się do de Vries. - W porządku, proszę pani. Zatem co się dzieje? - Naprawdę nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Jest coś między tobą i Claude'em, a ja chciałbym wiedzieć, co to takiego. Tylko raz zostałaś z nim sam na sam, kiedy przyjechał dziś rano do hotelu, żeby nam obwieścić o wprowadzonych zasadach bezpieczeństwa, a ja poszedłem się ubrać.

- Ach, tak... - mruknęła zdawkowo Karin, lecz coś w jej spojrzeniu mówiło, że wcale nie było to mało znaczące zdarzenie. Podejrzewam, że trochę przeholowałam... to znaczy nadszarpnęłam jego autorytet, bo chyba tak można to nazwać.

- Nadszarpnęłaś jego autorytet?

- Owszem. Próbowałam mu wytłumaczyć, że nie ma prawa nakładać takich restrykcji na oficera amerykańskiego Wydziału Operacji Konsularnych. On zaś mi wmawiał, że ma prawo podejmować wszelkie niezbędne środki ostrożności, dopóki przebywamy poza terenem ambasady. Staralam się uzmysłowić mu, jak by się czuł, gdyby nasz odpowiednik Deuxieme czy też Service d'Etranger zabronił mu poruszać się swobodnie po Waszyngtonie. A on na to...

- Dobrze, już dobrze - przerwał jej Latham. - Resztę potrafię sobie wyobrazić.

- Dobry Boże, Drew, przecież występowałam również w twoim imieniu!

- W porządku, przyjmuję do wiadomości. Sam widziałem, jaki był wściekły, kiedy próbowałem z nim dyskutować. Francuzi zazwyczaj reagują bardzo ostro, kiedy podaje się w wątpliwość ich wszechmocny autorytet.

- Podejrzewam, że większość ludzi jest czuła na tym punkcie, nie tylko Francuzi, ale tak samo Niemcy, Anglicy czy Amerykanie. - A Belgowie? Czy raczej Flamandowie? Jakoś nigdy nie potrafiłem was rozróżnić.

- My nie, jesteśmy bardziej cywilizowani i słuchamy głosu rozsądku - odparła z uśmiechem de Vries. Oboje wybuchnęli śmiechem; napięcie zostało rozładowane.

- Przepraszę ClaUde'a jutro rano i wyjaśnię mu, że byłam trochę rozdrażniona... Powiedz mi, Drew, czy ty naprawdę uważasz, że Strasbourg chciał zabić Janinę tym środkiem, który miał w strzykawce?

- Na pewno. Została zdemaskowana, a to przecież pierwszy ujawniony Sonnenkind, tak więc naziści nie mieli wyboru. Ale w ten sposób Moreau będzie miał pełne ręce roboty. Teraz nie tylko musi prowadzić całodobową obserwację, lecz być również przygotowany na bezpośredni

zamach na jej życie. Czym się martwisz? Jeszcze godzinę temu zgadzałaś się z naszymi wnioskami.

- Sama nie wiem. To wszystko wydaje mi się dziwne. Luwr, grupy turystów... Przepraszam, chyba jestem po prostu zmęczona. - Czyżbyś usiłowała mi coś przekazać? Może powinienem zamówić do pokoju ze dwie uncje proszku z hiszpańskiej muchy? - Powiedziałam, że jestem zmęczona, ale nie straciłam rozumu. Latham przytulił ją do siebie i czule pocałował. Niespodziewanie zadzwonił telefon.

- Mam coraz silniejsze wrażenie - mruknęła Karin - że ten cholerny telefon jest naszym zaciekle wrogiem.

- Zaraz wyszarpnę przewód ze ściany.

- I tak wiem, że tego nie zrobisz, tylko podniesiesz słuchawkę. - Ty chyba przechodziłaś szkolenie w Inkwizycji. Latham podszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

- Tak?

- To ja - rzekł Moreau. - Czy Wesley dzwonił już do ciebie?

- Nie, a miał to zrobić?

- I tak robi, widocznie w tej chwili jest bardzo zajęty. A nasz przyjaciel, Witkowski, gotów jest natychmiast polecieć do Waszyngtonu i osobiście, gołymi rękoma, rozebrać cały kompleks dowództwa CIA w Langley.

- Nic dziwnego, Stanley pracował w wydziale G-2, toteż nigdy nie miał okazji nabrać szacunku dla Firmy. A co się stało? - Ci dwaj bojówkarze, których pułkownik w najściślejszej tajemnicy odesłał do Waszyngtonu, zostali dziś rano znalezieni martwi w swojej celi, w zakamuflowanym domu Agencji. Dostali po kulce w łeb.

- Jasna cholera! W zakamuflowanym domu Agencji?!

- Wiesz, co mi Wesley powiedział? "Gdzie jesteś, Jamesie Jezusie Angletonie, skoro tutaj mógłbyś uczynić choć jeden dobry uczynek?" Wartownicy pełniący nocną służbę w tym domu, przeglądają teraz zdjęcia wszystkich pracowników CIA, poszukując sprawcy.

- To im nic nie da. Jeszcze niedawno sam nosiłem jasnoblond perukę i ciemne okulary, żeby całkowicie zmienić swój wygląd. Powiedz im, żeby sprawdzili wszystkich urzędników niższego i średniego szczebla Agencji, którzy kiedyś występowali w teatrze studenckim lub szkolnym.

- Jeszcze jeden Angleton?

- Na pewno nie JeanPierre Villier. Jakiś amator, kretyń z głową nabitą wzniosłymi hasłami i portfelem wypchanym forszą. Ale nie ulega wątpliwości, że musiał mieć dostęp do ściśle tajnych informacji.

- Sam to powiedz Wesleyowi, ja mam mnóstwo innych spraw na głowie. Ambasador Courtland będzie na lotnisku za pół godziny, muszę dopilnować, aby jego żona do tego czasu jeszcze żyła. - O co chodzi? Przecież wyjedzie po niego opancerzoną limuzyną z ambasady.

- Ty też z niej korzystałeś i o mało co nie zginąłeś. Au revoir. Połączenie zostało przerwane.

- Co się stało? - zapytała Karin.

- Ci dwaj bojówkarze, których Stanley odesłał do Waszyngtonu, zostali zastrzeleni w swojej celi. W zakamuflowanym domu Agencji! Czy ty to rozumiesz?!

- Sam powiedziałeś wczoraj wieczorem - rzekła cicho de Vries - że oni są wszędzie, tylko my ich nie potrafimy dostrzec... Co powoduje, że ludzie tak do nich lgną? Zabójstwa, szpiegostwo... to jedno wielkie szaleństwo. Zatem dlaczego?

- Fachowcy twierdzą, że istnieją trzy główne powody. Po pierwsze pieniądze, ogromne fundusze, daleko wykraczające poza to, co jest w zasięgu przeciętnego człowieka. Na forszę łakomią się głównie amatorzy hazardu, rozrzutni kochankowie czy też snobi. Odmienną kategorię tworzą fanatycy, bez reszty opętani jakąś ideą, z powodu której mogą się czuć kimś lepszym, a która przesłania im całkowicie wszelkie inne sprawy. Takim przykładem jest teoria wyższości ich rasy. Trzecia grupa jest dość dziwna, ale ją właśnie specjaliści określają jako najgroźniejszą. W jej skład wchodzi ludzie niezadowoleni, dogłębnie przekonani, że w panującym systemie nie ma dla nich miejsca, a ich zdolności są niedoceniane.

- Dlaczego ta grupa miałaby być najgroźniejsza?

- Ponieważ takich ludzi najtrudniej wyłowić. Całymi latami zajmują swoje miejsca za biurkiem i wykonują jakieś mało istotne zadania, ale robią to na tyle poprawnie, że nawet nie można ich wylać z pracy.
- Jeśli te zadania są faktycznie mało istotne, to dlaczego ludzi uważa się za groźnych?
- Gdyż oni świetnie znają słabe punkty systemu, w którym działają. Wiedzą, gdzie się przechowuje poufne dane, jak można się do nich dostać, albo nawet jak je przechwycić w trakcie przekazywania z jednego miejsca w drugie. Sama wiesz, że na gryziopiórków nie zwraca się uwagi, są niczym element wyposażenia, albo czytają nudne, biurokratyczne sprawozdania, albo grzebią się w jakichś danych, równie interesujących, jak numery w książce telefonicznej. Gdyby taki sam zapal wkładali w wypełnianie swoich obowiązków, jak w analizę działania systemu, być może niektórzy z nich doszliby do prawdziwych wyżyn. Psychologowie twierdzą, że urzędnicy są z natury leniwi, mają w sobie coś ze studentów, którzy prędzej pójdą na egzamin ze ściągawką ukrytą w rękawie, niż zadadzą sobie trud wnikięcia w zagadnienie.
- Kiedy mówisz o zapale, który powinni wkładać w pracę, to bardzo mi przypominasz Harry'ego.
- Dałabyś wiarę, że musiałem dokładnie przestudiować teorię zarządzania? "To są obowiązki Jasia, a to Malgosi."
- Nigdy w to nie wątpiłam. W zasadzie powinnam się chyba spodziewać, że pewnego dnia zaczniesz improwizować, opierając się na terza rima Dantego z "Boskiej Komedii".
- Tego, co sprzedaje pizzę na Brooklynie?
- Naprawdę potrafisz być przeuroczy. Wiedziałaś o tym? Rozległo się pukanie do drzwi.
- A kogóż tu licho przyniosło, do cholery? - mruknął Latham, ruszając do wejścia. - Kto tam?
- Deuxieme - odpowiedział przez drzwi monsieur Frack.
- Ach tak, jasne. Drew otworzył drzwi i ujrzał na wysokości swojej twarzy wylot lufy pistoletu. Błyskawicznie pchnął broń do góry, jednocześnie biorąc zamach prawą nogą. Trafił zaskoczonego agenta w krocze. Wymierzył mu natychmiast cios w szczękę, a kiedy tamten poleciał do tyłu, wyskoczył za nim na korytarz i wyszarpnął pistolet z ręki. - Stop, monsieur! Niech pan przestanie! To była tylko próba! - zawołał nadbiegający monsieur Frick.
- Co?! - wrzasnął Latham, który zdążył już wziąć zamach, żeby kolbą ogłuszyć swego niedoszłego zabójcę, zwijającego się z bólu pod ścianą korytarza.
- Gdyby pan... przeczytał nasz regulamin... - wychrypiał leżący Frack, trzymając się oburącz za genitalia - nigdy by pan... nie otworzył drzwi, nie mając pewności, że to naprawdę któryś z nas. - Przecież odpowiedziałeś: Deuxieme! - ryknął Drew, podnosząc się z kłeczek. - Ile wy macie tych Deuxieme, do cholery?! - Właśnie o to chodzi, proszę pana - rzekł Frick, krzywiąc się boleśnie na widok powalonego kolegi. - Monsieur le Directeur dał panu listę uzgodnionych haseł, które mamy zmieniać co dwie godziny. Powinien pan zapytać o hasło i otworzyć dopiero wtedy, gdy usłyszysz właściwą odpowiedź dla określonej pory dnia.
- Hasło? Jakie hasło?
- Nawet nie raczyłeś na to spojrzeć, mój drogi - wtrąciła Karin, która stała w otwartych drzwiach pokoju i trzymała w ręku jakąś kartkę. - Dałeś mi ten spis i powiedziałeś, że przeczytasz później. - Aha...
- Nie wolno panu zakładać w ciemno, że to jeden z nas. Musi pan zyskać pewność! - jęknął skulony strażnik. Na widok przyglądającej mu się de Vries pospieszenie uniośł obie ręce i próbował się wyprostować, ale zaraz z powrotem przycisnął dłonie do podbrzusza.
- Na miłość boską, wejdźmy wszyscy do pokoju - powiedziała cicho Karin. - Naszym dwóm przyjaciółom jest pan winien co najmniej dobrego drinka, monsieur Latham.
- Tak, jasne. Drew pochylił się, żeby pomóc Francuzowi wstać, gdy na korytarzu niespodziewanie pojawili się inni goście hotelowi, którzy wyszli z pokoju w głębi korytarza. Ujrzawszy ich, Latham rzekł szybko i tak głośno, żeby tamci mogli go słyszeć:
- Biedak! Przeholował co najmniej o dwie kolejki. Kiedy znaleźli się w pokoju, obolały agent opadł ciężko na kanapę.

- Jest pan tres rapide, monsieur Latham - oznajmił już pewniejszym głosem - a w dodatku silny, bardzo silny.
- Gdybyśmy byli w sadzie, tobym cię stłukł na kwaśne jabłko - mruknął Drew, siadając na kanapie obok swej niedoszłej ofiary.
- W sadzie?
- Tego się nie da przetłumaczyć - wyjaśniła pospiesznie Karin, podchodząc do barku. - Czy chcecie po kostce lodu do whisky? - Oui, mer ci. Ale whisky znacznie więcej niż lodu, s'ii vous plait. - Naturellement. Na lotnisku Concorde, zgodnie z poleceniem władz francuskich, ambasadora Daniela Courtlanda wyprowadzono pod eskortą przednimi drzwiami samolotu, zanim pozostałym pasażerom pozwolono opuścić pokład. Maszyny liniowca powoli zamierały z przenikliwym wizgiem, kiedy Amerykanin w otoczeniu żołnierzy z piechoty morskiej zmierzał już przez płytę lotniska ku czekającej na niego limuzynie. Przez całą podróż przygotowywał się właśnie na ten moment spotkania z żoną, dochodząc parokrotnie do wniosku, że będzie to najtrudniejsza chwila w jego dotychczasowym życiu. Nie mógł odegnąć od siebie wizji rzucającego mu się na szyję zagorzałego wroga, nieprzyjaciela szkolonego od wczesnego dzieciństwa wyszkolonego w zdradzaniu takich ludzi jak on - w jego ocenie perspektywy znacznie gorszej od straty ukochanej kobiety. Teraz zaś, kiedy tylko kierowca otworzył przed nim drzwi, rzeczywiście znalazł się w objęciach owego ponętnego, zacieklego wroga.
- Nie było cię tylko trzy dni, a już tak strasznie się za tobą stęskniłam! - zawołała Janinę Clunitz Courtland.
- Ja również, kochanie. Ale wynagrodzę ci to w dwójnasób. Obojgu nam to wynagrodzę.
- Koniecznie, nie mogę się doczekać! Uświadamiając sobie, że jesteś tysiące mil ode mnie, odczuwałam taki ból, jakbym naprawdę była chora!
- Już po wszystkim, Janinę. Musisz się przyzwyczaić do tak nieoczekiwanych narad w Waszyngtonie. Pełnię odpowiedzialną służbę, muszę wykonywać polecenia. Pocałowali się - niby czule i gorąco - ale Courtland miał wrażenie, że czuje na wargach smak trucizny.
- W takim razie będziesz musiał mnie zabierać ze sobą. Tak bardzo cię kocham!
- Zobaczymy, co da się zrobić... A teraz, moja droga, czy mogłabyś nie wprawiać w jeszcze większe zakłopotanie tych dwóch żołnierzy siedzących z przodu?
- Tak, oczywiście. Chociaż wołałabym już tutaj ściągnąć z ciebie spodnie...
- Później, kochana, później. Pamiętaj, że jestem nie tylko twoim mężem, lecz również ambasadorem.
- A ja jestem jednym z głównych specjalistów w zakresie informatyki, ale w takich chwilach mam to w nosie. Janinę Courtland położyła dłoń na udzie męża, któremu daleko było do stanu podniecenia. Wydostali się z terenu lotniska i pojechali avenue Gabriel, najkrótszą drogą do ambasady, gdzie, zamierzali bezpośrednio udać się windą do mieszkania służbowego na piętrze. Kiedy olbrzymi samochód stanął przed frontowym wejściem budynku, na zewnątrz wyszło dwóch wartowników, żeby pomóc wysiąść ambasadorowi i jego żonie oraz zająć się bagażami. Nagle, niemalże jak spod ziemi, wyjechały zza rogu trzy auta bez tablic rejestracyjnych i wpadły na chodnik. Małżonkowie znaleźli się między wozami. Drzwi pojazdów otworzyły się z trzaskiem, na ulicę wyskoczyło kilku zamaskowanych mężczyzn ubranych w czarne kominiarki i otworzyło ogień z pistoletów automatycznych, siejąc kulami na lewo i prawo. Niemal w tej samej chwili odpowiedział im terkot automatów z dwóch samochodów, które musiały jechać za limuzyną. Na zatłoczonej avenue Gabriel wybuchła panika, ludzie pospiesznie szukali jakiegoś schronienia. Czterech terrorystów osunęło się na ziemię, także jeden z żołnierzy eskorty, zgięty wół, trzymając się za brzuch, usiadł na chodniku. Ambasador Courtland próbował się wczłochać pod samochód; jedną ręką trzymał się za prawą nogę, drugą za przestrelone ramię. Natomiast Janinę Clunitz, Sonnenkind, zginęła na miejscu - całą sukienkę z przodu miała zakrwawioną, kilka pocisków trafiło ją w głowę. Nie ulegało wątpliwości, że paru zamaskowanych morderców zdołało uciec, chociaż

nikt nie wiedział ilu; zapewne wmieszali się w tłum, zerwawszy z głowy kominiarki, i oddalili spokojnie, udając zwykłych przechodniów.

- Merde! Merde! Merde! - wrzeszczał Claude Moreau, który wyskoczył z jednego z dwóch aut eskortujących amerykańską limuzynę. - Tyle zrobiliśmy, a efekt jest taki, jakbyśmy nie robili nic!.. Zabierzcie wszystkich zabitych do środka, tylko z nikim nie rozmawiajcie! Och, ja nieszczęsny, zasłużyłem na degradację... Zajmijcie się ambasadorem, on żyje! Biegiem! Wśród ludzi wypadających z budynku ambasady był również Stanley Witkowski! Przyskoczył do Moreau, chwycił go za ramię i przekrzykując głośne już zawodzenie syren policyjnych wrzasnął mu do ucha:

- Posłuchaj, Francuziku! Od tej chwili masz robić dokładnie to, co ci mówię, bo inaczej wypowiem prawdziwą wojnę i tobie, i naszemu CIA! Jasne?!

- Stanley...mruknął oszołomiony szef Deuxieme Bureau, spuszcżając nisko głowę. - Zawiodłem na całej linii. Postąpisz ze mną tak, jak ci się spodoba.

- Wcale nie zawiodłeś, pieprzony idioto, bo po prostu nie mogłeś opanować takiej sytuacji! Ci niemieccy kretyni bardzo chcieli dzisiaj zginąć i czterem się to udało! Nikt nie zdoła zapanować nad takimi fanatykami, jak oni. Ani ty, ani my. Absolutnie nikt, ponieważ im ani trochę nie zależy na własnym życiu. Nigdy nie zdołamy siłą pokonać tych zaślepieńców, możemy ich unieszkodliwić jedynie sposobem. Sam chyba najlepiej powinienes zdawać sobie z tego sprawę!

- O co ci chodzi?

- Chodź ze mną do mojego gabinetu. I pamiętaj, że wetknę ci zapaloną pochodnię w tyłek, jeśli nie zgodzisz się wykonywać tego, co powiem,

- Czy mogę zapytać, w jakiej sferze?

- Oczywiście, że możesz. Musimy obmyślić stek kłamstw, które bez zmruczenia oka przedstawiś swoim zwierzchnikom, dziennikarzom, każdemu sukinsynowi, który tylko będzie chciał cię wysłuchać. - A to oznacza, że grób dla mnie staje się coraz głębszy. - Nie, to jedyna droga, po której możesz się z niego wygrzebać.

* * *

ROZDZIAŁ 29

Doktor Hans Traupman powoli wprowadził swoją małą motorówkę do nowocześnie urządzonej przystani niewielkiej willi stojącej tuż nad rzeką. Światła były pogaszone, ale księżyc świecił jasno, rozsiewając srebrzysty blask na falach. Nie czekał też na niego żaden służący, żeby pomóc mu wyjść na pomost i przywiązać łódź, ale Traupman zdawał sobie sprawę, że utrzymanie służby wykraczało poza możliwości finansowe pozbawionego sutanny luterańskiego pastora. Gunter Jager miał niewielu przyjaciół w Bundestagu, ale wszyscy doskonale wiedzieli, iż musi się liczyć z każdym groszem. Plotka głosiła, że jego pobory ledwie wystarczają na utrzymanie tego domu wraz z przystanią usytuowaną w zakolu Renu. Willa zresztą nie była w najlepszym stanie, gdyż właściciel planował budowę nowego domu, mającego być prawdziwą fortecą, wyposażoną we wszystkie najnowocześniejsze urządzenia, które by strzegły spokoju i bezpieczeństwa kolejnego Fuhrera. Ten dzień miał nadejść już wkrótce, kiedy Bruderschaft przejmie kontrolę nad Bundestagiem i zamiast w góry, do Berchtesgaden, będzie się jeździło nad Ren, ponieważ Gunter Jager zdecydowanie wolał leniwie płynące wody rzeki od wiecznie ośnieżonych szczytów Alp. Gunter Jager... Adolf Hitler! Heil Hitler... Heil Jager! Wystarczyło tylko zamienić nazwiska! A przecież Jager coraz bardziej upodabniał się do swego wielkiego poprzednika; tak samo chciał wyeliminować biurokrację, skrócić drogę przekazywania rozkazów, ograniczyć władzę do garstki wybrańców i kilku osobistych doradców, którzy podejmowałiby wszelkie decyzje; tak samo unikał jakichkolwiek kontaktów fizycznych poza niezbędnym uściskiem dłoni; tak samo traktował z czułością wszystkie dzieci, może z wyjątkiem niemowląt, i podobnie przejawiał aseksualizm. Według niego kobiety należało podziwiać w sposób estetyczny, stroniąc od

zbędnej lubieżności; nawet ukradkowe spojrzenia na damskie nogi nie uchodziły w jego obecności. Większość osób uważała jego purytańskie obyczaje za skutek pełnionych wcześniej obowiązków duszpasterskich, ale Traupman, specjalista od spraw mózgu ludzkiego, był odmiennego zdania. Podejrzał zupełnie inną przyczynę, kryjącą się w głębi psychiki. Obserwując Jagera w towarzystwie kobiet niejednokrotnie widział błyski nienawiści w oczach nowego Fuhrera, szczególnie wtedy gdy jakaś kobieta była dość prowokacyjnie ubrana czy też wykorzystywała swe wdzięki do podrywania mężczyzn. Nie, Gunter Jager wcale nie kierował się pragnieniem zachowania czystości, on także - podobnie jak wielki poprzednik - przejawiał patologiczny, obsesyjny lęk przed kobietami, a zwłaszcza przed zniszczeniem, którego one potrafią dokonać. Ale z bardzo wielu powodów chirurg zachowywał te wnioski wyłącznie dla siebie. Przede wszystkim liczyły się Nowe Niemcy, a jeśli nawet miały zostać stworzone przez charyzmatycznego przywódcę odznaczającego się kilkoma drobnymi ułomnościami, nikomu nie powinno to przeszkadzać. Wczesnym wieczorem Traupman poprosił telefonicznie o prywatną audiencję, stwierdził bowiem, że koniecznie trzeba zawiadomić Jagera o rozwoju wydarzeń w terenie. Jego doradcy byli mu bez reszty oddani, ale nigdy się nie spieszyli z przekazywaniem niepomyślnych wiadomości. Traupman wiedział jednak, że sam niewiele ryzykuje, gdyż w znacznym stopniu przyczynił się do tego, że ów porywający mówca, stojący na czele mało znaczącego odłamu religijnego, znalazł się w gronie najwyższych przywódców Bractwa. A różne analizy wykazywały, że tylko on, Traupman, zajmuje wystarczająco silną pozycję, by zepchnąć Jagera z piedestału. Przywiązał motorówkę i ciężkim krokiem ruszył schodami w górę. Po chwili zamajaczyła przed nim sylwetka potężnie zbudowanego ochroniarza, który widocznie do tej pory ukrywał się za pnem drzewa.

- Bardzo proszę, Herr Doktor - zawołał mężczyzna. - Fuhrer czeka na pana.

- W salonie, jak się domyślam?

- Nie, w ogrodzie. Będzie pan łaskaw pójść za mną.

- W ogrodzie? Od kiedy to zagon kapusty nazywa się ogrodem? - Osobiście zasadziłem tam wiele kwiatów, oczyściliśmy też całą przestrzeń nad brzegiem rzeki. Tam, gdzie do niedawna pień się zielsko i leżały sterty śmieci, teraz są wyłożone kamieniami alejki.

- Widzę, że nie próżnowaliście - rzekł Traupman, kiedy znaleźli się na szczycie skarpy. Z gałęzi drzewa zwisały się dwie latarnie, które teraz drugi ochroniarz zapalił. Wokół niewielkiego, półkolistego, brukowanego patio stały trzy parkowe ławki i biały ogrodowy stolik na żelaznych nóżkach. Powstał w ten sposób uroczy zakątek do rozmyślań lub potajemnych spotkań pastora. Gunter Jager, nowy niemiecki Fuhrer, siedział w fotelu, a słaby blask latarni pozłacał jego jasnoblond włosy. Na widok starego przyjaciela podniósł się i wyciągnął rękę na powitanie - uczynił to dziwnie automatycznym ruchem, zginając ją w łokciu o dziewięćdziesiąt stopni, a jednocześnie opuszczając lewą rękę do szwu spodni.

- Jak to miło, że wpadłeś, Hans.

- Musiałem się z tobą zobaczyć, Gunter.

- Niepotrzebne te ceregiele. Ty nie musisz mnie o nic prosić, wystarczy powiedzieć, czego pragniesz. Siadaj, proszę. Napijesz się czegoś?

- Nie, dziękuję. Chciałbym jak najszybciej wracać do Norymbergi. Nie odebrane wiadomości powodują, że telefon dzwoni niemal bez przerwy.

- Nie odebrane?.. Ach, tak, mówisz o kodowanej linii.

- Właśnie. U ciebie zapewne jest tak samo.

- Nie zauważyłem.

- No, może jesteś podłączony do innej linii, ale w każdym razie powinieneś otrzymywać te same informacje, co ja.

- Owszem, tak powinno być. Cóż to za pilna sprawa cię sprowadza, drogi doktorze?

- Co wiesz o ostatnich wydarzeniach w Paryżu?

- Wszystko, jak sądzę.

- A o Gerhardzie Kroegerze?

- Został zabity przez Amerykanów podczas tej niepotrzebnej strzelaniny w hotelu "Intercontinental". Nawet dobrze się stało, w ogóle nie powinien był wyjeżdżać do Paryża.
- Nalegał, że musi dokończyć swoje zadanie.
- Jakie zadanie?
- Zlikwidowania Harry'ego Lathama, tego agenta CIA, który przeniknął do naszej doliny i którego Kroeger zdemaskował. - Odnajdziemy go, nie ma się czym martwić - mruknął Jager.
- W dolinie wszystko zostało wyczyszczone.
- Niemniej jesteś przekonany, że Kroeger nie żyje.
- Była o tym wzmianka w raporcie, jaki otrzymała centrala wywiadowcza w Bonn z naszej ambasady w Paryżu. W dowództwie wszyscy o tym wiedzą, ale trzymają sprawę w tajemnicy, żeby nie rzucać na nas żadnych podejrzeń.
- Ale ten raport, jeśli się nie mylę, został wyprodukowany w ambasadzie amerykańskiej.
- Niewykluczone. Tamci wiedzieli, że Kroeger jest jednym z nas, bo i czemu mieliby o tym nie wiedzieć? Ten idiota rozpoczął strzelaninę w hotelu, mając nadzieję, że trafi Lathama. Na szczęście Amerykanie nic z niego nie wyciągnęli, ponieważ zmarł w drodze do ich ambasady. - Rozumiem - rzekł Hans Traupman, poruszywszy się niespokojnie na ławce; tylko przelotnie zerkał na swego rozmówcę, jakby się obawiał, że surowe spojrzenie nowego Fuhrera sprawi mu ból. - A co wiesz o naszym Dziecku Słońca, Janinę Clunitz, obecnej żonie amerykańskiego ambasadora?
- Nawet nie musieliśmy wysłać swoich ludzi, żeby się dowiedzieć, co zaszło, Hans. Pisały o tym wszystkie gazety w Europie i Stanach, zamieszczano relacje naocznych świadków. Ledwie uszła z życiem z pułapki zastawionej przez izraelskich ekstremistów na Courtlanda, tę ważną figurę w proarabskim, jak oni to nazywają, Departamencie Stanu. On został tylko poważnie ranny, ale na nieszczęście nasz Sonnenkind, Clunitz, także przeżyła. Najdalej jutro powinna być martwa. Mogę cię o tym zapewnić.
- Ostatecznie, Gunter... mein Fuhrer...
- Już ci mówiłem, Hans, że między nami nie są konieczne te ceregiele.
- Ale mnie na nich zależy. Już doszedłeś znacznie wyżej niż ten gangster z Monachium. Jesteś wykształcony, znasz historię, a ideologicznego przywódcę czyni z ciebie nie tylko to, co się dzieje w Niemczech, ale i na całym świecie. Podludzie, ułomni psychicznie i miernoty zdobywają coraz większą władzę niemal we wszystkich krajach i sam świetnie rozumiesz, iż należy powstrzymać ten proces destrukcji. Tylko ty możesz tego dokonać... mein Fuhrer.
- Dziękuję, Hans, ale nie dokończyłeś wcześniejszej myśli. Powiedziałeś: ostatecznie.
- Chodziło mi o Lathama, tego agenta CIA, który przeniknął do naszej doliny i którego Kroeger zdemaskował.
- Co z nim? - zapytał Jager.
- Nadal żyje. Jest o wiele lepszy, niż przypuszczaliśmy.
- Ale to tylko człowiek, Hans, istota z krwi i kości, mająca serce, które można zatrzymać, przebijając je nożem bądź kulą. Rozkazałem zebrać dwa oddziały blitztragerów i natychmiast wysłać je do Paryża w celu dokończenia tego zadania. Ci ludzie nie zawiodą, nie ośmielą się zawieść.
- A co z tą kobietą, z którą Latham mieszka?
- Tą suką, de Vries? - syknął nowy Fuhrer. - Ją także trzeba zlikwidować, może nawet przede wszystkim. Jej śmierć odebrałaby Lathamowi resztki odwagi, stałby się mniej ostrożny, zaczął popępiać błędy... Czy tylko o tym chciałeś ze mną porozmawiać, Hans?
- Nie, Gunter. - Traupman wstał z ławki i zaczął się przechadzać ścieżką tam i z powrotem. - Przyjechałem, żeby ci przekazać prawdę, którą poznałem dzięki moim własnym informatorom.
- Masz własnych informatorów?
- To ci sami ludzie, zapewniam, tyle tylko, że jestem starym wygą, który wiele lat poświęcił chirurgii; zbyt często miałem do czynienia z pacjentami ukrywającymi przede mną różne objawy choroby, w obawie przed tym, że usłyszą ode mnie niepomyślną diagnozę. W moim

zawodzie każdy musi się nauczyć wykrywać fałsz, a nawet niedopowiedzenia, przedstawiane ze strachu o własne życie.

- Czy możesz wyrażać się jaśniej?

- Oczywiście i zaraz wyjawię, czego się dowiedziałem, rozpytując na własną rękę... Otóż Gerhardt Kroeger wcale nie zginął, został tylko ranny i jest przetrzymywany w ambasadzie amerykańskiej.

- Co takiego?! - Jager poderwał się na nogi.

- Wysłałem jednego z naszych agentów do hotelu "Intercontinental", oczywiście wyposażonego w autentyczne francuskie dokumenty, żeby przesłuchał dwóch recepcjonistów. Obaj potwierdzili, a doskonale znają angielski, iż po zakończeniu strzelaniny słyszeli wyraźnie, jak któryś z żołnierzy obstawy krzyknął z galerii, że maniak został trafiony w nogi i jeszcze żyje. Amerykanie pospiesznie zabrali go stamtąd i wpakowali do karetki. Powtarzam, krzyknął, że żyje.

- Mój Boże!

- Następnie poleciłem naszym ludziom, żeby porozmawiali z tak zwanymi naoczными świadkami strzelaniny przed ambasadą amerykańską, w której ambasador miał jakoby zostać ciężko ranny, a jego żona ledwie ująć z życiem. Okazało się, że świadkowie ze zdumieniem przyjęli wiadomości w dziennikach telewizyjnych oraz artykuły w gazetach. Wszyscy powtarzali naszym agentom, że kobieta miała zakrwawioną całą sukienkę na piersiach i całą twarz... To niemożliwe, żeby przeżyła. Tak mówili.

- Zatem nasz oddział wykonał zadanie. Zlikwidowali ją.

- Czemu więc Francuzi usiłują zachować to w tajemnicy? W jakim celu?

- Z powodu tego cholernego Lathama! Nie inaczej! - wykrzyknął Jager, a w jego oczach pojawiły się dobrze znane, nienawistne błyski. - To on próbuje nas wykiwać, wciągnąć w pułapkę.

- Mówisz tak, jakbyś go znał.

- Oczywiście, że go nie znam, ale znam ludzi jemu podobnych. Wszyscy są opętani przez dziwki.

- A ją znasz?

- Nie! Dobry Boże! Ale już od czasów faraonów takie suki jak ona deprawowały całe armie. Jeździły za oddziałami w zamkniętych wozach i wysysały z żołnierzy ostatnie siły, dając im parę chwil plugawej rozkoszy. Dziwki!

- Ten osąd może i jest trafny, Gunter, nie chcę z tobą dyskutować. Ale niezbyt pasuje do tego, co ci powiedziałem. - Więc cóż takiego powiedziałaś, Hans? Twierdzisz, że sprawy mają się inaczej, niż to opisano w raportach, zatem dochodzę do wniosku, że nasi wrogowie zamierzają nas schwytać w zasadzkę, podobnie jak my zastawiamy pułapki na nich. To nic nowego, tyle tylko, że do tej pory my byliśmy górą. Weź pod uwagę wszystkie okoliczności, przyjacielu. Amerykanie, Francuzi i Anglicy wiedzą, że jesteśmy wszędzie, a zarazem nigdzie nie mogą nas znaleźć. W Waszyngtonie podejrzewa się różnych senatorów i kongresmanów; w Paryżu spośród wszystkich deputowanych mamy dwudziestu siedmiu członków, którzy próbują dostosować prawo do naszych potrzeb, a szef Deuxieme siedzi w naszej kieszeni; w Londynie jest jeszcze lepiej, bo wykryli mało znaczącego referenta w Foreign Office, ale nie zwrócili uwagi na pierwszego sekretarza ministerstwa, który otwarcie z takim zapalem wypowiada się przeciwko dalszemu napływowi czarnoskórych emigrantów, że mógłby napisać własną Mein Kampf. - Jager, który dotąd chodził nerwowo, zatrzymał się nagle pośrodku brukowanego patio i spojrzał ponad rabatą kwiatową na płynące leniwie wody Renu. - Co więcej, nasze osiągnięcia w innych dziedzinach są jeszcze bardziej imponujące. Pewien amerykański polityk powiedział kiedyś, że każdy rodzaj polityki to jedynie kierowanie sprawami lokalnymi. I miał rację. Adolf Hitler doskonale to rozumiał i właśnie dlatego doszło do pożaru Reichstagu. Wystarczy napuścić jedną rasę na drugą, jedną grupę etniczną na inną, jakąś warstwę społeczną na taką klasę ekonomiczną, która z pozoru na niej żeruje, a sprowokuje się chaos i, co za tym idzie, pustkę. On świetnie to wykorzystywał, szczując na siebie mieszkańców

różnych miast, Monachium, Stuttgartu, Norymbergi, Mannheim; starczyło wysłać uzbrojone grupy, które wprowadziły zamieszanie, podsyciły niezadowolenie. Kiedy wreszcie sam wkroczył do akcji, natychmiast zdobył "polityczny" Berlin; ale byłoby to niemożliwe bez wcześniejszej, niszczycielskiej, lecz jakże skutecznej działalności na terenie całego kraju. - Brawo, Gunter! - zawołał TraUpman z wyraźnym podziwem w głosie. - Bezbłędnie ogarniasz cały obraz, dostrzegasz każdy szczegół.

- Więc co cię jeszcze martwi?

- Inne rzeczy, które być może do ciebie nie dotarły. Na przykład?

- Dwaj blitztragerzy zostali pojmani żywcem w Paryżu i przetransportowani do Waszyngtonu.

- Mówiono mi o tym - wtrącił Jager lodowatym tonem.

- Ta sprawa już nie ma znaczenia. Zostali zastrzeleni w swojej celi, w zakamuflowanym domu w Wirginii, przez Penetratora Trzeciego z Centralnej Agencji Wywiadowczej.

- Tego mormona?! Gryzipiórka?! Płacimy mu dwadzieścia tysięcy amerykańskich dolarów rocznie za przekazywanie informacji o sprawach, którymi się zajmują inne wydziały Agencji.

- Teraz zaś żąda dwustu tysięcy dolarów za wykonanie egzekucji, uważa bowiem, że skoro dostał taki rozkaz i włączył się do czynnych działań, to musi też awansować w naszej hierarchii. - Zabić go!

- To nie najlepszy pomysł, Gunter. Najpierw musimy się przekonać, komu zdradzi nasze tajemnice. Jak sam zaznaczyłeś, jest mormonem, a w dodatku strasznym pyszałkiem.

- Świnia! ryknął Jager, odwracając się tyłem do niego, jakby chciał ukryć przed Traupmanem wyraz swojej twarzy.

- Ale ta świnia dotychczas wyświadczyła nam znaczne przysługi - dodał. - Może dajmy mu na razie spokój, a nawet go awansujmy. Już niedługo nadejdzie czas, kiedy będziemy mogli zagrać z nim zupełnie innymi kartami i zrobić z niego wdzięcznego niewolnika.

- Hans, mój drogi, służysz mi nieocenioną pomocą. Twój umysł jest tak samo niewzruszony jak pewna ręka chirurga. Gdyby mój poprzednik miał w swym otoczeniu więcej takich ludzi jak ty, do dziś wydawałby rozkazy członkom brytyjskiego Parlamentu. - Tym bardziej mam nadzieję, że wysłuchasz mnie uważnie do końca, Gunter. Traupman uczynił kilka szybkich kroków i stanął naprzeciwko swojego rozmówcy, w słabym świetle dwóch latarń wiszących na drzewie.

- Czemuż miałbym cię nie wysłuchać, skoro jesteś mým starym przyjacielem i mentorem? Przypominasz mi Alberta Speera, tyle tylko że zamiast ścisłego, analitycznego umysłu architekta masz ścisły, analityczny umysł chirurga. Hitler popełnił olbrzymi błąd, rezygnując ostatecznie z pomocy Speera i otaczając się takimi ludźmi, jak Goring czy Bormann. Ja nigdy nie uczynię podobnej omyłki. Co mi chcesz powiedzieć, Hans?

- Miałeś rację, mówiąc, że dotychczas jesteśmy górą w tej prawdziwej wojnie nerwów. Miałeś też rację, twierdząc, że gdzieś tam, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, operacja Sonnenkinder przyniosła godne podziwu rezultaty, przyczyniając się do powstania chaosu i wzrostu niezadowolenia.

- Sam jestem pod wrażeniem naszych osiągnięć - wtrącił z uśmiechem Jager.

- I w tym tkwi problem, Gunter. Są to bowiem jedynie spekulacje oparte na napływających raportach... Niemniej sytuacja może się odmienić, i to bardzo szybko. Dochodzimy do szczytu naszych strategicznych sukcesów.

- Dlaczego do szczytu?

- Ponieważ zastawiono na nas wiele pułapek, o których nadal nic nie wiemy. Być może już nigdy nie będziemy mieli takiej przewagi, jak obecnie.

- To, co mówisz, można zrozumieć jako: "Musimy dokonać inwazji na Anglię teraz, mein Fuhrer, nie ma na co czekać" wtrącił z zapalem Jager.

- Rzecz jasna, chodzi mi o "Wodną Błyskawicę" - odparł Traupman. - Trzeba przystąpić do realizacji planu. Szesć mессerschmittów ME 323 "Gigante" zostało odremontowanych i są gotowe do użytku. Musimy jak najszybciej wywołać ogólną panikę. Proponuję, byśmy zrzucili

truciznę do zbiorników zaopatrujących Waszyngton, Londyn i Paryż w wodę pitną, kiedy tylko załogi skończą szkolenie. Nasi ludzie są przygotowani do natychmiastowego zajęcia wpływowych pozycji, może nawet zdolają przejąć władzę, czekają tylko na moment sparaliżowania działających obecnie rządów. Na oczach dziesiątków ludzi przechodzących avenue Gabriel z budynku ambasady amerykańskiej wyniesiono kobietę na noszach. Była przykryta wysoko pod szyję cienkim bawełnianym kocem, długie jasne włosy spływały po niewielkiej białej poduszce, twarz ginęła pod maską tlenową, oczy zaś przykryto szarą jedwabną przepaską, by uchronić je przed ostrym słońcem. Plotki rozeszły się lotem błyskawicy, umiejętnie podsycane przez kilkunastu pracowników ambasady, krążących w tłumie gapiów i ochoczo odpowiadających na wszystkie pytania ciekawskich.

- Słyszałam od jednego z Amerykanów, że to żona ambasadora - powiedziała jakaś kobieta. - Biedactwo, odniosła poważne rany we wczorajszej, potwornej strzelaninie.

- Bezkarność przestępców staje się nie do zniesienia - wtrącił szczupły starszy mężczyzna w okularach. - Powinniśmy wyciągnąć gilotynę z lamusa!

- Dokąd ją zabierają? - zapytała z troską w głosie inna kobieta.

- Do szpitala Hertford w LevalloisPerret.

- Naprawdę? To chyba szpital angielski, prawda?

- Twierdzą, że jest najlepiej wyposażony do takich przypadków.

- A niby kto tak twierdzi? - spytała pierwsza Francuzka nieco urażonym tonem.

- Ten młody człowiek... Gdzie on się podział? Jeszcze przed chwilą tu był. W każdym razie słyszałem to od niego.

- Czy została bardzo ciężko ranna? - spytała kilkunastoletnia dziewczyna trzymająca za rękę nieco starszego kolegę, mającego na ramieniu marynarski worek wyładowany książkami.

- Słyszałam od jednego z Amerykanów, że bardzo ucierpiała, lecz jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo - wtrąciła stojąca obok, elegancko ubrana kobieta, prawdopodobnie sekretarka pracująca w którymś z pobliskich biur, gdyż pod pachą trzymała dużą szarą kopertę. - Ma przestrzelone płuco, właśnie dlatego jest w masce tlenowej, bo z trudem może oddychać. Taki wstyd... - To raczej wstyd, że Amerykanie panoszą się tu jak u siebie odparł student. - Ona ma tylko kłopoty z oddychaniem, ale jakiś Francuz, być może obłożnie chory, będzie musiał ustąpić jej miejsca w szpitalu, ponieważ ona jest ważniejsza.

- Antoine, jak możesz tak mówić?

- Owszem, mogę. Studiuję przecież historię.

- Jesteś niewdzięcznikiem! - rzekł ostro starszy mężczyzna z wpiętym w klapę marynarki orderem Croix de Guerre. - Ja walczyłem u boku Amerykanów i razem z nimi wyzwalałem Paryż. To oni uratowali nasze miasto!

- I zrobili to tak po prostu, z dobroci serca, stary wiarusie? Chyba jednak nie... Chodź, Mignon, idziemy stąd.

- Wiesz co, Antoine? Twój radykalizm jest nie tylko nie na miejscu, ja mam go już dość.

- Taki mały porąbaniec - podsumował weteran na tyle głośno, żeby słyszeli go wszyscy stojący wokół ludzie. - Porąbaniec to jedno z tych słów, których się nauczyłem od Amerykanów, a które świetnie do ciebie pasuje. Na piętrze budynku, w gabinecie Witkowskiego, Claude Moreau siedział sztywno na krześle przed biurkiem pułkownika.

- Na szczęście nie potrzebuję pieniędzy - mruknął z ociąganiem - tyle tylko że nie będę mógł ich wydać w Paryżu, a nawet we Francji.

- O czym ty mówisz? - zapytał Stanley, z uśmiechem satysfakcji przypalając kubańskie cygaro.

- Jeśli się nie domyślasz, pułkowniku, powinieneś się przenieść do wydziału, który wasi wojskowi określają mianem Sekcji Ósmej. - Z jakiego powodu? Nie narzekam, mam dobrą posadę i zajmuję się tym, co potrafię robić.

- Na miłość boską, Stanley, przecież okłamałem całe moje Bureau, tę pospiesznie stworzoną komisję Izby Deputowanych, prasę, a nawet samego prezydenta! Niemal przysięgałem wszystkim, że madame Courtland wciąż żyje, że wcale nie została zabita i znajduje się pod

troskliwą opieką waszego lekarza z ambulatorium ambasady. - Ale nie zeznawaleś pod przysięgą, Claude.

- Mer de! Chyba upadłeś na głowę!

- Oczywiście. Ale zdążyłem ukryć jej zwłoki w piwnicach, zanim rozeszła się pogłoska, że ta suka nie żyje.

- Tylko czy to się uda, Stanley?

- Na razie poszło gładko... Posłuchaj, Claude, zależy mi jedynie na wprowadzeniu dezinformacji. Ten z braci Lathamów, na którego nadal polują faszyci, to ten sam, który wcześniej zginął z ich ręki, tylko oni o tym nie wiedzą. Dlatego rozpoczęli nagonkę na drugiego i wystarczy na nich spokojnie zaczekać. Ta ambasadorska dziwka jest dla nich nie mniej ważna, może nawet znacznie istotniejsza, ponieważ wiedzą, że musieliśmy już odkryć, kim jest naprawdę i czym się zajmowała. W końcu hrabia nie zamierzał przecież zaaplikować jej witamin na wzmocnienie. Jeśli dopisze nam szczęście, a twoje drobne kłamstewka odniosą skutek, całe to przedstawienie powinno się nam opłacić...

- Drobne kłamstewka? - parsknął Moreau. - Czy w ogóle masz pojęcie, co zrobiłeś? Zmusiłeś mnie, żebym okłamał samego prezydenta Francji! Już nigdy nie odzyskam jego zaufania! - Do cholery, gdzie się podział twój racjonalizm? Przecież zrobiłeś to dla jego dobra. Czyżbyś nie miał podejrzeń, że w jego kancelarii także działa jakaś wtyczka?

- To śmieszne! Deuxieme ponosi także odpowiedzialność za to, żeby nic podobnego nie miało miejsca.

- Założmy, że w tym wypadku jej nie ponosisz - odparł Witkowski. - Masz już rezultaty szczegółowego sprawdzania wszystkich jego doradców?

- Zrobiliśmy to kilka miesięcy temu. Cóż, muszę przyznać, że twoje odwoływanie się do mojego racjonalizmu nie jest wcale bezpodstawne.

- Dla dobra prezydenta - powtórzył z naciskiem pułkownik, zaciągając się głęboko dymem z cygara.

- Właśnie. Nikt nie może odpowiadać za coś, o czym nie wie, a mamy wszak do czynienia z psychopatami, fanatycznymi mordercami.

- Masz rację, Claude, chociaż nie widzę tu związku z kancelarią prezydenta. Podziękuj w moim imieniu personelowi szpitala. Na szczęście poza dwoma sierżantami oraz jednym kapitanem żaden z moich żołnierzy piechoty morskiej nie zna francuskiego. - Ten kapitan studiował we Francji, a jeden z sierżantów jest francuskiego pochodzenia, chyba lepiej posługuje się naszym językiem niż angielskim. Trzeci z nich, jeśli się dobrze orientuję, wie tylko, jak zamówić trunki czy potrawy w restauracji i zna całą gamę naszych przekleństw.

- To dobrze! Naziści są obsceniczni, więc on będzie całkiem na miejscu.

- A jak się miewa twoja stenotypistka, odgrywająca rolę niespodziewanie zmartwychwstałej madame Courtland?

- Przypomina gotową do strzału armatę - mruknął pułkownik.

- Mam nadzieję, że się mylisz.

- Chodzi mi o to, że jest nowojorską Żydówką i dogłębnie nienawidzi faszystów. Jej dziadkowie zginęli w komorze gazowej w BergenBelsen.

- Jakie to życie jest dziwne. Drew Latham często powtarza, że to, co się kręci, zawsze musi wrócić do punktu wyjścia. To bardzo trafne określenie w odniesieniu do historii ludzkości.

- Ale dla mnie najtrafniejsze jest to, że gdy tylko jakiś nazistowski sukinsyn będzie znów chciał zlikwidować panią Courtland, wpadnie w nasze ręce, a wtedy ja mu dam popalić!

- Już ci mówiłem, Stanley, że mam poważne wątpliwości, czy dojdzie do ponownego zamachu. Faszyci nie są głupcami, z daleka wyczują zastawioną pułapkę.

- Wziąłem to pod uwagę, lecz przede wszystkim liczę na swoją znajomość ludzkiej natury. Skoro stawka została podniesiona tak wysoko, a stało się to za sprawą autentycznego sonnenkinda, najwyższa pora wykladać karty na stół. Te lotry nie mogą sobie pozwolić na żadne ryzyko.

- Miejmy nadzieję, że masz rację, Stanley... Jak twój wiecznie niezadowolony kolega, Drew Latham, przyjął ten scenariusz? - Całkiem nieźle. Rozpuściliśmy wśród pracowników ambasady plotkę o tym, że jest prawdziwym pułkownikiem Websterem; przekazaliśmy to nawet organizacji "Antyninus", chociaż oni znają prawdę. Ty zrób to samo. Ponadto przenosimy Karin de Vries do pokojów gościnnych ambasady, przydzielimy jej stałą ochronę piechoty morskiej.

- Dziwi mnie, iż bez oporów się na to zgodziła - rzekł Moreau. Wiem, że potrafi przybierać różne wcielenia, myślę jednak, iż naprawdę zależy jej na Lathamie, więc wzięwszy pod uwagę okoliczności nie sądziłem, że zostawi go samego w takiej chwili. - Bo ona jeszcze nie zna moich planów - wtrącił Witkowski. - Zamierzam ją tu ściągnąć dopiero dziś wieczorem.

Dni robiły się coraz krótsze i zmierzch zapadał już wcześniej. Karin siedziała w fotelu przysuniętym do okna. Mdłe światło nocnej lampki rzucało złotawy poblask na jej długie włosy i malowało głębokie cienie na pięknej twarzy.

- Czy ty się choć zastanowiłeś, co zamierzasz uczynić? - zapytała, zerkając na Lathama, który po raz kolejny włożył mundur, był tylko bez marynarki, rzucił ją na oparcie krzesła.

- Oczywiście - powiedział. - Robię z siebie przynętę,

- Przecież oficjalnie nie żyjesz, na miłość boską!

- No pewnie, lecz w ten sposób jedynie zyskałem przewagę. W przeciwnym razie bym tego nie robił.

- Ale po co? Tylko dlatego że pułkownik sobie tego życzy?... Nie rozumiesz, Drew, że kiedy "operacja wkroczy w decydującą fazę", będziesz jedynie czynnikiem X bądź Y, mało znaczącym wobec wielu innych elementów? Możliwe, że Witkowski jest twoim przyjacielem, ale nie oszukuj się, przede wszystkim jest zawodowcem. Dla niego zawsze najważniejsze będzie powodzenie operacji! Jak sądzisz, dlaczego tak mu cholernie zależy na tym, byś znowu paradował w tym przeklętym mundurze?

- Myślisz, że to dla mnie coś nowego? Doskonale zdaję sobie sprawę, że stanowią jedynie drobny czynnik w tym skomplikowanym układzie równań. Obiecali mi jednak przysłać kamizelkę kuloodporną i większą marynarkę mundurową, nie wystawię się więc jak kaczką na odstrzał. A poza tym nie wspominaj Witkowskiemu, jak często zdejmuję ten diabelny mundur. Jeszcze gotów się obrazić... Ciekaw jestem, jakiego typu kamizelkę dostanę.

- Najemni mordercy nie mierzą w tułów, mój drogi. Zawsze celują w głowę, a najczęściej mają do dyspozycji karabiny z lunetą. - Nie dajesz mi zapomnieć, że jesteś ode mnie lepsza w te klocki.

- Na szczęście faktycznie mam większe doświadczenie i dlatego chcę, żebyś przekazał swemu serdecznemu przyjacielowi, Stanleyowi, aby się wyniósł ze swoim pomysłem do diabła!

- Nie zrobię tego.

- Czemu? Nie może sobie znaleźć kogoś innego na przynętę? Przecież to takie proste. Dlaczego chce koniecznie ciebie? - Kogoś innego? Mam mu powiedzieć, żeby sobie znalazł faceta, którego brat jest farmerem w Idaho albo mechanikiem samochodowym w Jersey City?... Myślisz, że mógłbym później z tym żyć?

- A ty sądzisz, że ja mogłabym żyć bez ciebie?! - wykrzyknęła Karin, podrywając się z fotela, po czym padła mu w objęcia. - Nigdy, naprawdę nigdy nie myślałam, że będę zdolna jeszcze komukolwiek powiedzieć coś takiego, ale nie umiem zapanować nad głosem serca. Uwierz mi, Drew. Bóg jeden wie, jak to się stało, ale dla mnie jesteś drugim wcieleniem tego samego, wspaniałego młodzieńca, za którego wyszłam przed laty, człowieka pozbawionego tych fobii, które później go dopadły, nie żywiącego nienawiści do całego świata. I nie miej mi za złe, że mówię ci to wprost, kochany. Po prostu musiałam wyjawić prawdę.

- Jakże mógłbym ci coś takiego mieć za złe? - zapytał cicho Drew, tuląc ją do siebie. - Potrzebujemy siebie nawzajem, każde z różnych powodów, ale nie musimy ich przecież latami analizować. - Odchylił nieco głowę do tyłu i spojrzał jej prosto w oczy. Jak się zapatrujesz na

taką perspektywę, że gdy będziemy już oboje starzy, zasiądziemy w naszych fotelach na biegunach i będziemy godzinami patrzeć na jakieś jezioro?

- Wolę góry. Uwielbiam je.
- To rzecz do ustalenia. Znowu przerwało im pukanie do drzwi.
- O cholera! - syknął Drew. - Gdzie jest ta lista hasel?
- Przyczepiłam ją na ścianie przy drzwiach. Na pewno zauważysz.
- Aha, jest. Która godzina?
- Mniej więcej wpół do ósmej. Jeszcze pół godziny do zmiany hasła.
- Kto tam?
- Królik Bugs - rozległ się na korytarzu głos Fracka.
- To dziecinada - mruknął Latham, otwierając drzwi.
- Już czas, monsieur.
- Tak, wiem. Dajcie mi jeszcze parę minut, dobra?
- Certainement - odparł Francuz. Drew zamknął drzwi i odwrócił się do Karin.
- Ty także wyjeżdżasz, moja droga.
- Co?
- Dobrze usłyszałaś. Masz się przenieść do ambasady.
- Jak?... Dlaczego?...
- Przecież nadal jesteś pracownikiem ambasady amerykańskiej. Przełożeni doszli do wniosku, że twoja znajomość nowoczesnego sprzętu łączności jest wystarczającym powodem, by zabrać cię z zagrożonego rejonu, a zarazem uwolnić od konieczności szukania kompromisu.
- O czym ty mówisz?
- Muszę to załatwić sam, Karin.
- Nie pozwolę ci! Potrzebujesz mnie!
- Przepraszam. Albo pójdiesz z nami dobrowolnie, albo poproszę messieurs Fricka i Fracka, żeby ci zaaplikowali środek nasenny i wynieśli z tego pokoju.
- Jak możesz, Drew?!
- To proste. Bardzo chcę, żebyś dożyła tych czasów, gdy będziemy mogli wspólnie zasiąść w fotelach na biegunach i podziwiać te twoje ukochane góry. Co ty na to?
- Ty lajdaku!
- Nigdy nie twierdziłem, że jestem chodzącym ideałem, niemniej uważam, że jestem idealny dla ciebie. Agenci Deuxieme odprowadzili Karin do windy, zapewniając ją, że wszystkie jej rzeczy osobiste zostaną zabrane z hotelu i dostarczone do ambasady w ciągu godziny. Z wyraźną niechęcią przyjmowała to wszystko. Kiedy zjechali na dół, bez pośpiechu ruszyła przez hol. Niespodziewanie stanęło przed nią dwóch innych agentów francuskich. Cała czwórka porozumiała się bez słów, kiwając energicznie głowami, po czym Frick oraz Frack zawrócili i poszli szybko z powrotem do windy.
- Proszę iść między nami, madame - odezwał się potężnie zbudowany brodac, który zajął miejsce po jej prawej stronie. Samochód czeka przy krawężniku, trochę na lewo od wejścia, z dala od jaskrawo oświetlonego frontonu hotelu.
- Chyba zdajecie sobie sprawę, że nie robię tego dobrowolnie. - Dyrektor Moreau nie wprowadzał nas w szczegóły, madame - odparł drugi Francuz o nadzwyczaj starannie wygolonej twarzy. - Naszym zadaniem jest tylko zapewnić pani bezpieczeństwo w trakcie przejazdu do ambasady amerykańskiej.
- Mogłabym wziąć taksówkę.
- Proszę się nie obrazić - wtrącił z uśmiechem brodac - ale osobiście uważam, iż dobrze się stało, że kazano nam się panią zaopiekować. Wraz z żoną mieliśmy jechać na obiad do teściów. Czy da pani wiarę, że do dzisiaj, po czternastu latach naszego małżeństwa, mając troje wnucząt, wciąż nie są przekonani, czy ich córka wybrała sobie właściwego męża?
- A co na to pańska żona?
- Ach, ona znowu jest w ciąży, madame.

- To chyba mówi samo za siebie, monsieur - rzekła Karin, uśmiechając się niewyraźnie. Cała trójka minęła przeszklone drzwi. Na chodniku skręcili w lewo i wyszli z kręgu jaskrawego światła rzucanego przez dwie lampy na czerwony chodnik przed wejściem do hotelu. Znaleźli się na słabo oświetlonej rue de l'Echelle, wśród dosyć licznych przechodniów. Francuzi wskazali Karin wóz służbowy stojący dziesięć metrów dalej, pod znakiem zakazu zatrzymywania. Brodaty osilek wysunął się do przodu, otworzył drzwi i z uśmiechem zaprosił de Vries do środka. W tym samym momencie rozległ się cichy trzask, w lewej skroni mężczyzny powstała duża dziura, na wszystkie strony trysnęła krew. Jednocześnie drugi agent wygiął się w łuk, otworzył szeroko usta i ze wzrokiem pełnym przerażenia odwrócił się powoli, a z gardła wydobył mu się stłumiony jęk. W plecy miał wbity aż po rękojęść długi sztylet. Obaj Francuzi osunęli się na chodnik. De Vries zaczęła krzyczeć, lecz natychmiast czyjaś olbrzymia dłoń zakryła jej usta. Pociągnięto ją do wnętrza samochodu. Zabójca napał na nią całym ciałem i niemalże wrzucił na tylne siedzenia auta. W sekundę później drugi bandyta, trzymając w dłoni zakrwawiony sztylet - o ostrzu tak samo intensywnie czerwonym, jak chodnik przed wejściem do hotelu - wsunął się za kierownicę. - Los schnell! - krzyknął. Błyskawicznie wyprowadził samochód na jezdnię, ominął łukiem inny pojazd i zaczął przyspieszać. Pierwszy napastnik zdjął wreszcie dłoń z ust Karin i rzekł spokojnie:

- Krzyk w niczym już nie pomoże, lecz jeśli nie będzie pani siedzieć spokojnie, zarobi dwie brzydkie blizny na policzkach. - Willkommen, Frau de Vries - powiedział kierowca, zerkając na nią przez ramię; dopiero teraz mógł się usadowić wygodniej w fotelu. - Wygląda na to, że bardzo chce się pani znaleźć w towarzystwie swego męża. Jesteśmy gotowi w tym pomóc, jeśli nie zgodzi się pani współpracować z nami.

- Zabiliście dwóch ludzi - szepnęła Karin, z trudem dobywając głosu ze ściśniętego gardła.

- Jesteśmy wybawcami Nowych Niemiec - odparł kierowca. - Robimy to, co uznajemy za konieczne.

- Jak mnie znaleźliście?

- Bez trudu. Ma pani wielu wrogów tam, gdzie powinno się mieć samych przyjaciół.

- Amerykanów?

- Tak, owszem. A poza tym Anglików i Francuzów.

- Co chcecie ze mną zrobić?

- To będzie zależało od pani. Albo dołączy pani do swego niegdyś tak wysławianego męża Frederika de Vries, albo do nas. Doskonale wiemy, że i panią można kupić.

- W takim razie powinniście też wiedzieć, że naprawdę chciałabym odnaleźć mego niegdyś tak wysławianego męża. Odpowiedziało jej milczenie.

* * *

ROZDZIAŁ 30

W pokoju hotelowym radio grało na tyle głośno, że z zewnątrz nie dolatywały żadne hałasy. Latham włożył kamizelkę kuloodporną, a na nią specjalnie dopasowaną, poszerzoną marynarkę od munduru i aż sam się zdziwił, że nigdzie go nie uciska. Bez przerwy spoglądał na telefon stojący na biurku, zachodząc w głowę, dlaczego Karin jeszcze nie dzwoni, chociaż obiecała, że się odezwie, gdy tylko dotrze do pokoju gościnnego ambasady. Minęły już ponad dwie godziny od jej wyjścia, zabrano nawet rzeczy osobiste. Pokręcił z niedowierzaniem głową, lecz po chwili zaśmiał się cicho, wyobraziwszy sobie spotkanie Karin z Witkowskim - z pewnością musiała mu nawrzucać, może nawet wrzeszczała, że pułkownik nie ma prawa wypuszczać Drew w pojedynkę na ulice Paryża. Biedny Stosh, mimo woli przemknęło mu przez myśl, na pewno nie przypuszczał, że będzie musiał wysłuchiwać obraźliwych uwag od przyszłej żony oficera Wydziału Operacji Konsularnych. Żał mu było pułkownika, ponieważ wiedział doskonale, że tamten nie ma się jak bronić, mógł najwyżej wydać Karin polecenie służbowe, ale to niczego nie załatwiało. Ona była bowiem bez pamięci zakochana, a choć zarówno Witkowski, jak i Courtland dobrze znali to uczucie, to przecież obaj poświęcili życie rodzinne na rzecz służby dla kraju. Latham podszedł do dużego lustra w przedpokoju i uważnie się sobie przyjrzał. Ukryta pod ubraniem kamizelka kuloodporna sprawiała, że wydawał się teraz znacznie potężniej zbudowany niż w rzeczywistości, co przypomniało mu czasy gry w hokeja w lidze kanadyjskiej, kiedy to pod białozielonym strojem drużyny musiał nosić grube ochraniacze, wówczas będące dla niego niemal sprawą życia i śmierci, chociaż teraz wydawało mu się to śmieszne... No, dosyć tego! - pomyślał stanowczo i podszedł do biurka. Podniósł słuchawkę i zaczął wybierać numer, kiedy niespodziewanie rozległo się pukanie. Drew ze złością cisnął słuchawkę na widelki, podszedł do drzwi, zerknął na spis hasel, po czym zapytał:

- Kto tam?

- Witkowski - odpowiedział ktoś z korytarza.

- Podaj hasło.

- Do cholery, nie poznajesz mnie?

- Powinieneś powiedzieć: "Dobry król Wincensjusz", ty ośle! - Otwórz te drzwi, bo stracę cierpliwość i kilkoma strzałami rozwalę zamek.

- To na pewno ty, głupku, bo pewnie nawet nie wiesz, że pociski mogłyby się odbić od grubego mosiężnego okucia i wylądowałbyś z raną w brzuchu.

- A nie pomyślałeś, że mógłbym strzelać wokół okucia, szympanisie?! Otwieraj! Rozmowa była prowadzona swobodnym, żartobliwym tonem, lecz po otwarciu drzwi Latham ujrzał posępne miny Witkowskiego i Claude'a Moreau. Musimy porozmawiać - oznajmił szef Deuxieme Bureau, kiedy tylko w ślad za pułkownikiem wkroczył do pokoju. - Wydarzyło się coś strasznego.

- Karin! - wybuchnął Drew. - Nie dzwoniła tak, jak obiecała. Powiniennem być dostać wiadomość od niej już ponad godzinę temu! Gdzie ona jest?

- Nie wiemy, ale fakty są bardzo niepokojące - odparł Moreau.

- Jakie fakty?

- Dwaj agenci Claude'a zostali zabici na ulicy przed hotelem - wtrącił Witkowski. - Jeden dostał kulę w głowę, drugiego załatwili nożem w plecy. Ich wóz służbowy zniknął, kierowca prawdopodobnie także nie żyje.

- Przecież mieli ją bezpiecznie odstawić do ambasady! - ryknął Drew. - Znajdowała się pod ich ochroną!

- Została porwana - rzekł cicho Moreau, patrząc Lathamowi w oczy.

- Na pewno ją zabiją! - krzyknął Drew, odwrócił się na pięcie i z bezsilności huknął pięścią w ścianę.

- Ubolewam nad tym - mruknął szef Deuxieme - ale oplakuję także śmierć moich kolegów, bo wiemy już na pewno, że dwaj zginęli, a trzeci prawdopodobnie też nie żyje. Co się zaś tyczy

Karin, to nie mamy żadnych dowodów, że ją spotkał taki sam los. Według mojej oceny ją uprowadzono żywcem.

- Skąd możesz mieć pewność? - syknął Drew, obracając się gwałtownie do Francuza.

- Ponieważ dla naszych przeciwników ma o wiele większą wartość żywa, nie jako trup. Przede wszystkim zależy im na schwytaniu Harry'ego Lathama, czyli ciebie.

- I co z tego?

- Będą chcieli ją wykorzystać jako zakładnika, żeby dopaść Harry'ego, bo sam wiesz, że z niewiadomych powodów bardzo im zależy na ujęciu twego brata, którego rolę teraz odgrywasz. - I co zrobimy?

- Zaczekamy, chłopak - rzekł cicho pułkownik Witkowski. Obaj wiemy, że to będzie dla ciebie najtrudniejsza część zadania. Gdyby chcieli zabić Karin, żeby nastraszyć nas jeszcze jedną ofiarą, znaleźlibyśmy jej zwłoki na ulicy obok ciał dwóch agentów. Ale jej tam nie było, musimy zatem czekać.

- Dobra! W porządku! - rzucił ze złością Drew, uczynił kilka nerwowych kroków i stanął przy biurku, opierając się ciężko o jego krawędź. - Lecz w takim razie chcę znać nazwiska wszystkich, absolutnie wszystkich, którzy wiedzieli, kim naprawdę jestem i gdzie przebywam. Musimy znaleźć ten przeciek, wykryć każdego informatora!

- I cóż dobrego nam z tego przyjdzie, mon ami? Informatorzy są jak kamienie wrzucone do stawu, powodują tylko chwilowe wzburzenie na powierzchni wody.

- Muszę je znać, to wszystko!

- Proszę bardzo, zaraz ci spiszę nazwiska ludzi, których wprowadziłem w sprawę. Stanley może ci podać listę wtajemniczonych pracowników ambasady.

- Więc siadaj i pisz - rozkazał Latham. Wysunął szufladę biurka i wyjął z niej blok listowy z firmowym znaczkiem hotelu.

- Chcę mieć absolutnie wszystkie nazwiska.

- Pokazaliśmy im spis dwustu trzydziestu sześciu pracowników z dołączonymi fotografiami - oznajmił Knox Talbot, dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej, rozmawiając przez telefon z Wesleyem Sorensonem.

- I jakie są rezultaty?

- Nie mamy jeszcze nic pewnego, ale rysuje się jakiś obraz. I tak mieliśmy szczęście, że aż siedem osób z personelu pełniącego wówczas służbę w Wirginii widziało tego "wicedyrektora Connally'ego", lecz jedynie cztery z nich miały na tyle bliski kontakt, że mogą podać jakiegokolwiek szczegóły.

- I jaki to obraz się rysuje? - zapytał Sorensen.

- Dość nieostry. Ale musisz wiedzieć, że jeden ze świadków spośród ośmiu wybranych wcześniej fotografii wytypował twoją. - Jeśli wszyscy ludzie na tych ośmiu zdjęciach są mniej więcej w moim wieku, to już mamy jakąś wskazówkę.

- Niestety, nie są. Ale to jasne, że zabójca starał się jak najbardziej zmienić swój wygląd. Tłumaczyłem świadkom, iż z pewnością miał ufarbowane włosy lub nosił perukę, za pomocą szkieł kontaktowych zmienił kolor oczu, mógł zastosować wszelkie dostępne środki do charakteryzacji.

- Z wyjątkiem jednej rzeczy, Knox. Nie mógł się odmłodzić, bo wówczas wyglądałby po prostu śmiesznie.

- To zastanawiające, Wes, lecz dwoje świadków, mężczyzna i kobieta, również zwróciło na to uwagę. W każdym razie ten "Connally" niczym szczególnym się nie wyróżniał, miał wygląd całkiem przeciętnego mężczyzny, jeśli można to w ten sposób określić.

- A jak był ubrany?

- Jak każdy szeregowy pracownik Agencji. Ciemny garnitur, biała koszula, krawat w delikatne prążki, wiązane brązowe pantofle. Aha, i jeszcze jasny płaszcz, krótki, z luźnymi połami. Kobieta, która wówczas pełniła służbę oficera dyżurnego, powiedziała, że był to chyba taki sam krój, jaki nosi jej przyjaciel, wojskowy. Nazywa się "londyńska mgła".

- I żadnych znaków szczególnych na twarzy?

- Absolutnie żadnych. Nie miał ani wąsów, ani brody, był gładko wygolony. Nosił jedynie okulary z grubymi szklami, powiedziałbym nawet, że niezwykle grubymi.
- Ile osób zaliczono do grona podejrzanych?
- Dwadzieścia cztery, wyłączając te, do których nie może być wątpliwości, na przykład ciebie.
- A bez wyłączenia kogokolwiek?
- Pięćdziesiąt jeden.
- Czy mogę obejrzeć zdjęcia?
- Te dwadzieścia cztery już do ciebie wysłałem. Pozostałe dwadzieścia siedem fotografii prześlę niebawem. A może powinienem usunąć twoje zdjęcie? Ostatecznie nawet nie pracujesz w Agencji. - Po co w ogóle je tam umieszczałeś?
- Sam nie wiem, coś mnie naszło. Jak często powtarzam naszemu wspólnemu znajomemu, Adamowi Bollingerowi, nawet przewrotne poczucie humoru pozwala ujrzeć sprawy z innej perspektywy.
- Jestem wdzięczny, przyjacielu, ale mnie daleko do śmiechu. Otrzymałeś ostatnie wiadomości z Paryża?
- Nie, przez ostatnią dobę się tym nie interesowałem.
- To zaraz je usłyszysz. Karin de Vries zniknęła, została uprowadzona przez neonazistów.
- Och, mój Boże!
- Przekonujemy się po raz kolejny, że On nigdy nie patrzy tam, gdzie Jego interwencja byłaby konieczna.
- Co powiedział Witkowski?
- Niepokoi się o Lathama. Mówi, że Drew dość dobrze panuje nad sobą, ale jest przekonany, iż to jedynie poza. - I co z tego?
- Latham zażądał przedstawienia mu listy wszystkich osób biorących udział w operacji. Koniecznie chce znaleźć przeciek, który doprowadził do jego zdemaskowania.
- Powiedziałbym, że to bardzo rozsądny pomysł. Pełni przecież rolę przynęty.
- Chyba nie uważałeś, Knox. Powiedziałem: "zażądał", a Stanley nie ukrywał, że Latham zajął jednoznaczne stanowisko: "albo spełnicie moje żądania, albo możecie na mnie nie liczyć". - Nadal nie rozumiem, czemu z tego powodu mielibyśmy traktować go inaczej.
- Obaj mamy za sobą długie, udane małżeństwa, a ten chłopak jest naprawdę zakochany, starszku. Chyba po raz pierwszy, choć to może trochę za późno. Porwano jego ukochaną, a on przecież ciągle jest u szczytu swoich profesjonalnych możliwości, co oznacza, że może się zmienić w żywą maszynę do zabijania. W jego wieku dość normalne są złudzenia dotyczące własnych uzdolnień. Zrobi wszystko, żeby odzyskać de Vries.
- Rozumiem, Wes. Ale co my możemy zrobić w tej sytuacji?
- Poczekajmy na jego pierwsze posunięcie, może zyskamy pretekst, żeby go gdzieś zakopać.
- Zakopać?...
- Na przykład umieścić w zamkniętym pomieszczeniu o ścianach wyłożonych gumą, albo przynajmniej odwołać z Paryża. Nikomu nic dobrego z tego nie przyjdzie, jeśli nasza przynęta przeistoczy się w myśliwego.
- Domyślam się, że kazałeś go obserwować i trzymasz pod strażą.
- Jego brat też był pilnie strzeżony, a mimo to zdołał uciec z doliny Bractwa. Nie lekceważmy genów rodu Lathamów. Z drugiej strony ani Witkowski, ani Moreau nie są nowicjuszami w tego typu akcjach.
- Nie pojmuję dokładnie, co to może oznaczać w tym kontekście, zakładam jednak, że będą trzymali rękę na pulsie.
- Właśnie na to liczę - odparł Sorenson. Przy słabym świetle nocnej lampki Drew uważnie wpatrywał się w listę nazwisk. Witkowski wypisał siedem osób mogących być informatorami, włączając w to ludzi z organizacji "Antyninus", natomiast spis Moreau obejmował dziewięć osób, w tym trzech polityków, bądź zasiadających w Izbie Deputowanych, bądź urzędników z Quai d'Orsay, których szef Deuxieme uważał za tak skrajnie prawicowych radykałów, że w gruncie rzeczy można ich było uznać za faszystów. Na liście Stanleya znalazło się kilku

plotkarskich pracowników ataszatu, "wściubinosów", jak to on ich nazywał, którzy poświęcali więcej czasu na rozmowy z mało znaczącymi przedstawicielami francuskiego biznesu niż na swoje obowiązki służbowe, a także dwie sekretarki, których częsta nieobecność w pracy nasuwała podejrzenia o skłonności do alkoholu. Był tam również ojciec Manfred Neuman, przedstawiciel "Antyninus" urzędujący w Maison Rouge. Poza politykami na liście Moreau figurowali sami płatni informatorzy, którym zależało wyłącznie na pieniądzu, nie liczyły się dla nich ani jakiegokolwiek zasady moralne, ani sprawy ideologiczne. Pragnąc za wszelką cenę ograniczyć liczbę podejrzanych, Latham w pierwszej kolejności wykreślił informatorów Deuxieme, chociaż nie miał pojęcia, do jakich danych ci ludzie mają dostęp, oraz dwóch francuskich deputowanych - trzeci miał do czynienia ze służbami dyplomatycznymi. Postanowił skontaktować się telefonicznie z tym człowiekiem. Z listą Witkowskiego poszło mu łatwiej, ponieważ pięć z wymienionych osób znał co najmniej z widzenia czy też miał z nimi kontakt podczas jednej ze swych rzadkich wizyt w ambasadzie. Zostały mu jedynie dwie kobiety, sekretarki podejrzane o nadużywanie alkoholu. Z nimi także postanowił zamienić choćby parę słów. Teraz potrzebne mu były numery telefonów.

- Stanley? Tak się cieszę, że pracujesz do późna, ponieważ mam wrażenie, że kogoś pominąłeś na swojej liście.

- O co ci znowu chodzi, do cholery? - syknął rozzłoszczony Witkowski. - Podalem ci nazwiska wszystkich osób podejrzanych o przekazywanie danych, w stosunku do których zarządziliśmy obserwację.

- Wy? Kto się tym zajmował oprócz ciebie? Przez czyje ręce przechodziły rozkazy?

- Moja sekretarka przeniosła się tu razem ze mną z wydziału G-2, a ponieważ miała stopień sierżanta, awansowałem ją na podporucznika, żeby można było zmienić jej przydział.

- Kobieta porucznik?

- Całkowicie oddana służbie, synu. Jej mąż był wojskowym, po trzydziestoletniej służbie w armii przeszedł na emeryturę, chociaż miał zaledwie pięćdziesiąt trzy lata. Wszyscy jej synowie także rozpoczęli karierę w wojsku.

- Co ona teraz robi?

- Gra w golfa, zwiedza muzea i ciągle się uczy francuskiego, ma spore kłopoty z tym językiem.

- W takim razie nie potrzebny mi jej numer telefonu, ale chciałbym znać numery pozostałych osób. Chodzi mi o numery domowe. Dołącz również tego z Maison Rouge.

- Chyba wiem, co ci chodzi po głowie. Zaraz ci je przedyktuję, tylko włącz komputer. Drew spodziewał się trudniejszego przejścia z Claude'em Moreau, tym bardziej, że tamten siedział w domu i prowadził z synem zażartą dyskusję o polityce.

- Ach, ta dzisiejsza młodzież. Oni niczego nie rozumieją. - Ja także, ale potrzebne mi są pewne numery telefonów, chyba że wolisz, abym obu ludzi z eskorty ułożył do długiego, beztróskiego snu.

- Jak możesz mówić takie rzeczy?

- Nic prostszego. Nie wierzysz, że jestem do tego zdolny? - Mon Dieu, Stanley miał rację, jesteś wprost nieznośny!

- Dobrze, podam ci numer telefonu do mojego biura. Zadzwoń tam za pięć minut i ktoś ci poda te numery, których pragniesz. - Ja ich nie pragnę, Claude, ale potrzebuję. Po jedenastu minutach Latham miał już wypisane wszystkie numery telefonów zaznaczonych przez siebie osób. Zaczął łączyć się kolejno, powtarzając za każdym razem to samo: "Mówi pułkownik Webster, jestem przekonany, że wie pan, z kim rozmawia. Otóż niepokoi mnie to, że prawdy o mnie dowiedziały się niepożądane osoby, a po sprawdzeniu wyszło na jaw, że to pan przekazał tę informację. Co ma pan do powiedzenia na swą obronę, dopóki jeszcze może mieć pan cokolwiek do powiedzenia." I zawsze uzyskiwał w przybliżeniu taką samą odpowiedź: następowała fala pospiesznych i żarliwych zaprzeczeń, a jedna osoba zaproponowała wprost, żeby sprawdzić jej rozmowy telefoniczne, zarówno z aparatu domowego, jak i służbowego. Niemal wszyscy wyrażali gotowość składania zeznań po podłączeniu do wykrywacza kłamstw.

Jako ostatni w spisie znalazł się ów najświętszy ze świętych, przedstawiciel organizacji "Antyninus" w Maison Rouge.

- Chciałem rozmawiać z ojcem Neumanem.
- Odprawia teraz nieszpory i nie wolno mu przeszkadzać.
- To sprawa nie cierpiąca zwłoki, bezpośrednio związana z waszą tajemnicą.
- Mein Gott, sam nie wiem, co robić. Ojciec jest bardzo sumienny. Czy nie mógłby pan zadzwonić... powiedzmy, za dwadzieścia minut?
- Za dwadzieścia minut "Czerwony Dom" może już wylecieć w powietrze i nikt nie ocaleje.
- Ach! Zaraz go przywołam! Kiedy w końcu ojciec Manfred Neuman podniósł słuchawkę, parsknął ze złością:
- Co to za wyglupy? Jestem w połowie odprawiania niesporów i nikt nie ma prawa odrywać mnie od bożych dzieł!
- Chwilowo nazywam się pułkownik Webster, ale pan wie, kim naprawdę jestem, ojczu.
- Oczywiście, że wiem. Ale to już żadna tajemnica.
- Naprawdę? Przyznam, że jestem zaskoczony. Do tej pory zakładałem, że to ściśle poufna informacja, niemalże tajemnica wagi państwowej.
- No cóż, ja tylko się domyślałem, że inni także wiedzą. Ale co to za historia z zamachem bombowym?
- Być może wykonam go własnoręcznie, jeśli nie odpowie ojciec na moje pytania. Proszę pamiętać, że przez jakiś czas ukrywałem się w waszym domu, ale teraz jestem doprowadzony do ostateczności.
- Jak pan śmie zachowywać się w ten sposób? "Antyninus" zaopiekował się panem, w godzinie potrzeby udzielił panu niezbędnego wówczas schronienia?...
- A później nie mogłem się stamtąd wydostać, kiedy sytuacja uległa zmianie.
- Bo taka zapadła kolektywna decyzja, oparta na naszych wymogach bezpieczeństwa.
- To za mało, ojczu. Walczymy przecież ze wspólnym wrogiem, prawda?
- Proszę nie próbować mnie wykiwać, Herr Latham. Jestem osobą duchowną i potępiam jakąkolwiek przemoc, ale znam wiele osób, które nie traktują tego aż tak rygorystycznie.
- Czy mam to uważać za groźbę, padre!
- Traktuj to sobie jak chcesz, mój synu. Wiemy, gdzie przebywasz, a nasze patrole bezustannie krążą po ulicach miasta. - Proszę mi powiedzieć, czy wie ojciec, gdzie się teraz znajduje Karin de Vries?
- Frau de Vries?... Nasza wspólna znajoma?
- Zniknęła. Uprowadzono ją.
- Nie! To błąd!...
- Właśnie się zdradziłeś, klecho. Co jest błędem?... Myślę, że wbrew pozorom wcale nie jesteśmy po tej samej stronie.
- Nieprawda! Poświęciłem wszystko...
- Więc teraz będziesz musiał poświęcić nawet tę ostatnią rzecz, jaka ci została, jeśli mi nie wyznasz, komu o mnie mówileś! przerwał mu Latham. - No, słucham!
- Bóg mi świadkiem, że powiedziałem o tym jedynie naszemu informatorowi z ambasady... I jeszcze jednej osobie.
- Najpierw ten informator. Kto to jest?
- Sekretarka, nazywa się Cranston, bardzo potrzebuje boskiej pomocy.
- Jak ją poznałeś?
- Spotkaliśmy się, rozmawialiśmy... Trudno zapanować nad własnym ciałem, mój synu. Nie jestem doskonały, niech mi Bóg wybaczy.
- A ta druga osoba? O kogo chodzi?
- Obdarzam ją takim zaufaniem, że byłoby świętokradztwem mieszać ją do tego.
- Podobnie jak narażanie Maison Rouge, którego mroczne pomieszczenia mogłoby rozjaśnić kilka granatów.
- Nie odważyłby się pan!

- Chcesz to sprawdzić? Jestem wyższym oficerem Wydziału Operacji Konsularnych i znam sporo takich sztuczek, o jakich blitztragerom nawet się nie śniło. Słucham!
- To drugi ksiądz, były ksiądz. Jest już starym człowiekiem, ale w latach młodości odznaczał się wielkim talentem do łamania szyfrów i ściśle współpracował z tym wydziałem francuskiego wywiadu, z którego później utworzono Deuxieme Bureau. Do dzisiaj ma kontakt ze służbami specjalnymi i cieszy się wśród nich wielkim uznaniem. Od czasu do czasu się spotykamy, chętnie słucham jego rad. Nazywa się Lavolette, Antoine Lavolette. - Powiedziałeś, że już nie jest księdzem, więc dlaczego wymienianie jego nazwiska miałoby być świętokradztwem?
- Dlatego że rozmawiam z nim wyłącznie o religii, a nie o polityce! Ja też mam swój problem, zupełnie inny niż ten, który przed laty jego pozbawił sutanny. Ale mój postępek jest o wiele bardziej niewybaczalny, chodzi bowiem o namiętność, w dodatku nie do jednej kobiety. Jestem tylko człowiekiem, niegodnym służby Kościołowi. Co więcej mógłbym powiedzieć?
- Może nawet o wiele więcej, to się jeszcze okaże. A swoją drogą, dlaczego powiedziałeś, padre, że uprowadzenie Karin było błędem?
- Ponieważ to głupota, nic poza tym - wyrzucił z siebie ksiądz. - Po której ty jesteś stronie, na miłość boską?
- Nie powinien pan nadużywać w ten sposób imienia Pana.
- To zależy, o czym Bogu mowa. Ale proszę przestać odgrywać komedię. Dlaczego porwanie Karin było błędem i głupotą? - Mówiąc wprost, może to doprowadzić do zdemaskowania całej naszej operacji. Gdyby mieli zamiar ją zabić, powinni to zrobić od razu i oddać Bogu jej duszę. Skoro zaś ją uprowadzili, nie zostawiając żadnych dowodów mogących nasuwać przypuszczenia o jej śmierci, to muszą mieć świadomość, że wywołają w ten sposób istną lawinę, że wszyscy zaczną jej szukać, tak jak pan to już uczynił. Grozi to zdemaskowaniem całego naszego dowództwa, sam pan zresztą wykorzystał pogroźki, że podrzuci tam kilka granatów lub podłoży bombę. Mogę jedynie prosić pana w imieniu naszej świętej sprawy i wspólnego dobra o nieujawnianie lokalizacji dowództwa operacji.
- Uzyskałem dwa nazwiska, więc postaram się na razie tego nie czynić, ale uprzedzam, że Karin de Vries jest dla mnie najważniejsza i na niej mi o wiele bardziej zależy. Latham odłożył słuchawkę, chcąc od razu zadzwonić do Moreau i zadać mu kilka pytań dotyczących byłego księdza Antoine'a Lavolette, mającego niezwykle talent do łamania szyfrów. Zaraz jednak zrezygnował z tego pomysłu, doszedł bowiem do wniosku, że szef Deuxieme jest zbyt ostrożny, zwłaszcza we wszystkim, co dotyczy jego, Drew Lathama. Nie ulegało wątpliwości, że chciałby przejąć inicjatywę w swoje ręce i samemu skontaktować się z podejrzanym księdzem. A do tego nie wolno było dopuścić. Lavolette'a należało przyprzeć do muru, zaskoczyć i wykorzystać to zaskoczenie do wyciągnięcia z niego wszelkich informacji, a przynajmniej do ujawnienia nazwisk innych ludzi, którzy zostali wtajemniczeni. Tak samo należało postąpić z Phyllis Cranston, sekretarką jednego z pracowników ataszatu, który figurował na liście Witkowskiego jako podejrzany. Przede wszystkim zaś należało znaleźć sposób wyśliznięcia się z hotelu. Dla Drew każda następna minuta spędzona w tym pokoju oznaczała kolejną minutę straconą, nie wykorzystaną na poszukiwanie de Vries. Przypominał sobie, jak Karin tłumaczyła mu, że jego słomkowoblond włosy są efektem lekkiego utlenienia w połączeniu z jasną, zmywalną farbą do włosów i że działanie ostrego szamponu oraz użycie środka do maskowania siwizny powinno przywrócić ich pierwotny kolor, a przynajmniej dać zbliżony do naturalnego. Kupiła nawet tubkę odpowiedniego środka i schowała ją w apteczce, lecz on po kryjomu przeniósł ją do szuflady nocnego stolika, żeby mieć do niej zawsze dostęp. Sięgnął teraz po ów specyfik i poszedł do łazienki. Pół godziny później wyszedł spod prysznica. Lustro było całkowicie zaroszone, splukał je więc ciepłą wodą i przejrzał się uważnie. Miał teraz włosy w dziwnym kolorze ciemnego brązu, z pojedynczymi pasmami wpadającymi w odcień kasztanowy, w każdym razie nie był już rzucającym się w oczy jasnym blondynem. No i proszę, pierwszy krążek w siatce, posłany między parkanami bramkarza, pomyślał. Teraz trzeba się było zająć Frickiem i Frackiem, a ściślej dwoma agentami, którzy od tamtych przejęli służbę. Karin wspominała przed wyjazdem, że są to dwaj nowi ludzie.

Tylko z Frickiem i Frackiem zdążyli się zaprzyjaźnić, pozostałych znali jedynie z widzenia. Należało się zatem spodziewać, że ci dwaj nowi nic nie wiedzą o wcześniejszej, niefortunnej próbie sprawdzenia znajomości hasła. Zresztą nawet wstyd byłoby się tamtym przyznać, że niezbyt silnie zbudowany Amerykanin błyskawicznie pokonał agenta Deuxieme, w dodatku zabierając mu broń. Mon Dieu. fermez la bouche! Drew wyjął z szafy ubranie, starając się dobrać strój typowy dla pracowników ataszatu: szare welniane spodnie, ciemny sweter, biała koszula i gładki krawat : mógłby też być delikatnie prążkowany lub ze stonowanym deseniem, ale tylko na nieoficjalne, popołudniowe spotkania. Ucieszył się, że dostarczona mu kamizelka kuloodporna jest dosyć luźna i nie krępuje ruchów. Kiedy się ubrał i spakował torbę podróżną, wyszedł na korytarz i stanął przed drzwiami, spokojnie czekając na reakcję obstawy. Pierwszy agent błyskawicznie wyszedł zza załomu muru przy szybie windowym, drugi wychylił się tylko z mrocznego zakątka w drugim końcu korytarza.

- S'il vous plait - odezwał się głośno, specjalnie kalecząc i tak swoją nie najlepszą francuszczyznę - voulez vous venir id... - En anglais, monsieur! - zawołał mężczyzna stojący przy windzie. - Znamy angielski.

- Ach, to znakomicie, jestem bardzo zobowiązany. Czy któryś z was mógłby mi pomóc? Odebrałem telefonicznie wiadomość i zapisałem ją na kartce, najlepiej jak umialem, ale ten facet nie znał angielskiego, a jest tam adres, na którym mi bardzo zależy. - Idź ty, Pierre - zawołał drugi agent po francusku. - Ja zostanę na posterunku.

- Dobra - odparł pierwszy, ruszając korytarzem w stronę Lathama. - Czy w Ameryce nie uczą żadnych innych języków poza angielskim?

- A Rzymianie też się uczyli francuskiego?

- Nie musieli, to jedyna sensowna odpowiedź. Agent wkroczył do pokoju, Drew wszedł za nim i zamknął drzwi. - Gdzie jest ta wiadomość, monsieur?

- Leży na biurku - odparł Latham, idąc tuż za Francuzem. To ten zapisany arkusz pośrodku. Specjalnie zostawiłem go na widoku, licząc na pańską pomoc. Tamten pochylił się i podniósł z biurka kartkę, na której widniały dziwaczne, zapisane fonetycznie francuskie słowa. W tym samym momencie Latham uniósł nad głowę obie ręce i splótszy zaciśnięte pięści na kształt młota wymierzył silny cios między łopatkami agenta. Nieprzytomny Francuz osunął się na podłogę cios musiał odczuć boleśnie, ale nie był on groźny. Drew przeciągnął bezwładne ciało do sypialni, zrzucił z łóżka pościel i porwał prześcieradło na długie wąskie pasy. Półtorej minuty później agent leżał z twarzą wciśniętą w materac, rękoma i nogami przywiązanymi do czterech rogów łóżka oraz ustami zakneblowanymi kawałkiem tkaniny, zawiązanej na tyle luźno, żeby się nie udusił. - Zebrawszy pozostałe pasy z prześcieradła Latham przeszedł do salonu i zamknął drzwi sypialni. Rzucił prowizoryczne więzy na krzesło, uchylił drzwi na korytarz i zwracając się do drugiego agenta, ledwie widocznego w zaciemnionym końcu holu, zawołał: - Pański przyjaciel, Pierre, chce z panem natychmiast rozmawiać, zanim będzie musiał zadzwonić do tego faceta... jak on się nazywa? Montreaux? Moneau?

- Monsieur le Directeur!

- Tak, właśnie o niego chodzi. Pierre mówi, że ta wiadomość jest... encredeebal.

- Proszę mnie przepuścić! - rzekł pospiesznie agent, biegnąc w stronę wejścia do pokoju. - Gdzie?... - rzucił, wpadając do środka. Nie zdążył jednak dokończyć pytania. Cios aikido w kark i zadane natychmiast pchnięcie karate w mostek nie tylko spowodowały skurecz mięśni płuc, lecz także, na szczęście znów niegroźnie, pozbawiły go przytomności. Drew ułożył ogłuszonego mężczyznę na kanapie i skrępował go tak samo jak pierwszego, z niewielkimi tylko modyfikacjami - musiał go pozostawić na wznak, zakneblowanego, z rękoma i nogami przywiązanymi do nóg kanapy, ale głową odchylną w bok i zaklinowaną poduszką, żeby zapewnić Francuzowi dostęp powietrza. Na końcu odłączył oba aparaty telefoniczne. Był wreszcie wolny i mógł wyruszyć na poszukiwania.

* * *

ROZDZIAŁ 31

Wbiegł po schodach domu przy rue Pavee, w którym mieszkała Phyllis Cranston, znalazł mieszkanie o podanym numerze i nacisnął dzwonek. Nikt nie odpowiedział, ale pamiętając o podejrzeniach Witkowskiego co do nadużywania przez kobietę alkoholu, Drew jeszcze raz wdusił przycisk dzwonka i trzymał go niemal przez minutę. Miał już zamiar zrezygnować, kiedy z przedsiionka weszła na korytarz jakaś starsza, otyła kobieta, a dostrzegłszy go przed drzwiami mieszkania, zapytała po francusku:

- Szuka pan "Motylka"?

- Nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem.

- Ach, Americain. Strasznie pan kaleczy francuski - dodała po angielsku. - Byłam chyba najsmutniejszą z paryżanek, kiedy wasze lotnictwo opuszczało Francję.

- Czy pani zna Miss Cranston?

- A kto jej tu nie zna? To nadzwyczaj miła osoba, a kiedyś była też bardzo ładna, podobnie jak ja. Nie widzę powodu, dla którego miałabym powiedzieć coś więcej.

- Muszę z nią natychmiast porozmawiać, w pewnej pilnej sprawie.

- Może dlatego że jest pan tak strasznie napalony, jak to wy w Ameryce mówicie? Coś panu powiem, monsieur. Nawet jeśli ona cierpi na pewną chorobę, to na pewno nie jest dziwką!

- Wcale nie szukam dziwki, madame. Próbuje się skontaktować z kimś, kto może mi udzielić paru informacji, które są mi pilnie potrzebne. A taką właśnie osobą jest Phyllis Cranston.

- Aha... - mruknęła kobieta, mierząc go uważnym spojrzeniem. - I nie ma pan zamiaru jej wykorzystać z powodu tej choroby? Bo jeśli tak, to musi pan wiedzieć, że jej przyjaciele mieszkający w tym domu na to nie pozwolą. Jak już powiedziałam, to bardzo miła i serdeczna osoba, która nigdy nikomu nie odmówiła pomocy w potrzebie. Może nie jesteśmy bardzo biedni, ale większość z nas żyje na granicy ubóstwa, biorąc pod uwagę coraz wyższe podatki i ceny. Nasz "Motylek" ma nie opodatkowane dochody w ambasadzie i nigdy nie odmawia udzielenia pożyczki, bez żadnego procentu. Czasami też zajmuje się dziećmi, kiedy matki muszą iść do pracy. Na pewno nie damy jej zrobić krzywdy, nie tutaj. - Wcale nie chcę jej skrzywdzić i nie szukam pomocy matki Teresy. Już powiedziałem, że chcę z nią tylko porozmawiać i uzyskać niezbędne informacje,

- Niech pan przy mnie nie obraża katolików, monsieur, bo sama jestem katoliczką. Chyba dość wyraźnie tłumaczyliśmy temu parszywemu księżulkowi, żeby się trzymał od niej z daleka! Bingo, pomyślał Latham.

- Księdzu?

- Bezwstydnie ją wykorzystywał i pewnie nadal chciałby to robić. - Jak ją wykorzystywał?

- Przychodził tu późno wieczorem, a powodem, dla którego udawał przyjaźń, było to, co ma między nogami!

- I ona godziła się na ten związek?

- Uważała, że nie ma wyboru. Był jej spowiednikiem.

- Sukinsyn! Proszę posłuchać, za wszelką cenę muszę z nią porozmawiać. Właśnie ten ksiądz podał mi jej adres i to wcale nie z tego powodu, o którym pani myśli. Prawdopodobnie zdradził jej w zaufaniu pewne tajemnice, które powinien był zachować dla siebie. - To kim pan jest?

- Kimś, kto toczy ciężką walkę, tak samo w imieniu Francuzów, jak i Amerykanów, czy pani chce w to wierzyć, czy nie. Faszyci, madame, ci przekłęci faszyci znów podnoszą głowy i zaczynają swoje przemarsze w całej Europie! Wiem, że to brzmi melodramatycznie, ale taka jest prawda.

- Kiedy byłam mała, widziałam, jak rozstrzelili ludzi na ulicach - odparła szeptem kobieta, przybierając nagle surowy wyraz twarzy. - Myśli pan, że to się może powtórzyć?

- Do tego chyba jeszcze daleko, ale musimy ich powstrzymać już teraz.

- A co "Motylek" ma z tym wspólnego?

- Prawdopodobnie zdobyła pewne informacje, które przypadkiem mogła komuś przekazać. Może zresztą wcale nie zrobiła tego przypadkowo. Jestem z panią całkowicie szczerzy. Jeśli nie ma jej w domu, to gdzie mógłbym ją znaleźć?
- Właśnie chciałam powiedzieć, żeby pan poszedł do "Les Trois Couronnes", kawiarni znajdującej się kilkaset metrów stąd, przy tej samej ulicy, ale jest już po północy, więc "Motylek" zaraz tu będzie. Na pewno sąsiad, monsieur Dubois, pomoże jej wejść na górę. To chyba jasne, że jej chorobą jest nadużywanie wina. Są pewne rzeczy, o których chciałaby zapomnieć, monsieur, więc stara się je utopić w winie.
- Jakie to rzeczy?
- To już nie moja sprawa, a nawet gdybym wiedziała, zachowałabym tajemnicę dla siebie. My wszyscy się troszczymy o naszego "Motylka".
- Więc może wejdzie pani ze mną do jej mieszkania, wraz z panem Dubois, abyście mieli pewność, że wcale nie chcę jej skrzywdzić? Naprawdę chcę jej zadać tylko parę pytań.
- Na pewno nie zostawimy pana z nią samego, to jasne. Już nigdy nie wpuścimy do niej zakłamanych księży w cywilnych ubraniach. Phyllis Cranston okazała się niską, ale dość mocno, niemal atletycznie zbudowaną kobietą; mogła mieć czterdzieści pięć, najwyżej pięćdziesiąt lat. Wyraźnie chwiała się na nogach, lecz usiłowała stąpać pewnie, jakby nie chciała dać po sobie poznać, że jest wstawiona. - Czy ktoś mógłby mi zaparzyć trochę kawy? - zapytała z wyraźnym akcentem ze Środkowego Zachodu i ciężko opadła na krzesło pod ścianą, kiedy jej towarzysz, pan Dubois, wprowadził ją do mieszkania.
- Trzymam ciepłą na kuchence, "Motylku", o nic się nie martw - odparła starsza kobieta, która została na korytarzu. - A co to za kreatura? - spytała Cranston, wskazując palcem Lathama.
- Amerykanin, mon chou, znajomy tego wszawego księżulka, któremu kazaliśmy trzymać się od ciebie z daleka.
- Ta świnią jest gotowa odpuścić wszystkie grzechy takim jak ja, to znaczy kobietom, które może mieć! Czy ten lajdak jest taki sam? Też przyłazł tu, żeby sobie poużywać?
- Nie, jestem jednym z ostatnich, którzy nadawaliby się na księży - odparł powoli Drew, przybierając łagodny ton. - A co się tyczy zaspokojenia seksualnego, jestem związany z pewną kobietą, która w pełni odpowiada moim wymaganiom i z którą chciałbym spędzić resztę życia, obojętne, czy z błogosławieństwem Kościoła, czy bez niego.
- Chłopie, gadasz jak prawdziwy kumpel. Skąd pochodzisz, dziecino?
- Urodziłem się w Connecticut. A skąd pani jest? Z Indiany czy z Ohio? A może z północy Missouri?
- Hej, jesteś chyba nieźle zorientowany, mach o. Pochodzę z Saint Louis, wychowałam się w parafialnym rygorze. Niezły numer, co nie?
- Nie umiem powiedzieć.
- A skąd wiedziałeś, że jestem z tej części Stanów?
- Poznałem po pani akcencie. Mam w tym trochę wprawy.
- Bez żartów... Dzięki za kawę, Eloise. Sekretarka ambasady wzięła duży kubek z rąk otyłej gospodyni i upiła z niego kilka łyków, energicznie kręcąc głową, jakby z niedowierzaniem.
- Pewnie myślisz; że już się całkiem zeszmaciłam, prawda? mruknęła, zerkając na Lathama, zaraz jednak wyprostowała się na krześle i zamrugła szybko. - Zaczekaj, przecież ja cię znam! Jesteś tym oficerem z Wydziału Operacji Konsularnych!
- Zgadza się, Phyllis.
- Co ty tu robisz, do cholery?
- Ojciec Manfred Neuman podał mi twoje nazwisko.
- A to kutas! I co teraz, wylejcie mnie?
- Nie widzę żadnego powodu, aby cię wyrzucić z pracy, Phyllis...
- Więc czego tu chcesz?
- Przyszedłem właśnie z powodu ojca Neumana. On ci mówił, kim naprawdę jest pułkownik Webster, zgadza, się? Zdradził ci, że to zakonspirowany oficer amerykańskiego wywiadu,

który ukrywa się w ambasadzie pod przybranym nazwiskiem. Mówił ci o tym wszystkim, prawda?

- Och, na miłość boską, on jest tak pełen gówna, że trudno by znaleźć szambo, żeby go tam pomieścić. Ciągle coś gadał, zwłaszcza gdy był tak podniecony, że myślałam, iż mi tylek zedrze do krwi. Zachowywał się tak, jakby był samym Bogiem i dzielił się tajemnicami, które tylko Bogu są znane, a potem, gdy już skończył, gdy już sobie ulżył, zazwyczaj brał mnie pod brodę i syczał prosto w twarz, że Bóg ciśnie mnie w ogień piekielny, jeśli komukolwiek powtórzę coś z tego, co wygadywał.

- Dlaczego więc teraz mi o tym mówisz?

- Dlaczego? - Phyllis Cranston jednym haustem wypila pół kubka kawy, zanim odpowiedziała: - Dlatego że moi przyjaciele wbili mi do głowy, iż jestem skończoną idiotką. Ale robiłam to z dobroci serca, panie... jak się pan tam nazywa, bo dręczy mnie sumienie, lecz o mojej tajemnicy wiedzą jedynie sąsiedzi. Więc niech się pan wynosi do diabła.

- A cóż to za tajemnica, Phyllis? Mówisz o swoim nałogu?

- Mogę odpowiedzieć za nią, Monsieur Americain - wtrąciła starsza kobieta. - Otóż to dwujęzyczne dziecko francuskich rodziców straciło męża i troje dzieci w czasie wielkiej powodzi w Ameryce na Środkowym Zachodzie, w dziewięćdziesiątym pierwszym roku. Oszałała rzeka zabrała wszystko, zniszczyła ich dom, tylko ona przeżyła, uczepiona skał doczekała przybycia ekipy ratunkowej. Teraz już pan wie, dlaczego tak chętnie zajmuje się dziećmi sąsiadów, kiedy tylko ma okazję.

- Muszę jej zadać jeszcze jedno pytanie. Naprawdę, tylko jedno.

- O co chodzi, panie Latham?... Chyba dobrze sobie przypomniałam pańskie nazwisko, prawda? - rzekła Phyllis Cranston, ponownie prostując się na krześle; miała posępną minę, chyba zazwyczaj upijała się na smutno.

- Po ujawnieniu przez ojca Neumana tajemnicy komu pani o tym mówiła?

- Właśnie usiłuję to sobie przypomnieć... Tak, pod wpływem dokuczliwego kaca powiedziałam o tym Bobby'emu Durbane'owi z Centrum Łączności oraz pewnej stenotypistce, którą słabo znam, nawet nie wiem, jak się nazywa.

- Bardzo dziękuję - odparł Latham - i życzę dobrej nocy, Phyllis. Drew szedł po schodach do wyjścia z budynku przy rue Pavée pogrążony w myślach. Nie zdołał poznać nazwiska tej stenotypistki, ale samo jej stanowisko wskazywało, że jest podejrzana. Natomiast informacja o Robercie Durbane wstrząsnęła nim. Bobby, stary lis z centrum, weteran ekspertów z dziedziny łączności, był właśnie tym człowiekiem, który jako jeden z pierwszych poznał tajemnicę jego prawdziwego zadania i na własną rękę wysłał samochód ambasady na miejsce zamachu zorganizowanego przez bojówkę neonazistowską. Nie mieściło mu się to w głowie. Durbane był człowiekiem nadzwyczaj cichym, niemal ascetycznym, intelektualistą wечно ślęczącym nad krzyżówkami, szaradami i diakrostychami, do tego stopnia wyrozumiałym dla kolegów, że często brał za nich nocne zmiany, by tamci mogli spokojnie wypocząć po trudach dnia. A może Robert Durbane miał jeszcze inne oblicze, był głęboko zakonspirowanym informatorem? - zastanawiał się Drew. Może specjalnie brał te nocne zmiany, żeby w najspokojniejszych godzinach przed świtem wysyłać w eter swoje zakodowane raporty, przeznaczone dla kogoś, kto czekał na nie po dostrojeniu się do tajnej częstotliwości radiostacji ambasady? Jak inaczej można było wyjaśnić fakt, że samochód z żołnierzami ochrony zjawił się na miejscu zamachu już w minutę po tym, kiedy auto bojówkarzy wykonało ostry nawrót na ulicy i rozpoczęła się strzelanina, w której zginął jeden Niemiec, noszący pseudonim CZwolf? Czy Bobby Durbane zaaranżował tę potyczkę, najpierw powiadamiając oddział faszystów, a zaraz potem służby bezpieczeństwa? Na te pytania także należało znaleźć odpowiedź. A jednocześnie trzeba było przyjrzeć się bliżej owej anonimowej stenotypistce. Postanowił jednak odłożyć obie sprawy do rana, natomiast teraz zająć się powiernikiem ojca Neumana, Antoine'em Lavolette, byłym księdzem i pracującym na zlecenie wywiadu specjalistą od łamania szyfrów. Znalazł adres w książce telefonicznej, a po przejściu kilkuset metrów złapał taksówkę. Dochodziła już pierwsza w nocy, stwierdził jednak, że to

najwłaściwsza pora na spotkanie z byłym księdzem Lavolette, który prawdopodobnie znał wiele sekretów i można je było z niego wyciągnąć. Pod wskazanym numerem przy quai de Grenelle stała dwupiętrowa kamienica o frontonie z białego kamienia, ze świeżo pomalowanymi na zielono drewnianymi zdobieniami, przypominająca budynki z płócien Mondriana. Właściciel musiał być nieźle sytuowany finansowo, gdyż pozostałe domy składające się na cały kwartał wzdłuż avenue Montaigne wręcz rywalizowały ze sobą obokurnym wyglądem, ten zaś wyraźnie świadczył, że mieszka tu człowiek bogaty. Zatem były specjalista od łamania szyfrów i późniejszy ksiądz musiał się całkiem dobrze urządzić w otaczającym go materialistycznym świecie. Drew wbiegł po schodkach na ganek i stanął przed starannie pomalowanymi na zielono drzwiami, na których mosiężna kołatka i okucie zamka połyskiwały w mętnym blasku najbliższej latarni. Nacisnął dzwonek i czekał spokojnie, rzuciwszy okiem na zegarek: było dwadzieścia sześć po pierwszej. Minęły jednak długie trzy minuty, zanim otworzyła mu jakaś przestraszona kobieta w szlafroku. Miała najwyżej czterdzieści lat, a skoltunione ciemnoblonde włosy świadczyły, że przed chwilą wstała z łóżka.

- Mój Boże, czego pan chce w środku nocy? - wybuchnęła ze złością. - Gospodarz od dawna śpi!

- Vous parlez anglais? - zapytał Latham, podtykając jej pod nos legitymację służbową pracownika ambasady, spreparowany dokument, który głównie miał mu zapewnić poczucie bezpieczeństwa. - Un peu - odparła znacznie ciszej wyraźnie zaniepokojona kobieta.

- Muszę się zobaczyć z monsieur Lavolette. Przychodzę z niezwykle ważną sprawą, która nie może czekać do rana.

- Proszę poczekać, obudzę męża.

- Monsieur Lavolette to pani mąż?

- Nie, jest... szoferem patrona... między innymi. Poza tym zna anglais znacznie lepiej. Na zewnątrz! Kobieta zatrzasnęła Lathamowi drzwi przed nosem, zmuszając go do cofnięcia się na wykładany ceramicznymi płytkami ganek. Pocieszające było tylko to, że włączyła lampę nad wejściem. Po chwili drzwi otworzyły się ponownie i stanął w nich wysoki, mocno zbudowany mężczyzna, także w szlafroku; był tak szeroki w ramionach, iż z powodzeniem mógłby występować na boisku piłkarskim w linii obrony, przy czym nikt by nie spostrzegł, że nie ma na sobie ochraniaczy. Ponadto uwagę Lathama przyciągnęła silnie wypchana prawa kieszeń jego szlafroka, z której wystawała czarna, oksydowana kolba dużego, zapewne automatycznego pistoletu.

- Jaką ma pan sprawę do naszego patrona, monsieur? - zapytał gospodarz zdumiewająco miękkim, dźwięcznym głosem.

- To sprawa wagi państwowej - odparł Drew, ponownie wyciągając swoją legitymację. - Mogę rozmawiać wyłącznie z monsieur Lavolette'em, i to na osobności. Szofer wziął z jego rąk legitymację i zaczął czytać, nachylając ją do światła.

- Jest pan przedstawicielem rządu amerykańskiego?

- Pracuję w wywiadzie i ściśle współdziałam z waszym Deuxieme.

- Ech... Najpierw Deuxieme, potem Serace d'Etranger i agenci Surete, i jeszcze Amerykanie. Kiedy wreszcie zostawicie naszego patrona w spokoju?

- To człowiek niezwykle mądry, mający bogate doświadczenie, który zawsze znajdzie radę w kłopotliwej sytuacji.

- Ale to także starszy człowiek, który potrzebuje dużo snu, zwłaszcza od chwili, kiedy opuściła go żona. Wiele czasu spędza w kaplicy na rozmowach z nią i z Bogiem.

- Mimo wszystko muszę się z nim zobaczyć. Z powodu pewnych wydarzeń, zaaranżowanych wspólnie przez rząd francuski i amerykański, jego serdeczny przyjaciel może się znaleźć w nie lada kłopotcie.

- Tacy jak wy zawsze uważają swoje sprawy za najważniejsze, ale kiedy naprawdę ziemia się usuwa spod nóg, potraficie debatować nad każdym drobiazgiem całymi tygodniami, miesiącami czy nawet latami.

- Skąd pan może to wiedzieć?

- Bo sam przez wiele lat pracowałem dla was, ale nie chcę o tym więcej rozmawiać. Proszę mi tylko powiedzieć, dlaczego miałbym panu ufać.
- Do cholery, dlatego że tu jestem! O wpół do drugiej w nocy! - Więc czemu nie przyjdzie pan o wpół do ósmej czy wpół do dziewiątej, kiedy patron już wstanie? Pytanie to zostało jednak zadane spokojnym tonem, w głosie szofera nie było nawet cienia groźby.
- Dajże spokój, człowieku. Nie pozwalasz mi wykonywać swoich obowiązków. Czyżby nie dotarło do ciebie, że ja również bym wolał o tej porze być ze swoją żoną i trójką dzieci? Nieoczekiwanie tę sprzeczkę przerwało głośnie brzęczenie. Stojący w drzwiach olbrzym obejrzał się odruchowo, odsłaniając przed Lathamem perspektywę długiego korytarza prowadzącego w głąb domu. Na jego końcu znajdowały się wąskie drzwi z mosiężnymi okuciami, które po chwili się otworzyły, ukazując wewnątrz miniaturowej windy.
- Hugo! - zawołał siedzący w niej na fotelu siwowłosy starzec. - O co chodzi, Hugo? Słyszałem dzwonek do drzwi, a potem głosy ludzi spierających się po angielsku.
- Szkoda że nie zamknął pan drzwi swojej sypialni, patron. Wtedy byśmy pana nie obudzili.
- Dobrze, dobrze. Aż nazbyt sumiennie czuwacie nad moim spokojem. Może byś mi pomógł wysiąść z tego przeklętego urzędnictwa. I tak jeszcze nie spałem.
- Anna mówiła, że prawie pan nie tknął kolacji, a potem jeszcze przez dwie godziny klęczał w kaplicy.
- Ale to wszystko w dobrych intencjach, mój synu - odparł były ksiądz, Antoine Lavolette. Olbrzym pomógł mu wstać z fotela i starzec odziany w długi czerwony szlafrok ruszył powoli korytarzem. Mierzył około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, ale był tykowaty, wychudzony do tego stopnia, że przypominał szkielet obciążony skórą. Rysy jego twarzy natychmiast nasuwały skojarzenie z gotyckim wizerunkiem świętego: długi, prosty nos, silnie zarysowane brwi i duże oczy. - Naprawdę wierzę, iż Bóg słucha moich modlitw. Powtarzam mu bowiem, że od czasu dzieła stworzenia jest także odpowiedzialny za uczucia, jakimi mnie obdarzył względem żony. Niejednokrotnie wypominałem Mu, że ani Jego Syn, ani żaden z apostołów nigdy nie wspominał o zakazie wstępowania księży w związki małżeńskie. - Ja także jestem pewien, że Pan cię uważnie słucha, patron. - Gdyby było inaczej, mógłbym się też poskarżyć na ustawiczne bóle w kolanach, ale nie chcę Go obrażać. Wątpię zresztą, czy nasz Pan w ogóle ma kolana, które musi ciągle zginać... Nie, oczywiście, że je ma, przecież zostaliśmy stworzeni na Jego podobieństwo... W takim razie mogło to być niedopatrzenie... Starzec zatrzymał się przed Lathamem, który postąpił parę kroków w głąb holu.
- Proszę, proszę, kogo my tu mamy? Czy to pan jest tym intruzem dobijającym się do mego domu w środku nocy?
- Owszem, proszę pana. Nazywam się Latham i jestem pracownikiem ambasady amerykańskiej, oficerem waszyngtońskiego Wydziału Operacji Konsularnych. Pański szofer nadal trzyma w ręku moją legitymację.
- Na miłość boską, oddaj ją w tej chwili, Hugo, i skończ z całym tym nonsensem - rzekł karcącym tonem były ksiądz; nagle zaczął dygotać, zrobił się roztrzęsiony.
- O jakim nonsensem pan mówi? - zapytał Drew.
- Mój przyjaciel Hugo w latach młodości służył w gwardii pretoriańskiej utworzonej z Legii Cudzoziemskiej i stacjonował w garnizonie sajgońskim. Zostawiliście go tam, ale zdołał się jakoś wydostać na własną rękę.
- I dlatego tak dobrze zna angielski?
- Oczywiście, był oficerem do zadań specjalnych pod bezpośrednimi rozkazami dowództwa amerykańskiego.
- Nigdy nie słyszałem o żadnej gwardii pretoriańskiej złożonej z oficerów francuskich i stacjonującej w Sajgonie.
- Pretorianami nazywano powszechnie oddziały przeprowadzające misje samobójcze, a zapewne jest wiele innych rzeczy, o których nigdy pan nie słyszał. Amerykanie płacili naszym rodakom dziesięciokrotnie więcej, niż wynosił żołd w Legii Cudzoziemskiej, tylko za to, żeby dostarczali raporty przez linię frontu. Wy łatwo zapominacie o takich rzeczach, ale we

wszystkich kołach rządzących w Azji PołudniowoWschodniej francuski był zdecydowanie lepiej znany niż angielski... Przejdźmy jednak do sprawy, która pana tu sprowadza. - Ojciec Manfred Neuman.

- Rozumiem - mruknął Lavolette, śmiało patrząc Lathamowi prosto w oczy. - Odprowadź nas do biblioteki, Hugo, i uwolnij monsieur Lathama od ciężaru jego broni, którą zaopiekujesz się do czasu, aż skończymy rozmowę.

- Oui, patron. Szofer uniósł legitymację, zarazem nastawiając prawą rękę i ruchem głowy wskazując, by Drew oddał mu pistolet. Zwróciwszy uwagę, że olbrzym nie spuszcza wzroku z ledwie zauważalnego wybruszenia pod jego marynarką, Latham powoli sięgnął do wewnętrznej kieszeni i ostrożnie wyjął broń.

- Merci, monsieur - rzekł Francuz, pospiesznie zabierając pistolet i wręczając mu legitymację. Odwrócił się, ujął swojego patrona pod ramię i wprowadził go do pobliskiego pokoju. Wzdłuż ścian ciągnęły się tu półki zastawione książkami, a wokół stolika o marmurowym blacie stały masywne fotele ze skórzanymi obiciami. Zająwszy miejsce w jednym z nich, Lavolette wskazał stojący naprzeciwko fotel i rzekł:

- Proszę się rozgościć, monsieur Latham. Ma pan ochotę się czegoś napić? Bo ja tak. Rozmowa o tej porze wymaga odrobiny dobrego destylatu z winogron.

- Napiję się czegokolwiek, co pan wybierze.

- Z tej samej butelki, ma się rozumieć - zauważył z uśmiechem były ksiądz. " Podaj nam dwie lampki courvoisiera, Hugo. - Bardzo trafny wybór - odparł Latham, rozglądając się z zainteresowaniem po wnętrzu eleganckiej biblioteki. - To wspaniałe miejsce.

- Odpowiada moim potrzebom, jako że bardzo lubię czytać przyznał Lavolette. - Moi goście często okazują zdumienie, kiedy na pytanie, czy przeczytałem te wszystkie książki, odpowiadam, że co najmniej dwa lub trzy razy.

- To naprawdę imponujące.

- Kiedy pan dojdzie do mojego wieku, monsieur Latham, tak samo pan stwierdzi, że słowa są nieskończenie trwalsze w porównaniu z migającymi obrazami w telewizorze.

- Znam też takich ludzi, którzy utrzymują, że jeden kadr jest nieraz więcej wart niż tysiąc słów.

- Nie przeczę, ale dotyczy to najwyżej jednego z wielu tysięcy obrazów. Ja jednak uważam, choć może wynika to z przyzwyczajenia, że ani jeden obraz, choćby było to ręcznie malowane płótno, nie dorównuje słowu pisanemu.

- Trudno mi ocenić, nigdy się nad tym dłużej nie zastanawiałem.

- Zapewne nie miał pan na to czasu. Ja w pana wieku także nigdy nie miałem czasu. Szofer wniósł tacę z dwoma kieliszkami, w każdym z nich znajdowała się starannie odmierzona, porcja trunku.

- Dziękuję, Hugo - powiedział specjalista od łamania szyfrów i były ksiądz. - Byłbym bardzo zobowiązany, gdybyś wychodząc zamknął drzwi i zaczekał w holu.

- Oui - patron - odparł cicho olbrzym i zamknął za sobą ciężkie dwuskrzydłowe drzwi pokoju.

- W porządku, Drew Latham. Ile zdołał się pan o mnie dowiedzieć? - zapytał wprost Lavolette.

- Wiem, że zrezygnował pan ze służby duchownej, by móc wstąpić w związek małżeński, a w latach młodości wywiad francuski często korzystał z pańskich usług jako eksperta od łamania szyfrów. To chyba już wszystko. Aha, wiem też o pana bliskich kontaktach z Manfredem Neumanem, który powiedział, że pomaga mi pan uporać się z jego problemem.

- Jemu nikt nie zdoła pomóc, chyba że dobry psychiatra, którego zresztą radziłem mu poszukać.

- On twierdzi jednak, że daje mu pan silne wsparcie religijne, ponieważ przed laty borykał się z takim samym problemem.

- Merde, czyli bzdura, jak to wy, Amerykanie, lubicie często powtarzać. Ja się naprawdę zakochałem w kobiecie i pozostawałem jej wierny przez czterdzieści lat. Neuman natomiast gotów jest uprawiać nierząd z każdą kobietą, dla niego nie istnieją kryteria wyboru, liczy się

tylko odpowiedni czas i miejsce, sprzyjające okoliczności. Wielokrotnie go prosiłem, żeby zwrócił się o pomoc do specjalisty, dopóki jeszcze nie jest za późno... Czyżby jednak przyszedł pan tu o tak późnej porze, aby mi o tym zakomunikować?

- Doskonale pan wie, że nie. Zdaje pan sobie sprawę, po co tu przyszedłem, poznałem to po pańskiej minie, kiedy wymienilem swoje nazwisko. Próbowal pan ukryć przede mną zaskoczenie, ale na pańskiej twarzy pojawił się taki grymas, jakby otrzymał pan cios w żołądek. Neuman powiedział panu prawdę o mnie, a pan zdradził ją innej osobie. Komu?

- Pan tego nie rozumie, żaden z was nie chce tego pojąć szepnął Lavolette, oddychając coraz szybciej.

- Co miałbym zrozumieć?

- Oni wszyscy trzymają nas jakby na sznurze owiniętym wokół szyi. I nie tylko nas, bo to jeszcze można by wybaczyć, ale także wielu, bardzo wielu innych!

- Neuman powiedział panu, kim naprawdę jest pułkownik Webster, zgadza się? Wiedział pan, że w tę rolę się wcielił niejaki Latham!

- Nie uczynił tego dobrowolnie, wyciągnąłem z niego ową informację, gdyż przypuszczałem, co się święci. Musiałem to zrobić. - Dlaczego?

- Proszę, jestem już stary i zostało mi niewiele czasu. Niech pan nie komplikuje mi tej resztki życia jeszcze bardziej. - Coś panu powiem, ojczu. To prawda, że pański goryl zabrał mój pistolet, ale ja i z gołymi rękoma jestem przy panu uzbrojony. Proszę mi więc powiedzieć, po co pan to zrobił, do cholery! - Posłuchaj, mój synu. - Lavolette wypił brandy dwoma dużymi haustami, gdyż ręce zaczynały mu coraz silniej dygotać. Moja żona była Niemką. Poznałem ją, kiedy Stolica Apostolska zaraz po wojnie przekazała mi parafię pod wezwaniem Najświętszego Sakramentu w Mannheim. Miała już dwójkę dzieci i męża prostaka, byłego oficera Wehrmachtu, który prowadził firmę ubezpieczeniową. Zakochaliśmy się w sobie, a owo uczucie było tak gorące, iż porzuciłem szaty duchowne, by móc z nią spędzić resztę swojego życia. Przeprowadziła rozwód w Szwajcarii, ale sąd niemiecki przyznał ojcu prawo do opieki nad dziećmi... Te dorosły, doczekały się swoich dzieci, później wnucząt. Obecnie rodzina ze strony mojej bylej żony liczy szesnaście osób, a ona ze wszystkimi była tak bardzo związana, podobnie jak ja...

- Pozostawał więc pan ze wszystkimi w kontakcie, prawda?

- O tak. Przeprowadziliśmy się do Francji, gdzie rozkręciłem swój mały interes, nie korzystając z żadnej pomocy byłych kolegów duchownych. Wraz z upływem lat jej dzieci odwiedzały nas coraz częściej, zarówno tu, w Paryżu, jak i w letniskowym domku w Nicei. Pokochałem je niczym własne.

- Dziwię się, że ich ojciec pozwalał na te wyjazdy - wtrącił Drew.

- Myślę, że niewiele go to obchodziło, gdyż z przyjemnością pokrywaliśmy wszystkie koszty, co do grosza. Ożenił się powtórnie i z drugą żoną miał jeszcze trójkę dzieci. Toteż dwoje starszych, jak sądzę, było dla niego jedynie ciężarem. Nie mógł z ich powodu zapomnieć o wścibskim księdzu, który wtargnął w stateczne życie początkującego niemieckiego biznesmena i rozbił mu małżeństwo, jak gdyby podeptał dotychczasowe osiągnięcia byłego oficera Wehrmachtu... Teraz zaczyna pan rozumieć?

- Mój Boże - szepnął Latham, spoglądając rozmówcy prosto w oczy. - Więc to był szantaż. Ten człowiek w głębi ducha pozostał faszystą.

- Dokładnie tak, tyle że od kilku lat nie dręczy mnie już osobiście, ponieważ zmarł. Ale zostawił innym ten spadek, a ich organizacja z ochotą go wykorzystuje.

- Gromadkę dzieci i wnuków, znakomite dojście do byłego księdza, cieszącego się wielkim poważaniem i nadal mającego znajomości w wywiadzie francuskim. To nic innego jak szantaż. - Sprzedałem pańskie życie, monsieur Latham, za życie szesnaściorga niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci, pionków w tej śmiertelnej rozgrywce) o której nawet nic nie wiedzą. Pan postąpiłby inaczej na moim miejscu?

- Sądzę, że tak samo - przyznał Drew. - Proszę mi jednak zdradzić, co pan konkretnie uczynił, komu przekazał informacje. - Oni wszyscy mogą zginąć. Czy pan to rozumie?

- Nie zginą, jeśli odpowiednio rozegramy tę sprawę, a ja uczynię wszystko, żeby tak było. Nikt nie wie, że przyszedłem do pana, więc można się niczego nie obawiać. Proszę mi powiedzieć prawdę!
- Jest pewien człowiek, aż wstyd wyznać, także duchowny, chociaż nie mojego wyznania. To pastor luterański, dość młody, około czterdziestki, według mojego szacunku. Tu, w Paryżu, jest przywódcą ich ruchu, a zarazem głównym łącznikiem z faszystowskimi siatkami w Berlinie oraz w Bonn. Wielebny Wilhelm Koenig kieruje parafią w NeuillysurSeine. To zresztą jedyna parafia luterańska w tamtym okręgu.
- Spotykał się pan z nim?
- Nie, nigdy. Jeżeli mam mu przekazać jakiegokolwiek dokumenty, wysyłam któregoś parafianina z naszego Stowarzyszenia Wspólnot Chrześcijańskich, albo jakiegoś starca, albo kogoś bardzo młodego, komu zależy wyłącznie na zarobieniu kilkuset franków. Naturalnie rozpytywałem później tych kurierów, stąd wiem, ile on liczy sobie lat i jak wygląda.
- Jak zatem wygląda?
- Dość niski, atletycznie zbudowany, bardzo silnie umięśniony. W piwnicy zakrystii urządził salę gimnastyczną, gdzie zgromadził najróżniejsze przyrządy do ćwiczeń. Tam właśnie spotyka się z moimi kurierami. Nigdy nie widzieli go w koloratce, zawsze w dresie sportowym, na jednym z rowerów treningowych czy pod wyciągiem siłowym. Zapewne chce w ten sposób ukryć przed obcymi swój niski wzrost.
- Ale to tylko przypuszczenia.
- Pracowałem dla wywiadu francuskiego, monsieur, lecz i bez tego zdołałbym się domyślić prawdy. Wysłałem kiedyś z większą przesyłką pewnego bardzo oddanego mi dwunastolatka. Koenig był tak podekscytowany, że na jego widok natychmiast zeskoczył z przyrządu. Po powrocie chłopak powiedział: "Nie wiem, ojcze, czy choć trochę był wyższy ode mnie, ale, na Boga, nigdy jeszcze nie widziałem tak olbrzymich mięśni."
- W takim razie powinienem go bez trudu rozpoznać - zauważył Latham, dopijając brandy. Podniósł się z fotela i zapytał: Czy ten Koenig posługuje się jakimś pseudonimem?
- Owszem, choć wydaje mi się, że zna go nie więcej niż pięć osób w całej Francji. To imię Heraklesa, syna Zeusa w mitologii greckiej.
- Bardzo dziękuję, monsieur Lavolette. Jeszcze raz przyrzekam, że uczynię wszystko, by nie narazić mieszkającej w Niemczech rodziny pańskiej żony. Niemniej, jak powiedziałem to już dzisiaj komuś innemu, niczego więcej nie mogę obiecać. Chodzi bowiem o pewną osobę, która dla mnie jest najważniejsza.
- Idź z Bogiem, mój synu. Ludzie uważają, że nie mam już prawa mówić w ten sposób, ale ja jestem przekonany, iż On nie utracił swej wiary we mnie. Czasami ten świat bywa okrutny i wszyscy musimy się kierować swoją wolną wolą, którą otrzymaliśmy zrządzeniem Pana.
- Muszę przyznać, że miewam spore kłopoty z kierowaniem się moją wolną wolą, ojcze Lavolette, ale nie będę nimi obciążał pańskiego sumienia.
- Dzięki ci za to. Hugo odda ci twój pistolet i odprowadzi do wyjścia.
- Mam jeszcze jedną prośbę, jeśli wolno.
- Zależy, jaka prośba.
- Czy mógłbym dostać kawałek liny lub kabla elektrycznego, mniej więcej trzymetrowej długości?
- Po co?
- Jeszcze nie jestem pewien. Po prostu przyszło mi do głowy, że warto by coś takiego mieć.
- Wy, agenci działający w terenie, jesteście zawsze tak samo ezoteryczni.
- Wszystko zależy od terenu - odparł cicho Drew. - Jeśli nie wiemy, co nas czeka, próbujemy brać pod uwagę wszelkie możliwości. W końcu nie jest ich tak dużo.
- Hugo znajdzie dla ciebie coś odpowiedniego. Przekaż mu, żeby poszukał w spiżarni.

Była już 3.10 w nocy, kiedy Drew dotarł do luterańskiej parafii w NeuillysurSeine. Odprawił taksówkę i ruszył ostrożnie w stronę kościoła, połączonego z zakrystią krótką oszkloną

kolumnadą. Wokół panowały ciemności, ale niebo było bezchmurne i jasny blask księżyca pozwalał mu dość dokładnie obejrzeć obie budowle. Toteż Latham poświęcił niemal dwadzieścia minut na chodzenie dookoła nich i szczegółowe sprawdzanie wszystkich okien i drzwi, a zwłaszcza w tej części zakrystii, którą przeznaczono na mieszkanie pastora i przywódcy ruchu nazistowskiego. Do kościoła można się było włamać bez trudu, ale zakrystia była zabezpieczona rozbudowanym systemem alarmowym, wszędzie po ścianach ciągnęły się wiązki przewodów. W pierwszej chwili pomyślał, że uruchomienie alarmu mogłoby przerazić faszystę, ale zaraz doszedł do wniosku, iż przede wszystkim byłoby to niepożądane ostrzeżenie. Przypomnił sobie, że ma zapisany nie tylko adres, lecz także numer telefonu pastora. Wyjął więc z kieszeni aparat komórkowy, w który zaopatrzył go Witkowski, i sięgnął po notes. Pospiesznie wystukał numer na klawiaturze, układając w myślach słowa.

- Alló, alló - odezwał się po drugim sygnale piskliwy głos mężczyzny.

- Będę mówił po angielsku, ponieważ jestem sonnenkindem urodzonym i wychowanym w Ameryce.

- Słucham?

- Wracam z narady w Berlinie i otrzymałem instrukcje, by w drodze do Nowego Jorku skontaktować się z Heraklesem. Samolot się opóźnił z powodu złej pogody i tylko dlatego nie zdążyłem tu dojechać przed nocą, a za trzy godziny odlatuję do Stanów. Musimy się spotkać. Teraz.

- Berlin? Herakles? Kto mówi?

- Nie będę powtarzał. Jestem sonnenkindem, Fuhrerem wszystkich sonnenkindów za oceanem i domagam się należnego respektu. Mam do przekazania ważne informacje.

- Gdzie jesteś?

- Dziesięć metrów od twoich drzwi.

- Mein God! O niczym mnie nie uprzedzono!

- Nie było czasu, poza tym nie mogliśmy skorzystać z normalnych kanałów, ponieważ zostałeś zdemaskowany.

- Nie potrafię w to uwierzyć!

- Musisz, bo inaczej skorzystam z tego telefonu i zaraz powiadomię Berlin, albo nawet Bonn, wskutek czego Herakles natychmiast zostanie zdjęty z tego posterunku. Zejdź na dół, najdalej za pół minuty, w przeciwnym razie zadzwonię do Berlina. - Nie! Zaczekaj! Już schodzę! Minęło zaledwie parę sekund, gdy zapaliło się światło, najpierw w korytarzu na piętrze, później na parterze. Chwilę potem otworzyły się drzwi i stanął w nich wielbny Wilhelm Koenig, w piżamie oraz grubym niebieskim szalu. Drew przyglądał mu się przez jakiś czas, ukryty w cieniu pod drzewem. Pastor w rzeczywistości był bardzo niski i nadzwyczaj szeroki w ramionach. Krótkie, grube i lekko pałkowate nogi upodabniały go do bullmastiffa, a na okrągłej, nalanej twarzy, przypominającej pysk szykującego się do ataku psa, widniał grymas obrzydzenia. Latham wyszedł z cienia i ruszył przez trawnik w stronę jasno oświetlonego wejścia.

- Proszę, podejdź tu, Heraklesie. Porozmawiamy na powietrzu. - Dlaczego nie wejdiesz do środka? Jest zimno. W salonie byłoby nam o wiele wygodniej.

- Ja nie odczuwam zimna - odparł Drew. - Wręcz przeciwnie, noc jest raczej ciepła i przyjemna.

- Przecież mogę włączyć klimatyzację.

- W myśl instrukcji nie powinniśmy rozmawiać w twojej zakrystii. Chyba nie muszę ci wyjaśniać powodów.

- Boisz się, że nagram naszą rozmowę?! - zawołał lekko zachrypniętym głosem Koenig, z ociąganiem robiąc kilka kroków do przodu. - Sam siebie bym w ten sposób skompromitował! Jesteś Ferruckt!

- Można znaleźć inne, równie prawdopodobne wytłumaczenie. - Na przykład jakie?

- Że Francuzi założyli tu podsłuch.

- Wykluczone! Nieustannie działają urządzenia, które z pewnością by wykryły założony podsłuch!
- Każdego dnia wymyśla się nowe typy takich zabawek, wielebny. Chodźże, niech nasi przełożeni w Berlinie będą usatysfakcjonowani, nawet jeśli są w błędzie. Prawdę mówiąc, obaj jesteśmy im to winni.
- Proszę bardzo. Koenig ruszył śmiało chodnikiem, lecz Drew powstrzymał go ruchem ręki.
- Zaczekaj.
- O co chodzi?
- Pogaś światła i zamknij drzwi. Nie chcesz chyba, żeby przypadkiem zatrzymał się tu patrol policji.
- Masz rację.
- Czy ktoś jeszcze jest w domu?
- Pomocnik, zajmuje pokój na poddaszu. A dwa moje psy siedzą w kuchni, gotowe przybiec na wezwanie.
- Można z dołu wyłączyć światła na piętrze?
- W korytarzu, ale nie w sypialni.
- Więc zgaś je także.
- Jesteś nadzwyczaj ostrożny, Herr Sonnenkind.
- Tak zostałem wyszkolony, Herr Herakles. Pastor wszedł z powrotem i po chwili zgasły światła w obu korytarzach, na piętrze i na parterze. Nieoczekiwanie w głębi domu rozległ się głośny okrzyk Koeniga:
- Hunde! Aufrug! Kiedy mężczyzna ponownie stanął w drzwiach, w blasku księżyca ukazały się też sylwetki dwóch psów idących mu przy nogach. Zwierzęta były niskie, o szerokich klatkach piersiowych oraz wielkich pyskach i poruszały się na lekko pałakowatych nogach. W ogólnych zarysach były nieco podobne do swego pana, należały bowiem do rasy buldogów francuskich.
- Oto moi przyjaciele, Donner i Blitzen. Dzieci parafian bardzo lubią te imiona. Nie są groźne, dopóki nie otrzymają ode mnie specyficznego rozkazu, którego, ze zrozumiałych względów, nie mogę tu wymienić, gdyż rozszarpałyby cię na strzępy.
- Berlinowi nie będzie się to podobało.
- Więc proszę nie dawać mi pretekstu, bym wydał im rozkaz do ataku - oznajmił Koenig, ruszając ścieżką przez trawnik; psy posłusznie maszerowały po obu stronach swego pana. - I nie chciałbym też słyszeć uwag o podobieństwie właściciela do swego psa czy też odwrotnie. Różni ludzie ciągle mi to powtarzają. - Nie rozumiem dlaczego. Jesteś od nich trochę wyższy.
- To wcale nie jest śmieszne, Sonnenkind - syknął tamten, zerkając z ukosa na Lathama. Prawą dłonią ułożył sobie szal na ramieniu, przyciskając lewą rękę do ciała. Nie trudno było zgadnąć, co tam ukrywa.
- Jakaż to informacja z Berlina? To chyba oczywiste, że będę chciał uzyskać jej potwierdzenie.
- Ale na pewno nie ze swojego telefonu - odparł stanowczo Latham. - Idź na drugi koniec miasta, a jeszcze lepiej zadzwoń z sąsiedniego okręgu i stamtąd upominaj się o potwierdzenie, ale nie korzystaj ze swojego telefonu. Masz i tak już spore kłopoty, więc staraj się nie pogarszać sytuacji. Potraktuj to jak przyjacielską radę. - Czyżby naprawdę sprawy miały się aż tak źle? Mimo wszelkich podjętych przeze mnie środków bezpieczeństwa faktycznie mogłem zostać zdekonspirowany?
- Nie ulega wątpliwości, Heraklesie.
- Na jakiej podstawie tak sądzą?
- Przede wszystkim chcieliby wiedzieć, czy macie tę kobietę. - De Vries?
- Tak, chyba o nią chodziło. Nie jestem pewien, słyszalność była kiepska, a za godzinę muszę przesłać odpowiedź do Berlina. - Jak oni mogli się dowiedzieć o naszej akcji? Przecież nie wysłałem jeszcze raportu! Wciąż czekamy na rezultaty.

- Podejrzewam, że mają swoich ludzi w wywiadzie francuskim, w Surete i innych tego typu instytucjach... Posłuchaj, Koenig. Nie obchodzi mnie nic, co wykracza poza bezpośrednią sferę moich zadań, mam dosyć swoich kłopotów w Stanach Zjednoczonych. Po prostu odpowiedz mi na kilka pytań, bym mógł przekazać odpowiedź naszym wspólnym przełożonym. Więc macie tę kobietę czy nie? - Tak, oczywiście, mamy ją.
- Jeszcze jej nie zabiliście - bardziej oznajmił, niż zapytał Drew.
- Jeszcze nie. Ale za kilka godzin, jeśli nie będzie chciała z nami współpracować, zginie i podrzucimy jej zwłoki przed wejściem do ambasady amerykańskiej.
- O jaką współpracę chodzi? Tylko nie zasypuj mnie zbędnymi szczegółami. Chcę znać wasz plan w ogólnym zarysie, żeby mieć co przekazać do Berlina. Możesz wierzyć, że mnie to nic a nic nie obchodzi.
- W porządku. O pierwszym brzasku nasz oddział ma się skontaktować z jej kochankiem, niejakim Lathamem, i powiedzieć mu, że jeśli chce ją jeszcze zobaczyć żywą, niech przyjdzie na spotkanie, do jakiegoś parku czy pod któryś z pomników, gdzieś gdzie łatwo będzie rozmieścić kilku snajperów. Gdy tylko się pojawi, zlikwidujemy ich oboje.
- I gdzie ma się odbyć to spotkanie?
- Nie wiem, dowódca oddziału miał podjąć decyzję. Ja w to nie wnikam.
- A gdzie ta kobieta jest przetrzymywana?
- Dlaczego Berlin miałby się tym interesować? - Pastor szybko odwrócił głowę i spojrzał podejrzliwie na swego gościa. . Nigdy nie żądali ujawnienia tego typu taktycznych szczegółów.
- A skąd ja miałbym to wiedzieć, do cholery?! - Latham podniósł nieco głos i oba buldogi natychmiast zaczęły cicho warczeć. - Powtarzam jedynie to, o co kazano mi cię zapytać! Mimo woli ogarniało go coraz silniejsze wzburzenie, czuł kropelki potu ściekające mu po czole. Do diabła, panuj nad sobą! - upominał siebie w myślach. Za chwilę poznasz odpowiedź! - W porządku, to żadna tajemnica - mruknął największy z buldogów, poruszający się w pozycji wyprostowanej. - Zresztą nasi dowódcy, przebywający tysiąc kilometrów stąd, i tak nie zdołają już powstrzymać nas przed realizacją tego planu. Jest przetrzymywana w Paryżu, w domu przy rue Lacoste 23.
- Co to za mieszkanie?
- Nie mam pojęcia. To jakaś klitka, nawet bez telefonu, ale warunki najmu były bardzo korzystne. Oddział się stamtąd wyniesie z samego rana, nie zostanie po nim nawet śladu, a właściciel ma zapłacone za kilka miesięcy z góry. Etap pierwszy dobiegł końca, pomyślał Drew. Teraz trzeba było pokonać etap drugi, czyli jakimś sposobem uwolnić się od tych cholernych psów i samego Koeniga.
- To chyba wszystko, o czym Berlin chciał się pilnie dowiedzieć - rzekł spokojnie.
- Ale ja wciąż czekam na tę informację, którą miałem otrzymać - odparł luterański faszysta.
- To bardziej rozkaz niż informacja. Masz na pewien czas wycofać się z wszelkiej działalności, nie wysyłać raportów, od nikogo nie odbierać poleceń. Kiedy nadejdzie właściwy czas, Berlin skontaktuje się z tobą i zarządzi wznowienie operacji. Poza tym, gdybyś chciał uzyskać potwierdzenie rozkazów, które ci przekazałem, wykorzystaj którąś z mniej aktywnych siatek, najlepiej w Hiszpanii lub Portugalii.
- To szaleństwo! - wybuchnął zakłamanym pastorem, a na dźwięk jego głosu oba psy zaczęły głośniejsz warczeć i kłapać zębami. Halten! - krzyknął Koenig, uciszając je natychmiast. - Jestem najgłębiej zakonspirowanym przywódcą siatki francuskiej!
- Powiedziano mi, że dokładnie to samo twierdził niejaki Andre, który nie ma już czego szukać w organizacji.
- Andre?!
- Słyszałeś wyraźnie. Co prawda nie znam człowieka i nie wiem, kto się kryje pod tym pseudonimem.
- Mein Gott, Andre! - jęknął cicho Koenig, osłupiały, a zarazem przestraszony. - On był taki getarnt!

- Przepraszam, ale nie rozumiem. Nawet w dowództwie naszej siatki w Ameryce mało osób dobrze zna niemiecki. Widocznie uważano, że tak będzie dla nas lepiej.
- Mówiłem, że był wręcz nieziemsko dobry.
- Wątpię w to. Berlin wspominał coś, że chcą go odesłać z powrotem do Strasburga, chociaż nie mam pojęcia, o co tu chodzi. - Do Strasburga? Zatem to prawda.
- Nie potrafię tego ocenić, zresztą nawet nie chcę o niczym wiedzieć. Teraz zależy mi jedynie na bezpiecznym dotarciu do Heathrow, gdzie złapię bezpośrednie połączenie z Chicago.
- A co ja mam robić?
- Już ci mówiłem, Heraklesie. Rano skontaktuj się ze swymi kolegami z Hiszpanii lub Portugalii, korzystając z jakiegoś bezpiecznego telefonu, i zwróć się do Berlina o potwierdzenie rozkazów, które ci przekazałem. To chyba dość jasne. Wszystko się tak skomplikowało...
- Jak cholera - przyznał Latham, zerkając na rękę Koeniga ukrytą pod szalem oraz cicho powarkujące psy. - Wracajmy, teraz chętnie skorzystam z twego zaproszenia. Chyba nie muszę ci mówić, że jesteś mi winien co najmniej drinka.
- Tak, oczywiście... Rein! - rzucił krótko psom i te wbiegły do budynku przez otwarte drzwi. - Proszę bardzo, Herr Sonnenkind, proszę wchodzić.
- Za chwilę - odparł Drew, pospiesznie zatrzasnął drzwi zakrystii i odpychając w bok zdumionego faszystę. Koenig błyskawicznie zsunął szal z ramienia, odsłaniając trzymany w lewej dłoni mały, automatyczny pistolet. Zanim jednak zdążył wykonać najmniejszy ruch, Latham chwycił go za rękę i z całej siły ją wykręcił, licząc na to, że jeśli Niemiec nie wypuści broni, to będzie miał zwichnięty nadgarstek. Coś chrupnęło mu pod palcami i pastor mimo woli rozwarł dłoń. Drew chwycił pistolet za lufę i odrzucił go daleko w trawę. To, co teraz nastąpiło, należałoby określić krótko jako walkę na śmierć i życie dwóch zażartych zwierząt, które broniły największych wartości swego życia, choć dla jednego były to pobudki ideologiczne, dla drugiego zaś względy osobiste. Koenig przeistoczył się w parszającego, atakującego zaciekle dzikiego kota, zadającego błyskawiczne ciosy łapami jak gdyby uzbrojonymi w ostre pazury. Natomiast Latham przypominał większego, groźnie obnażającego >kły wilka, który chce zwyciężyć, skacząc przeciwnikowi do gardła. Za wszelką cenę starał się chwycić Koeniga, unikając zdradliwych ciosów, i unieruchomić go w zwarciu. Ostatecznie jednak to jego zdecydowanie większy wzrost i lekka przewaga siły pozwoliły mu wiaść górę nad przeciwnikiem i po pewnym czasie oba zaciekle zwierzęta, wyczerpane i broczące krwią, zdały sobie sprawę, które z nich musi wygrać w tej walce. Po ostatnim zwarciu Koenig padł na ziemię; jedną rękę miał złamaną, drugą zwichniętą w nadgarstku, a mięśnie obu nóg przeszywały bolesne skurcze. Latham miał całe dłonie podrapane i silnie zakrwawione, a klatkę piersiową i brzuch obite do tego stopnia, że zbierało mu się na wymioty. Stał nad pokonanym faszystą i energicznie splunął mu w twarz. Następnie przyklęknął i wyciągnął grubą linę, którą był owinięty w pasie, a którą dał mu Hugo. Pospiesznie związał Koeniga, przewróciwszy go na brzuch i wykręciwszy ręce do tyłu, przy czym zastosował takie węzły, które powinny się bardziej zaciskać przy każdym poruszeniu ręką lub nogą. Wreszcie pociął na pasy grubego szala pastora, podobnie jak uczynił to z prześcieradłem w hotelu "Normandie", i starannie zakneblował fałszywego sługę bożego. Zerknąwszy pospiesznie na zegarek, zaciągnął skrepowanego Koeniga w pobliskie krzaki i jednym ciosem pozbawił go przytomności. Następnie wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wybrał numer Stanleya Witkowskiego.

* * *

ROZDZIAŁ 32

- Ty sukinsynu! - ryknął pułkownik. - Moreau chce złapać cię za dupę i zawlec przed pluton egzekucyjny, a ja ani trochę mu się nie dziwię!
- Czyżby jego ludziom udało się uciec?
- Co ty sobie właściwie wyobrażasz? Co ty robisz, do wszystkich diabłów?!
- Opowiem ci, ale najpierw musisz się uspokoić.
- Ja mam się uspokoić? Jasne, czemu nie. Sam się sobie dziwię, że nie jestem spokojny. Courtland ma z samego rana stawić się na Quai d'Orsay, żeby odebrać za ciebie cięgi. Zostałeś uznany za persona non grata i musisz natychmiast opuścić Francję. Paryż ma zamiar złożyć oficjalny protest dotyczący mojej osoby. Pewnie, w tej sytuacji każdy byłby spokojny.
- To wszystko sprawka Moreau?
- Przecież nie świętego Mikołaja.
- Wobec tego, damy sobie radę.
- Czy ty mnie w ogóle nie słuchasz? Napadłeś na dwóch agentów Deuxieme, obezwładniłeś ich, związałeś i uniemożliwiłeś nawiązanie kontaktu z centralą, w ten sposób rozwalając na kawałki misternie skonstruowaną operację francuskiego wywiadu! - Owszem, ale weź pod uwagę, że jednocześnie poczyniłem znaczne postępy, i to dokładnie takie, na jakich najbardziej zależy Moreau.
- Co takiego?
- Poślij oddział marines do protestanckiego kościoła w NeuillysurSeine. - Latham podał Witkowskiemu dokładny adres i opisał miejsce, gdzie w gęstych krzakach leżał związany Koenig. To ważna szychka wśród paryskich neonazistów, chyba jeszcze ważniejsza niż Strasbourg, a nawet jeśli nie, to z pewnością lepiej zakamuflowana.
- Jak go znalazłeś?
- Później ci opowiem. Teraz zadzwoń do Moreau i poślij marines, żeby dostarczyli Koeniga do Deuxieme Bureau. Powiedz Claude'owi w moim imieniu, że to dowód mojej bonafide.
- Będzie chciał czegoś więcej niż związanego pastora. Jezu, przecież może się okazać, że jesteś stuknięty, a wtedy on wyleci z roboty i do końca życia będzie ciągnany po sądach!
- Nic się nie bój. Koenig ma pseudonim Herakles. Znasz grecką mitologię? Pułkownik zmarszczył brwi.
- Herakles? Przecież to syn Zeusa!
- Tym lepiej - stwierdził Drew. - A teraz bierz się do roboty. To wszystko zajmie ci najwyżej minutę albo dwie. Potem spotkamy się...
- Mamy się spotkać? Na sam twój widok korci mnie, żeby rozwalić ci głowę!
- Wstrzymaj się jeszcze trochę, Stanley. Wiem, gdzie trzymają Karin.
- Co takiego?
- Rue Lacoste 23, numer mieszkania nieznany, ale nie ulega wątpliwości, że zostało niedawno wynajęte.
- Wycisnąłeś to z ojczulka?
- Wcale nie musiałem się napracować. Był mocno przestraszony.
- Przestraszony?
- Nie mamy czasu, Stosh! Musimy zająć się tym tylko we dwóch. Zabiją ją, jak tylko zaczną podejrzewać, że coś się święci. I tak zrobią to za godzinę, może półtorej, jeśli do tego czasu nie uda im się do mnie dotrzeć.
- W porządku. Będę czekał na ciebie jakieś sto metrów na wschód od budynku, w połowie drogi między dwiema latarniami, przed najciemniejszą wystawą albo u wylotu bocznej uliczki. - Dziękuję ci, Stanley. Szczerze. Potrafię wyczuć, kiedy trzeba zrezygnować z działania w pojedynkę, a nikt nie mógłby mi pomóc bardziej niż ty.
- Nie mam wyboru. Przekonałeś mnie tym Heraklesem.

Karin de Vries siedziała na krześle z rękami związanymi za oparciem. Naprzeciwko niej na kuchennym stolku zasiadł szczupły, ale szeroki w ramionach neonazista; od niechcienia bawił się trzymanym w rękę pistoletem z przytwierdzonym do lufy długim metalowym cylindrem. Był to tłumik.

- Na jakiej podstawie przypuszcza pani, że jej mąż żyje, Frau de Vries? - zapytał po niemiecku. - A gdyby nawet tak było, choć to zupełnie niemożliwe, to dlaczego mielibyśmy cokolwiek o nim wiedzieć? Przecież nikt nie wątpi, że został zlikwidowany przez Stasi.

- Może i nikt w to nie wątpi, ale to nieprawda. Jeśli żyje się z kimś przez osiem lat, bez trudu można rozpoznać jego głos, choćby nie wiadomo jak zmieniony.

- Nadzwyczaj interesujące. Pani słyszała jego głos?

- Dwa razy.

- Akta Stasi stwierdzają coś zupełnie innego. Bardzo dobitnie, że się tak wyrażę.

- Właśnie na tym polega problem: zbyt dobitnie.

- Nie rozumiem pani.

- Nawet najwięksi zwyrodnialcy z gestapo nie opisywali ze szczegółami tortur zadawanych więźniom ani egzekucji. To nie było w ich interesie.

- Niestety, nie pamiętam tych czasów.

- Ani ja, ale przecież zachowały się dokumenty. Chyba powinien pan się z nimi zapoznać.

- Obejdę się bez pani rad. Wracając do tego głosu: gdzie go pani słyszała?

- Jak to gdzie? Przez telefon, ma się rozumieć.

- Przez telefon? Mąż zadzwonił do pani?

- Nie przedstawił się, ale obrzucił mnie stekiem wyzwisk dokładnie takich samych jak te, które często płynęły z jego ust pod koniec naszego małżeństwa, na krótko przed tym, jak rzekomo został zamordowany przez Stasi.

- Z pewnością powiedziała mu pani, że go poznaje?

- Odniosło to tylko taki skutek, że zaczął wrzeszczeć jeszcze głośniejsze. Mój mąż jest bardzo chorym człowiekiem, panie nazisto. - Dziękuję za komplement - odparł z uśmiechem młody mężczyzna, nie przestając bawić się bronią. - Na jakiej podstawie sądzi pani, że jest chory, a raczej dlaczego mi pani o tym mówi? - Ponieważ przypuszczam, że jest teraz jednym z was.

- Jednym z n a s? - powtórzył Niemiec z niedowierzaniem. Freddie de V., prowokator z Amsterdamu, największy wróg naszego ruchu? Proszę mi wybaczyć, Frau de Vries, ale to chyba pani postradała zmysły! Trudno sobie wyobrazić taką przemianę! - Zakochał się w nienawiści, a wy stanowicie przecież jej uosobienie.

- Nadal pani nie rozumiem.

- Ja sama siebie do końca nie rozumiem bo nie jestem psychologiem, ale intuicyjnie wyczuwam, że mam rację. Zzerająca go nienawiść była całkowicie bezproduktywna, lecz on nie potrafił bez niej żyć. Zrobiliście mu coś; domyślałam się co, choć naturalnie nie mam żadnych dowodów. Ukierunkowaliście jego nienawiść, zwracając ją przeciwko temu wszystkiemu, w co do niedawna głęboko wierzył, przeciwko...

- Wystarczy tych głupot! Pani naprawdę jest szalona!

- Nieprawda, jestem całkiem normalna. Chyba już nawet wiem, jak to zrobiliście.

- To znaczy co?

- Jak skierowaliście go przeciwko jego przyjaciółom, a waszym wrogom.

- Doprawdy? Słucham więc: w jaki sposób dokonaliśmy tego cudu?

- Uzależniając go od siebie. Z upływem miesięcy przeżywał coraz gwałtowniejszą huśtawkę nastrojów. Większość czasu spędzał poza domem, tak samo jak ja, ale kiedy byliśmy razem, zmieniał się z godziny na godzinę. Najpierw był ogromnie przygnębiony, potem ogarniała go niepohamowana wściekłość, później przeistaczał się w dziecko, małego chłopca, który najbardziej na świecie pragnie ukochanej zabawki; jeśli jej nie dostał, potrafił wybiec z mieszkania i przepaść na wiele godzin. Wracał skruszony, przeprasząc za swoje zachowanie.

- Doprawdy nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

- O narkotykach, panie nazisto. Mówię o narkotykach. Przypuszczam, że dostarczaliście ich Frederikowi, żeby go uzależnić. Teraz zapewne trzymacie go gdzieś w górach, pompując w niego środki psychotropowe i wyciągając, kawalek po kawalku, wszelkie informacje, jakie siedzą w jego głowie. Nawet te, o których istnieniu nie ma najmniejszego pojęcia.
- Pani naprawdę oszalała. Istnieją przecież inne środki, znacznie silniejsze, które pozwoliłyby poznać jego tajemnice w ciągu kilkunastu minut. Po co mielibyśmy marnować czas i pieniądze i utrzymywać go tak długo przy życiu?
- Ponieważ te środki, o których pan mówi, nie pozwalają dotrzeć do zapomnianych informacji.
- Wobec tego jaki jest pożytek z takiego źródła?
- Sytuacje i okoliczności wciąż się zmieniają. Kiedy pojawia się jakiś problem albo przeszkoda, wspomnienia mogą wrócić, nie tylko te dotyczące ludzi, ale także sposobów postępowania. - Chyba czytała pani za dużo sciencefiction.
- Zarówno pański świat, jak i mój opierają się na podstawach mających niewiele wspólnego z tak zwaną "normalną" rzeczywistością.
- Wystarczy! Zaczyna pani za bardzo teoretyzować. Mam jednak do pani jedno pytanie: założmy przez chwilę, że ma pani rację i że pani mąż znajduje się w naszych rękach. Dlaczego pragnie go pani odszukać? Czyżby chciała pani, żebyście znowu byli razem? - Z pewnością nie, panie nazisto.
- Wobec tego dlaczego?
- Powiedzmy, że pragnę zaspokoić moją nienasyconą ciekawość. W jaki sposób ktoś może stać się zupełnie innym człowiekiem niż ten, którego się zna i pamięta? W jaki sposób on sam sobie z tym radzi? Kto wie, może nawet chciałabym ujrzeć go martwym? - To poważna sprawa - odparł Niemiec, odchylając się do tyłu razem ze stołkiem i żartobliwie kierując lufę pistoletu ku swojej głowie. - Bam! Zrobiłaby to pani, gdyby mogła?
- Całkiem możliwe.
- No tak, teraz wszystko jasne! Znalazła sobie pani innego, prawda? Oficera amerykańskiego wywiadu, znakomitego, głęboko zakonspirowanego agenta CIA, niejakiego Harry'ego Lathama! Twarz Karin zamieniła się w nieruchomą maskę.
- On nie ma nic do rzeczy.
- My uważamy inaczej, proszę pani. Ustaliliśmy ponad wszelką wątpliwość, że jesteście kochankami.
- Ustalajcie sobie, co chcecie, to i tak nie zmieni rzeczywistości. A właściwie dlaczego tak bardzo interesuje was ten... Harry Latham? Nazista uśmiechnął się, opierając stopy piętami na podłodze. Wyglądał jak rozweselony kawalerzysta.
- Przecież pani doskonale wie dlaczego. Po prostu za dużo o nas wie. Przeniknął do naszej dawnej kwatery głównej w Hausruck, gdzie widział i słyszał rzeczy, które na zawsze powinny zostać tajemnicą. Na szczęście za godzinę albo dwie przestanie stanowić dla nas problem. Wykonamy polecenia co do joty, łącznie z coup de grace w lewą skroń. Widzi pani, jacy jesteśmy dokładni? W działaniu nie opieramy się na żadnych domysłach, a tym bardziej na pomysłach rodem z sciencefiction. Stoimy twardo obiema nogami na gruncie rzeczywistości. Nie uda wam się nas powstrzymać.
- Dlaczego akurat w lewą skroń? - zapytała cicho de Vries. - Też się nad tym zastanawialiśmy, aż wreszcie jeden z młodszych członków, bardzo wykształcony chłopak, znalazł odpowiedź. To stary zwyczaj, wywodzący się z osiemnastego wieku, kiedy żołnierze skazani na śmierć byli rozstrzeliwani przez oficera. Jeśli skazaniec wykazał się wcześniej odwagą w walce, dostawał kulę w prawą skroń, a jeśli zachowywał się jak tchórz, w lewą. Harry Latham to szpieg, tchórz i kłamca, więc chyba wszystko jest jasne. - To dość barbarzyński obyczaj... - wyszeptała Karin, wpatrując się w smukłego, umięśnionego mężczyznę.
- Droga pani, tradycja i obyczaje stanowią podstawę wszelkiej dyscypliny. Im są starsze, tym bardziej zasługują na szacunek oraz na to, żeby się do nich stosować. Z sąsiedniego pokoju dobiegły szумы i trzaski, a potem rozległ się męski głos mówiący coś po niemiecku. Chwilę

później w drzwiach stanął drugi nazista, jeszcze młodszy od tego, który pilnował Karin, równie wysoki i dobrze zbudowany.

- Dostaliśmy wiadomość z Berlina - powiedział. - Francuzi są kompletnie zdezorientowani, więc możemy działać zgodnie z planem.
- Mogli sobie oszczędzić fatygi. W jaki sposób zabójady mieliby się czegoś domyślić?
- No, są przecież te trupy przed hotelem "Normandie" ...
- I samochód Deuxieme na dnie Sekwany. I co z tego?
- Kazali sprawdzić, czy wszystko... Wiesz o czym mówię: Chateau de Vincennes, na północ od Bois.
- Owszem, wiem, o czym mówisz i co miał na myśli Berlin. Co jeszcze?
- Za godzinę zacznie świtać.
- Helmut chyba jest już na stanowisku?
- Oczywiście. Zapisał sobie, co ma powiedzieć.
- Przekaż mu, żeby zadzwonił za dwadzieścia minut.
- Ale wtedy będzie jeszcze ciemno!
- Wiem. Zjawimy się wcześniej na miejscu, żeby przeprowadzić rozpoznanie terenu.
- Ty zawsze o wszystkim pomyślisz.
- Owszem. Idź już! - Drugi nazista zniknął, a wówczas ten siedzący na stołku zwrócił się ponownie do Karin: - Przykro mi, Frau de Vries, ale będę musiał zakleić pani usta. Potem rozwiążę panią, żeby mogła pani pójść z nami.
- Po co? Nie możecie oszczędzić mi fatygi i zabić mnie tutaj, na miejscu?
- Proszę zdobyć się na odrobinę optymizmu. My nie zajmujemy się wyłącznie zabijaniem.
- A Hitler był przyjacielem Żydów.
- Doprawdy, trudno odmówić pani poczucia humoru.

Latham spotkał się z Witkowskim mniej więcej osiemdziesiąt metrów na wschód od stojącego przy rue Lacoste budynku numer 23, u wylotu pogrążonej w ciemności alejki.

- Niezłe miejsce - zauważył Drew.
- Nie było innego. Nie mam pojęcia, kto w tym mieście płaci rachunki za elektryczność, ale muszą być cholernie wysokie. - Skoro o tym mowa: nie wiemy, które to mieszkanie, więc będziemy musieli zaryzykować i uderzyć na to, gdzie są włączone światła.
- Mylisz się - odparł pułkownik. - Wszystko wiemy. Czwarte piętro, zachodni narożnik.
- Żartujesz.
- Nigdy nie żartuję, kiedy mam pod płaszczem dwa pistolety z tłumikami, cztery magazynki z amunicją i pistolet maszynowy MAC-10 ze skróconą lufą.
- W jaki sposób się dowiedziałeś?
- Podziękuj Moreau, który nadal marzy o tym, żeby dobrać ci się do tyłka, ale odebrał już przesyłkę.
- Koeniga?
- Właśnie. To zabawne, ale okazało się, że figuruje w kartotece Surete.
- Jako neonazista?
- Nie. Jako amator chłopięcych wdzięków. Zarejestrowano pięć anonimowych skarg, przypuszczalnie od chłopców z parafialnego chóru..
- A co z mieszkaniem?
- Claude dotarł do właściciela, a reszta była bajecznie prosta. Nikt nie chce zadzierać z instytucją, która w ciągu pięciu minut może sprowadzić ci na głowę kontrolę z urzędu skarbowego. - Stanley, jesteś cudowny.
- Nie ja, tylko Moreau, a w zamian za to musiałem mu obiecać, że osobiście przeprosisz jego ludzi, kupisz im kosztowne upominki i zaprosisz na cholernie elegancki obiad do "Tour d'Argent". Z rodzinami, ma się rozumieć.
- Ale na to pójdzie moja dwumiesięczna pensja!

- Sprawa jest już obgadana. A teraz zastanówmy się, jak powinniśmy zrobić to, co zamierzamy, bez pomocy oddziału komandosów.
- Dostaniemy się do środka, po czym wejdziemy na górę po schodach - odparł Latham. - Naturalnie na paluszkach.
- Na pewno zostawili kogoś na klatce schodowej. Lepiej pojedźmy windą. Będziemy udawać pijaków. Może nawet zaśpiewamy jakąś piosenkę - głośno, ale nie za głośno.
- Dobry pomysł, Stosh.
- Robiłem w tym interesie, kiedy ty jeszcze wysyłałeś do producenta kupony konkursowe z opakowań płatków owsianych. Wjedziemy na piąte albo szóste piętro, wysiadzimy z windy, zejdziemy na dół. Naturalnie na paluszkach, ta część twojego planu jest bez zarzutu.
- Dzięki za komplement. Od tej pory będę wspominał o nim za każdym razem, kiedy ktoś będzie chciał usłyszeć mój życiorys. - Jeśli wyjdiesz z tego w jednym kawałku, przydadzą ci się wszystkie komplementy, jakimi ktokolwiek i kiedykolwiek cię obdarzył. Przypuszczam, że Wesley Sorenson zechce wysłać cię na odpowiedzialną i zaszczytną placówkę do Mongolii... A teraz do roboty. Trzymaj się blisko murów, bo z czwartego piętra nie widać całego chodnika. Latham i Witkowski przeskakując od bramy do bramy przemknęli przez rue Lacoste i bez przeszkód dotarli do budynku oznaczonego numerem 23. Weszli do holu, stwierdzili, że wewnętrzne drzwi są zamknięte, po czym uważnie przestudiowali listę lokatorów. - Już wiem - oznajmił pułkownik, naciskając guzik przy nazwisku lokatora z ósmego piętra. Kiedy po dłuższej chwili z głośnika domofonu dobiegł zaspiany kobiecy głos, powiedział po francusku bez śladu obcego akcentu: - Jestem kapitan Louis d'Ambert z Surete. Może pani sprawdzić telefonicznie moją tożsamość, ale proszę zrobić to możliwie szybko, gdyż nie ma czasu do stracenia. Do budynku dostał się bardzo niebezpieczny osobnik, który stanowi poważne zagrożenie dla mieszkańców. Musimy jak najprędzej go aresztować. Podaję pani numer, pod którym... - Nie trzeba, kapitanie - przerwała mu kobieta. - Teraz tylu namnożyło się tych przestępców... Po prostu strach wyjść na ulicę. Rozległ się brzęczyk, a ułamek sekundy później Latham i Witkowski byli już w środku. Wskaźnik nad rozsuwanymi metalowymi drzwiami informował, że winda stoi na trzecim piętrze. Latham wdusił przycisk; maszyna zaklekotała, a kiedy winda zatrzymała się z donośnym stukotem i drzwi rozsunęły się bezszelestnie, dwaj mężczyźni natychmiast dostrzegli czerwone światelko na tablicy. Ktoś wzywał windę na czwarte piętro.
- Naciśnij jedynekę - polecił Stanley. - Najpierw wykona nasze polecenie.
- To na pewno oni! - szepnął Drew.
- Ja też tak sądzę, zważywszy na dość niezwykłą porę. Wsiądziemy na pierwszym piętrze, zejdziemy po schodach, zaczaiemy się w holu na parterze i przekonamy się, czy nasze przecucia są jeszcze cokolwiek warte. Były. Wróciwszy pospiesznie na parter dwaj Amerykanie ukryli się w głębi korytarza; chwilę potem rozsunęły się drzwi i z windy wyszła Karin de Vries z ustami zaklejonymi plastrem, w towarzystwie trzech mężczyzn w nie rzucających się w oczy cywilnych ubraniach.
- Halt! - ryknął Witkowski, wyskakując z cienia. Latham stanął u jego boku. Podobnie jak pułkownik trzymał oburącz pistolet. Jeden z nazistów sięgnął pod połę marynarki, ale Witkowski nacisnął spust i Niemiec osunął się na podłogę, przyciskając rękę do krwawiącego ramienia. - Poszło łatwiej niż przypuszczałem mruknął pułkownik pod nosem. - Ci przekłeci aryjczycy nie są w połowie tak sprytni, jak im się wydaje.
- Nein! - wrzasnął Niemiec stojący najbliżej Karin, po czym złapał ją za ramię, zasłonił się nią, wyciągnął pistolet i przystawił go do prawej skroni kobiety. - Jeden ruch, a będzie po niej! Nie zwracając uwagi na broń, Karin odkleiła plaster.
- Wygląda więc na to, że odznaczyłam się odwagą na polu bitwy - powiedziała spokojnie.
- Was?
- Przecież sam pan powiedział, że macie strzelić Harry'emu Lathamowi w lewą skroń. Lufa pańskiego pistoletu dotyka mojej prawej skroni.
- Maul halten!

- Cieszę się, że nie uznaliście mnie za tchórza. Przynajmniej zginę z honorem.
- Zamknij się! - Nazista pociągnął ją za sobą w kierunku drzwi. - Rzućcie broń! - krzyknął.
- Rób, co ci każe, Stanley - powiedział Drew.
- Jasne - odparł pułkownik. W tej samej chwili od strony schodów dobiegł zagniewany głos: - Co to za zamieszanie? - zapytała po francusku zirytowana starsza kobieta w nocnej koszuli. - Płacę wysoki czynsz za to, żeby spokojnie wyspać się po całym dniu ciężkiej pracy, a tymczasem w środku nocy nie mogę zmrużyć oka! Karin szarpnęła się gwałtownie, wyrwała się z objęć Niemca, odskoczyła na bok, a ułamek sekundy później w rękach pułkownika pojawił się ukryty do tej pory pod płaszczem pistolet maszynowy. Padły dwa strzały: pierwszy pocisk trafił nazistę w czoło, drugi rozszarpał mu szyję.
- Mon Dieu! - wrzasnęła przeraźliwie kobieta i uciekła w górę po schodach. Latham podbiegł do Karin, chwycił ją w objęcia.
- Nic mi nie jest, kochanie! Nic mi nie jest! - powtarzała, scelowując łzy płynące mu po policzkach. - Moje biedactwo... szepnęła. - Już po wszystkim, Drew.
- Ładne mi "już po wszystkim"! - warknął pułkownik, celując z pistoletu maszynowego w dwóch pozostałych przy życiu przeciwników. Ten, którego zranił w ramię, właśnie gramolił się z podłogi. - Masz. - Witkowski schylił się, podniósł broń wypuszczoną przez siebie i Lathama i podał ją Karin. - Trzymaj na muszce tego podziurawionego, a ja zajmę się tym drugim. Ty, chłopak, zrób użytek ze swojego zbyt kłopotliwego telefonu i zadzwoń do Durbane'a w ambasadzie. Niech nam tu przyśle jakiś samochód. - Nie mogę tego zrobić, Stosh.
- A to czemu, do wszystkich diabłów?
- On może być jednym z nich.

O północy czasu waszyngtońskiego Wesley Sorenson był pogrążony w studiowaniu nadesłanych przez Knoxa Talbota materiałów z archiwów CIA. Przeglądał je już od wielu godzin, wszystkie pięćdziesiąt jeden teczek, poszukując tej jedynej, naprawdę istotnej informacji, która pozwoliłaby wyłowić podejrzanego spośród niewinnie oskarżonych. Ze stanu głębokiej koncentracji wyrwał go telefon od wściekłego Claude'a Moreau, który nie szczędząc mocnych słów opowiedział mu o niedopuszczalnym postępku Lathama.

- Kto wie, Claude, może on naprawdę trafił na jakiś ślad? powiedział Wesley uspokajającym tonem.
- W takim razie powinien nas zawiadomić, a nie działać na własną rękę. Nie mam zamiaru tolerować takiego zachowania. - Daj mu trochę czasu.
- Nie ma mowy! Musi natychmiast wynieść się z Paryża i w ogóle z Francji!
- Zobaczę, co się da zrobić.
- Obawiam się, że stanowczo za mało, mon ami. Później, o piątej rano czasu paryskiego, Moreau zadzwonił po raz drugi. Spomiędzy burzowych chmur zaczęły przeświecać promyki słońca: Drew dostarczył mu elegancko zapakowaną neonazistowską szychę w przebraniu protestanckiego pastora.
- Muszę przyznać, że to trochę zmienia postać rzeczy - powiedział Francuz. A więc pozwolisz mu zostać w Paryżu?
- Ale na bardzo krótkiej smyczy, Wesley. Dopiero potem szef Wydziału Operacji Konsularnych mógł powrócić do przerwanej pracy. Najpierw poszedł w ślady Knoxa i wyeliminował osoby, których kryształowej uczciwości był całkowicie pewien. Spośród pozostałych dwudziestu czterech odrzucił te, na których korzyść przemawiał brak motywu oraz sposobności, oraz takie, dla których ewentualne zyski w żadnym wypadku nie mogłyby stanowić wystarczającego zadośćuczynienia za stuprocentowo pewne straty. Ostatecznie pozostał z trzema kandydatami; rzecz jasna, gdyby wszyscy okazali się czysti, proces eliminacji należałoby zacząć od nowa. Każdy podejrzany miał nie rzucającą się w oczy twarz, pozbawioną jakichkolwiek cech charakterystycznych, tak chętnie wychwytywanych i uwidacznianych przez karykaturzystów. Żaden nie zajmował eksponowanego stanowiska, żaden nie dysponował nadzwyczajną władzą ani wpływami, wszyscy natomiast mieli wiele

służbowych kontaktów, dostęp do danych osobowych mnóstwa ludzi oraz żyli na bardzo wysokiej stopie, znacznie wyższej niż wynikałoby z ich oficjalnych dochodów. Peter Mason Payne. "Łowca talentów" współpracujący z wieloma wydziałami. Żonaty, dwoje dzieci. Mieszka w miejscowości Vienna w stanie Wirginia; dom wartości 400 000 dolarów, niedawno wybudował basen za 60 000. Samochody: cadillac brougham i rangę rover. Bruce N.M.L Withers. Specjalista d/s racjonalizacji pracy biurowej. Rozwiedziony, jedna córka, sąd przyznał mu prawo do odwiedzania dziecka dwa razy w miesiącu. Była żona mieszka na wschodnim wybrzeżu stanu Maryland w domu o wartości 600 000 dolarów, oficjalnie stanowiącym własność jej rodziców. Withers wynajmuje dom w zamożnej dzielnicy Fairfax. Samochód: jaguar SJ 6. Roland VasquezRamirez. Analityk i koordynator trzeciego stopnia. Żonaty, nie ma dzieci. Mieszka w pięknej, otoczonej ogrodem rezydencji w Arlington. Żona: szeregową urzędniczką w Ministerstwie Sprawiedliwości. Oboje często widywani w drogich restauracjach, zamawiają ubrania u najlepszych krawców. Samochody: porsche i lexus. Takie były konkretne fakty, z których żaden nie miał istotnego znaczenia, dopóki nie przyjrzało mu się przez pryzmat stosunków łączących poszczególne działy Agencji. Peter Mason Payne wyszukiwał kandydatów o konkretnych umiejętnościach lub uzdolnieniach, w związku z czym musiał kontaktować się z wieloma wydziałami, żądać uściślenia wymagań albo nawet pytać o przykładowe sytuacje, z jakimi mógłby się zetknąć nowy pracownik, by znaleźć tego, który najlepiej będzie nadawał się na tę posadę. Zadanie Bruce'a Withersa polegało między innymi na uzasadnianiu gigantycznych wydatków na wyposażenie biur, w tym także w skomplikowane systemy elektroniczne. Bez wątplenia musiał znać się na obsłudze przynajmniej części z nich, by osobiście sprawdzić ich przydatność i pozytywnie zaopiniować wnioski w sprawie zakupu. Roland VasquezRamirez koordynował przepływ informacji między elementami trójstopniowej maszyny analitycznej. To prawda, większość danych przekazywano szyfrem lub w zalakowanych kopertach, a za próbę złamania szyfru lub pieczęci groziło nie tylko natychmiastowe wyrzucenie z pracy, ale także znacznie poważniejsze konsekwencje, jednak takie obostrzenia z pewnością nie stanowiłyby przeszkody dla zdeklarowanego przeciwnika, którego głównym celem było sianie zamętu w strukturach państwa. Każdy z tych trzech ludzi spełniał warunki, jakimi musiała odznaczać się wtyczka neonazistów. Mieli motywację: utrzymanie wysokiego standardu życia, sposobność - wiązała się z zajmowanymi przez nich stanowiskami... Brakowało tylko jednego elementu: co mogło ich skłonić do przekroczenia nieprzekraczalnej granicy i dokonania aktu zdrady? Nazista, który z zimną krwią zamordował dwóch schwytanych nazistów... I właśnie wtedy Wesley pomyślał, że chyba go znalazł - ale tylko chyba. Wszyscy podejrzani byli w gruncie rzeczy posłańcami, żaden z nich nie sprawował samodzielnie władzy, żaden nie mógł wydawać wiążących decyzji. Payne przeglądał życiorysy i podania chętnych do pracy, a ci, których pozytywnie zaopiniował, szybko zaczęli zarabiać znacznie więcej od niego. Withers mógł jedynie sugerować konieczność dokonania dodatkowych zakupów, dzięki którym praca wielu ludzi stawała się bardziej wydajna, oni zaś otrzymywali za to wymierne gratyfikacje - oni, ale nie on. Nic nowego pod słońcem. Wreszcie YasquezRamirez: ten naprawdę pełnił funkcję posłańca, kierując przepływem zalakowanych kopert zawierających tajemnice, które nigdy nie miały dotrzeć do jego oczu ani uszu. Wykonywali swoją pracę od wielu lat, solidnie, ale bez najmniejszej szansy na zabłyśnięcie, a tym samym na docenienie przez zwierzchników i szybki awans. Tacy ludzie są zazwyczaj wypełnieni pretensjami do świata, jak kanister benzyną; wystarczy jedna iskra, by nastąpiła eksplozja żalu i goryczy, wywołując trudne do przewidzenia następstwa. Sorenson doszedł do wniosku, że dość już przeintelektualizowanych domysłów. Albo ma rację, albo jej nie ma, co oznacza konieczność zaczęcia wszystkiego od początku. Sam przecież uczył kiedyś Drew Lathama, że czasem najlepsze efekty daje frontalny atak, szczególnie wówczas kiedy nikt się go nie spodziewa. Ciekawe, czy Drew zastosował tę strategię, by zdemaskować tego pastora neonazistę? Jeśli nie jej podstawową wersję, to na pewno jakiś wariant, pomyślał Wesley. Biorąc pod uwagę okoliczności, nie miał wielkiego wyboru. Westchnął ciężko, po czym sięgnął po słuchawkę.

- Proszę z Peterem Masonem Payne'em.
- Tu Peter Payne, kto mówi?
- Kearns z Agencji - odparł Sorenson. Kearns był jednym z lepiej znanych zastępców dyrektora. - Co prawda nigdy nie miałem okazji poznać cię osobiście, Peter, i przykro mi, że niepokoję cię o tej godzinie, ale...
- Nic nie szkodzi, panie Kearns. Oglądam telewizję w mojej norze. Żona poszła już spać, bo jej zdaniem szkoda czasu na takie głupoty. Szczerze mówiąc, chyba miała rację.
- A więc nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli przerwę ci na parę minut?
- Skądże znowu. Co mogę dla pana zrobić?
- Sprawa jest, że tak powiem, dość delikatnej natury... Dzwonię do ciebie w środku nocy przede wszystkim po to, by uprzedzić cię, że być może jutro z samego rana usłyszysz kilka pytań i chyba byłoby dobrze, gdybyś już teraz mógł przygotować sobie na nie odpowiedzi.
- Jakie pytania? Jakie odpowiedzi? Nawet jeśli Peter Mason Payne nie jest neonazystowską wtyczką i mordercą, to z pewnością nie ma czystego sumienia, pomyślał Wesley. Oprócz całkiem naturalnego zdziwienia w jego głosie słychać było wyraźny niepokój, a może nawet strach.
- Pojawiły się poważne problemy z nowo przyjętymi pracownikami. Niestety, sprawa dotyczy przede wszystkim tych, którym wystawiłeś pozytywną opinię. Wyszło na jaw, że nie dysponują nawet połową wymaganych umiejętności, co przysporzyło nam sporo kłopotów, a w jednym lub dwóch przypadkach o mało nie doprowadziło do nieszczęścia.
- Widocznie nałgali w życiorysach albo ktoś przepchnął ich przez egzaminy. Panie Kearns, daję panu słowo, że nigdy nie poparłem kogoś, czyich kwalifikacji nie byłbym stuprocentowo pewien, ani nie brałem łapówek za wystawienie pozytywnej opinii! - Rozumiem. - A więc o to chodzi, pomyślał Sorenson. W tym przypadku obrona okazała się szybsza od oskarżenia. - Ja przecież niczego takiego nie sugeruję.
- Owszem, ale wiele razy obijały mi się o uszy różne plotki: bogaci rodzice chcą przynajmniej na parę lat umieścić dzieci w Agencji, bo potem to ładnie wygląda w życiorysach, które te niedorozwinięte szczeniaki kładą na biurkach prezesów dużych firm... Nie twierdzą, że to niemożliwe, by prześlizgnęło się paru niezbyt kompetentnych cudaków, ale mogli to zrobić tylko dzięki temu, że byli uprzedzeni o pytaniach, jakie padną podczas rozmowy kwalifikacyjnej, a ja nie prowadzę tych rozmów, tylko analizuję ich przebieg. Proszę zapytać tych, którzy mają bezpośredni kontakt z kandydatami. Ja nie mam z tym nic wspólnego. I dziękuj za to Bogu, Payne, bo w przeciwnym razie udusiłbym cię przez telefon, pomyślał dyrektor wydziału. Pozostało do zadania jeszcze jedno, decydujące pytanie.
- Wobec tego całkiem możliwe, że któryś z odrzuconych przez ciebie próbuje podłożyć ci świnię. Rodzice jednego z naszych nie douczonych nowych pracowników twierdzą, że przedwczoraj w nocy spotkali się z człowiekiem, który wepchnął go do Agencji, i wręczyli mu ostatnią ratę zapłaty. Mógłbyś mi powiedzieć, gdzie wtedy byłeś, Peter?
- Razem z żoną na przyjęciu u kongresmana Erlicha - odparł z nie ukrywaną ulgą Payne. - Mieszka dwie przecznice od nas. Przyjęcie zaczęło się bardzo późno, bo po południu odbywało się posiedzenie Senatu. Wyszliśmy dopiero o wpół do trzeciej nad ranem i szczerze mówiąc, panie Kearns, żadne z nas nie czuło się na siłach, żeby wsiąść do samochodu i dokądkolwiek jechać. **KANDYDAT ODRZUCONY**
- Czy zastałem pana Bruce'a Withersa?
- Zastałeś, bo nikt inny tutaj nie mieszka. Kim jesteś, przyjacielu? Sorenson ponownie posłużył się nazwiskiem Kearnsa, po czym zapytał o przyczynę ciągłego przekraczania budżetu na zakupy wyposażenia biurowego.
- Najnowsza technologia sporo kosztuje, panie dyrektorze. Nic na to nie poradzę, a poza tym, szczerze mówiąc, nie ja podejmuję decyzje.
- Ale to właśnie ty sugerujesz, jakie powinny być, prawda? - Ktoś przecież musi dokonać wstępnego rozpoznania.

- Przypuśćmy, że Agencja zamierza kupić nowy superszybki komputer za blisko sto tysięcy dolarów. Wybór firmy i modelu zależy w znacznej mierze od twojej opinii, zgadza się?
- Nie wtedy, jeśli moi szefowie wiedzą, czym różni się twardy dysk od deskorolki.
- Większość z nich chyba nie wie?
- Niektórzy wiedzą, inni nie.
- A więc ci, którzy nie wiedzą, opierają się na twojej rekomendacji?
- Mam nadzieję, że tak. W każdym razie staram się dostarczyć im materiał najlepszej jakości.
- Przypuszczalnie zdarza się, że ktoś proponuje ci bardzo wymierne materialne korzyści w zamian za wydanie pochlebnej opinii właśnie o tym, a nie o innym sprzęcie?
- Do czego pan zmierza? Czy usiłuje mi pan coś zasugerować? - Przedwczoraj w nocy, a dokładnie mówiąc tuż przed świtem, przedstawiciel pewnej firmy z Seattle przekazał znaczną sumę pieniędzy kilku osobom, od których zależy sfinalizowanie sporego kontraktu na dostawę sprzętu elektronicznego dla instytucji rządowych. Chcielibyśmy wiedzieć, czy byłeś wśród nich.
- To jakaś niewiarygodna bzdura! - wykrzyknął Withers. Proszę mi wybaczyć, panie dyrektorze, ale czuję się do głębi dotknięty! Od siedmiu lat wykonuję tę niewdzięczną robotę, tylko dlatego że znam się na komputerach lepiej niż ktokolwiek w całej firmie, i coraz bardziej wygląda mi na to, że zabrałem w ślepy zaulek: nikt nie jest w stanie mnie zastąpić, więc omijają mnie wszystkie awanse, a nawet degradacje, co powinno dać panu trochę do myślenia.
- Nie miałem zamiaru cię urazić, Bruce. Po prostu chcę wiedzieć, gdzie byłeś przedwczoraj o trzeciej nad ranem.
- Nie ma pan prawa mnie o to pytać.
- Wydaje mi się, że jednak mam. Właśnie wtedy przekazano pieniądze.
- Proszę posłuchać, panie Kearns: jestem rozwodnikiem, więc muszę korzystać z każdej nadarzającej się okazji, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Chyba tak. A więc, gdzie byłeś przedwczoraj o trzeciej nad ranem?
- Z pewną kobietą, której mąż, generał służby czynnej, wyjechał chwilowo z kraju.
- Czy ona to potwierdzi?
- Nie mogę podać panu jej nazwiska.
- Przecież wiesz, że jeśli zechcę, zdołam je ustalić.
- Tak, rzeczywiście... No więc, dzisiaj też spędziliśmy razem cały wieczór. Wyszła dosłownie przed chwilą. Generał odbywa inspekcję baz na Dalekim Wschodzie i dzwoni do niej codziennie o pierwszej w nocy. Boże broń, żeby naruszył wyznaczony regulaminem wojskowym rozkład dnia, nawet jeśli miałby do końca życia wyrwać żonę z najgłębszego snu. Między innymi na tym polega tragedia jej małżeństwa.
- To naprawdę bardzo wzruszające, Bruce. Jak się nazywa twoja znajoma?
- Będzie w domu za dwadzieścia, może dwadzieścia pięć minut. - Jak ona się nazywa?
- Anita Griswald. Żona generała Andrew Griswalda.
- "Szalonego Andy'ego"? "Wietnamskiego Tajfunu"? Przecież to starzec!
- Rzeczywiście, przynajmniej jak na standardy obowiązujące w armii. Anita jest jego czwartą żoną. Pentagon chyba nie może się doczekać, kiedy Andy wreszcie osiągnie wiek emerytalny, co powinno nastąpić w przyszłym roku.
- Dlaczego za niego wyszła?
- Została z trójką dzieciaków prawie bez środków do życia. Myślę, że wystarczy tych pytań, panie dyrektorze. **KANDYDAT DO ROZPATRZENIA W DRUGIEJ KOLEJNOŚCI**
- Czy mogę mówić z panem Vasquezem Ramirezem?
- Za chwileczkę - odparł kobiecy głos z dość wyraźnym hiszpańskim akcentem. - Właśnie kończy rozmowę z drugim aparatu. Kto mówi?
- Wicedyrektor Kearns z CIA, pani mecenas.
- Wie pan, że jestem prawnikiem?... Ach, oczywiście, że pan wie! - Proszę mi wybaczyć, że dzwonię o tej porze, ale mam sprawę niecierpiącą zwłoki.

- Nie wątpię, senor. Mąż przecież często pracuje dla was po godzinach, czasem do późnej nocy. Szkoda, że nie znajduje to odbicia w jego dochodach... Już go panu daję. W słuchawce zapadła cisza. Sorenson miał wrażenie, że spogląda na neon ułożony z wielkich czerwonych liter: **VASQUEZRAMIREZ PRAWIE NIGDY NIE ZOSTAWAŁ W PRACY PO GODZINACH**. Wreszcie, po co najmniej trzydziestu sekundach, dyrektor usłyszał głos Rolanda "Rollie" Ramireza:
- Co się stało, panie Kearns?
- Stwierdziliśmy przecieki w twoim dziale, Vasquez Ramirez. - Wystarczy "Rollie" albo Ramirez, proszę pana. Przecież już się trochę znamy.
- Świetnie. W ten sposób zaoszczędzimy sporo czasu.
- Czy pan jest przeziębiony, panie Kearns? Ma pan bardzo zmieniony głos.
- To grypa, Ramirez. Prawie nie mogę oddychać.
- Polecam gorącą herbatę z rumem i cytryną; od razu postawi pana na nogi... Co to za przecieki i w jaki sposób mogę panu pomóc? - Stwierdzono, że mają źródło w twojej sekcji.
- Pracuje w niej czterech ludzi. Dlaczego dzwoni pan właśnie do mnie?
- Zadzwoń i do pozostałych. Po prostu jesteś pierwszy na liście.
- Może dlatego że moja skóra ma trochę ciemniejszy odcień? - Och, daj spokój z tymi bzdurami!
- Nie, nie dam spokoju z tymi bzdurami, bo to nie bzdury, tylko prawda! Kiedy coś jest nie tak, zawsze pierwsi na odstrzał idą hiszpance!
- Obrażasz nie tylko mnie, ale i siebie. Przedwczoraj w nocy z twojej sekcji wypłynęła ściśle tajna informacja, za którą zapłacono całkiem sporą sumkę. Złapaliśmy już tych, co płacili, a teraz szukamy tych, którym płacono, nie próbuj więc mydlić mi oczu bajeczkami o prześladowaniach rasowych. Chcę złapać tego, kto sypnął, bez względu na to, jaki ma kolor skóry.
- Teraz ty mnie posłuchaj, Americano. Moi ludzie nie muszą płacić za informacje, bo dostają je za darmo. Owszem, zdarzało się, że otwierałem zalakowane koperty, ale tylko wtedy jeśli miały nadruk "Basen Morza Karaibskiego". Wiesz dlaczego to robiłem? Zaraz ci wytłumaczę. Jako szesnastoletni szczeniak brałem udział w desancie w Zatoce Świń, a potem spędziłem pięć lat w cuchnących więzieniach towarzysza Fidela, zanim wymieniono mnie na kontener z lekarstwami. Potężne Estados Unidos dużo gadają, ale nic nie robią, żeby zwrócić wolność mojej Kubie!
- W jaki sposób dostałeś się do Agencji?
- W najprostszy z możliwych, amigo. Zajęło mi to sześć lat, ale zdobyłem wykształcenie i trzy stopnie naukowe, znacznie więcej niż było trzeba, żeby dostać tę posadę, ale ja zgodziłem się na to, co mi zaproponowaliście, bo naiwnie wierzyłem, że docenicie moje kwalifikacje i przeniesiecie na stanowisko, na którym mógłbym o czymkolwiek decydować. Nic takiego jednak nie nastąpiło, bo wy woleliście białych i Czarnuchów... ile razy dawaliście awans durnym, nie douczonym Murzynom, żeby tylko nikt nie mógł wam zarzucić, że jesteście rasistami!
- Moim zdaniem trochę przesadzasz.
- Gównu mnie obchodzi twoje zdanie. Za dwadzieścia sekund opuszczę ten dom i nigdy mnie nie znajdziecie!
- Proszę, nie rób tego! Nie o ciebie mi chodzi. Nie ścigam takich jak ty, tylko nazistów!
- O czym ty mówisz, do diabła?
- To bardzo skomplikowana sprawa - odparł Sorenson zupełnie spokojnym tonem. - Nie rzucaj pracy, nigdzie nie uciekaj i dalej rób to, co robisz. Na pewno nie wyciągnę wobec ciebie żadnych konsekwencji, a wręcz przeciwnie, zwrócę uwagę twoim przełożonym na twoje wysokie kwalifikacje.
- Skąd mam wiedzieć, czy mogę ci wierzyć?
- Możesz, ponieważ cię oszukałem. Nie jestem z Agencji, lecz z innej, bardzo podobnej firmy, która często współpracuje z CIA na najwyższym szczeblu.

- Przecinające się kręgi wtajemniczenia... - wyszeptał VasquezRamirez. - Kiedy to się skończy?
- Przypuszczalnie nigdy - odparł Sorenson. - Na pewno nie wcześniej, nim ludzie zaczną sobie naprawdę ufać... Czyli nigdy. KANDYDAT MAŁO OBIECUJĄCY

* * *

ROZDZIAŁ 33

Dla dyrektora Wydziału Operacji Konsularnych stało się jasne, że musi zdać się na instynkt. Peter Mason Payne nie wchodził w rachubę, Roland VasquezRamirez także raczej nie, natomiast Bruce Withers, gadatliwy i zarazem ostrożny wielbiciel nieszczęśliwych żon obarczonych trójką dzieci z poprzedniego małżeństwa, przyprawiający rogi podstarzałemu generałowi, weteranowi wojny w Wietnamie... Mógł bez trudu skontaktować się z przyjaciółką przez telefon i udzielić jej wszelkich niezbędnych instrukcji. "Wyszła dosłownie przed chwilą... Będzie w domu za dwadzieścia, może dwadzieścia pięć minut..." Więcej czasu niż trzeba, żeby zapamiętać obowiązującą wersję wypadków. Odpowiedzi trzeba będzie szukać gdzie indziej - być może na wschodnim wybrzeżu stanu Maryland, u byłej żony Bruce'a N.M.I. Withersa. Sorenson po raz kolejny podniósł słuchawkę, modląc się w duchu, żeby pani Withers figurowała w ogólnodostępnym spisie abonentów. Figurowała, choć pod podwójnym nazwiskiem: McGrawWithers.

- Tak... Słucham? - wyszeptał zaspiany głos.
- Proszę mi wybaczyć, panno McGraw, że niepokoję panią o tej porze, ale mam nadzwyczaj pilną sprawę.
- Kto mówi?
- Wicedyrektor Kearns z CIA. Chodzi o pani byłego męża, Bruce'a Withersa.
- Kogo znowu wystawił do wiatru? - zapytała wciąż jeszcze na pół śpiąca była pani Withers.
- Niewykluczone, że rząd Stanów Zjednoczonych, panno McGraw.
- Dziękuję za tę "pannę". Ciężko sobie na to zapracowałam. Jasne, robił w konia także rząd, a czemu by nie? Wymachiwał komu się dało przed oczami swoją legitymacją, a tajemniczy uśmiech na jego twarzy miał świadczyć o tym, że jest najważniejszym superszpiegiem, który ukrywa się przed czyhającymi na jego życie agentami obcych wywiadów.
- Wykorzystywał stanowisko służbowe dla uzyskania korzyści materialnych?
- Wykorzystywał je po to, żeby wskoczyć do łóżka każdej sekretarki, urzędniczki i asystentki, która znalazła się w jego polu widzenia. Moja rodzina ma wielu znajomych w Waszyngtonie; kiedy dowiedzieliśmy się o tym, mój ojciec stwierdził, że powinniśmy się go pozbyć, co też uczyniliśmy.
- A jednak pozwoliła mu pani widywać się z córką.
- W mojej obecności, ma się rozumieć.
- Obawia się pani, że do niej także zacząłby się dobierać? - Mój Boże, skądże znowu! Kimberly jest chyba jedyną osobą na świecie, z którą ten drań jest choć trochę związany uczuciowo. - Dlaczego pani tak sądzi?
- Ponieważ tylko dzieci, a ona szczególnie, nie wywołują w nim poczucia zagrożenia. Kiedy jest z Kimberly, zapomina na chwilę o swojej okropnej obsesji.
- O jakiej obsesji, panno McGraw?
- On nienawidzi ludzi, a szczególnie tych o innym kolorze skóry: Murzynów, Indian, Metysów, Azjatów, Żydów, i tak dalej. Każdy niebiały i niechrześcijanin jest dla niego śmiertelnym wrogiem, choć jego z pewnością nie dałoby się nazwać chrześcijaninem. Marzy tylko o tym, żeby się ich wszystkich pozbyć. KANDYDAT ZAAKCEPTOWANY

W Paryżu właśnie minęła czwarta po południu, o czym obwieściły cztery melodyjne uderzenia zegara stojącego na kominku w apartamencie ambasadora Daniela Courtlanda. Sam ambasador, w rozpiętej niebieskiej koszuli, pod którą widać było bandażę spowijającą jego

klatkę piersiową oraz lewe ramię, siedział przy zabytkowym stoliku służącym mu za biurko i rozmawiał przyciszonym głosem przez telefon. Po drugiej stronie obszernego, nadzwyczaj elegancko urządzonego pokoju Drew Latham i Karin de Vries zajęli miejsca w ustawionych naprzeciwko siebie ozdobnych fotelach.

- Jak tam ręka? - zapytał Drew.

- W porządku - odparła Karin, po czym roześmiała się łagodnie. - Znacznie bardziej bolą mnie nogi.

- Przecież proponowałem ci, żebyś zdjęła pantofle.

- Wtedy pewnie musiałbyś mnie nieść. Jak długo kazałeś nam maszerować z rue Lacoste, zanim wreszcie zawiadomiłeś Claude'a, żeby przysłał po nas samochód? Co najmniej czterdzieści minut.

- Przecież wiesz, że nie mogłem zadzwonić do Durbane'a. Nadal nie mamy pojęcia, po czyjej jest stronie, a Moreau zabawiał naszego nazistowskiego pastora.

- Minęły nas trzy radiowozy. Mogliśmy zatrzymać którykolwiek z nich. Policjanci na pewno by nam pomogli.

- Witkowski miał rację: to nie byłby najlepszy pomysł. Była nas piątka, co oznaczało, że musielibyśmy skorzystać z dwóch radiowozów albo poprosić, żeby przysłano po nas furgonetkę. Poza tym, w jaki sposób przekonalibyśmy policjantów, żeby zawieźli nas do ambasady, a nie na komisariat, tym bardziej że przecież jeden z naszych "podopiecznych" był ranny? Nawet Claude przyznał, że słusznie zrobiliśmy czekając na niego. Jak się wyraził: "I tak w tej kuchni tłoczy się już za wiele kucharek. Brakuje nam już tylko policji i Siirete."

- Czy Deuxieme znalazło kogoś w Chateau de Vincennes?

- W każdym razie nikogo z bronią, mimo że przeszukali wszystko, łącznie z parkiem. De Vries zmarszczyła brwi.

- To dziwne... Byłam niemal pewna, że właśnie tam zostanie dokonane zabójstwo.

- Ja także byłem tego pewien, tym bardziej że potwierdził to sam Koenig. Taki właśnie scenariusz przedstawił podczas naszej rozmowy.

- Ciekawe, co się stało?

- Sprawa jest oczywista: nie dostali ostatecznego rozkazu, więc zrezygnowali.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że przez cały czas mówimy o nas? - Staram się zachować niezbędny dystans.

- Jestem przerażona, bo nawet ci się to udaje. Zadzźwięczał gong przy drzwiach wejściowych do apartamentu. Latham podniósł się z fotela i spojrzał pytająco na Courtlanda, który skinął głową nie przerywając rozmowy. Drew otworzył drzwi; do pokoju wkroczył Stanley Witkowski.

- Jest coś nowego? - zapytał Latham.

- Chyba tak - odparł pułkownik. - Zaczekam, aż ambasador odklei się od słuchawki, bo on też powinien to usłyszeć. Odsapnęliście trochę?

- Ja tak - odezwała się Karin z fotela. - Ambasador Courtland był tak miły i udostępnił nam pokój gościnny. Zasnąłam prawie od razu, ale nasz wspólny przyjaciel natychmiast dobrał się do telefonu.

- Ponieważ miałem twoje zapewnienie, że jest czysty - uzupełnił Drew.

- W tym aparacie nawet sam święty Piotr nie zdołałby założyć podsłuchu. Do kogo dzwoniłeś, chłopaki

- Do Sorensona, a on do mnie. Jemu też udało się posunąć naprzód.

- Wiadomo już coś o tym zabójcy z Wirginii?

- Namierzyli go i wzięli pod tak ścisłą obserwację, że zainstalowali kamerę nawet w spluczce klozetowej. Daniel Courtland odłożył słuchawkę i lekko krzywiąc się z bólu odwrócił w fotelu.

- Witam, pułkowniku. Są jakieś wieści ze szpitala?

- Jest obstawiony przez ludzi z brytyjskiego MI5, panie ambasadorze. Dziś rano zjawił się tam niejaki Woodward z Królewskiego Towarzystwa Lekarskiego, twierdząc, że jest znanym

- pulmonologiem i że Foreign Office przysłało go na pańską prośbę z Londynu, żeby zbadał panią Courtland.
- Nie składałem takiej prośby - odparł ambasador. - Nie znam żadnego doktora Woodwarda i nigdy nie słyszałem o Królewskim Towarzystwie Lekarskim.
 - Wiemy o tym i dlatego go zatrzymaliśmy, zanim zdążył zaaplikować podstawionej pani Courtland dziesięć centymetrów sześciennych strychniny.
 - Dzielna kobieta. Kto to jest?
 - Nazywa się Moskowitz i pochodzi z Nowego Jorku. Jej nieżyjący już mąż był francuskim rabinem. Zgłosiła się na ochotnika. - Trzeba jej to sownie wynagrodzić. Co myślicie o miesięcznych wakacjach w dowolnie wybranym miejscu?
 - Podsunę ten pomysł komu należy, panie ambasadorze. A jak pan się czuje?
 - Nic mi nie będzie. Rana jest zupełnie niegroźna. Trzeba przyznać, że miałem sporo szczęścia.
 - Nie do pana celowano, panie ambasadorze.
 - Tak, wiem o tym - odparł cicho Courtland. - Skoncentrujmy się na teraźniejszości, dobrze?
 - Pani de Vries powiedziała mi przed chwilą, jak bardzo oboje są wdzięczni, że zechciał ich pan tutaj przygarnąć.
 - Biorąc pod uwagę, co mają już za sobą, najchętniej nałożyłbym na nich bezterminową kwarantannę. Przypuszczam, że zatroszczył się pan o ich bezpieczeństwo?
 - Postawiłem na nogi prawie cały pluton marines, panie ambasadorze. Czekają z bronią gotową do strzału.
 - To dobrze. Siadajcie, przyjaciele; musimy dokonać czegoś w rodzaju podsumowania. Pan zaczyna, Stanley. Witkowski opadł na fotel sąsiadujący z fotelem Karin.
 - Zaczniemy od szpitala. Co prawda zdemaskowaliśmy tego Woodwarda, ale niedługo potem z Quai d'Orsay nadeszło potwierdzenie jego tożsamości. Całe szczęście, że się spóźnili, bo gdyby przysłali je wcześniej, nie wiadomo, jak by to się skończyło.
 - Dziwne przeoczenie, jak na neonazistów - zauważył Courtland.
 - Paryż jest godzinę do przodu w stosunku do Londynu przypomniał mu Latham.
 - Ludzie często o tym zapominają, choć istotnie, ja też uważam, że to zaskakujące gapiostwo.
 - A może wcale nie? - odezwała się Karin de Vries, ściągając na siebie spojrzenia wszystkich obecnych. - Może wśród brytyjskich neonazistów mamy jakiegoś sojusznika? Trudno sobie wyobrazić lepszy sposób zwrócenia uwagi na zabójcę niż wstrzymanie jego "listów uwierzytelniających", a następnie przysłanie ich wtedy, kiedy wzbudzą największe podejrzenia.
 - To trochę zbyt skomplikowane - stwierdził pułkownik. I zostaje zbyt duży margines błędu. Poza tym, taki człowiek zostałby błyskawicznie zdemaskowany.
 - Wszystko, z czym mamy do czynienia, jest dość skomplikowane, a czyhanie na błędy jest naszą specjalnością.
 - Czy mam to gdzieś sobie zanotować?
 - Daj spokój - wtrącił się Latham. - Ona może mieć rację. - Rzeczywiście, może ją mieć, ale niestety nie istnieje sposób, żeby się o tym przekonać.
 - Czemu nie? Warto przynajmniej spróbować. Kto z Quai d'Orsay potwierdził tożsamość tego Woodwarda?
 - Potwierdzenie nadeszło z biura niejakiego Anatola Blanchota, członka Izby Deputowanych. Moreau natychmiast ruszył tym tropem.
 - I co?
 - I nic. Trop się urwał. Ten Blanchot nigdy nie słyszał o doktorze Woodwardzie, komputer z centrali telefonicznej nie zarejestrował żadnej rozmowy między jego biurem a szpitalem Hertford. Moreau sprawdził wydruki z kilkunastu miesięcy i okazało się, że monsieur Blanchot dzwonił do Londynu tylko raz, ze swojego mieszkania, przed ponad rokiem, żeby obstawić u bookmachera wynik jakiejś gonitwy.
 - A więc ktoś po prostu posłużył się jego nazwiskiem.
 - Na to wygląda.

- Sukinsyny!
- Amen, chłopcze.
- A ty wspominałeś o jakimś postępie!
- Bo dokonaliśmy go, tyle że w innej dziedzinie.
- W jakiej? - zapytał Courtland.
- Mam na myśli paczkę, którą obecny tu oficer Latham dostarczył nad ranem zachwyconym funkcjonariuszom Deuxieme, panie ambasadorze.
- Mówisz o tym pastorze? - zainteresowała się Karin.
- Koenig chyba nie podejrzewał, że potrafi tak pięknie śpiewać. Drew pochylił się do przodu w fotelu.
- Jaka to melodia?
- Aria zatytułowana "Der Meistersinger Traupman". Już ją kiedyś słyszeliśmy.
- To ten chirurg z Norymbergi, wielka neonazistowska szycha, o którym Sorenson dowiedział się od... Latham umilkł i spojrział niepewnie na ambasadora.
- Tak, Drew - powiedział Courtland ze spokojem. - Od opiekuna mojej żony w Centralii w stanie Illinois. Ja także rozmawiałem z panem Schneiderem. Jest starym człowiekiem, nękanym mnóstwem bolesnych wspomnień. Wierzę każdemu jego słowu.
- Na pewno nie kłamał, jeśli chodzi o tego Traupmana odezwał się ponownie pułkownik. - Kilka dni temu Moreau rozmawiał w Monachium z byłą żoną doktora, a ona wszystko potwierdziła. Ambasador skinął głową.
- Wiem o tym. Traupman odegrał kluczową rolę w przygotowaniu operacji Sonnenkinder.
- A czego Claude dowiedział się o nim od pastora? - zapytała Karin.
- Głównie tego, że Koenig oraz wielu innych, równie ważnych neonazistów, śmiertelnie się go boi i wykonuje każde jego polecenie. Moreau początkowo przypuszczał, że Traupman jest tym, kto rozdaje karty, ale teraz uważa inaczej. Jego zdaniem doktor nie zajmuje najwyższego stanowiska, a jednak trzyma wszystkich w garści i trzęsie całą organizacją.
- Taki nazistowski Rasputin... - mruknęła de Vries. - Potężny człowiek ukryty za tronem, kontrolujący tego, kto na tym tronie siedzi.
- Przecież wiemy, że mają nowego Fuhrera, tylko nie mamy pojęcia, kto nim jest - przypomniał Witkowski.
- Ale skoro ten nowy Hitler siedzi na tronie...
- Wybaczcie mi, lecz muszę was opuścić - przerwał jej Daniel Courtland, po czym powoli, z wysiłkiem, wstał zza zabytkowego stolika.
- Bardzo przepraszam, panie ambasadorze, jeśli...
- Nie, nie, moja droga; to ja jestem winien wam wszystkim przeprosiny.
- O co tu chodzi? Dlaczego chce pan wyjść?
- Spokojnie, Drew. Przed chwilą rozmawiałem z Wesleyem Sorensonem, który przez pewien czas będzie kierował niektórymi tajnymi operacjami rządu Stanów Zjednoczonych. Zabronił mi brać udział w jakichkolwiek rozmowach na te tematy. Jednak zaraz po tym jak wyjdę z pokoju, oficer Latham ma zadzwonić do niego z tego aparatu i odebrać najnowsze rozkazy... Teraz, jeśli mi pozwolicie, udam się do biblioteki, gdzie jest niezłe zaopatrzone barek. Gdybyście później mieli ochotę na towarzyską pogawędkę, serdecznie was zapraszam. Ambasador utykając przeszedł przez pokój i starannie zamknął za sobą szerokie dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do sąsiedniego pomieszczenia. Drew zerwał się z fotela, doskoczył do telefonu i jeszcze zanim usiadł, zaczął gorączkowo naciskać klawisze.
- Wes? To ja. Po co to całe zamieszanie?
- Czy ambasador Daniel Rutherford Courtland opuścił pomieszczenie, w którym się znajdujesz?
- Tak, tak. O co chodzi?
- Na wypadek, gdyby treść tej rozmowy dotarła do niepowołanych osób, ja, Wesley Theodore Sorenson, dyrektor Wydziału Operacji Konsularnych, biorę na siebie wszelką

odpowiedzialność za skutki działań podjętych na moje polecenie, zgodnie z paragrafem siedemdziesiątym trzecim Ustawy o...

- Hej, co ty wygadujesz?

- Zamknij się.

- Wes, wyduś wreszcie z siebie, co się stało!

- Weź paru ludzi, poleć do Norymbergi, odszukaj doktora Hansa Traupmana, porwij go i przywieź do Paryża.

* * *

ROZDZIAŁ 34

Mocno zaniepokojony Robert Durbane siedział w swoim gabinecie tuż obok odgradzonego od świata zewnętrznego Centrum Łączności. Jego niepokój wynikał z czegoś więcej niż tylko przecucia, ponieważ przecucia są abstrakcyjne, spowodować je może dosłownie wszystko, od kłopotów żołądkowych poczynając, na porannej sprzeczce małżeńskiej kończąc. Tymczasem żołądek Roberta działał bez zarzutu, a żona już od dwudziestu czterech lat była jego najlepszym przyjacielem; ostatnia kłótnia zdarzyła im się wtedy, kiedy ich córka postanowiła wyjść za muzyka rockowego. Ona była za, on przeciw. Ale to ona odniosła zwycięstwo: nowo poślubieni małżonkowie żyli zgodnie i szczęśliwie, długowłosego zięć Roberta zarabiał zaś w ciągu miesiąca więcej, niż teść zdołałby uciulać przez pięćdziesiąt lat. Najbardziej irytujące w tym wszystkim było to, że "nieokrzesany szarpidrut" okazał się bardzo kulturalnym młodym człowiekiem, który nie pił nic mocniejszego od wina, nie zażywał narkotyków, uzyskał stopień magistra z historii literatury średniowiecznej i rozwiązywał krzyżówki dwa razy szybciej niż Robert. Nie, ten świat nie opiera się na logicznych podstawach. Skąd więc ten niepokój? - zastanawiał się Bobby Durbane. Wszystko zaczęło się chyba od wizyty pułkownika Witkowskiego, który zażądał komputerowego wydruku z wszystkimi telefonicznymi i radiowymi rozmowami, jakie w ciągu minionego tygodnia przeprowadzono z Centrum Łączności. Do tego doszła niewielka, ale jednak wyraźna zmiana zachowania Drew Lathama, którego Bobby uważał do tej pory za przyjaciela. Nie ulegało wątpliwości, że Drew go unika, a to było do niego zupełnie niepodobne. Durbane zostawił Lathamowi dwie wiadomości: jedną we wciąż remontowanym mieszkaniu przy rue du Bac, drugą na miejscu, w ambasadzie, jednak do tej pory nie uzyskał odpowiedzi, choć wiedział, że Drew przebywa w budynku od samego rana, w prywatnym apartamencie ambasadora na piętrze. Naturalnie Durbane doskonale zdawał sobie sprawę z tragicznych wydarzeń, jakie niedawno miały miejsce - w wyniku zamachu terrorystycznego żona ambasadora doznała tak poważnych obrażeń, że dawano jej bardzo niewielkie szanse na przeżycie, ale to przecież nie oznaczało, że Latham powinien ignorować wiadomości od przyjaciela, od Jajogłowego", który "nie wiezieć po co, całymi godzinami ślęczy nad tymi bezsensownymi krzyżówkami". Szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę, że Bobby zaledwie kilka dni temu ocalił mu życie. Coś było nie tak jak należy; stało się coś, czego Durbane nie pojmował, a istniał tylko jeden sposób, żeby to wyjaśnić. Podniósł słuchawkę aparatu, z którego można było połączyć się z każdym pomieszczeniem w ambasadzie, niezależnie od wszelkich obostrzeń, i wystukał numer apartamentu Courtlanda.

- Słucham?

- Dzień dobry, panie ambasadorze. Mówi Robert Durbane z Centrum Łączności.

- Witaj, Bobby. - W głosie ambasadora wyraźnie słyhać było wahanie. - Jak się miewasz?

- To raczej ja powinienem pana o to zapytać, - Coś było bardzo, ale to bardzo nie w porządku. Zazwyczaj pewny siebie i gadatliwy dyplomata sprawiał wrażenie, jakby zastanawiał się nad każdym słowem. - Naturalnie mam na myśli pańską żonę. Słyszałem, że została zabrana do szpitala.

- Lekarze robią wszystko co w ich mocy, a ja nie mogę wymagać od nich niczego więcej. Jestem ci bardzo wdzięczny za życzliwe zainteresowanie. Czy coś jeszcze?

- Tak, panie ambasadorze. Co prawda wiem, że oficjalnie Drew Latham nie żyje, ale współpracuję blisko z pułkownikiem Witkowskim, w związku z czym... Krótko mówiąc, chciałbym porozmawiać z Drew.
- Zaskakujesz mnie, przyjacielu. Bądź tak dobry i zaczekaj chwilę. "Chwila" trwała dobre kilkanaście sekund, jakby ktoś długo zastanawiał się nad podjęciem decyzji, ale w końcu w słuchawce rozległ się głos Lathama:
- Cześć, Bobby.
- Nie skontaktowałeś się ze mną, chociaż cię o to prosiłem. - Wybacz, ale oprócz tego że zostałem zastrzelony i przeniosłem się na tamten, znacznie lepszy, świat, ugrzęzłem po samą szyję w paru innych problemach, wcale nie mniej absorbujących.
- Wyobrażam sobie. Mimo to wydaje mi się, że powinniśmy pogadać.
- Naprawdę? O czym?
- Właśnie tego chciałbym się dowiedzieć.
- Czy to ma być jakiś rebus, Bobby? Dobrze wiesz, że nie jestem dobry w te klocki.
- Wiem tylko tyle, że muszę z tobą porozmawiać, i to nie przez telefon. Da się to załatwić?
- Zaczekaj chwilę. Tym razem cisza w słuchawce była jeszcze bardziej denerwująca, choć trwała krócej od poprzedniej.
- W porządku - powiedział wreszcie Latham. - Właśnie dowiedziałem się o istnieniu windy, która zjeżdża aż do ciebie, na sam dół. Będę w niej w towarzystwie trzech uzbrojonych marines, a ty musisz zatroszczyć się o to, żeby nikt nie pętał się po korytarzu. Czekaj na nas za pięć minut.
- A więc aż do tego doszło? - zapytał cicho Durbane. Obawiasz się, że z mojej strony grozi ci niebezpieczeństwo? - Wkrótce pogadamy, Bobby. Siedem minut i dwadzieścia osiem sekund później Drew zasiadł w fotelu naprzeciwko biurka Durbane'a. Marines dokładnie przeszukali pokój, ale nie znaleźli żadnej broni.
- O co w tym wszystkim chodzi? - zapytał Durbane. - Co takiego zrobiłem, że teraz czuję się tak, jakbym trafił na przesłuchanie do gestapo?
- Użyłeś właściwego słowa, Bobby. "Gestapo", jak w kieszonkowym słowniczku nazisty.
- O czym ty mówisz, do wszystkich diabłów?!
- Znasz Phyllis Cranston?
- Oczywiście. Jest sekretarką tego, jak mu tam... No, trzeciego albo czwartego attache podległego charge d'affaires. I co z tego? - Powiedziała ci, kim jest pułkownik Webster i w którym hotelu się zatrzymał?
- Owszem, choć w gruncie rzeczy nie musiała tego robić.
- Co to znaczy?
- A jak ci się wydaje, kto zapewniał łączność między ambasadą a wędrującym pułkownikiem Websterem? Zmieniał hotel dwa albo nawet trzy razy. Biorąc pod uwagę, że jednocześnie pani de Vries także nie siedziała w miejscu, nawet Witkowski nie połapałby się, gdzie w danej chwili przebywa które z was.
- A więc wszystko było pod kocem?
- Naturalnie. Chyba jeszcze nigdy wyświechtany zwrot "ściśle tajne" nie znalazł lepszego zastosowania. Jak sądzisz, czy w innym przypadku potraktowałbym tak ostro pannę Cranston?
- Nie miałem pojęcia, że to zrobiłeś.
- Zażądałem, aby natychmiast powiedziała, skąd o tym wie. Zagroziłem nawet, że doniosę przelożonym o jej upodobaniach, co z pewnością nie byłoby dla mnie łatwe, ponieważ moja matka też była alkoholiczką. To paskudna choroba.
- I co?
- Zupełnie się rozkleiła. Zaczęła płakać, zasypała mnie jakimś religijnym bełkotem... Poprzedniego wieczoru dała sobie niezłe w szyję, więc była roztrzęsiona jak galareta.
- Wygląda na to, że dość dobrze ją znałeś.
- Chcesz usłyszeć prawdę, Drew?

- Po to tu przyszedłem, Bobby.
- Podczas jednego z przyjęć, na które zabrałem żonę, Martha... to właśnie moja żona, zauważyła Phyllis stojącą przy barze i obalającą kielonek za kielonkiem. Ja nie widziałem w tym nic dziwnego: jeśli ktoś wykonuje taką pracę, od czasu do czasu musi strzelić sobie coś mocniejszego, bo inaczej zwariuje. Martha jednak od razu domyśliła się, co jest grane. Kazała mi jej pomóc, a ja spróbowałem, ale wszystko wskazuje na to, że dałem ciała.
- A więc nie powiedziałeś nikomu, kim jestem ani w którym hotelu wynająłem pokój?
- Dobry Boże, skądże znowu! Nawet kiedy przylazł tu ten kutas, dla którego pracuje Cranston, i zaczął węszyć, poinformowałem go, że nie mam pojęcia, kto teraz wykonuje twoją robotę. Ucieszyłem się tylko, że w porę kazałem Phyllis trzymać język za zębami.
- Czego chciał?
- To, co mówił, nawet trzymało się kupy - przyznał Durbane. Do licha, wszyscy wiedzą, że Operacje Konsularne nie zajmują się przygotowaniem menu ambasadora. Powiedział mi, że pewien francuski przedsiębiorca zasygnalizował mu okazję szybkiego zrobienia pieniędzy na handlu nieruchomościami, ale warunkiem jest to, że najpierw trzeba zainwestować sporą sumkę. W związku z tym pomyślał sobie, że twoi ludzie mogliby sprawdzić tego Francuza. Brzmiało to dość prawdopodobnie, tym bardziej że według Phyllis chłopak więcej czasu spędza na prywatnych obiadach z francuskimi biznesmenami niż na oficjalnych rozmowach dotyczących naszych kontaktów handlowych.
- Dlaczego nie zwrócił się z tym do Witkowskiego?
- Nawet nie musiałem go pytać. Sprawa dotyczyła jego prywatnych kontaktów, więc nie mógł oficjalnie poprosić o pomoc pracownika ambasady.
- A kim ja jestem? Małym palcem u lewej nogi?
- Raczej kimś w rodzaju wolnego strzelca, który co prawda pracuje na etacie, ale ma oko na wiele różnych spraw, mniej lub bardziej oficjalnych, w związku z czym może służyć radą personelowi ambasady, który dzięki temu ma szansę uniknąć ryzyka znalezienia się w kompromitującej lub dwuznacznej sytuacji, mogącej zaszkodzić interesom rządu Stanów Zjednoczonych. Coś takiego wyczytałem w twoich aktach personalnych.
- Ktoś powinien napisać je od nowa.
- Niby dlaczego? Nie uważasz, że to brzmi cudownie tajemniczo? Drew odchylił się do tyłu razem z fotelem, spojrzal na biały sufit i westchnął głośno.
- Bobby, należą ci się ode mnie przeprosiny. Kiedy dowiedziałem się od Phyllis Cranston, że jesteś jedną z dwóch osób, którym ujawniła tożsamość pułkownika Webstera oraz miejsce jego pobytu, natychmiast wyciągnąłem z tego wnioski: błędne, jak się okazuje. A kiedy jeszcze mało nie zginąłem w służbowym wozie razem z tym, jak on się nazywał?... CZwolf, czy jakoś tam... Wydawało mi się, że wszystko wskazuje na ciebie.
- Wcale ci się nie dziwię - odparł Durbane. - Już wiem, dlaczego szkopy dotarły tam przed nami.
- Dlaczego?
- Właśnie dzięki CZwolf. Ustaliliśmy to nazajutrz rano i włączyliśmy do raportu. Podał koleśiom częstotliwość, na której pracował nadajnik w twoim wozie, i włączył go zaraz po tym, jak ruszyliście spod ambasady. Słyszeli każde wasze słowo, a kiedy wezwalesz posiłki, mieli cię na widelcu.
- Cholera! Nawet mi przez myśl nie przeszło spojrzeć wcześniej na nadajnik!
- Gdybyś to zrobił, zauważyłbyś, że świeci się czerwona dioda. - Niech to szlag trafi!
- Daj spokój, to nie twoja wina. Miałeś za sobą okropną noc, było wcześniej rano, a ty byłeś wykończony.
- Niestety, Bobby, to nie jest żadne usprawiedliwienie. Właśnie w takich sytuacjach okazuje się, ile naprawdę jesteś wart... Nie dziwi cię, że naziści skoncentrowali się właśnie na Phyllis Cranston? - Co w tym dziwnego? Ma ze sobą poważne problemy, a tacy ludzie stanowią najlepsze źródło informacji.
- A co z jej szefem?

- Nie widzę związku.
- Musi istnieć jakiś związek, Bobby. Jestem tego pewien.
- Nawet jeżeli, to najwyżej taki, że kiedy przyciskasz jedno, to musi ci przyjść do głowy, że warto by zająć się drugim. Czego nie dowiesz się od alkoholiczki, możesz wydusić od jej chciwego, ambitnego zwierzchnika.
- Dzięki tobie od niej niczego się nie dowiedzieli, w związku z czym możemy skoncentrować się na nim. Skontaktuj się z szefem Phyllis i powiedz mu, że rozmawiałeś z jednym z ludzi, którzy wykonują moją robotę. Powiedz, że zgodził się pogadać z paroma bankierami, ale musi znać nazwisko tego przedsiębiorcy.
- Nie rozumiem...
- Jeśli nie poda ci tego nazwiska, to będzie jasne, że nie może albo go nie zna. Jeśli je poda, dowiemy się, na czyje działa zlecenie. - Mogę to zrobić nawet teraz. - Durbane podniósł słuchawkę i wystukał numer sekretariatu attache. - Phyllis? Tu Bobby. Bądź tak dobra i połącz mnie z tym kretynem w prążkowanym garniturze. I nie obawiaj się, nie chodzi o ciebie... Cześć, Bancroft, mówi Durbane z Centrum Łączności. Właśnie rozmawiałem z jednym z chłopaków Lathama. Co prawda jest cholernie zajęty, ale powiedział, że będzie mógł wykonać parę telefonów w twojej sprawie. Jak się nazywa gość, który nagrał ci tę transakcję?... Aha, rozumiem. Dobra, zaraz mu to przekażę. - Durbane odłożył słuchawkę i zanotował nazwisko. - Picon Vaulttherin, firma nazywa się tak samo. Konsorcjum, w którym ma znaczne udziały, dysponuje wyłącznym prawem własności do terenu o powierzchni około trzydziestu kilometrów kwadratowych w dolinie Loary.
- To interesujące - powiedział Drew bezbarwnym tonem, ze wzrokiem wlepionym w ścianę.?
- Po okolicy od lat krążyły pogłoski, że wiele spośród tamtejszych chateau rozpada się ze starości, ponieważ właściciele nie stać na remonty, oraz że przedsiębiorcy budowlani chcą wykupić cały teren, postawić mnóstwo eleganckich domków letniskowych, a potem sprzedać je z ogromnym zyskiem. Kto wie, może sam zainwestuję w to parę dolarów, albo przynajmniej namówię zięcia, żeby się tym zainteresował. Latham ponownie spojrzął na Durbane'a.
- Zięcia?
- Nieważne. Spaliłbym się ze wstydu, gdybym musiał ci o tym opowiedzieć.
- Więc lepiej nie poruszajmy tej kwestii.
- Bardzo chętnie. W jaki sposób chcesz dotrzeć do tego Vaulttherina?
- Przekażę go Witkowskiemu, a on podsunie go Moreau z Deuxieme. Musimy mu się uważnie przyjrzeć... Jemu, a także tym posiadłościom w dolinie Loary.
- Jaki to ma związek z naszą sprawą?
- Jeszcze nie wiem, ale chcę sprawdzić. Być może ktoś popełnił poważny błąd... Pamiętaj, Bobby, że mnie tu nie było. Nie widziałeś mnie, ponieważ jestem martwy. O wpół do dziesiątej wieczorem do prywatnego apartamentu ambasadora dostarczono z kuchni wyśmienitą kolację. Kelnerzy przygotowali stół w jadalni, nie zapominając o takich szczegółach jak świece oraz dwie butelki znakomitego wina - czerwone w temperaturze pokojowej, do grubego, nie dosmażonego befsztyka Lathama, i białe mocno schłodzone Chardonnay do fileta z soli zamówionego przez Karin de Vries. Daniel Courtland, posłuszny rozkazom z Waszyngtonu, nie przyłączył się do uczyty, ponieważ miał w niej wziąć udział pułkownik Stanley Witkowski, wobec czego należało się spodziewać, iż rozmowy przy stole będą dotyczyły spraw, które miały pozostać dla ambasadora tajemnicą.
- Dlaczego wydaje mi się, że jem ostatni posiłek przed egzekucją? - zapytał Drew, wybierając chlebem z talerza resztki sosu, po czym osuszył do dna trzeci już tego wieczoru kieliszek wina.
- To może być prorocze przeczucie, zważywszy na to, ile w sobie napakowałeś - zauważyła Karin. - Taka ilość cholesterolu zwałilaby z nóg nawet dorodnego dinozaura.
- Kto się w tym wszystkim rozezna? Dietetycy wciąż zmieniają zdanie. Dzisiaj margaryna jest cacy, masło be, już jutro na odwrót... Wcale się nie zdziwię, jeśli pewnego dnia ktoś wysunie hipotezę, że nikotyna pomaga w leczeniu raka.

- Najważniejsze są umiar i urozmaicona dieta, kochanie.
- Nie lubię ryb. Beth nie potrafiła ich przyrządzać. Zawsze cuchnęły rybą.
- To ciekawe, bo Harry wprost je uwielbiał i zawsze powtarzał, że matka przyrządzała je najsmaczniej na świecie. - Bo oni zawiązali spisek przeciwko ojcu i mnie. Ile razy musieliśmy wychodzić na pizzę albo hamburgera! Beztroski uśmiech zniknął z twarzy Karin.
- Drew... Skontaktowałeś się z rodzicami, żeby powiedzieć im, jak wygląda prawda o tobie i Harrym?
- Nie. Jeszcze nie pora.
- Postępujesz bardzo okrutnie. Przecież teraz mają już tylko ciebie... Byłeś przy bracie w chwili jego śmierci. Powinieneś dodać im trochę otuchy, bo to z pewnością był dla nich ogromny wstrząs. - Beth mógłbym nawet zaufać, ale nie ojcu. Ujmując rzecz najogólniej jak można: lubi dużo mówić, a w dodatku nie jest zbyt gorącym zwolennikiem rządu. Przez całe życie przeciwko czemuś protestował: przeciw segregacji rasowej, restrykcjom ekonomicznym, wykopaliskom i Bóg wie czemu jeszcze. Przypuszczalnie chciałby wiedzieć, kto jest odpowiedzialny za śmierć Harry'ego, a na to pytanie nie potrafię udzielić mu odpowiedzi.
- Szczerze mówiąc, bardzo przypomina swoich synów.
- Być może. Dlatego tym bardziej nie mogę mu na razie nic powiedzieć. - Zadzźwięczał gong przy drzwiach. - Spodziewamy się pułkownika Witkowskiego - poinformował Latham kelnera, który wyszedł z pokoju dla służby. - Proszę go wpuścić.
- Tak jest, proszę pana. Dwanaście sekund później szef ochrony ambasady wkroczył do pokoju i obrzucił zastawiony stół spojrzeniem pełnym dezaprobaty.
- Co jest, do wszystkich diabłów? Poszliście nagle w dyplomaty?
- Jeśli o mnie chodzi, to reprezentuję krainę Oz - odparł z uśmiechem Drew. - Jeśli blask świec razi twoje oczy, zaraz każę skrzatom zgasić jedną lub dwie.
- Nie zwracaj na niego uwagi, Stanley - poprosiła Karin. Wypił trzy kieliszki wina. Zjesz coś z nami?
- Nie, dziękuję - powiedział Witkowski, siadając przy stole. - Czekając na telefon od Moreau kazałem przynieść sobie do biura wielki, krwisty stek.
- Za dużo cholesterolu! - stwierdził z dezaprobatą Latham. Powinieneś zwracać uwagę na takie rzeczy Stosh.
- Wolę zwracać uwagę na to, co mówi Moreau.
- A co powiedział? - zapytał Drew, poważniejąc w okamgnieniu.
- Ten Vaulttherin wydaje się w miarę czysty, co nie znaczy, że nie znajdzie się nic, do czego nie można by się przyczepić. Zbił majątek na budowaniu satelickich osiedli wokół Paryża, a przy okazji dał zarobić wielu inwestorom.
- I co z tego? Inni robili to samo.
- Ale nikt nie może się pochwalić taką przeszłością. Jest młody i arogancki, a w świecie finansjery uważa się go za kogoś w rodzaju korsarza.
- Pytam jeszcze raz: i co z tego?
- Jego dziadek był członkiem milicji...
- Czego, proszę?
- To francuska pronazistowska policja z czasów wojny - wyjaśniła Karin. - Niemcy chcieli z niej stworzyć coś w rodzaju przeciwwagi dla Ruchu Oporu. W jej skład wchodziły najgorsze śmieci, żądni zysku najemnicy, bez których pomocy hitlerowcom nigdy nie udało się zapanować nad żadnym okupowanym krajem. - Do czego zmierzasz, Stanley?
- Główni inwestorzy, z którymi współpracuje Vaulttherin, pochodzą z Niemiec. Ładują pieniądze we wszystko co się da. - A więc również w dolinę Loary?
- Już ją prawie całą wykupili, a w każdym razie znaczne obszary położone nad samą rzeką.
- Zdoyleś listę właścicieli tych starych chateau?
- Tak, choć nie wiem, w czym ma nam to pomóc - odparł pułkownik, podając Lathamowi złożoną we czworo kartkę. - Większość od pokoleń należy do starych, szanowanych rodzin, część przeszła na własność państwa, bo nikt nie płacił podatków, i z tych zostały już tylko

ruiny, wreszcie część kupiły niedawno gwiazdy filmowe i różne inne znakomitości, po czym wystawiły na sprzedaż, jak tylko okazało się, ile pieniędzy trzeba włożyć w remont. - Czy na liście są jacyś generalowie?

- Piętnastu albo dwudziestu, o czym sam możesz się łatwo przekonać, ale to tylko ci, którzy kupili domki i działki za własne pieniądze. Oprócz tego znajdzie się mnóstwo takich, którzy dostali te małe posiadłości w dowód uznania ich wojennych zasług. - Chyba żartujesz?

- Wcale nie, a poza tym, my robimy dokładnie to samo. Dobrych parę tysięcy emerytowanych pułkowników i generalów mieszka w eleganckich domkach na terenie baz wojskowych. Moim zdaniem nie ma w tym nic dziwnego ani nieuczciwego. Bądź co bądź przez całe życie pracują za drobną cząstkę tego, co mogliby zarobić w sektorze prywatnym, a jeśli nie dopisało im szczęście i ani razu nie trafili na pierwsze strony gazet, żadna poważna firma nie zaproponuje im miejsca w radzie nadzorczej.

- Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób.

- A szkoda, oficerze Latham. Za osiemnaście miesięcy stuknie mi trzydzieści pięć lat służby. Co prawda jestem w stanie zapewnić moim dzieciom i wnukom wspaniałe wakacje w Paryżu, ale jeśli myślisz, że mógłbym dać komuś z nich pięćdziesiąt tysięcy baksów na operację serca albo wątroby, to się grubo mylisz, bo nie mam tyle forsy. - W porządku, Stanley. Przekonałeś mnie. - Drew przez dłuższą chwilę w milczeniu studiował listę. - Dlaczego nie ma tu nazwisk ludzi mieszkających w domach, które przeszły na własność państwa?

- Bo takie są przepisy. To najczęściej szaleńcy, którzy poobrażali się na cały świat, a najbardziej na byłych dowódców... Pamiętasz tego weterana z Wietnamu, który usiłował zabić Westmorelanda strzelając do niego z ogrodu?

- Damy radę zdobyć te nazwiska?

- My nie, ale Moreau... Kto wie?

- Każ mu to zrobić.

- Zadzwoń do niego z samego rana. Czy możemy już zająć się omawianiem operacji, której wykonanie nam zlecono, to znaczy schwyтaniem i uprowadzeniem niejakiego doktora Hansa Traupmana z Norymbergi? Drew złożył starannie kartkę i położył ją na stole.

- Maksimum pięciu ludzi - stwierdził stanowczo. - Wszyscy muszą płynnie mówić po niemiecku, wszyscy muszą mieć za sobą służbę w oddziałach szturmowodesantowych, żaden nie może mieć żony ani dzieci.

- Właśnie czegoś takiego się spodziewałem. Wygrzebałem dwóch w kwaterze NATO, do tego ty i ja, czyli jest już czterech. Piątego kandydata znalazłem w Marsylii.

- Chwileczkę! - wykrzyknęła Karin. - Ja jestem piątym kandydatem! Mam nad wami wszystkimi przewagę, bo jestem kobietą!

- Zapomnij o tym, kochanie. Najprawdopodobniej Traupman jest w tej chwili strzeżony lepiej niż Arafat i Rabin razem wzięci. - Moreau ma to dokładnie zbadać - powiedział pułkownik. - Najchętniej sam zorganizowałby akcję, ale wtedy miałby na karku nie tylko Quai d'Orsay, lecz również francuski wywiad. Na szczęście może nam pomagać, bo nikt mu tego oficjalnie nie zakazał. W ciągu dwudziestu czterech godzin powinniśmy dostać szczegółowy raport dotyczący rozkładu dnia Traupmana oraz jego ochrony. - Idę z wami, Drew - stwierdziła spokojnie Karin. - Nie uda ci się mnie powstrzymać, więc oszczędź sobie czasu i nawet nie próbuj.

- Na litość boską, dlaczego chcesz to zrobić?

- Z wielu powodów, które doskonale znasz, a także z paru innych, o których nie masz zielonego pojęcia.

- Proszę?...

- Pozwolisz, że cię zacytuję? Jeszcze nie pora, żeby o tym mówić.

- I to ma być odpowiedź?!

- Chwilowo nie spodziewaj się innej.

- Naprawdę myślisz, że się zgodzę?

- Musisz. Potraktuj to jako prezent dla mnie. Jeśli odmówisz, odejdę od ciebie i nigdy nie wrócę, choć jeden Bóg wie, jak bardzo byłoby to dla mnie bolesne.
- A więc te nie znane mi powody są dla ciebie aż tak ważne? - Owszem.
- Karin, stawiasz mnie pod ścianą! Nie zamierzałam tego robić, kochanie, ale każdy z nas styka się czasem z czymś, co po prostu musi zaakceptować. Tym razem trafiło na ciebie.
- Jest zupełnie oczywiste, że powinienem ci odmówić... ale nie wiem, jak się do tego zabrać, i to mnie w tym wszystkim najbardziej przeraża.
- Posłuchaj, chłopcze - wtrącił się Witkowski, który od pewnego czasu przyglądał się im uważnie. - Mnie ten pomysł też się nie podoba, ale ma przynajmniej jedną zaletę: kobieta potrafi czasem wślizgnąć się po kryjomu tam, gdzie chłop nie zdołałby nawet wetknąć nosa.
- Czy ty coś sugerujesz?
- Na pewno nie to, o czym myślisz. Ona może nam się przydać... naturalnie pod warunkiem że w ostatniej chwili nie zmieni zdania.
- Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się po was takiego cynizmu, pułkowniku! Czyżby zadanie przede wszystkim, a człowiek dopiero w drugiej kolejności?
- Bywa tak, że trzeba znaleźć rozwiązanie pośrednie.
- Przecież ona może zginąć!
- Podobnie jak my. Chyba ma prawo wyboru, tak samo jak ty. Tobie zabili brata, jej: męża. Na jakiej podstawie uważasz, że wszystko wiesz najlepiej? W Waszyngtonie była 16.40 - zaledwie kilka minut przed chwilą, kiedy jezdnie zapelnia się samochodami, chodniki zaś tłumem urzędników i sekretarek, którzy z gorzej lub lepiej skrywanym zniecierpliwieniem wysłuchali ostatnich poleceń szefów, po czym w pośpiechu wybiegli na ulice, by zdążyć przed największym nasileniem ruchu. Wesley Sorenson także wyszedł już z biura i wsiadł do służbowej limuzyny, ale nie pojechał do domu; jego żona (doskonale radziła sobie z załatwianiem nagłych spraw, bezbłędnie oddzielając te naprawdę nie cierpiące zwłoki od tych, które mogły poczekać. Po prawie czterdziestu pięciu latach małżeństwa wyrobiła sobie szósty zmysł niemal równie wyczulony jak ten, którym dysponował jej mąż. Sorenson ogromnie się z tego cieszył. Zamiast do domu, dyrektor jechał do Langley w Wirginii, na spotkanie z Knoxem Talbotem. Szef CIA zadzwonił do niego godzinę wcześniej; wiele wskazywało na to, że Bruce Withers, specjalista od sprzętu komputerowego, fanatyk i główny podejrzany w sprawie o zabójstwo dwóch neonazistów, wpadł w zastawioną na niego pułapkę. Talbot polecił założyć podsłuch w służbowym aparacie Withersa. O 14.13 zadzwoniła kobieta, która przedstawiła się jako Suzy. Dyrektor CIA odtworzył Wesleyowi przez telefon nagrany rozmowę.
- Cześć, kochanie, tu Suzy. Przepraszam, że zawracam ci głowę w pracy, ale spotkałam Sidneya, który powiedział, że ma dla ciebie wóz, którego szukałeś.
- Srebrny aston martin DB-3?
- Właśnie ten.
- Do licha, to wspaniale! Samochód Jamesa Bonda!
- Nie chce zostawiać go na parkingu, więc poprosił, żebyś spotkał się z nim w tej knajpie w Woodbridge, gdzie zazwyczaj uzupełniasz poziom alkoholu we krwi, dzisiaj około wpół do szóstej.
- My też tam będziemy, Wes - oświadczył Talbot.
- Proszę bardzo, ale czy mógłby mi wyjaśnić dlaczego? Zgoda, ten typ jest faszystą, złodziejem, a w dodatku trochę podstarzałym yuppie, ale co to kogo obchodzi, że postanowił kupić sobie bajerancki angielski samochód?
- W porę przypomniałem sobie, że jestem właścicielem firmy sprowadzającej na zamówienie nietypowe części samochodowe i zadzwoniłem do człowieka, który nią kieruje. Dowiedziałem się od niego, że każdy, kto ma świra na punkcie czterech kółek, doskonale wie, że James Bond jeździł astonem martinem DB-4, a nie DB-3. Można się pomylić i powiedzieć, że to był DB-5, bo różnice w wyglądzie zewnętrznym są minimalne, ale na pewno nie DB-3. - Jeżeli o mnie

chodzi, to nie jestem w stanie odróżnić pontiaca od chevroleta, naturalnie jeśli jeszcze się je w ogóle produkuje.

- Miłośnik motoryzacji robi to bez najmniejszego problemu, szczególnie taki, który jest gotów wywalić sto tysięcy na elegancki wózek. Spotkamy się na południowym parkingu. Withers tam właśnie zostawia swego jaguara. Przy wjeździe na południowy parking limuzynę zatrzymał umundurowany strażnik. Sorenson opuścił szybę.

- O co chodzi?

- Poznałem pański samochód, panie dyrektorze. Proszę pójść za mną. Szef zarządził, że pojedziecie innym wozem, trochę mniej rzucającym się w oczy.

- Bardzo słusznie. "Mniej rzucający się w oczy" samochód okazał się trochę poobijaną, mocno zabrudzoną limuzyną nie sprawiającą na pierwszy rzut oka zbyt solidnego wrażenia. Wesley zasiadł na tylnej kanapie obok Knoxa Talbota.

- Nie daj się zwieść pozorom - powitał go dyrektor CIA. Ta maszyna ma silnik, który pozwoliłby jej wygrać 500 mil w Indianapolis.

- Wierzę ci na słowo, bo nie mam innego wyjścia.

- Zgadza się. Poza tym, oprócz dwóch dżentelmenów na przednich siedzeniach, mamy jeszcze czterech, także uzbrojonych po dziurki w nosie, którzy jadą za nami drugim samochodem. - Czy przy okazji zamierzasz dokonać desantu w Normandii? - Ja bawilem się w te rzeczy w Korei, więc nie jestem zbyt dobry z historii starożytnej. Wiem tylko tyle, że po tych draniach można spodziewać się wszystkiego najgorszego.

- I ja tak uważam.

- Jest! - wykrzyknął kierowca. - Idzie prosto do jaguara. - Jedź pomału, chłopcze - polecił Talbot. - Nie urządź wyścigów, trzymaj się w bezpiecznej odległości od niego, ale nie daj Boże, żebyś go zgubił.

- Proszę się nie obawiać, panie dyrektorze. Najchętniej dałbym gaz do dechy i przygniół go do tego błyszczącego cacka.

- A to dlaczego, młody człowieku?

- Podwała się do mojej dziewczyny. Jest stenografistką i codziennie musi się od niego oganiać, bo on wciąż pcha łapy pod jej spódniczkę.

- Rozumiem. - Talbot pochylił się w bok i szepnął Sorensonowi do ucha: - Uwielbiam, kiedy moi ludzie mają osobistą motywację do pracy. Chciałbym, żeby tak było w każdej z moich firm. Godzinę później jaguar skręcił w drogę dojazdową prowadzącą do obskurnego motelu na obrzeżach Woodbridge. Na lewo od pawilonu mieszkalnego stał niewielki, przypominający szopę budynek z czerwonym neonem informującym o tym, że w motelu są wolne pokoje.

- Wspaniałe miejsce na załatwianie podejrzanych interesów zauważył Wesley, kiedy Bruce Withers wysiadł z samochodu i wszedł do baru. - Proszę zaparkować na prawo od wejścia, przy tej srebrnej flądrze.

- To właśnie jest aston martin DB-4 - poinformował go Talbot. - Samochód Jamesa Bonda.

- Już wiem! Goldfinger, całkiem niezły film. Ale dlaczego coś takiego miałyby kosztować sto tysięcy dolarów? Przecież tam nawet nie da się wygodnie usiąść!

- Według człowieka kierującego moją firmą, ten wóz to już klasyka i kosztuje nie sto, a dwieście tysięcy.

- Skąd Bruce Withers może mieć tyle pieniędzy?

- A jak sądzisz, ile byli gotowi zapłacić neonaziści za uciszenie swoich dwóch koleśków, którzy mogli zacząć sypać w najmniej odpowiednim momencie?

- Chyba masz rację. - Sorenson ponownie zwrócił się do kierowcy, który tymczasem zdążył zatrzymać samochód przy srebrzystym sportowym pojeździe. - Może pan albo pański kolega wejście do środka, żeby się trochę rozejrzeć?

- Oczywiście, panie dyrektorze - odparł agent siedzący na fotelu pasażera. - Jak tylko nadjedzie drugi wóz... W porządku, już są.

- Byłoby chyba dobrze, gdyby pan rozluźnił albo w ogóle zdjął krawat. W tej budzie chyba niezbyt często widuje się elegancko ubranych mężczyzn. Agent odwrócił się, aby zademonstrować rozpięty kołnierzyk koszuli.
- Zdejmę też marynarkę - dodał, ściągając ją z ramion. Gorąco dzisiaj. Wysiadł z samochodu, przygarbił się i powłócząc lekko nogami ruszył do wejścia. Klientelę baru stanowili ludzie jakby przeniesieni z kart powieści Saroyana: kierowcy ciężarówek, robotnicy budowlani, dwóch lub trzech niezamożnych intelektualistów, mężczyzna o siwych włosach i arystokratycznej twarzy, którego mocno sfatygowane, ale doskonale skrojone ubranie musiało kiedyś, bardzo dawno temu, kosztować małą fortunę, oraz cztery miejscowe kurewki.
- Dzień dobry, panie W. - powitał Bruce'a Withersa krzepki barman. - Pokoik?
- Nie dzisiaj, Hank. Jestem z kimś umówiony, ale nigdzie go nie widzę...
- Nikt o pana nie pytał. Może się spóźni.
- Nie, już przyjechał, bo przed barem stoi jego samochód. - Więc pewnie poszedł do kibla. Proszę usiąść, a ja poślę go do pana, jak tylko wyjdzie.
- Dzięki. Dla mnie to co zawsze, tyle że podwójne. Jest okazja do świętowania.
- Już podaję. Withers przeszedł w głąb sali i zajął miejsce przy stoliku w kącie, na wyścielanej ławie o wysokim oparciu. Wkrótce potem na stoliku zjawilo się ogromne martini. Popijając je walczył z pokusą, żeby podejść do frontowego okna i jeszcze raz spojrzeć na aston martina. Autentyk, ponad wszelką wątpliwość autentyk! Wprost nie mógł się doczekać, kiedy usiądzie za kierownicą, ruszy z piskiem opon, pokaże go Anicie Griswald, a przede wszystkim swojej córce Kimberly. Tak wspaniała maszyna u każdego musi wzbudzić należny podziw. Radosne rozmyślania przerwał mu barczysty mężczyzna w kraciastej koszuli, który pojawił się nie wiadomo skąd i usiadł naprzeciwko niego.
- Dzień dobry, panie Withers. Z pewnością widział pan już samochód? Trzeba przyznać, że prezentuje się nadzwyczaj okazale. - Kim pan jest, do diabła? Przecież miałem spotkać się z Sidneyem.
- Sidney jest chwilowo nieosiągalny, więc musiałem go zastąpić. - Skąd pan wiedział, do kogo podejść?
- Mam pańskie zdjęcie.
- Zdjęcie?
- Oczywiście. To przecież nic nadzwyczajnego.
- Siedzę tu już co najmniej od pięciu minut. Dlaczego pan zwlekał?
- Żeby się upewnić - odparł człowiek w kraciastej koszuli, zerkając w kierunku drzwi.
- Upewnić? W jakiej sprawie?
- Och, to nic wielkiego. Znacznie bardziej powinna pana zainteresować wiadomość, że przynoszę znakomite nowiny.
- Naprawdę?
- W kieszeni mam cztery obligacje na okaziciela, każda wartości pięćdziesięciu tysięcy dolarów, co w sumie, jak łatwo obliczyć, daje dwieście tysięcy. Do tego zaproszenie do odwiedzenia Niemiec, naturalnie na nasz koszt. Zdaje się, że jeszcze nie wykorzystał pan urlopu; najwyższa pora, żeby już coś zaplanować. - Mój Boże, nie wiem co powiedzieć! To naprawdę wspaniale nowiny! A więc moje wysiłki jednak zostały docenione! Wierzyłem, że tak będzie. Chyba zdajecie sobie sprawę, na jak wielkie ryzyko byłem narażony?
- Owszem. Świadczy o tym choćby moja obecność tutaj.
- Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie wyląduję w Berlinie. Macie rację... To znaczy, mamy rację: ten kraj trzeszczy w szwach i niedługo rozpadnie się z wielkim hukiem. Trzeba będzie co najmniej pięćdziesięciu lat, żeby oczyścić społeczeństwo z...
- Cisza! - syknął nieznajomy ze wzrokiem wlepionym w drzwi. - Zaraz za panem wszedł człowiek w białej koszuli. - Możliwe, nie zwróciłem na niego uwagi. A bo co?
- Zamówił piwo, ale wypił tylko parę łyków, zapłacił i właśnie wyszedł.
- I co z tego?

- Proszę zaczekać, zaraz wracam. Mężczyzna wstał z ławy, podszedł do okna, spojrzal przez brudną szybę, natychmiast odskoczył od niej jak oparzony, po czym szybkim krokiem wrócił do stolika.
- Ty idioto! Przyciągnąłeś za sobą ogon!
- Nie rozumiem, o czym mówisz...
- Przecież słyszysz, kretynie! Gość w białej koszuli rozmawia z trzema facetami, a żaden z nich nie wygląda na bywalca tej speluny. Widać z daleka, że pracują dla rządu.
- Jezus, Maria! Dziś w nocy dzwonił do mnie Kearns i zadawał jakieś idiotyczne pytania, ale udało mi się go splawić.
- Kearns z CIA?
- Przecież tam właśnie pracuję, nie pamiętasz?
- Aż za dobrze. - Mężczyzna w kraciatej koszuli pochylił się nad stolikiem. Jego prawa ręka znikła pod blatem. - Wiesz co, Withers? Ludzie, dla których pracuję, doszli do wniosku, że stanowisz dla nich poważne zagrożenie.
- Wobec tego daj mi pieniądze, a ja ulotnię się bez śladu. Wyjdę przez zaplecze.
- A potem?
- Potem zaczekam w jakimś kącie, aż sobie pojedą, zapłacę którejś z dziwek, żeby w razie czego zeznała, że przez cały czas była ze mną, wsiądę w samochód i wrócę do domu. Nieraz już tak robiłem. Zadzwoń do mnie później w sprawie tego astona martina. No, dawaj forszę!
- Nic z tego. Towarzystwo zgromadzone przy barze wybuchnęło donośnym śmiechem, który całkowicie zagłuszył cztery ciche pyknięcia. Bruce Withers poderwał się gwałtownie, po czym osunął bezwładnie na wyścielaną ławę. Miał szeroko otwarte, zdumione oczy, a z kącika ust pociekła mu cienka strużka krwi. Zabójca przysłany przez Maria Marchettiego wstał od stolika, niepostrzeżenie schował za pasek pistolet z tłumikiem i wyszedł z lokalu tylnymi drzwiami. Don Pontchartrain sumiennie wywiązywał się ze swojej części umowy. Dziewięć minut i dwadzieścia siedem sekund później w barze rozległy się przeraźliwe krzyki, a po chwili z budynku wybiegła wzywająco umalowana kobieta, wrzeszcząc co sił w płucach: - Na litość boską, niech ktoś wezwie policję! Zabili człowieka! Agenci CIA, Knox Talbot i Wesley Sorenson wpadli do środka. Obsługa i goście otrzymali zakaz ruszania się z miejsc i zbliżania do telefonu. Kiedy jakiś czas potem wściekli funkcjonariusze wyszli na dwór, okazało się, że srebrny aston martin DB-4 zniknął bez śladu.

* * *

ROZDZIAŁ 35

Dr Hans Traupman (adres jak wyżej) jest strzeżony przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przez trzyosobowe zespoły ochroniarzy zmieniające się co osiem godzin. Wszyscy są uzbrojeni po zęby i towarzyszą doktorowi nawet w drodze na salę operacyjną, gdzie przebywają przez cały czas trwania zabiegu. Kiedy Traupman wychodzi do restauracji, teatru albo idzie na koncert, ochrona ulega podwojeniu: goryle siedzą po jego obu stronach, z przodu i z tyłu, inni zaś prowadzą obserwację sali z najlepiej nadającego się do tego miejsca. Na terenie rezydencji bez przerwy patrolują korytarze, sprawdzają windy oraz pilnują ogrodu. Oprócz tego zarówno w domu, jak i w jego bezpośrednim otoczeniu zainstalowano dublujące się systemy alarmowe. Jeśli Traupmanowi zdarza się odwiedzić publiczną toaletę, wchodzi tam w towarzystwie dwóch ochroniarzy, podczas gdy trzeci zostaje na zewnątrz i grzecznie, ale stanowczo uniemożliwia wstęp innym osobom. Traupman porusza się opancerzonym mercedesem o kuloodpornych szybach, z zainstalowanymi miotaczami gazu obezwładniającego uruchamianymi przyciskiem na tablicy przyrządów. Dłuższe podróże odbywa na pokładzie prywatnego samolotu odrzutowego, który czeka w pełnej gotowości w pilnie strzeżonym hangarze na małym lotnisku położonym na południe od Norymbergi. Zarówno we wnętrzu hangaru, jak i w jego bezpośrednim otoczeniu zainstalowano liczne kamery telewizyjne. Rozluźnienie otaczającego Traupmana kordonu bezpieczeństwa

następuje tylko przy jednej okazji: kiedy doktor leci do Bonn, a następnie przesiada się do łodzi motorowej i płynie na odbywające się nocą tajne zebranie przywódców ruchu neonazistowskiego (patrz poprzedni raport). Przypuszczalnie każdy uczestnik spotkania musi przybyć sam, co wyklucza obecność załogi i tłumaczy niewielkie rozmiary łodzi. Jest ona wyposażona w silnik o mocy 125 KM oraz dwa gotowe do użytku pontony: jeden na dziobie, drugi na rufie. Zainstalowano na niej także zdalnie sterowane kamery, które przekazują obraz i głos do bazy w porcie, gdzie czeka gotowy do startu śmigłowiec. (Należy przypuszczać, że w skład wyposażenia łodzi wchodzi także radar sprzężony z nadajnikiem radiowym, przekazujący na bieżąco jej pozycję, a także, podobnie jak w przypadku samochodu, zamontowane po zewnętrznej stronie burt miotacze gazu obezwładniającego, których zadanie polega na unieszkodliwieniu ewentualnych napastników usiłujących dostać się na pokład.) Powodzenia, Claude. Jesteś mi dłużny butelkę dobrego wina. Musiałem nałgać w kapitanacie portu, że szukam ładnej łodzi do kupienia, ale na wszelki wypadek przedstawiłem się nazwiskiem pewnego hiszpańskiego przemytnika, który działa na tym terenie i jest mi winien kupę forsy. Drew Latham roześmiał się cicho, odłożył raport na zabytkowy stolik, po czym spojrzął na Witkowskiego i Karin, siedzących visavis niego na kanapie.

- Ten drań przewidział chyba wszystkie nieprzewidziane okoliczności - mruknął ponuro.

- Zgadza się - potwierdził pułkownik.

- Trudno mi wypowiadać się na ten temat, ponieważ nie czytałam raportu.

- Wobec tego przeczytaj go i przyłącz się do stypy. - Drew podniósł się z fotela, podał Karin raport, po czym wrócił na swoje miejsce i dodał: - Niech mnie szlag trafi, jeśli wiem, od czego zacząć. Sukinsyn nawet do kibla chodzi z dwoma goryłami!

- Na papierze sprawa rzeczywiście wygląda beznadziejnie, ale jeśli przyjrzymy się dokładniej, może uda się znaleźć jakieś szczeliny. - Mam nadzieję. Na razie wszystko wskazuje na to, że łatwiej byłoby go sprzątnąć niż wziąć żywcem.

- Tak jest prawie zawsze.

- Odwrócenie uwagi - powiedziała de Vries, odrywając wzrok od raportu. - Tylko to przychodzi mi do głowy. Trzeba w jakiś sposób odwrócić uwagę ochrony.

- To oczywiste - zgodził się Witkowski. - W następnej kolejności należy unieszkodliwić kilku strażników i przeprowadzić akcję. Pytanie brzmi: w jaki sposób tego dokonać oraz jak bardzo zdyscyplinowani są jego "opiekunowie".

- Jak sam powiedziałaś Stosh: o tym przekonamy się dopiero na miejscu.

- Skoro już o tym mowa: w moim biurze czekają ci dwaj kolesie z NATO. Przylecieli z Brukseli o trzeciej po południu, z nowiutkimi paszportami na fałszywe nazwiska i dokumentami stwierdzającymi, że są przedstawicielami handlowymi pewnej dużej firmy lotniczej.

- Dobry pomysł - pochwalił Latham. - W ten sposób nie budząc podejrzeń mogą poruszać się po całej Europie.

- Zadaliśmy sobie sporo trudu, żeby wszystko było absolutnie bez zarzutu. Trochę to trwało, ale udało nam się nawet umieścić ich w komputerowym wykazie pracowników tej firmy oraz wprowadzić ich przybrane nazwiska do list wypłat za minione dwanaście miesięcy.

- Czy to potrzebne? - zapytała Karin.

- Niestety tak, młoda damo. Gdyby występowali pod prawdziwymi nazwiskami, pierwsza z brzegu sekretarka mająca dostęp do akt naszej armii mogłaby ustalić w ciągu pięciu minut, że to ci sami ludzie, którzy podczas operacji "Pustynna Burza" działali przez dłuższy czas za liniami nieprzyjaciela. Obaj świetnie władają nożami, nie wspominając o garotach i broni palnej, a w razie potrzeby potrafią zrobić co trzeba nawet gołymi rękami.

- Krótko mówiąc, to zabójcy.

- Tylko wtedy kiedy nie ma innego wyjścia, Karin. W gruncie rzeczy to dwaj sympatyczni chłopcy, nawet trochę nieśmiali, których po prostu nauczono reagować w odpowiedni sposób na ściśle określone sytuacje.

- Co w normalnym języku oznacza, że wyprują ci flaki i rozwalą głowę, jeśli dojdą do wniosku, że nie jesteś po ich stronie - wyjaśnił Latham. - Jesteś z nich zadowolony, Stosh? - Jak najbardziej.
- Obaj mówią płynnie po francusku i niemiecku? - zapytała Karin.
- Oczywiście. Pierwszy to kapitan Christian Dietz, trzydzieści dwa lata, absolwent Uniwersytetu Denison, zawodowy oficer. Rodzice i dziadkowie pochodzą z Niemiec, ci ostatni podczas wojny byli aktywnymi uczestnikami ruchu oporu. Matka i ojciec zostali wysłani do Stanów jako małe dzieci.
- A drugi?
- Porucznik Gerald Anthony, nie tak niezwykły jak tamten. Podwójny magister: literatury francuskiej i niemieckiej. Pracował nad doktoratem, ucząc jednocześnie w małym college'u w Pensylwanii, ale nagle doszedł do wniosku, że, według jego własnych słów, "ma dosyć życia w czterech ścianach biblioteki". Pomyślałem sobie, że dobrze byłoby poprosić ich tu na górę. Musimy się poznać, bo od każdego z nas będzie zależało życie pozostałych.
- Świetny pomysł, Stanley - powiedziała Karin. - Zaraz zadzwonię do kuchni, żeby przysłali jakieś przekąski i kawę, a może też parę drinków...
- Nic z tego - stwierdził stanowczo Drew. - Żadnych przekąsek, kawy, a tym bardziej drinków. To trudna operacja paramilitarna, więc lepiej trzymajmy się surowego regulaminu. - Czy on aby nie jest zbyt surowy, Stanley?
- On ma rację, młoda damo, choć muszę przyznać, że pierwszy raz słyszę go przemawiającego w taki sposób. Będzie jeszcze czas na nieformalne spotkania; najpierw trzeba się uważnie przyjrzeć naszym partnerom. De Vries spojrzała pytająco na pułkownika.
- Wciąż jeszcze nad nimi pracujemy - wyjaśnił Witkowski. Przede wszystkim zależy nam na ustaleniu, czy są zdolni do nieszablonowego myślenia i wprowadzania na bieżąco zmian do ustalonego wcześniej planu. Naturalnie ludzie, którzy przeżyli parę tygodni na zapleczu nieprzyjaciela, powinni posiadać tę umiejętność ale lepiej dmuchać na zimne.
- Nie wiedziałam, że mamy w zapasie innych kandydatów.
- Nie mamy, ale oni nie muszą o tym wiedzieć. No, chyba już pora, żeby pokazali nam się w całej okazałości. Gdyby nie mały imponujący wzrost, kapitan Christian Dietz wyglądałby jak wzorcowy członek Hitlerjugend: jasnowłosy, błękitnooki, wspaniale umięśniony, poruszał się sprężystym krokiem doświadczonego komandosa, którym zresztą był. Z kolei porucznik Gerald Anthony, choć równie znakomicie zbudowany, był ciemnowłosy, szczuplejszy i znacznie wyższy od kolegi; przypominał trochę bicz gotów uderzyć w najmniej spodziewanym momencie. Jeżeli chodzi o twarze obu młodych ludzi, to nie było w nich ani odrobiny zawziętości, oni sami zaś, zgodnie z zapowiedzią Witkowskiego, sprawiali wrażenie lekko onieśmielonych i nie palili się do opowiadania o swoich całkiem niedawnych dokonaniach.
- Po prostu we właściwym czasie znaleźliśmy się we właściwym miejscu - stwierdził krótko Dietz.
- A do tego dzięki naszemu wywiadowi dysponowaliśmy znakomitym rozeznaniem terenu - dodał Anthony. - Gdyby nie to, Irakijczycy na pewno schwytaliby nas i upiekli żywcem na wolnym ogniu, naturalnie jeśli najpierw zdołaliby rozpaść go na piasku. Lathamowi to jednak nie wystarczyło.
- Pracowaliście razem, zgadza się?
- Tak. Jako alfadelta. i Deltaalfa - poprawił kolegę Dietz.
- Używano obu nazw - powiedział z uśmiechem Anthony.
- Czytaliście raport w sprawie Traupmana - ciągnął Drew. Macie jakieś propozycje?
- Restauracja - stwierdził lakonicznie porucznik Anthony. - Rzeka - odezwał się niemal jednocześnie kapitan Dietz. Powinniśmy zacząć się w Norymberdze i popłynąć rzeką do Bonn. - Dlaczego właśnie restauracja? - zapytała Karin Anthony'ego.
- Bo tam najłatwiej odwrócić uwagę ochrony...
- Też na to wpadłam - stwierdziła z dumą.

- ...na przykład podkładając ogień albo wszczynając zamieszanie w jakikolwiek inny sposób. Można też obezwładnić pilnujących go ludzi dodając im do napojów środki nasenne, choć moim zdaniem jednak najlepszy jest ogień. Wystarczy zamiast sosu do jakiejś płonącej potrawy dodać trochę bezwonnej benzyny, a płomień strzela pod sam sufit. Nic nikomu się nie stanie, ale zamieszanie jest pewne jak w banku, a my w tym czasie spokojnie zwiniemy delikwenta.

- Jak dalibyście sobie radę z łodzią? - zapytał Witkowski. - Przede wszystkim trzeba zatkać miotacze gazu przy burtach; robiliśmy to już, bo coś takiego zainstalowano na wszystkich kutrach patrolowych Husajna. Potem wystarczy z bezpiecznej odległości "zdjąć" kamery celnymi strzałami z karabinu z celownikiem optycznym, wspiąć się na pokład, uruchomić silnik i zwiewać, dokąd oczy poniosą.

- W porządku. Poruczniku, dlaczego uważacie, że restauracja w Norymberdze daje nam większe możliwości niż rzeka w Bonn? - Przede wszystkim zaoszczędzilibyśmy sporo czasu, a poza tym na wodzie łatwiej popełnić jakiś błąd. Z powodu mgły może być ograniczona widoczność, możemy przeoczyć któryś z miotaczy gazu albo kamerę... Wystarczy, że zostanie choć jedna, a parę minut później będziemy mieli na karku śmigłowiec obwieszony reflektorami jak choinka bombkami, skoro o tym mowa, to wcale bym się nie dziwił, gdyby miał jedną albo dwie bomby. Jeśli dobrze zrozumiałem, nieprzyjaciół wolałby widzieć tego Traupmana martwym niż w naszych rękach.

- Słuszna uwaga - powiedział pułkownik. - Teraz wasza kolej, kapitanie. Dlaczego nie podoba wam się pomysł z restauracją? - Z tego samego powodu, panie pułkowniku: zbyt duża możliwość popełnienia błędu. Dobrze wyszkoleni ochroniarze doskonale wiedzą, jak zachowywać się w tłumie ogarniętym paniką. Jak tylko pojawią się płomień, ludzie pilnujący Traupmana rzucą się do niego i nie odstąpią go nawet na krok, aż do chwili kiedy znajdzie się w bezpiecznym miejscu.

- A więc jest pan przeciwnego zdania niż kolega - zauważyła Karin.

- Nie po raz pierwszy, proszę pani. Zazwyczaj dochodzimy jednak do porozumienia.

- Przecież jesteście wyżsi stopniem - zwrócił mu uwagę Witkowski.

- Akurat do tego nie przywiązujemy zbytnej wagi, panie pułkowniku - wtrącił Anthony. - A już na pewno nie podczas akcji. Za miesiąc albo dwa ja też zostanę kapitanem, z czego wcale się nie cieszę, bo nie będę mógł od niego wymagać, żeby płacił za mnie w restauracji.

- Ten chudzielec żre za pięciu... - mruknął z dezaprobatą kapitan Dietz.

- Wiecie co? - wtrącił się niespodziewanie Latham. - Właśnie przyszło mi do głowy, że dobrze byłoby napić się czegoś.

- Ale przecież niedawno sam powiedziałeś, że...

- Nieważne, co powiedziałem, generale de Vries.

Pięcioro uczestników operacji "N-2" dotarło do Norymbergi trzema samolotami: Drew z porucznikiem Anthonym, Karin w towarzystwie kapitana Dietza, natomiast pułkownik Witkowski w pojedynkę. Claude Moreau przygotował im kwatery. Latham i de Vries zatrzymali się w tym samym hotelu w sąsiadujących ze sobą pokojach, pozostali zamieszkali każdy osobno, w hotelach rozrzuconych po całym mieście. Spotkanie zostało wyznaczone na następny rano w głównej bibliotece Norymbergi, między regałami zastawionymi książkami o wielowiekowej historii miasta. Wkrótce potem trzech doktoranci z Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku, ich promotor oraz niemiecka tłumaczka zasiedli w zarezerwowanej uprzednio przez agentów Moreau salce konferencyjnej.

- Nie miałem pojęcia, że tutaj jest aż tak pięknie! - stwierdził z zachwytem Gerald Anthony, jedyny prawdziwy doktorant z dalekiej Ameryki, - Wstałem trochę wcześniej i przespacerowałem się po starówce. Cudo! Jedenastowieczne mury obronne, stary zamek, klasztor kartuzów... Do tej pory Norymberga kojarzyła mi się wyłącznie z sądem nad zbrodniarzami hitlerowskimi, piwem i przemysłem chemicznym.

- Zajmował się pan historią niemieckiej kultury, a nigdy nie był w mieście, gdzie przyszli na świat Hans Sachs i Albrecht Diirer? zainteresowała się Karin, kiedy wszyscy zajęli miejsca przy okrągłym stole o grubym blacie z ciemnego, wypolerowanego drewna.
- Sachs był głównie muzykiem i dramatopisarzem, Diirer zajmował się grafiką i malarstwem, a mnie najbardziej interesowała niemiecka literatura, szczególnie ze względu na...
- Czy można państwu przerwać uczoną dysputę? - wpadł mu w słowo Latham. - Niezmiernie mi przykro, ale musimy zająć się innymi, bardziej przyziemnymi sprawami. Karin uśmiechnęła się z zakłopotaniem.
- Wybacz, Drew. Po prostu odzwyczaiłam się już od... Zresztą, nieważne.
- Mógłbym za ciebie dokończyć, ale tego nie zrobię - oświadczył Latham. - Kto zaczyna? Kapitan Dietz podniósł rękę.
- Ja też wstałem dość wcześnie, ale nie będąc takim estetą jak mój kolega, poświęciłem czas na obserwację rezydencji Traupmana. Ten, kto sporządził raport dla Deuxieme, ani trochę nie przesadził: ochroniarze kręcą się po terenie jak głodne wilki. Nie ma mowy, żeby tam się dostać i ująć z życiem, by komuś opowiedzieć o wrażeniach.
- Nigdy nie braliśmy na serio pod uwagę możliwości schwytania Traupmana w jego rezydencji
- zwrócił mu uwagę pułkownik. - Tutejsi agenci Deuxieme pełnią funkcję obserwatorów; zawiadomią nas, gdy tylko doktor opuści swoją jamę. Jeden z nich powinien zjawić się tu lada chwila. Chyba zmarnowaliście trochę czasu, kapitanie.
- Niekoniecznie, panie pułkowniku. Wiem już, że jeden ze strażników, wielkie, ciężkie chłopisko, ma problemy z alkoholem; kiedy tylko wydaje mu się, że nikt nie patrzy, wyciąga z zanadru piersiówkę i pociąga spory łyk. Inny dorobił się chyba jakiegoś uczulenia w okolicy pachwin i podbrzusza, bo przy każdej okazji chowa się w ciemnym kącie i drapie jak szalony.
- Czy to coś nam daje? - zapytała Karin.
- Owszem, i to całkiem sporo. Gdybyśmy zgarnęli jednego albo obu, będziemy znali ich słabe punkty, dzięki czemu być może uda nam się wydobyć od nich cenne informacje.
- Czy właśnie w ten sposób działaliście podczas "Pustynnej Burzy"? - zapytał Witkowski z respektem w głosie.
- Owszem, tylko że tam słabym punktem prawie zawsze był głód. Większość irackich żołnierzy dostawała jeść raz na kilka dni.
- Chcę wiedzieć w jaki sposób Traupman dostaje się do samochodu i wysiada z niego - powiedział Latham. - Musi przecież wyjść z domu, a potem wejść do szpitala. Wszystko jedno, na odkrytym parkingu czy w podziemnym garażu, ale przez chwilę jest prawie zupełnie nie chroniony. Kto wie, może to będzie nasza jedyna szansa?
- Takich okazji jest bardzo niewiele - zwrócił mu uwagę Anthony. - Jeśli my o nich wiemy, tym bardziej wie o nich ochrona i z pewnością wzmaga wtedy czujność.
- Mamy prawie bezgłośne wiatrówki i tłumiki, oprócz tego na naszą korzyść przemawia element zaskoczenia - odparł Drew. Zazwyczaj to właśnie było decydujące.
- Spokojnie, chłopcze - pohamował jego zapędy Witkowski. - Jeden chybiony strzał i po kompcie. Jak tylko zwąchają, że coś nie gra, wsadzą Herr Traupmana do śmigłowca i wywożą do bunkra w Schwarzwaldzie. Możemy spróbować tylko jeden jedyny raz, i musi nam się udać. Trzeba poczekać, przeanalizować wszelkie możliwości, tak żebyśmy przystępując do działania wiedzieli na pewno, że wybraliśmy najlepszy wariant.
- Właśnie to mnie niepokoi, Stosh: oczekiwanie. Tracimy mnóstwo czasu.
- Mnie osobiście znacznie bardziej niepokoi myśl o ewentualnej wpadce. - Nagle z kieszeni Witkowskiego dobiegł przytłumiony elektroniczny świergot. Pułkownik wydobył miniaturowy telefon i przyłożył go do ucha. - Tak?
- Przepraszam, że spóźniłem się na śniadanie. - Mężczyzna mówił po angielsku z wyraźnym francuskim akcentem. - Jestem w pobliżu kawiarni, więc lada chwila dołączę do was.
- Zamówimy ci drugą jajecznicę, bo ta już zupełnie wystygła. - Będę wam bardzo wdzięczny. Nie znoszę zimnej jajecznicy. Pułkownik schował telefon i zwrócił się do zebranych przy stole:

- Za kilka minut przyjdzie jeden z ludzi Moreau. Karin, byłabyś taka dobra i zaczekała na niego przy szatni?
- Oczywiście. Kogo mam się spodziewać?
- Profesora Ahrendta z Uniwersytetu w Norymberdze.
- Już idę. Karin podniosła się z miejsca, okrążyła stół i wyszła z salki. - Wspaniała dziewczyna
- stwierdził z podziwem porucznik Anthony. - Odważna, interesuje się historią i sztuką, a do tego... - Wiemy, wiemy - przerwał mu oschłym tonem Latham. Mężczyzna, w którego towarzystwie wróciła Karin, wyglądał jak przeciętny niemiecki urzędnik bankowy: średniego wzrostu, w starannie uprasowanym, średnio eleganckim garniturze. Właściwie wszystko w nim było średnie i nie rzucające się w oczy, co świadczyło o tym, że człowiek ów jest znakomitym specjalistą w swoim fachu, zajmującym wysokie stanowisko w tajnej, przypominającej pajęczą sieć strukturze Deuxieme.
- Chyba obejdziemy się bez nazwisk, prawda? - zapytał, uśmiechając się uprzejmie. - Nawet tych fałszywych, bo tylko wprowadzają zamieszanie. Możecie mówić mi Karl; to pospolite imię i łatwo je zapamiętać.
- Siadaj, Karl - zaprosił Drew nowo przybyłego, wskazując mu puste krzesło. - Wprost trudno mi wyrazić, jak bardzo jesteśmy ci wdzięczni za pomoc.
- Modłę się, żeby była skuteczna.
- Modlitwy też się przydadzą, ale niepokoi mnie, że słyszę powątpiewanie w twoim głosie.
- Podjęliście się nadzwyczaj niebezpiecznego zadania.
- Na szczęście mamy fachowe wsparcie - odparł Witkowski. - Możesz coś dodać do informacji zawartych w raporcie? - Owszem. Zacznę od ustaleń, które poczyniliśmy już po wysłaniu go do Paryża. Większość interesów Traupman załatwia za pośrednictwem dyrektora szpitala, nadzwyczaj majątnego i wpływowego człowieka dysponującego znajomościami wśród polityków. Każda wizyta w jego biurze pozwala doktorowi podnieść mniemanie o samym sobie, bo dyrektor, choć tak potężny, jest gotów wykonać każde jego polecenie.
- To trochę dziwne, jeśli wziąć pod uwagę pozycję Traupmana zauważył Anthony.
- Niekoniecznie, Geny - odparł Christian Dietz. - To mniej więcej tak samo, jakby sekretarz obrony chciał uruchomić produkcję nowego bombowca: ostateczną decyzję może wydać tylko prezydent. W gruncie rzeczy w takim układzie jest coś bardzo niemieckiego. Człowiek, który przedstawił się jako Karl, skinął głową.
- Otóż to. Wszystkie polecenia, a właściwie żądania Traupmana, są rejestrowane na taśmie, żeby uniknąć jakichkolwiek błędów i niejasności. Udało nam się namówić jednego z urzędników, żeby skopiował nam taką taśmę.
- Czy to nie było niebezpieczne?
- Biedak był przekonany, że ma do czynienia z niemiecką policją. Znacnie się na swoim fachu - stwierdził z uznaniem Dietz. - Nie mamy wyboru; w przeciwnym razie byłibyśmy martwi. W każdym razie, Traupman zarezerwował sześciuosobowy stolik na tarasie restauracji "Gartenhof", na wpół do dziewiątej dziś wieczorem. - Trzeba wykorzystać tę okazję! - stwierdził stanowczo Anthony.
- Jednocześnie otrzymaliśmy z lotniska wiadomość, że jutro o piątej po południu doktor leci do Bonn.
- Spotkanie na Renie... - mruknął Dietz. - Woda daje najlepsze możliwości.
- Nie byłbym tego taki pewien, Chris - odparł porucznik. Pamiętasz, jak spieprzyliśmy sprawę na plaży na północ od Kuwait City?
- Nie my, kolego, tylko ci kowboje z "Fok". Byli tak nawaleni, że pozatykali rury wydechowe własnych łodzi desantowych. Na szczęście znaleźliśmy się w pobliżu i ocaliliśmy im tyłki...
- To już historia - przerwał przyjacielowi Anthony. - Dostali order, na które w pełni sobie zasłużyli. Dwóch zostało tam na zawsze, jeśli sobie przypominasz.
- To nie powinno się zdarzyć - powiedział cicho Dietz.
- Ale się zdarzyło - mruknął jeszcze ciszej Anthony.

- Mamy więc dwie możliwości - stwierdził Latham. - Dziś wieczorem w restauracji albo jutro na Renie. Co o tym myślisz, Karl? - W obu przypadkach ryzyko jest ogromne. Życzę wam powodzenia, przyjaciele. Na zapomnianym, położonym z dala od ludzkich siedzib lotnisku, wśród porośniętych łąkami wzgórz Kentu, dobiegał końca montaż dwóch ogromnych szybowców ME 323. Wyniesione w powietrze przez potężne odrzutowce odłączą się od nich na wysokości trzech tysięcy metrów, by bezszelestnie pożeglować w dół, ku ziemi. Za siedemdziesiąt dwie godziny miała rozpocząć się operacja "Wodna Błyskawica". Dwa inne ME 323, przeschmuglowane przez Atlantyk w kilku niczym się nie wyróżniających kontenerach, spoczywały na ziemi na rozległym płaskim terenie między zbiornikiem wodnym Dalecarlia a Potomakiem. Z wielkiego zbiornika zasilanego licznymi podziemnymi strumieniami czerpano wodę dla Arlington, Falls Church, Georgetown, a także dla Dystryktu Columbia, łącznie z murzyńskimi gettami i Białym Domem. Już niebawem, w chwili wyznaczonej z dokładnością niemal co do sekundy, dwa thunderbirdy miały przelecieć nisko nad ziemią, zaczepić hakami o liny przymocowane do dziobów szybowców i wspomagane pracą przyczepnych silników odrzutowych podwieszonych pod skrzydłami obu messerschmittów wynieść je w górę. Próby, które przeprowadzono w Mettmach w Niemczech, gdzie mieściła się nowa siedziba Bractwa, zakończyły się pełnym sukcesem. Nie ulegało wątpliwości, że zadanie zostanie wykonane i że za siedemdziesiąt dwie godziny stolica Stanów Zjednoczonych pograży się w trudnym do wyobrażenia chaosie. Czterdzieści kilka kilometrów na północ od Paryża, w okolicy Beauvais, biorą początek wodociągi zaopatrujące w wodę znaczną część stolicy Francji, w tym także dzielnice, w których są usytuowane budynki rządowe - Quai d'Orsay, pałac prezydencki, komenda główna żandarmerii wojskowej, a także rozmaite ministerstwa i agencje. Mniej więcej dwadzieścia kilometrów na wschód od rozległego zbiornika wodnego rozciągają się pola uprawne, wśród nich zaś usytuowano trzy prywatne lotniska służące wygodzie zamożnych ludzi, zirytowanych ścisaniem panującym na dworcach lotniczych Orly i de Gaulle'a. Na jednym z nich stały dwa potężne, świeżo pomalowane szybowce. Gdyby ktoś ciekawski zapytał, skąd się tu wzięły, uzyskałby następującą odpowiedź: zamówiła je saudyjska rodzina królewska, aby dla przyjemności latać nad pustynią. Wkrótce przylecą samoloty, które odholują potężne bezsilnikowe maszyny do Rijadu. Kontrola ruchu lotniczego została poinformowana, że nastąpi to mniej więcej za siedemdziesiąt dwie godziny. Na tarasie restauracji "Gartenhof" gościom przygrywał kwartet smyczkowy, a delikatne, wspaniale przyrządzone potrawy roznosili kelnerzy w śnieżnobiałych rękawiczkach. Z punktu widzenia oddziału N-2 największy problem polegał na tym, że taras przypominał raczej ogród: stało na nim mnóstwo donic z przeróżnymi roślinami, których różnobarwne kwiaty zwieszały się nad zabytkową norymberską uliczką, zaledwie kilkadziesiąt metrów od słynnego domu Albrechta Durera. Porucznik Gerald Anthony z Sił Specjalnych, weteran operacji "Pustynna Burza", nie posiadał się z wściekłości. Plan przewidywał nagły, choć krótkotrwały i niegroźny pożar, który odwróciłby uwagę ochroniarzy Traupmana, co pozwoliłoby obezwładnić ich i uprowadzić doktora. Niestety, znad rzeki Regnitz do tarasu restauracji docierały silne powiewy ciepłego wiatru, stwarzając zagrożenie, że niewinny pożar rozprzestrzeni się błyskawicznie na okoliczne stoliki i rośliny, powodując obrażenia, a może nawet śmierć wielu niewinnych osób. Co więcej, gdyby wybuchła panika, goście bez wątpliwości rzuciliby się do jedynej drogi wyjścia, co natychmiast doprowadziłoby do jego zablokowania, a wtedy nie byłoby mowy o szybkiej ucieczce z miejsca akcji. Członkowie grupy N-2 przyglądali się ukradkiem Hansowi Traupmanowi i jego gościom. Łatwo można było odnieść wrażenie, że znakomity neurochirurg zaprosił na przyjęcie stadko paw, on sam zaś jest najbardziej dorodnym i najstrojniejszym z nich. Brakowało tylko mieniących się wspaniałymi barwami piór. Sam Traupman okazał się szczupłym mężczyzną średniego wzrostu, zawzięcie gestykulującym i podkreślającym znaczenie swoich słów nieco przesadną mimiką. Z całą pewnością nie zasługiwał na miano atrakcyjnego mężczyzny, lecz nie ulegało wątpliwości, że choć bez przerwy domaga się wyrazów aprobaty, jeśli nie wręcz podziwu, to w pełni panuje nad sytuacją, sterując biegiem

rozmowy i zmuszając współbiedników do uważnego śledzenia jego słów. Latham, z okularami w rogowych oprawkach na nosie, doklejonymi krzaczastymi brwiami i czarnym wąsikiem, spojrział na Karin odmienioną nie do poznania za sprawą krzykliwego makijażu i uczesania. Ona jednak nie odwzajemniła spojrzenia, przysłuchując się z napiętą uwagą rozmowie, której strzępy docierały od stolika Traupmana. Porucznik Anthony zerknął na siedzących po przeciwnej stronie stołu Lathama i Witkowskiego, po czym niechętnie, ale wyraźnie pokręcił głową. Jego przełożeni zrewanżowali się tym samym. Niespodziewanie Karin de Vries powiedziała z ożywieniem po niemiecku:

- Zdaje się, że zauważyłam koleżankę z dawnych lat. Chyba szła do toalety, więc ja też tam pójdę. Nie czekając na reakcję mężczyzn wstała z krzesła i ruszyła za kobietą zmierzającą w stronę wyjścia z tarasu.

- Co ona powiedziała? - zapytał Drew.

- Że idzie do toalety - odparł Dietz.

- Ach, tylko tyle...

- Obawiam się, że jednak coś więcej - powiedział Anthony. Latham wyraźnie się zaniepokoił.

- Jak to?

- Kobieta, za którą poszła, siedziała przy stoliku z Traupmanem - wyjaśnił Witkowski.

- Czy ona oszalała? - syknął Drew. - Co ona sobie wyobraża, do wszystkich diabłów?

- Dowiemy się, jak tylko wróci.

- Wcale mi się to nie podoba!

- Obawiam się, że to bez znaczenia, chłopcze. Po dwóch minutach wypełnionych pełnym napięciem oczekiwaniem Karin de Vries wróciła na swoje miejsce.

- Moja nowa znajoma ma serdecznie dosyć "tego starego zbrojeńca" - powiedziała cicho po angielsku. - Dziewczyna ma zaledwie dwadzieścia sześć lat, a Traupman płaci jej za to, żeby pokazywała się z nim w lokalach i na koncertach, a po powrocie do rezydencji zaspokajała jego zbrożone upodobania seksualne. - Skąd o tym wiesz? - zdumiał się Drew.

- Wyczytałam z jej oczu. Nie wiem, czy pamiętasz, ale kiedyś mieszkałam w Amsterdamie. Oprócz tego jest uzależniona od kokainy i bez solidnej dawki nie dotrwałaby do końca kolacji. Właśnie zażywała swoją porcję, bez wątpienia dostarczoną przez doktora.

- Coraz bardziej go lubię - warknął Christian Dietz. - Pewnego dnia świat dowie się, że Saddam karmił tym świństwem swoich żołnierzy. Dostawali kokainę razem z porcjami żywnościowymi... Czy te wiadomości mogą nam się do czegoś przydać? - Tylko wtedy jeśli zdołamy przedostać się do rezydencji odparła Karin.

- W jaki sposób? - zapytał Witkowski. - Chodzi mi o wykorzystanie tych rewelacji, nie o sposób wślizgnięcia się do środka. - Pan doktor rejestruje swoje wyczyny na taśmach wideo.

- Zwyrrodnialec! - wycedził Anthony.

- Większy niż pan myśli - ciągnęła Karin. - Dziewczyna powiedziała mi, że Traupman ma całą kolekcję, od A do Z, łącznie z nieletnimi dziewczynkami i chłopcami. Twierdzi, że potrzebuje tego dla osiągnięcia pełnego podniecenia.

- To istotnie dałoby się wykorzystać... - mruknął pułkownik. - Dla skompromitowania go w oczach opinii publicznej uzupełnił Latham. - To najpotężniejsza broń wymyślona przez człowieka.

- Uda się! - szepnął triumfalnie Dietz.

- Jeszcze niedawno twierdziłeś coś wręcz przeciwnego - odparł również szeptem Anthony.

- Chyba wolno mi zmienić zdanie, prawda?

- Wolno, ale nie zapominaj, że pierwsza myśl prawie zawsze jest najlepsza... W porządku, co proponujesz?

- Pani de Vries, skoro dowiedziała się pani o kolekcji kaset, to zapewne uzyskała też pani nieco informacji na temat samej rezydencji, zgadza, się?

- Oczywiście. Na jednej zmianie jest zawsze trzech strażników: jeden siedzi zaraz za drzwiami przy biurku z interkomem, natomiast dwaj pozostali, tak jak wspomniiał pan wcześniej, kapitanie, patrolują korytarze, hol oraz otoczenie budynku.

- Co z windami? - wtrącił się Witkowski.
- Praktycznie możemy o nich zapomnieć. Apartamenty Traupmana znajdują się na najwyższym piętrze, a wjechać tam można albo po wprowadzeniu tajnego kodu, albo po sprawdzeniu przez portiera, który upewni się, czy na pewno jest pan oczekiwany. - A więc mamy do czynienia z dwiema barierami - zauważył Drew. - Oprócz osobistej ochrony Traupmana jest też ochrona budynku.
- Raczej z trzema - poprawiła go Karin. - Kolejny strażnik czeka przy drzwiach apartamentu. Tylko on zna szyfr umożliwiający otwarcie drzwi. Jeśli się pomyli albo celowo wprowadzi jakąś zmianę, natychmiast włącza się alarm.
- Naprawdę wszystkiego dowiedziała się pani od tej dziewczyny? - zapytał z niedowierzaniem Anthony.
- Nie musiałam, poruczniku. To standardowa procedura. Na trochę mniejszą skalę stosowaliśmy ją z mężem w Amsterdamie. - Jak to?
- To długa i skomplikowana historia, poruczniku - stwierdził oschłym tonem Drew. - Nie mamy teraz czasu... A więc, nawet jeśli uda nam się wejść do budynku, zmylić czujność strażnika przy biurku i w jakiś sposób dotrzeć na ostatnie piętro, utkniemy przed zamkniętymi drzwiami, a zaraz potem najprawdopodobniej zostaniemy wystrzelani jak kaczki. Przyznam, że ten scenariusz niezbyt mi się podoba.
- Więc jednak przypuszczasz, że uda nam się pokonać dwie pierwsze przeszkody? - zapytał Witkowski.
- Ja też tak uważam - oświadczył Dietz. - Cała nadzieja w pijaku i tym nieszczęśniku ze świerzbem, albo czymś w tym rodzaju. Ja i Gerry zajmujemy się nimi. Jeśli chodzi o portiera, z pewnością uda się zamydląc mu oczy za pomocą jakichś bardzo oficjalnych i piekielnie ważnych dokumentów, które okażą mu dwaj bardzo oficjalni i piekielnie ważni osobnicy. - Kapitan przeniósł wzrok na Lathama i Witkowskiego. - Pod warunkiem że są przygotowani na to, przez co porucznik i ja przeszliśmy podczas "Pustynnej Burzy".
- Możecie się o to nie martwić - wycedził coraz bardziej zirytowany Drew. - A jak damy sobie radę z koleśkiem pilnującym drzwi apartamentu?
- Przyznam, że jeśli o to chodzi, to jestem w kropce.
- A ja chyba mam pewien pomysł - oznajmiła Karin, wstając z krzesła. - To może trochę potrwać - dodała tajemniczo. ~ Na wszelki wypadek zamówcie mi podwójną kawę, bo kto wie, czy nie czeka nas wyczerpująca noc. Skierowała się do wyjścia, lecz nie wybrała najkrótszej drogi, na ukos przez taras, tylko poszła naokoło, mijając stolik Traupmana w odległości najwyżej półtora metra. Niespełna pięć minut później młoda jasnowłosa kobieta, siedząca obok znakomitego neurochirurga, doznała ataku alergicznego kataru. Pełni współczucia goście doktora Hansa Traupmana obarczyli odpowiedzialnością za to wydarzenie pyłki nadrzecznych traw, niesione ciepłym wiatrem wiejącym od rzeki. Kobieta podniosła się i przyciskając chusteczkę do nosa poszła do toalety. Po kolejnych dwudziestu minutach Karin de Vries dołączyła do amerykańskich doktorantów i ich promotora.
- Postawiła warunki, od których spełnienia uzależnia swoją współpracę - powiedziała.
- Rozmawialiście w damskiej toalecie - domyślił się Witkowski.
- To bystra dziewczyna. Zorientowała się, że chcę z nią pogadać, i przyszła tam zaraz po mnie.
- Co to za warunki i w jaki sposób ona wyobraża sobie współpracę? - zapytał Drew.
- Najpierw drugie pytanie: w ciągu godziny od chwili kiedy przekroczy próg apartamentu, wyłączony alarm, otworzy od środka zamek i uniemożliwi jego zablokowanie.
- Gdyby chciała ubiegać się o prezydenturę, może liczyć na moje pełne poparcie - stwierdził kapitan Dietz.
- Na szczęście ma znacznie skromniejsze wymagania - odparła Karin. - Chce dostać amerykańską wizę pobytową i tyle pieniędzy, żeby wystarczyło na kurację odwykową i trzy lata względnie wygodnego życia. Po tym, co zrobi, nie odważy się zostać w Niemczech, a jest zdania, że po trzech latach intensywnej nauki angielskiego powinno udać jej się znaleźć jakąś sensowną pracę. Latham błyskawicznie podjął decyzję.

- Załatwione. Szczerze mówiąc spodziewałem się bardziej wygórowanych żądań.
- Nie jest wykluczone, że zgłosi je później, kochanie. Należy do osób, które starają się wykorzystać każdą sytuację, z pewnością nie jest święta, a w dodatku ma autentyczne problemy z narkotykami.
- Na szczęście tym będzie martwił się już kto inny - wtrącił się pułkownik.
- Uwaga! - szepnął porucznik Anthony. - Traupman właśnie poprosił o rachunek.
- A więc ja, jako wasza opiekunka i tłumaczka, wkrótce zrobię to samo. Karin pochylila się po chusteczkę, która zsunęła się na podłogę; trzy stoliki dalej młoda blondynka uczyniła to samo, by podnieść złotą zapalniczkę. Spojrzenia dwóch kobiet spotkały się na ułamek sekundy. Umowa została zawarta.

* * *

ROZDZIAŁ 36

Budowla, w której mieścił się apartament Traupmana - słowo "budynek" zawierało stanowczo zbyt mało majestatu - należała do tych konstrukcji ze stali i szkła, które wywołują u ludzi tęsknotę za kamiennymi murami, wieżyczkami, lukami, a nawet przyporami. Stanowiła nie tyle efekt pracy i przemyśleń architekta, ile raczej obliczeń komputera, zaprogramowanego przez miłośnika ogromnych, nie wykorzystanych przestrzeni. Niemniej jednak trzeba przyznać, że prezentowała się imponująco: frontowe szyby sięgały na dwa piętra w górę, pośrodku głównego holu wyłożonego białym marmurem znajdował się obszerny basen z kaskadową fontanną oświetloną kolorowymi reflektorami. Pusta przestrzeń sięgała aż do odległego sklepienia, otoczona tarasami kolejnych pięter; każdy taras kończył się mniej więcej studwudziestocentymetrowym granitowym murkiem, pozwalającym swobodnie rozkoszować się wspaniałym widokiem. W ścianie po lewej stronie holu umieszczono przeszklone pomieszczenie dla umundurowanego portiera, którego zadanie polegało na sprawdzaniu, czy każdy z gości, którzy zapowiedzieli się przez domofon, istotnie jest oczekiwany o tej porze przez któregoś z mieszkańców. Portier miał także w zasięgu ręki przyciski alarmowe opatrzone podpisami: POŻAR, WŁAMANIE oraz POLICJA; ponieważ najbliższy posterunek znajdował się w odległości niecałego kilometra, stróżowie prawa mogli zjawić się na miejscu w ciągu sześćdziesięciu sekund od wezwania. Budowla liczyła sobie dziesięć pięter, przy czym rezydencja Herr Traupmana zajmowała całą najwyższą kondygnację. Jak łatwo się domyślić, bezpośrednie otoczenie zostało urządzone z przepychem odpowiadającym cenom luksusowych apartamentów. Między dwoma wysokimi żywopłotami znajdował się owalny podjazd, pośrodku zaś, na niewielkim placyku, rosły starannie przyszczyżone krzewy, kwitły kwiaty i pływały złote rybki, dla których przeznaczono pięć wybetonowanych baseników, naturalnie z wymuszonym przepływem wody i aparaturą uzupełniającą zawartość tlenu. Miłośnicy piękna natury mogli przechadzać się po wyłożonych kostką ścieżkach. Na zapleczu kompleksu mieszkalnego, w sąsiedztwie średniowiecznych murów obronnych, usytuowano pełnowymiarowy basen. Tak, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że doktor Hans Traupman, Rasputin niemieckich neonazistów, żył w całkiem przyzwoitych warunkach.

- Czuję się tak, jakbym próbował wejść bez przepustki do więzienia w Leavenworth - szepnął Latham do towarzyszącego mu kapitana Christiana Dietza. Obaj mężczyźni leżeli w przyszczyżonych krzakach naprzeciwko wejścia do budynku. - W ogrodzeniu od strony basenu są ukryte elektroniczne czujniki; wystarczy dotknąć go ręką, a natychmiast odezwie się syrena alarmowa. - Wiem o tym odparł weteran operacji "Pustynna Burza". - Właśnie dlatego powiedziałem, że jedyny sposób, w jaki można dostać się na ostatnie piętro, to zdjęć obu strażników i podsunąć portierowi pod nos jakieś cholernie ważne dokumenty. - Naprawdę dacie sobie radę ze strażnikami?

- Nie ma obawy... proszę pana. Gerry zajmie się tym dużym z piersiówką, a ja wezmę tego z uczuleniem. Problem polega tylko na tym, czy pan i pułkownik jesteście wystarczająco utalentowanymi aktorami, żeby przekonać portiera.
- Witkowski rozmawiał przez telefon z agentami Deuxieme i twierdzi, że wszystko już załatwił.
- W jaki sposób?
- Agenci znają kogoś w policji, kto zadzwoni do portiera i przygotuje grunt: tajne zadanie, ściśle poufna misja, bezpieczeństwo kraju, i takie różne bzdury.
- Deuxieme współpracuje z niemiecką policją?
- Być może, choć w tej chwili nie to jest najważniejsze. Istotne jest tylko to, żeby portier usłyszał w słuchawce parę nazwisk naprawdę ważnych osób. Jest już zdrowo po północy, więc chyba nie myślisz, że odważy się do kogokolwiek zadzwonić? Kiedy alianci lądowali w Normandii, nikt nie ośmielił się obudzić nawet osobistego adiutanta Hitlera, nie wspominając o nim samym. - Czy pułkownik dobrze zna niemiecki? Słyszałem tylko parę słów...
- Bardzo dobrze.
- Musi mówić tonem nie znoszącym sprzeciwu. Najlepiej gdyby był wręcz arogancki.
- Wątpisz, czy mu się uda? Przecież on jest taki na co dzień. - Oho! Właśnie zapalił zapalną. Chyba coś się dzieje.
- To nie on. Ukryli się z twoim kolegą parę metrów dalej. Kapitan Dietz ostrożnie rozchylił gałązki i wytyczył wzrok. - Rzeczywiście. To ten wielki szkop z butelczyną. Gerry zakrada się z prawej strony; zdejmie go w najgłębszym cieniu, na ścieżce prowadzącej wzdłuż ściany budynku.
- Czy wy zawsze jesteście tacy pewni siebie?
- A co w tym złego? To praca jak każda inna, a nas nauczono wykonywać ją jak najlepiej.
- I nawet nie przyjdzie wam do głowy, że możecie trafić na kogoś silniejszego?
- Oczywiście. Właśnie dlatego mamy w zanadrzu trochę nieprzyjemnych sztuczek. A pan nie? Mój przyjaciel z ambasady w Paryżu oglądał pana kiedyś na lodowisku, chyba w Toronto lub w Manitobie. Twierdzi, że do dzisiaj nie widział hokeisty, który grałby brutalniej ciałem.
- Dobra, zmieniamy temat - zarządził Latham. - Co będzie, kiedy nasz pijaczyna nie zjawi się w umówionym miejscu? Czy ten drugi nie pójdzie go szukać?
- To są Niemcy. Jakikolwiek odstępstwo od schematu jest dla nich nie do pomyślenia. Zaniechanie obowiązków przez jednego żołnierza nie może być przyczyną zaniechania obowiązków przez drugiego. Nic się nie zmieni... Oho, Gerry już go załatwił! - Jak to?
- Nie patrzył pan. Gerry zapalił zapalną i machnął nią w lewo. Zadanie wykonane... Teraz ja ruszę naprzód, a pan dołączy do pułkownika na skrzydle.
- Tak, wiem o tym.
- Trzeba będzie trochę poczekać, może nawet dwadzieścia minut albo więcej, ale proszę być cierpliwym. Wszystko odbędzie się zgodnie z planem.
- Wierzę ci prawie jak Panu Bogu.
- Gerry przypuszczał, że pan powie coś takiego... Dobra, zobaczymy się później. Kapitan Dietz z Sił Specjalnych poczołgał się w kierunku wejścia do budynku, Drew natomiast odpełził między równiutkimi rabatami w lewo, gdzie w głębokim cieniu żywopłotu leżał wyciągnięty jak długi Stanley Witkowski.
- Ci dranie są po prostu niesamowici! - stwierdził z podziwem pułkownik, odkładając lornetkę. - Można by pomyśleć, że mają mrożoną herbatę zamiast krwi.
- Po prostu wykonują swoją robotę - odparł Drew, zajmując pozycję obok Witkowskiego.
- Dobrze sobie! O, jest i drugi. Ależ się porusza... Jak tygrys podkradający się do ofiary.
- Mam nadzieję, że jej nie zagryzie. Potrzebni nam są żywi więźniowie.
- Mnie tam wszystko jedno, byle udało się dostać do środka. - Właśnie: myślisz, że się uda?
- Przypuszczam, że tak, ale przekonamy się dopiero wtedy, kiedy spróbujemy. W razie czego wedrzemy się siłą.
- Portier wezwie policję, jak tylko zobaczy cokolwiek podobnego do broni.

- Tutaj jest dziesięć pięter. Jak myślisz, od którego zaczną? - Masz rację. A więc, idziemy!
- Jeszcze nie. Kapitan jeszcze nie upolował swojej ofiary. - Wydawało mi się, że...
- Zajmował pozycję, ale nie dobrał się do dolnej szuflady. - Że co, proszę?
- Tak mówią marines. Albo że nie wymacał dziesiątki na tarczy.
- Może za wiele wymagam, ale czy byłbyś uprzejmy mówić po ludzku?
- Drugi strażnik jeszcze nie wystawił nosa z budynku.
- Wielkie dzięki. Sześć minut później Witkowski przemówił ponownie:
- Jest, dokładnie według rozkładu. Niech Bóg błogosławi to ich zamilowanie do porządku! - Wkrótce potem w głębokim cieniu przy ścianie budynku zapłonęła zapalka i poszybowała krótkim łukiem w lewo. - Załatwione. Teraz możemy iść. Wyprostuj się, zrób ważną minę i powtarzaj sobie, że jesteś z policji. Tylko trzymaj głębę na kłódkę.
- A co niby miałbym powiedzieć? Ja, ja, Volkswagen?
- Idziemy. Dwaj mężczyźni podnieśli się z ziemi, otrzepali ubrania, przebiegli przez owalny podjazd, zatrzymali się przed dwuskrzydłowymi szklanymi drzwiami, zaczekali, aż uspokoi im się oddech, po czym podeszli do domofonu.
- Guten Abend - powiedział pułkownik. - Przysłano nas z Komendy Miejskiej, żebyśmy sprawdzili przekaźnik w instalacji alarmowej apartamentu doktora Traupmana - ciągnął po niemiecku.
- Rzeczywiście, godzinę temu dostałem telefon w tej sprawie, ale powiedziałem waszym przełożonym, że doktor wydaje dzisiaj małe przyjęcie, więc...
- A oni chyba poinformowali pana, że nie zamierzamy nikomu zakłócać spokoju - przerwał Witkowski portierowi. - Komendant osobiście polecił nam nie zawracać głowy doktorowi ani jego gościom, a ja nie mam najmniejszego zamiaru narazić się na zarzut, że nie wykonałem rozkazu. Na szczęście przekaźniki są w magazynie po drugiej stronie korytarza, więc doktor Traupman nawet nie będzie wiedział, że coś przy nich majstrowaliśmy. Ale chyba pan słyszał już o tym od komendanta?
- A co się właściwie stało z tymi... przekaźnikami?
- Pewnie ktoś przesunął jakieś ciężary po podłodze i przerwał kabel. Wszystkiego dowiemy się dopiero wtedy, kiedy sprawdzimy moduły, a właściwie kiedy zrobi to mój kolega, bo to on jest specjalistą w tych sprawach.
- Nawet nie wiedziałem, że tutaj jest coś takiego - stwierdził portier.
- Na pewno nie wiesz jeszcze o wielu rzeczach, przyjacielu. Między nami mówiąc, wystarczy, żeby doktor podniósł słuchawkę specjalnego telefonu, a może uzyskać bezpośrednio połączenie z wieloma bardzo wysoko postawionymi osobami w Bonn.
- Słyszałem, że to znakomity neurochirurg, ale żeby aż... - Powiedzmy, że chętnie wyświadcza przysługi naszym zwierzchnikom - przerwał mu ponownie Witkowski przyjaznym tonem. - No, miło nam się gawędzi, ale trzeba brać się do pracy. Może nas pan wpuścić?
- Jasne, ale będziecie musieli wpisać się do książki odwiedzin. - I stracić posadę, do spółki z panem?
- Dobra, nieważne. Zaprogramuję windę, żeby zawiozła was na dziesiąte piętro. Potrzebujecie klucz od schowka?
- Nie. Traupman dał go komendantowi, a on przekazał go nam.
- Chyba że tak. Proszę, wchodźcie.
- Oczywiście pokażemy panu legitymacje, ale będzie lepiej, jeśli od razu zapomni pan, że nas widział.
- Jasne. To dobra posada i nie mam najmniejszej ochoty jej stracić. Na dziesiątym piętrze okazało się, że od wejścia do apartamentu Traupmana oddziela ich zakręt korytarza. Latham i pułkownik posuwali się naprzód centymetr po centymetrze, przyciśnięci do ściany; kiedy dotarli do zakrętu, Drew ostrożnie wyjrzał zza rogu. Ubrany w mundurowe spodnie i wojskową koszulę z krótkim rękawem strażnik siedział za biurkiem pogrążony w lekturze książki, wystukując palcami na blacie rytm żywej melodii dobiegającej z przenośnego radia. Dzielila ich od niego odległość około piętnastu metrów. Na biurku znajdowała się konsola z

dwoma rzędami lampek i przycisków; gdyby strażnik zdołał dotknąć któregokolwiek z nich, operacja "N-2" zakończyłaby się fiaskiem. Latham cofnął się, zerknął na zegarek i szepnął do Witkowskiego:

- Ugrzęźliśmy, Stosh.

- Spodziewałem się czegoś takiego, chłopcze - odparł weteran G-2. Sięgnął do kieszeni, wyjął z niej pięć kamyków i pokazał je Lathamowi na otwartej dłoni. - Karin miała rację: najważniejsze jest odwrócenie uwagi.

- Dziewczyna Traupmana już dawno wyłączyła alarm. Musi się piekielnie niepokoić.

- Wiem o tym. Strzelaj z pistoletu pneumatycznego tak długo, aż trafisz w okolice szyi.

- O czym ty mówisz?

- Wierz mi, nasz przyjaciel zaraz tu przyjdzie.

- Co chcesz zrobić?

- Patrz, to się przekonasz. Witkowski potoczył kamyk po marmurowej posadzce, a w chwilę po tym to samo uczynił z drugim. Hałas był niewielki, ale doskonale słyszalny w wypełnionej delikatnym szumem klimatyzacji ciszy, jaka panowała w korytarzu. I co? - zapytał szeptem Lathama.

- Miałaś rację. Wstał i idzie w naszą stronę.

- Im bardziej się zbliży, tym łatwiej będzie ci trafić. Pułkownik rzucił jeszcze dwa kamyki, które poturlały się po podłodze z donośnym stukotem. Strażnik wydobyl broń z kabury i przyspieszył kroku. Gdy tylko wylonil się z za zakrętu korytarza, Latham zaczął strzelać z pistoletu automatycznego. Pierwszy pocisk chybił celu, ale dwa kolejne ugodziły nazistę w prawą stronę szyi. Narkotyki, który zawierały, zaczął działać niemal natychmiast: strażnik zachwiał się, sięgnął ręką do szyi, otworzył usta, ale już nie zdążył krzyknąć i z głośnym westchnieniem osunął się powoli na marmurową posadzkę.

- Wyjmij lotki z rany i znajdź tę, która chybiła - polecił Witkowski. - Trzeba zawlec go z powrotem do biurka. Narkotyki przestanie działać za jakieś pół godziny. Wspólnymi siłami posadzili nieprzytomnego strażnika w fotelu i pozwolili mu opaść twarzą na blat. Zaraz potem Drew podszedł do drzwi apartamentu, kilka razy odetchnął głęboko, wstrzymał oddech, po czym nacisnął klamkę i pchnął ciężkie metalowe skrzydło. Otworzyło się bez oporu. Nie zawyla syrena, nie rozdzwiewały się dzwonki alarmowe, rozległ się natomiast przytłumiony kobiecy głos:

- Schnell. Beeilen Sie sich!

- Nie ruszaj się! - warknął Latham, ale komenda okazała się zbędna. - Co ona mówi? - zapytał przez ramię pułkownika. Możemy włączyć światło?

- Tak - odparła kobieta. - Ja trochę mówię po angielsku, ale nie bardzo dobrze. - Zaraz potem zapaliło się światło. Dziewczyna była ubrana, w jednej ręce trzymała torebkę, w drugiej niewielką walizeczkę. - Idziemy już, ja?

- Wszystko w swoim czasie, Fraulein - odparł pułkownik po niemiecku. - Najpierw interesy.

- Ona mi obiecała! Paszport, wizę, wszystko, żeby jechać do Ameryki!

- My dotrzymujemy obietnic, panienko, ale mamy jeszcze parę spraw do załatwienia. Musimy zabrać Traupmana i kasety. Gdzie one są?

- Wsadziłam do walizki piętnaście najbardziej obrzydliwych. Chcecie wynieść Traupmana? To niemożliwe. Wyjście dla służby jest zamknięte od ósmej wieczorem do ósmej rano, a nie wiem, jak wyłączyć alarm. Nie ma innej drogi, wszędzie są kamery telewizyjne. Witkowski przetłumaczył niewesołe wieści Lathamowi, który wzruszył ramionami i odparł:

- Wobec tego będziemy musieli wytaszczyć go głównym wejściem. Na szczęście załatwiliśmy jego ochronę. Pułkownik przełożył jego słowa na niemiecki.

- To głupota! - stwierdziła stanowczo dziewczyna. - Wszyscy zginiemy! W tym budynku mieszkają najbogatsi ludzie w Norymberdze, którzy mają wszelkie podstawy, żeby obawiać się porwania dla okupu, więc odpowiednio się zabezpieczyli. Każdy lokator musi osobiście uprzedzić portiera o zamiarze opuszczenia rezydencji. - Nie widzę problemu: podniosę

sluchawkę, przedstawię się jako Traupman i zawiadomię portiera. A tak w ogóle, to gdzie jest nasz znakomity doktor?

- W sypialni. To stary człowiek, wino i inne rzeczy szybko uderzają mu do głowy... Pan naprawdę nic nie rozumie! W całej Europie bogaci ludzie podróżują opancerzonymi limuzynami, w towarzystwie ochrony. Jestem zdumiona, że udało się wam tutaj dostać, ale jeśli myślicie, że zdołacie odjechać z doktorem, to jesteście szaleni! - Uśpiemy go, tak jak strażnika przed drzwiami.

- To nic nie da. Najpierw trzeba wezwać samochód z podziemnego garażu, a oprócz Traupmana tylko osobista ochrona zna kombinację szyfru.

- Jakiego szyfru?

- Przecież do samochodu może dobrać się złodziej, ktoś może coś przy nim majstrować...

- O co chodzi? - zniecierpliwil się Drew. - Długo jeszcze będziesz z nią szwargotał po niemiecku?

- Jesteśmy udupieni - poinformował go pułkownik. - Chłopcy z Deuxieme pokpili sprawę: co powiesz o szyfrowym zamku w drzwiach garażu, do którego kombinację zna tylko Herr Doktor i jego goryle?

- W tym przeklętym kraju mieszkają sami paranoicy!

- Nein, mein Herr - zaprotestowała dziewczyna. - Ja trochę rozumiem, co pan mówi. Nie sami. Tylko ci najbogatsi. Oni się boją. - A co z nazistami? Czy ich boi się ktokolwiek?

- To śmieci! Żaden porządny człowiek nie chce mieć z nimi nic wspólnego.

- Wobec tego kim, twoim zdaniem, jest Traupman?

- Bardzo złym człowiekiem, starym i okrutnym.

- To właśnie jeden z przeklętych nazistów! Kobieta zachwiała się i potrząsnęła głową, jakby otrzymała silne uderzenie w twarz.

- Ja... Ja nic o tym nie wiedziałam. Jego Freunde... znani lekarze, wszyscy są bardzo poważani. Wielu jest beruhmt. Tacy sławni...

- Dzięki temu doktor jest nietykalny - wyjaśnił po niemiecku Witkowski. Należy do ścisłego przywództwa ruchu, a na użytek publiczny zakłada maskę szanowanego obywatela.

- Zrobiłam wszystko co w mojej mocy, żeby wam pomóc. Macie taśmy, tak jak obiecałam. Teraz musicie pomóc mi wyjechać z Niemiec, bo jeśli to, co pan mówi, jest prawdą, te nazistowskie świny nie dadzą mi spokoju.

- Może być pani spokojna, dotrzemy obietnicy - zapewnił ją pułkownik, po czym zwrócił się po angielsku do Lathama: Zmywamy się, chłopcze. Nie możemy teraz zabrać drania, bo zawalilibyśmy całą operację. Polecimy do Bonn samolotem Deuxieme i tam zaczaiemy się na sukinsyna.

- Myślisz, że on tam będzie?zapytał Drew.

- Myślę, że nie ma wyboru. Poza tym, liczę na niemieckie przyzwyczajenie do ścisłego trzymania się rozkazów. Ten, kto nawali, ponosi wszelkie konsekwencje, a tego nikt specjalnie nie lubi. - Do czego zmierzasz, jeśli wolno zapytać?

- Ochroniarze Traupmana odzyskają przytomność za dwadzieścia do trzydziestu minut. Będą mocno przerażeni i z pewnością od razu pognają do apartamentu szefa.

- Gdzie znajdą doktora pogrążonego w błogim śnie - uzupełnił Drew. - A co z kasetami wideo? Witkowski spojrzal na jasnowłosą dziewczynę i zadał jej to samo pytanie. Kobieta wyjęła z torebki płaski klucz o skomplikowanym wzorze.

- To jeden z dwóch kluczy do szafy pancерnej, w której trzyma swoje filmy. Drugi jest w bankowym sejfie.

- Nie zauważą jego braku?

- Wątpię, czy będą go szukać. Doktor trzyma go w szufladzie z bielizną.

- Proszę wybaczyć, że o to pytam, ale muszę: Czy filmował to, co robiliście dziś wieczorem?

- Nie, bo nie bardzo miałby co potem oglądać. Po rozmowie z waszą koleżanką postanowiłam skorzystać z "tajnej broni", którą zawsze mam przy sobie: to zakraplacz do oczu wypełniony silnym środkiem nasennym. Stosuję go, kiedy mam już dosyć odrażających pomysłów Hansa.

- Czy jest pani uzależniona od narkotyków?

- Nie widzę powodu, żeby zaprzeczać. Zabrałam dawkę, która wystarczy mi na trzy dni. Mam nadzieję, że potem znajdę się w jakiejś dobrej amerykańskiej klinice... Nie stałam się narkomanką z wyboru, jeśli o to panu chodzi. Wciągnięto mnie podstępem, podobnie jak wiele dziewcząt z Berlina Wschodniego. Byłyśmy zachwycone, kiedy zaproponowano nam pracę w ekskluzywnych agencjach towarzyskich, gdyż żadna z nas nie podejrzewała, co się z tym wiąże.

- Dobra, spływamy stąd! - zdecydował Witkowski. A więc mimo wszystko kapitan Dietz będzie miał okazję spróbować swoich sił na Renie. Zdezorientowani, wystraszeni strażnicy zjawiali się kolejno przed drzwiami apartamentu Traupmana. Ich relacje z ostatnich wydarzeń mocno się różniły, przede wszystkim dlatego że na dobrą sprawę żaden nie był pewien, co się właściwie stało, każdy natomiast czynił wszystko, żeby się usprawiedliwić. Nie ulegało wątpliwości, iż wszyscy zostali zaatakowani, ale nikt nie doznał poważniejszych obrażeń.

- Chyba powinniśmy sprawdzić, czy nic mu się nie stało powiedział niepewnie ten, którego oddech cuchnął jak wyziewy z gorzelnii.

- Nikomu nie wolno wchodzić do środka! - zaprotestował strażnik pilnujący drzwi apartamentu. - System alarmowy ma bezpośrednie połączenie z posterunkiem policji. W ciągu minuty mielibyśmy na głowie cały komisariat.

- Ale przecież ktoś na nas napadł i pozbawił przytomności zwrócił mu uwagę ten ze swędzącą wysypką lub uczuleniem.

- Mógłbyś wreszcie pójść do lekarza! - syknął alkoholik. Wolalbym nie złapać tego od ciebie.

- Nie złapiesz, jeśli nie dasz się namówić na rozbierany piknik w krzakach nad Regnitz. Przeklęta suka!... Musimy tam wejść, choćby po to, żeby się dowiedzieć, czy musimy zwiewać z Norymbergi. Ten argument trafił do przekonania strażnika przy biurku, gdyż nachylił się nad konsolę i wcisnął kilka guzików.

- W porządku, wyłączyłem alarm i odblokowałem zamek powiedział. - Drzwi są otwarte.

- Ty idziesz pierwszy - poinformował go piknikowicz. Cztery minuty później cała trójka znalazła się z powrotem w korytarzu.

- Cholera wie, co o tym myśleć - mruknął potężnie zbudowany strażnik. - Doktor śpi jak niemowlę, nie widać śladów włamania, żadnego bałaganu...

- Znikła ta dziewczyna - zauważył jego kolega.

- Myślisz, że...

- Nie myślę, tylko wiem - stwierdził stanowczo osobnik cierpiący na swędzące dolegliwości. - Już parę razy starałem się dać doktorowi do zrozumienia, że nie powinien się z nią spotykać. Ta dziwka mieszka z pewnym wrednym policjantem, który rozwiódł się z żoną. Wątpię, czy starcza mu pensji, żeby zaspokoić jej potrzeby.

- Policja, alarmy... Możliwe, że zrobiła to z jego pomocą stwierdził strażnik z korytarza, po czym usiadł za biurkiem i wziął do ręki słuchawkę. - Możemy się o tym przekonać tylko w jeden sposób: zadzwonimy do jej mieszkania. - Znalazł numer w spisie, po czym wystukał go lekko drżącym palcem. Po minucie odłożył słuchawkę. - Nikt się nie zgłasza. Albo wyjechali z miasta, albo poszli gdzieś, żeby wyrobić sobie alibi.

- Alibi? - powtórzył gruby strażnik. Był znacznie bardziej zdenerwowany niż przed chwilą, przede wszystkim dlatego że okazało się, iż piersiówka jest pusta. - Po co im alibi?

- Nie wiem.

- A więc nikt z nas nic nie wie - stwierdził z goryczą grubas. - Doktor jest cały i zdrowy, ta dziwka wyszła stąd na własnych nogach i z własnej woli... Heinrich w razie czego to potwierdzi... wszystko jest cacy, zgadza się?

- Czemu nie? - mruknął strażnik o imieniu Heinrich. - Myślę, że doktor będzie z tego nawet zadowolony. Nie lubi, kiedy rano któraś z tych kobiet kręci się po mieszkaniu.

- A więc nic się nie stało, panowie - stwierdził miłośnik napojów alkoholowych. - Wracam na stanowisko, ale najpierw muszę na chwilę zajrzeć do samochodu, żeby uzupełnić zapasy. Port

rzeczny w Bonn był skąpany w blasku niezliczonych silnych reflektorów. Za kilka minut, kiedy od nabrzeża odbije niewielka łódź motorowa, miały zgasnąć wszystkie z wyjątkiem jednego. W odległości niecałego kilometra czekała inna łódź, pomalowana na ciemnozielono, kołysząc się z wyłączonym silnikiem na falach Renu. Spośród sześciu osób znajdujących się na pokładzie pięć miało na sobie piankowe kombinezony do nurkowania i akwalungi; szóstą osobą był kapitan opłacany przez Deuxieme. Co prawda Karin de Vries także miała na sobie strój nurka, ale w dalszym ciągu toczyła słowną batalię o to, by wziąć udział w wyprawie.

- Przypuszczam, że jeśli chodzi o nurkowanie, to mam znacznie więcej doświadczenia od ciebie, Drew. Wątpię - odparł Latham. - Przeszedłem szkolenie w Instytucie Scrippsa w San Diego, a tam pracują najlepsi specjaliści w tej dziedzinie.

- Ja natomiast uczyłam się nurkować z Frederikiem w Morzu Czarnym. To była część naszego kursu przygotowawczego. Stanley z pewnością o tym pamięta - naturalnie jeśli akurat teraz nie dozna wybiórczej amnezji.

- Pamiętam, młoda damo - odparł Witkowski. - Tym bardziej że to my płaciliśmy za tę operację... Oplaciło się jednak, bo Freddie de V. przywiózł kilkaset podwodnych zdjęć sowieckich okrętów stacjonujących w Sewastopolu.

- Co najmniej jedna trzecia tych fotografii była mojego autorstwa - poinformowała go Karin.

- W porządku, możesz iść z nami - ustąpił niechętnie Latham. Ale jeśli wyjdziemy z tego z życiem, to będziesz musiała zapamiętać, że to nie ty nosisz spodnie w naszej rodzinie. - A ty powinieneś się nauczyć, że... Zaraz, chwileczkę! Czy mam rozumieć, że właśnie poprosiłeś mnie o rękę?

- Robiłem to już wcześniej... może nie wprost, ale dawałem ci wyraźnie do zrozumienia, do czego zmierzam.

- Doprawdy, wybierasz najbardziej niezwykle chwile, żeby potwierdzić swoją męskość!

- Cisz na pokładzie! - zarządził Witkowski. - Zbliża się Dietz. Weteran operacji "Pustynna Burza" przykucnął i oparł się plecami o burtę.

- Zapoznałem kapitana z naszym planem. Nie znalazł w nim żadnych dziur, ale na wszelki wypadek jeszcze raz sobie wszystko powtórzymy. Nawet jeśli plan kapitana Christiana Dietza nie był taktycznym arcydziełem, to z pewnością zmniejszył do minimum ryzyko odkrycia przez nieprzyjaciela. Ciemnozielona łódź ciągnęła za sobą na linie ponton z utwardzanego plastiku, wyposażony w potężny silnik o mocy 250 KM, dzięki któremu mógł rozwijać prędkość nawet czterdziestu węzłów. Na pontonie znajdowała się zwinięta w rulon płachta czarnego brezentu, wystarczająco duża, aby przykryć nią niewielką jednostkę razem z silnikiem i załogą. Po przepłynięciu mniej więcej półtora kilometra łódź Traupmana zostanie zaatakowana przez poruszający się pod powierzchnią wody oddział N-2 - najpierw należało unieszkodliwić miotacze gazu, potem zniszczyć kamery celnymi strzałami z potężnych pistoletów Magnum kaliber .357, następnie oddział wedrze się na pokład, unieszkodliwi środki łączności, zaaplikuje doktorowi silny środek odurzający i przetransportuje go na ponton, który natychmiast zostanie przykryty czarnym brezentem. Łódź doktora ruszy dalej w górę rzeki, sterowana przez automatycznego pilota, podczas gdy oddział wróci na macierzystą jednostkę, która dostarczy go wraz z ładunkiem na brzeg w pobliże celu podróży Traupmana. Plan udało się zrealizować bez najmniejszych zakłóceń. Latham, Witkowski i Karin, dowodzeni przez porucznika Anthony'ego i kapitana Dietza, wynurzyli się obok łodzi, chwycili przewieszonych przez burtę odbojów i błyskawicznie wepchnęli metalowe cylindry w niewielkie otwory umieszczone nad linią zanurzenia. Zaraz potem łódź nieco zwolniła, kierując się w stronę brzegu, oni zaś niemal jednocześnie wskoczyli na pokład, stając twarzą w twarz z przerażonym Traupmanem.

- Was ist los?! - wrzasnął Niemiec, sięgając po radiotelefon, ale Latham błyskawicznie wytrącił mu go z ręki, natomiast Karin doskoczyła do doktora, gwałtownym szarpnięciem rozdarła mu koszulę na piersi i wbiła w ciało igłę strzykawki. - Każę was wszystkich rozstrzelać!... - wycharczał znakomity neurochirurg, po czym osunął się bezwładnie na pokład.

- Przenieście go na ponton! - polecił Witkowski. Chwilę później nieprzytomny nazista znalazł się na mniejszej, znacznie szybszej jednostce. - Dobra, zmywamy się stąd!
- Skieruję łódź na północ północny zachód i włączę autopilota - powiedział Christian Dietz.
- Na jaką północ?
- Proszę się o nic nie martwić, pułkowniku - wtrącił się porucznik Anthony. - To znaczy w górę Renu, po uwzględnieniu wszystkich zakrętów. Mieliśmy dokładne mapy.
- Traupman skręcił w stronę tej żółtej latarni na pomoście po lewej stronie - zauważyła Karin.
- Czy ty może myślisz o tym, o czym ja myślę? - zapytał Drew.
- Chyba tak. I nie trać czasu na wybijanie mi z głowy tego pomysłu, bo nie masz najmniejszych szans.
- W takim razie skaczemy do wody i płyniemy do pontonu, jeśli uda nam się go odnaleźć w tych ciemnościach.
- Zatrzymałem go jakieś trzydzieści metrów stąd - powiedział Anthony, wskazując kierunek. - Jak tylko wszyscy się tam przeniesiemy, uruchomię silnik i podłynę do brzegu, najlepiej tam, gdzie rosną drzewa albo krzaki.
- Chcielibyście zostać pułkownikiem, porucznikiem? - zapytał Latham.
- Ja byłbym zachwycony! - oświadczył kapitan Dietz, wylaniając się z ciemności. - Wtedy znowu płaciłby za mnie w restauracji... Dobra, wysiadamy, a ta łajba niech sobie płynie w górę rzeki. Zaledwie kilka minut później, jak tylko opustoszała łódź dotarła na środek Renu, z łoskotem wirników nadleciał śmigłowiec, oświetlił ją potężnymi reflektorami i zawisł na niewielkiej wysokości, jakby zamierzał opuścić linę albo drabinkę sznurową. Chwilę potem na łódź posypał się grad pocisków z karabinu maszynowego, dziurawiąc nadbudówkę, pokład i burty. Dzieła zniszczenia dopełniła eksplozja jednego lub dwóch granatów; łódź przelamała się na pół i błyskawicznie zatoniła.
- Widzę, że gramy na poważnie - powiedział Latham do Karin i trzech mężczyzn przyczajonych obok niego na zadrzewionym brzegu Renu.
- Trzeba podkraść się do tego pomostu, zaczekać na gości i przekonać się, jakie jeszcze karty mają w zanadrzu - mruknął Witkowski.

* * *

ROZDZIAŁ 37

Zdjęli akwalungi, pozostając w kombinezonach z czarnej pianogumy i butach wykonanych z tego samego materiału. Kapitan Dietz rozpiął wodoszczelną torbę, po czym rozdał wszystkim broń oraz miniaturowe radiotelefony. Zaraz potem oddział popłynął wzdłuż brzegu aż do miejsca, z którego widać było przystań oświetloną blaskiem żółtej latarni. Smukłe, niskie łodzie przyplwały pojedynczo, mniej więcej w dziesięciominutowych odstępach, aż wreszcie prawie wszystkie miejsca przy pomoście zostały zajęte. Niespodziewanie latarnia zgasła i nad rzeką zapanowała niemal całkowita ciemność.

- Chyba wszyscy już są - szepnęła Drew do Witkowskiego. Karin leżała na brzuchu po lewej stronie pułkownika, dwaj komandosi zajęli pozycje po prawej stronie Lathama.
- Gerry i ja pójdziemy na rekonesans - oznajmił Dietz. Nie czekając na odpowiedź ruszył naprzód. To samo uczynił jego kolega; w słabym blasku księżyca błysnęły ostrza długich noży, które obaj ściskali w rękach.
- Idę z wami! - syknął Latham.
- To nie najlepszy pomysł - odparł Anthony. - Najlepiej pracuje nam się we dwóch.
- Doceniam wasze doświadczenie, ale tak się składa, że to ja dowodzę tą operacją.
- On chciał powiedzieć, że porozumiewamy się sygnałami zrozumiałymi tylko dla niego i dla mnie, które na danym terenie nie wywołają niczyich podejrzeń wyjaśnił kapitan Dietz. - Mam na myśli rechotanie żab, szum drzew i temu podobne.
- Żartujecie sobie ze mnie.
- Skądże znowu! - zaprotestował porucznik. - To najzwyklejsza rzecz pod słońcem.

- Poza tym, jeśli raporty mówią prawdę, to na terenie tej posiadłości będzie roić się od patroli
- uzupełnił Dietz. - Tak jak w rezydencji Traupmana?
- Tamto była bułka z masłem, pułkowniku.
- W porządku, idźcie - zdecydował Drew. - Tylko ustawcie radia na nadawanie i zawiadomcie nas, gdy tylko droga będzie wolna. No i bądźcie ostrożni, ma się rozumieć.
- Jasna sprawa. - Anthony zerknął niepewnie na Karin de Vries, po czym tak bardzo zniżył głos, że Latham z trudem mógł go zrozumieć. - W Norymberdze mieliśmy tylko unieruchomić strażników, ale biorąc pod uwagę co widzieliśmy na rzece, tutaj chyba nie obejdzie się bez ostatecznych rozstrzygnięć.
- Nie przejmujcie się, poruczniku. Jesteśmy w samym gnieździe neonazistów, więc możecie uważać, że znajdujecie się na wojnie. Przede wszystkim musimy ustalić, kto należy do ścisłego kierownictwa ruchu; jeżeli trzeba będzie użyć noża, nie wahajcie się ani chwili. Przez kilkanaście następnych minut Karin, Witkowski i Latham czuli się jak podczas seansu jakiegoś filmu grozy, na którym z powodu awarii projektora odtwarzano jedynie ścieżkę dźwiękową. Obraz wcale nie był dzięki temu mniej okrutny ani przerażający, ponieważ tworzyła go rozbudzona wyobraźnia. Pułkownik słuchał ze spokojem, ale Drew i Karin zaciskali z całej siły palce, a kobieta parę razy zamknęła oczy, co naturalnie nie mogło dać oczekiwanego efektu. Z głośników dobiegał szelest liści, delikatny trzask łamanych gałązek, potem rozległy się zduszone okrzyki przerwane okropnym odgłosem stanowiącym połączenie bolesnego westchnienia z gulgotem powietrza uciekającego przez obficie krwawiącą ranę. Później usłyszeli pospieszny tupot, kilka stłumionych pyknięć, znowu pospieszne kroki, odgłosy walki, głośny szum, wreszcie długą, mrozącą krew w żyłach ciszę, przerwana odgłosem kroków na jakiejś twardej powierzchni. Cała trójka spojrzała na siebie z niepokojem, chwilę potem zaś ich najgorsze obawy znalazły potwierdzenie, ponieważ z głośników dobiegły zadawane po niemiecku chrapliwym głosem pytania, odpowiedzi, jeden krzyk, drugi, donośny hałas, wreszcie ktoś krzyknął po angielsku:
- Na litość boską, nie zabijajcie mnie!
- Niech to szlag trafi! - wybuchnął Witkowski. - Złapali ich! Idę za nimi, a wy nie ruszajcie się stąd nawet na krok, rozumiano?
- Zaczekaj, Stanley! - Drew zacisnął silną rękę byłego hokeisty na ramieniu pułkownika. - Nigdzie nie pójdziesz! - Przecież chłopcy wpadli szkopom w łapy!
- Nic im nie pomożesz, jeśli dasz się zabić.
- Mam w magazynku dwieście sztuk amunicji i zapewniam cię, że potrafię zrobić z nich dobry użytek!
- Czuję to samo co ty, Stosh, ale nie wolno nam zapominać, po co tutaj przybyliśmy.
- Ty sukinsynu... - wymamrotał pułkownik, z ociąganiem wracając na poprzednią pozycję. - Naprawdę mógłbyś być oficerem.
- Możliwe, ale nie w wojsku, bo nienawidzę mundurów.
- Co proponujesz, chłopcze?
- Musimy poczekać. Wiem, że to najtrudniejsze, bo sam mi o tym mówiłeś, ale nie mamy innego wyjścia.
- Zgadzam się z tobą. Zadanie okazało się jednak łatwiejsze niż obaj przypuszczali, ponieważ już po niespełna minucie z głośników miniaturowych radiotelefonów dobiegł przytłumiony, nieco zaspany głos kapitana Christiana Dietza:
- Plaża Jeden do Plaży Dwa. Zlikwidowaliśmy czterech strażników, dwóch, którzy nie stawiali oporu, związaliśmy i zostawiliśmy w krzakach z zaklejonymi ustami. Udało nam się opanować centrum łączności w piwnicy pod dużym, wolno stojącym garażem, jakieś pięćdziesiąt metrów od głównego budynku. Spośród trzech techników jeden jest martwy, bo próbował uruchomić alarm, drugi obezwładniony, a trzeci to Amerykanin, który służąc w wojsku ożenił się z niemiecką dziewczyną. Płacze ze szczęścia jak bóbr i pojekuje "Niech Bóg błogosławi Amerykę!"

- Jesteście niesamowici! - wykrzyknął Drew. - A co się dzieje w budynku? Widzieliście cokolwiek?
- Niewiele, tyle co zerknęliśmy przez okno, kiedy załatwialiśmy jeden z patroli. Jest tam dwudziestu albo trzydziestu mężczyzn i jasnowłosy ksiądz, który wygląda tak, jakby w życiu nie odmówił żadnej modlitwy, za to miał sporo do czynienia z siarką i ogniem piekielnym. Chyba jest tu najważniejszy.
- Ksiądz?!
- Gość w ciemnym garniturze i koloratce. Nie wygląda na piekarza ani listonosza.
- W Paryżu też mieli księdza, a raczej pastora... Wysoki?
- Nie tak jak pan, ale niewiele mniejszy. Co najmniej metr osiemdziesiąt pięć.
- Mój Boże! - wykrzyknęła Karin de Vries, drżąc na całym ciele jak w ataku febry.
- Co się stało?
- Ksiądz... Ksiądz o jasnych włosach... - Z najwyższym trudem zdołała nad sobą zapanować, odsunęła radio i szepnęła do Lathama i Witkowskiego. - Muszę go koniecznie zobaczyć!
- Ale dlaczego? - zapytał Drew, podobnie jak pułkownik przyglądając się jej uważnie. - O co chodzi?
- Po prostu muszę, i już!
- Zrób to - polecił lakonicznie Witkowski, w dalszym ciągu nie odrywając od niej wzroku.
- Plaża Dwa do Plaży Jeden, jak przedstawia się sytuacja na terenie posiadłości?
- Chyba nikogo nie przeoczyliśmy, ale naturalnie nie dam za to głowy. Sami wiecie, któryś mógł pójść na chwilę w krzaki, żeby się odlać, albo coś w tym rodzaju...
- Wobec tego po powrocie natknąłby się na parę trupów, prawda?
- Jeśli tak, to przypuszczam, że już wziął nogi za pas i właśnie alarmuje kamratów z miasta.
- Mimo wszystko wierzę w wasze umiejętności - odparł Drew. - Zaraz tam będziemy.
- Spokojnie, po co ten pośpiech? Zaczekajcie, aż zajmiemy pozycje między domem a rzeką. Zawiadomię was, kiedy będziemy gotowi.
- W porządku, kapitanie. W końcu, to wy jesteście specjalistami. - Otóż to - rozległ się głos porucznika Anthony'ego. - Lepiej żeby pani de Vries trzymała się bliżej rzeki... to na wypadek, gdyby jednak doszło do strzelaniny.
- Oczywiście. - Latham zakrył ręką mikrofon i powiedział do Karin nad głową Witkowskiego:
- Wiesz co? Ten chłopak pomału zaczyna, mnie denerwować.
- Jest w porządku - zaprotestował pułkownik.
- Zachowuje się jak dwunastolatek.
- Chodźmy wreszcie! - syknęła Karin.
- Jak tylko dostaniemy zezwolenie, młoda damo. - Pułkownik wziął Karin za rękę i ścisnął mocno. - Spokojnie, dziewczyno szepnął. - Najważniejszy jest spokój.
- Ty wiesz?...
- Niczego nie wiem. Znam tylko parę pytań z przeszłości, na które do dzisiaj nie ma odpowiedzi.
- Plaża Jeden do Plaży Dwa - odezwał się ponownie Dietz. Możecie iść, ale ostrożnie. Podejrzewamy, że poniżej górnego tarasu są zainstalowane fotokomórki, więc trzymajcie się blisko ziemi.
- Wydawało mi się, że wszystko wyłączyliście - zauważył Witkowski.
- Tylko kamery i ogrodzenia, pułkowniku. Nie wiadomo jednak, czy ci spryciarze nie ułożyli drugiego, niezależnego obwodu. - Rozumiem, kapitanie. Będziemy uważać. Drew skradł się jako pierwszy, torując drogę wśród krzewów porastających brzeg Renu. Grunt był grząski i zdradliwy, a dwa lub trzy razy musieli zejść do wody i pokonać kilka metrów trzymając broń w górze. Wreszcie dotarli do porośniętego trawą terenu posiadłości, wznoszącego się łagodnie aż do imponującego budynku, a następnie przemknęli bezszelestnie aż do pierwszego, wyłożonego kostką tarasu. Nieco wyżej wznosił się drugi, za nim natomiast widać było tylną elewację rezydencji. Szklane drzwi o niezwyklej wymiarach świadczyły o tym, że za nimi

znajduje się ogromne wnętrze - sala balowa lub bankietowa, sądząc po kryształowych żyrandolach.

- Ja już to widziałem! - szepnął Drew.

- Byłeś tutaj?

- Nie. Zdjęcia albo rysunki.

- Gdzie?

- W jednym z czasopism poświęconych architekturze, nie pamiętam w którym. Tak, na pewno: te tarasy i rozsuwane szklane drzwi... Karin, co ty wyrabiasz, do licha?

- Muszę tam zajrzeć. - Karin de Vries wyprostowała się i jak w transie ruszyła ku przeszklonej ścianie. - Muszę!

- Zatrzymaj ją! - syknął pułkownik. - Prędko, na litość boską! Latham wystartował jak sprinter, złapał kobietę wpół, powalił na ziemię i odtoczył się z nią w prawo, byle dalej od odkrytego, słabo oświetlonego terenu.

- Co się z tobą dzieje? Chcesz, żeby cię zabili?

- Muszę zajrzeć do środka! Nie powstrzymasz mnie, choćby nie wiem co.

- W porządku, bardzo proszę, ale postaraj się zrobić to z głową, dobrze? Nagle tuż obok nich zjawili się dwaj komandosi ze Służb Specjalnych, a w chwilę potem dołączył także Witkowski.

- To nie był mądry pomysł, proszę pani - stwierdził z irytacją kapitan Dietz. - Przecież ktoś mógł stać przy oknie, a w dodatku akurat księżyc wyjrzał zza chmur!

- Bardzo was przepraszam, naprawdę, ale dla mnie to bardzo ważne. Wspomniał pan o jasnowłosym księdzu... Muszę go zobaczyć! - O, Boże!... - szepnął Drew, wpatrując się z natężeniem w twarz Karin. - A więc to miała na myśli mówiąc o dodatkowych powodach... Pułkownik położył mu rękę na ramieniu.

- Spokojnie, chłopcze. Drew odwrócił głowę i spojrzał prosto w oczy weteranowi G-2. - Ty wiesz, o co jej chodzi, prawda, Stosh?

- Może wiem, a może nie wiem. Akurat ja najmniej się tutaj liczę. Nie odstępuj jej na krok, przyjacielu, bo coś mi się wydaje, że będzie potrzebowała twojej pomocy.

- Idźcie za nami - szepnął Anthony. - Podkradniemy się z prawej strony, a potem doczołgamy do drzwi. Wcześniej udało nam się je uchylić, więc powinniśmy usłyszeć każde słowo. Pół minuty później cały pięcioosobowy oddział skupił się przy narożniku budynku, w pobliżu krawędzi górnego tarasu. Witkowski szturchnął Lathama w ramię.

- Pilnuj jej - szepnął. - I bądź cholernie czujny. Obym się mylił, ale może cię czekać nielicha niespodzianka. Drew delikatnie pchnął Karin. Nisko schyleni, prawie pełzną na czworakach, dotarli do pierwszych drzwi. Kobieta zajrzała ostrożnie do środka, zobaczyła jasnowłosego mężczyznę stojącego na oświetlonej mównicy, usłyszała, jak przemawia do zebranych, którzy przerywali mu co dwa, trzy zdania histerycznymi okrzykami Sieg Heil, Gunter Jager! Oczy mało nie wyszły jej z orbit, otworzyła usta i nabrała w płuca powietrza, ale zanim zdążyła krzyknąć, Latham szarpnął ją do tyłu, przycisnął rękę do ust i odciągnął za narożnik willi.

- To on! - wykrztusiła Karin, kiedy zwolnił uchwyt. - To Frederik!

- Zabierz ją na łódź! - syknął pułkownik. - My zajmujemy się resztą.

- Jaką "resztą"? Trzeba zabić drania, i to wszystko!

- Teraz w niczym nie przypominasz oficera, przyjacielu. Najpierw trzeba do maksimum wykorzystać sprzyjające okoliczności.

- Właśnie je wykorzystujemy, pułkowniku - wtrącił się kapitan Christian Dietz i wskazał na porucznika Anthony'ego, rejestrującego za pomocą miniaturowej kamery wideo wydarzenia rozgrywające się w sali z kryształowymi żyrandolami.

- Zabierz ją stąd, prędko! - powtórzył Witkowski. Pierwsza część podróży na przeciwległy brzeg rzeki upłynęła w milczeniu. Zanim Karin zdołała ochłonąć po doznanych wstrząsach, długo stała nieruchomo na rufie, wpatrując się w lśniące w blasku księżyca fale. Kiedy dotarli na środek Renu, odwróciła się i spojrzała błagalnie na Lathama, który właśnie wyszedł ze sterówki.

- Mogę ci jakoś pomóc? - zapytał łagodnie.

- Już mi pomogłeś, ale czy możesz mi wybaczyć?
- Co takiego miałbym ci wybaczyć?
- Niewiele brakowało, a przeze mnie wszyscy byśmy zginęli. Stało się to, przed czym ostrzegał mnie Stanley: nie zdołałam nad sobą zapanować.
- Wcale ci się nie dziwię. A więc na tym polegała twoja tajemnica; twój mąż nie zginął, lecz został...
- Nie, nie! - przerwała mu gwałtownie Karin. - To znaczy: w pewnym sensie tak, bo przez cały czas podejrzewałam, że Freddie żyje i że przyłączył się... wszystko jedno, z własnej woli czy pod przymusem... do neonazistów, ale nawet przez myśl mi nie przeszło, że mógł stanąć na ich czele!
- Jak sądzisz, co się stało?
- Jest tyle możliwych wyjaśnień... Rozstałam się z nim jeszcze przed zburzeniem Muru, ale obiecałam, że wrócę, jeśli znowu stanie się dawnym sobą. Pił, ale to akurat był najmniejszy problem, bo pod wpływem alkoholu stawał się bardziej serdeczny, wylewny i pogodny. Potem jednak stało się coś dziwnego: coraz częściej ulegał atakom furii, napastował mnie, znieważał, próbował bić. Nigdy się do tego nie przyznał, ale zaczął zażywać narkotyki, a to stanowiło zaprzeczenie wszystkiego, w co do tej pory wierzył.
- Co przez to rozumiesz?
- On wierzył przede wszystkim w siebie, polegał na własnych siłach. Okazjonalne pijaństwo można traktować w kategoriach niewinnego wysokoju; gdyby było inaczej, twój brat dawno zerwałby z nim wszelkie kontakty, zarówno osobiste, jak i służbowe. - Masz rację - powiedział Drew. - Harry lubił dobre wino i starą brandy, ale zachowywał rezerwę wobec każdego, kto upijał się do nieprzytomności. Ze mną jest zresztą tak samo.
- Otóż to. Do pewnego momentu Freddie postępował w identyczny sposób. Wszystko, co odmieniało go na niekorzyść, budziło w nim niepohamowaną odrazę. Mimo to potem zmienił się, i to drastycznie. Stał się kompletnie nieprzenikniony: w jednej minucie okrutny potwór, w następnej uroczy, serdeczny człowiek. Pewnego wieczoru, jeszcze w Amsterdamie, kiedy uwierzyłam już, że Harry ma rację, iż mój mąż nie żyje, odebrałam obrzydliwy telefon. Wiesz, jeden z tych, które czasem wykonują podpici młodzieńcy, pragnący popisać się przed kolegami. Usłyszałam stek wyzwisk i ohydnych propozycji, i miałam już odłożyć słuchawkę, kiedy nagle zwróciłam uwagę na jedno, potem drugie szczególne wyrażenie... na dobór słów... i uświadomiłam sobie, że już to kiedyś słyszałam... od niego. Zawołałam : "Mój Boże, czy to ty, Freddie?" Odpowiedział mi przeraźliwy krzyk, ale ja już wiedziałam, że to on, i że Harry się mylił. Po dziś dzień nie mogę uwolnić się od wspomnienia o tym krzyku.
- To, co widzieliśmy dzisiaj, stanowi kolejne wcielenie potwora, o którym mówiłaś - stwierdził Drew. - Zastanawiam się, czy on wciąż pozostaje pod wpływem narkotyków.
- Nie mam pojęcia. Może powinniśmy pokazać taśmę z nagraniem jakiemuś psychiatrze?
- Ja sam nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę. To może być dla nas kopalnia złota... Jak dużo wie Witkowski?
- Też nie wiem. Wspomnił coś tylko o pytaniach z przeszłości, które wciąż jeszcze czekają na odpowiedź. Nie mam pojęcia, co miał na myśli.
- Zapytajmy go o to. - Latham odwrócił się w kierunku pułkownika siedzącego na sterburcie w towarzystwie dwóch komandosów. - Stanley, możesz tu przyjść na chwilę?
- Pewnie że tak. Pułkownik przeszedł na rufę i zatrzymał się między Karin i Lathamem.
- Stosh, ty chyba wiedziałeś trochę więcej, niż dawaleś nam do zrozumienia, prawda?
- Nie, przyjacielu. Nie wiedziałem, ale brałem pod uwagę taką możliwość. Freddie bardzo chętnie występował w przebraniu księdza, a jeśli chodzi o kolor włosów, to miał je jaśniejsze niż Marilyn Monroe, naturalnie pod warunkiem że akurat ich nie ufarbował. Byłem przy tobie, Karin, kiedy kapitan wspomnił o wysokim jasnowłosym księdzu i zauważyłem, że postawiło cię to na baczność. Potem wystarczyło już tylko skojarzyć fakty. - Niemniej w dalszym ciągu nie rozumiem, na jakiej podstawie dopuszczałeś możliwość, że tam, w środku, będzie jej mąż. - Żeby to wyjaśnić, musimy cofnąć się o kilka lat. Kiedy dotarła do nas

wiadomość o tym, że Frederik de Vries został zamordowany przez Stasi, natychmiast powzięliśmy pewne podejrzenia, na przykład, dlaczego tak starannie odnotowywano wszystkie przesłuchania, tortury, a wreszcie samą śmierć. To nie było normalne. Zazwyczaj takie sprawy trzyma się w głębokiej tajemnicy. Lekcja, jakiej udzielili założyciele obozów koncentracyjnych, nie poszła na marne. Karin skinęła głową.

- Mnie też od razu wydało się to dziwne, podobnie jak Harry'emu, ale on przypisał tę dziwną skłonność nasilającej się obsesji funkcjonariuszy Stasi, którzy zdawali sobie sprawę, że już niedługo utracą władzę, wpływy, wszystko. Ja nie bardzo chciałam uwierzyć w to wyjaśnienie, przede wszystkim dlatego że Frederik wiele opowiadał mi o tych ludziach, jacy są bezwzględni i brutalni, a jednocześnie podatni na wpływy i sparaliżowani poczuciem tymczasowości. Ktoś taki nie dokumentuje szczegółowo własnych zbrodni, wręcz przeciwnie, stara się je za wszelką cenę ukryć. - Jak zareagował Harry, kiedy powiedziałeś mu o swoich podejrzeniach?

- Nie zrobiłam tego. Widzisz, Harry był nie tylko "opiekunem" Frederika, ale także kimś w rodzaju jego przyjaciela. Lubił go i chyba nawet podziwiał, więc nie miałam serca opowiadać mu o naszych problemach. Zresztą, nie było takiej potrzeby: przecież Frederik nie żył, przynajmniej oficjalnie.

- Nie wiedziałeś o wszystkim, Karin - powiedział pułkownik łagodnie, ze współczuciem. - Ostatnie trzy raporty dostarczone przez Frederika zawierały niemal wyłącznie fałszywe informacje. W owym czasie korzystaliśmy już z usług kilku "nawróconych" funkcjonariuszy Stasi, którzy zdawali sobie sprawę, że niedługo znajdą się nie tylko bez pracy, ale także na czarnej liście, więc chętnie z nami współpracowali. Uzyskaliśmy od nich informacje zaprzeczające tym, które nadesłał nam de Vries.

- Dlaczego natychmiast go nie odwołaliście? - zapytał Drew. Witkowski potrząsnął głową.

- Bo nie wiedzieliśmy, co się właściwie stało. Został oszukany czy przekupiony? A może znaleziono na niego "haka" i zmuszono szantażem do podsyłania nam fałszywek? Mógł również popełnić błąd z powodu przepracowania. Potrafiłbyś zgadnąć, jaka przyczyna wchodziła w grę? My nie potrafiliśmy.

- Było coś jeszcze, Stanley? - zapytała spokojnie Karin. Jeśli tak, to chcę wiedzieć.

- Właściwie tylko jedna sprawa, potwierdzona niezależnie przez obu "nawróconych". Stasi przypominała ośmiornicę o stu oczach i tysiącu macek; w pewnym sensie to ona rządziła krajem... Otóż twój mąż dwa razy spotkał się w Monachium z generałem Ulrichem von Schnabe, jak się później okazało, jednym z przywódców niemieckich neonazistów. Generał zginął w więzieniu z rąk swojego współpracownika, zanim zdążył złożyć zeznania.

- A więc nasienie trafiło do ziemi i zatruty kwiat nazwiskiem Gunter Jager zakiełkował, urósł, a potem zaczął kwitnąć... - szepnęła Karin, kręcąc z niedowierzaniem głową. - Jak to możliwe? - Może dowiemy się czegoś oglądając kasetę. - Latham delikatnie odsunął pułkownika, objął ją ramieniem, po czym zwrócił się do Witkowskiego: - Zrób użytek z tego swojego supernowoczesnego telefonu i skontaktuj się z ludźmi Moreau w Bonn. Każ im zarezerwować dla nas trzypokojowy apartament w hotelu "Königsdorf", z telewizorem i dwoma magnetowidami.

- Jawohl, mein Herr! - odparł pułkownik i uśmiechnął się w ciemności. - Teraz zachowujesz się jak prawdziwy dowódca, chłopaki

- Jak to możliwe? - powtórzyła Karin de Vries ze łzami w oczach. - Jak to możliwe, żeby ktoś nagle stał się zupełnie innym człowiekiem?

- Spróbujemy się tego dowiedzieć - odparł Drew, tuląc ją do piersi. Słowa wymawiane po niemiecku, to niemal szeptem, to głosem niewiele cichszym od krzyku, płynęły z głośnika wezbranym strumieniem, niepokojąc, przerażając i przykuwając uwagę słuchacza z hipnotyczną wprost siłą. Obraz widoczny na ekranie także przykuwał uwagę, mimo nie najlepszej jakości i ciągłych drgań. Jasnowłosy kapłan przemawiał do publiczności złożonej z trzydziestu sześciu mężczyzn; wszyscy mieli na sobie kosztowne ubrania z najlepszych sklepów i domów mody, poczynając od eleganckich smokingów, poprzez garnitury, na sportowych strojach kończąc. Siedzieli swobodnie, choć na ich twarzach malowało się

napięcie; wszyscy co do jednego zrywali się z miejsc, kiedy następowała przerwa na gromkie Sieg Heil! Od czasu do czasu w ich oczach można było dostrzec coś w rodzaju zażenowania, jakby uważali, że podekscytowany mówca przekracza chwilami wszelkie dopuszczalne granice, ale zaraz potem znowu ulegali ogólnemu podnieceniu. Zanim porucznik Anthony włożył kasetę do magnetowidu, stanął przed telewizorem w salonie eleganckiego apartamentu hotelu "Kónigsdorf i oznajmił:

- Kamera jest wyposażona w teleobiektyw i bardzo czuły mikrofon, więc dźwięk nagrał się bez zarzutu i zobaczycie zbliżenia twarzy prawie wszystkich obecnych osób. Ponieważ pan Latham nie zna niemieckiego, Chris i ja przetłumaczyliśmy na angielski najważniejszą część wystąpienia Guntera Jagera, a następnie sporządziliśmy coś w rodzaju stenogramu. Proszę, oto tekst.

- To bardzo miło. z waszej strony - odparł Drew, siadając na kanapie między Witkowskim i Karin.

- Tu nie chodzi o kurtuazję, tylko o coś znacznie ważniejszego - odparł tajemniczo kapitan Dietz, wkładając kasetę do magnetowidu. - Wciąż jeszcze nie wiem, czy aby się nie przesłyszałem... Dobra, zaczynamy. Ekran ożył, z głośnika popłynęły dźwięki, Latham zaś skoncentrował się na angielskim tłumaczeniu.

- Przyjaciele, żołnierze, prawdziwi bohaterowie Czwartej Rzeszy! - rozpoczął człowiek posługujący się nazwiskiem Gunter Jager. - Przynoszę wam wspaniałe nowiny! Otóż wezbrana fala zniszczenia już niebawem zaleje stolice naszych nieprzyjaciół. Godzina Zero wybije za niespełna czterdzieści godzin! Nasza ciężka praca, nasze cierpienie i niezliczone poświęcenia wreszcie wydały owoce! Co prawda nie widać jeszcze końca pracy, ale niebawem wszyscy będziemy świadkami jego początku. Oto cudowny lek, ostateczne i jedyne rozwiązanie paraliżu, który dotknął ludzkość. Przybyliście tu z bliskich i odległych krajów, nawet zza oceanów, wiecie więc doskonale, iż w szeregi naszych nieprzyjaciół wkradł się chaos, gdyż wszyscy oskarżają wszystkich o to, że opowiedzieli się po naszej stronie. Na użytek publiczny obrzucają nas najgorszymi kalumniami i oszczerstwami, lecz nic w ten sposób nie osiągną, ponieważ mamy miliony zwolenników, którzy są nam wdzięczni za to, co im pragniemy ofiarować. Oczyszczimy najwyższe stanowiska oraz urzędy z Żydów pragnących zdobyć wszystko dla siebie i dla swojego przekłętą Izraela, odeślemy odrażających Czarnuchów tam, skąd przybyli, zmiażdżymy socjalistów pragnących obciążać nas coraz wyższymi podatkami, które przeznaczają na utrzymanie tych, co nie potrafią sami zatroszczyć się o siebie. Świat musi otrzymać lekcję od potomków Rzymian, zanim i do ich żył wsączy się trucizna niewolniczej krwi. Musimy być silni, bezwzględni, zdecydowani. Skoro zabija się zdeformowane szczenię, dlaczego nie miałyby się zabić potomstwa zdegenerowanych rodziców?... A teraz przejdźmy do najważniejszej sprawy, naszego miecza, naszej "Wodnej Błyskawicy", która uderzy bez litości, niszcząc i zabijając wszystko, co stanie na jej drodze. Za niespełna czterdzieści godzin do zbiorników wodnych zaopatrujących Londyn, Paryż i Waszyngton dostanie się nadzwyczaj silna trucizna. Zginą dziesiątki, może nawet setki tysięcy ludzi, zapanuje anarchia, rządy nie będą w stanie zapewnić obywatelom bezpieczeństwa, ponieważ minie kilka dni, zanim uda się znaleźć odtrutkę, a kilkanaście, zanim jej działanie przyniesie pożądane efekty. W tym czasie...

- Wystarczy! - ryknął Latham. - Wyłączcie to pudło, zróbcie szybko kopie kasety, prześlijcie do Londynu, Paryża i Waszyngtonu, nadajcie ten tekst faksem pod numer, który wam podam. Ja w tym czasie będę dzwonił do każdego, kto może cokolwiek zrobić w tej sprawie. Tylko czterdzieści godzin!

* * *

ROZDZIAŁ 38

Wesley Sorenson w milczeniu wysłuchał Lathama, który zatelefonował do niego z Bonn. Choć twarz dyrektora była spokojna, a spojrzenie twarde i skupione, to spod siwych włosów pociekły po skroniach dwie strużki potu.

- Mój Boże, zbiorniki wody... - wyszeptał. - To działka Korpusu Inżynierskiego.

- To działka Pentagonu, Langley, FBI i policji w okolicach wszystkich źródeł wody dookoła Waszyngtonu!

- Zbiorniki są ogrodzone i strzeżone...

- Więc trzeba podwoić albo nawet potroić strażę! Ten szaleniec nie składałby swoim wyznawcom tak konkretnej obietnicy, gdyby nie miał całkowitej pewności, że uda mu się ją spełnić. Ci ludzie mają pod kontrolą co najmniej połowę największych fortun w Europie, a także sporo poza nią, pożądamy władzy i chętnie zapłacą za nią każdą cenę swojemu nazistowskiemu bożkowi. Jezu, niecałe czterdzieści godzin!...

- Jak przebiega ustalanie tożsamości tych ludzi?

- A skąd mam wiedzieć, do cholery? Jesteś pierwszym człowiekiem, do którego dzwonię. Prezydent Niemiec pozwolił nam skorzystać z rządowego ośrodka łączności satelitarnej i właśnie przekazujemy nagranie do siedzib francuskiego, brytyjskiego i amerykańskiego wywiadu wraz z zaleceniem, żeby konsultowali się z tobą w sprawie ewentualnego rozpowszechnienia.

- Nie ma mowy o żadnym rozpowszechnianiu! Atmosfera w kraju i tak jest już zatruta, a po tym zrobiłoby się jeszcze gorzej niż za czasów McCarthy'ego. W wielu ośrodkach wybuchły zamieszki, w Trenton zorganizowano nawet marsz na siedzibę władz stanowych. Jak tylko ktoś wspomni o politykach, urzędnikach państwowych albo przywódcach związkowych, tłum natychmiast zaczyna skandować: "Naziści! Naziści!", i domagać się ich głów. Sprawy już wkrótce mogą przybrać jeszcze gorszy obrót, bo to przecież dopiero początek.

- Zaraz, chwileczkę! - wykrzyknął Drew. - Nazwiska rzekomych zwolenników neonazistów zostały dostarczone przez Harry'ego z siedziby Bractwa, zgadza się?

- Owszem.

- Według stenogramów przesłuchań, które czytałem, mój brat dał wam jasno do zrozumienia, że należy przyjrzeć się nie tylko tym ludziom, lecz także wszystkim, którzy są z nimi w jakikolwiek sposób związani...

- Oczywiście. To standardowa procedura.

- Zaraz po tym jak Harry przekazał wam nazwiska, przywódcy neonazistów wydali rozkaz jego natychmiastowej likwidacji, prawda? - Zgadza się.

- Dlaczego? Dlaczego to zrobili, Wes? Od tamtej pory ścigają mnie niczym stado wygłodniałych wilków.

- Nie rozumiałem tego i nadal nie rozumiem.

- A ja chyba powoli zaczynam rozumieć. Załóżmy na chwilę, że Harry dostarczył wam fałszywe dane, właśnie po to by doprowadzić do powstania sytuacji, o której mi opowiadałeś. - Wydaje mi się bardzo mało prawdopodobne, żeby nawet najbardziej przebiegłym szkopom udało się wmówić mu taką kolosalną bzdurę.

- A jeśli uwierzył w nią, bo nie miał wyboru?

- Oczywiście, że miał wybór. Przecież nie postradał zmysłów. - Przyjmijmy jednak, że postradał. Gerhard Kroeger, bądź co bądź neurochirurg, ryzykował w Paryżu życie, żeby zabić Harry'ego. Według pierwszego scenariusza Harry, to znaczy ja, miał zostać pozbawiony głowy, według drugiego, zlikwidowany strzałem w głowę, a konkretnie w lewą skroń...

- Nie pozostaje nam nic innego, jak przeprowadzić sekcję zwłok - stwierdził Sorenson. - Naturalnie, kiedy będzie to możliwe - dodał. - W tej chwili przede wszystkim musimy uczynić wszystko co w ludzkiej mocy, żeby powstrzymać tych szaleńców przed zamordowaniem setek tysięcy niewinnych ludzi. - Jager powiedział wprost, jak zamierzają to zrobić: dosypując trucizny do zbiorników wody.

- Co prawda nie jestem ekspertem w tej dziedzinie, ale wiem co nieco na ten temat, bo wiele razy zastanawialiśmy się, jak wykluczyć możliwość sabotażu, lecz zawsze dochodziliśmy do wniosku, że prawdopodobieństwo jest praktycznie równe zeru. - Dlaczego?

- Ze względu na skalę przedsięwzięcia. Do zatrucia wody w zbiorniku o tak wielkiej kubaturze trzeba tyle trucizny, ile zmieści się na kilkudziesięciu dużych ciężarówkach, w związku z czym odpada element zaskoczenia. Poza tym, tyle dużych pojazdów nie zdoła jednocześnie ani nawet w krótkim czasie zrzucić ładunku do jeziora, bo do wody prowadzi jedna, najwyżej dwie drogi, ogrodzenia zaś, o których wspomniałem, przypominają wzmocnione barykady i są naszpikowane czujnikami; w przypadku jakiegokolwiek naruszenia włącza się alarm, a ludzie z ochrony jada, żeby sprawdzić, co się stało. - Wygląda na to, że jednak jesteś ekspertem, Wes.

- Bzdura. Te informacje mógłby zdobyć każdy w miarę roztargnięty harcerz, nie wspominając o bystrym inżynierze pracującym w jakiejś państwowej firmie.

- W porządku, wykluczyliśmy drogę lądową. Co z powietrzem? - Równie mało prawdopodobne, albo nawet jeszcze bardziej. Wyobraź sobie dwie eskadry samolotów transportowych zrzucających ładunek w bezpośredniej bliskości ujęcia wody, bo wówczas można osiągnąć większe stężenie i użyć nieco mniejszej ilości trucizny. Najprawdopodobniej pozderzałyby się w powietrzu, a nawet jeśli nie, to już pół godziny wcześniej narobiłyby potwornego huk, nie wspominając już o tym, że zostałyby łatwo wykryte przez stacje radarowe.

- A więc jednak zastanawiałeś się całkiem serio nad możliwością takiego sabotażu?

- Wiesz równie dobrze jak ja, Drew, że po to by prawidłowo rozegrać partię, trzeba najpierw przeanalizować wiele hipotetycznych wariantów.

- To nie gra, Wes. Ten sukinsyn mówił zupełnie poważnie. Znalazł jakiś sposób i zamierza z niego skorzystać.

- Wobec tego powinniśmy czym prędzej wziąć się do pracy. Będę w stałym kontakcie z MI5 i Quai d'Orsay, ty skoncentruj się na ustaleniu tożsamości ludzi, którzy uczestniczyli w spotkaniu. Naturalnie konsultuj się z Claude'em, MI6 i niemieckim wywiadem.. Do jutra wszyscy muszą trafić za kratki. Przede wszystkim zależy mi na obcokrajowcach; nie pozwól, żeby którykolwiek opóścił granice Niemiec.

Przez następne dwadzieścia cztery godziny rządowe komputery w czterech krajach pracowały pełną mocą, natomiast agencje wywiadowcze Niemiec, Francji, Anglii oraz Stanów Zjednoczonych pilnie analizowały dostarczone im fotografie. Spośród trzydziestu sześciu mężczyzn, którzy nie tak dawno w luksusowej willi nad Renem krzyczeli Sieg Heil, Gunter Jager! - szesnastu pochodziło z Niemiec, siedmiu z USA, czterech z Wielkiej Brytanii, pięciu z Francji; trzech, których nie udało się zidentyfikować, zniknęli bez śladu, należało więc przypuszczać, iż odlecieli już do ojczystych krajów. Pozostali trafili do pilnie strzeżonych cel, całkowicie odizolowanych od świata zewnętrznego. Nie udzielono im żadnych wyjaśnień, nie pozwolono skorzystać z telefonu. Niektórzy z tych ludzi byli powszechnie znani, inni zajmowali eksponowane stanowiska, trzeba więc było w ich imieniu poinformować rodziny i współpracowników o nagłych wyjazdach w niecierpiących zwłoki sprawach. - To niegodziwe! - zaprotestował właściciel jednej z największych niemieckich fabryk produkujących tworzywa sztuczne. - Nie bardziej od pana - odparł oficer policji. Na wolności pozostał tylko Gunter Jager, nieświadom tego, co zdarzyło się w ciągu minionych dwudziestu jeden godzin, zamknięty w czterech ścianach rezydencji nad brzegiem Renu. Nie aresztowano go wyłącznie dlatego, że żaden z pojmanych neonazistowskich plutokratów nie był w stanie udzielić konkretnych informacji dotyczących operacji "Wodna Błyskawica"; zeznania, które składali w nadziei na lepsze traktowanie, a może i na bezkarność, okazały się całkowicie bezużyteczne. Nawet rozhisteryzowany Hans Traupman, któremu pokazano kilka fragmentów taśm z jego zarejestrowanymi wyczynami, nie był w stanie dostarczyć żadnych sensownych informacji.

- Czy myślicie, że ukrywałbym przed wami cokolwiek? Przecież jestem chirurgiem i potrafię stwierdzić, kiedy nie ma szans na szczęśliwe zakończenie operacji. Przegraliśmy z kretesem! Odpowiedzi na najważniejsze pytania znalazł jedynie Gunter Jager; niestety, psychologowie i psychiatrzy, którzy obejrzeliby taśmę z jego wystąpieniem, stwierdzili jednomyślnie, że prędzej odbierze sobie życie, niż odkryje choć jedną ze swoich tajemnic.

- To kliniczny przykład stanu maniakalnodepresyjnego połączonego z kontrolowaną paranoją, co oznacza, że on przez cały czas balansuje na krawędzi szaleństwa. Wystarczy jeden, nawet niewielki impuls, a runie w otchłań.

Karin de Vries zgadzała się z tą diagnozą. Wobec tego zastosowano środki zastępcze: telefony na podsłuchu, stały nasłuch radiowy, szczegółowe kontrolowanie przesyłek... Wzięto nawet pod uwagę możliwość skorzystania z gołębi pocztowych. W krzakach, na drzewach i w rozpadającej się ruderze na sąsiedniej parceli roilo się od agentów wyposażonych w niezwykle czułe mikrofony kierunkowe, obejmujące zasięgiem cały obszar posiadłości Jagera. Wszyscy czekali, aż przywódca neonazistów nawiąże z kimś kontakt, ujawniając najistotniejsze szczegóły operacji "Wodna Błyskawica"; niestety, godziny mijały nieubłaganie, a nic takiego nie następowało. Zbiorniki wodne w okolicach Londynu, Paryża i Waszyngtonu, a także filtry i stacje pomp przypominały warowne twierdze. Uzbrojeni po zęby żołnierze patrolowali najtrudniej dostępne zakamarki, pobliskie drogi zostały zamknięte dla ruchu kołowego, wyznaczono odległe objazdy. W ceglanych wieżach ciśnień Waszyngtonu trwał ciągły dyżur specjalistów z Armijnego Korpusu Inżynierskiego, najbardziej doświadczonych ludzi w tej dziedzinie, ściągniętych z całego kraju.

- Żaden pieprzony neonazista nie zdoła się tu zbliżyć oświadczył generał dowodzący ochroną zbiornika Dalecarlia. To samo jest w Londynie i Paryżu; wzięliśmy pod uwagę każdą, nawet najmniej prawdopodobną możliwość. Wydaje mi się, że Francuzi chyba nawet trochę przesadzili, bo rozstawili co sto metrów posterunki z granatnikami przeciwpancernymi i miotaczami płomieni, a ich ludzie piją wyłącznie butelkowaną wodę. Ponieważ nic nie wskazywało na to, żeby "Wodna Błyskawica" miała uderzyć także w Bonn, niemiecki rząd oddał aliantom do dyspozycji wszystko, czym dysponował; teraz byli to także jego sprzymierzeńcy, bo chyba nikt tak bardzo nie obawiał się odrodzenia ruchu neonazistowskiego, jak elity polityczne Republiki Federalnej Niemiec. Niestety, i tym razem okazało się, że historia może i jest znakomitą nauczycielką, ale mało kto wyciąga wnioski z udzielanych przez nią lekcji; nikt nie kontrolował ciężarówek dowożących żywność, sprzęty kuchenne i bieliznę pościelową, a tymczasem pod podłogą skrzyń ładunkowych były ukryte zbiorniki z wysokooktanowym, łatwo wybuchającym paliwem, połączone z pompami o zasięgu stu i więcej metrów. Gunter Jager nie mógł się oprzeć pokusie przeprowadzenia tej akcji, ale wiedzieli o niej wyłącznie jego najbardziej zaufani współpracownicy. Zamierzał spalić Bundestag. "To będzie powtórka z Reichstagu" - napisał w dzienniku.

- Nic się nie dzieje! - stwierdziła Karin w apartamencie hotelu "Kónigsdorf, o pierwszej w nocy czasu środkowoeuropejskiego. Witkowski oraz dwaj weterani operacji "Pustynna Burza", wyczerpani trwającą niemal bez przerwy od dwóch dni pracą, spali w sąsiednich pokojach. - Cisza jak makiem zasiał, a my nadal błądzimy po omacku!

- Będziemy postępować według ustalonego planu - odparł Latham. Wydawało mu się, że zamiast powiek ma dwie ołowiane pokrywy, które tylko z najwyższym trudem powstrzymuje przed opadnięciem. - Jeśli do szóstej rano nic się nie wydarzy, zgarniemy go i zaczniemy przypiekać na wolnym ogniu.

- Nie będzie żadnego przypiekania, Drew! Dobrze znam Frederika i wiem, że zawsze był przygotowany na ewentualność wpadki. Powtarzał mi wielokrotnie, że samobójstwo w takiej sytuacji nie ma nic wspólnego z bohaterstwem, że lepiej zginąć z własnej ręki niż cierpieć niewyobrażalne katusze. Zdawał sobie sprawę, że w razie zdemaskowania i tak czeka go śmierć, więc czemu nie spłatać nieprzyjacielowi ostatniego psikusa, a przy okazji uniknąć

bólu? Między innymi właśnie dlatego nigdy nie uwierzyłam w raport Stasi. - Masz na myśli kapsułkę z Cyjankiem potasu zaszytą w kołnierzyku i inne podobne bzdury?

- To nie bzdury, tylko prawda! Twój brat zabezpieczył się w taki sam sposób.

- Jestem pewien, że nigdy by tego nie zrobił. Głowa opadła Lathamowi na pierś, a w chwilę potem osunął się na kanapę i zaczął cicho pochrapywać.

- W grę wchodzi życie dziesiątków tysięcy ludzi. Mimo wszystko Freddie znalazł jakiś sposób omięcia zabezpieczeń. Dopiero po chwili Karin zorientowała się, że Drew jej nie słyszy. Jest inny sposób, żeby go powstrzymać! - szepnęła. Zerwała się z miejsca, pobiegła do sypialni, wróciła z kocem, przykryła Lathama, po czym znowu poszła do sypialni, usiadła na łóżku i wzięła do ręki słuchawkę.

Dzwonek telefonu wyrwał Lathama z głębokiego snu. Drew spadł z kanapy, sięgnął ręką w bok, trafił na nogę fotela, oprzytomniał, podniósł się z podłogi i stanął niepewnie na nogach. Zaraz potem dzwonek umilkł, a pół minuty później z sąsiedniego pokoju wypadł rozwścieczony Witkowski.

- Zrobiła to, do jasnej cholery!

- O czym ty mówisz? - zapytał Drew. Zdążył już usiąść na kanapie i teraz tarł powoli oczy.

- Poszła do niego!

- Co?!

- Znała wszystkie hasła, więc bez trudu uzyskała zezwolenie na przejście przez kordon otaczający Jagera.

- Kiedy to się stało?

- Kilka minut temu. Dowódca straży chciał wiedzieć, czy zanotować ją pod prawdziwym nazwiskiem, czy pod kryptonimem.

- Jedziemy, szybko! Gdzie mój pistolet? Leżał tu, na stoliku... Boże, wzięła go!

- Włóż marynarkę i płaszcz - poradził mu pułkownik. Pada od godziny.

- Zaraz przyjedzie po nas samochód niemieckiego wywiadu oznajmił kapitan Dietz, pojawiając się w drzwiach drugiej sypialni w towarzystwie porucznika Anthony'ego. Obaj byli gotowi do wyjścia, z bronią w kaburach. - Słuchałem przez drugi aparat dodał tytułem wyjaśnienia. - Musimy się spieszyć, bo nad rzekę jedzie się stąd co najmniej dziesięć minut.

- Zadzwońcie do dowódcy straży i każcie mu ją zatrzymać, albo niech żołnierze wtargną do willi! - zaproponował Anthony. - Nie ma mowy - odparł stanowczo Witkowski. - Jager jest jak wściekły pies; jeśli przekona się, że zapędzono go w ślepy zaułek, nic ani nikt nie zdoła go powstrzymać. Zabije każdego kto stanie mu na drodze. Zresztą, słyszeliście opinię psychiatrów. Nie wiem, co ona zamierza, ale na pewno lepiej żeby była z nim sam na sam... przynajmniej do czasu, kiedy tam dotrzemy, ma się rozumieć.

- A kiedy już tam dotrzemy, wtedy mimo wszystko wejdziemy do środka - stwierdził spokojnie Drew, wkładając marynarkę i płaszcz. - Niech jeden z was da mi swój zapasowy pistolet.

Karin de Vries przedstawiła się jako uczestnik operacji "N-2", a ponieważ podała właściwe hasło, prawdziwość jej słów zaś potwierdził oficer niemieckiego wywiadu odpowiadający za odizolowanie rezydencji Jagera od świata zewnętrznego, została zaznajomiona z aktualną sytuacją oraz otrzymała wszelkie niezbędne informacje.

- W tej chwili mam w terenie dziewięciu ludzi - powiedział oficer, kiedy przycupnęli w strugach ulewnego deszczu za częściowo zwałoną ścianą starego domu. - Niektórzy ukryli się w krzakach, inni siedzą na drzewach. Ten deszcz, choć niezbyt przyjemny, jest naszym sprzymierzeńcem, ponieważ grunt tak bardzo rozmiękł, że ochroniarze Jagera mogą zapuścić się najwyżej dwadzieścia pięć metrów za hangar z łodziami. Skoro twierdzi pani, że musi dotrzeć do drzwi przez nikogo nie zauważona, to proszę mnie uważnie wysłuchać. Pójdzie pani tą wykładaną kamieniami ścieżką aż do spalonej altany. Jest tam niewielkie boisko do gry w krykieta, a po jego drugiej stronie rośnie rozłożysta sosna, na której siedzi jeden z

moich ludzi. Proszę go obserwować i poczekać na sygnał, który da ołówkową latarką: dwa błysnięcia ostrzegają przed zbliżającym się strażnikiem, trzy oznaczają, że droga wolna. Jak tylko zobaczy pani trzy błysnięcia, proszę przebiec najszybciej jak się da przez boisko. Zaraz potem trafi pani na kolejną ścieżkę, skręcającą w lewo. Zatrzyma się pani po mniej więcej czterdziestu krokach, na najostrejszym łuku, i spojrzy w prawo: tam będzie czekał kolejny człowiek, który ma bezpośredni widok na boczne drzwi. On też da pani sygnał latarką.

- Boczne drzwi? - powtórzyła Karin, odgarniając z czoła mokry kosmyk włosów.

- Prowadzą do przybudówki mieszczącej prywatny apartament Jagera wyjaśnił Niemiec. - Jest tam łazienka, gabinet, sypialnia, a także mała kapliczka z ołtarzem, gdzie podobno spędza długie godziny na rozmyślaniach. Z tego wejścia może korzystać tylko on, nikt inny. Główne drzwi służą gościom i strażnikom.

- Krótko mówiąc, w swoim apartamencie jest całkowicie odizolowany od reszty domu.

- Tak jest. Kiedy przekazałem tę wiadomość dyrektorowi Moreau, wyraził ogromne zainteresowanie. Wspólnie obmyśliliśmy plan, który pozwoli pani przedostać się bez większego ryzyka do środka.

- Co jeszcze panu powiedział, jeśli wolno zapytać?

- Że przed wieloma laty poznała pani Guntera Jagera oraz że jest pani znakomitym strategiem, zdolnym osiągnąć to, co niejednemu się nie udało. Dla mnie, a także dla wielu innych oficerów, Moreau jest w tych sprawach największym autorytetem. Wspomniał też, że będzie pani uzbrojona i że potrafi pani zatroszczyć się o własne bezpieczeństwo.

- Mam nadzieję, że się nie myli... - westchnęła Karin. Niemiec spojrział na nią uważnie.

- Rzecz jasna pani przełożeni nie mają nic przeciwko tej akcji? - Oczywiście, że nie. Czy wówczas sam słynny Moreau dzwoniłby do pana w tej sprawie?

- Tak, naturalnie... Obawiam się, że pani płaszcz wkrótce przemoknie. Niestety nie mam innego, ale mogę pani zaproponować parasol.

- Dziękuję, na pewno się przyda. Czy ma pan łączność radiową ze swoimi ludźmi?

- Owszem, ale pani nie dostanie krótkofalówki. Zbyt duże ryzyko, sama pani rozumie.

- Oczywiście. Wobec tego proszę tylko zawiadomić ich, że już idę.

- Powodzenia. Proszę zachować ostrożność. Doprowadzimy panią do drzwi, ale potem będzie pani zdana wyłącznie na siebie. Nie wolno nam zareagować, nawet wtedy gdyby wzywała pani pomocy. - Tak, wiem o tym. Cóż znaczy jedno życie wobec dziesiątków, może nawet setek tysięcy... Karin otworzyła parasol i w strugach ulewnego deszczu ruszyła przed siebie kamienistą ścieżką. Niebawem ujrzała przed sobą wypalony szkielec niegdyś chyba bardzo pięknej drewnianej altany, przypominający ruiny domów uwiecznione na kliszach przez wojennych reporterów. Zaraz za ruiną zaczynało się doskonale utrzymane boisko do krykieta, porośnięte soczystą zieloną, przyszyroną trawą. Zmrużywszy oczy zaczęła przeszukiwać spojrzeniem gałęzie potężnej sosny rosnącej po drugiej stronie boiska. Nagle dostrzegła dwa błyski; dwa, nie trzy, a więc ostrzeżenie przed patrolem. Pospiesznie przycupnęła w krzakach, nie spuszczać wzroku z miejsca, gdzie kilka metrów nad ziemią ukrył się funkcjonariusz niemieckiego wywiadu. Zaraz potem znowu ujrzała błysnięcia, tym razem trzy, powtórzone dwukrotnie w krótkich odstępach czasu. Droga wolna! Przebiegła przez boisko, zapadając się po kostki w mokrą trawę, wpadła na identyczną, wykładaną płaskimi kamieniami ścieżkę, po której szła jeszcze przed chwilą, bez wahania skręciła w lewo, licząc po cichu kroki dotarła do ostrego zakrętu. Okazał się tak ostry, że dała o jeden krok za dużo, poślizgnęła się na wilgotnej ziemi i upadła w krzaki. Przeklinając własną niezdarność uklękła i rozejrzała się dokoła; otaczała ją ciemność, ale Karin nie mogła się poruszyć, musiała czekać na umówiony sygnał. Wreszcie go dostrzegła: trzy błysnięcia. Wstała z ziemi i ostrożnie podkrađła się na skraj ścieżki; z tego miejsca, z krawędzi lasu, widać było w całej okazałości siedzibę jej niegdyś ukochanego, a teraz znienawidzonego męża, Fuhrera Czwartej Rzeszy. Budynek był pograżony w ciemności, tylko w jednym ze skrajnych okien po lewej stronie paliło się światło. Oficer niemieckiego wywiadu powiedział jej, że prywatny apartament Guntera Jagera znajduje się w przybudówce, ale teraz okazało się, że przybudówki są dwie, po lewej i po

prawej stronie domu, ta druga wystarczająco duża, żeby pomieścić trzy lub cztery pokoje dla służby. Główne drzwi istotnie znajdowały się dość daleko, natomiast boczne, prowadzące do gniazda przywódcy niemieckich neonazistów, miała niemal dokładnie przed sobą, oświetlone słabym blaskiem czerwonej żarówki podwieszanej pod daszkiem niewielkiego ganku. Karin kilka razy odetchnęła głęboko, w nadziei że w ten sposób nieco uspokoi rozedrgane nerwy, wyjęła z kieszeni pistolet Lathama, po czym ruszyła ostrożnie przez trawnik zalewany strugami deszczu. Tylko jedno z nich przeżyje to spotkanie. Tak oto dobiegnie końca związek od samego początku skazany na klęskę. Chwilowo jednak najważniejsza była operacja "Wodna Błyskawica", "cudowna broń" wynaleziona przez Guntera Jagera. Frederik de Vries, niegdyś najznakomitszy spośród wszystkich tajnych agentów, znalazł sposób, żeby wprowadzić w życie obłąkańczy plan, ona zaś musi uczynić wszystko, aby uniemożliwić mu jego realizację. Weszła na ganek zalany niepokojącym czerwonym blaskiem, oparła się o jedną z dwóch drewnianych kolumniek podtrzymujących dwuspadowy dach. Nagle otworzyła usta i nabrała gwałtownie powietrza, ale nie, zdołała krzyknąć, gdyż poczuła się tak, jakby ktoś ścisnął jej szyję żelazną obręczą: drzwi prowadzące do domu były uchylone! Wypelniona nieprzeniknioną ciemnością szczelina miała najwyżej dziesięć centymetrów szerokości. Karin opanowała się, przelożyła pistolet do lewej ręki, lekko pchnęła drzwi. Otworzyły się bezszelestnie. W pomieszczeniu panowała martwa cisza, podkreślona łomotem deszczu uderzającego w blaszany daszek nad gankiem. Karin wstrzymała oddech i wślizgnęła się do środka.

- Wiedziałem, że przyjdiesz, moja droga żono - rozległ się w ciemności męski głos. - Zamknij za sobą drzwi.

- Frederik!

- Już nie Freddie? Nazywałaś mnie Frederikiem tylko wtedy, kiedy byłaś na mnie wściekła. Czy jesteś na mnie wściekła, Karin? - Co ty zrobiłeś najlepszego? I gdzie jesteś? Nie widzę cię... - Lepiej niech tak zostanie, przynajmniej na razie.

- Wiedziałeś, że przyjdę?

- Te drzwi są otwarte, od chwili kiedy ty i twój kochanek przylecieliście do Bonn.

- A więc nie muszę ci mówić, że oni doskonale wiedzą, kim jesteś i...

- To bez znaczenia - przerwał jej stanowczym tonem de Vries/Jager. - Teraz już nic nie zdoła nas powstrzymać.

- Nie uda ci się uciec!

- Oczywiście, że ucieknę. Wszystko zostało już przygotowane. - W jaki sposób? Przecież znają cię, nie pozwolą ci ruszyć się na krok!

- Dlatego że siedzą w krzakach i na drzewach, że podsłuchują moje rozmowy, pragnąc zidentyfikować ludzi, do których dzwonię, by potem zaaresztować ich i oskarżyć? Powiadam ci, droga żono, miałem wielką ochotę zatelefonować do prezydentów Francji i Stanów Zjednoczonych, a może nawet do brytyjskiej królowej. Wyobrażasz sobie, jakie wywołałbym zamieszanie?

- Dlaczego tego nie zrobiłeś? . Ponieważ wyglądałoby to na żart, a my jesteśmy śmiertelnie poważni.

- Ale dlaczego, Frederiku? Dlaczego? Co się stało z człowiekiem, który kiedyś całą duszą nienawidził nazistów?

- To niezupełnie tak - odparł spokojnie nowy Fuhrer. Przede wszystkim nienawidziłem komunistów, ponieważ byli głupi. Bezmyślnie trwonili swoją potęgę broniąc marksistowskiej teorii równości, podczas gdy powszechnie wiadomo, że żadna równość nie istnieje. Dawali władzę prymitywnym chłopom i niewykształconym prostakom. Nie było w nich ani odrobiny godności.

- Nigdy nie mówiłeś w ten sposób...

- Oczywiście, że mówiłem! Po prostu ty nigdy nie słuchałaś wystarczająco uważnie... Ale to także nie ma już najmniejszego znaczenia, ponieważ udało mi się odnaleźć moje powołanie, prawdziwe powołanie człowieka lepszego od innych. Ujrzałem pustkę i wypełniłem ją, z

pomocą, co przyznaję bez najmniejszych oporów, wielkiego chirurga, który zrozumiał, że jestem właśnie tą osobą, której potrzebują.

- Hans Traupman... - szepnęła Karin. Natychmiast zbesztala się w myślach za nieostrożność, ale było już za późno.

- Nie ma już go między nami, a to za sprawą twoich żalonych przyjaciół. Czy oni naprawdę sądzili, że uda im się porwać łódź i doktora? Czy naprawdę przypuszczali, że nie zaalarmuje nas fakt, iż kamery przestały działać kolejno, nie w jednej chwili, że nagle umilkła radiostacja a łódź niespodziewanie skierowała się w górę rzeki? Doprawdy, cóż za amatorszczyzna! Jednak Traupman oddał życie za wielką sprawę i z pewnością był z tego powodu szczęśliwy, ponieważ nasza sprawa jest warta największych poświęceń. Gunter Jager wie dużo, ale nie wszystko, pomyślała Karin. Najwyraźniej przypuszczał, że Hans Traupman zginął na zatopionej łodzi.

- O jakiej sprawie mówisz, Frederiku? - zapytała. - O sprawie nazistów, tych zwyrodnialców, którzy zamordowali twoich dziadków i wpędzili w nędzę twoich rodziców, aż wreszcie oboje odebrali sobie życie?

- Odkąd mnie opuściłaś, dowiedziałem się wielu rzeczy.

- J a cię opuściłam?

- Życie ocaliły mi diamenty, jakie miałem w Amsterdamie. Kto jednak zatrudniłby mnie po upadku Muru? Na co komu tajny agent i szpieg, w czasach kiedy nie ma czego ani kogo szpiegować? Kto zapewniłby mi życie na poziomie, do jakiego przywykłem: nieograniczone wydatki, podróże do najlepszych kurortów, drogie samochody? Pamiętasz Morze Czarne i Sewastopol? Mój Boże, nie dość, że świetnie się bawiliśmy, to jeszcze zarobiłem na tym ponad dwieście tysięcy dolarów!

- Pytałam o sprawę, Frederiku. Co to za sprawa?

- Uwierzyłem w nią całą duszą i sercem. Początkowo inni pisali mi przemówienia, teraz piszę je sam, a raczej komponuję, ponieważ przypominają krótkie opery heroiczne, wywołują entuzjazm u słuchaczy, podrywają ich na nogi, zmuszają do radosnego krzyku, do wychwalania mnie pod niebiosa, mnie, który dzielę się z nimi swoim darem.

- Jak to się zaczęło, Freddie?

- Freddie... Tak już lepiej. Naprawdę chcesz wiedzieć?

- A czy kiedykolwiek nie chciałam słuchać opowieści o twoich dokonaniach? Pamiętasz, jak nieraz śmiałyśmy się do rozpuku? - Istotnie, chwilami byłaś w porządku, ale najczęściej zachowywałaś się jak wredna dziwka.

- Co takiego? - Karin natychmiast opanowała się i zniżyła głos. - Wybacz mi, Freddie. Naprawdę ogromnie mi przykro. Wyjechałeś do Berlina Wschodniego i wszelki słuch o tobie zaginął... aż do chwili kiedy dotarła do nas wiadomość o twojej śmierci. - Sam napisałem ten raport. Udał mi się, nie sądzisz?

- Opis był nadzwyczaj plastyczny.

- Dobry pisarz musi być jak dobry mówca, a dobry mówca musi przypominać dobrego pisarza. W celu zdobycia zainteresowania czytelnika lub słuchacza należy tworzyć przemawiające do wyobraźni obrazy, trzeba ciskać gromy i rozpalać błyskawice! - A wtedy, w Berlinie...

- Właśnie tam się wszystko zaczęło. Wielu funkcjonariuszy Stasi miało kontakty z Monachium, gdzie urzędował generał pełniący tymczasowo obowiązki przywódcy ruchu neonazistowskiego. Szybko docenili moje zdolności; szczerze mówiąc, wcale im się nie dziwię, bo kilkakrotnie wystrychnąłem ich na dudków. Kiedy dzięki diamentom odzyskałem wolność, zaczęli mnie odwiedzać i powtarzać, że być może mieliby dla mnie interesującą ofertę. Wschodnie Niemcy chwiały się w posiadach, dni Związku Sowieckiego też były już policzone... Zawieźli mnie do Monachium, gdzie poznałem generała von Schnabe. Trzeba przyznać, że miał charyzmę; wywarł na mnie ogromne wrażenie, ale nie ulegało wątpliwości, że to w gruncie rzeczy urzędnik, skostniały biurokrata. W jego duszy nie płonął ogień, po którym

poznaje się autentycznych przywódców. Jednak jego koncepcje stopniowo ulegały urzeczywistnieniu, a po ostatecznym wprowadzeniu w życie mogły odmienić oblicze Niemiec.

- Odmienić oblicze Niemiec? - powtórzyła z niedowierzaniem Karin. - W jaki sposób nikomu nie znany generał, kierujący otaczanym pogardą radykalnym ruchem, miałby dokonać czegoś takiego?

- Prowadząc powolną, ale nieustającą infiltrację Bundestagu, a infiltracja jest jedną z tych rzeczy, o których wiem naprawdę sporo. - Nie odpowiedział mi jeszcze na pytanie, Freddie.

- Naprawdę lubię, kiedy mówisz do mnie w ten sposób. Przyznaję, że przez wiele lat było nam ze sobą całkiem dobrze. Głos Guntera Jagera zdawał się dochodzić ze wszystkich stron jednocześnie; wrażenie to pogłębiał bezustanny łomot deszczu uderzającego w blaszany dach nad gankiem. - Wracając do rzeczy: po to, byśmy mogli zaistnieć w Bundestagu, należało doprowadzić do wyboru właściwych osób. Generał, z wydatną pomocą Hansa Traupmana, wyszukiwał w kraju utalentowanych, nie docenianych ludzi, stawiał ich na czele władz lokalnych w rejonach dotkniętych najpoważniejszymi problemami społecznymi, podsuwał krótkotrwałe, ale zyskujące powszechny aplauz rozwiązania oraz finansował kampanie wyborcze. Czy uwierzysz, że w tej chwili mamy w Bundestagu ponad stu oddanych zwolenników? - Zapewne byłeś jednym z nich?

- Owszem. Najwybitniejszym, najbardziej inteligentnym. Otrzymałem nowe nazwisko, nowy życiorys, zacząłem nowe życie. Stałem się Gunterem Jagerem, księdzem z niewielkiej parafii w Kuhhorst, decyzją władz kościelnych przeniesionym wkrótce do Strasslach koło Monachium. Zrzuciłem sutannę, by włączyć się aktywnie do walki o prawa "zniewolonej klasy średniej", czyli drobnej burżuazji stanowiącej kręgosłup tego narodu. Bez problemu zdobyłem miejsce we władzach lokalnych, a przez cały czas byłem uważnie obserwowany przez Hansa Traupmana. W końcu doktor podjął decyzję: właśnie takiego człowieka potrzebował. Otrzymałem propozycję, żeby zostać cesarzem, władcą, królem tego, o co walczyliśmy: Führerem Czwartej Rzeszy!

- I przyjąłeś tę propozycję?

- Dlaczego miałbym ją odrzucić? Przecież teraz mam szansę wykorzystać wszystkie umiejętności, jakie zdobyłem przez lata niebezpiecznej służby. Mogę zdobywać zaufanie, głosić poglądy utwierdzające w ludzkiej świadomości mój wizerunek, namawiać, przekonywać, pociągać za sobą... Tego uczyłem się przez całe życie! - Ale przecież ci ludzie byli kiedyś twoimi śmiertelnymi wrogami!

- Teraz już nimi nie są. Racja jest po ich stronie. Świat się zmienił, i to na gorsze. Nawet komuniści byli lepsi od tego, z czym mamy do czynienia obecnie. Jeśli odrzucimy dyscyplinę wprowadzoną i egzekwowaną przez silne państwo, zostanie nam chaos, rozgardiasz i nie kończąca się walka o pierwszeństwo, jak wśród zwierząt w dżungli. My postanowiliśmy zawczasu pozbyć się zwierząt i przeprowadzić restrukturyzację państwa, pozwalając, by służyli mu jedynie ci o najczystszej krwi. Wielkimi krokami zbliża się początek nowej ery, a jak tylko ludzkość to zrozumie, na świecie zapanuje ogromna, w pełni uzasadniona radość.

- Nie wydaje ci się, że przeszkodą będzie pamięć o zbrodniach dokonanych przez nazistów?

- Może początkowo, lecz to szybko minie, jak tylko ludzie dostrzegą zalety czystego rasowo państwa rządzonego przez silną, sprawną władzę. Nie ma nic bardziej błędnego niż przekonanie o podkreślanej przez współczesne demokracje rzekomej doskonałości systemu, w którym społeczeństwo co pewien czas idzie do urn, by wybrać swoich przedstawicieli. Walka o głosy wyborców toczy się głównie w rynsztoku, gdyż tam właśnie jest ich najwięcej, największym paradoksem zaś jest to, że Amerykanie, ten "najbardziej miłujący demokrację naród na świecie", kompletnie nie rozumieją własnej konstytucji; początkowo prawo głosu mieli wyłącznie zamożni posiadacze ziemscy, ludzie, którzy osiągnęli sukces, tym samym dowodząc swojej wyższości nad współobywatelami. Takie właśnie były postanowienia Ojców Konstytucji.

- Owszem, gdyż żyli w społeczeństwie agrarnym i musieli dostosować się do jego wymogów. Dziwi mnie jednak, że wiesz o tym wszystkim, Freddie; znajomość historii nigdy nie była twoją najmocniejszą stroną.
- To także się zmieniło. Gdybyś mogła zobaczyć półki w tym gabinecie... Uginają się pod ciężarem książek. Czytałem sześć, siedem tygodniowo, a codziennie przywożono mi nowe.
- Chciałabym je zobaczyć. Chciałabym zobaczyć ciebie. Stęskniłam się za tobą, Freddie.
- Już niedługo. Dobrze czuję się w ciemności, ponieważ mogę cię widzieć taką, jaką cię zapamiętałem: uroczą, energiczną kobietę, dumną ze swego męża, dostarczającą mu informacji z Kwatery Głównej NATO, które nie raz i nie dwa uratowały mi życie. - Byłeś wtedy po naszej stronie, więc czy mogłam postąpić inaczej?
- Teraz jestem po innej stronie, znacznie wspanialszej. Pomożesz mi?
- To zależy. Nie będę ukrywała, że twoje słowa brzmią nadzwyczaj przekonująco, że słuchając cię jestem z ciebie dumna. Zawsze byłeś wspaniałym, nietuzinkowym człowiekiem... musieli to przyznać nawet ci, którzy nie zgadzali się z twoimi...
- Na przykład tacy jak mój były przyjaciel Harry Latham, twój aktualny kochanek!
- Mylisz się, Freddie. Harry Latham nie jest moim kochankiem.
- Kłamiesz! Zawsze się do ciebie zalecał, pożerał cię wzrokiem, dopytywał się o ciebie...
- Powtarzam: Harry Latham nie jest moim kochankiem. Chyba znasz mnie na tyle dobrze, żeby wiedzieć, kiedy kłamię, a kiedy mówię prawdę. Przecież między innymi właśnie na tym polegał twój zawód, a wiele razy słyszałeś, jak kłamię, żeby ci pomóc albo wydostać cię z tarapatów... Czy mam ci to powtórzyć raz jeszcze?
- Nie trzeba. - Zapadła cisza, którą po chwili przerwał głos niewidocznego mężczyzny: - Wobec tego, kim jest ten człowiek? - Kimś, kto wcielił się w postać Harry'ego.
- Po co?
- Ponieważ chciałeś zabić Harry'ego Lathama, a on nie ma najmniejszej ochoty stracić życia. Jak mogłeś to zrobić, Freddie? Przecież Harry kochał cię jak... jak młodszego brata!
- Nie ja podjąłem tę decyzję - odparł spokojnie Gunter Jager. - Harry przeniknął do naszej kwatery w Alpach, gdzie uczestniczył w ważnym eksperymencie medycznym. Nie miałem wyboru. Musiałem się zgodzić.
- Co to za eksperyment?
- Nie wiem, na czym dokładnie polegał, ale Traupman wiele sobie po nim obiecywał, a ja przecież nie mogłem sprzeciwić się Hansowi. To dzięki niemu znalazłem się tu, gdzie jestem obecnie. - A gdzie właściwie jesteś, Freddie? Czy naprawdę stałeś się nowym Adolfem Hitlerem?
- Zabawne, że akurat o nim wspomniałaś. Wiele razy czytałem Mein Kampf oraz wszystkie biografie, jakie tylko wpadły mi w ręce. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak podobnie układało nam się życie, przynajmniej do chwili kiedy wstąpiliśmy do ruchu! On był artystą i ja jestem artystą, co prawda dość szczególnego rodzaju. On był bezrobotny i ja miałem zostać bez pracy. On nie został przyjęty ani do austriackiego Stowarzyszenia Artystów, ani na Akademię, ponieważ rzekomo nie miał talentu, a w dodatku był tylko zwykłym, bezimiennym kapralem... ze mną było niemal dokładnie tak samo. Kto zatrudni kogoś takiego jak ja? W dodatku obaj byliśmy nędzarzami: on dlatego że się taki urodził, ja dlatego że oddałem diamenty w zamian za życie... W latach dwudziestych był przemawiającym na ulicach radykałem, protestującym przeciwko krzywdzie i nierównościom społecznym, a ja ponad pół wieku później przemawiałem do możliwych tego świata, zachęcając ich do czynnego włączenia się w dzieło budowania nowego porządku. Ludzie tacy jak ja i on są wprost bezcenni.
- Czy chcesz przez to powiedzieć, że zarówno ty, jak Adolf Hitler zostaliście przez kogoś wybrani, by odegrać napisane dla was role?
- Ujmę to innymi słowami, żono: my nie szukaliśmy powołania, powołanie samo nas odnalazło. To nie ma najmniejszego sensu!
- Dlaczego? Świeżo nawróceni zawsze wierzą najgorzej, ponieważ musieli odbyć długą drogę, by dotrzeć do swoich przekonań.

- Realizacja waszych planów pociągnie za sobą ogromne ofiary...
- Tylko na pierwszym etapie. Ludzie szybko o tym zapomną, ponieważ od razu zauważą, że świat stał się dużo lepszy. Nie będzie żadnej wojny globalnej, żadnej wymiany atomowych uderzeń. Postęp będzie odbywał się powoli, ale stale, tym bardziej że niektóre procesy transformacyjne trwają już od dłuższego czasu. W ciągu kilku najbliższych miesięcy stare rządy ustąpią nowym, stare prawa zostaną zastąpione przez nowe, sprzyjające silniejszym i lepszym, a najdalej za kilka lat po śmieciach, które w tej chwili stanowią obciążenie i zagrożenie dla społeczeństwa, nie zostanie najmniejszy ślad.
- Do mnie nie musisz przemawiać jak na wiecu.
- Naprawdę nie widzisz, że to wszystko prawda? Że mamy rację?
- Nie widzę nawet ciebie, choć bardzo bym chciała, bo mówisz jak niezwykle człowiek, którym byłeś i nadal jesteś. Włącz światło, proszę.
- Chętnie, ale z tym wiąże się pewien problem...
- Obawiasz się, że cię nie poznam? Chyba nie zmieniłeś się tak bardzo przez pięć lat?
- Nie, lecz jestem w okularach, a ty nie.
- Przecież wiesz, że noszę je tylko wtedy, kiedy mam zmęczone oczy.
- Moje okulary są zupełnie inne. Dzięki nim widzę w ciemności, a więc zauważyłem także pistolet, który trzymasz w ręce. Przypomniało mi to, że jesteś leworęczna. Pamiętasz, jak postanowiłaś nauczyć się grać w golfa, ale kiedy przyjechaliśmy na pole, okazało się, że zabrałem niewłaściwe kije?
- Oczywiście, że pamiętam. Były dla praworęcznych graczy. Jeśli chodzi o pistolet, to przecież sam powtarzałeś mi wiele razy, żebym nigdy, ale to nigdy nie szła bez broni na spotkanie, które ma się odbyć nocą w miejscu, którego nie znam. Po prostu stosuję się do twoich zaleceń.
- Bardzo słusznie. Czy twoi przyjaciele na zewnątrz wiedzą, że jesteś uzbrojona?
- Nie wiem, o kim mówisz. Przyszłam tu sama, z własnej woli, nie pytając nikogo o zdanie.
- Kłamiesz, ale to nie ma żadnego znaczenia. Rzuć broń! Karin postąpiła zgodnie z poleceniem, a wówczas de Vries vel Jager włączył lampę zainstalowaną nad niewielkim ołtarzem przykrytym czerwonym płótnem, na którym stał złoty krucyfik. Nowy Fuhrer siedział na kłęczniku po prawej stronie ołtarza; miał na sobie białą jedwabną koszulę, jego jasne włosy lśniły w blasku elektrycznego światła, a na przystojnej twarzy o ostrych rysach kładły się wyraźne cienie.
- I jak wyglądałam po pięciu latach, żono?
- Równie oszalamiająco jak zawsze, ale ty przecież doskonale o tym wiesz.
- Istotnie, pod tym względem różnię się od Herr Hitlera. Wyobraź sobie, że był tak mały, że musiał nosić buty na podwyższonym obcasie! Moja prezencja ogromnie mi pomaga, ale staram się zachować skromność i nie reaguję na westchnienia kobiet oszołomionych moim widokiem. Charyzmatyczny przywódca narodu nie może sobie pozwolić na próżność.
- Nic jednak nie poradzisz na to, że wywierasz na innych ogromne wrażenie. Na mnie także... dawniej i teraz.
- W jaki sposób dowiedzieliście się, że Gunter Jager jest nowym przywódcą neonazistów?
- Od jednego z sonnenkindów, który załamał się podczas przesłuchania. Przypuszczam, że zaaplikowano mu jakiś narkotyk. - To niemożliwe! Żaden z nich nie wiedział o moim istnieniu!
- Wygląda na to, że jednak wiedzieli. Przecież sam wspomniałeś, że uczestniczyłeś w zebraniach, wygłaszałeś przemówienia... - W spotkaniach brali udział wyłącznie nasi ludzie z Bundestagu!
- A więc ktoś się wygadał, Freddie. Doszły do mnie słuchy o pewnym katolickim księdzu, który poszedł do spowiedzi i wystawił na ciężką próbę sumienie swego spowiednika.
- Ten stetryczyłaś kretyn Paltz! Wciąż powtarzałem, że trzeba wykluczyć go z naszego grona, ale Traupman bał się utracić rzekome klasy robotnicze, wśród których ten zniedołężniały dziad rzekomo cieszył się znaczną popularnością! Każę go rozstrzelać! Karin odetchnęła trochę swobodniej. Wreszcie udało jej się trafić na właściwą strunę. Nazwiskiem Paltza

posłużyła się przede wszystkim dlatego, że stary ksiądz znajdował się wśród zidentyfikowanych uczestników ostatniego zebrania oraz nie cieszył się najlepszą opinią u dostojników Kościoła katolickiego w Niemczech, co potwierdziła telefoniczna rozmowa z biskupem Bonn. Biskup nie przebiegał w słowach: "To wykołajeniec, który już dawno powinien zostać odesłany na emeryturę. Bez przerwy powtarzam to w Rzymie". Zaczekała, aż jej szalony mąż nieco ochłonie z wściekłości. - Freddie... Ten Paltz, kimkolwiek jest, wspomniał, że niedługo coś okropnego wydarzy się w Londynie, Paryżu i Waszyngtonie. Jakaś katastrofa, w której wyniku zginą tysiące ludzi. Czy to prawda? W kaplicy zapadła śmiertelna cisza wypełniona łomotem padającego bez chwili przerwy deszczu. Kiedy wreszcie Gunter Jager przemówił, w jego głosie brzmiała pogarda i tłumiona wściekłość. - A więc po to cię tu przysłali, parszywa dziwko! W swojej bezgranicznej głupocie liczyli na to, że wyjawię ci, na czym polega nasz wspałały plan.

- Przyszłam z własnej woli, Freddie. Nikt nie wie, że tu jestem. - Być może, choć biorąc pod uwagę, że nigdy nie potrafiłaś dobrze kłamać... Zresztą, nieważne. Powiedziałem już wcześniej, że nic nas nie powstrzyma, i tak jest naprawdę. Jak wszyscy wielcy przywódcy korzystam z rad ekspertów, szczególnie w dziedzinach, w których nie jestem specjalistą. Fachowcy informują mnie o ogólnym zarysie strategii, a przede wszystkim o końcowych efektach, oszczędzając jednak szczegółów technicznych oraz nie zaprzatając mojej uwagi nazwiskami ludzi odpowiedzialnych za poszczególne etapy realizacji zadania. Nie wiedziałbym nawet, do kogo zadzwonić, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

- Podobno ma to jakiś związek ze zbiornikami wody pitnej dla tych miast.

- Doprawdy? Jestem pewien, że gdybyście wypyłali dokładniej starego Paltza, udzieliliby wam bardziej szczegółowych informacji. - To wam się nie uda, Frederiku! Zatrzymaj machinę szaleństwa! Zbiorniki są strzeżone przez setki żołnierzy, którzy mają rozkaz strzelać do każdego, kto wbrew zakazowi pojawi się w pobliżu. Twój podwładni zostaną schwytani, a ty sam zdemaskowany!

- Zdemaskowany? - zdziwił się uprzejmie Jager. - Przez kogo, jeśli wolno zapytać? Przez zniechęconego starca, który nie wie nawet, jaki mamy rok, nie wspominając już o miesiącu albo dniu? Nie bądź śmieszna.

- Frederiku, spotkanie, w którym uczestniczyłeś niedawno, zostało zarejestrowane na taśmie wideo. Wszyscy jego uczestnicy są aresztowani. Gra skończona, Freddie. Na litość boską, odwołaj "Wodną Błyskawicę"!

- "Wodną... Błyskawicę"?... Mój Boże, ty mówisz prawdę! Widzę to w twoich oczach, słyszę w głosie! - Gunter Jager zerwał się raptownie z kłęcznika. W blasku samotnej lampy wyglądał jak Zygfyrd, który nie wiadomo czemu zszedł ze sceny. - Ale to nic nie zmieni, dziwko. Nikt już nie zdoła powstrzymać zaciśniętej pięści przed zadaniem miażdżącego ciosu! Za niespełna godzinę wejdę na pokład samolotu, który przewiezie mnie do kraju popierającego moją misję, naszą misję, a wkrótce potem będę przyglądał się spokojnie, jak moi podwładni w całym zachodnim świecie zdobywają coraz większą władzę.

- Nie uciekniesz stąd, Freddie!

- Jakaż jesteś naiwna, żono - odparł Jager, podchodząc do ołtarza i naciskając przycisk ukryty pod złotym krucyfikssem. Kwadrat o wymiarach co najmniej dwa na dwa metry, stanowiący znaczną część podłogi odsunął się na bok, odsłaniając ciemną powierzchnię rzeki.

- Tam, w dole, czeka na mnie dwuosobowa miniaturowa łódź podwodna. Zabierze mnie do Königswinter, gdzie na prywatnym lotnisku stoi dwusilnikowy odrzutowiec. Reszta będzie zwykłym powtórzeniem historii.

- A co ze mną?

- Czy wiesz, jak dawno nie miałem kobiety? - zapytał cicho Jager. - Czy wiesz, od ilu lat żyję w ścisłym celibacie, który sam sobie narzuciłem, a jednocześnie przez cały ten czas musiałem obserwować innych, ulegających bez zmużenia oka pokusom niesionym przez życie?

- Wybacz, Frederiku, ale nie interesują mnie twoje umartwienia. - A powinny, bo przecież nadal jesteś moją żoną! Od czterech lat żyję jak mnich, udowadniając wszystkim, że tylko ja

jestem niezłomnym, twardym przywódcą, oddanym sprawie, której służę. Odganiałem precz nieprzystojnie ubrane kobiety i nawet nie pozwalałem podwładnym opowiadać w mojej obecności bezecnych dowcipów.

- Z pewnością było ci bardzo ciężko - odparła Karin, rozglądając się ukradkiem po pomieszczeniu. - Tym bardziej że zazwyczaj z każdej akcji wracałeś z notesem pełnym kobiecych imion i numerów telefonów oraz z kieszeniami wypchanymi prezerwatywami.

- Grzebałaś w moich ubraniach?

- Przecież ktoś musiał zanieść je do pralni.

- Na wszystko masz odpowiedź, jak zawsze.

- To dlatego że mówię to, co myślę, nie owijając w bawelnę... Bądźmy znów razem, Frederiku. Co się ze mną stanie? Zabijesz mnie? - Wolalbym tego nie robić, ponieważ wobec prawa i Boga w dalszym ciągu jesteś moją żoną. Poza tym, w mojej łodzi podwodnej mieszczą się dwie osoby. Gdybyś zechciała mi towarzyszyć, pewnego dnia zostałabyś królową, cesarową, kimś takim, kim dla Adolfa Hitlera była Ewa Braun.

- Ewa Braun popełniła samobójstwo wraz ze swoim "cesarzem". Przyznam, że taka przyszłość niespecjalnie mi się uśmiecha. - A więc nie będziesz mi posłuszna, żono?

- Nie.

- Mylisz się. Będziesz, i to szybciej niż się spodziewasz! Gunter Jager nie spiesząc się rozpiął jedwabną koszulę, zdjął ją, rzucił na klęcznik, po czym sięgnął do paska spodni. Karin skoczyła w lewo, usiłując dosięgnąć pistoletu, który rzuciła na podłogę na rozkaz męża, ale Jager był szybszy: jego prawa stopa wystrzeliła z ogromną prędkością, trafiając kobietę w żołądek. Karin runęła na posadzkę i skuliła się, jęcząc z bólu. - Będziesz mi posłuszna jak żona mężowi - wycedził nowy Fuhrer. Powoli ściągnął spodnie, złożył je starannie i przewiesił przez klęcznik obok koszuli.

* * *

ROZDZIAŁ 39

- Kiedy poszła? - zapytał Latham, przekrzykując szum deszczu. - Jakież dwadzieścia minut temu - odparł niemiecki oficer. Samochód, który przywiózł Amerykanów na teren zrujnowanej posiadłości, wycofał się z wyłączonymi światłami.

- Kiedy? I pozwoliliście jej pójść bez nadajnika, żeby nie mogła wezwać pomocy?

- Nie mogliśmy jej tego zapewnić, a ona doskonale to rozumiała. Wyjaśniłem jej, dlaczego nie może mieć przy sobie radia. - Nie uważa pan, że powinien najpierw skontaktować się z nami, zanim ją pan tam puścił? - zapytał Witkowski po niemiecku.

- Niby dlaczego? - odparł zirytowany oficer. - Przecież zadzwonił do mnie sam wielki dyrektor Moreau i wspólnie obmyśliliśmy sposób, który pozwoliłby jej ominąć patrole.

- Moreau?! - wybuchnął Latham. - Uduaszę sukinsyna!

- Poza tym, jeśli zechcecie mnie wysłuchać, panowie - ciągnął Niemiec - Fraulein wcale nie jest w środku od tak długiego czasu, ponieważ jeden z moich ludzi zameldował mi przez radio, że weszła do budynku mniej więcej dwanaście minut temu. Proszę, nawet zapisałem godzinę w notatniku. My, Niemcy, przywiązujemy wagę nawet do takich szczegółów, dzięki czemu...

- Skoro tak, to dlaczego moi zamożni przyjaciele ciągle mają kłopoty ze swoimi mercedesami?

- Przypuszczam, że należy za to winić amerykańskich mechaników.

- Och, dajże pan spokój!

- Chyba przyszła pora na nas - odezwał się kapitan Dietz, stojący do tej pory w milczeniu w odległości dwóch metrów, z porucznikiem Anthonym przy boku. - Zneutralizujemy strażników i wślizgniemy się do środka. - Mein Oberfuhrer - zwrócił się po niemiecku do oficera - ile jest patroli i czy poruszają się po stałych trasach? Mówię do pana w pańskim ojczystym języku, ponieważ chciałbym uniknąć jakichkolwiek niejasności.

- Władam angielskim równie biegle jak pan niemieckim.

- Jednak zastanawia się pan czasem nad doborem słów, a co do gramatyki...

- Widzę, że będę musiał zmienić nauczyciela - zauważył Niemiec z uśmiechem. - Powiniennem znaleźć sobie jakiegoś Anglika z Oksfordu.
- Absurd! Nie rozumiałby pan ani słowa... w każdym razie mnie to się nigdy nie udało. Mówią tak, jakby mieli usta pełne żywych małży.
- Tak właśnie słyszałem.
- O czym wy szwargoczećcie, do wszystkich diabłów? - warknął Drew.
- Wymieniają uprzejmości - poinformował go Witkowski. To się chyba nazywa "utrwalaniem wzajemnego zaufania".
- Ja to nazywam stratą czasu!
- Bywa, że takie pozornie drobne sprawy nabierają ogromnego znaczenia. Wystarczy, że posłuchasz przez minutę człowieka mówiącego w jego ojczystym języku, a już wiesz, jakie ma nastawienie psychiczne. Dietzowi zależy na tym, żeby nie było najmniejszych wahań ani nieporozumień.
- Bardzo dobrze, ale powiedz im, niech się trochę pospieszą. - Nie muszę. Już prawie skończyli.
- Są tylko trzy patrole, ale istnieje pewien problem - mówił niemiecki oficer do kapitana Dietza. - Kolejny wyrusza na obchód dopiero po powrocie poprzedniego, a w dodatku zidentyfikowaliśmy dwóch strażników: to patologiczni mordercy, noszący przy sobie cały arsenał.
- Rozumiem. Zorganizowali sobie coś w rodzaju sztafety.
- Otóż to.
- Musimy więc coś zrobić, żeby wywabić wszystkich na zewnątrz.
- Owszem, ale co?
- Proszę to nam zostawić. Na pewno damy sobie radę. - Dietz zwrócił się po angielsku do Lathama i Witkowskiego: - Zatrudniają tu szaleńców, co wcale mnie nie zdziwiło. To "patologiczni mordercy", jak był łaskaw powiedzieć mój kolega. Tacy jak oni nie muszą jeść i pić, ale muszą zabijać. Cóż, nic na to nie poradzimy. Pora ruszać.
- Tym razem idę z wami! - oświadczył stanowczo Drew. I nie chcę słyszeć ani słowa sprzeciwu!
- W porządku, skoro tak panu na tym zależy - odparł kapitan. - Ale musi pan nam coś obiecać.
- Co?
- Że nie będzie pan naśladował Errola Flynna z jego najlepszych filmów. W życiu wygląda to zupełnie inaczej.
- Wyobraź sobie, młodzieńcze, że zdążyłem się o tym parę razy przekonać.
- Proszę wskazać nam drogę - zwrócił się Witkowski do Niemca.
- Dojdziecie wykładaną kamieniami ścieżką do spalonej altany, a potem... Dziesięć sekund później cała czwórka ruszyła we wskazanym kierunku. Dwaj komandosi szli przodem, pułkownik i Drew z tyłu, ten ostatni z włączoną krótkofalówką. Dotarłszy do boiska zaczęli czekać na sygnał. Wkrótce go ujrzeli: trzy błysnięcia w gałęziach sosny, ledwo widoczne w strugach ulewnego deszczu.
- Idziemy! - szepnął Latham. - Droga wolna. Dietz położył mu rękę na ramieniu.
- Najpierw musimy zdjąć patrol.
- Przecież tam jest Karin!
- Kilka sekund nie ma znaczenia. Zaczekajcie tutaj! Kapitan i porucznik przemknęli przez odkryty teren i zniknęli w ciemności. Przez chwilę nic się nie działo, a potem obserwator usadowiony na drzewie nadał kolejny sygnał: dwa błysnięcia. Uwaga, patrol. Załedwie kilka sekund później z głębi lasu dobiegł zduszony jęk, drugi, trzeci... Latarka błysnęła trzy razy: droga wolna. Latham i Witkowski przebiegli przez boisko i pomknęli przed siebie ścieżką, świecąc sobie pod nogi latarkami. Zaraz za ostrym zakrętem ujrzeli dwóch komandosów zmagających się ze strażnikami.
- Pomóż im - polecił Drew, wpatrując się w boczne drzwi oświetlone blaskiem czerwonej żarówki. - Ja zajmę się Karin. - Ale...

- Rób, co ci powiedziałem, Stosh! Chłopcy potrzebują twojej pomocy, a wszystko inne należy do mnie! Latham kilkoma susami dotarł do ściany budynku, po czym ostrożnie podkradł się do ganku. Nagle usłyszał dobiegające z wnętrza krzyki. Karin! Nie zważając na nic rzucił się na drzwi całym ciężarem ciała, wyrwał je z zawiasów i znalazł się we wnętrzu oświetlonym samotną lampą wiszącą nad ołtarzem, na którym stał złoty krucyfik. Na podłodze, rozebrany prawie do naga, leżał jasnowłosy Fuhrer, usiłując obezwładnić krzyczącą i wyrrywającą się rozpaczliwie Karin. Drew nacisnął spust; pocisk utkwił w suficie, a zaskoczony Jager zsunął się z żony na podłogę.

- Wstawaj, nazistowska świnio! - polecił Latham głosem, w którym było słycać zarówno odrazę, jak i śmiertelną nienawiść. - Ty... Ty przecież nie jesteś Harry! - wykrztusił ze zdumieniem Jager, podnosząc się na nogi. Nie mógł oderwać wzroku od twarzy Lathama. - Przypominasz go trochę, ale nim nie jesteś! - Dziwne, że możesz to stwierdzić w tym świetle - odparł Drew, cofając się o krok. - Nic ci nie jest, Karin?

- Nic, jeśli nie liczyć paru siniaków.

- Marzę o tym, żeby go zabić - wycedził Latham i podniósł powoli pistolet. - Biorąc pod uwagę okoliczności, muszę to zrobić. - Nie! - wykrzyknęła kobieta - czuję to samo co ty, ale nie możesz... nie możemy. Pamiętaj o "Wodnej Błyskawicy", Drew. Co prawda on twierdzi, że nie może jej powstrzymać, bo nie zna wszystkich szczegółów, ale ja mu nie wierzę, bo kłamstwo jest jego drugą naturą. - Drew? - Na twarzy Guntera Jagera pojawił się uśmiech pełen ulgi. - Drew Latham, osilkowaty młodszy brat Harry'ego! Jak on o tobie mówił? "Ten mały zabijaka". A więc Hans Traupman jednak się mylił: Harry zginął, tylko że jego miejsce natychmiast zajął Drew. Mein Gott, ścigaliśmy niewłaściwego człowieka. Harry Latham nie żyje, a mimo to wszystko kręci się po staremu. - Co to ma znaczyć? - zapytał Drew. - Pamiętaj, że trzymam palec na spuście, a biorąc pod uwagę nastrój, w jakim się znajduję, naprawdę niewiele trzeba, żebym cię zastrzelił. Powtarzam: co to ma znaczyć?

- Zapytaj doktora Traupmana... Och, zupełnie zapomniałem, że już go nie ma wśród nas! Niestety, nawet policja, łącznie z tą jej częścią, która jest na naszych usługach, nie będzie w stanie prowadzić nasłuchu na wszystkich częstotliwościach ani złamać naszego szyfru. Jak to mówią Anglicy: "Przykro mi, kolego, ale nie mogę ci pomóc." - Wcześniej powiedział, że Harry uczestniczył w jakimś eksperymencie medycznym - wtrąciła się pospiesznie Karin, widząc, że Drew ponownie unosi broń.

- Sorenson i ja doszliśmy do wniosku, że w grę musi wchodzić właśnie coś takiego. Sprawdźmy to, bo przecież ciało Harry'ego nadal leży w kostnicy... Dobra, przystojniaczku: ruszaj do drzwi. - Chyba pozwolisz mi się ubrać? - zaprotestował Jager. Przecież leje jak z cebra!

- Nie wiem, czy mi uwierzysz, ale guzik mnie obchodzi, że możesz nabawić się kataru. Poza tym, skąd mam wiedzieć, co masz w ubraniu, a szczególnie w kołnierzyku koszuli? Będzie lepiej, jeśli weźmie je moja przyjaciółka.

- Twoja przyjaciółka?! - wrzasnął nowy Fuhrer. - Chciałeś chyba powiedzieć: twoja pieprzona dziwka!

- Ty sukinsynu! Latham gwałtownie opuścił rękę, chcąc uderzyć Jagera w głowę rękojęścią pistoletu, lecz nazista niespodziewanie wykonał błyskawiczny unik, zablokował cios lewym ramieniem, a prawą, zaciśniętą w pięść ręką ugodził Lathama w pierś z taką siłą, że ten runął na wznak na podłogę. Jager błyskawicznie wyrwał mu pistolet i strzelił dwa razy, ale chybił, ponieważ Drew przetoczył się w prawo, zaraz potem w lewo, po czym kopnął obiema stopami w prawe kolano Niemca. Jasnowłosy Fuhrer wrzasnął przeraźliwie i jeszcze dwukrotnie nacisnął spust, ale pociski utkwily w ścianach kaplicy. Karin schyliła się po swój pistolet, chwyciła go oburącz i wycelowała w męża.

- Rzuć broń, Frederiku! Rzuć broń albo cię zabiję!

- Nie zrobisz tego! - wykrzyknął Gunter Jager, spleciony w uścisku z Lathamem. Zawisli na krawędzi kwadratowego otworu wypełnionego czarną tonią. - Przecież mnie wielbisz! Wszyscy mnie wielbią i podziwiają! Oswobodził prawą rękę, w której trzymał pistolet, i

skierował go w pierś Lathama. Karin nacisnęła spust. Dwaj komandosi wpadli do kaplicy, a zaraz za nimi nadbiegł zasapany Witkowski. Stanęli jak wryci, spoglądając w milczeniu na scenę oświetloną blaskiem samotnej lampy zawieszanej nad ołtarzem. Przez kilka sekund słychać było tylko łoskot deszczu uderzającego o blaszany dach ganku oraz ciężkie oddechy pięciorga ludzi. - Domyślam się, że nie było innego wyjścia, chłopcze - przemówił wreszcie pułkownik.

- Ja to zrobiłam, nie on! - załkała Karin.

- Ale z mojego powodu. - Latham spojrział na weterana G-2 wzrokiem człowieka, który zdaje sobie sprawę z tego, że poniósł porażkę. - Straciłem nad sobą panowanie, a on to wykorzystał. Niewiele brakowało, żeby zastrzelił mnie z mojego pistoletu. - Chyba żartujesz?

- Chciałem uderzyć go rękojęcią, jak jakiś nieodpowiedzialny szczeniak.

- To wcale nie jego wina, Stanley - zaprotestowała gorąco Karin. - Próbowalabym zastrzelić Frederika, nawet wówczas gdyby okoliczności wyglądały zupełnie inaczej. Chciał mnie zgwałcić i z pewnością zrobiłby to, gdyby nie Drew. Zgwałciłby mnie, a potem zamordował.

- Trzeba będzie wspomnieć o tym w raporcie - zdecydował Witkowski. - Cóż, nie zawsze wszystko układa się po naszej myśli, ale lepiej że twoja wyprawa skończyła się właśnie w taki sposób, bo szczerze mówiąc nie miałbym najmniejszej ochoty uczestniczyć w pogrzebie oficera Lathama. Dowiedziałas się przynajmniej czegoś? - Przede wszystkim tego, w jaki sposób stał się tym, kim był ostatnio, jak zawarł układ ze Stasi, uzyskał nową tożsamość, został odkryty przez Hansa Traupmana... Jeśli chodzi o "Wodną Błyskawicę", to twierdził, że nikt nie jest w stanie jej zatrzymać, ponieważ nikt, jego nie wyłączając, nie zna wszystkich szczegółów technicznych ani nazwisk ludzi pracujących przy ich opracowywaniu. Naturalnie to wcale nie musi być prawda, ponieważ zawsze był znakomitym kłamcą.

- Niech to szlag trafi! - ryknął Drew. - Ależ ze mnie głupiec! - Bo ja wiem... Nie wydaje mi się, żebym postąpił inaczej na twoim miejscu. Dobra, bierzmy się do roboty; trzeba przetrząsnąć tę budę, to może uda nam się znaleźć coś interesującego.

- A co z naszymi niemieckimi przyjaciółmi? - zapytał Christian Dietz. - Chyba mogliby nam pomóc?

- Nie wydaje mi się, kapitanie - odparła Karin. - Z tego, co mówił Frederik, wynikało jasno, że część policji jest na usługach neonazistów. Najwidoczniej udało im się przeniknąć nie tylko do Bundestagu. Sądzę, że powinniśmy zrobić to sami.

- Wobec tego czeka nas długa noc - stwierdził Anthony. Lepiej weźmy się już do pracy.

- Co zrobiliście ze strażnikami? - zainteresował się Drew. - Są związani i smacznie śpią - poinformował go Dietz.

Od czasu do czasu trzeba sprawdzić, co porabiają, a kiedy tu skończymy, przekażemy ich, komu pan zechce.

- My skoncentrujemy się na części mieszkalnej, wy dwaj zajmiecie się resztą domu - zdecydował Witkowski. - Mamy do przeszukania trzy pokoje, łazienkę, gabinet, sypialnię i tę nie bardzo świętą świątynię.

- Czego szukamy, pułkowniku?

- Wszystkiego co może mieć jakikolwiek związek z "Wodną Błyskawicą", wszelkich adresów, numerów telefonów i nazwisk. Aha, niech ktoś weźmie prześcieradło albo coś w tym rodzaju i przykryje zwłoki. Pracowali nadzwyczaj sumiennie, niczego nie pozostawiając przypadkowi. Kiedy niebo nad wschodnim brzegiem Renu zaczęło szarzeć, w kaplicy stało już kilka kartonowych pudeł wypełnionych różnymi materiałami, w większości z pewnością bezwartościowymi, ale i tak wszystkie musiały trafić w ręce ekspertów dysponujących wiedzą znacznie rozleglejszą od tej, do jakiej mogli się odwołać członkowie oddziału N-2 - może z wyjątkiem Karin de Vries.

- Flugzeug... gebaut... I to wszystko, reszta została oddarta powiedziała, wpatrując się w skrawek papieru pokryty odręcznym pismem jej męża. - "Samolot zbudowany"... może gdzie albo przez kogo?

- Czy to ma jakiś związek z "Wodną Błyskawicą"? - zapytał Witkowski, oklejając kartony samoprzylepną taśmą.
- Raczej nie, a jeśli nawet, to tylko pośredni.
- Wobec tego czemu ślęczysz nad tym świstkiem?
- Ponieważ widzę, że pisał te słowa niezwykle wzburzony lub podniecony. Bardzo łatwo to poznać, szczególnie po kącie nachylenia takich liter jak "l" albo "k". Kiedy pisał coś spokojnie, wyglądały zupełnie inaczej.
- Jeśli myślisz o tym samym co ja, to z przykrością muszę stwierdzić, że oboje tylko tracimy czas - odezwał się Drew znad kwadratowej dziury w podłodze. - Sorenson, który trochę zna się na sprawach związanych z ochroną zbiorników wody pitnej, wykluczył możliwość użycia samolotów.
- Całkiem słusznie - potwierdził pułkownik. - Choćby ze względu na liczbę potrzebnych maszyn oraz na wysokość, z jakiej musiałby zostać zrzucony ładunek. Taka operacja zakończyłaby się całkowitą klęską.
- Wes wspomniał, że służby rządowe całkiem poważnie liczą się z możliwością przeprowadzenia sabotażowego ataku na zbiorniki wody i wodociągi. Szczerze mówiąc, mnie nie przyszłoby to do głowy. - Zapewne dlatego, że coś takiego zdarza się bardzo rzadko, a jeśli już, to tylko podczas działań wojennych prowadzonych na pustyni, gdzie woda jest cenniejsza od amunicji i paliwa. To bardzo groźna broń, i do tego obosieczna: zwycięzca musi się liczyć z tym, że po zajęciu nowych terenów będzie musiał korzystać ze znajdujących się tam zapasów wody. Poza tym, trudności logistyczne wydają się nie do pokonania.
- A jednak oni znaleźli jakiś sposób, Stanley. Jestem tego pewien.
- Czy możemy jeszcze cokolwiek zrobić? - zapytała Karin. Zostało niespełna dwadzieścia godzin.
- Wyślijcie te pudła do Londynu. Niech zatrudnią wszystkich analityków z MI5, MI6 i Secret Service, jakich uda im się znaleźć. - Przesyłka będzie na miejscu za czterdzieści pięć minut oświadczył Witkowski, wyjmując z kieszeni przenośny telefon. - Muszę jak najprędzej wrócić do Paryża i spotkać się z ludźmi odpowiedzialnymi za bezpieczeństwo systemu wodociągowego miasta, czy jak tam się to nazywa.
- A może od razu wylądować w pobliżu głównego zbiornika? - zaproponowała Karin. - Claude z pewnością wszystko zorganizuje.
- Jeśli przeżyje spotkanie ze mną! - warknął Drew. - Przez niego mogłaś zginąć! Pozwolił ci tutaj przyjść nie pytając nas o zdanie!
- Zrobił to, ponieważ go błagałam.
- Rzeczywiście, było o co! - parsknął z wściekłością Latham. Niewiele brakowało, żebyś została zgwałcona, a potem zabita, natomiast biedaczysko Gunter Jager, potężny Gunter Jager leży z rozwaloną czaszką i już nic nam nie powie.
- Tego rzeczywiście nigdy sobie nie wybaczę. Nie żałuję, że go zabiłam, bo gdybym tego nie zrobiła, on zastrzeliłby ciebie, a potem mnie, ale jestem na siebie wściekła, bo to wszystko istotnie moja wina.
- Co ty sobie właściwie wyobrażałaś? Że na twój widok rozczuli się i wszystko wyśpiewa?
- Coś w tym rodzaju, albo nawet więcej. Harry na pewno by zrozumiał.
- Więc postaraj się, żebym ja też zrozumiał!
- Frederik, mimo wszystkich swoich wad, miał jedną niezaprzeczną zaletę: był silnie związany z rodzicami i dziadkami. Jak większość ludzi, którzy stracili matkę i ojca w młodym wieku, zachował o nich wyłącznie najlepsze wspomnienia. Właśnie do nich chciałam dotrzeć i wydobyć je na wierzch. Liczyłam na to, że wówczas jego pancierz zmięknie... przynajmniej na pewien czas. - Ona ma rację, chłopcze - stwierdził pułkownik, chowając telefon do kieszeni. - W opinii psychiatrów, którzy oglądali kasetę, miał szalenie niestabilną osobowość, co znaczyło mniej więcej tyle, że pod wpływem silnego bodźca mógł wahać się w dowolną stronę. Karin dowiodła ogromnej odwagi, próbując do tego doprowadzić; nie udało jej się, ale to zupełnie inna sprawa. W naszym paskudnym zawodzie ryzyko trzeba podejmować niemal każdego

dnia, ale nie należy liczyć na wdzięczność ani nagrody. - Mówisz o tym, co było kiedyś, Stosh. Dzisiaj jest inaczej. - Pozwolę sobie przypomnieć ci, że dopiero "dzisiaj", jak byłeś laskaw to określić, sprawdziły się nasze najgorsze przewidywania. Gdyby było inaczej, nie stalibyśmy tutaj, nad brzegiem Renu. - W porządku, Stanley, masz rację. Chodzi mi tylko o to, że chciałbym mieć większą kontrolę nad moimi ludźmi. Czy za wiele wymagam?

- Chyba nie... W Paryżu wszystko załatwione. Moreau od razu zadzwonił do swoich przyjaciół w Bonn. Na lotnisku czekają dwa małe odrzutowce: jeden poleci do Londynu, drugi do Francji, miejsce lądowania jeszcze nie ustalone. Otworzyły się drzwi wiodące w głąb domu i do kaplicy weszli kapitan Dietz oraz porucznik Anthony.

- Zostały tylko doniczki, garnki i meble - oznajmił kapitan. Wszystkie papiery, jakie były w domu, są już w tych kartonach. - Co teraz, wodzu? - zapytał porucznik. Latham odwrócił się do Witkowskiego.

- Wiem, że nie będziesz tym zachwycony, ale chcę posłać cię do Londynu z tymi paczkami. One są w tej chwili najważniejsze, a nikt lepiej od ciebie nie dopilnuje, żeby poświęcono im należną uwagę. Ty na pewno narobisz tam tyle zamieszania, że nasi angielscy przyjaciele będą pracować bez zmrużenia oka. Karin i te dwa Szczury Pustyni polecą ze mną do Francji.

- Rzeczywiście, wcale nie jestem zachwycony, chłopcze, ale twojemu rozumowaniu nie sposób niczego zarzucić. Będę jednak potrzebował pomocy. Może o tym nie wiesz, ale jeszcze nie należę do Kolegium Szeferów Sztabów. Ktoś musi mnie poprzeć, i to mocno. - Proszę bardzo, wybieraj: Sorenson z Wydziału Operacji Konsularnych, Talbot z CIA czy prezydent Stanów Zjednoczonych? - Chyba zdecyduję się na tego ostatniego. Naprawdę możesz to załatwić?

- Ja nie, Sorenson owszem. Wezwij samochód. Ma tu być za pięć minut.

- Będzie dużo wcześniej, bo czeka za zakrętem. Dalej, chłopcy: każdy bierze jedno pudło. Kiedy dwaj komandosi schylili się, by podnieść z podłogi oklejone taśmą paczki, porucznik Gerald Anthony dostrzegł w cieniu ołtarza zmięty kawałek papieru. Rozwinął go i choć było na nim zaledwie kilka słów skreślonych po niemiecku, schował do kieszeni. Kabinę pasażerską małego odrzutowca lecącego do Londynu wypełniał przytłumiony huk silników. Maszyna szybko zbliżała się do brzegów Anglii. Od chwili startu Witkowski niemal bez przerwy rozmawiał przez telefon: najpierw z Wesleyem Sorensonem, potem z Knoxem Talbotem, następnie z Claude'em Moreau z Deuxieme, a wreszcie, ku swemu zdumieniu, z prezydentem Stanów Zjednoczonych.

- Kierujecie londyńską częścią operacji, pułkownik Witkowski - poinformował go człowiek urzędujący w Owalnym Gabinetcie. - Premier Wielkiej Brytanii nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń. Wszyscy wiedzą już, że mają słuchać was jak Pana Boga.

- Dziękuję, panie prezydencie. Bardzo mi na tym zależało, bo czułbym się trochę głupio wydając rozkazy generałom i wysokim urzędnikom, oni zaś byliby po prostu wściekli.

- Teraz kiedy wiedzą, o co chodzi, będą co najwyżej wdzięczni. Aha, przy okazji: może pan dzwonić do mnie o każdej porze dnia i nocy. Centrala Białego Domu już wie, że ma łączyć pana poza wszelką kolejnością. Byłbym wdzięczny, gdyby informował mnie pan o postępie prac... powiedzmy co godzinę, jeśli to możliwe. - Spróbuję, panie prezydencie.

- Cóż, życzę powodzenia. Życie setek tysięcy niewinnych, niczego nieświadomych ludzi zależy od tego, czy właściwie wykorzysta pan kilkanaście najbliższych godzin.

- Zdaję sobie z tego sprawę, panie prezydencie. Czy nie sądzi pan jednak, że należałoby ich ostrzec?

- I wywołać panikę na ulicach, zablokować autostrady, zdezorganizować transport publiczny? Jeśli ogłosimy komunikat o zatruciu wody, ile minie czasu, zanim jakiś żartowniś wpadnie na pomysł, żeby rozpuścić plotki o obecności zabójczych mikroorganizmów w klimatyzacji albo wręcz o początku wojny bakteriologicznej? - Nie pomyślałem o tym.

- Do tego może pan dodać kradzieże, napady i rozboje, a także wezbraną falę nienawiści skierowaną przeciwko mniejszościom etnicznym, wyznaniowym oraz obyczajowym... Nasi eksperci utrzymują, że nikt niepowołany nie zdoła zbliżyć się do zbiornika. Ich zdaniem "Wodna Błyskawica" jest z góry skazana na klęskę. - Oby mieli rację, panie prezydencie.

- Oby, pułkowniku. Dwadzieścia minut po starcie odrzutowca z lotniska w Bonn do Lathama zadzwonił Claude Moreau.
- Proszę, nie trać czasu na obsypywanie mnie wyzwiskami. Później omówimy całą sprawę i przedyskutujemy moją decyzję. - Masz to jak w banku. A tymczasem co załatwiłeś?
- Wylądujecie na prywatnym lotnisku w rejonie Beauvais, dwadzieścia kilometrów od głównego zbiornika zaopatrującego Paryż w wodę. Będzie tam na was czekał mój zastępca Jacques Bergeron. Przypuszczam, że go pamiętasz?
- Pamiętam. Co dalej?
- Zawiezie was do wieży ciśnień i przedstawi oficerowi dowodzącemu ochroną zbiornika, który odpowie na wszystkie wasze pytania oraz poinformuje o zastosowanych środkach ostrożności. - Problem polega na tym, że ja wiem o tych sprawach tylko tyle, ile powiedział mi Sorenson, a co później potwierdził Witkowski! - Cóż, przynajmniej możesz powiedzieć, że uczyłeś się u wysokiej klasy specjalistów.
- Jakich znowu specjalistów?! Przecież żaden z nich nie jest nawet inżynierem!
- Jeśli chodzi o ochronę przed sabotażem, każdy z nas jest nie tylko inżynierem, ale także ekspertem.
- Wobec tego, jakie t y przedsięwziąłeś kroki?
- Wysłałem w teren całą armię agentów, żołnierzy i policjantów, którzy przeszukują okolicę w promieniu piętnastu kilometrów od zbiornika. Co prawda nie bardzo wiemy, czego powinni szukać, ale niektórzy z naszych analityków sugerowali istnienie wyrzutni pocisków raketowych.
- To istotnie nie najgorszy pomysł...
- Inni twierdzą, że zupełnie pozbawiony sensu - przerwał Lathamowi dyrektor Deuxieme. - Ich zdaniem do przeniesienia tak wielkiego ładunku trzeba by kilkudziesięciu dużych rakiet, a to oznacza setki ton sprzętu oraz tyle energii elektrycznej, ile zużywa małe miasteczko. Poza tym, takiego przedsięwzięcia nie dałoby się ukryć przed rekonesansem z powietrza, a my dokładnie obfotografowaliśmy z samolotów i satelitów każdy metr kwadratowy powierzchni.
- Co z podziemnymi wyrzutniami?
- Braliśmy to pod uwagę, ale nikt z okolicznych mieszkańców nie zaobserwował żadnych zakrojonych na większą skalę prac budowlanych. Wyobrażasz sobie, ile betonu zużywa się na jeden silos? Albo jak potężne linie przesyłowe trzeba doprowadzić od najbliższej elektrowni?
- Widzę, że nie marnowałeś czasu.
- Niestety, bez efektów, mon amL Wiem, że twoim zdaniem tym świniom jednak udało się znaleźć jakiś sposób, i całkowicie się z tobą zgadzam. Szczerze mówiąc, właśnie dlatego uległem prośbom Karin... Ale na razie nie wracajmy do tej sprawy. Mam niedobre przeczucie, że przeoczyliśmy coś oczywistego, a zarazem niezmiernie ważnego, lecz chwilowo doprawdy nie wiem, co by to mogło być. - Może przenośna wyrzutnia niewielkich pocisków raketowych, obsługiwana przez jednego człowieka?
- Ten pomysł rozpatrywaliśmy na samym początku. Z obliczeń wynika, że takich pocisków, a więc i wyrzutni, musiałoby być kilkaset, a w lasach dookoła zbiornika nie przejdiesz dwudziestu kroków, żeby nie natknąć się na któregoś z naszych żołnierzy. Nawet jeden obcy człowiek, nie wspominając o kilkudziesięciu czy kilkuset, zostałby natychmiast aresztowany.
- Może więc mamy do czynienia ze zwykłą mistyfikacją?
- Kto miałby paść jej ofiarą? Przecież obaj oglądaliśmy tę kasetę. Fuhrer Gunter Jager nie do nas przemawiał, nie nas starał się zastraszyć; jego publiczność składała się z najzamożniejszych ludzi w Europie, a także spoza niej. Nie, mon ami, on wierzył, że może osiągnąć zamierzony cel, i dlatego my też musimy tak myśleć. Może chłopcy z Londynu wpadną na jakiś pomysł... Daj Boże, żeby tak było. Aha, bardzo słusznie postąpiłeś wysyłając do nich te materiały.
- Trochę się dziwię, że tak uważasz.
- Nie powinieneś. Po pierwsze, są naprawdę znakomitymi fachowcami, a po drugie, podczas ostatniej wojny Wyspy nie dostały się pod niemiecką okupację. Zapewniam cię, że choć

większości ludzi, którzy teraz analizują te dokumenty, nie było wtedy na świecie, to jednak taka rzecz jak okupacja pozostawia pewien ślad na świadomości narodowej. Francuzi mogliby być nieobiektywni.

- To bardzo niezwykle wyznanie.

- Z mojego punktu widzenia po prostu najzwyczajsza prawda. Wylądowali w Beauvais o 6.47 rano, na lotnisku zalanym jaskrawym blaskiem wiszącego nisko na niebie słońca. W niewielkim budynku prywatnego lotniska czekały na nich czyste, suche ubrania. Mężczyźni przebrali się błyskawicznie, Karin zajęło to nieco więcej czasu. Kiedy w bladoniebieskim wojskowym kombinezonie, wreszcie wyszła z damskiej toalety, Drew pokręcił głową i powiedział: - Wyglądasz aż za dobrze. Upnij jakoś włosy i schowaj je pod beret.

- Będzie mi niewygodnie.

- Jeszcze bardziej niewygodnie będzie ci z kulką w głowie. Z tymi włosami za bardzo rzucasz się w oczy... W porządku, ruszamy. Zostało nam niewiele ponad siedemnaście godzin. Kiedy dotrzemy na miejsce, Jacques?

- Za jakieś dziesięć minut, bo to tylko niecałe dwadzieścia kilometrów stąd - odparł agent Deuxieme, prowadząc ich do samochodu czekającego na parkingu przed budynkiem. - Naszym kierowcą jest Francois. Chyba go pamiętasz, prawda?

- Ten z wesołego miasteczka? Z żoną i dwiema córeczkami, którym kazał wracać do domu?

- Ten sam.

- Szczególnie dobrze zapamiętał go mój układ krążenia. Wątpię, czy kiedykolwiek w życiu miałem tak wysokie ciśnienie jak wtedy, kiedy pędził po chodnikach, a ludzie uskakiwali na boki jak kury do rowu!

- Istotnie, całkiem nieźle prowadzi samochód.

- Zazwyczaj tacy jak on są nazywani wariatami za kierownicą. - Szef przysłał kilkaset zdjęć lotniczych okolicy, żebyś im się przyjrzał. Może zwrócisz uwagę na coś, co umknęło naszej uwadze. - Wątpię. Co prawda podczas studiów zrobiłem uprawnienia pilota i nawet przelatałem samodzielnie około trzydziestu godzin, ale bez radia nigdy nie odnalazłbym drogi powrotnej na lotnisko. Dla mnie z góry wszystko wygląda tak samo.

- Znam ten ból. Ja latałem aż dwa lata i miałem podobne problemy.

- Naprawdę byłeś pilotem?

- Naprawdę. Niestety, okazało się, że rozminąłem się z powołaniem, więc złożyłem rezygnację i zacząłem uczyć się języków. Wkrótce potem otrzymałem propozycję z Deuxieme; wygląda na to, że czar byłych pilotów władających biegle kilkoma obcymi językami wciąż jeszcze działa. Okazało się, że samochód, który po nich przysłano, to ta sama nie rzucająca się w oczy limuzyna wyposażona w silnik wyścigowego bolidu, z którą Latham zawarł bliższą znajomość na ulicach Paryża. Francois serdecznie przywitał swego amerykańskiego podopiecznego.

- Czy córeczki wybaczyły ci tamtą historię? - zapytał Drew. - Niestety nie. Co gorsza, wesołe miasteczko zostało zamknięte, a one uważają, że to moja wina!

- Miejmy nadzieję, że szybko znajdzie się nowy właściciel, który rozkręci interes. Jedźmy, przyjacielu. Nie ma czasu do stracenia. Samochód ruszył z piskiem opon i w krótkim czasie rozwinął taką prędkość, jakby zamierzał wzbic się w powietrze - w każdym razie, sądząc po minach dwóch komandosów i Karin, właśnie takie podejrzenie zaświtało im w głowach. Po każdym zakręcie, który Francois pokonywał z przeraźliwym piskiem opon i pedałem gazu wciśniętym do oporu w podłogę, twarze weteranów operacji "Pustynna Burza" robiły się coraz bardziej popielate.

- Co ten szalenięc wyczynia? - wykrztusił kapitan Dietz, obserwując z przerażeniem wskazówkę prędkościomierza oscylującą wokół stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. - Jeśli ma zamiar popełnić samobójstwo, to bardzo proszę, ale beze mnie!

- Nie ma obaw! - wrzasnął Drew, usiłując przekrzyknąć ryk silnika. - Francois najpierw był kierowcą wyścigowym, a dopiero później zaczął pracować w Deuxieme!

- Powinien codziennie dostawać dziesięć wezwań przed kolegium! - wycharczał porucznik Anthony. - To wariat!

- Jest świetny! - wykrzyknął z zachwytem Latham. - Patrzcie!
- Może lepiej nie... - wyszeptala Karin zbielelými wargami. Wreszcie, po niespełna ośmiu minutach szaleńczej jazdy, samochód zatrzymał się z szurgotem na wysypanym żwirze parkingu przed ogromną budowlą z cegieł; była to wieża ciśnień, do której tłoczono wodę ze zbiornika Beauvais. Oddział N-2 lekko zataczając się wysiadł z limuzyny i natychmiast został otoczony przez kilkunastu żołnierzy z bronią gotową do strzału.
- Spokojnie! - zawołał Jacques Bergeron. - Jesteśmy z Deuxieme! Oto moja legitymacja. Dowodzący żołnierzami oficer uważnie obejrzał plastikowy identyfikator.
- Spodziewaliśmy się pana, ale nikt nas nie uprzedził, że nie będzie pan sam - powiedział po francusku.
- To moi goście. Nic więcej nie musicie wiedzieć.
- Oczywiście.
- Proszę zawiadomić swego przełożonego, że przywiozłem oddział N-2 i że zaraz u niego będziemy.
- Tak jest. - Oficer odpiął od paska krótkofalówkę, zbliżył ją do ust i zameldował o przybyciu gości. - Możecie iść - oznajmił po chwili. - General czeka na was. Prosi, żeby się pospieszyć. - Dziękujemy. Jacques, Latham, Karin oraz dwaj komandosi przeszli przed szpalerem żołnierzy do drzwi budowli. W środku przystanęli, zaskoczeni widokiem, jaki ukazał się ich oczom. Wnętrze, pozbawione jakichkolwiek ozdób, mroczne i wilgotne, kojarzyło się raczej z jakimś bardzo starym zamczyskiem niż budynkiem mieszczącym urządzenia techniczne. Ceglane ściany piły się wysoko w górę, pośrodku zaś znajdowała się otwarta przestrzeń sięgająca aż do odległego sufitu, okolona spiralnymi schodami.
- Chodźmy - powiedział po angielsku Jacques Bergeron. Winda jest w głębi po prawej stronie. Oddział podążył za Francuzem.
- To musiało zostać zbudowane co najmniej trzysta lat temu zauważył porucznik Anthony.
- Z windą? - zapytał z przekąsem Dietz.
- Tę zainstalowano znacznie później - wyjaśnił Bergeron. Pański kolega ma rację. Ta wieża ciśnień oraz sieć prymitywnych, ale wciąż jeszcze działających wodociągów zostały zbudowane na początku siedemnastego wieku przez miejscowych wielmożów, którzy chcieli w ten sposób zapewnić stałe dostawy wody na swoje pola i do ogrodów. Winda okazała się obszerną platformą, bardzo podobną do tych, jakie w niektórych magazynach przewożą ciężkie towary z piętra na piętro. Po długiej podróży, trzeszcząc, skrzypiąc i pojękując dowiozła oddział N-2 na najwyższą kondygnację. Jacques miał wyraźne kłopoty z odsunięciem metalowej kraty, więc kapitan Dietz pospieszył mu z pomocą. W korytarzu czekał już na nich wysoki, barczysty mężczyzna w generalskim mundurze; zamienił kilka słów z Bergeronem, który zmarszczył brwi, skinął głową i szybkim krokiem podążył za francuskim generałem.
- Co on powiedział? - zapytał Drew Karin, wysiadając z windy. - Mówił strasznie szybko, ale chyba usłyszałem coś jakby "okropna wiadomość".
- Zgadza się - odparła de Vries. - General powiedział, że ma do przekazania okropną wiadomość i że musi porozmawiać z Bergeronem na osobności. Nagle w pogrążonym w półmroku korytarzu rozległ się rozpaczliwy okrzyk:
- Mon Dieu, non! Pas vrai! Cała czwórka w okamgnieniu znalazła się obok agenta Deuxieme.
- Co się stało? - zapytała Karin. Bergeron oparł się plecami o ścianę. Po jego wykrzywionej bolesnym grymasem twarzy płynęły łzy.
- Claude... Dwadzieścia minut temu został zastrzelony w podziemnym garażu pod siedzibą Deuxieme!
- Mój Boże! - wykrzyknęła Karin, po czym niewiele myśląc objęła łkającego mężczyznę.
- Jak to możliwe?! - ryknął Latham. - Przecież to chyba najlepiej strzeżone miejsce we Francji!
- Naziści.... wyszeptał Bergeron przez ściśnięte gardło. Oni są wszędzie.

* * *

ROZDZIAŁ 40

Z dużego prostokątnego okna roztaczał się widok na cały zbiornik Beauvais. Biuro, w którym teraz znajdowała się siedziba sztabu, na co dzień służyło dyrektorowi kompleksu oraz jego najbliższym współpracownikom; wprawdzie na okres trwania operacji zostali poproszeni o przeniesienie się do innych pomieszczeń, to jednak generał zachował się bardzo elegancko, gdyż zaprosił cywilnego gospodarza do współpracy oraz kategorycznie odmówił zajęcia jego biurka. Generał rozłożył na ogromnym stole szczegółową mapę terenu oraz mnóstwo najświeższych zdjęć lotniczych i omawiał teraz przedsięwzięte środki ostrożności, wskazując linią stanowiska obronne oraz umocnienia. Zdawał sobie jednak sprawę, że słuchacze nie poświęcają mu całej uwagi, gdyż co chwila zerkają w kierunku Bergerona, od ponad kwadransa rozmawiającego przez telefon z Paryżem. Wreszcie oficer Deuxieme odłożył słuchawkę, wstał zza biurka i dołączył do zebranych przy stole.

- Sprawa wygląda jeszcze gorzej, niż myślałem - powiedział, odetchnąwszy najpierw głęboko dla uspokojenia skołatanych nerwów. - Może to, co powiem, zabrzmi okrutnie, ale chyba lepiej się stało, że Claude zginął na miejscu, bo gdyby przeżył zamach i wrócił do domu, znalazłby tam zwłoki żony.

- Niech to szlag trafi! - ryknął Drew, po czym zniżył głos do zduszonego, przesyconego nienawiścią szeptu: - Nie może być litości dla tych drani! Każdy, którego dopadniemy, jest już trupem! - Jest coś jeszcze. W kontekście tej tragedii uważam to za pozbawione wszelkiego znaczenia, ponieważ Claude był moim przyjacielem i nauczycielem, ale takie są fakty: prezydent Francji mianował mnie tymczasowym dyrektorem Deuxieme i polecił natychmiast wracać do Paryża.

- Wszyscy doskonale wiemy, że nie chciałeś, by stało się to w ten sposób, ale przyjmij nasze szczerze gratulacje - powiedział Latham. - Nie wybrano by cię, gdybyś nie był najlepszy. Nie zmarnowałeś szansy, jaką miałeś pracując u boku Claude'a. - Niewiele mnie to obchodzi. Bez względu na to, co się zdarzy w ciągu najbliższych szesnastu godzin, mam zamiar złożyć rezygnację i poszukać sobie innej pracy.

- Dlaczego? - zapytała Karin. - Gdybyś tylko zechciał, bez trudu dostałbyś na stałe tę posadę. Jesteś najlepszym kandydatem, jakiego można sobie wyobrazić!

- Jesteś bardzo miła, ale ja znam siebie trochę lepiej. Należę do ludzi, którzy znakomicie współpracują z wybitnymi przywódcami, ale sami nigdy nimi nie będą. Trzeba zdawać sobie sprawę z własnych możliwości i ograniczeń.

- Jestem wstrząśnięty tym, co się stało, ale czas nagli - stwierdził Drew. - Musimy brać się do pracy. Ty jesteś winien to Claude'owi, ja mojemu bratu Harry'emu. Proszę zacząć jeszcze raz, generale - zwrócił się do postawnego mężczyzny w mundurze. Nie słuchaliśmy pana zbyt uważnie.

- Muszę wracać do Paryża - powtórzył Bergeron. - Wcale nie mam ochoty, ale taki otrzymałem rozkaz od prezydenta, a rozkaz to rzecz święta.

- Wiemy o tym, Jacques - odparła Karin ze współczuciem. Zrobimy wszystko co w naszej mocy.

- Jasne. Jedź spokojnie do Paryża i utrzymuj stałą łączność z Londynem i Paryżem. - Latham spojrział Francuzowi w oczy. Informuj nas na bieżąco o wszelkich postępach.

- Au revoir, mes amis. Nowy dyrektor Deuxieme odwrócił się i ze spuszczoną głową wyszedł z pokoju. - W pomieszczeniu zapadła cisza. Przerwał ją Drew, który odchrząknął i odwrócił się do stołu.

- Na czym skończyliśmy, generale?

- Oto pozycje oddziałów piechoty, które rozmieściłem w okolicy - powiedział stary żołnierz, wskazując punkty zaznaczone na mapie. - Dysponuję bogatym doświadczeniem, wyniesionym między innymi z Azji PołudniowoWschodniej, gdzie partyzanci nieprzyjaciela wielokrotnie usiłowali przeniknąć w poblize podobnych instalacji, i jestem całkowicie pewien, że

wykorzystaliśmy wszystkie dostępne środki. W położonej trzydziści kilometrów stąd bazie lotniczej czeka eskadra w pełni uzbrojonych myśliwców, gotowych wystartować w ciągu dziewięćdziesięciu sekund od chwili otrzymania wezwania. Okoliczne lasy i drogi patroluje tysiąc dwustu żołnierzy podzielonych na niewielkie oddziały dysponujące stałą łącznością radiową oraz wyposażone w dwadzieścia przenośnych wyrzutni samonaprowadzających się pocisków przeciwlotniczych. Siedemnaście zespołów saperskich pracuje non stop od kilku godzin, szukając ukrytych bomb i zapalników. Po jeziorze krąży łódź patrolowa z małym laboratorium chemicznym na pokładzie, gdzie wykonuje się analizy próbek wody pobranych w pobliżu ujść. W razie wykrycia substancji toksycznych pompy zostaną natychmiast zatrzymane, a do miasta popłynie woda z rezerwowych zbiorników położonych daleko stąd.

- Ile minie czasu, nim uda się uruchomić tamte wodociągi? spytał Drew.

- Według dyrektora, który niebawem powinien do nas dołączyć, nigdy nie trwało to dłużej niż cztery godziny i siedem minut, a i to wyłącznie ze względu na niespodziewaną awarię urządzeń. Problem polega nie na czasie, lecz na drastycznym obniżeniu ciśnienia wody oraz na raptownym zwiększeniu poziomu zanieczyszczeń pochodzących głównie z nie używanych rur.

- Co to za zanieczyszczenia? - spytała Karin.

- Och, nie poważnego: osady, muł, rdza i temu podobne. U kogoś, kto napije się nie przegotowanej wody, mogą spowodować biegunkę, ale nie ma mowy o zagrożeniu życia. Prawdziwe niebezpieczeństwo wiąże się z niskim ciśnieniem w sieci, bo wtedy nie będzie czym gasić pożarów.

- A więc niebezpieczeństwo zagraża nam co najmniej z dwóch stron - zauważyła Karin. - Nawet jeśli operacja "Wodna Błyskawica" nie odniesie zamierzonego skutku, to Paryż i tak będzie mógł paść łupem ognia. Jeśli dobrze pamiętam, to ostatni rozkaz Hitlera, jaki dotarł do uciekających niemieckich generałów, brzmiał właśnie: "Spalić Paryż!"

- To prawda, madame. Pozwoli pani jednak, że teraz ją zapytam, a potem powtórzę to pytanie, kiedy dokonamy lustracji naszych oddziałów: czy naprawdę wierzy pani w powodzenie "Wodnej Błyskawicy"?

- Nie chcę, ale muszę w to wierzyć, generale.

- A co z Londynem i Waszyngtonem? - zapytał Latham. Moreau powiedział mi, że utrzymujecie z nimi stały kontakt.

- Widzi pan tego łysego oficera przy czerwonym telefonie? Stary generał wskazał w przeciwległy kąt pokoju, gdzie major o czaszce świecącej jak kula bilardowa siedział przy biurku ze słuchawką przyciśniętą do ucha. - To nie tylko mój najbardziej zaufany adiutant, ale także syn. Biedaczysko, odziedziczył słabe włosy po matce.

- Syn? - zdziwił się Drew.

- Oui, monsieur Latham - odparł generał z uśmiechem. Kiedy na Quai d'Orsay rozgościli się socjaliści, wielu z nas, zawodowych wojskowych, ze strachu przed nimi uciekło w objęcia nepotyzmu, ale w końcu przekonał się, że nie są nawet tacy najgorsi.

- Jakież to francuskie - zauważyła Karin.

- Ma pani całkowitą rację, madame. La familie est eternelle. Na szczęście mój syn okazał się wyśmienitym oficerem, co, jak przypuszczam, zawdzięcza moim genom. Właśnie rozmawia albo z Londynem, albo z Waszyngtonem. Połączenie trwa bez chwili przerwy - wystarczy nacisnąć guzik, żeby wybrać stolicę. Major akurat odłożył słuchawkę.

- Jest coś nowego? - zapytał generał.

- Non, mon general - odparł łysy oficer, odwracając się w kierunku ojca. - Byłbym ci niezmiernie wdzięczny, gdybyś przestał zadawać wciąż to samo pytanie. Na pewno dam ci znać, gdyby poinformowano mnie o czymś, co może mieć dla nas jakiegokolwiek znaczenie.

- Jest też beczelny - dodał generał przyciszonym tonem. To także wpływ matki.

- Latham - przedstawił się Drew majorowi.

- Wiem, proszę pana. Ja nazywam się Gaston. - Major podszedł do stołu i uściśnął ręce wszystkim członkom oddziału N-2. - Zapewniam was, że generał podjął wszelkie możliwe

środki ostrożności oraz że jest najlepszym specjalistą od ochrony ważnych obiektów inżynierskich w całej francuskiej armii. Brał udział w tylu operacjach wojennych, że trudno by je wszystkie zliczyć. Zabezpieczenia wydają mi się tym trudniejsze do sforsowania, że uzupełniliśmy je najnowszymi osiągnięciami techniki, o jakich nikomu nie marzyło się w dawnych czasach.

- Na przykład jakimi? - zapytał Drew.

- Czujniki podczerwieni, czujniki naciskowe na drogach, uruchamiające rozpylacze z gazem paraliżującym, parasol radarowy obejmujący przestrzeń powietrzną w promieniu dwustu kilometrów, sprzężony z systemem przeciwlotniczym...

- Coś takiego jak rakiety Patriot podczas "Pustynnej Burzy" - przerwał majorowi kapitan Dietz.

- Oby tylko działały lepiej od tamtych - mruknął pod nosem Anthony.

- Właśnie! - potwierdził francuski oficer, do którego uszu nie dotarła uwaga porucznika. Karin nie dawała jednak za wygraną.

- A co z samym zbiornikiem?

- Nurkowie przeszukali każdy zakamarek dna, ale nie znaleźli żadnych beczek z substancjami trującymi, które mogłyby zostać zdetonowane za pomocą zdalnie odpalanych ładunków wybuchowych. Niczego takiego nie było, bo nie mogłoby być: kto i kiedy miałby niepostrzeżenie zatopić tak wielki ładunek, zainstalować ładunki wybuchowe, przeciągnąć kable?

- Tak, to istotnie niemożliwe. Szukam dziury w całym, bo wy z pewnością już o wszystkim pomyśleliście.

- To wcale nie jest takie pewne - odparł stary generał. Jesteście doświadczonymi funkcjonariuszami wywiadu, a w dodatku dysponujecie nad nami tą przewagą, że znacie przeciwnika, bo mieliście z nim wcześniej do czynienia. Dawno temu, jeszcze przed Dien Bien Phu, pewien szpieg, który z zawodu był buchalterem, ostrzegł mnie, że jego zdaniem partyzanci dysponują znacznie lepszym uzbrojeniem niż wynika z obliczeń Paryża. Naturalnie przesłałem stosowny raport, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi, a wkrótce potem dostaliśmy w tyłek.

- Szczerze mówiąc nie widzę żadnego związku... - przyznała Karin z zakłopotaniem.

- Bo go przypuszczalnie nie ma. Po prostu chciałem powiedzieć, że być może uda wam się znaleźć coś, co przeoczyliśmy. - Moreau także brał pod uwagę taką możliwość - wtrącił Drew.

- Wiem, bo sporo z nim rozmawiałem. Wobec tego zapraszam do samochodu. Miejcie oczy szeroko otwarte, czepiajcie się wszystkiego, co wyda wam się podejrzane, i próbujcie znaleźć nasze słabe strony. "Przejażdżka" odkrytym samochodem terenowym po lesie, polach i wyboistych drogach okazała się nie tylko bardzo uciążliwa, ale także czasochłonna, gdyż trwała ponad trzy godziny. Uczestnicy nie zgłaszali żadnych zastrzeżeń do poziomu zabezpieczeń, tylko dwaj komandosi skrytykowali środki przewidziane w celu niedopuszczenia do przedarcia się niewielkich pieszych oddziałów. - W tych krzakach mogłoby się ukryć co najmniej pięćdziesięciu ludzi - stwierdził kapitan Dietz. - Potem nic łatwiejszego, tylko likwidować kolejne grupy patrolowe i przebierać się w mundury żołnierzy.

- A kiedy już by się przebrali, bez trudu opanowaliby jedną albo dwie drogi uzupełnił porucznik Anthony.

- Na drogach są czujniki naciskowe!

- Przestają działać w bardzo niskich temperaturach, więc wystarczy spryskać je płynnym azotem w aerozolu.

- Mon Dieu... - wyszeptał generał.

- Posłuchajcie, chłopcy - rzekł Latham, kiedy wrócili do wieży ciśnień.

- Może i macie rację, ale myślicie w niewłaściwej skali. Do przeprowadzenia takiej operacji trzeba nie pięćdziesięciu, tylko co najmniej pięciuset ludzi.

- Generał kazał nam szukać szczelin w systemie obronnym, więc robimy CO w naszej mocy.

- W porządku. Wobec tego teraz rzućmy okiem na zdjęcia lotnicze - powiedział Drew, podchodząc do stołu. Fotografie były poukładane w kilka stosów.
- Na wieszaku są zdjęcia przedstawiające tereny najbardziej oddalone od zbiornika, na spodzie zaś jezioro z jego bezpośrednim otoczeniem wyjaśnił generał. - Wszystkie zostały wykonane w podczerwieni z niezbyt wysokiego pułapu, a jeśli na którymś odkryto coś podejrzanego, samolot natychmiast startował ponownie i fotografował teren z wysokości zaledwie kilkuset metrów. - Co to jest? - zapytał Latham, wskazując duże cylindryczne obiekty.
- Elewatory zbożowe - odparł major. - Na wszelki wypadek kazaliśmy miejscowej policji je przeszukać.
- A to? - Palec Karin spoczął na podłużnych ciemnych kształtach, z jednej strony podświetlonych jakby od spodu. - Wygląda dosyć groźnie.
- To są stacje kolejowe, a te światła to lampy wiszące pod zadaszeniami peronów - wyjaśnił Gaston. Latham dotknął wskaźnikiem fotografii przedstawiających dwa duże samoloty stojące na prywatnym lotnisku w pobliżu pasa startowego.
- To maszyny zakupione przez Arabię Saudyjską i czekające na odtransportowanie do Rijadu - kontynuował objaśnienia major. - Sprawdziliśmy zamówienie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, wszystko było w porządku.
- Arabowie kupują francuskie samoloty, nie amerykańskie? zdziwił się Gerald Anthony.
- Nie tylko oni, poruczniku. Nasz przemysł lotniczy należy do najnowocześniejszych w świecie. Poza tym, przelot z Beauvais kosztuje sporo mniej niż podróż z Seattle.
- Z pewnością, majorze. Upływały minuty i godziny, padały kolejne pytania, wysłuchiowano kolejnych odpowiedzi, lecz wszystko to nie dawało najmniejszego efektu.
- Co to może być? - wykrzyknął wreszcie Latham. - Co takiego wymyślili, że nie jesteśmy w stanie tego znaleźć?

W najtajniejszych podziemiach siedziby brytyjskiego wywiadu najlepsi i najbardziej doświadczeni eksperci MI5, MI6 oraz Secret Service ślęczeli nad materiałami dostarczonymi w kartonowych pudłach z bońskiej rezydencji Guntera Jagera. W obszernym pomieszczeniu słychać było jedynie szelest papieru i szum komputerowych wentylatorów, ale w pewnej chwili rozległ się donośny, opanowany głos:

- Mam coś - oznajmiła kobieta siedząca przed jednym z monitorów. - Co prawda nie bardzo wiem, co to może oznaczać, ale udało mi się odszyfrować treść. Nadzorujący pracę dyrektor MI6 natychmiast znalazł się przy jej stanowisku, a chwilę potem dołączył do niego milczący Witkowski. - "Dedał poleciał, nic nie jest w stanie go powstrzymać." To właśnie wyszło po złamaniu szyfru.
- Co to znaczy, do jasnej cholery?
- Na pewno ma jakiś związek z niebem, bo przecież Dedał uciekł z Krety dzięki skrzydłom, które zrobił sobie przyklejając do ramion pióra. Jego syn, Ikar, zanadto zbliżył się do słońca, które stopiło wosk i chłopak runął do morza.
- Ale co to może mieć wspólnego z "Wodną Błyskawicą"?
- Nie wiem, panie dyrektorze. Mogę powiedzieć tylko tyle, że wszystkie szyfry dzielimy na trzy kategorie: A, B i C, przy czym do tej ostatniej należą najbardziej...
- Wiem o tym, panno Graham.
- Tak, oczywiście. A więc, szyfr, w jakim zapisano te słowa, należał do kategorii C, co oznacza, że informacja miała trafić do bardzo wąskiego grona osób. Nawet gdyby dotarła do szeregowego członka organizacji, nic by z niej nie zrozumiał.
- Czy wiemy przynajmniej skąd, dokąd i kiedy ją wysłano? zapytał Witkowski.
- Na szczęście tak, panie pułkowniku. To faks nadany stąd, z Londynu, dokładnie czterdzieści dwie godziny temu.
- Dobra robota! - wykrzyknął dyrektor MI6. - Uda wam się ustalić nadawcę?

- Już to zrobiłam, panie dyrektorze. Wysłał go jeden z pańskich ludzi. MI6, wydział europejski, sekcja niemiecka.
- O, kurwa!... Przepraszam panią. W samej sekcji niemieckiej pracuje co najmniej sześćdziesięciu ludzi, więc w jaki sposób... Zaraz, chwileczkę! Każdy, kto korzysta z teleksu, faksu albo poczty elektronicznej musi podać swój dwucyfrowy kod. W przeciwnym razie wiadomość nie zostanie wysłana. Proszę poszukać tego kodu! - Znalazłam go, panie dyrektorze. Chodzi o Meyera Golda, szefa sekcji.
- M e y e r? To niemożliwe! Po pierwsze jest Żydem, po drugie stracił dziadków w obozie koncentracyjnym. Między innymi właśnie dlatego chciał pracować w sekcji niemieckiej.
- Kto wie, jak to jest z tym jego żydostwem...
- To dlaczego w zeszłym roku zaprosił wszystkich na przyjęcie z okazji bar micwy syna?
- Więc może kto inny posłużył się jego kodem?
- Kod wprowadza się za pomocą karty magnetycznej, a przepisy wyraźnie nakazują nosić ją cały czas przy sobie.
- Cóż, na to nie", mam odpowiedzi - odparła szpakowata panna Graham.
- Ja też chyba coś znalazłem - odezwał się inny analityk, ciemnoskóry oficer pochodzący z Wysp Bahama. Dyrektor MI6, a za nim nie odstępujący go ani na krok Witkowski, natychmiast znaleźli się przy jego stanowisku. - Co to jest, Vernal?
- Kolejna wiadomość zakodowana szyfrem kategorii C. Znowu pojawia się Dedal, tyle że nie wysłano jej z Londynu, tylko z Waszyngtonu, i nie czterdzieści dwie, lecz trzydzieści siedem godzin temu.
- Jak brzmi?
- "Dedal przygotowany, odliczanie rozpoczęte". Najlepsze jest zakończenie: "Ein Volk, ein Reich, ein Fuhrer Jager". Jak to się panom podoba?
- Skąd ją nadano? - zapytał Witkowski.
- Z Departamentu Stanu USA, a konkretnie z gabinetu Jakuba Weinsteina, podsekretarza do spraw Bliskiego Wschodu. Jest znanym i bardzo poważanym negocjatorem uczestniczącym w najbardziej poufnych rokowaniach.
- Do licha! Wygląda na to, że podszywają się pod cieszących się zaufaniem zwierzchników pracowników pochodzenia żydowskiego!
- Wcale mnie to nie dziwi, panie dyrektorze - odparł ciemnoskóry analityk. - Mogli jeszcze posłużyć się nami, Czarnymi. - Na podstawie faksu nie sposób określić koloru skóry - zwrócił mu uwagę Witkowski.
- Natomiast nazwisko może sporo powiedzieć... Ma pan rację, pułkowniku. Fakt, że imię Dedal pojawia się dwa razy w zaszyfrowanych informacjach nadanych w odstępie kilku godzin, musi coś oznaczać.
- Nawet wiemy co. Odliczanie już się zaczęło, a podwładni Herr Jagera są tak pewni siebie, że aż ciarki przechodzą mi po plecach. - Dyrektor MI6 wyszedł na środek obszernego pomieszczenia i klasnął dwa razy. - Uwaga, wszyscy! Proszę o uwagę! W pokoju zapadła cisza wypełniona jednostajnym szumem wentylatorów. - Wygląda na to, że trafiliśmy na istotne informacje dotyczące operacji "Wodna Błyskawica". Czy ktoś z was natrafił w analizowanych materiałach na imię Dedal?
- Owszem: ja - odparł szczupły mężczyzna w średnim wieku, z kocią bródką i w okularach w drucianej oprawie. - Mniej więcej godzinę temu. Uznałem, że to pseudonim któregoś z nazistowskich agentów, a jako taki nie ma żadnego związku z "Wodną Błyskawicą". Widzicie państwo, Dedal był budowniczym wielkiego labiryntu na Krecie, a jak wszyscy wiemy, każdy labirynt składa się z wielu krętych dróg, w większości wiodących na manowce, w związku z czym...
- Tak, tak, oczywiście, doktorze Upjohn - przerwał uczonemu zniecierpliwiony dyrektor MI6.
- Jednak w tym przypadku zapewne chodzi o ucieczkę, jaką przedsięwziął w towarzystwie syna. - Ikara? Mocno w to wątpię. Jeśli wierzyć legendzie, Ikar był potwornie upartym

kretynem. Proszę mi wybaczyć, panie dyrektorze, ale moja hipoteza jest oparta na znacznie solidniejszych, naukowych podstawach. Wystarczy przecież zastanowić się nad...

- Doktorze, proszę! Czy zechciałby pan po prostu zapoznać nas z treścią odkrytej przez pana wiadomości?

- Naturalnie - odparł uczony urażonym tonem. - Powinna być gdzieś w tym koszu... O, już ją mam.

- Proszę ją przeczytać. Od początku do końca.

- Wysłano ją z Paryża wczoraj o 11.17. Oto treść: "Obaj Dedale w wyśmienitej formie tylko czekają na rozkaz, by uderzyć w imię świetlanej przyszłości!" Przypuszczalnie chodzi o fanatyków przygotowujących się do udziału w operacji "Wodna Błyskawica", może nawet o morderców.

- Albo o coś zupełnie innego... - mruknęła panna Graham.

- Na przykład o co, droga pani? - zapytał wyniośle doktor Upjohn.

- Och, daj spokój, Hubercie! To nie Cambridge, a ty nie prowadzisz zajęć ze studentami. Wszyscy próbujemy wyjaśnić tę zagadkę.

- Zdaje się, że miała pani jakiś pomysł? - przypomniał jej Witkowski.

- Sama nie wiem... Po prostu uderzyło mnie, że, jeśli można tak powiedzieć, nagle zrobiło się ich dwóch. W pozostałych faksach zawsze występował jeden Dedal.

- Francuzi mają niezdrowe zamięłowanie do szczegółów - pospieszył z wyjaśnieniem doktor Hubert Upjohn. - Uwielbiają piętrzyć je w nieskończoność, by tym łatwiej wykorzystać zdezorientowanie partnera lub przeciwnika i przeprowadzić jakieś podejrzanymachlojki.

- Bzdura! - parsknęła panna Graham. - Anglicy wcale nie są lepsi! Mam ci przypomnieć małżeństwo Henryka II z Eleonorą Akwitańską?

- Doprawdy, to nie czas i nie pora na dyskusje historyczne! dyrektor MI6 przywołał do porządku dwoje specjalistów, po czym zwrócił się do swego sekretarza: - Proszę zebrać materiały, połączyć się z Beauvais i Waszyngtonem i przesłać wszystko faksem. Może im przyjdzie coś do głowy.

- Tylko szybko - dodał pułkownik.

Analitycy z CIA, G-2 i Agencji Bezpieczeństwa Narodowego długo i uważnie studiowali informacje nadesłane z Londynu. Wreszcie zastępca dyrektora CIA wstał z fotela i rozłożył ręce. - Moim zdaniem jesteśmy na wszystko przygotowani. Bez względu na to, z której strony nastąpi atak, rozprawimy się z nim w okamgnieniu. Podobnie jak w Londynie i Paryżu, my także otoczyliśmy zbiornik pierścieniem wojska, a nasze rakiety ziemiapowietrze strącą każdy pocisk. Pomyśleliśmy o wszystkim, przewidzieliśmy każdy, nawet najmniej prawdopodobny wariant!

- Skoro tak, to czemu oni są tacy pewni siebie? - zapytał pułkownik z G-2.

- Ponieważ to fanatycy - odparł młody intelektualista z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. - Wierzą w to, w co każe im się wierzyć. Nazywamy to imperatywem Nietzschego.

- My nazywamy to głodnym pieprzeniem! - warknął inny generał, dowodzący oddziałami ochraniającymi zbiornik Dalecarlia. Czy ci kretyni nie żyją w rzeczywistym świecie?

- W pewnym sensie nie - przyznał młody analityk z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. - Mają swój własny, zupełnie różny od naszego. Liczy się w nim wyłącznie całkowite posłuszeństwo; nic innego nie ma znaczenia.

- A więc, krótko mówiąc, to po prostu stado wariatów!

- Ale inteligentnych i przebiegłych wariatów, generale. Zgadzam się z opinią tego oficera z Wydziału Operacji Konsularnych w Beauvais: neonaziści są przekonani, że uda im się osiągnąć zamierzony cel, a ja mimo szczerych chęci nie mogę dać głowy za to, że nie mają racji.

Beauvais, Francja. Godzina zero minus sto osiemdziesiąt minut. Było dokładnie wpół do drugiej w nocy. Ludzie zebrani w wieży ciśnień spoglądali to na ścienny zegar, to na własne zegarki, odliczając upływające minuty. Do wpół do piątej zostały już tylko trzy godziny.

- Przejrzyjmy jeszcze raz te fotografie - zaproponował Latham.

- Oglądaliśmy je prawie przez pół dnia - przypomniała mu Karin. - Zadaliśmy tysiące pytań i na wszystkie otrzymaliśmy odpowiedzi. Czy możemy zrobić coś więcej, Drew?

- Nie wiem. Po prostu chciałbym jeszcze raz się przyjrzeć.

- Czemu, monsieur? - zapytał major.

- No, na przykład tym elewatorom zbożowym. Powiedział pan, że przeszukali je funkcjonariusze miejscowej policji. Czy byli wystarczająco wykwalifikowani do tej roboty? Przecież pod ziarnem można ukryć mnóstwo rzeczy!

- Powiedzieliśmy im, czego mają szukać, a dodatkowo towarzyszył im jeden z moich oficerów rzekł generał. - Sprawdzali nie tylko z góry, ale i z dołu, na poziomie gruntu.

- Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem pewien, że to będzie uderzenie raketowe.

- Przygotowaliśmy się na taką ewentualność, najlepiej jak było można - odparł syn generała. - Wokół zbiornika czekają w pogotowiu wyrzutnie samonaprowadzających się na cel pocisków klasy ziemiapowietrze.

- Wobec tego zajmijmy się jeszcze raz informacjami z Londynu. O co może chodzić z tym Dedalem albo Dedalami?

- Mogę wyjaśnić to jeszcze raz, jeśli pan sobie życzy - odezwał się porucznik Anthony. - Otóż według legendy Dedal, który był artystą i architektem, wiele czasu poświęcał obserwacjom ptaków żyjących na Krecie. Przypuszczam, że w większości były to mewy. W wyniku tych obserwacji doszedł do wniosku, że jeśli przyklei sobie do ramion pióra, które przecież niewiele różnią się gęstością od powietrza, oraz jeśli...

- Gerry, błagam! Jeśli zaraz nie przestaniesz, do końca życia znieawidzę grecką mitologię!

- Tak czy inaczej, wciąż jesteśmy w powietrzu - zauważyła Karin de Vries. - Rakiety, pociski, Dedal...

- Skoro mowa o powietrzu - wtrącił się major z nutą zniecierpliwienia w głosie. - Żaden latający obiekt nie zdoła wtargnąć niepostrzeżenie w naszą przestrzeń powietrzną, a każdy, który uczyni to bez naszej zgody, zostanie natychmiast zestrzelony lub zmuszony do lądowania. Poza tym ustaliliśmy już ponad wszelką wątpliwość, że po to, by operacja "Wodna Błyskawica" zakończyła się sukcesem, należałoby użyć kilku gigantycznych transportowców lub kilkunastu mniejszych maszyn. Co więcej, musiałyby wystartować z niezbyt odległych lotnisk, gdyż tylko w ten sposób dałoby się wykorzystać element zaskoczenia.

- Sprawdziliście lotniska w Paryżu? - zapytał Latham.

- A jak pan myśli, dlaczego wszystkie odloty są opóźnione o dwie, a czasem nawet o trzy godziny?

- Nie wiedziałem, że podjęto taką decyzję.

- Owszem, co naturalnie spowodowało wielkie niezadowolenie wśród pasażerów. To samo jest w Heathrow i Gatwick w Anglii oraz w Waszyngtonie. Każdy samolot jest przed startem sprawdzany co najmniej dwa razy.

- Proszę mi wybaczyć, nie miałem o tym pojęcia. Wobec tego, czemu ci przekłęci neonaziści są tak bardzo pewni swego?

- Naprawdę nie wiem, monsieur. Londyn. Godzina zero minus sto dwadzieścia osiem minut. O 1.22 czasu Greenwich dyrektor MI6 polecił, by połączono go z Waszyngtonem.

- Macie coś nowego?

- Nic - odparł zirytowany głos z silnym amerykańskim akcentem. - Coraz bardziej mi się wydaje, że to jakaś monstrualna kupa gówna, a szkopy pewnie zaśmiewają się z nas do rozpuku! - Chciałbym się z tobą zgodzić, przyjacielu, ale przecież oglądałeś tę taśmę i widziałeś materiały, które wam przesłaliśmy. Moim zdaniem nie można ich lekceważyć.

- A moim zdaniem mamy do czynienia z .bandą pomyleńców, którzy postanowili wystawić na nasz koszt nową wersję Zmierchu bogów w takiej inscenizacji, o jakiej nie śniło się temu ich Wagnerowi! - Wkrótce się przekonamy. Miejcie oczy otwarte.

- Dobra rada, bo cholernie chce nam się spać. Waszyngton, D.C. Godzina zero minus czterdzieści dwie minuty. Zegary wskazywały 21.48. Chmury gromadzące się na ciemnym lipcowym niebie zwiastowały deszcz. General dowodzący oddziałami zgromadzonymi wokół zbiornika Dalecarlia przechadzał się nerwowo po pokoju, w którym urządził swoją główną kwaterę.

- Londyn nic nie wie, Paryż to samo, a my siedzimy beczynnie na tyłkach i zastanawiamy się, czy ktoś nie nabił nas w butelkę! Podatnicy płacą miliony dolarów za każdą godzinę tej farsy i niech Bóg ma w opiece tego, komu każą wystawić rachunek! Jezu, jak ja nienawidzę tej roboty! Gdybym nie był taki stary, wróciłbym do szkoły, poszedłbym jeszcze raz na studia i został dentystą! Godzina zero minus dwanaście minut. 4.18 w Paryżu, 3.18 w Londynie, 22.18 w Waszyngtonie. Z lotnisk położonych z dala od Paryża, Londynu i Waszyngtonu z dokładnością do kilku sekund wystartowało sześć odrzutowców. Każda dwójka natychmiast skręciła w kierunku przeciwnym niż ten, gdzie znajdował się ich rzeczywisty cel.

- Activites inconnues! - zameldował kontroler przestrzeni powietrznej w Beauvais.

- Unidentified aircraft! - zameldował kontroler przestrzeni powietrznej w Londynie.

- Two blips, unknown! - zameldował kontroler przestrzeni powietrznej w Waszyngtonie. - Ani z Dullesa, ani z National nie zgłaszano nam żadnych startów. Zaraz potem trzech mężczyźni obserwujący ekrany radarów odezwali się niemal jednocześnie, choć dzieliły ich odległości wielu tysięcy kilometrów:

- Superflu.

- False alarm.

- Forget it. Lecą w przeciwną stronę. Pewnie jakieś bogate szczeniaki zabawiają się maszynami tatusiów. Mam nadzieję, że przynajmniej są trzeźwi. Godzina zero minus sześć minut. W mrokach nocy nad Beauvais, Georgetown i północnym Londynem sześć odrzutowców wykonywało z góry zaplanowane manewry, krążąc w bezpiecznej odległości od celów. Każdy skręt, każda zmiana pułapu została wcześniej obliczona przez komputery pokładowe z dokładnością do kilku milisekund. W pewnej chwili piloci zmniejszyli do minimum moc silników i skierowali maszyny w dół, ku ziemi, prowadząc je trasą przebiegającą nad najsłabiej zaludnionymi obszarami, ku lotniskom, gdzie czekały obciążone śmiertelnym ładunkiem ME 323. Tam, nad samą ziemią, mocne haki zaczepią o stalowe liny, a jednocześnie podwieszane pod skrzydłami szybowców silniki ożyją na krótko, by pospolu z odrzutowcami wynieść wykonane głównie z drewna i płótna maszyny na odpowiednią wysokość.

Beauvais. Godzina zero minus cztery minuty. Drew stał przy oknie, z którego roztaczał się widok na rozległy zbiornik, Karin natomiast siedziała obok majora przy biurku, oboje z telefonicznymi słuchawkami przyciśniętymi do uszu. Dwaj komandosi dołączyli do generała obserwującego ekran radaru nad ramieniem operatora. Nagle Latham odwrócił się od okna i zapytał podniesionym głosem:

- Poruczniku, co pan mówił o tych skrzydłach Dedala?

- Że zrobił je z piór...

- Tak, wiem! Ale potem, co o samych piórach... Co to było? - Nie mam pojęcia. Pióra jak pióra. Niektórzy, szczególnie poeci, mówią, że są prawie jak powietrze, bo pozwalają ptakom unosić się swobodnie, nawet wtedy kiedy nie poruszają skrzydłami. - Tak robią na przykład sokoly i jastrzębie polujące na zdobycz...

- Do czego zmierzasz, Drew? - zapytała Karin, przyglądając mu się uważnie. Także major skierował wzrok na Lathama.

- One szybują, Karin! Szybują!

- I co z tego, monsieur?

- Szybowce, do jasnej cholery! Posłużą się szybowcami!
- Musiałyby być bardzo duże, albo nadlecieć kilkoma eskadrami - zauważył sceptycznie generał.
- A wtedy zostałyby wykryte przez radar - dodał major.
- Widzieliśmy je na zdjęciach! To te dwie maszyny rzekomo przeznaczone dla Arabii Saudyjskiej! Ile razy posługiwano się fałszywymi zezwoleniami eksportowymi? Radar, powiadacie... Owszem, radar je wykryje, ale wasze pociski nie trafią w cel, ponieważ kierują się ku źródłu ciepła, a tam nic takiego nie będzie, bo szybowce nie mają silników!
- Mon Dieu! - wykrzyknął generał. Jego szeroko otwarte, niewidzące oczy były wpatrzone we wspomnienia, które nagle ogarnęły go wezbraną falą. - Szybowce... Niemcy byli w tej dziedzinie prawdziwymi ekspertami. Na początku lat czterdziestych zbudowali prototyp maszyny transportowej, z której później, z niewielkimi zmianami, korzystali zarówno Anglicy, jak i Amerykanie. My zresztą też, bo udało nam się wykraść plany. W Niemczech produkcję rozpoczęły fabryki Messerschmitta.
- Myślisz, że mogły zachować się jakieś nadające się do użytku egzemplarze? - zapytał major.
- Czemu nie? Przecież zarówno my, jak i oni zachowaliśmy w nienaruszonym stanie znaczną część floty morskiej i sił powietrznych.
- Ale czy po tylu latach można wykorzystać je do działań bojowych?
- Znowu: czemu nie? Wyroby Messerschmitta były powszechnie znane ze swej znakomitej jakości. Rzecz jasna nie obyłyby się bez generalnego remontu i wymiany niektórych części, ale nie widzę żadnych poważnych przeszkód.
- Pojawiłyby się na ekranie! - stwierdził stanowczo kontroler. - Być może, ale jak silne dałyby odbicie? Nie mają prawie żadnych metalowych części, ba, jest całkiem prawdopodobne, że nawet ich szkielety są zrobione nie z metalu, tylko z bambusa, który jest bardziej sprężysty i podobno niewiele mniej wytrzymały! - Znam całkiem niezłe angielski, ale pan mówi tak szybko... - Niech ktoś mu przetłumaczy, byle szybko! - parsknął zniecierpliwiony Latham. Uczynił to major.
- Istotnie, odbicie byłoby słabsze niż w przypadku zwykłego samolotu - przyznał kontroler, nie spuszczać wzroku z ekranu. - Słyszałem, że podobno nawet chmury dają jakiś obraz na ekranie radaru?
- Owszem, ale nawet średniej klasy specjalista potrafi odróżnić te obrazy.
- A żeglarze instalują na jachtach specjalne reflektory, żeby w razie jakiegoś nieszczęścia można było ich łatwiej zlokalizować. - Nie widzę w tym nic niezwykłego.
- Chcę przez to powiedzieć, że radar jako taki o niczym nie przesądza, bo najważniejsza jest interpretacja obrazu.
- Tak samo jak ze zdjęciami rentgenowskimi. Dwaj lekarze mogą zobaczyć na tej samej kliszy dwie zupełnie różne rzeczy. Wtedy trzeba zapytać o zdanie specjalistę z prawdziwego zdarzenia, a jeśli chodzi o radar, to właśnie ja takim specem jestem. - Wierzę panu bez zastrzeżeń, ale czy nawet najlepszemu specjaliście nie zdarza się popełnić błędu?
- Jaki błąd ma pan na myśli? Przyznam, że pańskie pytania stają się coraz bardziej impertynenckie.
- Nie miałem najmniejszego zamiaru...
- Chwileczkę! - wykrzyknęła Karin. Przez chwilę grzebała gorączkowo w kieszeniach, aż wreszcie tryumfalnie wydobyla wymięty skrawek papieru. - Znaleźliśmy to w kwaterze głównej Jagera. Zostawiłam sobie ten świstek, bo nie mogłam zrozumieć, o co chodzi. Są na nim tylko dwa słowa po niemiecku: "Samolot zbudowany..." Reszta musiała być na drugiej części kartki. - O, mój Boże... - wymamrotał Gerald Anthony, po czym sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął bardzo podobną, równie wymiętą kartkę. - Ja też znalazłem coś takiego. W kaplicy, pod ołtarzem. Dopiero niedawno udało mi się rozszyfrować te bazgroły, ale nie miałem pojęcia, co to może znaczyć. Teraz już wiem. "...aus Stoffund Holz", czyli "z płótna i drewna".
- "Samolot zbudowany z płótna i drewna"... - wyszeptala Karin de Vries.

- Szybowce - dodał niewiele głośniejszy Latham.
- Arrêtez! - wykrzyknął kontroler. - Dwa odrzutowce wtargnęły do strefy! Są czterdzieści kilometrów od zbiornika! Syn generała rzucił się do telefonu.
- Przygotować się do odpalenia pocisków! Londyn. Godzina zero minus trzy minuty i dziesięć sekund. - Dwa nie zidentyfikowane obiekty w zasięgu radaru! Kierunek lotu: strefa zero! Waszyngton, D.C. Godzina zero minus dwie minuty czterdzieści dziewięć sekund.
- Cholera! Te dwa sukinsyny wróciły i lecą w naszą stronę! Beauvais. Godzina zero minus dwie minuty dwadzieścia osiem sekund.
- Myśliwce! - ryknął Latham. - Niech natychmiast startują! - Ale rakiety...
- Zdążycie je odpalić.
- Więc po co myśliwce?
- Żeby zajęły się tym, czego nie dosięgną rakiety. Zawiadomcie Londyn i Waszyngton!
- Zrobione.

Trzy odrzutowce zniżyły lot nad pogrążonymi w ciemności Beauvais, Londynem i Waszyngtonem, zbliżając się szybko do lotnisk, gdzie czekały gotowe do startu szybowce.

- Uruchomić silniki!
- Uruchomić silniki!
- Uruchomić silniki! Spod skrzydeł sześciu messerschmittów wystrzeliły płomienie; to ożyły doczepione silniki, które miały pomóc ogromnym maszynom w jak najszybszym rozwinięciu znacznej prędkości. Szybowce rozpędziły się niemal do czterystu kilometrów na godzinę, a w chwili gdy osiągnęły tę szybkość, zostały pociągnięte w górę przez odrzutowce, które bezbłędnie zaczepiły hakami holowniczymi za stalowe liny. Kilka sekund później niepotrzebne już silniki runęły na ziemię, natomiast holowane z ogromną prędkością szybowce wzbily się na ustaloną wysokość dziewięćset metrów. Na sygnał z komputera piloci zwolnili liny holownicze i skierowali maszyny w stronę celu. Nagle, wysoko nad ich głowami, nastąpiły potężne, oślepiające eksplozje: to wystrzelone z ziemi rakiety zniszczyły umykające pośpiesznie odrzutowce, odnajdując je nieomylnie w ciemności dzięki ciepłu emitowanemu przez pracujące pełną mocą silniki. Niewiele to jednak dało, ponieważ piloci szybowców nie potrzebowali już żadnej pomocy. Każdy z nich doskonale znał swoje zadanie. Ein Volk, ein Reich, ein Führer! Beauvais. Godzina zero.
- Mamy ich! - wykrzyknął triumfalnie generał, kiedy dwa przemieszczające się szybko punkciki zniknęły z ekranu radaru. Dostaliśmy sukinsynów!
- Londyn i Waszyngton meldują to samo! - zawołał major od telefonu. - Zwyciężyliśmy!
- Mylicie się - stwierdził Drew. - Spójrzcie na wskazania radaru: eksplozje nastąpiły na znacznie wyższym pułapie niż ten, na którym leciały maszyny po wtargnięciu w naszą przestrzeń powietrzną. Poza tym... Patrzcie! Majorze, niech pan zaalarmuje Londyn i Waszyngton, bo u nich na pewno jest to samo! Bardzo słabe, prawie niewidoczne odbicia. To muszą być szybowce!
- Boże... - szepnął kapitan Dietz.
- Jezus, Maria! - wykrzyknął porucznik Anthony.
- Jak się panu wydaje, na jakiej są wysokości?
- Mnie się nie wydaje, ja wiem, monsieur - odparł technik. - Pięćset pięćdziesiąt do sześciuset metrów. Powoli zataczają szerokie kręgi o średnicy około stu pięćdziesięciu metrów. - Po co?
- Przypuszczalnie po to, by nadlecieć nad cel w ściśle określonym czasie i w wyznaczonym miejscu.
- Jak długo zdołają utrzymać się w powietrzu?
- Wiatr jest zmienny, więc trudno mi to określić z dużą dokładnością... Cztery do sześciu minut.
- Majorze, proszę natychmiast połączyć się z Waszyngtonem i Londynem. Ich myśliwce muszą krążyć wokół zbiorników na pułapie sześciuset metrów. Wasze zresztą też. Szybko!

- Jeśli te szybowce naprawdę nadlecą, rozwalimy je na strzępy powiedział syn generała podnosząc słuchawkę czerwonego telefonu. - Czy pan oszalał?! - wrzasnął Latham. - Przecież one są pełne śmiertelnie niebezpiecznej trucizny, która w razie eksplozji może skazić znaczne tereny, a nawet przedostać się do wód gruntowych! Jedyne wyjście to tak manewrować myśliwcami, żeby zmusić pilotów szybowców do lądowania na nie zaludnionych terenach. Nie wiem, może uda się zepchnąć je z kursu strumieniami gorącego powietrza z dysz wylotowych?... Ale niech nikomu nie przyjdzie do głowy strzelać do nich rakietami albo z działek! - Ma pan rację. Natychmiast przekażę wiadomość do Londynu i Waszyngtonu. Czas włókł się niemilosiernie powoli. Zebrani czuli się jak obserwatorzy trzymającego w napięciu spektaklu, który może zakończyć się albo happy endem, albo katastrofą, przy czym jej ofiarami padliby nie tylko odtwórcy wszystkich ról, lecz także widzowie. Nikt nie był w stanie oderwać wzroku od ekranu radaru, na którym, oprócz dwóch widmowych odbić, pojawiło się kilka nowych, znacznie wyraźniejszych i przemieszczających się z większą prędkością. Nagle z kilku ust jednocześnie wyrwało się westchnienie ulgi: ledwo dostrzegalne plamki skręciły gwałtownie i zaczęły oddalać się od zbiornika Beauvais.

- Sprawdźcie, co w Londynie i Waszyngtonie - polecił Drew. - To samo co u nas - odparł niemal natychmiast major. Szybowce zostały zmuszone do lądowania na słabo zaludnionych terenach.

- Nieźle to sobie obliczyli, co? - mruknął Drew, ocierając pot z czoła. - Nie ma to jak wyrafinowana technologia: dzięki niej można w kuchence mikrofalowej rozmrozić i podgrzać gotowy obiad, ale jak ktoś się zagapi, to stopi mu się też plastikowy pojemnik... Teraz chyba naprawdę zwyciężyliśmy, ale tylko w jednej bitwie. Teraz trzeba jeszcze wygrać całą wojnę.

- To ty zwyciężyłeś, Drew - powiedziała Karin de Vries, kładąc mu ręce na ramionach. - Harry byłby z ciebie dumny. - To jeszcze nie koniec, Karin. Harry'ego zabito na naszym, rzekomo bezpiecznym, terenie, podobnie jak Moreau. Niewiele brakowało, a ze mną stałoby się to samo. Jest ktoś, kto potrafi bez trudu przeniknąć nawet nasze najtajniejsze plany i kto wie więcej o neonazistach oraz o tym, co pewien szalony generał pozostawił po sobie w dolinie Loary, niż my wszyscy razem wzięci. A najdziwniejsze jest to, że chyba już wiem, kto to jest.

* * *

ROZDZIAŁ 41

Beauvais. Godzina zero plus dwadzieścia minut. Syn generała wezwał wojskowy samochód, który miał odwieźć Karin, Lathama oraz dwóch komandosów do Paryża. Przy okazji okazało się, że tym samym pojazdem będzie podróżował ich bagaż, który właśnie dotarł z hotelu "Kónigsdorf" w Bonn. Za niecałe pół godziny cała czwórka miała znaleźć się w Mieście Światel; jakże niewiele brakowało, by przeistoczyło się ono w Miasto Paniki.. - Zatrzymamy się w tym samym hotelu - oznajmił Latham, kiedy już pożegnali się z Francuzami i ruszyli korytarzem w kierunku zabytkowej windy. - Wy dwaj - dodał, spoglądając na Dietza i Anthony'ego - możecie robić, co wam się podoba. Rząd Francji zwraca wszystkie wydatki.

- A czym niby mamy płacić? - zapytał kapitan. - Wątpię, czy doliczylibyśmy się wspólnie więcej niż dwustu franków, a nasze karty kredytowe i wszystkie dokumenty zostały w Brukseli. - Wobec tego za jakieś cztery godziny wspomniany rząd Francji dostarczy wam w dowód wdzięczności po pięćdziesiąt tysięcy franków na głowę. Wystarczy? To tylko na początek, ma się rozumieć. - Pan oszalał - stwierdził uprzejmie Anthony.

- Wcale nie. Już od dawna byłem wariatem. Z jednego z pomieszczeń wybiegł na korytarz mężczyzna w wojskowym mundurze.

- Monsieur! Monsieur Latham! Jest pan proszony do telefonu. To jakaś pilna sprawa.

- Zaczekajcie tutaj - polecił Drew. - Jeśli dobrze się domyślam, kto dzwoni, rozmowa będzie bardzo uprzejma, ale nie potrwa długo. - Podążył za mężczyzną w mundurze, wszedł do pokoju i podniósł odłożoną na biurko słuchawkę. - Tu Operacje Konsularne. Głos, który rozległ się w słuchawce, nie był tym, który spodziewał się usłyszeć.

- Dobra robota, chłopcze! - ryknął pułkownik Witkowski z Londynu. - Harry byłby z ciebie dumny!
- Już drugi raz mi to ktoś mówi, niemniej jednak dziękuję ci, Stanley. Zwyciężyła cała drużyna, jak w hokeju.
- Nie gadaj bzdur.
- To wcale nie są bzdury, Stosh. Zaczęło się właśnie od Harry'ego, który powiedział temu trybunałowi w Londynie: "Dostarczyłem wam materiał, a teraz waszym zadaniem jest jego weryfikacja." Nie spisaliśmy się najlepiej.
- Powiem ci, co o tym myślę, ale nie przez telefon.
- Dobry pomysł. Nie zauważyliśmy nici prowadzącej do celu, choć cały czas mieliśmy ją przed oczami.
- Później - uciął stanowczo Witkowski. - Co myślisz o Bonn? - A co mam myśleć? I dlaczego?
- Nikt wam nie powiedział?
- O czym?
- Ten ich cholerny Bundestag płonie jak pochodnia! Ściągnęli już sto jednostek straży pożarnej, ale diabli wiedzą, czy to się na coś przyda. Moreau nie dzwonił do ciebie?
- Moreau nie żyje.
- Co takiego?
- Zastrzelono go w najlepiej strzeżonym podziemnym garażu w Europie.
- Mój Boże, nie miałem pojęcia...
- Bo i skąd miałbyś mieć? Przecież jesteś w Londynie, zapewne incognito, jak przypuszczam.
- Kiedy to się stało?
- Kilkanaście godzin temu.
- Mimo to waszą akcją w dalszym ciągu koordynuje Deuxieme. Ktoś powinien zawiadomić was o pożarze Bundestagu.
- Widocznie zapomnieli. To była zwariowana noc.
- O co chodzi, Drew? Jesteś jakiś dziwny.
- A kto by nie był po takiej nocy... Pytasz, co sędzę o pożarze w Bonn, więc ci powiem: ten sukinsyn Jager pisał pamiętniki. Muszę natychmiast spotkać się z kimś, Stosh, jeszcze zanim ugaszą Bundestag. Pogadamy w Paryżu.

Oddział N-2 ulokował się w sąsiadujących ze sobą apartamentach hotelu "PlazaAthenee" w Paryżu. Kiedy o 6.37 promienie słońca zaczęły sączyć się przez szczeliny między zasłonami wiszącymi w sięgających od podłogi do sufitu oknach, Drew bezszelestnie wyślizgnął się z łóżka. Karin de Vries nawet nie drgnęła, pogrążona w głębokim śnie. Latham włożył cywilne ubranie, po czym przeszedł do salonu, gdzie czekali już na niego dwaj komandosi, obaj w nie rzucających się w oczy kurtkach i spodniach.

- Mówiłem przecież, że jeden z was musi tu zostać - przypomniał im Drew.
- Rzucaliśmy monetę i wypadło na mnie, choć moim zdaniem to zupełnie bez sensu. Jestem wyższy stopniem i mam większe doświadczenie, więc...
- Doświadczenie może ci się przydać, bo kto wie, czy nie czeka cię cięższa robota. Co prawda na zewnątrz w pełnym pogotowiu są marines z ambasady, ale nie uda im się wejść do hotelu bez zaalarmowania czujek neonazistów, jeśli ci pomyśleli o ich wystawieniu. A jeśli pomyśleli, to jesteś zdany na własną broń i na radio: im szybciej wezwiesz posiłki, tym lepiej.
- Naprawdę przypuszcza pan, że ci dranie przeniknęli aż tak głęboko? - zapytał kapitan.
- Mój brat zginął wtedy, kiedy teoretycznie znajdował się pod ścisłą ochroną, Claude Moreau został zabity na własnym terenie... Czy trzeba czegoś więcej?
- Chyba powinniśmy ruszać - wtrącił się porucznik. - Dobrze pilnujcie tej damy, kapitanie. Jest naprawdę niezwykła... z czysto naukowego punktu widzenia, ma się rozumieć.
- Proszę, nie łam mi serca - warknął Drew. - Samochód czeka przy tylnym wyjściu. Wymkniemy się przez piwnicę.

- Monsieur Latham! - Strażnik pilnujący wjazdu do podziemnego garażu pod siedzibą Deuxieme był bliski leż. - Cóż to za tragedia! I pomyśleć, że wydarzyła się właśnie tutaj, gdzie nikomu nic nie powinno zagrażać]
- Co mówi policja? - zapytał Drew, nie spuszczać wzroku z twarzy mężczyzny.
- Są tak samo zaszokowani jak my. Nasz znakomity dyrektor, niech spoczywa w spokoju, został zastrzelony wczoraj rano. Ciało znaleziono w najdalszym zakątku garażu. Wszyscy byliśmy przesłuchiwać przez Surete: pytali, gdzie wtedy byliśmy; co robiliśmy, i tak dalej... Powiadam panu, to trwało bez końca, a nowy dyrektor miotał się jak rozwścieczony tygrys w klatce!
- Sprawdzano listę osób, które opuszczały budynek?
- Certainement! Z tego co wiem, wszystkich tymczasowo aresztowano, ale dalej nic nie wiadomo.
- Czy ludzie przyjechali już do pracy? Jest jeszcze dosyć wcześnie...
- Większość, monsieur. Podobno na każdym piętrze odbywają się gorączkowe narady. Widzi pan? Już trzy samochody czekają na wjazd. Wszystko jest tohubohul
- Proszę?
- Wszystko stanęło na głowie - przetłumaczył porucznik Anthony. Latham podziękował strażnikowi, wrzucił bieg i wjechał do obszernego podziemnego garażu.
- Trzymajcie palec na spuście, poruczniku - powiedział półgębkiem do swego pasażera, jadąc powoli między rzędami nieruchomości pojazdów.
- Spokojna głowa, szefie.
- Wiesz co? Strasznie mnie wpienia, kiedy nazywacie mnie szefem.
- Nie rozumiem dlaczego; zasłużył pan sobie na ten tytuł. Myśli pan, że mógł tu się ukryć jakiś szurnięty neonazista? - Wiedziałbym na pewno, gdybym zdołał zamienić parę słów z twoim kolegą w hotelu.
- Więc czemu pan do niego nie zadzwoni? Przecież ma pan telefon komórkowy.
- Bo nie Chcę budzić Karin. Natychmiast popędziłyby za nami, a nie mam najmniejszego zamiaru do tego dopuścić.
- Hmm... Zdaje się, że powinienem panu o czymś powiedzieć. - O czym?
- Kilka godzin temu, jak tylko zameldowaliśmy się w tym eleganckim hotelu, a jeszcze zanim zadzwonił pan do Deuxieme, żeby powiedzieć im o naszym przyjeździe, Dietz sprawdził wszystkie aparaty. Nigdzie nie znalazł podsłuchu, więc odłączył aparat w waszej sypialni...
- Co takiego?
- Obaj doszliśmy do wniosku, że potrzebujecie trochę snu. Spójrzmy prawdzie w oczy: jesteśmy młodszy od was, w lepszej formie fizycznej, więc...
- Czy moglibyście przestać zabawiać się w harcerzy pomagających przejść staruszcze przez jezdnię?! - ryknął Drew, po czym wyszarpnął aparat z kieszeni i wystukał pospiesznie numer.
- Na razie to ja dyryguję przedstawieniem!
- Gdyby dzwoniło w jakiejś ważnej sprawie, na pewno byśmy pana obudzili.
- Proszę z apartamentem dwieście dziesięć - powiedział Drew do telefonu. Kapitan podniósł słuchawkę po pierwszym sygnale.
- Tak?
- Tu Latham. Jak wygląda sytuacja?
- Zdaje się, że miał pan rację - odparł komandos przyciszonym głosem. - Kilka minut temu dostałem przez radio informację od naszych opiekunów z ambasady. Przed hotel zajechał jakiś samochód, z którego wyszło dwóch cwaniaków i pojedynczo weszli do budynku. - Czy to naziści?
- Jeszcze nie wiemy, ale lada chwila powinienem otrzymać wiadomość z recepcji... Momencik, właśnie zaświeciła się kontrolka. - Po kilku sekundach, które Lathamowi wydawały się godzinami, w słuchawce ponownie rozległ się głos kapitana Dietza: - Teraz już na pewno wiem, że miał pan rację. Pojechali na drugie piętro. - Wezwij marines!

- Myśli pan, że tego nie zrobię? Nagle w garażu za plecami Lathama rozległo się niecierpliwe trąbienie.
- Chyba zajął pan komuś miejsce - zauważył porucznik.
- Powiedz im, żeby spływali!
- Nie lepiej po prostu się przesunąć?
- Więc potrzymaj telefon. Boże, naziści właśnie weszli do hotelu! Jadą na drugie piętro! Drew przestawił samochód w inne miejsce.
- Cisza na linii - poinformował go porucznik. - Dietz to cwana bestia: gorzko pożałują, jeśli podejdą pod drzwi.
- O niczym nie melduje?
- Odłożył słuchawkę, jeśli o to panu chodzi.
- Natychmiast zadzwoń do niego!
- To chyba nie najlepszy pomysł. Teraz ma na głowie inne problemy.
- Cholera! - wybuchnął Drew. - A jednak miałem rację! Weszli do windy w towarzystwie pięciu mężczyzn i dwóch kobiet; wszyscy mówili szybko, głośno, przekrzykując się nawzajem, wszyscy mieli posępne twarze i niespokojne oczy. Latham przyglądał się im uważnie, odruchowo nacisnąwszy ten sam guzik co podczas poprzedniej wizyty w gmachu Deuxieme. Współpasażerowie wysiadali na niższych piętrach, więc kiedy winda zatrzymała się na ostatnim, byli w niej tylko on i porucznik.
- O czym oni mówili? - zapytał komandosa. - Nie wszystko udało mi się zrozumieć.
- Nikt nie wie, co się właściwie dzieje, ale ludzi niepokoi przede wszystkim perspektywa utraty pracy.,
- To chyba oczywiste. W sytuacji takiej jak ta wszyscy są podejrzani. Najczęściej dochodzi do zmian na stanowiskach kierowniczych, a jak to się mówi "nowa miotła najlepiej zmiata". - Chce pan przez to powiedzieć, że przy okazji sporo dzieci wylewa się razem z kapielą?
- Właśnie. Winda zatrzymała się, drzwi otworzyły z sapnięciem i dwaj mężczyźni wyszli do niewielkiego holu, z którego rozchodziły się we wszystkie strony długie korytarze. Latham skierował się do biurka, za którym siedziała recepcjonistka. - Je m'appelle Drew...
- Wiem, kim pan jest - przerwała mu uprzejmie kobieta. Kilka dni temu był pan u Monsieur le Directeur. Wciąż jeszcze nie możemy dojść do siebie po tej tragedii.
- Ani ja. Był moim przyjacielem.
- Zawiadomię nowego dyrektora, że pan przyszedł. Przyjechał tu prosto z Beauvais i...
- Wolalbym, żeby pani tego nie robiła.
- Słucham? "
- Z pewnością ma na głowie tyle problemów, że byłoby głupotą z mojej strony narzucać mu się właśnie w tej chwili. Tym razem nie sprowadza mnie tu żadna ważna sprawa; po prostu zostawiłem kilka rzeczy w waszym wozie i chciałbym je odzyskać. Czy zastałem agenta o imieniu Francois? Zdaje się, że to właśnie on przywiózł dyrektora z Beauvais.
- Zgadza się. Owszem, jest u siebie. Mam do niego zadzwonić? - Szkoda fatygi. Z pewnością natychmiast zawiadomi Jacques'a... to znaczy waszego nowego dyrektora, a ja naprawdę nie chcę sprawiać mu kłopotu. Szczególnie z powodu takiego głupstwa jak para butów.
- Butów?
- Francuskich, potwornie drogich, ale tak wygodnych, że nie żałuję tego wydatku.
- Naturellement. Recepcjonistka nacisnęła guzik na konsolce; rozległ się brzęczyk i drzwi prowadzące do pierwszego korytarza z prawej strony otworzyły się z delikatnym pstryknięciem. - Francois urzęduje w trzecim pokoju po lewej stronie. - Dziękuję pani. Aha, przy okazji: to jest major Anthony z Sił Specjalnych Armii Stanów Zjednoczonych. - Porucznik spojrział ze zdziwieniem na Lathama, który szybko mówił dalej: - Zaczeka tutaj, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. Mówi płynnie po francusku, a nawet w urdu, jeśli się nie mylę.
- Bonjour, madame. Mon plaisir.

- Je vous en prie, Major. Drew wszedł do wąskiego, pomalowanego na szaro korytarza, zatrzymał się przy trzecich drzwiach po lewej stronie, zastukał tylko raz, nacisnął klamkę i wkroczył do pokoju. Kompletnie zaskoczył Francois, który spał z głową na biurku. Francuz poderwał się raptownie i spojrzał na niego nieprzytomnym wzrokiem.

- Questce qui se passę?

- Jak się masz, ciigancie? - zapytał Latham, zamykając za sobą drzwi. - Uciąłeś sobie małą drzemkę? Zazdroszczę ci, bo dosłownie lecę z nóg.

- Monsieur Latham! Co pan tutaj robi?

- Wydaje mi się, że dobrze wiesz, Francois.

- Mon Dieu, o czym mam wiedzieć?

- Bardzo blisko współpracowałeś z Claude'em, prawda? Znał twoją żonę, jak jej tam... Yvonne, twoje dwie córeczki... - Oui, monsieur, ale nie byliśmy zaprzyjaźnieni. Zawsze zachowywał pewien dystans.

- Jesteś też zrośnięty z Bergeronem, waszym nowym szefem. - Zrośnięty?...

- Ty i Jacques, Jacques i ty... Najlepszy kierowca i najlepszy podkomendny Moreau, zawsze razem, nierozdzielni, od wielu lat niczym syjamskie bliźnięta, a raczej trojaczki... Prawdziwi muszkietrzy. Wszyscy zdążyli się do tego przyzwyczaić, nikomu nie daje to nic do myślenia.

- Nie rozumiem ani słowa z tego, co pan mówi, monsieur!

- Chyba jednak rozumiesz, bo to przecież nic skomplikowanego. Czy kogokolwiek zdziwiłby widok was trzech razem, albo rozpacz dwóch pozostałych po tym, jak zastrzelono trzeciego? Zgadnij, kto odebrał telefon, kiedy kilka godzin temu zadzwoniłem do Jacques'a, żeby poinformować go, gdzie się zatrzymaliśmy? - Nie muszę zgadywać. Rozmawiał pan ze mną, monsieur Latham.

- Zdaje się, że teraz każdy z was awansuje o jeden szczebel, zgadza się?

- Naprawdę nie mam pojęcia, do czego pan zmierza! Francois niby przypadkiem oparł się o biurko, pochylił, po czym błyskawicznie otworzył górną szufladę, ale zanim zdołał do niej sięgnąć, Drew rzucił się błyskawicznie naprzód i zatrzasnął ją z ogromną siłą, przycinając palce agenta Deuxieme, Francuz otworzył usta do krzyku, lecz nie zdołał wydać żadnego dźwięku, ponieważ otrzymał cios pięścią w twarz. Agent runął wraz z krzesłem na podłogę, Drew zaś pochylił się nad nim, chwycił oburącz za gardło, podciągnął do ściany, rąbnął w nią głową oszłomionego mężczyzny, po czym cofnął się o krok, mierząc w niego z pistoletu, który wyjął z szuflady.

- Teraz pogadamy, cigancie. Mam nadzieję, że powiesz mi sporo interesujących rzeczy, bo jeśli nie, to lepiej już zacznij żegnać się z życiem.

- Ja mam rodzinę! Żonę i dzieci! Nie zrobiłby pan tego, monsieur!

- Czy wiesz, ile rodzin, ile kobiet i dzieci zostało zamordowanych w obozach koncentracyjnych? Czy wiesz, ile matek musiało patrzeć, jak ich synowie i córki idą do gazu? Czy wiesz, ilu ludzi zakatowano na śmierć?

- Mnie wtedy jeszcze nie było na świecie!

- Chcesz powiedzieć, że nawet o tym nie słyszałeś? Przecież wśród nich było wielu Francuzów, twoich ziomków! Nigdy nie przyszło ci to do głowy?

- Pan nic nie rozumie, monsieur. Oni potrafią każdego zmusić do współpracy...

- W jaki sposób? Pamiętaj: jeśli będziesz kłamał, nie zawaham się nacisnąć spustu. Celuję w szyję, więc nie masz najmniejszych szans na przeżycie. Potrafię poznać po oczach, kiedy ktoś kłamie, a kiedy mówi prawdę. Oczywiście, każdy może popełnić błąd, ale mam nadzieję, że mnie się to nie przytrafi... Jaques Bergeron jest jednym z nich, zgadza się?

- Tak. Jak się pan domyślił?

- Kiedy jesteś zmęczony i zdezorientowany, analizujesz w myślach każde wydarzenie, zastanawiasz się nad każdą błahostką. To musiał być ktoś mający dostęp do najważniejszych informacji, ktoś kto wiedział, gdzie w danym momencie znajduje się każdy z graczy. Początkowo podejrzewaliśmy Moreau; znajdował się na czarnej liście, więc zakazano nam z nim współpracować. Cholera, nawet ja nie mogłem powiedzieć mu ani słowa! Potem jednak

został oczyszczony z zarzutów przez jedyne go człowieka, który mógł to zrobić, to znaczy przez mojego szefa. Kto nam wtedy pozostał? Kto zawsze wiedział, gdzie jestem, wszystko jedno czy to była restauracja w Villejuif, czy jakiś hotel? Kto wiedział, że ja i Karin spotkaliśmy się z Claude'em w kawiarnianym ogródku? Na pewno wszyscy byśmy wtedy zginęli, gdyby nie właściciel, który wyprowadził nas tylnym wyjściem. Kto zainscenizował strzelaninę w metrze, kto przysięgał, że widział Harry'ego Lathama za szybą wagonika? Nie mogło tam być żadnego Harry'ego Lathama, ponieważ ja nim jestem! Odpowiedź na te wszystkie pytania była taka sama: Jacques. - Ja nic o tym nie wiem! Przysięgam na Chrystusa konającego na krzyżu: nic nie wiem!

- Ale wiesz, że Jacques Bergeron jest neonazistą? Przypuszczalnie najlepiej zakonspirowanym i najwyższym postawionym w całej Francji. Zgadza się?

- Tak... - wyszeptał ledwo słyszalnie Francois. - Nie miałem wyboru: musiałem trzymać język za zębami i robić, co mi każe. - Dlaczego?

- Zabiłem człowieka, a Jacques to widział.

- Zabiłeś? W jaki sposób?

- Udusiłem go. Proszę mnie zrozumieć: pracuję wiele godzin, czasem nie zjawiam się w domu przez kilka dni, rodzina czuje się zaniedbana... Cóż więcej mogę powiedzieć?

- Sporo, jak mi się wydaje.

- Moja żona znalazła sobie kogoś. Natychmiast się zorientowałem. Każdy by się zorientował. Wykorzystałem swoje znajomości, żeby go znaleźć.

- To chyba nie mieściło się w zakresie twoich służbowych obowiązków?

- Oczywiście, że nie. Nie wiedziałem jednak, że Jacques śledzi każdy mój ruch, ani na chwilę nie spuszcza mnie z oka... Umówiłem się na spotkanie z tym cholernym fryzjerem, który dziesięć razy zmieniał pracę i miał więcej długów, niż zdołałby spłacić przez pięćset lat. Spotkaliśmy się w odludnej alejce na Montparnasse. Pozwalał sobie na świńskie uwagi pod adresem mojej żony, wyśmiewał się z niej i ze mnie. Wściekłem się i zamordowałem go. Wcale nie żałowałem, że to zrobiłem. U wylotu alejki czekał na mnie Bergeron.

- Miał cię w garści.

- Właśnie. Wystarczyło jedno jego słowo, a resztę życia spędziłbym w więzieniu. Robił zdjęcia w podczerwieni. Wszystko było widać jak na dłoni.

- Odniosłem wrażenie, że między tobą a twoją żoną wszystko jest w porządku...

- Ma pan do czynienia z Francuzami, monsieur. Poza tym, ja też nie jestem święty. Najpierw zawarliśmy rozejm, potem trwały pokój, a teraz naszemu małżeństwu już nic nie zagraża. Poza tym, są przecież dzieci.

- Współpracowałeś z nazistą! Potrafisz to jakoś usprawiedliwić? - A co pan by zrobił, gdyby groziło panu dożywocie? Żona, dzieci... Chodziło mi przede wszystkim o ich dobro. Poza tym, nigdy nie zabiłem dla niego. Nigdy! Inni to robili, ja zawsze odmawiałem. Latham ruchem głowy wskazał krzesło.

- Siadaj i słuchaj uważnie: zawrzemy teraz umowę, bo jak nie, to już po tobie. Jeśli się nie myślę, a wierzę, że nie, to ty i Jacques jesteście tu jedynymi neonazistami, w dodatku ty działasz pod przymusem, nie z własnej woli. Jeden pan, jeden niewolnik... Doskonały układ, najlepszy z możliwych. Możesz dowieść swoich dobrych chęci postępując według moich wskazówek. Jeśli tego nie zrobisz, osobiście dopilnuję, żebyś przeniósł się na tamten świat. Czy wyrażam się wystarczająco jasno?

- Czego pan chce ode mnie? I jaką mam gwarancję, że te fotografie nie trafią w ręce ludzi, którzy poślą mnie do więzienia? - Żadnej, ale okoliczności przemawiają na twoją korzyść, bo wydaje mi się, że Bergeronowi będzie bardziej zależeć na tym, żeby samemu nie trafić przed pluton egzekucyjny, niż na tym, żeby ciebie tam posłać.

- We Francji nie wykonujemy egzekucji w taki sposób, monsieur.

- Czy z ciebie naprawdę takie niewiniątko, czy udajesz pierwszego naiwnego? O tych rzeczach nie informuje się w oficjalnych komunikatach; one po prostu zdarzają się, i to wszystko. Francois z wysiłkiem przelknął ślinę.

- A więc, o co chodzi?
- Jeśli mnie pamięć nie myli, Jacques urzęduje na tym samym piętrze, tyle że w innym skrzydle?
- Zgadza się. W tej sekcji mieszczą się pokoje personelu niższego rangą.
- Ale chyba masz do niego dostęp, prawda? Możesz poruszać się bez przeszkód po całym budynku?
- Jeśli chce pan wiedzieć, czy mogę zaprowadzić pana do jego biura, to owszem, mogę.
- Nie anonsując wcześniej naszego przybycia?
- Nie muszę tego robić. Mam przepustkę, dzięki której mogę korzystać z korytarza dostępnego wyłącznie dla najważniejszych funkcjonariuszy. To chyba oczywiste.
- Chyba tak. W takim razie, idziemy.
- Co mam potem robić?
- Wrócisz tutaj, usiądziesz za biurkiem i będziesz trzymał kciuki, żeby się wszystko udało.
- A pan, monsieur Latham?
- Ja też będę trzymał kciuki. Kapitan Christian Dietz odłożył krótkofalówkę na półkę i zajął pozycję po lewej stronie drzwi łączących korytarz z głównym salonem apartamentu. Po chwili do jego uszu dotarł odgłos ostrożnych kroków, które umilkły za drzwiami. Z bronią gotową do strzału zastanawiał się, czy nieprzyjaciel zdobył uniwersalny klucz, czy też będzie starał się wtargnąć przy użyciu siły. Bardzo szybko okazało się, że wróg wybrał drugą ewentualność. Ciszę przerwał donośny loskot, dwuskrzydłowe drzwi runęły z trzaskiem na podłogę, do pokoju zaś wpadli dwaj mężczyźni z pistoletami w rękach. Rozglądali się szybko we wszystkie strony, niepewni, co czynić dalej.
- Rzucić broń i ręce do góry! - krzyknął Dietz, wybawiając ich z kłopotu. Stojący bliżej drzwi odwrócił się gwałtownie i nacisnął spust; rozległo się przytłumione pyknięcie, ale pocisk trafił w ścianę, natomiast komandos rzucił się na podłogę, przetoczył dwa metry w bok i strzelił, trafiając przeciwnika w brzuch. Nazista zgiął się wpół i osunął na ziemię. Jego oszołomiony kompan opuścił rękę, w której trzymał pistolet. Dwie sekundy później do apartamentu wpadli trzej marines. Niespodziewanie otworzyły się drzwi sypialni i stanęła w nich Karin de Vries.
- Wracaj! - ryknął Dietz. Karin cofnęła się natychmiast, ale nazista zdążył podnieść broń i oddać strzał; kula ugodziła ją w ramię, a zaraz potem kobieta zniknęła z pola widzenia niedoszłego zabójcy.
- Nie strzelać! - krzyknął Dietz. - Musimy mieć go żywcem. - Spróbujemy, kolego - odparł jeden z marines, mierząc z colta kaliber .45 w głowę neonazisty. - Rzuć broń, faszystowska świni! Tym razem nazista wykonał polecenie. Gdy tylko jego pistolet upadł na dywan, Dietz przemknął do sypialni, gdzie zaraz za drzwiami leżała na podłodze blada i wystraszona Karin. Komandos ukląkł przy niej, położył sobie jej głowę na kolanach i obejrzał ranę. - Nie jest źle - stwierdził, po czym oddał kawalek rękawa koszuli nocnej, którą miała na sobie, - To tylko draśnięcie. Zaraz zrobimy opatrunek z ręczników.
- Przyniosę ci - zaofiarował się jeden z marines. - Gdzie tu łazienka?
- Za tymi drzwiami. Weź trzy najmniejsze i zwiąż je razem. - Chcesz zrobić opaskę uciskową?
- Coś w tym rodzaju, ale niezupełnie, bo tętnica jest nie naruszona. Aha, i przynieś trochę lodu. Jest w barku.
- Tylko proszę mi nie mówić, że jest pan także lekarzem powiedziała Karin, uśmiechając się słabo.
- Nie podjąłbym się przeprowadzenia operacji mózgu, ale potrafię opatrzeć powierzchowną ranę. Miała pani szczęście: gdyby wyszła pani dwie sekundy wcześniej, mogłoby być dużo gorzej. Boli? - Trochę. I zdrętwiały mi palce.
- Zaraz zawieziemy panią do ambasady, do lekarza z prawdziwego zdarzenia.
- A gdzie Drew? W tej chwili to jest najważniejsze. I co się stało z Gerrym? Jego też nigdzie nie widzę...

- Proszę mi oszczędzić wymówek, pani de Vries. Szefem jest pan Latham, my tylko wykonujemy jego polecenia. Pojechał z Gerrym do Deuxieme. Rzucaliśmy monetę i wyszło na to, że ja muszę zostać.
- Do Deuxieme? Po co?
- Podobno znalazł tam szczura, który przysporzył nam tylu kłopotów.
- Szczura?
- Nazistowską wtyczkę.
- WDeuxieme?
- Tak powiedział.
- Rzeczywiście, wspomniał coś na ten temat w Beauvais, ale kiedy później zapytałam go w samochodzie, zbył mnie mówiąc, że to tylko domysły. A wy przez cały czas wiedzieliście o wszystkim! - Chyba nie chciał pani w to mieszać.
- Są ręcniki! - oznajmił tryumfalnie żołnierz, wybiegając z łazienki. Rzucił ręcniki Dietzowi, po czym natychmiast wrócił do salonu, by pomóc kolegom. Co prawda jeden nazista był martwy albo nieprzytomny, ale drugi nie przejawiał nadmiernej chęci do współpracy, co oznaczało konieczność zastosowania bardziej zdecydowanych metod w celu zmuszenia go do posłuszeństwa.
- Będziemy w kontakcie, kapitanie... Bo jest pan kapitanem, prawda?
- W moim fachu stopień nie ma większego znaczenia, kapralu. Zobaczmy się później.
- Sam pan rozumie: musimy się jak najprędzej stąd związać. Przepraszam, że nie przyniosłem lodu, ale...
- Więc znikajcie! Oddział marines błyskawicznie wykonał polecenie, zabierając ze sobą obu więźniów. Zaraz potem zadzwonił telefon.
- Proszę leżeć spokojnie i nie poruszać ramieniem - polecił komandos, pomagając Karin ułożyć się na dywanie. - Muszę odebrać telefon.
- Jeśli to Drew, to niech mu pan powie, że jestem na niego wściekła! Okazało się jednak, że dzwoni recepcjonista.
- Musicie natychmiast opuścić hotel! - powiedział stanowczo po francusku. - Nawet nasza współpraca z Deuxieme musi mieć jakieś granice! Goście skarżą się na okropne hałasy, strzały i krzyki! - La passion du coeur! - odparł Dietz. - Potrzebuję pięciu minut. Potem możecie wzywać policję, ale dajcie mi pięć minut! - Zobaczę, co się da zrobić. Komandos odłożył słuchawkę i wrócił do Karin.
- Zmywamy się - oświadczył. - Wyniosę panią, żeby...
- Mogę iść o własnych siłach - zapewniła go kobieta.
- Miło mi to słyszeć. Wobec tego zejdziemy po schodach, to tylko dwa piętra.
- A co z naszymi ubraniami i bagażem? Chyba nie chce pan, żeby wpadły w ręce policji?
- Cholera!... Proszę mi wybaczyć, ale ma pani rację. - Kapitan podbiegł do telefonu i pospiesznie wykręcił numer recepcji. - Jeśli chce pan, żebyśmy sobie poszli, proszę przysłać jakiegoś sprytnego chłopaka do pakowania walizek. Zniesie je później na dół, a jeśli okaże się, że niczego nie zwędził, dostanie pięćset franków. - Naturellement.
- Daccord. Komandos rzucił słuchawkę na widelki.
- Znikamy! - Wziął z fotela przewieszony przez oparcie męski płaszcz przeciwdeszczowy i podał go Karin. - Proszę to włożyć. Ostrożnie, pomogę pani. Tak, pomału... Znakomicie. Na pewno może pani iść?
- Oczywiście. Przecież jestem ranna w ramię, nie w nogę... Trochę boli.
- Będzie bolało aż do chwili, kiedy obejrzy panią prawdziwy lekarz. Ostrożnie!
- A co z Drew i Gerrym?
- Przyznam, że nie mam pojęcia, ale coś pani powiem: ten bystrzak z Operacji Konsularnych, o którym początkowo nie miałem najlepszego zdania, to fachowiec najwyższej klasy. Nie działa na niego żadna zasłona dymna, jeśli wie pani, co mam na myśli.
- Nie za bardzo, kapitanie - odparła Karin, idąc wraz z komandosem w kierunku schodów. - O jakiej zasłonie dymnej pan mówi?

- O tej, która nie pozwala nam dojrzeć prawdy. On mimo zasłony zmierza prosto do celu, ponieważ ma instynkt, albo szósty zmysł, jak kto woli.
- Jest bardzo przewidujący i dokładny, prawda?
- Powiem więcej: po prostu ma talent. Bez wahania powierzyłbym mu swoje życie. To właśnie taki oficer prowadzący, jaki mi odpowiada.
- Całkowicie się z panem zgadzam, kapitanie, choć może dałabym wyraz swoim uczuciom w nieco inny sposób.

Drew bez pukania otworzył nie wyróżniające się niczym szczególnym drzwi gabinetu nowego dyrektora Deuxieme, wszedł do pokoju i zamknął je za sobą. Jacques Bergeron stał przy oknie, spoglądając przez szybę; odwrócił się gwałtownie i na widok Lathama wybałuszył oczy.

- Drew! - wykrzyknął ze zdumieniem. - Nikt mnie nie uprzedził, że tu jesteś!
- Bo nie chciałem, żebyś o tym wiedział.
- Dlaczego?
- Ponieważ mógłbyś wtedy skorzystać z jakiegoś pretekstu, by umknąć spotkania, tak jak zrobiłeś kilka godzin temu, kiedy zadzwoniłem, żeby powiedzieć ci, gdzie jesteśmy. Połączono mnie wtedy z Francois.
- Na litość boską, człowieku! Przecież my tutaj zajmujemy się jednocześnie dziesiątkami spraw! Poza tym, Francois jest teraz moim pierwszym zastępcą. Już jutro przeprowadzi się do tego skrzydła budynku.
- Będzie wam tu wtedy jak w gniazdku.
- Słucham?... Wybacz mi, jeśli cię uraziłem, ale naprawdę powinieneś okazać mi więcej zrozumienia. Musiałem wydać polecenie, żeby nie łączono żadnych rozmów, chyba że dzwoniłby prezydent albo któryś z ważniejszych ministrów, bo ani na chwilę nie mógłbym oderwać się od telefonu! Tyle jeszcze mamy problemów do rozwiązania! Muszę mieć czas, żeby się nad nimi spokojnie zastanowić.
- Doskonale cię rozumiem, Jacques, choć podejrzewam, że miałeś wystarczająco dużo czasu na rozmyślanie. Wiele lat, żeby być dokładnym. Przed chwilą Francois potwierdził moje podejrzenia. Przypuszczalnie to ty napuściłeś na jego żonę tego nieszczęsnego fryzjera. Cóż znaczy dla ciebie jedno mało niewiele znaczące ludzkie istnienie? Łagodna twarz szefa Deuxieme w ułamku sekundy zamieniła się w oblicze wyciosane z granitu, a dwoje przyjaznych oczu w szklane kule płonące lodowatą nienawiścią.
- Jak do tego doszedłeś? - zapytał głosem niewiele donośniejszym od szeptu.
- Nie będę zanudzał cię szczegółami. Wystarczy, jeśli powiem, że wszystko obmyśliłeś po mistrzowsku, z istic zegarmistrzowską precyzją. Byłeś dla Moreau tym, kim Sancho Pansa był dla Don Kichota: uczniem wielbiącym mistrza, sługą podziwiającym pana, krok po kroku zdobywającym jego przyjaźń i zaufanie, gotowym służyć mu o każdej porze dnia i nocy. Tylko ty mogłeś w każdej chwili wiedzieć, gdzie jestem ja, gdzie jest mój brat, Karin i sekretarka Moreau. Niestety, wykazałeś jedynie pięćdziesięcioprocentową skuteczność: zabiłeś Harry'ego i sekretarkę Moreau, natomiast spieprzyłeś sprawę z Karin i ze mną.
- Jesteś już trupem, Drew - oświadczył niemal uprzejmym tonem dyrektor Deuxieme. - Wszedłeś na moje terytorium i już z niego nie wyjdiesz.
- Na twoim miejscu nie wysnuwałbym zbyt pochopnych wniosków. W holu, przy recepcji, został znany ci skądinąd porucznik Anthony. Jestem pewien, że zdołał już dodzwonić się do ambasadora Courtlanda, który zażądał natychmiastowego spotkania z waszym prezydentem i całym rządem. Zdaje się, iż w języku dyplomacji nazywa się to roboczym śniadaniem".
- Dlaczego tak myślisz?
- Ponieważ po rozmowie z Francois nie powiedziałem mu, żeby tego nie robił. Ustaliliśmy, że zaczeka osiem minut. Tyle powinno wystarczyć na wyjaśnienie wszelkich wątpliwości. Wiesz, kiedy wszystko schrzaniłeś? Przysyłając do hotelu tych dwóch zbirów. Dostałem wiadomość od naszych marines. W całym Paryżu tylko ty i Francois wiedzieliście, gdzie się zatrzymamy.
- Od marines?...

- Tak, Jacques. Nie mam najmniejszej ochoty ginąć śmiercią bohatera.
 - Bzdura! Nie masz żadnych dowodów, a ja wszystkiemu stanowczo zaprzeczę! Zostałem mianowany przez samego prezydenta!
 - Jesteś sonnenkindem, Dzieckiem Słońca, ty draniu.
 - Idiotyzm! W jaki sposób zamierzasz to udowodnić?
 - Istotnie, będę musiał oprzeć się na poszlakach, ale te poszlaki w połączeniu z faktami mogą przekonać nawet największego niedowiarka. Na samym początku, jak tylko zacząłem cię podejrzewać, zabawiałem się jednocześnie w prokuratora i obrońcę ponieważ wcale nie byłem do końca przekonany o twojej winie. Wczoraj, podczas podróży z Beauvais, zadzwoniłem do niejakiego Joela, który obsługuje nasze komputery AAZero W ambasadzie, i poprosiłem, żeby przekazał mi wszystkie informacje jakie mamy na twój temat. Dowiedziałem się, że pięćdziesiąt jeden lat temu zostałeś adoptowany przez bezdzietne małżeństwo, państwa Bergeron z Lauterbourga w pobliżu granicy z Niemcami. Byłeś wyśmienitym uczniem i studentem, otrzymywałeś najrozmaitsze stypendia, przeszedłeś jak burza przez szkołę średnią i uniwersytet. Mogłeś wybrać zawód, który uczyniłby cię bogatym, ty jednak wybrałeś służbę państwową, a konkretnie pracę w wywiadzie. W tej branży raczej trudno zrobić większy majątek.
 - Poszedłem za głosem powołania!
 - Nie wątpię. Zawsze byłeś tam, gdzie i kiedy należało. Zapytam z ciekawości: co czułeś, kiedy ta wasza cholerna "Wodna Błyskawica" wzięła w łeb? Nie mogłeś temu zaradzić, bo na pomysł z szybowcami wpadliśmy już po twoim wyjeździe. Na pewno musiałeś się wtedy nieźle wściec: Ein Volk, ein Reich, ein göwno! - Jesteś szaleńcem! Wygadujesz jakieś niewiarygodne bzdury! - Wcale nie. Ostateczne potwierdzenie moich podejrzeń uzyskałem od ciebie, podczas twojej przepelnionej skromnością, chwytającej za serce spowiedzi w Beauvais. Zdawałeś sobie sprawę, że prędzej czy później będziesz musiał się wycofać, zanim lina owinie ci się wokół szyi. Naprawdę nie spodziewałeś się zostać szefem Deuxieme. Wiadomość o awansie spadła na ciebie jak grom z jasnego nieba. Byłeś wtedy szczery: wiedziałeś, że w innych wydziałach pracuje paru ludzi znacznie bardziej zasługujących na to wyróżnienie. Oznajmiłeś więc nam, że nie nadajesz się na przywódcę, że jesteś tylko wykonawcą rozkazów, a przecież w ten właśnie sposób tłumaczyli się zawsze wszyscy hitlerowscy zbrodniarze. "Zawsze i wszędzie być posłusznym rozkazom"... czyż to nie podstawa całej nazistowskiej filozofii?
 - Powtarzam raz jeszcze - powiedział Jacques Bergeron lodowatym tonem. - Podczas wojny straciłem oboje rodziców w gruzach zbombardowanego domu. Zostałem adoptowany, a potem całym sercem służyłem mojej ojczyźnie. Jesteś ogarniętym paranoicznymi podejrzeniami amerykańskim mąciwodą. Dopilnuję, żebyś jak najprędzej został wydalony z Francji.
 - Nic z tego, Jacques. Zabilesz mojego brata, a raczej kazałeś go zabić. Nie daruję ci tego. Zetnę ci głowę i wystawię ją na widok publiczny na Pont Neuf, tak jak robili to zwolennicy gilotyny. Pomimo swojej inteligencji i błyskotliwej kariery przeoczyłeś pewien drobny szczegół: Lauterbourg nigdy nie został zbombardowany, ani przez Niemców, ani przez aliantów. Zostałeś przeszmulgowany przez Ren, żeby we Francji zacząć nowe życie. Jesteś Dzieckiem Słońca.
- Bergeron przez dłuższą chwilę stał bez ruchu, w milczeniu wpatrując się w Lathama. Wreszcie na jego twarzy pojawił się pogardliwy uśmiech.
- Nie sposób odmówić ci sprytu, Drew - przyznał. - Ponieważ jednak nie wyjdiesz stąd żywy, możemy uznać, że zmarnowałeś swój talent, nestce pas? Ogarnięty paranoją Amerykanin, od dzieciństwa łatwo ulegający atakom wściekłości i często odwołujący się do przemocy, podjął próbę zamordowania dyrektora Deuxieme... I kto tu jest Dzieckiem Słońca? Na dodatek mój poprzednik, Moreau, nigdy ci nie ufał. Wiele razy powtarzał mi, że go okłamujesz. Jest to w jego notatkach, które pieczołowicie wprowadziłem do komputera.
 - T y je wprowadziłeś?

- Są na twardym dysku, tylko to się liczy, tym bardziej że teraz, kiedy zostałem dyrektorem, nikt oprócz mnie nie ma dostępu do tych materiałów:
- Dlaczego go zabiłeś? Dlaczego kazaleś go zabić?
- Ponieważ tak samo jak ty zaczął krok po kroku zbliżać się do prawdy. Zaczęło się od śmierci Monique, jego sekretarki, i od tego wieczoru w kawiarni, kiedy jakiś fanatyk idiota zastrzelił kierowcę samochodu z amerykańskiej ambasady. To był potworny, niewybaczalny błąd, ponieważ Moreau szybko uświadomił sobie, że oprócz niego tylko ja znałem miejsce twojego pobytu. Monique podałaby każdemu i podała, nawiasem mówiąc - fałszywą informację.
- To zabawne - mruknął Latham. - Ja też właśnie wtedy zacząłem cię podejrzewać. Poza tym, mój brat lecąc z Londynu teoretycznie znajdował się pod opieką Deuxieme... Bergeron uśmiechnął się nieco szerzej.
- To akurat był najmniejszy problem - stwierdził.
- Mam tylko jedno pytanie - powiedział Drew z tłumioną wściekłością w głosie. - Dlaczego nie zaalarmowałeś Berlina albo Bonn, jak tylko Moreau... jak tylko obaj zorientowaliście się, że podszywam się pod Harry'ego?
- Nie bądź idiotą - odparł Bergeron. - Krąg wtajemniczonych był bardzo wąski. Tutaj, w Deuxieme, wiedzieliśmy o tym tylko Claude i ja. Gdyby ktoś wyszedł, że przeciek wyszedł właśnie stąd, byłbym skończony.
- To niezbyt przekonujące wyjaśnienie, słoneczny bękarcie stwierdził Drew, patrząc Bergeronowi prosto w oczy.
- Po raz kolejny dowiodłeś swoich nadzwyczajnych talentów. Istotnie, prawdziwy powód był nieco inny. Doszedłem do wniosku, że lepiej pozwolić innym popełniać błędy, a potem pogalopować ze wzniesionym mieczem i poprowadzić za sobą legiony, które okrzykną mnie swoim wodzem... Krótko mówiąc, czekałem na sprzyjającą sposobność. Wasi amerykańscy politycy są niekwestionowanymi mistrzami w tej dziedzinie.
- Znakomicie, Jacques. Ciekaw jestem, jak spodoba ci się wiadomość, że nasza rozmowa była transmitowana przez miniaturowy nadajnik i została zarejestrowana przez magnetofon, który ma przy sobie porucznik Anthony? Nie uważasz, że ta nowoczesna technologia potrafi dokonywać prawdziwych cudów?

* * *

ROZDZIAŁ 42

Jacques Bergeron z przeraźliwym krzykiem rzucił się do biurka, chwycił ciężki przycisk do papieru, cisnął nim w okno, wybijając szybę, następnie zaś z siłą, jakiej trudno było się spodziewać po niezbyt wysokim, lekko otyłym mężczyźnie, dźwignął fotel i pchnął go w stronę Lathama, który właśnie wyciągnął zza paska pistolet Francois.

- Nie rób tego! - ryknął Drew. - Nie chcę cię zabijać! Wysłuchaj mnie, na litość boską! Było już jednak za późno, gdyż w ręku Bergerona nie wiadomo skąd pojawił się mały rewolwer. Dyrektor Deuxieme naciskał raz po raz spust, zmuszając Lathama, by dał rozpaczliwego nura za biurko, po czym podbiegł do drzwi, otworzył je gwałtownym szarpnięciem i wypadł na korytarz.

- Zatrzymajcie go! - krzyknął Drew, podnosząc się z podłogi i wybiegając za Bergeronem. - Nie, zaczekajcie! Wszyscy z drogi! On ma broń! Zejść mu z drogi! Na korytarzu zapanował trudny do opisanego chaos. Rozległy się dwa strzały; kobieta i mężczyzna, którzy właśnie wybiegli z jednego z pomieszczeń, osunęli się na podłogę, ranni albo nieżywi. Skulony w pół Latham popędził zygzakiem za nazistą.

- Gerry, uważaj na niego! - darł się co sił w płucach. - Zaraz dotrze do holu! Strzelaj w nogi! Rozkaz okazał się jednak spóźniony. W chwili kiedy Bergeron wbiegł do holu, porucznik Anthony właśnie wychodził z jednej z wind. Nazista natychmiast strzelił; był to już ostatni pocisk w magazynku, gdyż zaraz potem rozległ się metaliczny stukot iglicy, ale pocisk trafił komandosa w prawe ramię. Porucznik chwycił się lewą ręką za łokieć i zaczął nieporadnie

gmerać przy kaburze, podczas gdy kobieta siedząca za biurkiem wrzasnęła przeraźliwie i osunęła się na podłogę.

- Nigdzie nie pojedziesz! - krzyknął Anthony z twarzą wykrzywioną grymasem bólu. Wciąż usiłował wydobyć broń, lecz wszystko wskazywało na to, iż nie zdoła tego uczynić. - Zablokowałem obie windy!

- Mylisz się! - Bergeron wpadł do najbliższej windy, a chwilę potem metalowe drzwi zaczęły zamykać się z cichym sykiem. - Znam kod, który likwiduje wszelkie blokady! To wy nigdzie nie pojedziecie! Z korytarza wybiegł zadyszany Drew.

- Gdzie on jest?

- W windzie - odparł komandos, krzywiąc się z bólu. Myślałem, że udało mi się je zablokować, ale wygląda na to, że spieprzyłem sprawę.

- Jesteś ranny!

- Dam sobie radę. Lepiej niech pan się zajmie tą damą. Latham pomógł recepcjonistce podnieść się z podłogi.

- Dobrze się pani czuje?

- Poczuję się znacznie lepiej, monsieur, kiedy złożę rezygnację - odparła drżącym głosem.

- Czy możemy zatrzymać windę?

- Non. Les directeurs... Proszę mi wybaczyć, dyrektorzy departamentów oraz ich zastępcy znają specjalne kody umożliwiające odblokowanie każdej z wind oraz przyspieszenie jej ruchu. Po wprowadzeniu tych kodów winda przestaje reagować na polecenia z zewnątrz.

- Wobec tego, może choć uda nam się nie dopuścić, żeby opuścił budynek?

- Na jakiej podstawie, monsieur? Przecież to dyrektor Deuxieme!

- Il est un nazi allemand! - wykrzyknął porucznik. Po krótkim wahaniu kobieta skinęła głową.

- Spróbuję, majorze. - Sięgnęła po słuchawkę, wystukała numer, po czym zapytała po francusku: - Widzieliście może dyrektora? To bardzo ważna sprawa. - Wysłuchawszy odpowiedzi powiedziała mer ci, a następnie powtórzyła od początku całą procedurę. Po kolejnym merci odłożyła słuchawkę i spojrzała na czekających w napięciu mężczyzn. - Najpierw zadzwoniłam do podziemnego garażu, gdzie monsieur Bergeron trzyma swój sportowy samochód. Powiedzieli mi, że nie wyjeżdżał. Potem połączyłam się z recepcją w głównym holu. Dyrektor przed chwilą wybiegł w wielkim pośpiechu. Bardzo mi przykro.

- Dziękujemy za dobre chęci - odparł Gerry Anthony, trzymając się za krwawiące ramię.

- Jeśli wolno zapytać... - wtrącił się Latham. - Dlaczego chciała nam pani pomóc? Przecież nie jesteśmy Francuzami, tylko Amerykanami.

- Dyrektor Moreau zawsze wyrażał się o panu z największym podziwem.

- I to wystarczyło?

- No... niezupełnie. W towarzystwie dyrektora Moreau Jacques Bergeron odgrywał rolę serdecznego, życzliwego człowieka, ale kiedy był sam, zamieniał się w arogancką świnię. Pan wydaje mi się znacznie bardziej godny zaufania, a poza tym, monsieur Bergeron zranił tego uroczego majora.

Drew, Karin z zabandażowanym i unieruchomionym ramieniem oraz Stanley Witkowski, który niedawno przyleciał z Londynu, siedzieli w prywatnym apartamencie ambasadora Courtlanda. Dwaj komandosi odpoczywali w hotelu, zabawiając się składaniem wyszukanych zamówień w kuchni i recepcji.

- Zniknął - oznajmił Daniel Courtland, siadając w fotelu obok pułkownika, a naprzeciwko Drew i Karin, którzy zajęli miejsca na kanapie. - Cała francuska policja, wywiad, kontrwywiad i służby specjalne szukają Jacques'a Bergerona, jak na razie bez rezultatu. Jego fotografie trafiły do wszystkich posterunków granicznych i celnych w Europie, ale do tej pory nie mieliśmy żadnego zgłoszenia. Zapewne jest już z powrotem w Niemczech, bezpieczny wśród swoich... kimkolwiek są.

- Koniecznie musimy odszukać ich i zniszczyć - stwierdził Latham. - Co prawda "Wodna Błyskawica" zakończyła się fiaskiem, ale kto wie, co jeszcze trzymają w zanadrzu?

Pokrzyżowaliśmy im nieco plany, lecz to jeszcze nie oznacza, że rozbiliśmy cały ruch. Trzeba dotrzeć do ich głównej kartoteki, czy czegoś w tym rodzaju. Dranie rozproszyli się po całym świecie i nie spoczną, dopóki nie dopną swego. Nie dalej jak wczoraj spłonęły synagoga w Los Angeles i kościół w murzyńskiej dzielnicy Missisipi. Kilku senatorów i kongresmanów, którzy jako pierwsi potępili te akty bandytyzmu, zostało oskarżonych o dwulicowość i ukrywanie rzeczywistych sympatii politycznych. Z każdą chwilą coraz bardziej pograżamy się w chaosie!

- Wiem, Drew. Wszyscy o tym wiemy. Tutaj, w Paryżu, w dzielnicy żydowskiej też doszło do kilku incydentów. Wybijano szyby, a na ścianach pojawiły się napisy "Przypomnijcie sobie Noc Kryształową!" Robi się coraz bardziej nieprzyjemnie.

- Kiedy dziś rano odlatywałem z Londynu, wszystkie gazety rozpisywały się o masakrze kilkorga dzieci z Karaibów, którym jakiś szaleniec powydłubywał oczy - powiedział cicho Witkowski. - Na ubrankach znaleziono zrobione sprayem napisy "Czarnuchy". - Na litość boską, kiedy to się skończy?! - wykrzyknęła Karin. - Kiedy dowiemy się, kim są i gdzie się kryją - odparł spokojnie Drew. Rozległ się dzwonek telefonu stojącego na zabytkowym stoliku, który pełnił rolę biurka.

- Czy mam odebrać, panie ambasadorze? - zapytał pułkownik. - Nie, dziękuję. Sam to zrobię. - Courtland wstał z fotela i podszedł do stolika. - Słucham?... To do pana, Latham. Jakiś człowiek o imieniu Francois.

- Szczerze mówiąc to ostatnia osoba od jakiej spodziewałbym się wiadomości - mruknął Drew. Trzema szybkimi krokami pokonał odległość dzielącą go od ambasadora i wziął od niego słuchawkę. - Tak?

- Monsieur Latham, musimy porozmawiać na osobności.

- Zapewniam cię, że jeśli chodzi o dyskrecję, to ta linia należy do najlepiej na świecie zabezpieczonych przed podsłuchem. Przed chwilą słyszałeś głos ambasadora Stanów Zjednoczonych. Dodzwoniłeś się do jego apartamentu.

- Wierzę panu, bo dotrzymał pan słowa. Jestem przesłuchiwany, ale tylko w związku z tym co wiem, nie w związku z tym kim byłem.

- Byłeś manipulowany jak marionetka. Nic ci nie grozi, naturalnie pod warunkiem że będziesz z nami współpracował. - Nawet nie jestem w stanie wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczny, monsieur. Moja żona także. Długo rozmawialiśmy na ten temat... niczego przed nią nie ukrywałem... i oboje doszliśmy do wniosku, że powinienem do pana zadzwonić, bez względu na to, czy ta wiadomość na cokolwiek się panu przyda.

- O co chodzi?

- O tę noc, kiedy stary Jodelle zastrzelił się w teatrze podczas spektaklu, w którym występował ten aktor JeanPierre Villier. Pamięta pan?

- Nigdy tego nie zapomnę.

- Otóż wczesnym rankiem zaraz po tym wydarzeniu sousdirecteur Bergeron wezwał mnie do swego gabinetu. Przyjechałem natychmiast, ale go nie zastałem. Wiedziałem jednak, że jest w budynku, ponieważ strażnik przy wjeździe do garażu uraczył mnie paroma kwaśnymi uwagami o tym, jak został przez niego potraktowany i że zapewne jestem Bergeronowi potrzebny, by zaprowadzić go do toalety. Czekałem dość długo, aż wreszcie się pojawił. Pod pachą miał teczkę z archiwum, tak starą, że treść zawartych w niej dokumentów nie trafiła jeszcze do komputera. Była aż żółta ze starości.

- To chyba dość niezwykle, prawda? - zapytał Latham.

- W naszym archiwum są tysiące takich teczek, monsieur. Minie wiele lat, zanim zdołamy się ich pozbyć, bo wszystkie trzeba przejrzeć, a dokumenty przepisać na komputerach.

- Dlaczego to trwa aż tak długo?

- Podczas weryfikacji materiałów korzystamy z pomocy konsultantów, a na to potrzebne są pieniądze, których zazwyczaj brakuje.

- Rozumiem. Mów dalej.

- Jacques wręczył mi teczkę i polecił dostarczyć ją osobiście do chdteau w dolinie Loary. Miałem tam pojechać służbowym samochodem Deuxieme, z podpisanym przez niego

dokumentem zapewniającym mi bezkarność w razie zatrzymania przez policję. Powiedział, żebym nie oszczędzał samochodu i wycisnął z silnika ile się da. Zapytałem od niechcienia, czy nie mógłbym zaczekać, aż się zupełnie rozwidni, a on wtedy wpadł we wściekłość i zaczął wykrzykiwać, że wszyscy, a on i ja w szczególności, jesteśmy winni dożgonną wdzięczność człowiekowi, którego tam zastanę, a miejsce, do którego jadę, jest czymś w rodzaju świątyni i że zawsze możemy tam liczyć na opiekę.

- Jakie miejsce? I co to za człowiek?

- Le Nid de l'Aigle. Generał Andre Monluc.

- Coś z orłami?

- Orle Gniazdo, monsieur. Jeśli chodzi o tego Monluca, to słyszałem, że był uważany za wielkiego bohatera. Sam de Gaulle wielokrotnie podkreślał jego zasługi.

- Przypuszczasz więc, że Bergeron mógł właśnie tam znaleźć schronienie?

- Na pewno użył przy mnie słów "świątynia" i "opieka". Poza tym, Jacques jest przecież fachowcem: doskonale wie, jak liczne czyhałyby na niego niebezpieczeństwa, gdyby spróbował przekroczyć granicę. Będzie potrzebował pomocy wpływowych przyjaciół, ale najpierw musi poczekać, aż szum trochę przycichnie. Myślę, że mógłby wybrać to miejsce. Mam nadzieję, że ta informacja przyda się panu na coś...

- Na pewno. Ja z kolei mam nadzieję, że to nasza ostatnia rozmowa. Żegnaj, Francois. - Latham odłożył słuchawkę i odwrócił się do zebranych w apartamencie ambasadora. - Znamy już nazwisko generała, którego tropił Jodelle, tego zdrajcy, któremu udało się oszukać de Gaulle'a. Wiemy też, gdzie mieszka, naturalnie jeśli jeszcze żyje.

- To była bardzo dziwna rozmowa, chłopcze. Może uchylił nam rąbka tajemnicy?

- Nic z tego, Stanley. Zawarłem układ. Ten człowiek odsiedział w piekle znacznie dłuższy wyrok, niż mu się należał, a w dodatku nigdy nikogo nie zabił z rozkazu nazistów. Był tylko chłopcem na posyłki, zmuszonym podstępnie do współpracy. Dałem mu słowo, że nikt się o tym nie dowie.

- Rozumiem cię, bo sam też wiele razy postępowałem w podobny sposób - odezwał się Courtland. - Wobec tego powiedz nam tylko to, co musimy wiedzieć.

- Generał nazywa się Andre Monluc...

- Andre! - przerwała mu Karin. - A więc stąd wziął się ten pseudonim!

- Tak jest. Mieszka w chateau zwanym Orlim Gniazdem, w dolinie Loary. Francois podejrzewa, że Bergeron mógł się tam schronić, ponieważ kiedyś, ogarnięty gniewem, a może i strachem, nazwał to miejsce "świątynią" oraz powiedział, że każdy neonazista może tam zawsze liczyć na opiekę.

- Kiedy konkretnie to powiedział? - zainteresował się Witkowski.

- Dobre pytanie, Stanley. Wtedy kiedy kazał tam zawieźć bardzo starą teczkę, przypuszczalnie z materiałami dotyczącymi Monluca. Było to nad ranem tej samej nocy, kiedy Jodelle popełnił samobójstwo w teatrze.

- Wraz ze zniknięciem teczki znikły też dowody na to, że Jodelle i generał mieli kiedykolwiek coś wspólnego ze sobą - zauważył ambasador. - Czy wiemy coś o tym Monlucu?

- Bezpośrednio nic, bo wszelkie dane na jego temat zniknęły także z Waszyngtonu - odparł Latham. - Pośrednio całkiem sporo, gdyż w materiałach dotyczących Jodelle'a znajdują się także oskarżenia, jakie starzec kierował pod adresem generała, oskarżenia pozbawione jakichkolwiek podstaw, a o dowodach nawet nie ma co wspominać. Właśnie na tej podstawie amerykański wywiad uznał staruszka za szaleńca. Jodelle twierdził, jakoby pewien znany francuski generał, bohater Ruchu Oporu, był w rzeczywistości zdrajcą, który współpracował z Niemcami. Tym generałem naturalnie miał być Monluc - człowiek, który wydał wyrok śmierci na żonę i dzieci Jodelle'a, a jego samego zesłał do obozu.

- Najmłodsze dziecko, które jako jedyne przeżyło masakrę, to JeanPierre Villier > uzupełniła Karin.

- Zgadza się. Według ojca Villiera, to znaczy według człowieka, którego ten przez całe życie uważał za ojca, oskarżenia Jodelle'a naruszyły spokój sędziwego generała wiodącego wygodny

żywość dzięki złotu, jakie otrzymał od Niemców jako zapłatę za kolaborację, oraz sprzedaży zrabowanych podczas wojny antyków.

- Chyba nadeszła pora, bym jednak odbył to od dawna odkładane spotkanie z prezydentem Francji - stwierdził Courtland. Przygotuj mi szczegółowy raport, Drew. Napisz go, nagraj na taśmę, przedyktuj sekretarkom, rób, co chcesz, bylebym tylko za godzinę albo dwie miał go u siebie na biurku. Latham i Witkowski wymienili spojrzenia. Pułkownik ledwodostrzegalnie skinął głową.

- To niemożliwe, panie ambasadorze - powiedział Drew.

- Dlaczego?

- Po pierwsze nie mamy czasu. Po drugie nie wiemy, komu prezydent zechce przekazać tę wiadomość. Po trzecie wiemy, że neonaziści mają swoich ludzi na Quai d'Orsay, więc nie można wykluczyć, iż wprowadzili ich także do najbliższego otoczenia głowy państwa. W tej chwili naprawdę nie wiadomo do kogo powinniśmy zwrócić się o pomoc.

- Czy sugerujesz, że należy podjąć działania na własną rękę, własnymi siłami, w obcym kraju? Chyba postradałeś zmysły, Drew! - Panie ambasadorze, jeśli w tym chateau jest cokolwiek wartościowego, jakieś dokumenty, zapiski, nagrania, fotografie, nazwiska albo numery telefonów, nie wolno nam dopuścić do tego, żeby uległy zniszczeniu. Proszę na chwilę zapomnieć o Bergeronie; załóżę się, że w "świątyni", czy jak tam on to nazwał, trzymają coś znacznie ważniejszego niż płyty z nagraniami bawarskich przyśpiewek. Tutaj nie chodzi o Francję, panie ambasadorze, ale także o całą Europę, a może i o Stany Zjednoczone.

- Rozumiem, ale przecież nie możemy samodzielnie podejmować decyzji o rozpoczęciu zbrojnych działań na terytorium obcego państwa!

- Gdyby żył Claude Moreau, sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej - odezwał się Witkowski. - Z pewnością bez wahania zgodziłby się rozpiąć nad nami parasol i udawać, że działamy w porozumieniu z francuskimi służbami specjalnymi. Nasze FBI też często godzi się na coś takiego.

- Niestety Moreau nie żyje, pułkowniku.

- Wiem o tym, panie ambasadorze, ale wydaje mi się, że chyba jest pewien sposób. - Witkowski spojrzał na Lathama. - Zdaje się, że ten Francois jest twoim dłużnikiem?

- Daj mu spokój, Stosh. Nie chcę go w nic mieszać,

- Niby czemu, jeśli można wiedzieć? Nie miałeś takich oporów proponując coś, za co nasz ambasador zleciałby z hukiem ze stolka. - Do czego zmierzasz? - zapytał spokojnie Drew, wytrzymując bez mrugnienia spojrzenie pułkownika.

- Deuxieme współpracuje ściśle z Service d'Etranger, czyli tutejszym Ministerstwem Spraw Zagranicznych, co naturalnie prowadzi do częstego krzyżowania się kompetencji, co znamy także z naszego podwórka. Czy na razie wszystko jasne?

- Proszę mówić dalej, pułkowniku.

- Zamieszanie, jakie powstaje wtedy, kiedy ścierają się interesy, jest przekleństwem, ale często także błogosławieństwem dla służb wywiadowczych.

- Do czego zmierzasz, Stanley? - powtórzył Drew ze zniecierpliwieniem.

- To proste jak drut, chłopcze. Każ temu Francois, żeby zadzwonił do jakiegoś znajomka z Etranger i przekazał mu połowę tej historii, którą opowiedział tobie.

- Którą połowę?

- Po prostu nagle przypomniał sobie, że Bergeron, którego teraz wszyscy szukają, wysłał go kiedyś do chateau z jakąś bardzo tajną i bardzo starą teczką. Tyle w zupełności wystarczy. - Dlaczego nie miałby powiedzieć o tym komuś z Deuxieme?

- Choćby dlatego, że teraz nikt tam nie dowodzi. Wczoraj zginął Moreau, dzisiaj zniknął Bergeron, a on nie ma pojęcia, komu można ufać.

- I co dalej?

- Ja zajmę się resztą.

- Że co, proszę? - zapytał Courtland.

- cóż, panie ambasadorze... Są rzeczy, o których człowiek zajmujący pańskie stanowisko nie powinien nic wiedzieć, bo wtedy może ich się z czystym sumieniem wyprzeć.
- Ja jednak jestem ich ciekaw - odparł ambasador, - Poza tym odnoszę nieodparte wrażenie, iż od pewnego czasu poruszam się niemal wyłącznie w kręgu tych "rzeczy", jak był pan łaskaw je określić. Czy naprawdę przypuszcza pan, że to, co bym od pana teraz usłyszał, pogrążyłoby mnie jeszcze bardziej?
- Chyba tak, ale postaram się nie wnikać w szczegóły. Otóż mam przyjaciół, albo raczej kolegów po fachu, zajmujących w Etranger bardzo wysokie stanowiska. Zaskarbiłem sobie ich wdzięczność dość dawno temu, kiedy na terenie Francji ukrywały się znane osobistości amerykańskiego świata przestępczego, a francuskie władze prawie nic o nich nie wiedziały. Gdyby nie moja pomoc, ta niewiedza trwałaby po dziś dzień.
- Muszę przyznać, że jest pan mistrzem w operowaniu ogólnikami, pułkowniku.
- Dziękuję, panie ambasadorze. Co dalej? - napierał zniecierpliwiony Latham.
- Jeżeli informacja wypłynie ze źródeł francuskiego wywiadu, będę mógł zaproponować swoje usługi i jestem pewien, że moja oferta zostanie przyjęta. Dzięki temu będziemy działać całkiem legalnie, ze wsparciem i błogosławieństwem gospodarzy, a jednocześnie szybko i dyskretnie.
- Na jakiej podstawie pan tak twierdzi, pułkowniku?
- Ponieważ my, funkcjonariusze tajnych służb, uwielbiamy rozpowszechniać pogłoski o naszych nadzwyczajnych talentach oraz rzekomej wszechmocy. Najchętniej popisujemy się skutecznością działania wtedy, kiedy nikt nawet nie podejrzewa naszej obecności. W tym przypadku ta skłonność działa na naszą korzyść, panie ambasadorze: my przydzielamy role, my reżyserujemy spektakl, natomiast Francuzi zgarniają pieniądze za bilety. To najlepszy układ, jaki można sobie wyobrazić.
- Nie jestem pewien, czy zrozumiałem choć słowo z tego, co pan powiedział.
- Właśnie o to chodziło, żeby nic pan nie zrozumiał - odparł szczerze Witkowski.
- A co ze mną? - zapytała Karin. - Oczywiście idę z wami! - Oczywiście, moja droga - powiedział łagodnie pułkownik i spojrzał na Lathama. - Dokładnie przestudiujemy topograficzne mapy okolicy i znajdziemy jakiś pagórek w pobliżu chdteau. Ulokujesz się tam z lornetką i radiostacją.
- Żarty sobie robisz! - parsknęła. - Chyba zasługuję na to, by wziąć bezpośredni udział w akcji!
- To nie fair, Karin - odparł Drew. - Jesteś ranna i choćbyś zażyła nie wiadomo ile środków przeciwbólowych, to i tak nie odzyskasz od razu pełnej sprawności. Krótko mówiąc, bardziej byś nam przeszkadzała niż pomagała, a ja w dodatku byłbym przez cały czas rozkojarzony, bo zamiast myśleć o akcji, zastanawiałbym się, czy przypadkiem nie zagraża, ci jakieś niebezpieczeństwo. - Może się zdziwisz, ale przyjmuję to wyjaśnienie - powiedziała Karin, patrząc mu prosto w oczy.
- Znakomicie. Poza tym, nie ty jedna zostaniesz na tyłach. Z naszego dzielnego porucznika mielibyśmy jeszcze mniejszy pożytek niż z ciebie, bo mógłby strzelać tylko wtedy, jeśli ktoś przykleiłby mu pistolet do ręki.
- Będzie utrzymywał z tobą stałą łączność radiową - dodał pułkownik. - Możecie uważać się za nasze odwody, a jednocześnie koordynatorów akcji.
- Odnoszę wrażenie, że właśnie dałeś mi lalkę, bym za głośno nie płakała.
- Całkiem możliwe, Karin, ale nigdy nic nie wiadomo. Jednym z wicedyrektorów departamentu w Service d'Etranger był pewien ambitny czterdziestojedolatek, który w dawnych czasach zalecał się do Yvonne, a kiedy ta wyszła za mąż za Francois, z godnością przyjął porażkę i zadowolił się pozycją przyjaciela domu. Choć awansował znacznie szybciej od kolegi, to jednak czynił wszystko, aby stosunki towarzyskie nie osłabły. Francois doskonale wiedział dlaczego: ambitnego karierowicza fascynowało otoczone nimbem tajemnicy Deuxieme Bureau.

- Znam odpowiedniego człowieka - poinformował Lathama, wysłuchawszy jego prośby. - Bardzo się cieszę, bo wyświadczę przysługę nie tylko panu, ale i jemu; biedak wydał fortunę na obiady i kolacje w drogich restauracjach, a nigdy nie dowiedział się ode mnie niczego interesującego. Na szczęście nie doprowadziłem go do bankructwa, bo zarabia trzy razy więcej ode mnie. To szalenie inteligentny człowiek. Jestem pewien, że będzie zachwycony. Urzędnicy Ministerstwa Spraw Zagranicznych, nawet wybitnie inteligentni i zajmujący wysokie stanowiska, nie muszą znać się na działaniach operacyjnych tajnych służb, ale ci z nich, którzy ze względu na rodzaj pracy ocierają się o rozmaite, mniej lub bardziej poufne informacje, mogą okazać się bardzo przydatni podczas planowania akcji. Directeur Adjoint Cloche spotkał się z oddziałem N-2 w hotelu "PlazaAthenee".

- Witaj, Stanley! - wykrzyknął, wszedłszy do apartamentu z czarną teczką w ręku. - Nawet nie masz pojęcia, jak się ucieszyłem, kiedy zadzwoniłeś do mnie zaraz po Francois! Przyznam, że udzieliło mi się zdenerwowanie tego biedaka, ale dzięki tobie szybko odzyskałem spokój.

- Bardzo się cieszę, Clement. Miło cię znowu widzieć. Pozwól, że przedstawię ci moich przyjaciół. - Po dopełnieniu formalności towarzyskich wszyscy usiedli przy okrągłym stole w saloniku. Przyniosłeś wszystko, o co prosiłem?

- Tak, ale musiałem posłużyć się wybiegiem z fichiers confidentiels.

- Co to takiego, u licha? - zapytał Drew niezbyt uprzejmym tonem.

- Monsieur Cloche wykazał się inicjatywą, która raczej nie spotkałaby się z aprobatą jego zwierzchników - wyjaśniła Karin. - Czy mogłabyś powiedzieć jeszcze raz to samo, tylko trochę prościej?

- Krótko mówiąc, wziąłem je nie pytając nikogo o zgodę oznajmił wicedyrektor departamentu we francuskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych. - Dokładnie tak, jak podpowiedział mi mój przyjaciel Stanley. MomDieu, neonaziści w najtajniejszych strukturach rządowych, nawet w Deuxieme... Niewiarygodne! Nie będę ukrywał, że naraziłem się na poważne ryzyko, ale jeśli uda nam się schwytać tego zdrajcę Bergerona, moi przełożeni z pewnością będą zachwyceni.

- A jeśli nam się nie uda? - zapytał porucznik Anthony z zabandażowaną ręką na temblaku.

- Cóż, działałem na prośbę zdesperowanego funkcjonariusza Deuxieme oraz naszych największych sojuszników: Amerykanów. - Czy brał pan kiedyś udział w jakichś tajnych operacjach? zainteresował się kapitan Dietz.

- Non, capitaine. Jestem teoretykiem. Obmyślam plany, ale nie uczestniczę we wprowadzaniu ich w życie.

- A więc nie idzie pan z nami?

- Jamais.

- C'est bon.

- Przejdźmy wreszcie do rzeczy, dobrze? - wtrącił się Witkowski, obrzuciwszy Dietza nieprzychylnym spojrzeniem. - Rozumiem, że przyniosłeś ze sobą mapy?

- Coś więcej niż zwykle mapy. To raczej szczegółowe plany przesłane faksem z biura geodezyjnego. - Cloche otworzył teczkę, wyjął z niej plik poskładanych papierów i rozłożył je na stole. Oto chateau, Le Nid de l'Aigle, Orle Gniazdo. Posiadłość liczy trzysta siedemdziesiąt akrów powierzchni i pod tym względem nie wyróżnia się niczym szczególnym. W szesnastym wieku na mocy królewskiego dekretu trafiła w ręce pewnej książęcej rodziny, która następnie...

- Proszę mi wybaczyć, ale nie mamy czasu na wykłady historyczne - przerwał Latham urzędnikowi. - Interesuje nas raczej dzień dzisiejszy.

- Bardzo proszę, ale myślałem, że zainteresują was informacje o fortyfikacjach, zarówno tych naturalnych, jak i wybudowanych przez człowieka. Karin wstała z krzesła i pochyliła się nad rozłożoną mapą. - O jakich fortyfikacjach?

- Tutaj, tutaj i tutaj - odparł Cloche, wskazując trzy miejsca na mapie. Nikt już nie siedział. Wszyscy wstali, wpatrując się w plan posiadłości. - To głębokie kanały o mulistym dnie, otaczające dwie trzecie terenu i wypełnione wodą z rzeki. Na pierwszy rzut oka sprawiają

całkiem niewinne wrażenie, ale wielu rycerzy i łuczników, którzy dali się zwieść pozorom, ugrzęzło w szlamie i utonęło, nie mogąc wspiąć się na strome brzegi. - Nieźle to sobie wymyślili! - mruknął z uznaniem Witkowski. - Tym bardziej jeśli wziąć pod uwagę, kiedy to było - dodał kapitan Dietz. Porucznik Anthony szturchnął kolegę obandażowaną ręką i skrzywił się z bólu.

- Ile razy mówiłem ci, żeby nie lekceważyć przeszłości? Historia lubi się powtarzać, a kto ją zna, może się wiele nauczyć. - Chyba zbyt upraszczasz sprawę, Gerry - zaprotestowała Karin. - Gdyby nikt nie pogłębiał i nie konserwował tych kanałów, zarosłyby już dawno temu. Pod jednym względem na pewno masz rację: właściciel posiadłości zna jej historię i stara się zachować chateau obronny charakter... Czy mam rację, monsieur Cloche? - Doszedłem do takiego samego wniosku, ale nie zdążyłem was z nim zapoznać.

- Właśnie pan to zrobił - zauważył Latham. - Może pan być pewien, że go uwzględnimy. Każda pańska uwaga jest dla nas niezmiernie cenna.

- Dziękuję. A więc, na teren posiadłości można dostać się z dwóch stron: przez główną bramę albo przez mniejszą, od północnego wschodu. Cały obszar jest otoczony kamiennym murem czterometrowej wysokości, w którym jest tylko jedna przerwa, naturalnie nie licząc bram: prowadzi tamtędy wąska ścieżka, którą można dojść na rozległy taras, skąd rozciąga się widok na rzekę. Właśnie ten mur może wam sprawić najwięcej kłopotów. Nawiasem mówiąc, został wzniesiony czterdzieści dziewięć lat temu, wkrótce po wyzwoleniu.

- Założę się, że jest zwieńczony podwójnym albo potrójnym drutem kolczastym, przypuszczalnie pod napięciem - mruknął kapitan Dietz.

- To bardzo prawdopodobne, kapitanie. Należy również liczyć się z obecnością wielu strażników.

- Nawet nad kanałami?

- Tam może mniej, ale skoro nam udało się o nich dowiedzieć, komuś innemu także mogłoby się powieść.

- A co z tą ścieżką? - zapytał Drew. - W jaki sposób można się na nią dostać?

- Z układu poziomicy wynika, że na pewnym odcinku ścieżka biegnie wzdłuż podnóża, stromego, prawie trzystumetrowego urwiska - odparł Francuz, wskazując na mapę. - Nawet gdyby dało się tamtędy jakoś zejść, pozostaje problem muru.

- Jak wysokie jest to urwisko?

- Już powiedziałem: trzysta metrów licząc od poziomu ścieżki. - A więc z jego szczytu widać cały teren posiadłości? Cloche pochylił się nad mapą i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią uważnie.

- Możliwe, choć nie jestem w stanie stwierdzić tego ze stuprocentową pewnością.

- Czytam w twoich myślach, jak w otwartej książce, szefie powiedział porucznik Anthony. - To moja grzęda.

- Zgoda - odparł Drew. - Posterunek obserwacyjny numer jeden, czy jak tam mówicie w swoim wojskowym żargonie.

- Uważam, że to ja powinnam tam zostać! - stwierdziła stanowczo Karin. - W razie potrzeby mogę strzelać, a Gerry nie jest w stanie utrzymać broni w ręku.

- Ejże, pani de V,! Przecież panią też trafili!

- W prawe ramię, a jestem leworęczna.

- Ustalimy to później we własnym gronie - przerwał dyskusję Witkowski, po czym spojrzał na Lathama. - Pozwolisz, że tym razem ja zapytam, do czego zmierzasz?

- Naprawdę muszę ci tłumaczyć? Znowu działamy w wodzie, tyle że nie w wielkiej rzece, a w wąskim, głębokim kanale. Pod osłoną trawy, która porasta jego brzegi, dotrzemy do podnóża muru, a wtedy nasze "oko" na szczycie urwiska powie nam, czy możemy przez niego przechodzić.

- Jak chcesz przez niego przejść, jeśli wolno spytać?

- Przerzucimy na drugą stronę solidną kotwiczkę z utwardzonego tworzywa sztucznego z przywiązaną liną - odparł Drew. - Nie narobi hałasu, a lina będzie musiała mieć najwyżej trzy metry długości.
- A co będzie, jeśli zahaczmy o drut kolczasty? Ten mur to nie przelewki.
- Ale też w niczym nie przypomina urwisk na plaży "Omaha". To tylko cztery metry, Stanley. Jeśli podniesiesz ręce nad głowę, zabraknie ci najwyżej półtora metra. Najdalej w ciągu dziesięciu sekund ja i Dietz znajdziemy się po drugiej stronie i zajmiemy się tym cholernym drutem kolczastym.
- Zaraz, chwileczkę! Jak to, ty i Dietz?
- To też ustalimy później we własnym gronie - odparł Latham, po czym natychmiast zwrócił się do Cloche'a: - Co jest za murem?
- Proszę, zechce pan sam spojrzeć. - Zastępca dyrektora departamentu wskazał na mapę. - Jak widać, mur otacza budynek w odległości około osiemdziesięciu metrów. Na terenie znajdują się basen, kilka tarasów oraz kort tenisowy, plus, ma się rozumieć, wypielęgnowane trawniki i zadbana roślinność. Musi być tam bardzo pięknie, szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę, jak bardzo malownicza jest to okolica.
- A co z terenem między furtką, przez którą prowadzi ścieżka, a głównym budynkiem?
- Według planu tam właśnie jest basen i przebieralnie, a zaraz za nimi trzy wejścia do domu: tutaj, tutaj i tutaj.
- Dokąd prowadzą drzwi? - zainteresował się porucznik Anthony.
- Te z prawej strony do wielkiej kuchni, te z lewej na północną werandę, środkowe do obszernego pokoju stołowego.
- Czy to coś w rodzaju living roomu?
- Owszem, tylko znacznie większy.
- Kiedy sporządzono te plany? - zapytał Drew.
- Dwa lata temu. Proszę pamiętać, monsieur, że byliśmy rządzeni przez socjalistów, a oni bardzo uważnie przyglądają się każdemu, kto zgromadził znaczny majątek.
- Jestem im za to dozgonnie wdzięczny - mruknął Latham.
- Przebieralnie? - powtórzył z zadumą Dietz.
- Od nich trzeba zacząć, z pistoletami ustawionymi na ogień ciągły - stwierdził stanowczo Anthony.
- Potem kapitan i ja przerzucimy kotwiczki z powrotem przez mur, pobiegniemy do drzwi po prawej i lewej stronie...
- A co ze mną? - wtrącił się Witkowski.
- Już mówiłem: pogadamy o tym później. Kogo będzie pan miał w odwodach, monsieur Cloche?
- Dziesięciu doświadczonych agentów sto metrów od posiadłości, gotowych uderzyć na chateau jak tylko dostaną od was rozkaz. - Najważniejsze, żeby się dobrze ukryli. Znamy naszych przeciwników: Jeśli wyczują zagrożenie, bez wahania zniszczą wszystkie kompromitujące dokumenty, a właśnie na nich najbardziej nam zależy.
- Podzielam pańskie obawy, monsieur, ale czy nie wydaje się panu, że dwaj ludzie to trochę za mało jak na tak poważną operację? - Jacy dwaj ludzie? - warknął Witkowski. - Kto powiedział, że będzie ich tylko dwóch?
- Daj spokój, Stanley! - parsknął Latham. - Sprawdziłem w papierach: masz już ponad sześćdziesiąt lat, a ja nie chcę mieć cię na sumieniu, tylko dlatego że nie zdążysz się w porę uchylić albo schować!
- Zaraz mogę ci udowodnić, ile jeszcze jestem wart!
- Daj spokój. Wezwiemy cię, kiedy to będzie miało jakikolwiek sens.
- Pozwolę sobie wrócić do moich zastrzeżeń - odezwał się Francuz. - Pomagałem w przygotowywaniu podobnych operacji na Bliskim Wschodzie, gdzie przeprowadzały je doborowe oddziały Legii Cudzoziemskiej. Moim zdaniem potrzebujecie jeszcze co najmniej dwóch ludzi, żeby osłaniali wam tyły.

- On ma rację, szefie - stwierdził porucznik Anthony.
- Jeśli pójdziecie we dwóch, czeka was pewna śmierć - zawtórowała mu Karin. Drew przez chwilę zastanawiał się z opuszczoną głową, po czym podniósł ją i spojrzał na Cloche'a:
- Chyba rzeczywiście popełniłem błąd - przyznał. - Dobra, jeszcze dwóch. Kogo pan proponuje?
- Każdy z tej dziesiątki byłby znakomity, ale trzech szczególnie się nadaje, bo służyli w siłach zbrojnych ONZ.
- Proszę wyznaczyć dwóch z nich i przysłać tu najdalej za kilka godzin... Dobra, teraz przechodzimy do wyposażenia. To twoja działka, Stosh. Mów, czego będziemy potrzebować.
- Plastikowe kotwiczki, mocna ale cienka linka, pistolety maszynowe MAC-10 z tłumikami i magazynkami na trzydzieści sztuk amunicji, po cztery magazynki na głowę... zaczął wyliczać pułkownik. - Oprócz tego czarny ponton, latarki ołówkowe, wojskowe krótkofalówki, mundury polowe, lornetki z noktowizorami, noże myśliwskie, garoty, cztery małe pistolety, a na wszelki wypadek, gdyby sprawy przybrały nieprzyjemny obrót, po trzy granaty na każdego uczestnika operacji.
- Da pan sobie z tym radę, monsieur Cloche?
- Owszem. Pod warunkiem że ktoś powtórzy mi to jeszcze raz, tylko wolniej. Jeśli natomiast chodzi o czas...
- Dziś w nocy - wpadł mu w słowo Latham. - Kiedy będzie najciemniej.

* * *

ROZDZIAŁ 43

Zabytkowe chateau przypominało gotycką twierdzę. Masywna sylwetka budynku rysowała się wyraźnie na tle pogodnego nocnego nieba a blask księżycy spływał po licznych wieżyczkach i stromych dachach. Był to raczej miniaturowy zamek niż letnia rezydencja, dowód wygórowanych ambicji jakiegoś wiejskiego szlachcica, który pragnął za wszelką cenę dorównać lepiej urodzonym i zamożniejszym od siebie. Ściany wzniesiono z kamieni i cegieł, każdy kolejny właściciel zaś starał się coś zmienić, przebudować albo udoskonalić, co w sumie, po upływie kilku stuleci, nadało budowli niepowtarzalny charakter. Najbardziej niezwykle wrażenie wywoływały dwie anteny satelitarne zainstalowane na szesnastowiecznych murach; to zaskakujące połączenie stanowiło niezbitą dowód cywilizacyjnego postępu wiodącego od ziemi ku niebu, od łuków i armat do głowic nuklearnych. Czy aby taki właśnie postęp był tym, czego ludzkość najbardziej potrzebowała? I dokąd miał ją już niedługo doprowadzić? Do drugiej w nocy brakowało zaledwie kilku minut, kiedy oddział N-2 wzmocniony dwoma agents du combat, weteranami Legii Cudzoziemskiej, bezszelestnie zajął pozycje wyjściowe. Jednocześnie porucznik Gerald Anthony i Karin de Vries ruszyli wśród krzewów i niskich drzew po stromym zboczu w kierunku szczytu urwiska.

- Stój, Gerry! - szepnęła nagle Karin.
- Co się stało?
- Spójrz. Zdjęła z gałęzi krzewu wymiętą, brudną szmatę, w której tylko z najwyższym trudem dało się rozpoznać stary beret. Oświetliła go wąskim strumieniem światła z ołówkowej latarki i gwałtownie nabrała powietrza w płuca.
- Co się stało? - syknął ponownie porucznik.
- Patrz! Podala mu beret.
- A niech mnie Ucho! - Na wewnętrznej stronie beretu widniał wykonany czarnym wodoodpornym tuszem odręczny napis Jodelle. - Staruszek musiał tu kiedyś być!
- To wiele wyjaśnia. Daj, schowam go do kieszeni... W porządku, możemy iść. Znacznie niżej, wśród wybujałych trzciny wystających z mętnej, stojącej wody, pięciu mężczyzn kulilo się w niewielkim czarnym pontonie. Z przodu siedzieli Latham i kapitan Dietz, zaraz za nimi dwaj agents du combat, dla ułatwienia zwani po prostu Pierwszym i Drugim, na rufie zaś ponury jak chmura burzowa pułkownik Stanley Witkowski. Przypominał żywą bombę w każdej

chwili grożącą eksplozją. Drew po raz kolejny rozchylił trzciny, spoglądając w górę, na szczyt urwiska. Wreszcie dostrzegł umówiony sygnał: dwa błysnięcia latarki.

- Ruszamy! - szepnął. - Są już na miejscu. Dwaj byli legionieści zanurzyli w wodzie plastikowe wiosła i ponton bezszelestnie wypłynął z trzciny na środek wąskiego kanału, by wkrótce potem znaleźć się blisko przeciwnego brzegu, przy wylocie tunelu o ceglanych ścianach, łączącego kanał z Loarą. - Miał pan rację, szefie - powiedział przyciszonym głosem kapitan. - Widzi pan te dwa druty przeciągnięte w poprzek tunelu? Pięć do jednego, że to czujniki ustawione w ten sposób, żeby reagować na obiekty wielkości ludzkiego ciała.

- Wcale się nie dziwię - odparł szeptem Latham. - Musieli zabezpieczyć się w jakiś sposób przed niepożądanymi wizytami od strony rzeki.

- Ma pan głowę na karku.

- Pewnie że tak. To dzięki bratu, który nauczył mnie rozpoznawać problem, analizować go dziesięć razy, a potem zrobić to po raz jedenasty i dopiero wtedy podjąć decyzję.

- Ma pan na myśli tego Harry'ego, o którym parę razy słyszeliśmy?

- Właśnie tego, kapitanie.

- I właśnie ze względu na niego znalazł się pan tutaj?

- Częściowo, a częściowo ze względu na to, czego się dowiedzieliśmy.

Ponton przybił do brzegu. Jego pasażerowie, obarczeni plastikowymi kotwicami i zwojami liny, bezgłośnie wyszli na grząski grunt mniej więcej sześć metrów poniżej ścieżki. Drew wyjął krótkofalówkę z bocznej kieszeni spodni i nacisnął guzik. - Tak? - rozległ się przytłumiony głos Karin.

- Jaką macie widoczność?

- Siedemdziesiąt do siedemdziesięciu pięciu procent. Przez lornetkę widać rejon basenu i większość południowej części posiadłości, ale tylko niewielki fragment części północnej.

- To i tak nieźle.

- Powiedziałabym nawet, że bardzo dobrze.

- Jaki ruch? Światła?

- Jedno i drugie - odparł porucznik Anthony. - Dwaj strażnicy chodzą z regularnością zegarka. Są uzbrojeni w lekkie pistolety maszynowe, pewnie uzi albo jakieś ich niemieckie odpowiedniki, przy paskach mają krótkofalówki...

- W co są ubrani? - przerwał mu Drew.

- A jak pan myśli, szefie? Czarne spodnie, czarne koszule, na rękawach czarne opaski ze swastyką i błyskawicami. Do tego obaj ostrzygli się prawie na lyso, więc trudno nie zwrócić na nich uwagi. - Gdzie się świeci?

- W czterech oknach: dwóch na parterze, po jednym na pierwszym i drugim piętrze.

- Kto się porusza?

- Oprócz strażników zaobserwowaliśmy ruch tylko w rejonie kuchni, czyli na parterze w południowej części budynku. > Tak, pamiętam. Są jakieś szanse, żeby się tam dostać? - Oczywiście. Strażnicy nikną za narożnikiem budynku co najmniej na trzysta sekund, ale nie na więcej niż dziewiętnaście. Zaczaić się przy murze, a jak damy wam sygnał, wdrapiecie się na niego, ale szybko! Potem ukryjecie się w przebieralniach: są otwarte, więc wątpię, żeby ktoś w nich siedział. Zaczekacie na powrót strażników, załatwicie ich i przerzucicie ciała przez mur albo wciągniecie do przebieralni. Jak się z tym uporacie, droga będzie właściwie wolna, więc wezwiecie pułkownika.

- Całkiem nieźle, poruczniku. Gdzie są teraz nasi milusińscy? - Właśnie rozdzielili się i obchodzą budynek. Szybko, pod mur! Bądź ostrożny, Drew! - dodała szeptem Karin.

- Wszyscy jesteśmy ostrożni, kochanie... W porządku, idziemy! Niczym zdyscyplinowane mrówki wspinające się na gliniasty kopczyk, pięciu mężczyzn wybiegło po stromym zboczu i przycisnęło się do wysokiego muru po obu stronach metalowej furtki. Latham przyjrzał się jej uważnie: była wyższa od muru, bardzo solidna. Najmniejszych szans na wyważenie ani na otwarcie wytrychem, ponieważ zamek zainstalowano od wewnątrz. Drew wrócił do oddziału i

bez słowa potrząsnął głową; trzeba sforsować mur. Nagle po drugiej stronie ceglanej ściany rozległy się ciężkie kroki, a zaraz potem dwa gardłowe głosy:

- Zigarette?

- Nein, ist schlecht!

- Unsinn. Kroki oddaliły się niespiesznie. Gdy tylko całkiem ucichły, francuscy agents du combat podnieśli z ziemi kotwiczki, rozwinęli linki, przywiązali je do uszu przy kotwiczkach, stanęli pewnie na szeroko rozstawionych nogach i wstrzymali oddech. Po kilkunastu sekundach rozległ się sygnał: dwie stłumione eksplozje białego szumu w głośniku krótkofalówki Lathama. Francuzi natychmiast przerzucili kotwiczki przez mur, naprężyli liny, a wtedy Drew i Dietz, niczym jakieś przerośnięte małpy, wspięli się błyskawicznie na szczyt ceglanej ściany i zniknęli z oczu byłym legionistom, ci zaś bezzwłocznie ruszyli za nimi. Cztery sekundy później kotwiczki ze wzmocnionego plastiku poszybowały z powrotem i ugrzęzły w wilgotnej ziemi zaledwie kilka kroków od naburmuszonego Witkowskiego. Po drugiej stronie muru Latham dał na migi znać kapitanowi, żeby wraz ze "swoim" komandosem ukrył się w drugiej przebieralni, on zaś, Latham, zajmie ze "swoim" pierwszą. Przebieralnie przypominały kolorowe namioty rozpięte na drewnianych szkieletach; wejścia zasłaniały swobodnie powiewające płachty materiału, zapewniające dostęp świeżego powietrza. Basen był pogrążony w ciemności i ciszy, zakłócają jedynie ledwo słyszalnym szumem wody sączącej się przez urządzenia filtrujące.

- Wiesz, co teraz trzeba zrobić? - zapytał Drew Pierwszego. - Oui, monsieur. Wiem - odparł Francuz, wyjmując z pochwy długi myśliwski nóż. Latham uczynił to samo, ale weteran Legii Cudzoziemskiej powstrzymał go delikatnym, lecz stanowczym gestem. - S'il vous plait, non. Vous eres courageux, ale ja i mój kolega mamy więcej doświadczenia w takich sprawach. Ustaliliśmy wszystko z kapitanem. Pam jest zbyt cenny, żeby narażać się na niepotrzebne ryzyko.

- Nie mogę wymagać od was czegoś, czego sam nie odważyłbym się zrobić!

- Nikt nie posądza pana o tchórzostwo, wręcz przeciwnie. Chodzi jednak o to, że pan wie czego szukać, a my nie.

- O tym też rozmawialiście? Agent przyłożył palec do ust.

- Ciii... Już wracają. Wydarzenia, które rozegrały się w ciągu następnych kilku minut, przypominały zarejestrowane na taśmie wideo przedstawienie teatru marionetek, odtwarzane najpierw w zwolnionym tempie, potem zastopowane, a wreszcie oglądane podczas szybkiego przewijania do przodu. Dwaj agenci wymknęli się z kabin, po czym popęzli przez mrok niczym dwa żółwie, nie czyniąc najmniejszego hałasu. Znalazłszy się w pobliżu celu zamarli bez ruchu; przerwa w działaniach nie trwała jednak długo, ponieważ jeden ze strażników dostrzegł w mroku nieruchomą sylwetkę i popelnił brzemienne w skutkach błąd: pochylił się, mrużąc oczy, jakby chciał się upewnić, że nie uległ złudzeniu, i dopiero potem przesunął pod pachę przewieszony przez szyję pistolet maszynowy. Nim zdążył położyć palec na spuście, legionista błyskawicznie poderwał się z ziemi, doskoczył do osłupiałego nazisty, otoczył ramieniem jego szyję, drugą ręką zaś wbił mu nóż w plecy. Drugi strażnik także nie zdołał wydać żadnego dźwięku, ponieważ ułamek sekundy później długie ostrze rozorało mu gardło, a czyjaś silna ręka zatkała usta. Dwaj Francuzi przez sekundę lub dwie stali nieruchomo nad zwłokami, po czym chwycili martwych strażników pod pachy i zaczęli ciągnąć w stronę muru. Powstrzymał ich Latham, który wyskoczył z kryjówki.

- Nie! - szepnął tak głośno, że właściwie równie dobrze mógłby krzyknąć. - Dajcie ich tutaj! Kiedy ciała znalazły się w przebieralni, dwaj Francuzi i Dietz spojrzeli pytająco na Lathama.

- Co pan wyrabia, szefie? - zapytał Dietz z irytacją. - Przecież trzeba ich jak najprędzej ukryć!

- Chyba coś wam umknęło, kapitanie. Jakiego są wzrostu?

- Jeden całkiem duży, drugi nie bardzo. I co z tego?

- Dokładnie jak pan i ja, kapitanie. Może te ich idiotyczne mundurki nie będą leżały jak ulał, ale powinniśmy się w nie jakoś wcisnąć, naturalnie nie zdejmując naszych ubrań. W koszule też, jest na tyle ciemno, że nie widać żadnych szczegółów.
- Niech mnie Ucho! - mruknął Dietz. - Ma pan rację. Przy tym oświetleniu mogą nas wziąć za swoich.
- Depechevous... Pospieszcie się! - syknął Pierwszy, po czym wraz z kolegą zaczął ściągać zakrwawione ubranie z martwych strażników.
- Jest tylko jeden problem - dodał kapitan, nie spuszczać wzroku z Lathama. - Ja mówię po niemiecku, oni mówią po niemiecku, natomiast pan ani be, ani me.
- Nie mam zamiaru grać z nikim w brydża, ani dyskutować o pogodzie.
- A jeśli ktoś nas zatrzyma? Założę się, że mają tu trochę więcej aniołów stróżów niż ci dwaj, których nasi przyjaciele posłali do nieba.
- Chyba mam pomysł - odezwał się Drugi. - Monsieur Latham, czy potrafi pan powtórzyć słowo Halsweht
- Jasne. Halsfej, może być? Z Francuza jakby uszło powietrze, ale Dietz uratował sytuację. - Całkiem niezłe, szefie. Może jednak spróbuje pan jeszcze raz? Uwaga: Halsweh...
- Hals... wee...
- Może być - zdecydował komandos. - Jeśli ktoś nas zagadnie, ja będę prowadził konwersację, a gdyby zadano panu jakie pytanie, proszę wskazać na gardło i wycharczeć to, co pan przed chwilą powiedział.
- A co ja właściwie powiedziałem, do jasnej cholery?
- Że boli pana gardło, monsieur - wyjaśnił francuski agent. O tej porze roku łatwo się zaziębić.
- Dziękuję, Drugi. Jeśli zachoruję, na pewno poproszę cię o poradę.
- Dobra, starczy tych pogaduszek. Ubieramy się. Cztery minuty później Latham i Dietz przypominali w miarę udane kopie nazistowskich strażników, różniące się od oryginałów między innymi krwawymi plamami na koszulach. Za dnia podstęp zostałby natychmiast odkryty, ale w nocy, przy słabym oświetleniu, istniały spore szanse na to, że maskarada przyniesie spodziewany efekt. Zamiast niemieckich pistoletów maszynowych wzięli własne, ustawione na oddawanie pojedynczych strzałów, gdyż nic nie wskazywało na to, że trzeba będzie dokonywać jatek prowadząc ogień ciągle.
- Jeden z was niech wezwie Witkowskiego - polecił Drew. Trzeba zagwizdać jak ptak, a potem bardzo uważać, żeby nie dostać kotwiczką po głowie. Podejrzewam, że nasz dzielny pułkownik znajduje się w nie najlepszym nastroju.
- Ja pójdę. Dietz ruszył do wyjścia, ale Latham położył mu rękę na ramieniu. - Nigdzie nie pójdziesz. Jak tylko Stanley zobaczy twój elegancki strój, ukręci ci głowę, a potem będzie za późno na przeprosiny. Ty idź, Pierwszy. Sporo rozmawialiście ze sobą podczas ustalania szczegółów akcji, więc na pewno cię rozpozna.
- Oui, monsieur. Dziewięćdziesiąt sześć sekund później do kabiny wkroczył pułkownik Stanley Witkowski.
- Widzę, że nie marnowaliście czasu - stwierdził, spoglądając na dwa nieruchome ciała. - Po co się poprzebieraliście?
- Bo idziemy na polowanie, Stosh, a ty zostajesz z naszymi francuskimi przyjaciółmi. Ubezpieczacie nasze tyły, więc lepiej miejcie oczy szeroko otwarte. Od tego może zależeć nasze życie. - A co właściwie zamierzacie zrobić?
- Jak to co? Zacząć szukać.
- A wiecie gdzie? - Witkowski wyjął z kieszeni jakiś papier, rozłożył go, dość bezceremonialnie położył na plecach jednego z trupów i włączył latarkę. - Pomyślałem sobie, że przyda wam się trochę wskazówek, więc poprosiłem Cloche'a, żeby zrobił mi to w Paryżu. Na zwłokach strażnika leżała pomniejszona kopia planów chateau.
- Ty draniu! - Drew z wdzięcznością poklepał Witkowskiego po ramieniu. - Znowu mnie zażyłeś! Jak wpadłeś na ten cudowny pomysł?

- Jesteś dobry w te klocki, chłopcze, ale czasem przyda ci się trochę pomocy od starego dinozaura.
- Dzięki, Stosh. Jak myślisz, od czego powinniśmy zacząć? - Najlepiej byłoby wziąć jeńca i wyciągnąć z niego, co się da. Plany sprzed dwóch lat mogą nie wystarczyć, choćby nawet były nie wiadomo jak dokładne. Latham sięgnął pod czarną koszulę i wyjął z kieszeni munduru krótkofalówkę.
- Karin, zgłoś się!
- Gdzie jesteście? - padła natychmiast odpowiedź.
- Na terenie posiadłości.
- Tyle to i my wiemy - wtrącił się porucznik. - Obserwowaliśmy przez noktowizory wasze popisy wspinaczkowe. Ukryliście się w przebieralni?
- Tak.
- I co teraz? - zapytała Karin.
- Musimy wziąć kogoś żywcem, żeby zadać mu parę pytań. Widzicie kogoś w pobliżu?
- Na zewnątrz nie ma żywej duszy, ale w kuchni są co najmniej dwie albo trzy osoby. Zwijają się jak w ukropie, co jest dość dziwne, jeśli wziąć pod uwagę późną porę.
- Berchtesgaden... - szepnął Witkowski. Wszyscy spojrzeli na pułkownika.
- Co takiego? - zapytał Dietz.
- Po prostu skojarzyło mi się to z Berchtesgaden, gdzie dorodni podopieczni Oberfuhrera i jego liczne kochanki baraszkowali w dzień i w nocy, nie mając pojęcia, że są przez cały czas podglądani i podsłuchiwani.
- Skąd o tym wiesz? - zapytał Drew.
- Sprawa wyszła na jaw podczas procesu w Norymberdze. Ta kuchnia działa przez dwadzieścia cztery godziny na dobę; przecież od czasu do czasu trzeba wrzucić coś na ruszt.
- To na razie wszystko - powiedział Latham do mikrofonu i wyłączył radio. - W porządku, chłopcy: jak mamy stamtąd kogoś wyciągnąć?
- To robota dla mnie - oświadczył Dietz. Włączył latarkę i skierował wąski snop światła na plany budynku. - Tam, w środku, są albo Francuzi, albo Niemcy. Pan w ogóle nie mówi po niemiecku, pański francuski jest taki, że... Zresztą, nieważne. Pozostali nie mają się w co przebrać. Wetknę głowę przez boczne drzwi i poproszę po niemiecku, żeby ktoś wyniósł mi na zewnątrz filiżankę kawy. Obaj strażnicy byli Niemcami.
- A jeśli ktoś zorientuje się, że nie jesteś żadnym z nich? - Powiem, że zastępuję chorego kolegę. Właśnie dlatego muszę napić się kawy: niedawno skończyłem własny dyżur i dosłownie zasypiam na stojąco. Dietz wymknął się z kabiny i szybkim krokiem ruszył w kierunku kuchennych drzwi umieszczonych w południowej fasadzie budynku. Latham i Witkowski obserwowali go sprzed płociennodrewnianej konstrukcji. Nagle zapłonęły dwa zainstalowane na dachu reflektory; Dietz stanął jak wryty, skąpany w ulewie jaskrawego światła. Każdy kto by na niego spojrział, musiałby się zorientować, że czarne spodnie i zachlapana krwią czarna koszula to tylko nieudolne przebranie. Na oświetlony teren wyszli z głębokiego cienia wysoki mężczyzna w średnim wieku i młoda kobieta w bardzo krótkiej spódniczce. Ujrawszy Dietza mężczyzna stanął jak wryty, po czym sięgnął pod marynarkę. Komandos nie miał wyboru: pocisk trafił mężczyznę w głowę, kapitan zaś doskoczył do kobiety, która co prawda otworzyła usta, ale nie zdążyła krzyknąć, ponieważ Dietz uderzył ją kantem dłoni w gardło. Strzelił jeszcze dwa razy w kierunku reflektorów - huk, z jakim eksplodowały żarówki, był znacznie donioślejszy od samych strzałów - po czym przerzucił sobie kobietę przez ramię i poklusował z powrotem do kabiny Zabierzcie ciało! - syknął Witkowski do Francuzów, ale Drew był szybszy.
- Ja to zrobię. Nisko pochylony przemknął przez trawnik skąpany w srebrzystym blasku księżyca, poznaczony nieregularnymi plamami cieni rzucanych przez drzewa i krzewy. W chwili kiedy dotarł do trupa i zamierzał chwycić go za nogi, kuchenne drzwi otworzyły się raptownie. Latham doskoczył do ściany i ściskając pistolet w ręce przywarł do niej plecami. W drzwiach stanął mężczyzna w białej czapce kucharza, przez chwilę wpatrywał się w

ciemność, po czym wzruszył ramionami i cofnął się do wnętrza, zamykając za sobą drzwi. Drew jeszcze przez kilka sekund stał bez ruchu, a następnie otarł pot z czoła, podszedł do trupa, nachylił się, chwycił go za nogi i zaczął ciągnąć w kierunku przebieralni. - Que faites-vous? - zapytał kobiocy głos z głębokiego cienia. - Halswej - wykrztusił Latham, po czym dodał z własnej inicjatywy: Trop de whisky...

- Ach, un attemand! Votre francais est mediocre. - W plamie księżycowego blasku pojawiła się kobieta odziana w sięgający do ziemi półprzezroczysty peniuar. Roześmiała się, zachwiała lekko, po czym dodała, wciąż po francusku: - Za dużo whisky, powiadasz? A czy tutaj ktoś nie jest pijany? Ja na przykład mam wielką ochotę popływać w basenie!

- Gut - odparł Latham, który zrozumiał mniej więcej połowę tego, co powiedziała.

- Mam ci pomóc?

- Nein, danke.

- Widzę, że to Heinemann. Niezły z niego ogier. Prawdziwy Niemiec, że tak powiem. Nagle kobieta umilkła, raptownie wciągnęła powietrze i zasłoniła sobie usta ręką. Promienie księżycy padły na zakrwawioną głowę trupa. Drew puścił jego nogi i wydobyl z kieszeni berettę z tłumikiem.

- Zabiję cię, jeśli zaczniesz wzywać pomocy - powiedział po angielsku. - Rozumiesz?

- Oczywiście, że rozumiem - odparła kobieta z nienagannym akcentem. Sprawiała wrażenie niemal zupełnie trzeźwej. Z mroku wyłonili się dwaj francuscy agenci. Nie odzywając się ani słowem Drugi odciągnął trupa pod ścianę, w najgłębszy cień, po czym starannie przejrzał zawartość jego kieszeni, Pierwszy natomiast podszedł do kobiety i pchnął ją lekko w kierunku przebieralni. Latham ruszył za nimi, a kiedy dotarli na miejsce, stwierdził ze zdziwieniem, że ciała dwóch strażników zniknęły bez śladu.

- Co się stało?

- Nasi poprzedni goście przypomnieli sobie o ważnym spotkaniu i wyszli bez pożegnania - poinformował go Witkowski. Właściwie można chyba powiedzieć, że odlecieli.

- Dobra robota, szefie - stwierdził kapitan Dietz, siadając na płóciennym krześle obok swojego więźnia. Ciemność panującą w niewielkim wnętrzu rozjaśnił dyskretny blask trzech olówkowych latarek. - Przyjemnie tutaj, prawda? - zagadnął, kiedy do kabiny wrócił Drugi. Kobiety wytrzeszczyły na siebie oczy.

- Adrienne? - wykrztusiła ta, którą przyprowadził Latham. - Allo, Elyse - odparła pojmana przez Dietza. - Wygląda na to, że już po nas, n'estce pas?

- Jesteście nazistowskimi dziwkami! - powiedział Pierwszy oskarżycielskim tonem.

- Nie bądź idiotą! - zaprotestowała Elyse. - Pracujemy dla pieniędzy, polityka nic nas nie obchodzi.

- Naprawdę nie wiecie, kim są ci ludzie? Przecież to potwory! Mój dziadek zginął walcząc z nimi! Wyniosła, spokojna Elyse machnęła lekceważąco ręką.

- To historia. Żadnej z nas nie było wtedy jeszcze na świecie. - I naprawdę nic was to nie obchodzi? - zapytał z niedowierzaniem Pierwszy. - Ci faszyci usiłowali wymordować całe narody. Nawet teraz zabiliby mnie i moją rodzinę, tylko dlatego że jesteśmy Żydami!

- Przywożą nas tu tylko na kilka dni, raz na miesiąc albo jeszcze rzadziej. Nigdy nie rozmawiają z nami o takich sprawach, a skoro już o tym mowa, to sporo podróżuję i uważam, że zdecydowana większość Niemców to bardzo mili, porządni ludzie.

- Jasne - zgodził się Witkowski. - Niestety, akurat ci nie należą do tej większości... Wystarczy, tracimy tylko czas. Szukaliśmy kogoś, kto dobrze zna wnętrze budynku, a trafiliśmy na dwie dochodzące kurewki. Nic tylko powiesić się z rozpaczy!

- Bo ja wiem, Stosh... - Drew zacisnął palce na ramieniu kobiety w półprzezroczystym peniuarze. - Czy Elyse powiedziała prawdę? Chodzi mi o te kilkudniowe odwiedziny raz w miesiącu. - Owszem, monsieur - odparła kobieta. Delikatnie, ale zdecydowanie, strząsnęła rękę Lathama.

- A co robicie w przerwach?

- Pracujemy gdzie indziej, do czasu kiedy zostaniemy ponownie wezwane. Ufam, że nie będzie pan wypytywał, w jakim celu. - Na twoim miejscu nie ufałbym nikomu ani niczemu, młoda damo - wycedził Drew. - Ci ludzie zabili mi brata, więc mam wszelkie powody, żeby ich nie lubić. - Ponownie ujął dziewczynę za ramię, tym razem znacznie mocniej, pchnął w kierunku składanego stolika, na którym leżały plany budynku, i oświetlił je latarką. - Ty i twoja przyjaciółka opowiedzcie nam dokładnie, co i kogo możemy zastać w każdym pokoju, najpierw jednak wyjaśnię, dlaczego byłoby dla was lepiej, gdybyście nie próbowały żadnych wykrętów: otóż sto metrów od tego miejsca czeka w pogotowiu oddział szturmowy złożony z funkcjonariuszy francuskich sił specjalnych; jeśli będą musieli uderzyć, aresztują każdego, kogo tu zastaną, z wyjątkiem trupów, ma się rozumieć. Jeśli dostarczone przez was informacje okażą się prawdziwe, być może uda wam się wywinąć z tej hecy całkiem tanim kosztem. Entendu? Elyse przez dłuższą chwilę spoglądała Lathamowi prosto w oczy, po czym wbiła wzrok w ziemię.

- Z każdą chwilą mówi pan coraz lepiej po francusku, monsieur... A więc wszystko sprowadza się do najprostszego pytania: życie albo śmierć? Pozwól tutaj, Adrienne. Razem przyjrzymy się tym planom. - Dziewczyna w mini wstała z krzeselka i stanęła obok koleżanki. - Nawiasem mówiąc, plany to moja specjalność, bo studiowałam architekturę na Sorbonie.

- Cholera... - zaklął pod nosem kapitan Dietz.

Absolwentka Sorbony przez dłuższą chwilę wpatrywała się w wymiętą kartkę, po czym odezwała się ponownie: - Na parterze nie ma nic nadzwyczajnego: weranda od strony północnej, ogromny salon połączony z jeszcze większym holem i kuchnia, tak duża, że mogłaby obsłużyć restaurację w najruchliwszym punkcie Paryża. Na pierwszym i drugim piętrze znajdują się apartamenty gościnne, które ja i Adrienne możemy dokładnie opisać, ze szczególnym uwzględnieniem łóżek i materacy.

- Kto tam teraz jest? - zapytał Witkowski.

- Adrienne, mon chou, zdaje się, że zajmowałaś się Herr Heinemannem?

- Oui - odparła dziewczyna. - Co za wstrętny człowiek!

- Pozostałe dwa apartamenty na pierwszym piętrze zajmują Colette i Jeanne z gośćmi, biznesmenami z Monachium i BadenBaden. Na drugim piętrze mieszkam ja z jakimś potwornie nerwowym biedakiem. Upił się na samym początku i zasnął, więc oczywiście nie było mowy o niczym więcej. Rzecz jasna, wcale się tym nie zmartwiłam. Poszłam na spacer, ale okazało się, że to nie najlepszy pomysł, bo od razu spotkałam pana, monsieur. Inne pokoje nie są zajęte.

- Jak wygląda twój nerwowy towarzysz? - zapytał Latham. Elyse szczegółowo opisała mężczyznę, któremu ją przydzielono. - Właśnie jego szukamy - stwierdził spokojnie Drew. - To Bergeron.

- Bardzo się czegoś boi.

- Wcale mu się nie dziwię. Na jego miejscu też bym się bał... Opisałaś parter i dwa piętra, ale jest jeszcze trzecie. Co się tam mieści?

- Na trzecie piętro wolno wchodzić wyłącznie nielicznym ubranym na czarno mężczyznom z czerwonymi opaskami na rękawach. Na opaskach mają swastyki przekreślone dwiema błyskawicami. Wszyscy są wysocy, jak pan, i poruszają się jak żołnierze. Służba, a nawet strażnicy, unikają ich jak ognia.

- Może domyślasz się czegoś?

- Najczęściej nasuwa mi się skojarzenie z grobowcem jakiegoś faraona, który postanowił zostać pochowany na najwyższej kondygnacji, żeby mieć jak najbliżej do słońca i nieba.

- Dlaczego akurat to przyszło ci do głowy?

- Naprawdę nie wiem. Może dlatego że wszyscy, którzy tam wchodzi, są śmiertelnie poważni? Poza tym, podjęto nadzwyczajne środki ostrożności, żeby zabezpieczyć się przed nieproszonymi gośćmi: wszystkie drzwi są grube jak w skarbcu, a żeby je otworzyć, trzeba przyłożyć rękę do metalowej płytki zainstalowanej w ścianie. - Elektroniczne czytniki linii papilarnych... - mruknął Witkowski. - Ciężko będzie je oszukać.

- Skąd wiesz o tym wszystkim, skoro nigdy tam nie byłaś? zapytał Latham.
- Ponieważ na schodach zawsze kręci się mnóstwo strażników, a oni też muszą się od czasu do czasu odprężyć. Niektórzy z nich są nawet całkiem atrakcyjni.
- Nie ma sprawiedliwości na tym świecie... - mruknął Dietz. - Kim jest faraon z ostatniego piętra? - naciskał Latham. - Akurat z tego nie robią żadnej tajemnicy - odparła dziewczyna. - To bardzo stary człowiek, którego otaczają nadzwyczajnym szacunkiem. Odwiedzają go wyłącznie najbardziej zaufani podwładni w czarnych ubraniach ze swastykami na rękawach, ale codziennie rano zjeżdża na dół windą i adiutanci zawożą go w wózku na tak zwaną "ścieżkę medytacji", która prowadzi poza teren posiadłości. Otwierają mu furtkę w murze, a on każe wszystkim odejść, po czym jakby nigdy nic wstaje z wózka i pewnym krokiem maszeruje przed siebie, nikt nie wie dokąd. Podobno nazywa to miejsce swoim "orlim gniazdem"; popija tam kawę z koniakiem, rozmyśla i podejmuje ważne decyzje.
- Monluc... - wyszeptał Drew. - Mój Boże, on jeszcze żyje! - Nie wiem, jak się nazywa, ale powiedziałabym raczej, że traktują go jak skarb, który za wszelką cenę należy utrzymać przy życiu.
- Ciekawe, czy naprawdę jest dla nich skarbem, czy może to tylko marionetka, którą manipulują zgodnie z własnymi potrzebami? - zastanawiał się głośno Witkowski.
- Naturalnie nie mogę mieć żadnej pewności, ale starzec nie wygląda na kogoś, kto dałby sobą manipulować - powiedziała panienka do towarzystwa z dyplomem Sorbony. - Służba i strażnicy starają się nie wchodzić w drogę jego adiutantom, a ci z kolei padają przed nim na twarz. On łąją ich przy każdej okazji i grozi, że wyrzuci ich na zbity pysk, oni zaś drżą jak osiki i chowają się po kątach.
- A może tylko udają? - zapytał Drew, obserwując uważnie twarz dziewczyny.
- Gdyby tak było, z pewnością byśmy się zorientowały, bo przecież my też gramy. Oszust rzadko kiedy zdoła okpić innego oszusta.
- Oszukujecie więc klientów?
- Na więcej sposobów, niż potrafi pan sobie wyobrazić, monsieur. - Takie zachowanie ludzi, którzy budzą lęk samym swoim wyglądem, musi wywoływać różne komentarze.
- Raczej plotki. Według najbardziej rozpowszechnionej starzec jest właścicielem gigantycznego majątku, którym tylko on może rozporządzać. Według innej ma pod ubraniem mnóstwo elektronicznych czujników, które bez przerwy badają stan jego zdrowia i przekazują informacje do centrali na trzecim piętrze, ta zaś przesyła je do jakiegoś okrytego tajemnicą miejsca w Europie. - Wcale bym się nie zdziwił, gdyby akurat to było prawdą. Przecież on musi mieć grubo ponad dziewięćdziesiąt lat!
- Podobno przekroczył już setkę.
- I co, jeszcze działa?
- Myślę, że mógłby pokonać niejednego dobrego szachistę.
- Warto by dobrać się do tych nadajników - wtrącił się pułkownik. - Może dzięki nim udałoby się ustalić położenie pozostałych tajnych kwater neonazistów?
- Na to bym nie liczył, ale prawie na pewno dotarlibyśmy do źródeł finansowania całego ruchu i do miejsc, gdzie następuje transfer pieniędzy. Dlatego komputery bez przerwy kontrolują stan jego zdrowia: gdyby trafił go szlag, konta natychmiast zostaną zablokowane, a sejfy zamknięte na cztery spusty, aż do chwili kiedy nadejdą nowe instrukcje.
- Wtedy zaś być może dałoby się ustalić, skąd nadeszły uzupełnił pułkownik. - Koniecznie musimy się tam dostać! Drew spojrzał na wciąż jeszcze wystraszoną, ale doskonale opanowaną Elyse.
- Jeśli nas okłamałaś, do końca życia nie wyjdiesz z więzienia! - Dlaczego miałabym pana okłamywać, monsieur? Przecież od pana zależy moja przyszłość!
- Bo ja wiem? Jesteś bystra, więc może pomyślałaś sobie, że zastrzelą nas, kiedy będziemy próbowali się tam dostać, a wy wykręcicie się sianem dzięki bajeczce o dobrze opłacanych dziwkach, które nic nie wiedzą i niczego nie słyszą?

- Wtedy ja bym się nią zajął, monsieur - powiedział Drugi. Przywiążę ją do bramy z ładunkiem plastiku między nogami i zapalnikiem uruchamianym falami radiowymi.
- Nie wiedziałem, że wzięliście taki sprzęt!
- Po naszym spotkaniu dopisałem kilka pozycji do listy, chłopcze.
- Znam lepsze rozwiązanie - odparła dziewczyna, kładąc rękę na ramieniu młodszej koleżanki. - My nim jesteśmy.
- O czym ty mówisz, Elyse - pisnęła kurewka w mini?
- Cicho bądź, mapetite... Chcicie dotrzeć do Orlego Gniazda, n'estce past Wydaje mi się, że łatwiej dokonacie tego z nami niż bez nas.
- Dlaczego? - zapytał Latham.
- Znamy całą służbę oraz większość strażników. Możemy bez trudu przedostać się przez kuchnię aż do le grand foyer, gdzie znajduje się główna klatka schodowa. Tylne schody, co widać na planie, są znacznie głębiej, po prawej stronie. Ale to jeszcze nie wszystko. Możemy zaoferować wam coś, bez czego nie macie co marzyć o zrealizowaniu zadania. Po to, żeby dotrzeć na ostatnie piętro, będziecie potrzebowali jednego z adiutantów starca. Jest ich pięciu. Wszyscy mieszkają na tym samym piętrze co on i nie rozstają się z bronią, a jeden z nich zawsze pełni dyżur w bibliotece na parterze, skąd szef może wezwać go na górę przez telefon. Wskażę wam drzwi biblioteki.
- A co z nami? - zapytał Pierwszy. - Jak wytłumaczysz naszą obecność?
- To rzeczywiście niełatwa sprawa. Wszyscy dostawcy i monterzy są szczegółowo kontrolowani, przesyłki skrupulatnie sprawdzane... Powiem, że jesteście strażnikami, którzy patrolują okolice posiadłości. Każdy kto zobaczy wasze mundury łatwo w to uwierzy. - Sehr gut - stwierdził z aprobatą Dietz.
- Mówi pan po niemiecku?
- Einigermassen.
- W takim razie pan będzie udzielał wyjaśnień, żeby to poważniej wyglądało.
- Nie jestem ubrany tak jak oni.
- Teraz nie, ale pod tą koszulą ściągniętą strażnikowi ma pan połowy mundur w barwach ochronnych, a te wszędzie wyglądają tak samo.
- JeanPierre Villier! - wyszeptał Drew z taką miną, jakby właśnie doznał objawienia. - "Ubranie z każdego może uczynić kameleona", czy jakoś tak...
- Co ty wygadujesz, chłopcze?
- Po prostu zabraliśmy się do sprawy z niewłaściwej strony... Rozbierajcie się, kapitanie, tylko szybko! Do samych gatek! Cztery minuty później Latham i Dietz mieli już na sobie tylko czarne paramilitarne mundury strażników. Ponieważ włożyli je na gołe ciało, od razu stały się jakby bardziej luźne, a po upchaniu tam i popuszczeniu ówdzie wyglądały prawie tak, jakby były szyte na miarę.
- Wepchnijcie koszule głębiej w spodnie - polecił pułkownik. - Heil Hitler! - odparł uprzejmie Dietz, oglądając się z zadowoleniem w słabym blasku latarek.
- Raczej Heil Jager - poprawił go Drew, także usatysfakcjonowany swoim wyglądem.
- Wie pan co, szefie? Niech pan już lepiej zostanie przy tym swoim Halsweh.
- Pamiętajcie, chłopcy, że teraz ja wami dowodzę - zwrócił się Witkowski do Francuzów. - Jeśli nas o coś zapytają, ja gadam a wy trzymacie bużki na kłódkę!
- Tres bien, mon Colonel - odparł Drugi.
- Wszyscy gotowi? - zapytał Dietz, podnosząc z ziemi dwa pistolety maszynowe i wręczając jeden z nich Lathamowi.
- Chyba tak, więcej już raczej nie wymyślimy - odparł Drew, po czym odwrócił się do dwóch kobiet; Adrienne drżała na całym ciele i sprawiała wrażenie, jakby lada chwila miała zamiar zemdleć, Elyse, choć śmiertelnie blada, była znacznie bardziej opanowana. Nie jestem sędzią, tylko obserwatorem, który ocenia innych na podstawie tego, co widzi. Boicie się i ja też się boję, ponieważ w przeciwieństwie do tych dwóch młodych dżentelmenów nie przywykłem robić tego, co właśnie teraz robię. W pewnym sensie zostałem do tego zmuszony, ale mogę was

zapewnić, że wcale tego nie żałuję. To trzeba zrobić, i już. Pamiętajcie: jeśli wyjdziemy z tego cała, możecie liczyć na nasze wstawiennictwo... Dobra, idziemy.

* * *

ROZDZIAŁ 44

.Pierwszymi osobami, które ujrzały Lathama i Dietza wkraczających energicznym krokiem do kuchni, byli dwaj mężczyźni stojący przy długim niskim stole; jeden z nich kroił warzywa, drugi precedzał zupę. Spojrzeli na siebie z zaskoczeniem, po czym przenieśli wzrok na nowo przybyłych, którzy rozstąpili się na boki i wyprężyli na baczność, robiąc miejsce dla ubranego w polowy mundur Witkowskiego. Pozdrowili go nieformalnym nazistowskim salutem, a on zrewanżował im się w ten sam sposób, by następnie warknąć w kierunku kucharzy:

- Sprechen Sie Deutsch? Falls nicht, parlezvous francais? - Deutsch, mein Herr - odparł ten od warzyw, po czym dodał także po niemiecku: - Tutaj przygotowuje się posiłki, więc pracują sami Niemcy... Czy wolno zapytać, kim pan jest?

- Oberst Wachner, jeden z przywódców rodzącej się Czwartej Rzeszy! - wyszczał Dietz ze wzrokiem wbitym w przeciwległą ścianę. - On i jego koledzy przylecieli specjalnie z Berlina, żeby sprawdzić funkcjonowanie systemu bezpieczeństwa w Orlim Gnieździe. Kommen Sie her! Na to wezwanie do kuchni wmaszerowali dwaj agenci Etranger, ciągnąc za sobą stawiające niezbyt silny opór panienki.

- Czy możecie potwierdzić tożsamość tych kobiet? - zapytał Witkowski groźnym tonem. - Spotkaliśmy je spacerujące koło basenu. Widzę, że tutaj nikt nie słyszał o czymś takim jak dyscyplina! - Możemy spacerować, gdzie nam przyjdzie ochota, ty stary głupcze! - wrzasnęła Elyse. - Nie obchodzi mnie, kim jesteś! I powiedz tym swoim gorylom, żeby zabrali łapy albo niech zapłacą za to, że nas obmacują!

- No więc?! - ryknął Oberst Wachner, piorunując wzrokiem obu kucharzy.

- One są... To znaczy, zostały tu zaproszone! - wystękał ten od warzyw. Elyse zmierzyla Witkowskiego wściekłym spojrzeniem.

- Ale nikt nam nie mówił, że mamy zajmować się jakimiś obcymi, tylko że będziemy zabawiać przyzwoitych gości, którym najpierw zostaniemy przedstawione! Pułkownik skinął głową; Drugi uwolnił z objęć kobietę w półprzezroczystym peniuarze, Pierwszy zaś dał spokój dziewczynie w krótkiej spódniczce.

- Myślę, że należą nam się jakieś przeprosiny! - dodała Elyse nieco mniej napastliwym tonem.

- Madame... - Pułkownik stuknął obcasami i sztywno skinął głową, po czym znowu spojrzął na kucharzy. - Jak się zapewne domyślacie, nasze zadanie polega na tym, by ujawnić wszelkie niedoskonałości w systemie zabezpieczeń, nie informując o tym tych, którzy bez wątpienia staraliby się te niedoskonałości przed nami ukryć. Jeśli chcecie, możecie zadzwonić do Berlina, żeby uzyskać potwierdzenie naszej tożsamości.

- Ach, nein, mein Herr! Coś takiego zdarzyło się już kiedyś, wiele lat temu. Doskonale rozumiemy, że czasem trzeba dokonywać niespodziewanych kontroli. Jesteśmy tylko zwykłymi kucharzami i nigdy byśmy się nie ośmielili...

- Sehr gut! Czy tylko wy pełnicie teraz służbę?

- W tej chwili tak, proszę pana. Nasz kolega, Stoltz, poszedł do siebie jakąś godzinę temu. Musi wstać o szóstej rano, żeby przygotować śniadanie... To znaczy, zrobić to, czego my nie zdążymy.

- Znakomicie. Wobec tego będziemy kontynuować inspekcję. Gdyby ktoś o nas pytał, udawajcie że o niczym nie wiecie. Radzę wam to zapamiętać, bo jak nie, to przypomną sobie o was ludzie z Berlina!

- Wir haben verstanden - odparł kucharz zajmujący się warzywami. - Jeśli jednak wolno mi coś powiedzieć, mein Herr... Chodzi o to, że strażnicy, którzy są w budynku, dostali rozkaz, by strzelać do każdego, kto zjawi się bez uprzedzenia. Wolalibyśmy nie mieć was na sumieniu, szczególnie jeśli miałyby to dotrzeć do Berlina... ferstanden?

- Nie obawiajcie się. - Witkowski wyjął swoje amerykańskie prawo jazdy, machnął nim przed oczami kucharzy, po czym schował do kieszeni. - W razie potrzeby pokażę im ten dokument, który z pewnością rozwieje ich wątpliwości. Poza tym, mamy ze sobą damy, a przynajmniej jedna z nich potrafi każdego wykończyć swoją gadaniną. Nic nam nie będzie.

Francuskoamerykański oddział, prowadzony przez Lathama i Dietza, przemaszerował przez kuchnię i wkroczył do obszernego holu chateau. Na wyższe kondygnacje prowadziły szerokie kręcone schody, słabo oświetlone zainstalowanymi na ścianach kinkietami. Łukowato sklepione przejście wiodło w głąb budynku, ku innym, równie wysokim i równie mrocznym pomieszczeniom, natomiast w ścianie po prawej stronie, a więc na lewo od wejścia, znajdowały się zamknięte w tej chwili drzwi; przez szparę między ich dolną krawędzią a podłogą sączyło się światło.

- To właśnie jest biblioteka, monsieur - szepnęła Elyse do Lathama. - Adiutant, nie ruszy się stamtąd nawet na krok, ale musicie działać szybko i ostrożnie. Wszędzie jest mnóstwo przycisków alarmowych; wiem o tym, bo nieraz korciło mnie, żeby z któregoś skorzystać.

- Halt! - krzyknęła postać, która nie wiadomo skąd pojawiła się na pierwszym podejściu.

- Jesteśmy oddziałem specjalnym z Berlina! - oznajmił po niemiecku Dietz, ruszając w górę po schodach.

- Was ist los? Strażnik uniósł broń, ale nie zdążył zrobić z niej użytku, gdyż kapitan oddał dwa strzały z biodra; rozległy się ciche klaśnięcia i oba pociski trafiły Niemca w gardło. Nazista z chrapliwym jękiem osunął się na stopnie. W tej samej chwili otworzyły się drzwi wiodące do biblioteki. Stał w nich wysoki mężczyzna w czarnym ubraniu, z cygarniczką w lewej ręce.

- Co to za hałasy? - zapytał po niemiecku. Latham wyszarpnął zza paska garotę, błyskawicznie zarzucił adiutantowi Monluca drut na szyję, zacisnął, obrócił zaskoczonego mężczyznę i znalazł się za jego plecami.

- Rób dokładnie to, co ci powiem, albo za chwilę będziesz trupem! - syknął mu do ucha, po czym nieco zwolnił ucisk. - Amerikaner! - wykrztusił z przerażeniem nazista. - Przecież ty nie żyjesz!

- Jestem Oberst Klaus Wachner - powiedział Witkowski, stając przed Niemcem i spoglądając prosto w jego wytrzeszczone oczy. - Okazuje się, że pogłoski o waszej beztrójce są prawdziwe! - ciągnął po niemiecku, wyrzucając słowa z prędkością karabinu maszynowego. - Berlin i Bonn wiedzą o wszystkim! Bez najmniejszego trudu przeniknęliśmy do budynku, a skoro nam się to udało, to z pewnością zdołaliby to uczynić także przeciwnik! - To jakieś szaleństwo! Jesteś zdrajcą! Ten człowiek, który mnie dusi, to Amerykanin!

- Błąd, mein Herr. To jeden z najlepszych żołnierzy Czwartej Rzeszy, Dziecko Słońca.

- Nein!

- Doch. Będziesz wykonywał jego rozkazy, albo każę mu z tobą skończyć. Uprzedzam, że nie toleruję opieszałości. Witkowski dał znak Lathamowi, a ten jeszcze bardziej rozluźnił garotę.

- Danke... - wycharczał adiutant Monluca, rozcierając obolałą szyję.

- Pójdiesz z tym pajacem na górę - polecił Drew Drugiemu. - Najlepiej tylnymi schodami. Znajdziecie je w głębi domu, za tymi drzwiami...

- Wiem, gdzie są tylne schody - przerwał mu Francuz. Nie wiem tylko, kogo tam zastanę.

- Ja też z nimi pójdę - zdecydował Dietz. - Lepiej mówię po niemiecku, a poza tym, mam pistolet maszynowy.

- Ustawcie go na ogień ciągły, kapitanie.

- Już to zrobiłem, szefie.

- Jeśli wierzyć planom, to na górze znajdziecie korytarz biegnący wokół całego piętra - ciągnął Drew. - Uważajcie, żeby wasz nowy kolega nie zbliżył się do którychś drzwi.

- Chyba że tymczasem pan wpadnie w tarapaty - odparł komandos.

- Co przez to rozumiecie, kapitanie?

- Ani ja, ani pan nie wiemy, co naprawdę zastaniemy na górze. Jeśli przywitają was ulewą ognia, ktoś z nas będzie musiał zrobić z nimi porządek. Przycisnęę rękę tego drania do czytnika, otworzę drzwi i wrzucę do środka granaty.

- Nie wolno wam tego robić! To rozkaz!

- Tak wygląda standardowa procedura, szefie. Nie będę ryzykował życia nas wszystkich nie mając najmniejszej pewności, czy to odniesie jakikolwiek skutek!

- Musimy zdobyć wszystkie dokumenty, jakie tu zgromadzili! Nie chodzi nam o to, żeby wysadzić tę chałupę w powietrze, do jasnej cholery! To zupełna ostateczność; wcześniej możemy jeszcze wezwać oddział szturmowy, który czeka na drodze dojazdowej. - Nie będzie na to czasu, szefie. Jak tylko szkopy zwąchają pismo nosem, sami rozpieprzą ten interes na kawałki.

- Przestańcie! - wykrzyknęła Elyse. - Zaproponowałam wam naszą współpracę i nie cofam oferty. Adrienne pójdzie przodem przed kapitanem i adiutantem, a ja będę szła przed panem, monsieur. Na nasz widok strażnicy z pewnością nie otworzą od razu ognia, bo znają nas z widzenia i wiedzą, że mamy prawo poruszać się prawie po całym budynku.

- Tak, to naprawdę Berchtesgaden... - mruknął Witkowski. - Zaczisny burdelik w Alpach prowadzony przez samego Fuhrera, który na użytek publiczny utrzymywał, że jest niewinny jak baranek. Ona ma rację, chłopcze. Dzięki tym dziewczynom możemy zyskać sekundę albo dwie, a to wszystko, czego nam trzeba. - W porządku, idziemy. Mam nadzieję, że nie będę tego żałował. - Nie masz wyboru, chłopcze - zauważył spokojnie pułkownik. - Jesteś dowódcą i jak każdy dowódca słuchasz opinii podwładnych, dodajesz własną, wyciągasz średnią, a wreszcie na tej podstawie podejmujesz decyzję. To istotnie niełatwe.

- Daj spokój z tym wojskowym pieprzeniem, Stanley. Wolę hokej. Elysa uniosła skraj peniuaru i dostojnie ruszyła w górę po kręconych schodach. Drew, pułkownik oraz Pierwszy podążali za nią w odległości jakichś trzech metrów.

- Liebling! - szepnął strażnik w korytarzu na pierwszym piętrze. - Pozbyłaś się już tego pijaczyny z Paryża?

- Ja, Liebste. Przyszłam tu tylko dla ciebie. Och, gdybyś wiedział, jak mi się nudzi!

- Chodź, zabawimy się, tylko szybko... Kim są ci ludzie? Za tobą! Weteran Legii Cudzoziemskiej pociągnął za spust. Rozległo się stłumione kłaśnięcie, strażnik zatoczył się, oparł o balustradę, przechylił się przez nią i runął na marmurową posadzkę głównego holu. Schody z tyłu budynku były pogrążone w ciemności. Światło paliło się tylko na najwyższym piętrze, ale nieregularne smugi za miast rozjaśniać mrok sprawiały tylko, że pogrążone w głębokim cieniu miejsca - a takich była zdecydowana większość - zdawały się jeszcze ciemniejsze. Przerażona Adrienne wspinała się powoli po stopniach, dotykając poręczy drżącą ręką i wpatrując się przed siebie szeroko otwartymi, pełnymi lęku oczami. Wędrówka na pierwsze piętro zdawała się trwać nieskończenie długo.

- Was ist? - rozległ się zduszony głos i ciemność rozorał snop jaskrawego światła silnej latarki.

- Nein! Liebchen?.. Tutaj także egzekutorem był francuski agent. Nazista znieruchomiał na podeście z głową przyciśniętą do balustrady.

- Idziemy! - syknął kapitan Dietz. - Jeszcze dwa piętra. Ponownie ruszyli naprzód. Adrienne trzęsa się jak w febrze i lkała cichutko, od czasu do czasu ocierając oczy i nos skrajem bluzki.

- Już niedaleko, me cherie - szepnął łagodnie Drugi do dziewczyny. - Spisujesz się znakomicie. Wszystkim o tym powiemy. - Zaczynajcie od mojego ojca! - wyszlochała Adrienne. - On mnie nienawidzi!

- Zrobię to osobiście. Zachowujesz się jak prawdziwa bohaterka. - Naprawdę?

- Oczywiście. Idź naprzód, maleńka. Elyse dała znak ręką ukrytą za plecami i Latham, Pierwszy oraz pułkownik zatrzymali się raptownie, po czym na palcach zeszli kilka stopni, przycisnęli się do ściany i zamarli w oczekiwaniu. Na podeście drugiego piętra pojawił się jasnowłosy strażnik, najwyraźniej czymś bardzo podekscytowany, a może po prostu zirytowany. - Widziałaś może Adrienne? - zapytał po niemiecku. - Sprawdziłem w pokoju, ale nie ma tam ani jej, ani tej pijanej świni Heinemanna, a drzwi były szeroko otwarte.

- Więc widocznie poszli na spacer, Erichu.

- Ten Heinemann to paskudny typ. Chętnie rozkwasiłbym mu mordę.

- Chyba nie jesteś zazdrosny, kochanie? Przecież wiesz, kim jesteśmy i że pracujemy za pieniądze. Sprzedajemy nasze ciała, ale nie serca.

- Mój Boże, ona jest taka młoda!

- Istotnie, nawet ja zwróciłam na to uwagę.

- Podobno Heinemann to zboczeniec. Słyszałem, że zmusza dziewczęta do obrzydliwych rzeczy.
- Najlepiej o tym nie myśl, i już.
- Nienawidzę tego miejsca!
- Więc dlaczego nie odejdziesz?
- Nie mogę. Wpadłem w pułapkę bez wyjścia. Ojciec zapisał mnie do organizacji, kiedy byłem w szkole średniej. Wtedy bardzo mi się to podobało: mundury, koledzy, ćwiczenia, poczucie zagrożenia z zewnątrz... Wmawiali mi, że jestem lepszy od innych, i nawet wyznaczyli do noszenia sztandaru. Robili mi mnóstwo zdjęć.
- Mimo to wciąż jeszcze możesz odejść.
- Niestety nie. Zapłacili za moje studia, a poza tym, za dużo wiem. Odnależliby mnie i zabili.
- Erich! - Z korytarza dobiegł podniesiony męski głos. Kommen Sie her!
- Ach, to ten... Zawsze drze się jak opętany. Zrób to, zrób tamto... Nie lubi mnie, bo skończyłem studia, a on chyba nawet nie potrafi czytać.
- Kiedy spotkam Adrienne, powiem jej, że... że martwisz się o nią. Pamiętaj jednak, że dajemy klientom tylko nasze ciała, nic więcej.
- Widzę, że jesteś prawdziwą przyjaciółką.
- Może kiedyś rzeczywiście zasłużę sobie na to, żeby mnie tak nazwała. Strażnik o imieniu Erich zniknął w korytarzu, Elyse zaś zeszła kilka stopni w dół i szepnęła do trzech cieni ledwo widocznych na tle ciemnej ściany:
- Nie zabijajcie go. Może wam się przydać.
- Co ona mówi? - zapytał Drew.
- Żebyśmy nie zabijali tego chłopaka - przetłumaczył pułkownik.
- Dlaczego?
- Chce dać stąd nogę i sporo wie. Idziemy! Na trzecim piętrze sprawy nie przedstawiały się zbyt zachęcająco. Schody kończyły się w obszernym holu o wysokim sklepieniu, o dwóch szerokich przejściach prowadzących do korytarza, który biegł wokół całej kondygnacji. Dwaj strażnicy stali niedbale oparci o ścianę, trzeci siedział w głębi na kanapie. Latham, Pierwszy oraz pułkownik ponownie zostali z tyłu, natomiast Elyse wspięła się dostojnie na szczyt schodów.
- Halt! - szczechnął strażnik stojący po prawej stronie, mierząc do dziewczyny z pistoletu. - Co tu robisz, do cholery? Nikomu nie wolno tu wchodzić!
- Wobec tego zgłoś się z pretensjami do tego przyjemniaczka, który siedzi w bibliotece. Wyciągnął mnie z pokoju i kazał biec tu najszybciej jak mogę. Nie powiedział nawet o co właściwie chodzi.
- Was ist los? - zapytał strażnik z kanapy, po czym podniósł się i zbliżył do schodów. - Kim jesteś? - warknął, mierząc dziewczynę podejrzliwym spojrzeniem.
- Jak dobrze wiesz, tutaj mam tylko imię - odparła prostytutka. - Nazywam się Elyse i nie życzę sobie, żebyście traktowali mnie w taki sposób! Ten okropny typek z biblioteki kazał mi tu przyjść, więc przyszłam, a wy nie wiadomo czemu wydzieracie się na mnie, chociaż ja też tylko wykonuję rozkazy... Teraz! - krzyknęła nagle, uskakując z linii ognia. Na najwyższym piętrze chdteau wybuchła krótkotrwała, stłumiona kanonada. Trzej strażnicy padli martwi na podłogę, członkowie oddziału zaś wbiegli do holu, Drew pochylił się nad każdym Niemcem, aby sprawdzić, czy na pewno ze strony strażników nie grozi już żadne niebezpieczeństwo. Przekonawszy się, że tak jest w istocie, dołączył do pułkownika i Francuza, którzy stali nieruchomo, przyciśnięci plecami do ściany korytarza.
- Zmykaj stąd! - syknął do skulonej w kącie Elyse. Dziewczyna dopiero teraz odważyła się podnieść głowę, którą zasłoniła rękoma i przycisnęła do podłogi. - Możesz iść dokąd zechcesz, młoda damo, a jeśli ktoś będzie robił ci przykrości, daj mi znać, to rozniosę w proch całe Quai d'Orsay.
- Merci, monsieur. Z minuty na minutę coraz lepiej mówi pan po francusku.

- Będzie najlepiej, jeśli wrócisz do kuchni - poradził jej Witkowski. - Wyjaśnij służbie, kim jesteśmy, i zrób coś, żeby nie pętali się po budynku.
- To żaden problem, mon colonel. Wystarczy, że rozchylę ten peniuar, a nikt nie wyjdzie z kuchni, nawet wtedy gdyby wybuchł pożar... Au revoir.
- Jak powiedział wasz capitaine, nie ma sprawiedliwości na tym świecie - mruknął z goryczą francuski agent.
- Co się z nimi dzieje? - niecierpliwił się Drew. - Już dawno powinni tu być! Czteroosobowa grupka, z młodzieńką prostytutką na czele, posuwała się ostrożnie w górę wąskimi tylnymi schodami. Weteran Legii Cudzoziemskiej szedł tuż za adiutantem Monluca, gotów w każdej chwili zacisnąć założoną mu na szyję garotę.
- Czy to ty, Adrienne? - zapytał cicho ktoś z drugiego piętra. - Co tu robisz?
- Przyszłam do ciebie, Manfredzie! - wychlipała dziewczyna. - Wszyscy są dla mnie tacy niedobrzy, a ja wiedziałam, że masz teraz służbę!
- Ale kto ci powiedział, że mnie tu znajdziesz? Przecież przydział posterunków jest okryty ścisłą tajemnicą!
- Od adiutantów można dowiedzieć się wielu ciekawych rzeczy, tylko trzeba poczekać, aż trochę wypiją.
- Prędzej czy później ktoś dobierze im się za to do skóry... Chodź tu, maleńka. Dywan jest bardzo miękki, więc trzeba to wykorzystać. Czy już ci mówiłem, że za każdym razem, kiedy cię widzę, twoje piersi wydają się jeszcze piękniejsze?
- Zabijcie go! - krzyknęła Adrienne i przycisnęła się do ściany. Dwa strzały padły niemal jednocześnie; strażnik osunął się na podłogę, a mały pochód ruszył dalej. Kiedy dotarli na trzecie piętro, Lathamowi przemknęła przez głowę niewesoła myśl, że chyba nic więcej nie zdołają zwojować: w okrągłym holu o średnicy kilku metrów stał uzbrojony strażnik, drugi za drzemał na stojącej w głębi kozetce.
- Znasz go? - zapytał szeptem Dietz Adrienne.
- Non, monsieur. Jest tutaj nowy. Widziałam go tylko parę razy, i to wszystko.
- Wiesz przynajmniej, czy jest Niemcem, czy Francuzem?
- Prawie na pewno Niemcem, monsieur. Chyba wszyscy strażnicy to Niemcy, choć ci bardziej wykształceni całkiem niezłe mówią po francusku.
- Zrobię zaraz coś, co cię na pewno przestraszy, ale musisz zachować spokój, rozumiesz?
- A co to będzie?
- Bardzo jasny, oślepiający płomień, który jednak szybko zgaśnie. To pomysł pułkownika.
- Pułkownika?
- Tego wielkiego faceta, który mówi po niemiecku.
- Ach, oui.
- Fachowo nazywa się to flarą - dodał Dietz, wyjmując z kieszeni niezbyt wysoki kartonowy cylinder. Podpalil lont zapalką, wychylił się ostrożnie za róg, odczekał chwilę, a następnie potoczył flarę po podłodze. Zaskoczony strażnik odwrócił się, odprowadzając spojrzeniem tajemniczy przedmiot, ale zanim zdążył zareagować, nastąpiła eksplozja przeraźliwie białego, oślepiającego światła. Niemiec wrzasnął przeraźliwie, kiedy dosięgły go gorące iskry, jego zdezorientowany kolega natomiast zerwał się na równe nogi i w panice zaczął strzelać na oślep z pistoletu maszynowego. Serie pocisków trafiały w ściany i drewnianą balustradę; w pewnej chwili Adrienne krzyknęła głośno, gdyż jedna z kul utkwiała jej w nodze. Dietz odciągnął ją do tyłu, w bezpieczne miejsce, a kiedy wrócił na stanowisko, głowa ubranego na czarno adiutanta Monluca zwisała bezwładnie; mężczyzna dostał całą serię w pierś. Komandos wysunął swój pistolet maszynowy za narożnik i nacisnął spust, zasypując gradem pocisków okrągły hol. Strażnik zatoczył się do tyłu, przez sekundę lub dwie chwiał się na nogach, po czym runął w sam środek jaskrawego płomienia. Dietz cofnął się na schody, schylił i wziął dziewczynę na rękę. - Przynies tu tego sukinsyna! - polecił Drugiemu po francusku.
- W est mort, mon cctpitaine.

- Nie obchodzi mnie, jak się czuje. Potrzebuję jego ręki, póki jeszcze jest ciepła! Błyskawicznie przedostali się na korytarz i co sił w nogach popędzili w lewo - Dietz z dziewczyną przewieszoną przez ramię, francuski komandos wlokąc za sobą martwego Niemca. Sześć sekund później dotarli do głównej klatki schodowej, gdzie czekali na nich Latham, Witkowski oraz Pierwszy. Dietz delikatnie położył Adrienne na podłodze; szczęśliwie straciła przytomność, nie czuła więc bólu. - Niezbyt ładnie to wygląda, ale najważniejsze, że kula ominęła tętnicę - stwierdził pułkownik przyjrzawszy się ranie. Niewiele myśląc wyjął z kieszeni garotę i delikatnie zacisnął ją dziewczynie powyżej kolana. - Na razie to musi wystarczyć. Dwaj Francuzi postawili martwego nazistę przy ścianie i przytrzymali go w tej pozycji tuż przy podświetlonym metalowym prostokącie; był to czytnik linii papilarnych połączony z komputerem. Jeśli komputer stwierdził, że dana osoba jest upoważniona do tego, by wejść do pomieszczenia, drzwi otwierały się bez konieczności użycia klucza, jeśli jednak odcisk linii papilarnych nie odpowiadał odciskom przechowywanym w pamięci maszyny, w całym domu rozległo się brzęczenie alarmowych dzwonek, zamek zaś blokował się na dobre.

- Gotowe, monsieur? - zapytał Drugi, chwytając trupa za przegub prawej ręki.

- Chwileczkę! - wykrzyknął Latham. - A jeśli on jest leworęczny?

- To co z tego?

- Drzwi się nie otworzą, a my będziemy mieli na karku wszystkich strażników.

- Chętnie bym go zapytał, monsieur, ale on już nic nam nie powie.

- Zdaje się, że cygarniczkę trzymał w lewej ręce... Sprawdźmy kieszenie. - Po chwili zaczęło się wyliczanie: - Drobne w lewej kieszeni spodni... Papierosy w lewej kieszeni marynarki... dwa długopisy w prawej wewnętrznej kieszeni marynarki.

- I co z tego wynika?

- Leworęczni zazwyczaj noszą pióra i długopisy w prawej kieszeni, bo wtedy wygodniej im po nie sięgnąć. Ja jestem praworęczny i noszę długopis w lewej kieszeni. Każdy stara się być wygodny.

- Pańska decyzja, monsieur? Latham przygryzł dolną wargę i przez chwilę wpatrywał się w trupa.

- Zdam się na przecucie - powiedział wreszcie. - Przekręćcie go. Spróbujemy z lewą ręką. Dwaj Francuzi wykonali polecenie, Drew zaś chwycił nieboszczyka za przegub lewej ręki, po czym ostrożnie, jakby miał do czynienia z odbezpieczonym granatem, przycisnął szybko stygnącą dłoń do czytnika. Wszyscy wstrzymali oddech, ale nie wydarzyło się nic strasznego; stalowe drzwi po prostu odsunęły się z cichym sapnięciem hydraulicznych siłowników. Martwy Niemiec, już nikomu niepotrzebny, runął na podłogę, a czterej mężczyźni wkroczyli do pomieszczenia, które bardziej przypominało komnatę zamku nawiedzanego przez duchy niż pokój przeznaczony dla żywego człowieka. Ośmiokątne pomieszczenie było nakryte szklaną kopułą, przez którą sączył się blask księżyca. Elyse nazwała je grobowcem faraona i chyba miała rację; panowała tu całkowita cisza, tyle że zamiast ulubionych przedmiotów codziennego użytku oraz zapasów żywności, które miały wystarczyć na długą wędrówkę w zaświatach, na podłodze piętrzyły się stosy aparatury medycznej mającej uchronić władcę przed wyruszeniem w tę wędrówkę. W każdej z ośmiu ścian znajdowały się drzwi; pięć z nich prowadziło zapewne do pokoi zajmowanych przez adiutantów, jedno do łazienki, dwoje zaś... w nieznanie. Szczegóły te dostrzegało się dopiero po chwili. Tym, co natychmiast rzuciło się w oczy, było mnóstwo powiększonych do groteskowych rozmiarów i podświetlonych na czerwono fotografii zajmujących każdy centymetr kwadratowy ścian. Niektóre zdawały się być przeniesione prosto z muzeum holocaustu, ponieważ przedstawiały zasięki z drutów kolczastych, baraki, wychudzonych mężczyzn i kobiety o zaszczytanych spojrzeniach, sterty martwych nagich ciał. Na innych widniały wykrzywione okropnymi grymasami twarze jasnowłosych ludzi, przypuszczalnie zdrajców, wiszących pojedynczo, parami lub w większych grupach na szubienicach. Tylko ktoś o zwyrodniałym, umyśle sadysty mógł w ten sposób przystroić pokój, w którym spędzał całe dnie, tygodnie i miesiące. Jednak najbardziej

wstrząsające wrażenie wywoływał widok człowieka leżącego w nocnej koszuli na łóżku. Jego twarz, w przeciwieństwie do zdjęć, była oświetlona srebrzystym blaskiem księżyca. Ten stary, bardzo stary człowiek leżał zupełnie nieruchomo, z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi wąskimi ustami. Jego twarz przykuwała uwagę patrzącego, a im dłużej ktoś jej się przyglądał, tym trudniej było mu odwrócić od niej wzrok. Te zapadnięte policzki, te głęboko osadzone oczy... Mały, starannie przystrzyżony wąsik nad górną wargą, teraz już zupełnie siwy... Tak, nie mogło być żadnej wątpliwości! Nawet owo nie ustające drzenie prawej powieki, które pojawiło się po nieudanym zamachu w Gierłozy... W łóżku leżał stuletni Adolf Hitler. - Mój Boże... - szepnął Witkowski. - Czy to możliwe?

- W każdym razie, nie jest to niemożliwe, Stanley, a na pewno pozwoliliby znaleźć odpowiedzi na wiele pytań, które były zadawane od pięćdziesięciu lat. Najważniejsze są dwa: czyje zwęglone ciała znaleziono naprawdę w bunkrze pod Kancelarią Trzeciej Rzeszy i skąd wzięła się plotka, że Fuhrer zdołał przedostać się na lotnisko w przebraniu starej kobiety?... Później będziemy się nad tym zastanawiać, Stosh. Teraz trzeba zrobić wszystko, żeby "grobowiec faraona" nie stał się naprawdę jego grobem.

- Wezwiemy oddział szturmowy.

- Ale dopiero wtedy kiedy będziemy mieli pewność, że nie zadziała żaden ukryty system samozniszczeniowy. Jeśli coś takiego w ogóle tu jest, z pewnością zostało ukryte w którymś z tych pomieszczeń. Żeby się o tym przekonać, musimy zneutralizować pozostałych czterech adiutantów Monluca.

- Jak zamierzasz to zrobić, chłopcze?

- Kolejno, pułkowniku. Założę się, że żadne z tych drzwi nie są zamknięte od środka. Znajdujemy się przecież na terytorium Czwartej Rzeszy, gdzie dyskrecja i prywatność nie są w zbyt wysokiej cenie, szczególnie w bezpośrednim otoczeniu Monluca, czy kim tam jest ten starzec.

- Słuszna uwaga. Naprawdę robisz postępy, chłopcze.

- Zapiszę tę pochwałę złotymi zgłoskami i powieszę sobie na ścianie. Latham dał znak Dietzowi i francuskim agentom, by zbliżyli się do niego i pułkownika, po czym wydał im szeptem polecenia, oni zaś bezzwłocznie przystąpili do działania. Ubezpieczając się nawzajem otwierali kolejno drzwi wiodące do bocznych pomieszczeń, wpadali do środka, po chwili wychodzili, starannie zamykali za sobą drzwi, po czym przechodzili do następnego pokoju. Kiedy operacja została powtórzona po raz ósmy, kapitan Dietz zameldował Lathamowi:

- Żaden z tych przyjemniaczków nie ruszy się co najmniej przez kilka godzin.

- Jesteście pewni, kapitanie? Są dobrze związani? Nie mogą dosięgnąć żadnych ostrych przedmiotów ani krawędzi?

- Związaliśmy ich jak balerony, choć właściwie nie było takiej potrzeby.

- Jak to? Komandos wyjął z kieszeni niedużą strzykawkę i opróżnioną ampulkę.

- Tak jak pan mówił, pułkowniku: mniej więcej pół centymetra sześciennego na łeb, i po krzyku.

- Co to ma znaczyć, Stosh?

- Nie przejmuj się, chłopcze. W końcu nikt nie może od ciebie wymagać, żebyś myślał o wszystkim, więc na własną rękę uzupełniłem nasze wyposażenie... Daliście im zastrzyki w lewe ramię, kapitanie? - Tak jest. Drugi trzymał klienta, a ja zabawiałem się w pielęgniarkę.

- Coraz bardziej mnie zdumiewasz, Stanley. Jest jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć?

- W tej chwili jakoś nie mogę sobie przypomnieć, ale jakby co, to natychmiast dam ci znać.

- Nie fatyguj się, proszę - warknął Latham, po czym odwrócił się do komandosa: - Co, było w trzech pozostałych pokojach? - Ten najbliżej łóżka to największa łazienka, jaką w życiu widziałem, z mnóstwem chromowanych uchwytów i poręczy, żeby ten rupieć mógł się swobodnie poruszać. Dwa inne tworzą jedno duże pomieszczenie, wypełnione po sufit sprzętem komputerowym. - Bingo! - wykrzyknął triumfalnie Drew. - Teraz trzeba nam tylko fachowca, żeby się przez to przekopał.

- Wydawało mi się, że go mamy. Na imię ma Karin, gdyby pan zapomniał, szefie.

- Rzeczywiście, zapomniałem. A teraz słuchajcie uważnie: wy, Dietz, nasz wielki pułkownik oraz Pierwszy i Drugi staniecie po obu stronach łóżka Monluca...
- Pan mówi, że to Monluc, a ja twierdzę, że to ktoś zupełnie inny, ale wolę nawet o tym nie myśleć - wpadł mu w słowo kapitan. - Więc nie myślcie. Stańcie tylko przy nim, a kiedy się obudzi, nie pozwólcie mu niczego dotknąć. Żadnego przycisku, wyłącznika, przewodu, po prostu niczego. Musimy mieć czas, żeby wtargnąć do pamięci tych komputerów i zbadać, co w nich siedzi.
- A może by tak użyć czarodziejskiej strzykawki pułkownika? - Jak to?
- Całkiem zwyczajnie. Zamiast pół centymetra na przykład trzy czwarte, albo nawet cały...
- Sam nie wiem, kapitanie - mruknął z powątpiewaniem Witkowski. - Nie jestem lekarzem. To świństwo jest tak mocne, że staruch mógłby przejechać się na tamten świat.
- W porządku, nie będę się upierał. Może być pół centymetra. - Niezły pomysł - zgodził się Drew. - Jeśli uda wam się to zrobić, rzecz jasna.
- Ja i Drugi tworzymy świetny zespół sanitariuszy. Podejrzewam, że chłopak miał coś wspólnego z medycyną.
- Wszyscy legioniści przechodzą intensywne szkolenie w zakresie udzielania pierwszej pomocy
- poinformował go pułkownik, po czym spojrzał na Lathama. - A co ty będziesz robił w tym czasie, chłopcze?
- Zamknę te stalowe drzwi i wezwę oddział szturmowy, a zaraz potem zawiadomię Karin i porucznika, że mogą zleźć ze swojej grzędy. Latham włączył krótkofalówkę, dostroił ją do ustalonej częstotliwości, po czym rozkazał dowódcy francuskiego oddziału wysadzić bramę wjazdową w powietrze i zająć chdeau, uprzednio wezwawszy przez głośniki do poddania się wszystkich jego ewentualnych obrońców. Potem wrócił na poprzednią częstotliwość. Słuchajcie, podglądacze: Francuzi zaraz tu wkroczą. Jak tylko sytuacja się uspokoi, dam wam znać, a wtedy gońcie tu co sił w nogach. Ty, Karin, od razu wal na ostatnie piętro... ale dopiero kiedy was zawiadomię, zrozumiano?
- Tak - odparł porucznik. - A więc udało wam się?
- Owszem, ale sprawa jeszcze nie jest zakończona i pewnie długo nie będzie. Ci ludzie to prawdziwi fanatycy; będą się kryć po kątach, żeby tylko sprzątnąć choć jednego z nas. Nie pozwól, żeby Karin wysforowała się przed ciebie, bo...
- Daj spokój, Drew! Sama wiem, kiedy...
- Cicho bądź! Koniec połączenia. Drew schował krótkofalówkę i podszedł do łóżka Monluca, gdzie Drugi i kapitan Dietz szykowali się do zrobienia zastrzyku. - Teraz! - syknął komandos. Francuz chwycił starca za obnażone ramię i ścisnął mocno między łokciem a stawem barkowym.
- Gdzie on ma żyły, do jasnej cholery? - wykrzyknął Dietz po francusku.
- Jest stary. Wal w pierwszą, którą zauważysz.
- Mein Gott! - zaskrzeczał starzec, otwierając raptownie oczy. Wytrzeszczył je tak, że mało co nie wyszły mu z orbit, wykrzywił usta w grymasie nienawiści, potoczył wokół szalonym spojrzeniem. Tik w prawej powiece wyraźnie się nasilił. Zaraz potem z jego ust popłynął wartki strumień niemieckich słów wykrzykiwanych niesamowicie zachrypniętym głosem, przypominającym dźwięki stanowiące skrzyżowanie wrzasku rozzłoszczonych mew z rechotem żab: Jeśli oni zbombardują Berlin, my zniszczymy Londyn! Jeśli wyślą sto samolotów, my wyślemy ich tysiąc, a potem następny i następny, aż wreszcie to przeklęte miasto zamieni się w stertę gruzu! Udzielimy Anglikom surowej lekcji! Niech zobaczą, co to znaczy śmierć, niech przekonają się na własnej skórze, co... Nagle stary mężczyzna umilkł, a jego głowa opadła z powrotem na poduszkę.
- Sprawdźcie mu puls! - polecił Latham. - On nie może teraz umrzeć!
- Bardzo szybki, ale łatwo wyczuwalny, monsieur .. zameldował Drugi.
- Czy wy wiecie, co to było? - zapytał Stanley Witkowski z pobladłą twarzą. - Początek przemówienia Hitlera ogłoszonego zaraz po pierwszym bombardowaniu Berlina. Słowo w słowo, bez żadnych zmian! Nie wierzyłem własnym uszom. Od strony bramy na drodze

wiodącej do, chdteau dobiegły odgłosy potężnych eksplozji a zaraz potem z głośników rozległ się donośny, zdecydowany głos, doskonale słyszalny w promieniu kilkuset metrów:

- Uwaga, wszyscy znajdujący się w budynku mają rzucić broń i wyjść na zewnątrz z podniesionymi rękami! Niewykonanie tego rozkazu będzie karane śmiercią! Działamy w imieniu i z upoważnienia rządu Republiki Francuskiej. Powtarzam: kto się nie podda, zostanie zastrzelony! Macie dwie minuty, żeby wyjść na zewnątrz z rękami nad głową! Pomału, niepewnie, z przypominającej warowną twierdzę budowli zaczęli wychodzić strażnicy, kucharze, kelnerki i panienki do towarzystwa, gromadząc się na podjeździe przed głównym wejściem. Po dwóch minutach głośniki ożyły ponownie:

- Dajemy wam ostatnią szansę! Kto jej nie wykorzysta, zginie! Nagle jakiś jasnowłosy mężczyzna podbiegł do okna na drugim piętrze, otworzył je na oścież i zawołał:

- Poddaję się, ale nie wyjdę, dopóki jej nie znajdę! Strzelajcie, jeśli chcecie, ale ja muszę ją znaleźć! Proszę, oto moja broń! Na żwirowy podjazd upadł z donośnym łomotem pistolet maszynowy, a chwilę później jego los podzieliła mała beretta. - Entrez! - ryknął głos. Z ciemności wybiegło ośmiu mężczyzn w połowych mundurach i pełnym rynsztunku bojowym, błyskawicznie dopadli wejść do budynku i zniknęli we wnętrzu. Padło tylko kilka strzałów, którymi francuscy komandosi rozprawili się z najbardziej nieprzejednanymi, fanatycznymi zwolennikami paranoicznej ideologii. Po kilku minutach we frontowych drzwiach pojawił się jeden z żołnierzy, ciągnąc za sobą chwiejącego się na nogach i belkoczącego coś niewyraźnie Jacques'a Bergerona.

- Mamy tego zdrajcę z Deuxieme! - oznajmił triumfalnie po francusku. - Pijany w trzy dupy!

- Dobra. Wpuścić tych dwoje. Karin i porucznik Anthony pomknęli na wyścigi w kierunku szerokich dwuskrzydłowych drzwi.

- Kazał mi od razu biec na górę!

- Ale czemu tak szybko, na litość boską?! Proszę na mnie zaczekać! Mam panią chronić!

- Nie moja wina, że ruszasz się jak mucha w smole.

- Jeśli coś się pani stanie, nasz wspólny znajomy odstrzeli mi to i owo!

- Proszę się nie obawiać, poruczniku. Mam pistolet i zrobię wszystko, żeby pana pomścić.

- Wielkie dzięki, królowo Amazonek. Cholera, to ramię trochę boli. Nagle oboje stanęli jak wryci, porażeni widokiem, jaki ukazał się ich oczom. Po schodach schodził wysoki, jasnowłosy młody człowiek, niosąc nieprzytomną dziewczynę. Z jego błękitnych oczu płynęły łzy. - Jest ciężko ranna, ale żyje - powiedział po niemiecku.

- To ty byłeś przy oknie? - zapytał Anthony w tym samym języku.

- Ja. Byliśmy przyjaciółmi, a mnie wciąż nie mogło pomieścić się w głowie, dlaczego ona trafiła w to okropne miejsce.

- Wynieś ją prędko na zewnątrz i powiedz, żeby wezwali lekarza. Tylko pospiesz się!

- Danke.

- Nie ma za co, bo jeśli przekonam się, że nas ołgałeś, zabiję cię własnymi rękami.

- Nie jestem kłamcą, proszę pana. Robiłem wiele złych rzeczy, ale nigdy nie kłamałem.

- Wierzę mu - powiedziała Karin. - Chodźmy. Wkrótce po tym, mocno zadyszani, znaleźli się na trzecim piętrze i stanęli bezradnie przed błyszczącymi stalowymi drzwiami. Nie miały klamki, a nigdzie w pobliżu nie było przycisku dzwonka. - Drew sprawiał wrażenie, jakby ogromnie mu zależało na tym, żebym tu przyszła,, ale jak mam wejść do środka?

- Proszę mi zaufać - odparł porucznik Anthony, wpatrując się w podświetlony czytnik linii papilarnych. - Uruchomimy alarm i w ten sposób zasygnalizujemy nasze przybycie.

- O czym ty mówisz?

- Proszę patrzeć. Komandos przyłożył do czytnika prawą rękę. Natychmiast rozległo się ogłuszające wycie syren i terkotanie dzwonek, a chwilę potem drzwi otworzyły się i stanął w nich Latham z bronią gotową do strzału.

- Co wy wyrabiacie, do wszystkich diabłów? - ryknął.

- Zamknij drzwi, szefie, to komputer wyłączy alarm. Drew zastosował się do rady porucznika i w budynku rzeczywiście zapanowała cisza.

- Skąd o tym wiedziałeś?
- To nic nadzwyczajnego. Standardowe zabezpieczenia działające na zasadzie obwodu zamkniętego.
- Zgoda., ale skąd wiedziałeś?
- Po prostu miałem nosa. Chalupa wygląda na starą, ale te wszystkie systemy musiały być instalowane najwyżej parę lat temu, więc wydawało mi się oczywiste, że zastosowano te metody, które akurat wtedy były najbardziej popularne.
- Nie sprzeczasz się z nim, Drew - poprosiła Karin, obejmując na chwilę Lathama. - Wszyscy jesteśmy zdenerwowani. Dlaczego chciałeś, żebym tu od razu przyszła?
- Odkryliśmy pokój, a właściwie dwa pokoje zastawione komputerami. Trzeba jak najprędzej dostać się do danych. Godzinę później zmęczona i spocona Karin de Vries wyszła z pokoju komputerowego i stanęła przed Lathamem.
- Zjawiłeś się tu w samą porę, kochanie - powiedziała. Neonaziści nie przypuszczali, że ktokolwiek odkryje to miejsce, w związku z czym trzymali tu wszystkie, nawet najbardziej tajne dokumenty. Dokopałam się do bazy danych z ponad dwoma tysiącami nazwisk najbardziej aktywnych członków ruchu na całym świecie. - A więc mamy ich!
- Większość, ale nie wszystkich, kochanie. Wszystkich nigdy nie uda nam się wyłapać. Najłatwiej będzie nam dotrzeć do wiecowych krzykaczy, którzy przy każdej okazji demonstrują nienawiść do całego świata. Wielu innych, tych co potrafią ukrywać tę nienawiść głęboko w duszy, zdoła się wymknąć.
- Ty mówisz o filozofii, a ja o ściganiu przeklętych nazistów! - Ścigaj ich więc, ale staraj się zawsze pamiętać o tym, czym kierują się w swoim postępowaniu. W ściśle tajnym rządowym laboratorium ukrytym pod wzgórzami otaczającymi Dolinę Shenandoah ubrany w biały fartuch anatomopatolog odwrócił się od komputera i spojrzał na młodszego kolegę wpatrującego się wybaluszonymi oczami w ekran monitora.
- Czy widzisz to samo co ja? - zapytał spokojnie.
- Nie wierzę własnym oczom! Przecież to może zmienić bieg historii!
- Raporty z Berlina nie kłamią. Studiowałeś je równie uważnie jak ja. W latach czterdziestych nie wiadano o istnieniu DNA, teraz już wiemy i potrafimy go badać... Włącz palniki. Świat nigdy nie powinien się o tym dowiedzieć. Podsycilibyśmy przygasającą legendę, a przecież ten człowiek umarł ubiegłej nocy, tym razem naprawdę i nieodwracalnie.
- Masz rację. Legendy bywają bardzo różne, ale ta jest chyba najniebezpieczniejsza, jaką można sobie wyobrazić.
- Ten, kto trafia do legendy, zostaje przez nią unieśmiertelniony.
- Właśnie. Pięćdziesiąt lat temu Hitler popełnił samobójstwo w swoim bunkrze. I tak mamy dość problemów z fanatykami, którzy twierdzą, że było inaczej. Największy sukinsyn w dziejach ludzkości zażył truciznę, kiedy rosyjskie czołgi wjechały do Berlina. Tak napisano w podręcznikach historii, więc po co to zmieniać? Dowody świadczące o tym, że było inaczej, spłonęły w tajnym laboratorium w Dolinie Shenandoah.

EPILOG

Dyrektorzy agencji wywiadowczych Francji, Wielkiej Brytanii, Niemiec oraz Stanów Zjednoczonych działali szybko, dyskretnie, a przede wszystkim nareszcie skutecznie, stosując się ściśle do zaleceń swoich konstytucyjnych zwierzchników. Mieli ułatwione zadanie, gdyż wreszcie mogli opierać się nie na domysłach, lecz na konkretnych faktach w postaci wydruków z ponad dwoma tysiącami nazwisk ludzi należących duszą i ciałem do Bruderschaft der Wacht. Zgodnie z poufnymi ustaleniami poczynionymi między rządami czterech państw, oficjalne komunikaty brzmiały bardzo podobnie, najlepszym streszczeniem ich treści był zaś tytuł artykułu redakcyjnego zamieszczonego w paryskiej edycji "Herald Tribune": Kręgosłup ruchu neonazistowskiego złamany. Wszystkie artykuły donosiły o tym,

że liczni członkowie rządów, parlamentarzyści oraz osoby należące do elity finansowej zostali aresztowani i umieszczeni w pilnie strzeżonych, odosobnionych miejscach, aż do czasu oficjalnego przedstawienia zarzutów i publicznego procesu. Dziennikarze wychodzili ze skóry, by zdobyć nazwiska zatrzymanych, ale te były okryte ścisłą tajemnicą, w związku z czym prasa, radio i telewizja musiały zadowolić się snuciem coraz bardziej nieprawdopodobnych domysłów. Jednak z upływem czasu zainteresowanie opinii publicznej coraz bardziej słabło, aż wreszcie nagłaśniane przez środki masowego przekazu "polowanie na neonazistów", bardzo przypominające prowadzoną przez senatora McCarthy'ego nagonkę na komunistów, uwiędło jak nie podlewana roślina. Wydawcy po raz kolejny przekonali się boleśnie, że znudzona publiczność przestaje kupować gazety i oglądać programy informacyjne, to zaś powoduje natychmiastowe obniżenie wpływów z reklam, w związku z czym polecili więc zespołom redakcyjnym, by te zajęły się innymi, bardziej interesującymi sprawami. :

- Jestem cholernym, przeklętym milionerem! - powtórzył po raz nie wiadomo który Latham, spacerując z Karin pełną drogą w Granby w stanie Kolorado.

- Wciąż nie mogę przyzwyczać się do tej myśli.

- Harry bardzo cię kochał - powiedziała Karin, nie odrywając zachwyconego spojrzenia od majestatycznych szczytów Gór Skalistych. - Chyba nigdy w to nie wątpiłeś?

- Ale też nigdy sobie tego w pełni nie uświadomilem. Zostawił mi wszystko oprócz tych kilkuset tysięcy dla mamy i taty! - Dlaczego wciąż cię to tak dziwi?

- Bo nie mam pojęcia, w jaki sposób zdobył tę fortunę!

- Przecież prawnicy wszystko ci wytłumaczyli. Harry żył samotnie, miał niewielkie potrzeby, uważnie śledził zmiany na światowych rynkach i doskonale inwestował pieniądze. To nawet bardzo podobne do niego.

- Stary, dobry Harry... - mruknął Drew. - Autopsja potwierdziła, że urządzenie, które Kroeger wszczepił mu do mózgu, eksplodowało już po jego śmierci. Co by się stało, gdyby go nie zastrzelono? Co gorsza, nie ma żadnej gwarancji, że kto inny nie skonstruuje czegoś podobnego.

- Lekarze i uczeni wątpią, czy kiedykolwiek uda się je ulepszyć. - Mylili się już wiele razy, więc mogą się mylić i teraz. - Masz rację... Aha, zapomniałam ci powiedzieć: dostaliśmy telegram od JeanPierre Villiera. Wznawia Koriolana i zaprasza nas do Paryża na pierwszy spektakl.

- Odpowiedz mu, że wysłuchiwanie przez trzy albo cztery godziny francuskiej paplaniny nie jest tym, co sprawia mi największą przyjemność.

- Jeśli pozwolisz, sformułuję to w nieco inny sposób.

- Boże, na ile pytań nie uzyskaliśmy jeszcze odpowiedzi!

- Nie zaprzataj sobie tym głowy, kochanie. Teraz jesteśmy wolni, już na zawsze. Zostaw innym sprzątanie brudów.

- Postaram się, ale nie wiem, czy mi się to uda... Harry powiedział, że o jego ucieczce z doliny zawiadomiła antynazistów jakaś pielęgniarka. Kto to był i co się z nią stało?

- Wszystko jest opisane w raporcie Mettmacha, tym, na który tylko zerknąłeś...

- Może kiedyś go przeczytam, ale gdy zobaczyłem te wszystkie medyczne rozważania na temat mojego brata... Po prostu zrobiło mi się niedobrze.

- Pielęgniarka była asystentką Greta Frisch, żony Kroegera. Zmuszono ją, żeby poszła do łóżka z von Schnabe, komendantem. Zaszła w ciążę i odebrała sobie życie w lesie Vaclabruck.

- To straszne. Kiedy pomyślę, co tam znaleźliśmy... Ogromna, w pełni wyposażona baza wojskowa w samym środku leśnej głuszy! - Teraz zamieniono ją w więzienie. Wszyscy neonaziści, których tam wsadzono, noszą czarne mundury, a na rękawach mają czerwone opaski ze swastykami. To na pamiątkę tego, co ich ojcowie i dziadkowie robili z Żydami za czasów Trzeciej Rzeszy. - Kto wpadł na ten pomysł?

- Ambasador Kreitz. Jego zdaniem dzięki temu będą pamiętali, że są ludźmi wyjętymi spod prawa, a nie uprzywilejowanymi członkami społeczeństwa.

- Chyba rozumiem, co zamierzał osiągnąć, ale nie jestem pewien, czy mu się to udało. Takie traktowanie może doprowadzić do powstania poczucia solidarności: wszyscy cierpimy za słuszną sprawę, i tak dalej...
- Nie wtedy kiedy mają zajęty cały dzień i muszą uczyć się na wykłady z historii nazizmu, ilustrowane wstrząsającymi filmami i slajdami. Muszą opisywać swoje wrażenia z tych pokazów. Podobno wielu załamuje się, płacze, rozpacza i błaga o wybaczenie. Poza tym, przecież nikt się nad nimi nie znęca; co prawda dość ciężko pracują, ale mają zapewnione godziwe warunki bytowania. - Psychiatrzy i psychologowie będą mieli pełne ręce roboty... Kto wie, może jesteśmy świadkami narodzin nowego systemu penitencjarnego?
- Gdyby tak było, wówczas można by powiedzieć, że okrutne, niszczące szaleństwo dało nieco pożytecznych owoców.
- Na twoim miejscu nie liczyłbym na to. Prędzej czy później znajdą się ludzie, którzy zajmą miejsce "nawróconych". Co prawda będą się inaczej nazywać, będą posługiwać się odmienną ideologią, ale przesłanie nic się nie zmienia: "Musicie żyć według naszych wskazówek, musicie być nam całkowicie podporządkowani, musicie zapomnieć o wolności i niezależności poglądów."
- A więc trzeba być czujnym i natychmiast reagować na pojawienie się fałszywych proroków, ufając jednocześnie, że nasi przywódcy wykażą się wystarczającym rozsądkiem i odwagą, by zlikwidować niebezpieczeństwo w zarodku.
- Czy ciebie nie męczy takie bezustanne podsumowywanie wszystkich i wszystkiego?
- Mój mąż, kiedy jeszcze był moim mężem, mawiał: "Bądź taka miła i daruj sobie te nudne wykłady". Chyba miał rację. Tak naprawdę żyłam jedynie na uczelni; wszystko inne to była tylko tymczasowa vegetacja.
- Ode mnie nigdy nie usłyszysz czegoś takiego... Skoro już mowa o wiedzy: w przeciwieństwie do mnie znasz dość dokładnie aktualną sytuację...
- Oczywiście. Ty miałaś ważniejsze zajęcia: musiałeś polecieć do rodziców, bo z pewnością byli wstrząśnięci śmiercią Harry'ego. Wcale ci się nie dziwię i na twoim miejscu postąpiłabym tak samo. Drew spojrzal na twarz Karin oświetloną blaskiem stojącego wysoko na niebie słońca.
- Istotnie... Czy Knox Talbot ustalił, kto włamywał się do tych supertajnych komputerów AAZero?
- Nie musiał niczego ustalać, bo nazwiska były na liście z Orlego Gniazda. To kobieta i mężczyzna, oboje z szesnastoletnim stażem pracy w Agencji. Nienaganna przeszłość, znakomite wyniki w szkole i na uczelni, wspaniały przebieg służby.
- Krótko mówiąc: Sonnenkinder, Dzieci Słońca.
- Dokładnie. Nie zapomnieli nawet o chórze kościelnym i harcerstwie.
- A co z danymi na temat Monluca, które zniknęły z OSI?
- Usunął je jeden z dyrektorów udający żydowskiego historyka. Aż do końca był poza wszelkimi podejrzeniami.
- Też Dziecko Słońca?
- Oczywiście.
- A ten finansowy rekin z Paryża, który za niemieckie pieniądze wykupywał posiadłości w dolinie Loary?
- Wybudował domek z kart, ale powiał wiatr i domek rozsypał się w okamgnieniu. Bonn przeprowadziło skrupulatne śledztwo, w którego wyniku okazało się, że pieniądze przepływały za granicę nielegalnie, ten człowiek zaś był zwykłym oszustem korzystającym z fałszywych pełnomocnictw. - Karin umilkła na chwilę i spojrziała na Lathama. - Dlaczego przyglądasz mi się tak badawczo?
- Bo coś mi przyszło do głowy. Niedawno wspomniałaś o moich rodzicach, a ja dopiero teraz uświadomiłem sobie, że nigdy nie mówiłaś mi o swoich. Nie wiem nawet jak brzmi twoje panięńskie nazwisko... Dlaczego jesteś taka tajemnicza?
- Czy to naprawdę ma jakieś znaczenie?

- Żadnego, ale ja po prostu jestem ciekaw. Chyba mam do tego prawo? Zawsze wyobrażałem sobie, że jeśli kiedyś spotkam kobietę, z którą będę chciał się ożenić, pójdę do jej ojca i powiem: "Tak, proszę pana, mogę zapewnić pańskiej córce godziwe warunki życia i bardzo ją kocham..." Właśnie w tej kolejności, ma się rozumieć. Czy będę miał szansę, żeby to zrobić?
- Niestety nie, więc równie dobrze mogę powiedzieć ci prawdę... Moja babka była Dunką. Niemcy wywieźli ją do Niemiec i zapłodnili, bo ich zdaniem nadawała się do tego, żeby być jedną z tych kobiet, które urodzą nowe pokolenie Rasy Panów. Po urodzeniu dziecka zdołała je wykraść, uciekła z obozu i wróciła do Danii, gdzie ukryła się w wiosce w pobliżu miejscowości Hanstholm nad Morzem Północnym. Znalazła człowieka, antynazistę, który ożenił się z nią i dał nazwisko jej córce, a mojej matce. - Z tego wynika, że...
- Tak, Drew. Gdyby nie odwaga i poświęcenie mojej babki mogłam być jednym z Dzieci Słońca, jak Janinę Clunes. Niestety naziści prowadzili szczegółową dokumentację swoich eksperymentów, dlatego moja babka i jej mąż musieli do końca życia kryć się przed nimi, często przenosząc się z miejsca na miejsce i zmieniając nazwiska. Wreszcie, zaraz po wojnie, osiedlili się w Belgii, gdzie moja matka dorosła, wyszła za mąż i urodziła mnie w 1962 roku. Nigdy nie zdobyła wykształcenia, więc postanowiła uczynić wszystko, żeby ze mną stało się inaczej.
- Co się teraz dzieje z twoimi rodzicami?
- Ojciec odszedł od nas, kiedy miałam dziewięć lat i teraz, z perspektywy czasu, wcale mu się nie dziwię. Moja matka bardzo przypominała swoją, a ta znalazła przecież w sobie dość odwagi, żeby ryzykując życie uciec z małym dzieckiem z rąk nazistów. Moja matka nie widziała poza mną świata. Pilnowała, żebym sama uczyła się czytać i pisać, potem dopingowała mnie do intensywnej nauki w szkole, na studiach... W końcu doprowadziła do tego, że mnie też opanowała obsesja doskonałości.
- Nic dziwnego, że znaleźliście z Harrym wspólny język. Czy twoja matka żyje?
- Tak, mieszka w domu opieki społecznej w Antwerpii. Można chyba powiedzieć, że żyła tak intensywnie, iż po prostu przedwcześnie się wypaliła. Już nawet nie zawsze mnie poznaje.
- A ojciec?
- Kto to może wiedzieć? Nigdy nie starałam się go odnaleźć, choć nawet miałam taki zamiar, bo w końcu, jak już powiedziałam, zrozumiałam, dlaczego zdecydował się odejść. W pewnym momencie ja postąpiłam tak samo, a potem pojawił się Freddie i zostałam "trafiona". Drew uśmiechnął się i objął ją czule. Na szczęście już po wszystkim. Nareszcie mam wrażenie, że znam cię na tyle, by zaproponować ci współpracę przy przedłużaniu dynastii Lathamów.
- Jakie to szlachetne z twojej strony! Postaram się okazać godna tego zaszczytu.
- Godna? Dla ciebie to krok albo nawet dwa wstecz, ale daję słowo, że w bibliotece znajdzie się miejsce dla wszystkich encyklopedii, jakich sobie zażyczysz.
- W jakiej bibliotece?
- W domu.
- W j a k i m d o m u ?
- W naszym, ma się rozumieć. Zaraz za zakrętem tej drogi, która, rzecz jasna, otrzyma nową nawierzchnię.
- O czym ty mówisz, Drew?
- To będzie jakby tylne wejście na teren posiadłości.
- Jakiej posiadłości?
- Naszej. Przecież mówiłaś, że lubisz góry?
- Bo lubię. Spójrz, jakie są piękne i majestatyczne!
- Więc chodź, miłośniczko gór. Już prawie jesteśmy na miejscu. - To znaczy gdzie?
- Przekonasz się, kiedy tam dotrzemy. - W miejscu, do którego dotarli, droga skręcała dość ostro w prawo. - Dowiedziałem się o tym terenie od kolegi z Fort Collins. Szpila jest potwornie bogaty... nazywaliśmy go Szpilą, bo potrafił przyszpilić dosłownie wszystko, od przeciwnika poczynając, na dużej okazji kończąc... i powiedział mi, że to ostatni kawałek ziemi do kupienia, więc należy się spodziewać, iż już niedługo ceny raptownie pójdą w górę. Zaraz

potem, co było bardzo do niego podobne, zaproponował, że pożycz mi forsy, gdyby miało mi zabraknąć.

- Czym on się zajmuje?

- Tak naprawdę tego nikt nie wie. Ma mnóstwo komputerów i działa na rynku akcji, obligacji i nieruchomości. Nawet nie wyobrażasz sobie jaki byłem dumny, kiedy mogłem mu odpowiedzieć: "Dzięki, Szpila, ale nie trzeba. Kupię to, jeśli mi się spodoba." - I co on na to?

- "Za pensję z rządowej posady?" A ja wtedy: "Nie, nie za pensję. Po prostu dokonałem kilku korzystnych transakcji w Europie." Zaraz potem zapytał, czy nie zechciałbym zatrzymać się u niego przez kilka dni, żeby pogadać o interesach.

- Jesteś bezwstydnym łgarzem, Drew! Minęli zakręt. Widok, który ukazał się ich oczom sprawił, że Karin stanęła jak wryta i dech jej zaparło. Jezioro było duże, błękitnozielone, o krystalicznie czystej wodzie, poznaczone białymi plamami żagli. Na brzegu wznosiło się kilka eleganckich rezydencji z prywatnymi przystaniami, wysoko w górze zaś lśniły ośnieżone szczyty, przypominające warowne wieże strzegące dostępu do tego cudownego, sielskiego zakątka. Po prawej stronie ciągnęły się rozległe nie zabudowane tereny, porośnięte wysoką trawą i polnymi kwiatami.

- Tutaj stanie nasz dom, najdroższa. Zaledwie kilka kilometrów od granicy Parku Narodowego.

- Nie wierzę, kochanie! Chcesz mnie nabrać!

- Uwierz mi, to wszystko jest nasze. Dom stanie najdalej za rok, naturalnie jeśli spodoba ci się jego plany. Szpila podesłał mi najlepszego architekta w Kolorado.

- Aż rok? - Karin roześmiała się radośnie i pobiegła w kierunku strumienia płynącego wartko ku jezioru. - To strasznie długo! Co będziemy robić przez ten czas?

- Zastanawiałem się, czyby nie postawić dużego namiotu, ale doszedłem do wniosku, że chyba nie byłabyś zadowolona.

- Dlaczego? Na pewno by mi się spodobało.

- Wątpię - wysapał Drew. Dopiero teraz udało mu się ją dogonić i wziąć w ramiona. - Zgadnij, kto przyleci nadzorować początek prac budowlanych, bo jego zdaniem na pewno nie dam sobie z tym rady?

- Pułkownik?

- Trafiłaś w dziesiątkę.

- On też cię bardzo kocha.

- Wydaje mi się, że w tej dziedzinie jednak masz pierwszeństwo. Dostał pełną emeryturę, ale nie ma się gdzie podziać. Jego dzieci pozakładały rodziny i mają własne dzieci, a on twierdzi, że po kilku dniach spędzonych w ich towarzystwie czuje się jak odgrzany nieboszczyk. Musi ciągle być w ruchu. Chyba nie masz nic przeciwko temu, żeby posiedział trochę z nami, aż do chwili kiedy uzna, że znowu musi zmienić klimat?

- Skądże znowu!

- To znakomicie. Szpila wynajął dla nas dom jakieś piętnaście kilometrów stąd, przy szosie numer 34. Ustaliliśmy, że będę musiał spędzać w Waszyngtonie maksimum pięć dni w miesiącu, wyłącznie jako konsultant. Żadnych zadań operacyjnych.

- Jesteś pewien, że dobrze zrobiłeś? Wytrzymasz bez pracy? - Owszem, ponieważ dałem z siebie wszystko i nikomu nie muszę już niczego udowadniać. Nawet Harry'emu.

- Co więc będziemy robić, Drew? Przecież jesteś młody, a ja jestem jeszcze młodsza od ciebie.

- Nie wiem. Najpierw trzeba wybudować dom, co trochę potrwa, a potem... Cóż, potem będzie można zastanowić się nad paroma rzeczami.

- Naprawdę chcesz zrezygnować ze służby w Operacjach Konsularnych?

- To zależy od Sorensona. Jeśli nie liczyć tych pięciu dni w miesiącu, aż do marca przyszłego roku jestem na urlopie. - A więc jeszcze nie podjąłeś decyzji. To nieprawda, że podejmie ją Sorenson: wszystko zależy od ciebie.

- Wesley mnie rozumie. Był już tam, gdzie ja jestem teraz, i wycofał się. Karin przycisnęła twarz do piersi Lathama.

- "Tam", to znaczy gdzie?

- Nie jestem pewien - odparł Drew. - Jestem dużym chłopcem i potrafię zatroszczyć się o siebie, ale podczas minionych trzech miesięcy sporo dowiedziałem się o świecie, a ty stanowisz część tej wiedzy, wcale nie najmniejszą... Nie chcę znowu bać się o nas przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Prawdę mówiąc nie lubię kontaktu z bronią, choć żyjemy między innymi dzięki temu, że nieźle sobie z nią radzę. Mam dość alternatywy "zabij albo daj się zabić". Nie chcę uczestniczyć w tej okrutnej zabawie i podejrzewam, że ty też nie masz na to wielkiej ochoty.

- To nie była zabawa, najdroższy, tylko prawdziwa wojna. Na szczęście dla nas już się skończyła; ja także chcę żyć jak człowiek i nie mogę się doczekać, kiedy znowu zobaczę Stanleya. Jak na wezwanie zza zakrętu wyłoniła się zwałista postać. - Sukinsyn! - ryknął pułkownik Stanley Witkowski, wygrażając za siebie pięścią. - Ten cholerny taksówkarz powiedział, że nie będzie jeździł po kartoflisku!... Całkiem ładna okolica, nie można powiedzieć złego słowa. Już coś mi świta: dużo szkła, jeszcze więcej drewna... Aha, dzwonił do mnie Wes Sorenson. Powiedział, że we trójkę tworzymy bardzo zgrany zespół i że miałby dla nas interesującą propozycję.

- Nic się nie zmienia - mruknął Drew, obejmując mocniej Karin. - Nie ma mowy, Stosh.

- Przede wszystkim chodziło mu o ciebie, chłopcze - ciągnął pułkownik, ocierając pot z czoła. - Jesteś za młody, żeby iść na emeryturę. Musisz pracować, a czy jest coś, co robisz lepiej? Chyba nie myślisz o karierze hokeisty? Te młode osilki już w pierwszej tercji przerobiłyby cię na mielone.

- Powiedziałem: nie ma mowy, i nie zmienię zdania.

- Za tydzień polecę z tobą do Waszyngtonu, a wtedy Wes wyłoży kawę na ławę. Sprawa wygląda na bułkę z masłem; nieograniczone fundusze i praca na zmiany, dzięki czemu któreś z nas zawsze mogłoby tu być, żeby doglądać budowy.

- Odpowiedź nadal brzmi: nie!

- Jeszcze pogadamy, chłopcze... Moja droga, wyglądasz cudownie!

- Dziękuję - Karin podeszła do pułkownika i objęła go mocno. - A ty sprawiasz wrażenie zmęczonego.

- Bo mam za sobą cholernie długi spacer.

- Szkoda twojego czasu, Stosh. Nigdy się nie zgodzę,

- Powiedziałem, że jeszcze pogadamy... A teraz chodźmy obejrzyć teren.

* * *

Koniec